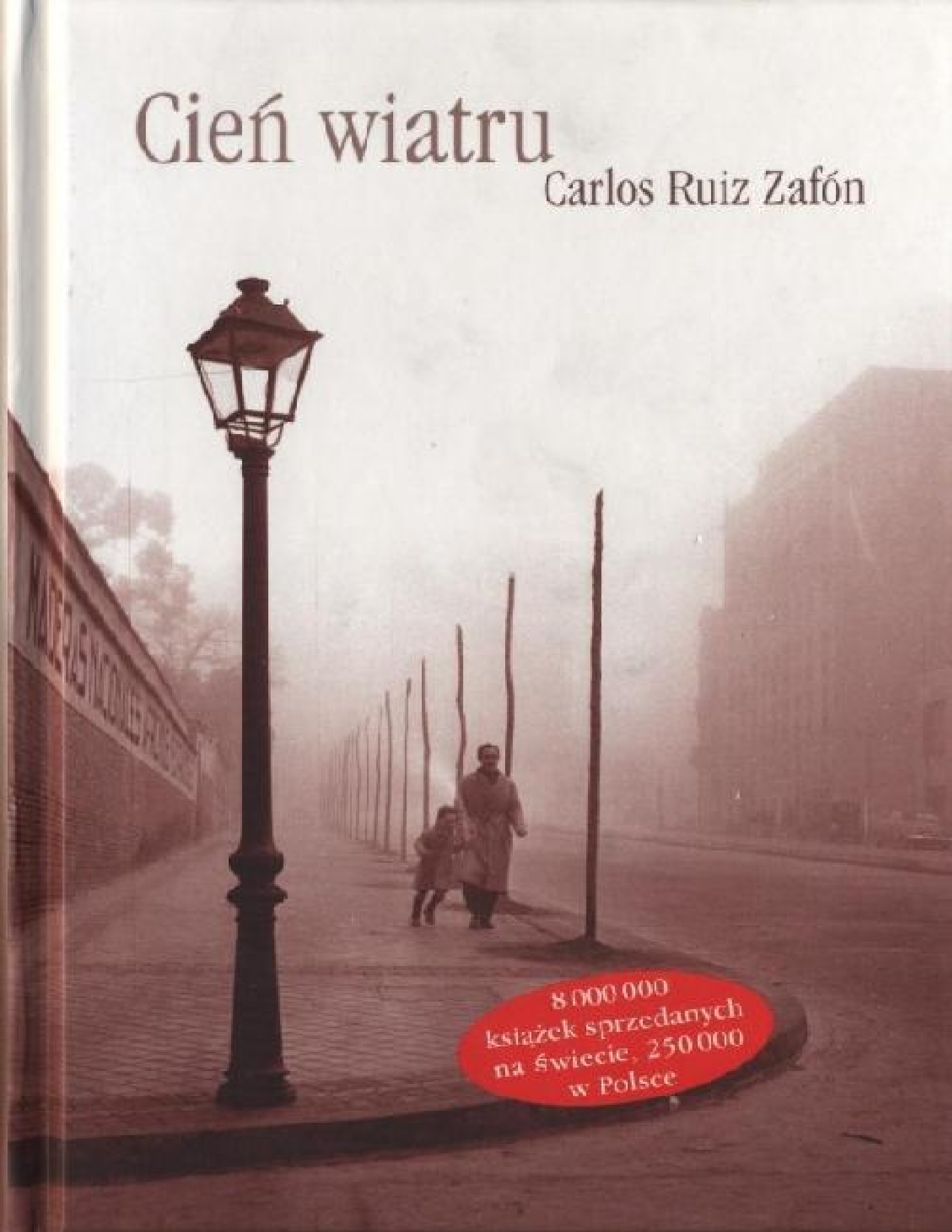


Cień wiatru

Carlos Ruiz Zafón



8 000 000
książek sprzedanych
na świecie, 250 000
w Polsce

Carlos Ruiz Zafón

CIEŃ WIATRU

przełożyli
Beata Fabjańska-Potapczuk
Carlos Marrodán Casas

Tytuł oryginału: ***La Sombra del Viento***
Projekt okładki: *Maryna Wiśniewska*
Redakcja: *Marta Szafrńska-Brandt*
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*
Korekta: *Elżbieta Jaroszek*

Zdjęcie wykorzystane na okładce
© Francesc Catalá-Roca
© Carlos Ruiz Zafón 2001
Photographs © Francesc Catalá-Roca
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2005, 2007
© for the Polish translation by Beata Fabjańska-Potapczuk
and Carlos Marrodán Casas

ISBN 978-83-7495-370-2 (oprawa twarda)
ISBN 978-83-7495-361-0 (oprawa broszurowa)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2007

Joanowi Ramonowi Planas,
choć zasłużył chyba na coś lepszego

Cmentarz Zapomnianych Książek

Wciąż pamiętam ów świt, gdy ojciec po raz pierwszy wziął mnie ze sobą w miejsce zwane Cmentarzem Zapomnianych Książek. Szliśmy ulicami Barcelony. Były pierwsze dni lata 1945 roku. Miasto codziennie dusiło się pod naporem szarego jak popiół nieba i słonecznego żaru, zalewającego Ramblę Santa Mónica strumieniem płynnej miedzi.

– Danielu, to, co dzisiaj zobaczysz, masz zachować wyłącznie dla siebie – ostrzegł mnie ojciec. – Nikomu ani słowa. Nikomu. Nawet twojemu przyjacielowi Tomasowi.

– Nawet mamie? – spytałem cichutko.

Ojciec westchnął, ukryty za tym swoim smutnym uśmiechem, który jak cień towarzyszył mu nieodłącznie przez całe życie.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł, spuszczając głowę. – Przed nią nie mamy tajemnic. Mamie możesz mówić wszystko.

Szalejąca tuż po wojnie domowej epidemia cholery zabrała mi mamę. Pochowaliśmy ją na cmentarzu Montjuïc w dniu moich czwartych urodzin. Pamiętam tylko, że padało przez cały dzień i całą noc, a kiedy zapytałem tatę, czy niebo też płacze, nie był w stanie słowa z siebie wykrztusić. Mimo upływu sześciu lat nieobecność mamy była dla mnie wciąż jakimś omamem, krzykiem ciszy, której nie potrafiłem jeszcze zagłuszyć słowami. Mieszkaliśmy z ojcem na ulicy Santa Ana, tuż przy placu kościelnym. Nasze małe mieszkanie mieściło się bezpośrednio nad antykwariatem specjalizującym się w sprzedaży zarówno rzadkich egzemplarzy dla bibliofilów, jak i książek używanych. Ten magiczny bazar odziedziczony po dziadku miałem z kolei ja przejąć po ojcu, który nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Wyrastałem wśród książek, zaprzyjaźniając się z niewidzialnymi postaciami żyjącymi na rozsypujących się w proch stronach, których kolor mam do tej pory na palcach. Jeszcze jako mały dzieciak nauczyłem się zasypiać, opowiadając mamie w półmroku pokoju, co takiego zdarzyło się w ciągu dnia, co spotkało mnie w szkole, czego nowego się nauczyłem. Nie mogłem usłyszeć jej głosu ani poczuć jej dotyku, ale jej aura i ciepło obecne były w każdym zakątku mieszkania, a ja, dzieląc wiarę tych, którzy mogą jeszcze zliczyć swój wiek na palcach obu rąk, wiedziałem, że wystarczy

zamknąć oczy i zacząć mówić do mamy, a ona, gdziekolwiek by się znajdowała, na pewno mnie usłyszy. Tata siedząc w pokoju jadalnym, słyszał mnie czasami i płakał skrycie.

Pamiętam, że tego czerwcowego dnia obudził mnie mój własny krzyk. Serce łomotało mi tak, jakby dusza chciała wyrwać się z piersi i uciec schodami w dół. Tata przybiegł natychmiast i wystraszony, przytulił mnie do siebie, usiłując uspokoić.

– Nie mogę przypomnieć sobie jej twarzy. Nie mogę przypomnieć sobie twarzy mamy – wyszeptałem bez tchu.

Tata objął mnie jeszcze mocniej.

– Nie bój się, Danielu, spokojnie. Ja pamiętam za nas obu.

Spojrzeliliśmy na siebie, szukając słów, które nie istniały. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że mój ojciec starzeje się, a jego oczy, te zawsze przymglone i zagubione oczy, nieustannie patrzą wstecz. Wstał, rozsunął zasłony, by wpuścić chłodne światło świtu.

– No, dość tego. Pospiesz się, Danielu, ubieraj się. Chcę ci coś pokazać – powiedział.

– Teraz? O piątej rano?

– Istnieją takie miejsca, które trzeba i można oglądać jedynie w ciemnościach. – Ojciec nie ustępował, przesyłając mi zarazem tajemniczy uśmiech, zapożyczony najprawdopodobniej z jednego z tomów Aleksandra Dumas.

Gdy wychodziliśmy z bramy, miasto było jeszcze opustoszałe, po okrytych mgłą ulicach snuli się tylko gdzieniegdzie nocni stróże. Latarnie na Ramblas oświetlały jedynie opary w prowadzącej ku morzu alei, aczkolwiek ich rozrzedzone światła zaczynały już migotać, zwiastując rychłe przebudzenie się Barcelony i zrzućenie przez miasto ulotnego przebrania mglistej akwareli. Dotarwszy do ulicy Arco del Teatro, zapuściliśmy się w uliczki dzielnicy Raval, przechodząc pod arkadą rysującą się niczym sklepienie wzniesione z niebieskiej mgły. Szedłem za ojcem wąskim zaułkiem, wydeptaną ścieżką, bardziej niż ulicą, czując, jak za naszymi plecami coraz szybciej zanika poświata Rambli. Z dachów i z balkonów zaczął zsuwać się ukośnymi strugami poranny brzask, nie docierając w ogóle na ziemię. W końcu ojciec zatrzymał się przed drzwiami z litego, szerniałego od starości i wilgoci drewna. Przed nami wznosił się budynek przypominający

wrak budowli, która kiedyś była pałacem lub siedzibą muzeum gromadzącego wyłącznie mary, cienie i pogłosy.

– Danielu, pamiętaj, że o tym, co zaraz ujrzysz, nie będziesz mógł powiedzieć nikomu. Pamiętaj: nikomu, nawet twojemu przyjacielowi Toma – sowi. Nikomu.

Człowieczek o rysach drapieżnego ptaka i posrebrzonych włosach otworzył nam drzwi. Jego ostre, orle i nieprzeniknione oczy spoczęły na mnie nieruchomo.

– Witaj, Izaaku. Oto mój syn Daniel – obwieścił ojciec. – Niebawem skończy jedenaście lat, a w przyszłości przejmie po mnie księgarnię. Już dorósł dostatecznie, by poznać to miejsce.

Człowiek zwany Izaakiem nieznacznym skinieniem głowy zaprosił nas do środka. Wszystko przed nami zanurzone było w niebieskawym półmroku, który zaledwie pozwalał się domyślać zarysu marmurowych schodów i obecności korytarza pokrytego freskami wypełnionymi aniołami i baśniowymi stworami. Ruszyliśmy za strażnikiem owym zamkowym korytarzem i dotarliśmy do wielkiej okrągłej sali, najprawdziwszej bazyliki ciemności zwieńczonej kopułą, z której wysokości padały snopy światła. Niezmierzony labirynt korytarzyków, regałów i półek wypełnionych książkami wznosił się po niewidoczny sufit, tworząc ul pełen tuneli, schodków, platform i mostków, które pozwalały się domyślać przeogromnej biblioteki o niepojętej geometrii. Na wpół ogłupiały spojrzałem na ojca. Uśmiechnął się i puścił do mnie oko.

– Danielu, witamy na Cmentarzu Zapomnianych Książek.

W głębi dostrzec można było z tuzin kręcących się po korytarzykach i platformach postaci. Kilka z nich odwróciło się i pozdrowiło nas z daleka. Zdołałem wówczas rozpoznać twarze kolegów ojca ze stowarzyszenia antykwariuszy. W oczach dziesięciolatka panowie ci jawili mi się niczym tajne i spiskujące bractwo alchemików. Ojciec przyklęknął i patrząc mi prosto w oczy, przemówił łagodnym głosem, tym szczególnym głosem bardzo osobistych wyznań i przyrzeczeń.

– To miejsce, Danielu, jest tajemnicą i miejscem świętym. Każda znajdująca się tu książka, każdy tom, posiadają własną duszę. I to zarówno duszę tego, kto daną książkę napisał, jak i dusze tych, którzy

tę książkę przeczytali i tak mocno ją przeżyli, że zawładnęła ich wyobraźnią. Za każdym razem, gdy książka trafia w kolejne ręce, za każdym razem, gdy ktoś wodzi po jej stronach wzrokiem, z każdym nowym czytelnikiem jej duch odradza się i staje się coraz silniejszy. Już dawno temu, wtedy kiedy mój ojciec mnie tu przyprowadził, miejsce to miało swoje lata i było stare. Może nawet tak stare jak samo miasto. Nikt na dobrą sprawę nie wie, od kiedy to miejsce istnieje ani kto je stworzył. Teraz powiem ci to, co powiedział mi mój ojciec. Kiedy jakaś biblioteka przestaje istnieć, kiedy jakaś księgarnia na zawsze zamyka podwoje, kiedy jakaś książka ginie w otchłani zapomnienia, ci, którzy znają to miejsce, my, strażnicy ich dusz, robimy, co w naszej mocy, aby te bezdomne książki trafiły tutaj. Bo tutaj książki, o których nikt już nie pamięta, książki, które zagubiły się w czasie, żyją nieustającą nadzieją, iż pewnego dnia trafią do rąk nowego czytelnika, że zawładnie nimi nowy duch. W księgarni sprzedajemy i kupujemy książki, ale w rzeczywistości one nie mają właściciela. Każda, którą tu widzisz, była czyimś najlepszym przyjacielem. A teraz te książki mają tylko nas, Danielu. Potrafisz zachować ten sekret?

Wzrok mój zagubił się w ogromie przestrzeni, w jej czarodziejskim świetle. Przytaknąłem ruchem głowy, a ojciec uśmiechnął się.

– No, dobrze, a wiesz, jaką mam dla ciebie niespodziankę? – zapytał.

Milcząco pokręciłem głową.

– Przyjęte jest, że osoba, która po raz pierwszy odwiedza to miejsce, musi wybrać sobie dowolną książkę i przyjąć ją pod swoją opiekę, zaadoptować ją, tak by nigdy nie dotknęło jej zapomnienie. To bardzo ważne przyrzeczenie. Na całe życie – dodał mój ojciec. – A dziś ty musisz dokonać wyboru.

Przez niespełna pół godziny błądziłem po zakamarkach tego labiryntu, nad którym unosiła się woń starego papieru, kurzu i magii. Pozwalałem swoim dłoniom wędrować po niekończących się rzędach wystających grzbietów, kusząc los, żeby pokierował moim wyborem. Zerkalem na spłowiałe tytuły, słowa w rozpoznawanych przeze mnie językach i w wielu innych językach, których nie byłem zdolny czemukolwiek przyporządkować. Kręciłem się po korytarzach i

spiralach tuneli wypełnionych setkami, tysiącami tomów sprawiających wrażenie, że wiedzą o mnie więcej niż ja o nich. Dość szybko zawładnęła mną myśl, iż pod okładką każdej z tych książek czeka na odkrycie bezkresny wszechświat, podczas gdy za tymi murami życie upływa ludziom na futbolowych wieczorach, na radiowych serialach, na własnym pępku i tyle. I może ta myśl albo przypadek czy też los, powinowaty przypadku, sprawiły, że w tej samej chwili już byłem przekonany i właśnie wybrałem książkę do adopcji. A raczej książkę, która mnie usynowi. Wystawała niepozornie ze skraju jednego z regałów, oprawiona w skórę barwy czerwonego wina, i wyszeptywała swój tytuł złotymi literami płonącymi w spływającym spod kopuły świetle. Podszedłem do niej i dotknąłem opuszkami palców słów, czytając w milczeniu:

Cień wiatru
JULIAN CARAX

Ani tytuł, ani nazwisko autora nigdy nawet nie obły mi się o uszy, ale nic tam. Decyzja została już podjęta. Przez jedną i drugą stronę. Najostrożniej, jak mogłem, wziąłem książkę do ręki i przekartkowałem ją, wprowadzając w trzepot jej strony. Opuściwszy swą klatkę, wreszcie wolna, rozbłysła fajerwerkiem złotego pyłu. W pełni zadowolony z wyboru, ruszyłem labiryntem w drogę powrotną, ściskając książkę pod pachą i nie kryjąc radości. Może całkiem mnie urzekła magiczna atmosfera tego miejsca, ale byłem święcie przekonany, że ta książka czekała na mnie już od dawna, bardzo możliwe, że czekała już na mnie, zanim w ogóle przyszedłem na świat.

Tego samego dnia po południu, wróciwszy już do mieszkania przy ulicy Santa Ana, zamknąłem się w swym pokoju i postanowiłem zapoznać się z początkowymi stronami mojego nowego przyjaciela. Zanim się obejrzałem, lektura pochłonęła mnie już całkowicie i nieodwołalnie. Była to opowieść o człowieku, poszukującym swego prawdziwego ojca, którego nie znał i dowiedział się o jego istnieniu z ostatnich słów wypowiedzianych przez matkę na łożu śmierci. Dzieje tego poszukiwania przeistaczały się w fantasmagoryczną odyseję, w

trakcie której główny bohater walczy o odzyskanie utraconego dzieciństwa i utraconej młodości, czytelnik zaś z wolna odkrywa cień nieszczęsnej miłości, a jej wspomnienie ma prześladować bohatera opowieści do końca jego dni. Opowieść miała strukturę przypominającą rosyjskie matrioszki: w większej babie siedzi mniejsza, w tej zaś jeszcze mniejsza. Z czasem narracja rozpadała się na tysiące historii, tak jakby główna opowieść znalazła się w korytarzu pełnym luster, co powodowało, iż jej tożsamość rozszczepiała się niejako na dziesiątki różnych odbić, choć ciągle była jedną i tą samą opowieścią. Minuty, godziny mijały niepostrzeżenie. Zatopiony w lekturze, ledwie usłyszałem, jak po paru godzinach dzwony katedry biją północ. Tonąc w miedzianym świetle stojącej na biurku lampy, znalazłem się w świecie obrazów i emocji, jakich nigdy przedtem nie zaznałem. Postaci tak realne, jak wdychane przeze mnie powietrze, porwały mnie za sobą w tunel przygód i tajemnic, z którego nie chciałem się wydostawać. Strona po stronie ulegałem coraz bardziej urokowi czytanej historii i jej świata, dopóty w oknach nie pojawiły się pierwsze promienie świtu, a moje zmęczone oczy nie dotarły do ostatniego zdania. Położyłem się w niebieskawym brzasku poranka z książką na piersiach i wsłuchałem się w dźwięki śpiącego miasta uderzające w dachy, skąpane w purpurze. Senność i zmęczenie pukały do moich drzwi, ale nie ulegałem im. Trwałem tak, urzeczony opowieścią, nie chciałem żegnać się z jej postaciami.

Kiedyś usłyszałem, jak jeden z klientów ojca powiedział w księgarni, że niewiele rzeczy ma na człowieka tak wielki wpływ jak pierwsza książka, która od razu trafia do jego serca. Owe pierwsze obrazy, echa słów, choć wydają się pozostawać gdzieś daleko za nami, towarzyszą nam przez całe życie i wznoszą w pamięci pałac, do którego, wcześniej czy później – i nieważne, ile w tym czasie przeczytaliśmy książek, ile nowych światów odkryliśmy, ile się nauczyliśmy i ile zdążyliśmy zapomnieć – wrócimy. Dla mnie tymi zaczarowanymi stronami zawsze będą te, które znalazłem w korytarzach Cmentarza Zapomnianych Książek.

Dni popielcowe
1945 – 1949

Sekret wart jest tyle, ile warci są ludzie, przed którymi powinniśmy go strzec. Kiedy się obudziłem, w pierwszym odruchu chciałem jak najszybciej podzielić się informacją o Cmentarzu Zapomnianych Książek z moim najlepszym przyjacielem. Tomás Aguilar był szkolnym kumplem, który cały swój wolny czas poświęcał pomysłowym, acz mało praktycznym wynalazkom, takim jak aerostatyczna rzutka albo bączek dynamo. Jeśli już z kimś dzielić się tą tajemnicą, to tylko z Tomasem. Śniąc na jawie, już wyobrażałem sobie nas, jak wyekwipowani w latarki i kompasy ruszamy na wyprawę, gotowi odkryć wszystkie sekrety tych bibliotecznych katakumb. Później jednak, pamiętając o danym przyrzeczeniu, uznałem, że okoliczności zmuszają mnie do zmiany tego, co w powieściach kryminalnych określano jako *modus operandi*. W południe przystąpiłem do ojca z serią pytań dotyczących i książki, i Juliana Caraxa, sławnych, w moim mniemaniu, na cały świat. Zamierzałem oczywiście zdobyć wszystkie dzieła tego autora i w parę dni przeczytać je od deski do deski. Jakież było moje zdumienie, gdy się okazało, że mój ojciec, antykwariusz z dziada pradziada, pożeracz wszystkich katalogów wydawniczych, nigdy nie słyszał o *Cieniu wiatru* ani o Julianie Caraksie. Zaintrygowany, zajrzał do książki i na stronę redakcyjną.

– Sądząc z podanych tu informacji, książka ta pochodzi z wydania, którego nakład liczył dwa tysiące pięćset egzemplarzy, wydrukowanych w Barcelonie przez wydawnictwo Cabestany Editores w grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku.

– Znasz to wydawnictwo?

– Przestało działać parę lat temu. Ale to nie jest wydanie pierwsze, bo wcześniej, w listopadzie tego samego roku, książka ukazała się w Paryżu, nakładem wydawnictwa Galliano & Neuval. Nic mi to nie mówi.

- To znaczy, że to jest przekład? – zapytałem zbity z tropu.
- Nie ma żadnej wzmianki na ten temat. Sądząc z zamieszczonych tu danych, jest to tekst oryginalny.
- Książka po hiszpańsku, ale wydana najpierw we Francji?
- Nie pierwszy i nie ostatni raz, takie czasy – dodał ojciec. – Może Barceló będzie coś wiedział na ten temat...

Gustavo Barceló, kolega ojca z tej samej branży, był właścicielem księgarni znajdującej się w suterenie przy ulicy Fernando i najwspanialszym zarazem przedstawicielem barcelońskich antykwariuszy. Nigdy nie odrywał się od zgaszonej fajki, roztaczającej woń perskiego bazaru, i lubił przedstawiać się jako ostatni romantyk. Barceló utrzymywał, że jego rodzinę łączyło jakieś dalekie pokrewieństwo z lordem Byronem, mimo iż on sam pochodził z miejscowości Caldas de Montbuy. Być może, pragnąc owe powinowactwa unaocznic, nosił się nieodmiennie w stylu dziewiętnastowiecznego dandysa, w fularach, białych lakierkach i z nieodłącznym, choć zrobionym ze zwykłego szkła monoklem, którego, jak mawiali złośliwi, nie zdejmował nawet w ustroniu toalety. Naprawdę zaś jedynymi więzami krwi, jakimi rzeczywiście mógł się poszczycić, były więzy z własnym ojcem, przemysłowcem, który zbił, nie zawsze najuczciwszymi metodami, fortunę pod koniec dziewiętnastego wieku. Jak utrzymywał mój ojciec, Gustaw Barceló był, formalnie rzecz biorąc, człowiekiem majątnym, antykwariat zaś był raczej pasją niż interesem. Kochał książki bezgranicznie i – choć stanowczo to dementował – jeśli zdarzało się, iż ktoś z odwiedzających jego księgarnię zakochał się w książce, której cena przekraczała jego możliwości, Barceló obniżał jej cenę do akceptowalnego poziomu, a nawet przekazywał w prezencie, jeśli uznał, że ma do czynienia z prawdziwym miłośnikiem książek, a nie przypadkowym dyletantem. A ponadto miał pamięć niezwykłą i ogrom wiedzy, których ani wygląd, ani pretensjonalne maniery nie mogły przyćmić, bo o czym jak o czym, ale o rzadkich książkach właśnie on, a nie kto inny, wiedział wszystko. Owego wieczoru, po zamknięciu księgarni, ojciec zaproponował mi, byśmy przeszli się do kawiarni Els Quatre Gats na ulicy Montsió, gdzie Barceló i jego koledzy spotykali się regularnie, gawędząc w gronie bibliofilów o przeklętych poetach,

martwych językach i arcydziełach oddanych na łaskę i niełaskę moli.

Els Quatre Gats znajdowała się rzut kamieniem od domu i było to jedno z moich najbardziej ulubionych miejsc w Barcelonie. Tam właśnie, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, poznali się moi rodzice, nie bez powodów więc przypisywałem urokowi tej starej kawiarni, przynajmniej po części, początek mej podróży ku życiu na tym świecie. Kamienne smoki strzegły fasady osaczonej nakładającymi się cieniami, a jej gazowe latarnie zatrzymywały w miejscu i czas, i wspomnienia. Wewnątrz lokalu goście współżyli z przeróżnymi echami z innych epok. Buchalterzy, marzyciele i czeladnicy dzielili stół z duchami Pabla Picassa, Isaaca Albeniza, Federica Garcii Lorki czy Salvadora Dali. Tutaj byle chłystek mógł czuć się przez chwilę ważną postacią historyczną za cenę kawy z odrobiną mleka.

– A kogóż to widzą moje oczy, witaj Sempere – zawołał Barceló, ujrawszy mego ojca – synu marnotrawny. Czemuż to zawdzięczamy ten niewątpliwy honor?

– Don Gustavo, ów zaszczyt zawdzięcza pan mojemu synowi Danielowi, który właśnie dokonał odkrycia.

– A to zapraszamy do naszego dostojnego grona, bo takie wydarzenie w pełni zasługuje, by je najodpowiedniej uczcić – oświadczył Barceló.

– Dostojnego grona? – szepnąłem do taty.

– Barceló uwielbia wysokie tony – burknął pod nosem ojciec. – Lepiej się nie wtrącaj, bo może mu to jeszcze bardziej dodać skrzydeł.

Współbiesiadnicy i uczestnicy tertulii zrobili nam miejsce przy stole, Barceló zaś, który uwielbiał błyszczeć w towarzystwie, już kilkakrotnie zdążył głośno podkreślić, że jesteśmy jego gośćmi.

– A ile kawaler liczy sobie lat? – spytał po chwili Barceló, dyskretnie taksując mnie wzrokiem.

– Prawie jedenaście – oznajmiłem.

Barceló zareagował szelmowskim uśmiechem.

– To znaczy dziesięć. Nie dodawaj sobie lat, kochaniutki, bo życie i tak ci ich nie oszczędzi.

Kilku stałych uczestników tych kawiarnianych dysput przytaknęło

z aprobatą. Barceló przywołał jednego z kelnerów, którego wyraz twarzy niechybnie przejęty został z galerii dowcipów rysunkowych.

– Koniak dla mego przyjaciela Sempere, ale koniak prawdziwy i oryginalny, a dla latorośli mleko z cynamonem i z pianką, bo musi urosnąć. Aha, i proszę podać jeszcze parę plasterów szynki, ale porządnej szynki, a nie takiej podeszwy jak ostatnio, tego typu wyrób zostawcie raczej szewcom – zagrzmiał antykwariusz.

Kelner kiwnął głową i odszedł, powłócząc nogami i duszą.

– A nie mówiłem? – skwitował księgarz. – Proszę bardzo, a niby skąd mają się brać nowe miejsca pracy, skoro w tym kraju ludzie, nawet po śmierci, nie odchodzą na emeryturę. Wystarczy popatrzeć na pierwszego lepszego z naszych licznych świętych. I nie ma mocnych.

Barceló zaciągnął się raz i drugi ze swej zgaszonej fajki, nie spuszczać bystrego oka z trzymanej przeze mnie książki. Pomimo kuglarskiej powierzchowności i nieopanowanego słowotoku potrafił wyczuć zdobycz tak, jak wilk wyczuwa zapach krwi.

– A teraz do rzeczy – powiedział z udawaną obojętnością. – Co też za skarb przynoszą mi panowie?

Spojrzałem na ojca. Skinął głową. Bez słowa i wstępnych ceregieli podałem książkę Barceló. Przejął ją ruchem wprawnego antykwariusza. Swymi palcami pianisty natychmiast sprawdził jej stan, jakość papieru, grzbietu i okładki. Obdarowując mnie swoim florenckim uśmiechem, szybko przeszedł na stronę redakcyjną, by poświęcić jej minutę badawczej, niemal śledczej, lektury. Zgromadzeni wokół stolika przypatrywali mu się w milczeniu, jakby oczekiwali cudu lub przyzwolenia na zacerpnięcie powietrza.

– Carax. Ciekawe – burknął nieprzeniknionym tonem.

Wyciągnąłem rękę, chcąc odzyskać książkę. Barceló zmarszczył brwi, ale oddał mi książkę z lodowatym uśmiechem.

– A gdzieżeś ją, chłopcze, znalazł?

– To tajemnica – odparłem, wyobrażając sobie, że w tym momencie ojciec skrycie się uśmiecha.

Barceló z kolei uniósł brwi i skierował wzrok na mojego ojca.

– Przyjacielu Sempere, przez wzgląd na pana osobę i na szacunek, jakim pana darzę, za zaszczyt mając sobie naszą wieloletnią, głęboką i, jak mniemam, braterską przyjaźń, proponuję dwieście peset i po

sprawie.

– To z moim synem musi pan rozmawiać – odparł ojciec. – To jego książka.

Barceló obdarzył mnie wilczym uśmiechem.

– Wobec tego, jaka jest twoja odpowiedź, młodzieńcze? Dwieście peset, jak na debiutancką transakcję to całkiem nieźle... Sempere, pańskiego syna czeka niezwykła kariera w tym interesie.

Zebrani przy stole zareagowali na jego żart śmiechem nieco wymuszonym. Barceló, przyglądając mi się z daleko idącą wyrozumiałością, sięgnął po skórzany portfel. Przeliczył dwieście peset, które wówczas stanowiły całkiem pokaźną kwotę, i wyciągnął ku mnie plik banknotów. W odpowiedzi tylko pokręciłem głową. Barceló uniósł brwi.

– Zważ, z łaski swojej, że zachłanność jest grzechem śmiertelnym, gdy bida piszczy – dodał. – No dobrze, proszę, oto trzysta peset i otwierasz sobie książeczkę oszczędnościową, bo w twoim wieku trzeba już zacząć myśleć o oszczędzaniu.

Ponownie pokręciłem głową. Barceló rzucił mojemu ojcu, poprzez swój monokl, gniewne spojrzenie.

– Na mnie proszę nie patrzeć – powiedział ojciec. – Jestem tu jedynie osobą towarzyszącą.

Barceló westchnął i zaczął mi się badawczo przyglądać.

– No, dobrze, dziecko, więc czego ty właściwie chcesz?

– Chcę się tylko dowiedzieć, kim jest Julián Carax i gdzie mogę odnaleźć inne jego książki.

Barceló zaśmiał się półgębkiem i doceniając adwersarza, schował portfel.

– No, Sempere, gratuluje, rośnie panu uczona sława co się zowie, czym go waść karmisz? – zażartował.

Księgarz nachylił się ku mnie poufale i przez moment zdawało mi się, że dostrzegam w jego spojrzeniu rodzaj szacunku, którego przed chwilą jeszcze nie było.

– Zawrzyjmy układ – powiedział. – Jutro po południu zajdziesz do biblioteki w Ateneo i zapytasz o mnie. Weź ze sobą książkę, chcę się jej dokładnie przyjrzeć, a ja opowiem ci, co wiem o Julianie Caraksie. *Quid pro quo.*

– *Quid pro co?*

– To łacina, chłopcze. Nie ma martwych języków, są tylko uśpione; umysły. A parafrazując, oznacza to, że nic za darmo, ale przypadłeś mi do gustu i wyświadczę ci przysługę.

Ów człowiek używał retoryki, która mogłaby zabić muchy w locie, ale uznałem, że jeśli chcę się czegoś dowiedzieć o Julianie Caraksie, lepiej być z nim w poprawnych przynajmniej stosunkach. Uśmiechnąłem się, okazując jak największy szacunek i podziw dla jego znajomości łaciny i wymowności.

– Pamiętaj: jutro w Ateneo – pożegnał się antykwariusz. – Ale przynieś książkę, bo inaczej uznam układ za zerwany.

– Tak jest.

Rozmowa, przytłumiona głosami pozostałych uczestników kawiarnianej dysputy, zaczynała powoli wygasać, by ustąpić miejsca głośnym rozważaniom na temat dokumentów odnalezionych w podziemiach Escorialu, z których zdawało się wynikać, że don Miguel de Cervantes był jedynie pseudonimem literackim włochoatego babsztyla z Toledo. Barceló błędził gdzieś myślami, nie biorąc udziału w bizantyńskiej dyskusji. Przyglądał mi się jedynie poprzez swój monokl, uśmiechając się przy tym skrycie. A może patrzył tylko na trzymaną przeze mnie książkę.

2

Owej niedzieli chmury ześlizgnęły się z nieba, pokrywając ulice mgiełką żaru, tak że wiszące na ścianach termometry pokrywały się kropelkami potu. W poobiedniej porze, gdy temperatura dochodziła już niemal do trzydziestu stopni, ruszyłem ku ulicy Canuda na spotkanie z Barceló w klubie Ateneo, trzymając pod pachą moją książkę i ocierając pot z czoła. Ateneo było wówczas – i wciąż jest – jednym z tych licznych w Barcelonie miejsc, gdzie wiek dziewiętnasty wciąż nie wie, że już jest historią. Z pałacowego dziedzińca wznosiły się kamienne schodki, prowadząc ku fantasmagorycznej konstrukcji galerii, sal bibliotecznych i czytelni, gdzie takie wynalazki jak telefon, pośpiech czy zegarek na rękę okazywały się futurystycznymi anachronizmami. Portier, a może była to tylko rzeźba w uniformie, nawet nie mrugnął okiem na mój widok. Wspiąłem się na pierwsze piętro, błogosławiąc w duchu skrzydła wentylatora, który powarkiwał nad drzemiącymi czytelnikami, rozpuszczającymi się niczym kostki lodu nad swoimi książkami i gazetami.

Sylwetka don Gustava Barceló odcinała się na tle okien galerii, wychodzących na ogród. Pomimo niemal tropikalnej atmosfery antykwa – riusz, jak zwykle, ubrany był w stylu staromodnego dandysa, a jego monokl świecił w ciemnościach niczym moneta w głębi studni. Dostrzegłem przy nim odzianą w strój z białej alpaki postać, która oczom moim jawiła się niczym anioł spływający z mgieł. Usłyszawszy moje kroki, Barceló odwrócił się i przywołał mnie gestem ręki.

– Danielu, bo masz na imię Daniel, nieprawdaż? – zapytał antykwariusz – przyniosłeś książkę?

Przytaknąłem raz i jeszcze raz i z wdzięcznością zająłem krzesło, które Barceló zaoferował mi obok siebie i tajemniczej towarzyszki. Przez kilka minut księgarz jedynie uśmiechał się łagodnie, nie zważając na moją obecność. Dość szybko straciłem nadzieję, że

przedstawi mnie owej białej damie. Barceló zachowywał się tak, jakby w ogóle jej tam nie było i żaden z nas nie mógł siłą rzeczy jej zobaczyć. Zerknąłem na nią ukradkiem, nie chcąc napotkać jej wzroku, który teraz błędził gdzieś daleko. Twarz i ramiona zdradzały bladą i tak delikatną skórę, iż wydawała się niemal przezroczysta. Pod osłoną czarnych, lśniących jak mokry kamień włosów kryła się twarz, jak zdołałem dostrzec, o ostrych, zdecydowanych rysach. Uznałem, że wygląda najwyżej na dwadzieścia lat, ale coś w jej postawie i przytłaczającym ją niemal fizycznie przygnębieniu kazało mi pomyśleć, że w tym przypadku trudno w ogóle mówić o wieku, bo wyglądała, jakby uwięziono ją w stanie wiecznej młodości, zastrzeżonym wyłącznie dla manekinów z luksusowych witryn. Usiłowałem właśnie wypatrzeć pulsujące tętno na smukłej szyi, gdy zdałem sobie sprawę, że Barceló przygląda mi się nader uważnie.

– Zatem powiesz mi, gdzie znalazłeś tę książkę? – zapytał.

– Chętnie bym to zrobił, ale przyrzekłem ojcu, że dotrzymam tajemnicy – odparłem.

– Właśnie widzę. Sempere i te jego sekrety – stwierdził Barceló. – Zresztą i tak się domyślam, skąd masz tę książkę. Chłopcze, szczęściarz z ciebie, bo to się nazywa znaleźć igłę w stogu siana. Pozwolisz, że ją przejrzę?

Podąłem mu książkę, Barceló zaś wziął ją ode mnie z nieskończoną delikatnością.

– Mam nadzieję, że ją już przeczytałeś?

– Oczywiście, proszę pana.

– Zazdroszczę ci. Jestem przekonany, że najlepszym czasem na czytanie Caraxa jest wiek, gdy ma się młode serce i myśli niewinne. Wiesz, że to jego ostatnia powieść?

Pokręciłem przecząco głową.

– A wiesz, Danielu, ile jest egzemplarzy tej książki na rynku?

– Z parę tysięcy, chyba.

– Ani jednego – stwierdził Barceló. – Poza twoim. Pozostałe zostały spalone.

– Spalone?

Za całą odpowiedź musiał mi wystarczyć jego nic niemówiący uśmiech, zajął się bowiem bez reszty książką, którą zaczął przeglądać

strona po stronie, przesuując dłonią po papierze, jakby miał do czynienia ze szczególnego rodzaju jedwabiem. Biała dama niespiesznie zwróciła się ku nam. Na jej ustach pojawił się nieśmiały i drżący uśmiech. Jej białe niczym marmur źrenice wpatrzone były w pustkę. Przełknąłem ślinę. Była niewidoma.

– Nie znasz, jak mniemam, mojej siostrzenicy Klary? – zapytał Barceló.

Zaprzeczyłem jedynie, nie będąc w stanie oderwać wzroku od tej istoty o twarzy porcelanowej laleczki i białych oczach, najsmutniejszych oczach, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Bo właśnie Klara jest specjalistką od Juliana Caraxa i dlatego przyprowadziłem ją ze sobą – powiedział Barceló. – W tej materii tak dalece czuję się przy niej ignorantem, że postanowiłem, iż za waszym pozwoleniem udam się do czytelnicy, by nacieszyć się tym egzemplarzem i przejrzeć go w miarę dokładnie, wy zaś w tym czasie będziecie mogli spokojnie porozmawiać o swoich sprawach. Mam waszą zgodę?

Spojrzałem nań oszołomiony. Antykwariusz, korsarz nad korsarze, nie czekając w ogóle na odpowiedź, poklepał mnie po plecach i odszedł z moją książką pod pachą.

– Zrobiłeś na nim wrażenie, wiesz? – usłyszałem za sobą głos.

Odwróciłem się i znalazłem na wprost siostrzenicy księgarza, trafiając na jej uśmiech, delikatny i rozchwiany jak wszystko, co nie jest pewne swego adresata. Głos miała krystaliczny, przejrzysty i tak kruchy, że odniosłem wrażenie, iż roztrzaskałaby się, gdybym jej przerwał lub wtrącił się nie w porę.

– Wujek powiedział mi, że zaoferował ci znaczną kwotę za książkę Caraxa, ale jej nie przyjąłeś – dodała Klara. – Zdobyłeś sobie jego szacunek.

– Na pewno nikt by nie przyjął – westchnąłem.

Zauważyłem, że uśmiechając się, Klara przechyla z wdziękiem głowę, jej palce zaś bawią się pierścieniem, który wygląda jak girlanda szafirów.

– Ile masz lat? – zapytała.

– Prawie jedenaście – odpowiedziałem. – A pani?

Klara zaśmiała się wobec mej zuchwałej naiwności.

– Niemal dwa razy więcej, ale to nie znaczy, że musisz od razu zwracać się do mnie per pani.

– Wygląda pani na młodszą – dodałem, intuicyjnie czując, że to może usprawiedliwić mój uprzedni nietakt.

– Muszę ci wierzyć na słowo, bo nie wiem, jak wyglądam – odparła ciągle ze swym półuśmiechem na wargach. – Ale jeśli wydaję ci się jeszcze młodszą, to tym bardziej powinienes zwracać się do mnie po imieniu.

– Jak pani sobie życzy, panno Klaro.

Przyjrzałem się dokładnie rozpostartym niby skrzydła dłoniom, spoczywającym na sukni, jej wiotkiej talii zarysowującej się pod fałdami alpaki, zarysowi ramion, niezwyklej bladości szyi i wypukłości warg, których bardzo chciałbym dotknąć. Nigdy dotąd nie miałem okazji przyjrzeć się kobiecie z tak bliska i tak dokładnie, bez obawy, że napotkam jej wzrok.

– Czemu się tak przyglądasz? – zapytała Klara, nie bez nutki złośliwości.

– Pani wuj twierdzi, że jest pani ekspertem od Juliana Caraxa – powiedziałem, byle coś rzec, z trudem przełykając ślinę.

– Och, wuj gotów jest powiedzieć cokolwiek, jeśli w zamian pozwoli mu się spędzić trochę czasu sam na sam z fascynującą go właśnie książką – odparła Klara. – Bądź łaskaw się zastanowić, jak ktoś może być specjalistą od książek, których nie może czytać, bo jest niewidomy.

– No właśnie, nie pomyślałem o tym.

– Jak na niespełna jedenastolatka całkiem nieźle sobie radzisz z kłamstwami. Ale uważaj, bo skończysz jak mój wuj.

Obawiając się, że znowu popełnię jakiś nietakt, tym razem nie odpowiedziałem już nic, tylko oszołomiony, wciąż jej się przyglądałem.

– No, dobrze, podejdź – powiedziała.

– Proszę?

– No podejdź, nie bój się. Przecież cię nie zjem.

Wstałem i zbliżyłem się do Klary. Siostrzenica księgarza w poszukiwaniu mojej dłoni uniosła prawą rękę. Nie bardzo wiedząc, jak mam postąpić, podszedłem bardzo blisko i podałem ją. Chwyciła mnie

lewą ręką i jednocześnie podała w milczeniu prawą. Instynktownie zrozumiałem, o co jej chodzi, i skierowałem jej dłoń ku swej twarzy. Dotyk był zdecydowany i delikatny zarazem. Jej palce przebiegły po moich skroniach i policzkach. Nie ruszałem się, nie śmiałem niemal oddychać, podczas gdy Klara czytała swoimi dłońmi rysy mojej twarzy. I uśmiechała się do siebie, a ja dostrzec mogłem, że usta jej rozchylają się jakby w szepcie. Poczułem muśnięcie jej palców na czole, włosach i na powiekach. Zatrzymała się na moich wargach, zarysowując je w milczeniu palcem wskazującym i serdecznym. Jej palce pachniały cynamonem. Przełknąłem ślinę, czując, jak tętno rośnie mi gwałtownie, i dziękując opatrznosci, że nikt nie jest świadkiem tego, jak moja twarz powleka się rumieńcem, od którego można było spokojnie zapalić cygaro.

3

Tego właśnie dnia pełnego mgły i mżawki Klara Barceló skradła mi serce, zabrała oddech i sen. W magicznym świetle lamp Ateneo jej dłonie wypaliły na mojej skórze piętno przekleństwa, które miało prześladować mnie latami. I podczas gdy ja nie byłem zdolny oderwać od siostrzenicy księgarza swego cieleącego wzroku, Klara opowiedziała mi swoją historię o tym, jak również przypadkiem natrafiła na strony Juliana Caraxa. Miało to miejsce w jednym z prowansalskich miasteczek. Jej ojciec, ceniony adwokat, związany z gabinetem katalońskiego prezydenta Companysa, miał oczywiste przecucie, że z początkiem wojny lepiej wysłać żonę z córką do siostry mieszkającej po drugiej stronie granicy. Choć nie brakowało i takich, którzy uznali to za grubą przesadę, bo przecież w Barcelonie nic specjalnego się nie zdarzy, a w Hiszpanii, będącej kolebką i perłą w koronie chrześcijańskiej cywilizacji, barbarzyństwo to rzecz anarchistów, a ci oczywiście, na tych swoich rowerach i w tych swoich pocerowanych skarpetkach, daleko nie zajadą. Lud nigdy nie przygląda się sobie w lustrze, powtarzał często ojciec Klary, a już zwłaszcza bardziej wtedy, gdy ludowi tylko wojna w głowie. Adwokat potrafił interpretować historię i wiedział, że przyszłości należy wypatrywać raczej na ulicach, w zakładach pracy i w koszarach niż w porannej prasie. Przez szereg miesięcy pisał do nich co tydzień. Najpierw ze swej kancelarii na ulicy Diputaci6n, następnie nie podając już adresu zwrotnego, wreszcie, po kryjomu, z celi zamku na Montjuic , gdzie nikt nie widział, jak wchodził i skąd już nigdy nie wyszedł. Jak tylu innych.

Matka Klary czytała listy na głos, nieumiejętnie tłumiąc płacz i przeskakując całe akapity, których istnienie córka i tak wyczuwała. Później, o północy, Klara prosiła swą kuzynkę Claudette, by ta ponownie czytała jej listy od ojca, już bez matczynych skrótów. I takie właśnie, dzięki pożyczonym oczom, było czytanie Klary. Nikt nigdy nie

widział, by uroniła choć jedną łzę, ani wtedy, gdy przestali otrzymywać listy, ani gdy wiadomości wojenne skłaniały jedynie do tego, by przeczuwać wszystko, co najgorsze.

– Mój ojciec od początku wiedział, czym się to wszystko skończy – wyjaśniła Klara. – Trwał u boku swych przyjaciół, bo sądził, że taki jest jego obowiązek. Zabiła go lojalność wobec ludzi, którzy, gdy nadeszła ich godzina, zdradzili go. Nigdy nikomu nie ufaj, Danielu, a tym bardziej ludziom, których podziwiasz. Bo nie kto inny, a właśnie oni zadadzą ci najboleśniej rany.

Wymawiała te słowa twardo i z mocą zahartowaną przez lata tajemnicy i cienia. Zatraciłem się w jej porcelanowym spojrzeniu, w oczach bez łez i oszustw, słuchając, jak mówi o sprawach, których wówczas nie rozumiałem. Klara opisywała osoby, dekoracje i przedmioty, których nigdy nie widziała, z wyczuciem szczegółu i precyzją godną mistrza szkoły flamandzkiej. Jej język był dźwiękiem samym w sobie, echem, barwą głosów, rytmem kroków. Opowiadała mi, jak podczas wieloletniego pobytu na wygnaniu we Francji ona i jej kuzynka Claudette miały prywatnego wychowawcę i nauczyciela, pięćdziesięcioletniego pijaczka z literackimi pretensjami, który chełpił się recytowaniem *Eneidy* Wergiliusza w oryginale, bez akcentu, a którego przeżywały Monsieur Roquefort z powodu szczególnej woni wydawanej przez jego ciało, pomimo wody kolońskiej i perfum, jakimi zlewał swą pantagrueliczną postać. Monsieur Roquefort, mimo swych nader osobliwych cech (wśród których wyróżniało się głębokie i niezachwiane przekonanie, że wędliny, szczególnie zaś kaszanka, które Klarze i jej matce przesyłała rodzina z Hiszpanii, są cudownym lekarstwem na problemy z krążeniem i na podagrę), był człowiekiem o wysublimowanych gustach. Od młodości jeździł co miesiąc do Paryża, by tam zaspokoić swój głód kultury ostatnimi nowościami literackimi, zwiedzaniem muzeów i, jak głosiły plotki, spędzeniem wyjazdowej nocy w ramionach nimfy, którą zwał Madame Bovary, choć na imię miała Hortense, a jej twarz cechowała skłonność do pokrywania się zbytnim zarostem. Podczas swych kulturalnych ekspedycji Monsieur Roquefort zwykł odwiedzać stoisko z używanymi książkami naprzeciw katedry Notre Dame i tam właśnie, przypadkiem, natrafił pewnego popołudnia tysiąc dziewięćset

dwudziestego dziewiątego roku na powieść nieznanego autora, niejakiego Juliana Caraxa. Zawsze otwarty na nowości, Monsieur Roquefort nabył książkę przede wszystkim ze względu na sugestywny tytuł, a zwykł zawsze czytać w podróży powrotnej pociągiem coś lekkiego. Powieść nosiła tytuł *Czerwony dom*, a z tyłu na okładce zamieszczony był niewyraźny wizerunek autora, może fotografia albo szkic węglem. Sądząc z notki biograficznej, Julián Carax był młodym, dwudziestosiedmioletnim autorem, urodzonym z początkiem wieku w Barcelonie, mieszkającym w Paryżu i piszącym po francusku, zawodowo zaś parającym się grą na pianinie w nocnych lokalach. Tekst na okładce, pompatyczny i tracący myszką, w ówczesnym stylu głosił dosyć bezbarwną prozą, że jest to debiutanckie dzieło o niezwykłych walorach, ujawniające wielostronny i nieprzeciętny talent, niemający równych pośród siebie współczesnych, i wielka nadzieja literatury europejskiej. Z następującego po tej notce streszczenia wynikało, że opowieść zawierała pewne elementy nawiązujące do powieści gotyckiej i powieści odcinkowej, co w oczach Monsieur zwykle stanowiło zaletę, dla niego bowiem tym, co najbardziej, poza klasykami, odpowiadało jego gustom, były powieści kryminalne i romanse.

Czerwony dom opowiadał o burzliwym życiu tajemniczego osobnika, który obrabowywał sklepy z zabawkami i muzea, a skradzionym lalkom i marionetkom wydłubywał oczy, by następnie przenieść je do swego domu, opuszczonego ogrodu zimowego na brzegu Sekwany. Pewnej nocy bohater nasz zakradł się do wytwornej rezydencji w alei Foix, by przetrzebić kolekcję lalek należącą do magnata, który w epoce rewolucji przemysłowej dorobił się fortuny w wyniku ciemnych interesów. I zrządził los, że w tym właśnie rabusiu zakochała się córka owego magnata, panna z wyższych paryskich sfer, ocytana i obdarzona nader wyrafinowanym gustem. W miarę pogłębiania się tego pogmatwanego romansu, niepozbawionego mało budujących epizodów i dość mrocznych szczegółów, bohaterka dochodziła z jednej strony do strasznego sekretu, który pchał naszego enigmatycznego i bezimiennego przez cały czas bohatera do tego, by oślepiac lalki, z drugiej zaś odkrywała okrutną tajemnicę swego ojca i

jego kolekcji porcelanowych figurek, co doprowadzało w finale do przerażającej gotyckiej tragedii.

Monsieur Roquefort, zaprawiony w bojach literackich długodystansowiec, chełpiący się ponadto sporą kolekcją listów adresowanych doń przez wszystkich paryskich wydawców, po kolei odrzucających przesyłane przezeń uparcie tomy wierszy i prozy swego autorstwa, zidentyfikował wydawnictwo, które opublikowało tę powieść. Okazało się, iż jest to niewielki i mało znaczący edytor, obecny na rynku raczej jako wydawca książek kucharskich, kursów kroju i szycia i tym podobnych poradników dla pań domu. Właściciel kramu z używanymi książkami opowiedział mu, że powieść dopiero co się ukazała, ale już doczekała się, w dwóch wychodzących poza Paryżem dziennikach, krótkich recenzji zamieszczonych obok działu nekrologów. Obaj recenzenci załatwili całą rzecz szczerze i bez mydlenia komukolwiek oczu, radząc debiutantowi Caraxowi, by za żadne skarby nie rozstawał się ze swym zawodem pianisty, bo w literaturze bez cienia wątpliwości nie ma czego szukać. Monsieur Roquefort, któremu miękło serce i otwierał się portfel wobec próżnych trudów, spraw daremnych i z góry przegranych, postanowił zainwestować pół franka i wziął ze sobą ową powieść niejakiego Caraxa, przy okazji nabywając rzadką edycję wielkiego mistrza, którego czuł się zapoznanym, jak na razie, uczniem, to znaczy Gustawa Flauberta.

Pociąg do Lyonu był tak zatłoczony, iż Monsieur Roquefort musiał, acz niechętnie, spędzić podróż w przedziale drugiej klasy, z dwiema zakonnkami, które ledwo ostatni wagon opuścił dworzec Austerlitz, zaczęły rzucać w stronę swego współpasażera spojrzenia nieskrywanego potępienia i wymieniać szeptem mało życzliwe, chyba, uwagi. Wobec tak oczywistych oznak niechęci nauczyciel postanowił sięgnąć do teczki po nabytą niedawno powieść i schronić się w okopach jej stron. Jakież było jego zaskoczenie, kiedy setki kilometrów później uświadomił sobie, że całkiem zapomniał o siostrach, o kołysaniu pociągu i o pejzażu, który przesunął się, jak zły sen braci Lumiere, za oknami. Czytał całą noc, zupełnie nie reagując na chrapanie zakonnicek i uciekające w tył stacje kolejowe spowite

mgłą... Przewracając ostatnią stronę, Monsieur Roquefort spostrzegł się, że już świta, a on sam ma w oczach łzy, serce zaś zatrute zazdrością i zarazem przepełnione podziwem.

Tego samego dnia Monsieur Roquefort zadzwonił do paryskiego wydawnictwa, by uzyskać bliższe informacje o Julianie Caraksie. Wreszcie, bo musiał kilkakrotnie próbować, telefonistka o astmatycznym oddechu i głosie pełnym bezinteresownej złośliwości raczyła mu odpowiedzieć, że nieznany im jest adres pana Caraxa, zresztą ten pan nie ma już żadnych kontaktów z wydawcą, i że *Czerwonego domu* sprzedało się dokładnie siedemdziesiąt siedem egzemplarzy, w większości nabytych, przypuszczalnie, przez panienki wiadomego prowadzenia i innych stałych klientów lokalu, w którym autor za marny grosz tłukł nokturny i polonezy. Reszta nakładu została zwrócona i przerobiona na masę papierową, z której można drukować mszały, książeczki z mandatami i loteryjne losy. Nędzny los tajemniczego autora ostatecznie zjednał mu sympatię Monsieur Roqueforta. Przez następne dziesięć lat, podczas każdego kolejnego pobytu w Paryżu zachodził do wszystkich możliwych antykwariatów w poszukiwaniu innych dzieł Juliana Caraxa. I żadnej innej książki nigdy nie znalazł. O autorze nikt prawie nie słyszał, niektórym ledwie coś się o uszy obilo, więc wiedzieli o nim tyle, co nic. Byli i tacy, którzy twierdzili, że Carax opublikował jeszcze parę książek, za każdym razem w mało znaczącym wydawnictwie i w śmiesznych nakładach. Książek tych, o ile w ogóle istniały, nie sposób było znaleźć. Jeden z księgarzy zapewniał, iż zdarzyło mu się mieć w rękach egzemplarz powieści Juliana Caraxa noszącej tytuł *Złodziej katedr*, ale już dawno temu, zresztą i tego do końca nie był pewien. Pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku dotarła do Monsieur Roqueforta wieść, że nowa powieść Juliana Caraxa, *Cień wiatru*, została opublikowana przez małe, paryskie wydawnictwo. Napisał do wydawnictwa, by nabyć wiele egzemplarzy. Nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Następnego roku, wiosną trzydziestego szóstego, jego stary znajomy i właściciel kramu z książkami znad Sekwany zapytał go, czy Carax nadal go interesuje. Monsieur Roquefort stwierdził, że nigdy się nie poddaje. To już był czysty upór: być może wszyscy upierali się, by pogrzebać Caraxa w zapomnieniu, ale Monsieur

Roquefort nie miał najmniejszej ochoty ich naśladować. Znajomy bukinista wyjawiał mu, że parę tygodni temu pojawiła się plotka z Caraxem w roli głównej. Wyglądało na to, że wreszcie szczęście się do Pisarza uśmiechnęło. Miał ożenić się z dobrze sytuowaną damą i, po wielu latach milczenia, wydał nową powieść, która, pierwsza z jego książek, doczekała się wreszcie pochlebnej recenzji, i to w „Le Monde”. Ale właśnie wtedy, kiedy zdawało się, iż Caraxowi zaczęły wiać pomyślne wiatry, opowiadał księgarz, pisarz wplątał się nieoczekiwanie w jakiś pojedynek na cmentarzu Père – Lachaise. Okoliczności całej tej historii nie były całkiem jasne. Wiadomo tylko, że pojedynek odbył się o świcie, w dniu, w którym Carax miał zawrzeć ślub, ale pan młody nie przybył w ogóle do kościoła.

Komentowano to na wszystkie możliwe sposoby: jedni uważali, że w tym pojedyнку został zabity, a zwłoki jego wrzucono do wspólnej mogiły; inni, bardziej optymistyczni, skłonni byli sądzić, że Carax, zamieszany w jakieś ciemne sprawy, musiał porzucić czekającą nań przy ołtarzu pannę młodą i uciekać z Paryża, by wrócić do Barcelony. Bezimienny grób nie został nigdy odnaleziony, a nieco później zaczęła krążyć odmienna wersja: Julián Carax, złamany kolejnymi nieszczęściami, zmarł w swym rodzinnym mieście w skrajnej nędzy. Dziewczyny z burdelu, gdzie grał na pianinie, zebrały pieniądze, by sprawić mu w miarę przyzwoity pochówek. Kiedy dotarł przekaz pocztowy, zwłoki zostały już pochowane w masowym grobie, razem z ciałami żebraków, bezimiennych topielców wypływającymi na portowych wodach i zmarłych z zimna na schodach metra.



Choćby tylko po to, żeby zrobić na przekór innym, Monsieur Roquefort nie zapomniał o Caraksie. Jedenaście lat po odkryciu Czerwonego domu postanowił pożyczyć tę powieść swoim dwóm uczennicom, z nadzieją, iż być może ta dziwna książka skłoni je do nabrania nawyku czytania. Klara i Claudette były wówczas dwiema piętnastolatkami, z kipiącą od hormonów krwią, podczas gdy przez okna pokoju do nauki świat zachęcająco puszczał do nich oko. Jak dotąd, mimo wysiłków ich nauczyciela, dziewczęta okazywały się

odporne na urok klasyków, bajek Ezopa czy nieśmiertelnego rytmu wiersza Dantego. Monsieur Roquefort, lękając się, iż obowiązujący kontrakt może nie zostać przedłużony, gdy matka Klary odkryje, iż cała jego dotychczasowa praca dydaktyczna doprowadziła, jak na razie, do wyedukowania jedynie dwóch analfabetek z fiu – bździu w głowach, postanowił namówić je do przeczytania powieści Caraxa, mówiąc, że jest to historia miłosna, z gatunku „wyciskacz łez”, co było tylko do pewnego stopnia prawdą.

4

Nigdy żadna historia tak mnie nie porwała i nie oczarowała jak historia opowiedziana w tej książce – tłumaczyła Klara. – Do tej pory lektury były dla mnie wyłącznie obowiązkiem, czymś w rodzaju trybutu, jaki należało płacić nauczycielom i wychowawcom, bez zastanawiania się zresztą z jakiego tytułu. Przyjemność czytania, przekraczania tych drzwi, jakie otwierają ci się w duszy, całkowitego poddania się wyobraźni, pięknu i tajemnicy fikcji i języka, wszystko to było mi dotąd nieznane i obce. A zaistniało dla mnie razem z tą powieścią. Całowałeś się już, Danielu, z dziewczyną?

Dech mi odebrało, poczułem nagłą suchość w ustach.

– No tak, jesteś jeszcze za młody. Ale to jest właśnie takie samo wrażenie, iskra tego pierwszego razu, którego nigdy się nie zapomina. Świat wokół nas jest światem cieni, Danielu, a magii w nim za grosz. Ta książka nauczyła mnie, że czytać to bardziej żyć, to żyć intensywniej, że czytanie może przywrócić wzrok, który straciłam. I to wystarczyło, by książka, która nikogo nie obchodziła, odmieniła moje życie.

W tym właśnie momencie poczułem się malutkim i głupim gapciem na łasce i niełasce tej istoty, której słowom i urokom nie miałem już ani jak, ani po co się opierać. Marzyłem tylko o tym, by nie przestawała mówić, by jej głos zawsze mnie dochodził, a jej wuj został na zawsze tam, gdzie był, i nie psuł owej tylko do mnie należącej chwili.

– Przez lata szukałam innych książek Juliana Caraxa – kontynuowała Klara. – Pytałam w bibliotekach, w księgarniach, w szkołach..., na próżno. Nikt nigdy nie słyszał ani o nim, ani o jego książkach. Nie mogłam tego zrozumieć. W jakiś czas później dotarła do Monsieur Roqueforta dziwna historia o osobniku, który chodził po wszystkich księgarniach i bibliotekach w poszukiwaniu dzieł Juliana Caraxa i jeśli na nie trafiał, to je kupował, kradł lub też zdobywał w

jakikolwiek inny sposób, by następnie od razu je spalić. I nikt nie wiedział, kto zaczął i dlaczego to robi. Jakby za mało było tych tajemnic wokół Juliana Caraxa, po pewnym czasie moja matka postanowiła wrócić do Hiszpanii. Była chora, a jej domem i światem zawsze była Barcelona. Ja ze swej strony po cichu żywiłam nadzieję, że właśnie tutaj będę mogła wreszcie dowiedzieć się czegoś więcej o Caraksie, bo jedno jest pewne, że przecież tu, w Barcelonie, się urodził i stąd zniknął na zawsze z początkiem wojny. I choć mogłam liczyć na pomoc wuja, wszystkie ślady, na jakie natrafiałam, prowadziły donikąd. Mojej matce również nie udało się jej własne poszukiwania. Barcelona, do której wróciła, nie była już tą Barceloną, którą kiedyś opuściła. Teraz było to miasto tonące w mrokach, miasto już bez mojego ojca, a jednak ciągle jeszcze przesycone pamięcią o nim, wspomnieniami obecnymi w każdym zakątku. Miasto roztaczające niezapomniany urok przeszłości. Tak jakby mało jej było beznadziei, uparła się wynająć jakiegoś człowieka, by zbadał, co naprawdę stało się z moim ojcem. Po trzech miesiącach dochodzenia ów prywatny detektyw mógł się wykazać jedynie zepsutym zegarkiem i nazwiskiem człowieka, który zabił mojego ojca w kazamatach zamku Montjuïc. A brzmiało ono: Fumero, Javier Fumero. Powiedziano nam, że osobnik ten, jak wielu innych, zaczynał jako bojówkarz Federacji Anarchistów Iberyjskich, że flirtował z anarchistami, komunistami i faszystami, wszystkich oszukując, sprzedając swe usługi temu, kto da więcej, i że po upadku Barcelony przeszedł na stronę zwycięzców, wstępując do policji. Dziś jest sławnym inspektorem, uhonorowanym różnymi odznaczeniami. Mojego ojca nikt już nie pamiętał. Pewnie się domyślasz, że matka zgasła w ciągu kilku miesięcy. Lekarze powiedzieli, że to serce i chyba się, jak rzadko, nie pomylili. Po śmierci mamy przygarnął mnie wuj Gustaw, jedyny krewny, jaki został w Barcelonie. Uwielbiałam go, bo zawsze, gdy nas odwiedzał, przynosił mi książki w prezencie. Był moją jedyną rodziną i najlepszym przyjacielem przez wszystkie te lata. Choć możesz go postrzegać, tak jak go pewnie postrzegasz, czyli jako aroganta, w rzeczywistości to człowiek gołębiego serca. Każdego wieczoru, choćby nie wiadomo jak padał ze zmęczenia, zawsze mi czyta.

– Ja mógłbym pani czytać, gdyby oczywiście pani chciała –

zaoferowałem się skwapliwie, załując natychmiast własnej zuchwałości i przekonany, że dla Klary moje towarzystwo oznaczać mogło jedynie nudę, w najlepszym razie nieporozumienie.

– Dziękuję, Danielu – odparła. – Sprawiłoby mi to wielką radość.

– Jestem do pani usług.

Skinęła powoli głową, szukając mnie swoim uśmiechem.

– Niestety, nie mam owego egzemplarza Czerwonego domu – rzekła. – Monsieur Roquefort stanowczo odmówił rozstania się z nim. Mogłabym spróbować ci ją streścić, ale to byłoby tak, jak opisać katedrę, mówiąc, że to zwężająca się stromo ku górze kupa kamieni.

– Na pewno opowiedziałaby to pani inaczej i lepiej, jestem przekonany – wymamrotałem.

Kobiety obdarzone są niezawodnym instynktem, dzięki któremu natychmiast wiedzą, kiedy dany mężczyzna traci dla nich głowę, tym bardziej jeśli ów mężczyzna jest całkowitym, w dodatku niepełnoletnim, głupcem. Klara Barceló mogła najspokojniej w świecie posłać mnie do wszystkich diabłów, ja wolałem jednak wierzyć w to, że jej status osoby niewidomej stwarza mi swoisty margines bezpieczeństwa, dzięki któremu moja zbrodnia, całkowite i bezgraniczne uwielbienie dla kobiety dwukrotnie ode mnie starszej, dwukrotnie inteligentniejszej i wyższej, pozostanie jednak niezauważona. Zastanawiałem się, co takiego Klara dostrzegła we mnie, że zaoferowała mi przyjaźń; może jakieś odbicie samej siebie, nikły pogłos samotności i zagubienia. W moich szczeniackich snach mieliśmy być zawsze parą uciekinierów, galopujących na grzbiecie książki, gotowych gnać przed siebie poprzez światy fikcji i marzeń z drugiej ręki.

Kiedy Barceló wrócił do nas ze swym nieodłącznym kocim uśmiechem na ustach, minęły dwie godziny, które mnie wydały się zaledwie dwiema minutami. Księgarz wyciągnął ku mnie książkę i mrugnął porozumiewawczo.

– Sprawdź ją dokładnie, żeby nie było później, że ci ją podmieniłem.

– Ufam panu całkowicie – stwierdziłem.

– Naiwnych nie sieją. Ostatniemu delikwentowi, który takimi słowami mnie Potraktował (oczywiście jankeski turysta, przekonany, że

to Hemingway wymyślił sangrię podczas pamplońskich obchodów ku czci świętego Fermina), sprzedałem *Owczę źródło* z autografem, który złożył nie kto inny jak sam mistrz Lope de Vega, własnoręcznie oczywiście i długopisem, wyobraź sobie, więc kochaniutki lepiej uważaj, bo w naszym książkowym interesie nie należy ufać nawet spisowi treści.

Zmierzchało, gdy wychodziliśmy z budynku przy ulicy Canuda. Świeża bryza przeczesywała miasto, więc Barceló zdjął z siebie palto, by okryć nim ramiona Klary. Z braku lepszego pomysłu rzuciłem niby mimochodem, że jeśli nie mają nic przeciw temu, mogę ich jutro odwiedzić i przeczytać Klarze parę rozdziałów *Cienia wiatru*. Barceló spojrział na mnie kątem oka i parsknął krótkim sarkastycznym śmiechem.

– Chłopcze, czy ty wiesz, w jaką kabałę się wplątujesz? – wycedził po chwili, choć ton wypowiedzi wskazywał raczej na zadowolenie.

– Jeśli to nie po państwa myśli, mogę przyjść kiedy indziej...

– Decyzja należy do Klary – odparł księgarz. – W mieszkaniu mamy już siedem kotów i dwie kakadu. Jeden okaz więcej, jeden mniej nie robi nam różnicy.

– Wobec tego czekam na ciebie około siódmej – stwierdziła Klara.
– Znasz adres?

5

Był taki czas w latach mojego dzieciństwa – i być może wynikało to z tego, że dorastałem pośród książek i księgarzy – gdy postanowiłem, iż zostanę powieściopisarzem i będę żyć jak w melodramacie. A bezpośrednią przyczyną ówczesnych marzeń o karierze literackiej, prócz tej cudownej naiwności, z jaką postrzega się wszystko w wieku pięciu lat, było arcydzieło precyzji i sztuki rzemieślniczej leżące na wystawie sklepu z wiecznymi piórami na ulicy Anselmo Clave, tuż za siedzibą regionalnego dowództwa wojskowego. Obiekt moich westchnień, wytworne czarne pióro ozdobione Bóg wie iloma zakrętami i ozdobnikami królowało w oknie wystawowym, jakby stanowiło najcenniejszy klejnot skarbu koronnego. Stalówka, sama w sobie stanowiąca już cudo nad cudami, była okazem barokowego szaleństwa ze srebra, złota i tysiąca krzywizn, świetlistym niczym aleksandryjska latarnia. Gdy wychodziliśmy z ojcem na spacer, zamęczałem go i zanudzałem, dopóki w geście ostatecznej rezygnacji nie wędrował ze mną znowu i znowu pod okno wystawowe z wiecznym piórem. Ojciec zwykł mawiać, że pióro to musiało należeć co najmniej do imperatora. Ja, w głębi ducha, byłem przekonany, że posiadając takie cudo, wszystko jest się w stanie napisać, od powieści po encyklopedię, a nawet listy, zdolne pokonać wszelkie pocztowe granice. W swej naiwności wierzyłem, iż to, co tym piórem napiszę, dotrze wszędzie, nawet do owego niepojętego miejsca, do którego, jak mawiał tata, odeszła mama, by nigdy już stamtąd nie powrócić.

Kiedyś nawet zaszliśmy do sklepu, by zapytać o ów cenny eksponat. Ukazało się, że pióro to, pośród innych władca absolutny, Montblanc Meisterstück, z numerowanej serii, w swoim czasie należało – a przynajmniej tak solennie zapewniał ekspedient – ni mniej, ni więcej tylko do samego Victora Hugo. Spod stalówki tego właśnie pióra, poinformowano nas, wypłynął rękopis Nędzników.

– Tak jak woda mineralna Vichy Catalan wypływa ze źródła Caldas

– stwierdził ekspedient.

Wyznał, że nabył je osobiście od przybyłego z Paryża kolekcjonera, upewniwszy się oczywiście uprzednio co do autentyczności pióra.

– A jaka jest cena owego źródła cudowności, jeśli tego oczywiście/nie okrywa tajemnica? – zapytał mój ojciec.

Ledwie usłyszał kwotę, krew cała uszła mu z twarzy, ale ja byłem już gotów na wszystko. Ekspedient, biorąc nas może za ekspertów skomplikowanych urządzeń mechanicznych, przystąpił do zagmatwanego wykładu z dziedziny stopów metali szlachetnych, wyrafinowanej ornamentyki Dalekiego Wschodu i rewolucyjnej teorii tłoków i naczyń połączonych, prezentując tym samym tajemną część teutońskiej wiedzy stanowiącej fundament sławnej kreski tego przodującego produktu technologii graficznej. Z drugiej jednak strony, co mu się chwali, choć wyglądaliśmy na takich, co groszem nie śmierdzą, pozwolił nam do woli poobracać piórem, specjalnie dla nas napełnił je atramentem i zaoferował mi kartkę eleganckiego papieru, bym mógł na niej napisać swoje imię i zainicjować tym samym swą literacką karierę, wspierając się, poniekąd, autorytetem Victora Hugo. Następnie, wytarłszy pedantycznie pióro szmatką, by ponownie nadać mu pełen blask, złożył je z powrotem na honorowym miejscu witryny.

– Może innym razem – wyszeptał mój ojciec.

Gdy opuściliśmy sklep, cichym głosem powiedział, że nie stać nas na takie pióro. Księgarnia zapewniała nam utrzymanie i opłacenie mojej szkoły. Montblanc boskiego Victora Hugo musiał poczekać. Nic nie odparłem, ale nie potrafiłem chyba ukryć swego rozczarowania.

– Może zrobimy inaczej – zaproponował. – Kiedy dorośniesz na tyle, że będziesz mógł pisać, wrócimy tu i kupimy to pióro.

– A jeśli ktoś kupi je wcześniej?

– Mowy nie ma, tego nikt wcześniej nie kupi, uwierz mi. A gdyby mimo wszystko udało się je komuś kupić, to też nie ma zmartwienia, oprosimy don Federica, by nam zrobił takie pióro, przecież don Federico to złota rączka, co ja ci będę mówić.

Don Federico, nasz osiedlowy zegarmistrz, być może nie był najczęstszym klientem naszej księgarni, ale na pewno był klientem wiernym i przypuszczalnie najkulturalniejszym i najlepiej wychowanym człowiekiem na całej zachodniej półkuli. Sława o jego

złotych rączkach rozciągała się od dzielnicy Ribera aż po targowisko Ninot. Niestety ciągnęła się za nim również inna, mniej chwalebna, sława, związana z jego erotyczną słabością do muskularnych efebów z najbiedniejszych dzielnic i z nadmierną skłonnością do strojenia się a la kabaretowa diwa.

– Pióro nie zegarek, chłopak nie dziewczyna i don Federicowi może się nie udać – z całą naiwnością obstawałem przy swoim.

Ojciec zmarszczył brwi, jakby obawiając się, że złośliwe plotki o zegarmistrzu zdążyły już nadwyrężyć moją dziecięcą niewinność.

– Nic co niemieckie nie jest obce don Federicowi i jeśli będzie trzeba, to nawet i volkswagena sam zrobi. Zresztą mam wielką ochotę sprawdzić, czy w czasach Victora Hugo rzeczywiście istniały już pióra wieczne. A bo to mało cwaniaków kręci się po świecie.

Historyczny sceptycyzm ojca mało mnie obchodził. Ślepo wierzyłem w tę legendę, choć nie miałbym nic przeciwko temu, żeby don Federico zrobił mi takie pióro. Miałem przed sobą bardzo dużo czasu, by dorównać mistrzowi Hugo. Na szczęście i zgodnie z przepowiednią ojca, montblanc przez lata leżał na wystawie, przed którą w każdą sobotę rano stawaliśmy w nabożnym skupieniu.

– Jeszcze jest – mówiłem, nie wierząc własnym oczom.

– Cały czas czeka na ciebie – twierdził ojciec. – Bo wie, że któregoś dnia będzie twoje i że właśnie nim napiszesz arcydzieło.

– Ja chcę przede wszystkim napisać list. Do mamy. Żeby nie czuła się sama.

Tata przyjrzał mi się bez mrugnięcia okiem.

– Ona nie jest sama, Danielu. Jest z Bogiem. I z nami, choć nie możemy jej zobaczyć.

Z taką samą wykładnią zapoznał mnie w szkole również ojciec Vicente, wiekowy już jezuita, który zęby zjadł na wyjaśnianiu wszystkich tajemnic tego świata – od gramofonu po migrenę – cytując Ewangelię według świętego Mateusza, ale w ustach mego ojca brzmiało to tak, że nawet najpobożniejsi nie daliby temu wiary.

– A Panu Bogu do czego jest mama potrzebna?

– Nie wiem, ale w dniu, w którym przyjdzie nam się z Nim spotkać, nie omieszkamy Go o to zapytać.

Z czasem zrezygnowałem z zamiaru napisania listu, by przyjąć

tezę, iż jeśli już mam sposobić się do pisarskiego fachu, praktyczniej będzie zacząć od arcydzieła. Z braku pióra wiecznego musiałem pożyczyć od ojca ołówek firmy Staedtler, 2B, którym zacząłem coś skrobać w zeszycie. Moja opowieść, co ciekawe, krążyła wokół cudownego pióra, nieodbiegającego swym wyglądem od egzemplarza eksponowanego w witrynie, choć obdarzonego jeszcze cudownymi własnościami. Dokładniej zaś chodziło o to, że wcieliła się w nie umęczona dusza zmarłego z głodu i zimna pisarza, do którego przedtem owo pióro należało. Dostawszy się w ręce młodego literackiego czeladnika, pióro niezmiennie usiłowało przelać na papier ostatnie dzieło, którego autor nie mógł ukończyć za życia. Nie wiem, skąd ów pomysł zaczerpnąłem, czy też jak na ten pomysł wpadłem, wiem tylko, że już nigdy nie zdarzyło mi się mieć podobnego. Niemniej próby nadania mu jakiegoś literackiego kształtu skończyły się katastrofą. Moja składnia pozbawiona była całkowicie fantazji, a metaforyczne uniesienia przypominały znane mi z tramwajowych przystanków teksty reklam kąpieli perełkowych dla stóp. Winą za taki stan rzeczy obarczałem oczywiście ołówek, coraz silniej pragnąc wejść w posiadanie pióra, które miało ze mnie uczynić mistrza. Ojciec śledził moje, pozał się Boże, postępy z dumą i troską zarazem.

– Jak tam twoja opowieść, Danielu?

– Sam nie wiem. Gdybym miał pióro, chyba szłoby mi zupełnie inaczej.

Ojciec nie ukrywał, że tego rodzaju zdanie wygłosić może jedynie początkujący literat.

– Ty, bratku, nie poddawaj się tak szybko. Ja ci to pióro kupię, zanim skończysz swe debiutanckie dzieło.

– Słowo?

W odpowiedzi zawsze się uśmiechał. Na szczęście dla mojego ojca dość szybko odłożyłem na bok literackie ambicje, spychając je na obszar częściej gadaniny. Stało się to po części za sprawą odkrycia mechanicznych zabawek i wszelkiego rodzaju zdezelowanych urządzeń, które można było znaleźć na targu staroci Los Encantes po znacznie bardziej przystępnych cenach, odpowiednich na naszą kieszeń. Dziecięca pasja jest kapryśną i niewierną kochanką, więc nader szybko moje zainteresowania przeniosły się wyłącznie na

mechaniczne zabawki i nakręcane statki. Już nie prosiłem ojca, by zaprowadzał mnie przed witrynę z wiecznym piórem Victora Hugo, a i on już więcej o nim nie wspominał. Ów świat piór i literatury przestał dla mnie istnieć, choć przez długi czas w mojej pamięci tkwił obraz ojca, wymizerowanego mężczyzny, odzianego w stary i w o wiele nań za obszerny garnitur, w sfatygowanym kapeluszu kupionym za siedem peset w sklepie z używaną odzieżą na ulicy Condal, wizerunek człowieka, którego nie było stać na podarowanie synowi cholernego pióra wiecznego, które nikomu do niczego nie było potrzebne, ale znaczyło wszystko. Tej nocy, po powrocie z Ateneo, zastałem ojca czekającego na mnie w pokoju jadalnym, z wyrazem twarzy, który niezmiennie zdradzał zagubienie i tęsknotę.

– Już myślałem, że się tam pogubiłeś – powiedział. – Dzwonił Tomás Aguilar. Ponoć byliście umówieni. Zapomniałeś?

– To przez tego Barceló, bo tak potrafi zakręcić człowiekiem, że zapominasz, jak się nazywasz – odparłem, skinąwszy głową. – Nie bardzo wiedziałem, jak mam mu się wywinąć.

– To dusza człowiek, ale rzeczywiście potrafi czasem zamęczyć. Pewnie głodny jesteś. Merceditas przyniosła nam trochę zupy, którą ugotowała dla swojej mamy. Ta dziewczyna to szczerze złoto.

Siedliśmy do stołu, by zakosztować miłosierdzia Merceditas, córki sąsiadki z trzeciego piętra, dziewczyny, która zdaniem wielu, jeśli nie wszystkich, lada chwila miała przywdziać suknię zakonną i zostać świętą, ja jednak na własne oczy, i to kilka razy, widziałem, jak obcałowywała odprowadzającego ją czasami aż do bramy kamienicy marynarza o wszędobylskich łapskach.

– Jakiś nieswój jesteś – powiedział, ot tak, żeby zacząć rozmowę.

– Może to ta wilgoć, od której, jak twierdzi Barceló, mózg się lasuje.

– Nie, nie, to chyba coś więcej. Coś cię gryzie, Danielu?

– Nie, skądże. Myślałem tylko.

– O czym?

– O wojnie.

Ojciec pokiwał smutno głową i w milczeniu zaczął jeść zupę. Był człowiekiem powściągliwym i choć żył przeszłością, nigdy jej nie przywoływał. Dorastałem w przeświadczeniu, że owa vegetacja lat

powojennych, świat spokoju, nędzy i skrętnie skrywanych lęków, jest czymś tak normalnym jak spływająca z kranu woda i że ów niemy smutek, jakim krwawiły mury zranionego miasta, to rzeczywisty i prawdziwy wizerunek duszy Barcelony. Jedną z pułapek dzieciństwa polega na tym, że nie trzeba rozumieć, by czuć! Kiedy rozum zdolny jest pojąć, co się wydarzyło, rany w sercu są już zbyt głębokie. Owej, dopiero co zapowiadającej lato nocy, wędrując w ciemnym i zdradzieckim zmierzchu Barcelony, nie byłem w stanie wymazać z pamięci opowieści Klary o zaginięciu jej ojca. W moim świecie śmierć była niewidzialną i niepojętą ręką, domokrążcą zabierającym ze sobą matki, żebraków lub wiekowych sąsiadów, jakby byli uczestnikami jakiejś piekielnej loterii. Nie mieściło mi się w głowie, że śmierć może być obok mnie, mieć ludzką twarz i serce zatrute nienawiścią, że może być ubrana w mundur lub płaszcz gabardynowy, stać w kolejce do kina, śmiać się w barach lub prowadzić rano dzieci na spacer do parku Ciudadela, a po południu doprowadzać do całkowitego zniknięcia ludzi w kazamatach zamku na Montjuïc lub w zbiorowym grobie, bezimiennie, bez ceremoniału. Gdy rozmyślałem o tym, przyszło mi nagle do głowy, że być może ów świat z papier mache, przeze mnie uznawany za rzeczywisty, był jedynie dekoracją. W owych skradzionych latach dzieciństwo docierało do swego kresu jak pociągi hiszpańskich kolei państwowych – bez zapowiedzi i zupełnie niezależnie od rozkładu jazdy.

Jedliśmy tę zupę, wywar na resztkach, pojadając chlebem, osaczeni przez dochodzące zewsząd bzyczenie radionowel, wpadające przez otwarte na kościelny plac okna.

- No to jak ci poszło z don Gustavem?
- Poznałem jego siostrzenicę, Klarę.
- Tę niewidomą? Ponoć to piękna dziewczyna.
- Nie wiem, nie zwracam na to uwagi.
- A powinieneś.
- Powiedziałem im, że może jutro zajrzę do nich po szkole, żeby coś tej , biedaczce poczytać, bo pewnie czuje się bardzo samotna. O ile mi pozwolisz, oczywiście.

Ojciec spojrzał na mnie z ukosa, jakby się zastanawiał, czy to on starzeje się przedwcześnie, czy też ja zbyt wcześnie dojrzewam.

Postanowiłem zmienić temat, ale jedynym, który przychodził mi do głowy, był ten, który męczył mnie jak zgaga.

– Czy to prawda, tato, że podczas wojny zabierano ludzi do zamku na Montjuïc i tam znikali bez śladu?

Ojciec z obojętnym wyrazem twarzy podniósł łyżkę do ust, przełknął zupę, popatrzył na mnie badawczo i niewyraźnie się uśmiechnął.

– Barceló ci o tym mówił?

– Nie, Tomás Aguilar. Czasem opowiada w szkole takie różne historie.

Ojciec skinął powoli głową.

– Podczas wojny dzieją się rzeczy, które trudno wytłumaczyć, Danielu. Nieraz zdarza mi się, że nie potrafię pojąć, co naprawdę znaczą. Czasem lepiej dać temu pokój.

Westchnął i bez większych chęci przełknął kolejną łyżkę zupy. Wpatrywałem się w niego milcząco.

– Twoja mama kazała mi przed swoją śmiercią przyrzec, że nigdy nie będę ci opowiadał o wojnie i nie dopuszczę do tego, byś kiedykolwiek miał wspominać to, co się wydarzyło.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Ojciec uciekł wzrokiem, jakby czegoś szukał w przestrzeni. Spojrzeń, milczenia, a może mojej matki, która mogłaby potwierdzić jego słowa.

– Czasami wydaje mi się, że popełniłem błąd, składając takie przyrzeczenie. Sam nie wiem.

– Tato, to wszystko jedno, daj spokój...

– To nie wszystko jedno, Danielu. I nic nie daje spokoju po wojnie. Tak było, bardzo dużo ludzi trafiło do tego zamku i nigdy już z niego nie wyszło.

Nasze spojrzenia zetknęły się przez moment. Po chwili ojciec wstał i zamknął się w swoim pokoju, zraniony milczeniem. Sprzątnąłem talerze. Wstawiłem je do małego marmurowego zlewozmywaka w kuchni. Wróciwszy do pokoju jadalnego, zgasiłem światło i usiadłem w starym fotelu ojca. Oddech ulicy poruszał lekko zasłonami. Nie chciało mi się spać i nawet nie chciało mi się próbować zasnąć. Podeszedłem do balkonu i ujrzałem świetliste opary wydobywające się z latarni na Puerta del Ángel. Można się było tylko domyślać

obecności stojącej tam nieruchomo postaci. Jej realność potwierdzał jedynie zarys cienia padającego na bruk i bursztynowe drżenie żaru papierosa odbijające się w jej oczach. Stała, ciemno ubrana, z jedną dłonią ukrytą w kieszeni marynarki, drugą przytrzymując papierosa, który prządlł niebieskawą pajęczynę dymu wokół głowy. Patrzyła na mnie milcząco, kryjąc twarz za padającym z latarni światłem. Stała tak ponad minutę, paląc niedbale, z utkwionym we mnie spojrzeniem. Gdy o północy rozległy się dzwony katedry, postać leciutko kiwnęła głową w geście pozdrowienia i tylko domyślać się mogłem niewidocznego uśmiechu. Chciałem odpowiedzieć, ale byłem sparalizowany. Ów człowiek odwrócił się i zobaczyłem, jak powoli odchodzi, lekko kulejąc. Jakiegokolwiek innej nocy pewnie bym nawet nie zwrócił uwagi na tego dziwnego nieznajomego, ale ledwie zniknął we mgle, poczułem, jak zimny pot oblewa mi czoło i zaczyna brakować mi oddechu. Opis podobnej sceny przeczytałem w *Cieniu wiatru*. W powieści główny bohater co noc wyglądał o północy przez balkon i spostrzegał, że obserwuje go, skrywając się w cieniu i niedbale paląc papierosa, jakiś dziwny nieznajomy. Jego twarz zawsze kryła się w mroku i tylko domyślać się można było żaru jego spojrzenia. Nieznajomy stał przez jakiś czas, prawą dłoń chowając w kieszeni czarnej marynarki, by następnie oddalić się, lekko kulejąc. W scenie, której właśnie byłem świadkiem, owym nieznajomym mógł być jakiegokolwiek przechodzień, postać bez twarzy i bez tożsamości. W powieści Caraxa owym nieznajomym był diabeł.

6

Twardy sen przynoszący zapomnienie i myśl o spotkaniu popołudniu Klary przekonały mnie, że nocne przywidzenie było zwykłym przypadkiem. Być może niespodziewany przyływ gorączkowej wyobraźni zapowiadał jedynie ów tak oczekiwany i obiecywany skok o te kilka centymetrów, które według wszystkich naszych sąsiadek uczyni ze mnie mężczyznę, jeśli już nie majątnego, to co najmniej atrakcyjnego. Punktualnie o siódmej, nienagannie ubrany, rozsiewając woń podkradzonej ojcu wody kolońskiej Varón Dandy, zjawiłem się w domu don Gustava Barceló, gotów rozpocząć karierę domowego lektora i lwa salonowego. Księgarz i jego siostrzenica zajmowali pałacowy apartament na Plaza Real. Służąca w czepcu, w nieodzownym mundurku i z miną sierżanta na służbie, otworzyła drzwi z teatralną rewerencją.

– Panicz Daniel, zapewne – rzekła. – Bernarda, do usług.

Bernarda nie stroniła od pełnych ceremonialności tonów zdradzających z każdym słowem jej estremadurskie korzenie. Z wyszukaną pompą poprowadziła mnie przez rezydencję Barceló. Mieszkanie zajmowało całe piętro budynku, tworząc krąg niekończących się galerii, salonów i korytarzy, które na mnie, wychowanym w skromnym mieszkaniu na ulicy Santa Ana, sprawiało wrażenie Escorialu w miniaturze. Rzucalo się w oczy, że don Gustavo prócz książek, inkunabułów i wszelkiego rodzaju bibliograficznych skarbów, kolekcjonuje rzeźby, obrazy i ołtarze, nie wspominając wszelakiej flory i fauny. Szedłem za Bernardą galerią pełną liściastych i tropikalnych roślin, co czyniło z niej najprawdziwszą oranżerię. Przez szyby galerii sączyło się złociste światło drgające od pyłu i pary. W powietrzu unosił się oddech fortepianu, ledwo słyszalny i przeciągający każdy dźwięk z osobna. Bernarda torowała nam drogę w gąszczu, wymachując swymi ramionami portowego tragarza jak maczetami. Szedłem tuż za nią, rozglądając się wokół. Dostrzegłem z

pół tuzina kotów i parę ogromnych i wściekle kolorowych papug, z których jedna, jak wyjaśniła mi Bernarda, została przez Barceló ochrzczona *Ortega*, a druga imieniem *Gasset*... Po drugiej stronie tego lasu, w salonie z widokiem na plac czekała na mnie Klara, kobieta moich westchnień, w bawełnianej sukni koloru turkusowego. Grała na fortepianie, oświetlona ostrym sopłem przebijającej przez szklaną rozetę jasności. Grała nie najlepiej, nierówno, myśląc się co chwila, ale dla mnie jej serenada brzmiała jak hymn zwycięstwa, a ona sama, wyprostowana nad klawiaturą, z głową przekrzywioną na bok i półuśmiechem na wargach wydawała mi się niebiańską wizją doskonałości. Chciałem delikatnie chrząknąć, by dać znać, że już przybyłem, ale zdradziły mnie opary Varón Dandy. Klara nagle przerwała grę, a na jej twarzy pojawił się wstydlivy uśmiech.

– Myślałam, że to wuj – powiedziała. – Zabronił mi grać utwory Mompou, bo twierdzi, że to, co z nim robię, to świętokradztwo.

Jedyny znany mi Mompou był chudym i cierpiącym na wzdęcia księdzem, który nas uczył chemii i fizyki, więc skojarzenie, jakie mi się nasunęło, wydawało mi się co najmniej groteskowe, by nie rzec idiotyczne.

– A mnie się wydaje, że grasz wspaniale – powiedziałem.

– Daj spokój. Wuj jest prawdziwym melomanem i nawet opłaca mi lekcje u nauczyciela muzyki, żebym się nieco podksztąpiła. To młody i ponoć nader obiecujący kompozytor. Nazywa się Adrian Neri. Studiował w Paryżu i Wiedniu. Musisz go poznać. Koniecznie. Pracuje teraz nad symfonią dla orkiestry barcelońskiej. Jego wuj jest w zarządzie. To geniusz.

– Wuj czy siostrzeniec?

– Danielu, bez złośliwości! Na pewno Adrian bardzo ci przypadnie do gustu.

Na kogo przypadnie, na tego będę, pomyślałem.

– Spróbujesz cynamonowych biszkopcików Bernardy? – zaproponowała Klara. – Bernarda robi najlepsze wypieki na świecie.

Zasiedliśmy do królewskiego podwieczorku, zmiatając wszystko, co służąca raczyła nam podać. Nie miałem pojęcia, jak się postępuje w takich sytuacjach i jak się zachować. Klara, która zawsze wydawała się czytać moich myślach, podpowiedziała, że mogę przystąpić do lektury

Cienia wiatru, kiedy tylko zechcę, i że chciałyby wysłuchać powieści od początku. Naśladując aksamitno – poetyckie tony radiowych spikerów recytujących patriotyczne wiersze po modlitwie na Anioł Pański, przystąpiłem więc do czytania po raz kolejny tekstu powieści. Mój głos, początkowo spięty, stopniowo się rozluźniał i niebawem, zapomniawszy o recytowaniu, poddałem się rytmowi prozy, odkrywając w niej kadencje i zwroty, pojawiające się i znikające niczym motywy muzyczne i trafiające na zagadki, które przedtem nie zwróciły mej uwagi. Zza wersów i akapitów wyłaniały się nowe szczegóły, zarys nowych obrazów i przywidzeń, niczym przestrzenny projekt budynku postrzegany z różnych perspektyw. Czytałem mniej więcej przez godzinę, bite pięć rozdziałów, póki nie poczułem suchości w gardle, a po całym mieszkaniu nie rozdzwoniło się z pół tuzina zegarów ściennych, dając znać, że już późno. Zamknąłem książkę i spojrzałem na Klarę, która uśmiechając się delikatnie, patrzyła na mnie.

– Przypomina mi trochę *Czerwony dom* – powiedziała. – Ale chyba jest mniej ponura.

– Nie wierz pozorom – odrzekłem. – To dopiero początek. Potem wszystko zaczyna się komplikować.

– Musisz już iść? – zapytała Klara.

– Niestety. Nie, żebym chciał, ale...

– Może jutro byś przyszedł, jeżeli nie jesteś zajęty – zasugerowała Klara. – Ale nie chciałabym sprawiać ci kłopotu...

– O szóstej? – zaproponowałem. – Będziemy mieli więcej czasu.

Moja wizyta w muzycznym saloniku mieszkania na Plaza Real była pierwszą z wielu, jakie złożyłem w miesiącach letnich czterdziestego piątego roku i w latach następnych. Niebawem zacząłem bywać u Barceló niemal codziennie, poza wtorkowymi i czwartkowymi wieczorami zarezerwowanymi na lekcje muzyki Klary z niejakim Adrianem Neri. Przebywałem tam po kilka godzin, więc z czasem znałem na pamięć każdy pokój, każdy korytarz i każdy okaz flory z leśnej gęstwiny don Gustava. *Cień wiatru* zajął nam parę tygodni, ale szybko i nader zgodnie ustaliliśmy książki, które miały uprzyjemnić kolejne godziny wspólnej lektury. Barceló posiadał przebogata bibliotekę, skoro jednak brak było w jej zasobach innych książek

Juliana Caraxa, zaczęliśmy czytać po łebkach dzieła pomniejszych klasyków i przeróżne powieściska. Zdarzały się i takie dni, gdy rezygnowaliśmy z czytania, by po prostu porozmawiać albo nawet wyjść na spacer po placu lub przejść się do katedry. Klara lubiła siadać na ławce i wsłuchiwać się w szum ludzkich głosów rozlegający się na wewnętrznym dziedzińcu i rozpoznawać echo kroków stawianych na wybrukowanych ulicach. Prosiła, żebym opisywał fasady, ludzi, samochody, sklepy, latarnie i mijane przez nas wystawy. Często brała mnie pod rękę i oprowadzałem ją po naszej i tylko naszej Barcelonie, którą oglądać mogliśmy wyłącznie we dwoje. Zawsze kończyliśmy spacer w kawiarence na ulicy Peritxol, zamawiając na spółkę porcję bitej śmietany lub drożdżówkę z kandyzowanymi owocami. Zdarzało się, że niektórzy klienci przyglądali nam się niechętnie, a co cwańsi kelnerzy mówili o niej „twoja starsza siostra”, nic sobie jednak z tych ewentualnych kpin i insynuacji nie robiłem. Zdarzało się również, że Klara, może z przekory, a może z jakichś chorobliwych powodów pozwalała sobie na ekstrawaganckie zwierzenia, o których nie wiedziałem, co myśleć. Najczęściej, i niemal z przyjemnością, opowiadała o zupełnie obcym mężczyźnie, który na ulicy podchodził do niej i odzywał się głuchym głosem. Ów tajemniczy i bezimienny, bo nigdy się nie przedstawił, wypytywał ją o don Gustava, a nawet o mnie. Któregoś razu pogłaskał ją po szyi. Te opowieści doprowadzały mnie do szału. Kiedyś Klara opowiedziała, że zapytała tajemniczego osobnika, czy może dotknąć jego twarzy. Nie odpowiedział, więc uznała to za brak sprzeciwu. Gdy podniosła dłonie ku twarzy nieznanego, ten szybko złapał ją za ręce, przez chwilę jednak jej palce zetknęły się z czymś, co nie było ludzką skórą.

– Jakby miał skórzaną maskę – mówiła.

– Zmyślasz.

Klara zaklinała się i przysięgała, że nic nie zmyśla, ustępowałem w końcu, udręczony wyobrażaniem sobie kto wie na ile urojonego, a na ile rzeczywistego typu dotykającego jej łabędziej szyi i kto wie czego jeszcze, podczas gdy ja nie śmiałem nawet o tym marzyć. Gdybym wówczas co nieco się zastanowił, pojąłbym dość szybko, że moje zauroczenie Klarą było zarazem źródłem moich katuszy. Być może dlatego coraz bardziej ją uwielbiałem, właśnie z powodu tego

wiecznego zaślepienia, które zmusza nas do uganiania się za kimś, kto sprawia nam ból. Ale w owych letnich miesiącach sen z powiek spędzała mi jedynie myśl o nadchodzącym początku roku szkolnego. Bo oznaczało to koniec przebywania przez cały dzień z Klarą.

Bernarda, która pod maską osoby oschłej i surowej kryła naturę czułą i opiekuńczą, z czasem, bo tego czasu przy moich codziennych niemal wizytach miała sporo, polubiła mnie do tego stopnia, iż na swój sposób właściwie mnie usynowiła.

– Gołym okiem widać, że ten chłopak nie ma matki, proszę pana – zwykła mówić do Barceló. – Biedaczek, żal mi go.

Bernarda przyjechała do Barcelony tuż po wojnie, uciekając przed biedą i przed ojcem, który bił ją, gdzie popadło, wyzywając od tępaków, paskud i brudnych świń, najgorsze zaś było to, jak po pijanemu przyciskał ją do ściany chlewika i obmacywał, ona ze strachu zaczynała płakać, więc ją puszczał, krzycząc, że jest głupią dziwką, zupełnie jak jej matka. W Barcelonie Bernarda pracowała na targu Borne, w budce z warzywami, i tak przypadkiem Barceló natknął się na nią i tknięty dobrym przeczuciem, zaproponował jej pracę u siebie.

– To będzie taki nasz *Pigmalion* – oznajmił. – Ty będziesz moją Elizą, a ja twoim profesorem Higginsem.

Bernarda, która głód literacki zaspokajała coniedzielną gazetką parafialną, spojrzała na niego krzywo.

– Wie pan co? To, że jestem biedna i niedouczona, nie oznacza od razu, że jestem nieprzyzwoita.

Antykwariuszowi daleko było do George'a Bernarda Shaw, lecz choć nie udało mu się zapewnić swej pupilce dykcji i wyrafinowania politycznych oratorów minionej epoki, jego trud i zaangażowanie mimo wszystko doprowadziły do tego, że Bernarda zyskała na ogładzie, przyswajając maniery i sposób wypowiedzania się panny z prowincji. Miała dwadzieścia osiem lat, lecz zawsze odnosiłem wrażenie, że ma dziesięć więcej, choćby w samym spojrzeniu. Była bardzo wierząca i szaleńczo oddana Matce Boskiej z Lourdes. Chodziła codziennie do bazyliki Matki Bożej Stella Maris na mszę o ósmej i spowiadała się co najmniej trzy razy w tygodniu. Don Gustavo, który nie ukrywał, że uważa się za agnostyka (Bernarda podejrzewała, iż

chodzi o specyficzną, dotykającą jedynie bogatych mieszcuchów, odmianę astmy), był zdania, że jest matematycznie niemożliwe, aby Bernarda popełniła aż tyle grzechów, by spowiadać się z taką częstotliwością.

– Przecież ty, Bernardo, jesteś samym dobrem – mówił urażony. – Ci, co wszędzie widzą i węższą grzech, mają chore dusze i, śmiem twierdzić, nawet trzewia. Iberyjski dewot jest w stanie chronicznej biegunki.

Słyszając podobne bluźnierstwa, Bernarda zegnała się po trzy i po pięć razy. Wieczorem zaś odmawiała jedną ekstramodlitwę za skalaną duszę pana Barceló, który serce miał dobre, ale któremu od czytania mózg się nadwerężył, jak Sancho Pansie.

Od wielkiego dzwonu Bernardzie trafiali się absztyfikanci, którzy ją bili, wyłudzali każdy grosz z odłożonych przez nią na książeczkę oszczędnościowej pieniędzy, by prędzej czy później zniknąć bez śladu. Za każdym razem, gdy do tego dochodziło, Bernarda zamykała się na klucz w zajmowanym przez siebie pokoiku na tyłach mieszkania i zalewając się łzami, zapowiadała przez szereg dni, że otruje się truczką na szczury lub ługiem. Barceló, wyczerpawszy cały arsenał swej sztuki perswazji, zaczynał bać się nie na żarty, więc wzywał ślusarza, by ten otworzył drzwi od jej pokoiku, oraz swojego lekarza rodzinnego, by zaaplikował Bernardzie środki uspokajające, zdolne powalić konia. Gdy po dwóch dniach biedaczka budziła się, księgarz kupował jej róże, czekoladki, nową suknię i zabierał do kina na film z Cary Grantem, który według niej był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, tuż po szefie Falangi, Jose Antonio.

– Gadają, że Cary Grant jest z tych, co kobiet nie lubią – mówiła, opychając się czekoladkami. – To prawda?

– Bzdura – prostował Barceló – mruk i gbur żyją w stanie permanentnej zazdrości,

– Jak ładnie pan mówi. Widać, że chodził pan na uniwersytet, ten od sorbetu.

– Sorbona – poprawiał Barceló bez zgryźliwości.

Nie sposób było nie lubić Bernardy. Z własnej i nieprzymuszonej woli karmiła mnie i obsprawała niemal. Czyściła mi ubranie, buty, czesała mnie, obcinała mi włosy, kupowała witaminy i pastę do

zębów, nawet podarowała mi medalionik z flakonikiem zawierającym wodę święconą przywiezioną autobusem z Lourdes przez jedną z jej sióstr, mieszkających San Adrian del Besós. Czasami, gdy uznawała, że musi przejrzeć moje włosy w poszukiwaniu gnid i innych pasożytów, szeptała mi niemal do ucha:

– Panienska Klara to najcudowniejsza osoba na świecie i niech mnie pan Bóg razi piorunem i niech padnę trupem, jeśli kiedykolwiek coś złego na panienkę powiem, ale nie może być, żeby panicz był tak w nią zapatrzony, i chyba panicz wie, co mam na myśli.

– Nie przejmuj się, Bernardo, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Właśnie to mam na myśli.

Dla zilustrowania swoich argumentów Bernarda przytaczała usłyszaną w radiu historię o chłopaku, który zakochał się niestosownie w swej nauczycielce, wskutek czego i za przyczyną sprawiedliwego gromu wypadły mu włosy i zęby, a twarz pokryła się oskarżycielskim grzybem, swoistym trądem lubieżnika.

– Wyuzdanie to bardzo zła rzecz – podsumowywała Bernarda. – Wiem coś o tym, proszę mi wierzyć.

Don Gustavo mimo docinków pod moim adresem i żartów z mojej osoby nie bez sympatii przyglądał się memu uwielbieniu dla Klary i oddaniu, z jakim pełniłem rolę osoby towarzyszącej. Jego wyrozumiałość tłumaczyłem sobie tym, że najpewniej nie stanowiłem, jego zdaniem, żadnego zagrożenia. Od czasu do czasu składał mi kolejne szczodre propozycje kupna powieści Caraxa. Mówił, że zasięgnął opinii kolegów ze środowiska antykwarycznego i wszyscy zgodnie twierdzili, że Carax dzisiaj mógł być wart fortunę, szczególnie we Francji. Odmawiałem mu niezmiennie, a on tylko się przebiegle uśmiechał. Oddał do mojej dyspozycji zapasowe klucze, bym mógł swobodnie wchodzić i wychodzić, nie zważając na niego czy na Bernardę. Mój ojciec był człowiekiem z zupełnie innej bajki. Z upływem lat przewyciężył wrodzoną niechęć do poruszania obchodzących go żywo tematów. Jednym z pierwszych efektów tej przemiany było wręcz wyraźniejsze okazywanie dezaprobaty dla mojej znajomości z Klarą.

– Całkiem zapomniałeś o Tomasie, a to z nim i z chłopcami w twoim leku powinienesz przebywać, a nie spędzać całe dni z kobietą,

która jest już w wieku stosownym do zamążpójścia.

– A co ma wiek do przyjaźni?

Najbardziej zabolął mnie przycinek dotyczący Tomasa, bo taka była, niestety, prawda. Od miesięcy nie spotykałem się z nim, a przecież kiedyś byliśmy nierozłączni. Ojciec spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Danielu, przecież ty nic nie wiesz o kobietach, a ta bawi się tobą jak kot z myszką.

– To ty nic nie wiesz o kobietach – oburzałem się. – A o Klarze jeszcze mniej.

Nasze rozmowy na ten temat rzadko wychodziły poza pretensje i łypanie na siebie kosym okiem.

Cały wolny czas, jaki mi pozostawał po szkole i ewentualnym towarzyszeniu Klarze, poświęcałem na pomaganie ojcu w księgarni. Porządkowałem magazyn na zapleczu, przyjmowałem zamówienia, realizowałem zlecenia lub obsługiwałem stałych klientów. Ojciec utyskiwał, że nie przykładam się zanadto do tej pracy. Odpowiadałem mu ze złością, że i tak spędzam tu całe życie, więc nie rozumiem, skąd ten żal i pretensje. Podczas zdarzających mi się bezsennych nocy wspominałem czas, gdy byliśmy sobie tak bliscy, ten nasz wspólny mały świat, w którym schroniliśmy się po śmierci mamy, lata pióra Victora Hugo i metalowych modeli lokomotyw. Wspominałem te lata jako czas spokoju i smutku, czas zanikającego już świata, który zaczął odchodzić, gdy ojciec zabrał mnie na Cmentarz Zapomnianych Książek. Kiedy ojciec odkrył, że podarowałem Klarze książkę Caraxa, rozgniewał się.

– Jestem rozczarowany, Danielu – powiedział. – Gdy zabrałem cię w owe sekretne miejsce, uprzedziłem, że książka, którą wybierzesz, będzie czymś nader specjalnym, że adoptujesz ją i będziesz za nią odpowiedzialny.

– Ja wtedy miałem dziesięć lat, tato, i to była tylko dziecięca zabawa.

Ojciec spojrzał na mnie, jakbym go ranił sztyletem.

– A teraz masz czternaście i nie tylko nadal jesteś dzieckiem, ale, co gorsza, dzieckiem uważającym się za mężczyznę. Czeka cię wiele przykrości w życiu, Danielu. I to niebawem.

W tamtym okresie chciałem wierzyć, że mojemu ojcu trudno jest się pogodzić z tym, iż spędzam tyle czasu z Barceló. Księgarz i jego siostrzenica żyli w świecie luksusu, który ojciec mógł tylko powąchać. Myślałem, że sprawia mu ból, iż służąca don Gustava zachowuje się wobec mnie jak matka, a zarazem obraża go akceptowanie przeze mnie takiego stanu rzeczy. Niekiedy, gdy przebywałem na zapleczu, pakując książki lub szykując wysyłkę, słyszałem, jak klient prowadzi żartobliwym tonem rozmowę z moim ojcem.

– Sempere, powinien pan znaleźć sobie odpowiednią kobietę; we wdowach w kwiecie wieku można teraz przebierać a przebierać, pan wie, co mam na myśli. Dziewucha, przyjacielu, zaprowadza człowiekowi ład w życiu i ujmuje dwadzieścia lat. Bo jak kawał cyca nie pomoże...

Ojciec nigdy nie odpowiadał na tego rodzaju sugestie, ale mnie wydawały się one coraz bardziej sensowne. Do tego stopnia, iż podczas jednej z naszych kolacji, które powoli stawały się milczącą walką ukradkowych spojrzeń, poruszyłem ten temat. Sądziłem, że ułatwię sprawy, jeśli ojciec weźmie pod uwagę, że to ja zacząłem. Był przecież przystojnym, dbającym o siebie i swój wygląd facetem, na którego, jak mi było wiadomo, zerkąta łakomym okiem niejedna kobieta z sąsiedztwa.

– Tobie dziwnie łatwo przyszło znaleźć kogoś, kto zastąpiłby ci matkę – odciął się z goryczą. – Ale dla mnie ktoś taki w ogóle nie istnieje i nie jestem zainteresowany nawet szukaniem takiej osoby.

Z upływem czasu wymówki mojego ojca, czy sugestie Bernardy, a nawet Barceló zaczęły mnie jednak coraz bardziej niepokoić. Coś mi mówiło, że pakuję się w sytuację bez wyjścia, że nie mogę oczekiwać, by Klara ujrzała we mnie kogoś więcej niż chłopaka młodszego od siebie o dziesięć lat. Odnosiłem wrażenie, że z każdym dniem coraz trudniej mi być przy niej, czuć dotyk jej dłoni czy też trzymać ją pod rękę na spacerze. Nadszedł moment, kiedy najzwyczajsze przebywanie u jej boku wywoływało fizyczny ból. Nie umknęło to niczyjej uwagi, a już najmniej Klary.

– Sądzę, Danielu, że musimy porozmawiać. Wydaje mi się, że nie zachowuję się wobec ciebie odpowiednio...

Nigdy nie pozwalałem jej dokończyć. Wychodziłem z pokoju pod

lada pretekstem i uciekałem. Były to dni, gdy wydawało mi się, że walczę z kalendarzem w daremnym wyścigu z czasem. Obawiałem się, że świat złudzeń i urojeń, jaki stworzyłem wokół Klary, dobiega kresu. Nie zdawałem sobie sprawy, przez myśl mi wówczas nie przeszło, że moje największe problemy dopiero się zaczynały.

**Bida z nędzą
1950 – 1952**

W dniu moich osiemnastych urodzin ściągnąłem na swoją głowę najgorsze z najfatalniejszych przypadków, jakie przytrafiły mi się w moim krótkim jeszcze życiu. Sam, nikogo nie prosząc o radę, postanowiłem wydać kolację urodzinową, na którą zamierzałem zaprosić Barceló, Bernardę i Klarę. Ojciec uważał, że to chybiony pomysł.

– To moje urodziny – powiedziałem z rozmyślnym okrucieństwem. – W pozostałe dni roku pracuję dla ciebie. Przynajmniej raz pozwól mi na coś przyjemnego.

– Rób, jak uważasz.

Ostatnie miesiące zagmatwały jeszcze bardziej moją dziwną przyjaźń z Klarą... Właściwie przestałem już jej czytać, bo Klara unikała na różne sposoby sytuacji, w których bylibyśmy ze sobą sam na sam. Teraz, gdy przychodziłem do niej, towarzyszył nam wuj, udając, że czyta gazetę, albo znienacka pojawiała się Bernarda ze ściereczką w ręku i piorunowała mnie wzrokiem. Czasem trafiałem na wizytę jednej lub kilku koleżanek Klary. Nazywałem je Sodalicją Miodopitną, te panienki z buziami w ciup i dziewiczym rumieńcem, nadzorujące z książeczką do nabożeństwa w ręku najbliższą wokół Klary przestrzeń i obrzucające mnie policyjnym spojrzeniem, które bez ogródek mówiło mi, że jestem tu zbędny, a moja tu obecność przyprawia o wstyd Klarę i cały świat. Najgorszym ze wszystkich był maestro Neri, którego nieszczęsna symfonia wciąż czekała na ukończenie. Ten picuś – glancuś i goguś z San Gervasio mimo strojenia się w piór – Mozarta raczej przywodził mi na myśl, choćby z racji przylizanych brylantyną włosów, króla tanga, Carlosa Gardela. Z geniusza miał tylko ezinteresowną złośliwość. Nadskakiwał don Gustavowi bez wstydu i umiaru, flirtował z Bernardą w kuchni, rozśmieszając ją mało wybrednymi prezencikami w postaci cukrzonych migdałów lub podszcypywaniem w tyłek. Krótco

mówiąc, nienawidziłem go z całego serca. I z wzajemnością. Neri zawsze zjawiał się u Klary ze swoimi partyturami, z grymasem arogancji na twarzy, mierząc mnie spojrzeniem, jakbym był tu zabłąkanym przypadkowo chłopcem na posyłki, i głośno wyrażając swój stosunek do mojej obecności w tym domu.

– Dziecko, a lekcje już odrobiłeś?

– A maestro dokończył już symfonię?

Siła złego na jednego, więc w końcu odchodziłem z nosem na kwintę, całkiem przegrany i marząc o tym, by mieć takie gadane jak don Gustavo i usadzić pyszałka w miejscu.

W dniu moich osiemnastych urodzin ojciec zszedł do piekarni na rogu i kupił najlepsze, oferowane tego dnia ciasto. W milczeniu nakrył do stołu, stawiając nasz najlepszy serwis i srebrne sztucce. Zapalił świece i przygotował kolację z dań, które uważał za moje ulubione. Przez całe popołudnie słowem się do siebie nie odezwaliśmy. Pod wieczór udał się do siebie, włożył swój najlepszy garnitur, następnie wrócił z paczuszką owiniętą w celofan i położył ją na stoliku w jadalni. Mój prezent. Usiadł przy stole, nalał sobie do kieliszka białego wina i zaczął czekać. Goście zaproszeni byli na ósmą trzydzieści. O wpół do dziesiątej nadal czekaliśmy na ich przybycie. Ojciec spoglądał na mnie ze smutkiem, a ja gotowałem się z wściekłości.

– Jesteś pewno zadowolony – odezwałem się. – Tego właśnie chciałeś?

– Nie.

Bernarda pojawiła się pół godziny później. Miała grobową minę i wiadomość od Klary, która życząc mi wszystkiego najlepszego, przeproszała zarazem za swą nieobecność na kolacji. Pan Barceló musiał na kilka dni wyjechać z miasta w interesach, skutkiem czego Klara zmuszona była zmienić godzinę swojej lekcji muzyki z maestro Neri. Bernarda przyszła, bo to było jej wolne popołudnie.

– Klara nie może przyjść, bo ma lekcję muzyki? – zapytałem, nie dowierzając.

Bernarda unikała mego wzroku. Niemal ze łzami w oczach wręczyła mi prezent i ucałowała mnie w oba policzki.

– Jeśli się nie spodoba, to można wymienić – powiedziała. Zostałem sam z ojcem, przyglądając się naszemu najlepszemu

serwisowi , srebrom i dopalającym w milczeniu świecom.

– Przykro mi, Danielu – rzekł ojciec.

Nic nie powiedziałem, kiwnąłem tylko głową i wzruszyłem ramionami.

– Nie zajrzysz do swojego prezentu? – zapytał.

W odpowiedzi usłyszałem huk drzwi, którymi trzasnąłem. Zbiegając po schodach i wypadając na pustą, zimną i zalaną błękitnym światłem ulicę, czułem jak do oczu napływają mi łzy wściekłości. Serce miałem pełne jadu, a wzrok niepewny. Zacząłem iść przed siebie, nie zwracając uwagi na nieznanego, który stojąc nieruchomo, przyglądał mi się z Puerta del Ángel. Ubrany był w ciemny garnitur, a prawą dłoń trzymał ukrytą w kieszeni marynarki. W jego oczach odbijały się ogniki żarzącego się papierosa. Lekko kulejąc, ruszył za mną.

Wałęsałem się ponad godzinę, aż dotarłem do pomnika Kolumba. Ruszyłem dalej ku nabrzeżu i usiadłem na stopniach zapadających się w mroczne wody, tuż obok przystani dla motorówek. Ktoś widocznie wykupił nocną wycieczkę, bo nad wodą portowego basenu unosiła się procesja świateł, zza której słychać było śmiechy i muzykę. Przypomniały mi się dni, kiedy z ojcem płynęliśmy wynajętą łodzią na koniec cypla. Stamtąd można było zobaczyć cmentarz na zboczu Montjuïc i bezkresne miasto umarłych. Zdarzało mi się pomachać ręką w tamtą stronę, wierząc, że mama ciągle tam jest i widzi nas w łódce. Ojciec machał ze mną. Lata całe nie wsiadaliśmy do tych wycieczkowych łodzi, choć wiedziałem, że ojciec czasem wypływa sam na zatokę.

– To dobra noc na skruchę, Danielu – rozległ się głos w mroku. – Papierosa?

Skoczyłem na równe nogi, czując ogarniający mnie ziąb. Z trudem dostrzegłem zarys ręki wyciągającej ku mnie papierosa.

– Kim pan jest?

Nieznajomy podszedł ku granicy mroku, nie ukazując swej twarzy. Z palonego przezeń papierosa unosiła się smużka błękitnawego dymu. W tej chwili rozpoznałem czarny garnitur i rękę ukrytą w kieszeni marynarki. Oczy błyszczały mu jak szklane paciorki.

– Przyjacielem – odparł. – W każdym razie kimś, kto chciałby nim

zostać. Papierosa?

– Nie palę.

– To dobrze. Niestety, niczego innego nie mogę ci zaoferować, Danielu.

Głos był chropowaty, pęknięty, przeciągał słowa, brzmiące głucho i z oddali, jak płyty z kolekcji Barceló.

– A skąd pan wie, jak mam na imię?

– Sporo o tobie wiem. Imię to naprawdę drobnostka.

– A co pan jeszcze wie?

– Jeszcze bym cię zawstydził, ale nie mam ani czasu, ani ochoty. Poprzestanę na tym, że masz coś, co mnie interesuje. I jestem gotów dobrze ci za to zapłacić.

– Chyba pomyliły się panu osoby.

– Nie, ja nigdy się nie mylę co do osób. Mylę się w wielu innych sprawach, ale co do ludzi, nigdy. Ile chcesz?

– Za co?

– Za *Cień wiatru*.

– A skąd pan wie, że jest u mnie?

– To jest poza dyskusją, Danielu. Reszta to tylko kwestia ceny. Od dawna wiem, że jest u ciebie. Ludzie gadają. Ja słucham.

– To znaczy, że źle pan słyszał. Ja nie mam tej książki. A nawet gdybym miał, to i tak bym jej nie sprzedał.

– Twoja szlachetność jest godna podziwu, zwłaszcza w czasach gdy wokół sami wazeliniarze i włazidupcy, ale przede mną nie musisz czegokolwiek udawać. Ile? Pięć tysięcy? Cena nie gra roli. Ty ją wyznaczasz.

– Już powiedziałem: książka nie jest na sprzedaż, bo jej nie mam – odparłem. – Naprawdę się pan pomylił.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, spowity w błękitny dym papierosa, który sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie miał się dopalić. Odniosłem wrażenie, że nie pachnie tytoniem, lecz spalonym papierem. Dobrym papierem, książkowym.

– Może to ty właśnie się teraz mylisz? – zasugerował.

– Grozi mi pan?

– Być może.

Przełknąłem ślinę. Zachowywałem się jak chojrak, ale w

rzeczywistości ten człowiek mnie przerażał.

– A można wiedzieć, czemu się pan tak nią interesuje?

– To moja sprawa.

– Moja również, skoro ucieka się pan do grózb, żebym sprzedał panu książkę, której nie mam.

– Podobasz mi się, Danielu. Nie dasz sobie w kaszę dmuchać, a i rozumu ci nie brakuje. Pięć tysięcy? Za to możesz kupić mnóstwo książek. Dobrych książek, a nie tandety, której tak zazdrośnie strzeżesz. No, nie wyglupiaj się, pięć tysięcy i rozstajemy się w przyjaźni.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Jesteśmy, jesteśmy, jak najbardziej, tylko jeszcze nie zdałeś sobie z tego sprawy. Nie twoja wina, tyle problemów zważyło się ostatnio na ciebie. Choćby twoja przyjaciółka Klara. Taka kobieta każdemu potrafi zawrócić w głowie.

Zmroziło mnie.

– Co pan wie o Klarze?

– Śmiem twierdzić, że wiem więcej od ciebie i że lepiej byłoby, gdybyś o niej jak najszybciej zapomniał, choć wiem, że tego nie zrobisz. Ja też miałem szesnaście lat...

Nagle uderzyło mnie straszliwe poczucie pewności. To był ów prześladowający Klarę mężczyzna. Naprawdę istniał. Ruszył w moją stronę. Cofnąłem się. W życiu się tak nie bałem.

– Klara nie ma tej książki, lepiej, żeby pan to wiedział. I proszę trzymać ręce jak najdalej od niej.

– Twoja przyjaciółka jest mi całkiem obojętna, Danielu, i jestem przekonany, że pewnego dnia ta obojętność stanie się również twoim udziałem. Mnie interesuje wyłącznie książka. Wolałbym ją otrzymać, niż zdobywać, i to czyimś kosztem. Jasne?

Z braku lepszego pomysłu zacząłem łżeć.

– Ma ją niejaki Adrian Neri. Artysta muzyk. Może jego nazwisko obito się panu o uszy.

– Nic mi się o uszy nie obito, a to najgorsza rzecz, jaką można powiedzieć o muzyku. A może wymyśliłeś sobie tego Adriana Neri?

– Byłbym szczęśliwy, gdyby rzeczywiście tak było.

– Skoro jesteście więc tak dobrymi przyjaciółmi, może udałoby ci

się przekonać przyjaciela, by oddał ci książkę. Tego rodzaju sprawy rozwiązuje się wśród przyjaciół bez większych problemów. A może wolisz, żebym poprosił twoją przyjaciółkę Klarę?

Pokręciłem przecząco głową.

– Porozmawiam z Neri, ale nie sądzę, by mógł mi ją oddać i czy w ogóle jeszcze ją ma – zmyśliłem naprędce. – A panu po co ta książka? Chyba nie chce jej pan po prostu przeczytać, bo nie uwierzę.

– Nie. Znam ją na pamięć.

– Jest pan kolekcjonerem?

– Coś w tym stylu.

– Ma pan więcej książek Caraxa?

– Miałem w swoim czasie. Julián Carax to moja specjalność, Danielu. Przemierzam świat w poszukiwaniu jego książek.

– To co pan z nimi robi, skoro ich pan nie czyta?

Mężczyzna wydał z siebie głuchy, agonalny odgłos. Dopiero po kilku sekundach pojąłem, że to śmiech.

– To, co należy z nimi zrobić, Danielu, i tylko to – odparł.

Wyjął z kieszeni pudełko zapalek. Zapalił jedną. Światełko płomyka oświetliło jego twarz. Zmroziło mnie. Osobnik ten nie miał ani nosa, ani ust, ani powiek. Właściwie nie miał twarzy, bo ta pokryta była jakby maską czarnej, pooranej bliznami, zżartej przez płomień skóry. To była ta martwa skóra, której dotknęła Klara.

– Palę je – szepnął, muskając mnie głosem i spojrzeniem zatrutym nienawiścią. Podmuch wiatru zgasił trzymaną przezeń w palcach zapalną, ciemność znowu okryła jego twarz.

– Jeszcze się zobaczymy, Danielu. Ja nie zapomnę twarzy, a i ty, jak sądzę, będziesz od dziś pamiętał – powiedział powoli. – Ufam, iż dla twojego własnego dobra i dobra twojej przyjaciółki Klary podejmiesz właściwą decyzję i wyjaśnisz tę sprawę z panem Neri, który, między nami mówiąc, ma nazwisko paniczykowate. Ja bym mu nie ufał ani na jotę.

I powiedziawszy to, odwrócił się i odszedł w kierunku mola, a jego sylwetka spowita w niepohamowany śmiech, rozpływała się w ciemności.

8

Od strony morza nadciągały coraz bardziej iskrzące chmury. Powinienem był rzucić się biegiem, by uciec przed ulewą, ale wypowiedziane przez dziwnego osobnika słowa zaczynały odnosić skutek. Trzęsły mi się ręce i myśli. Spojrzałem w niebo i ujrzałem burzę, która rozlewała się między chmurami niczym plamy czarnej krwi, gasząc światło księżyca i rozpościerając płaszcz ciemności nad dachami i fasadami miasta. Spróbowałem przyspieszyć kroku, ale zzerający mnie niepokój paraliżował moje ruchy, więc powłóczyłem nogami, choć już czułem doganiającą ulewę. Skryłem się pod markizą kiosku z gazetami, by zebrać myśli i zdecydować, co robić dalej. Nieopodal gruchnęło, jakby smok ryknął u wejścia do portu, i poczułem, że ziemia drży pod moimi stopami. Delikatny błysk światła omiótł fasady domów, by po kilku sekundach zniknąć. W zalewających chodniki kałużach jeszcze przez chwilę odbijało się światło latarni, które nagle zaczęły migotać, by zgasnąć jedna po drugiej jak świece na wietrze. Na ulicach nie było żywej duszy, a ciemności, jakie nastąpiły, wypełzły wespół z fetorem wydobywającym się ze studzienek kanalizacyjnych. Noc stała się matowa i nieprzenikniona, deszcz przeistoczył się w całun oparów. „Taka kobieta każdemu potrafi zawrócić w głowie...”. Zacząłem biec w górę Ramblas, mając w głowie tylko jedno: Klara.

Bernarda powiedziała, że Barceló wyjechał w interesach. Sama miała dzień wolny, a wtedy zazwyczaj nocowała u swej ciotki Reme i kuzynek w Adrian del Besós. Oznaczało to, że Klara jest całkiem sama w tej ogromnej jaskini swego mieszkania na Plaza Real, podczas gdy po mieście atakowanym przez burzę krąży ów groźny osobnik bez twarzy, Bóg wie co dujący. Biegając w deszczu w kierunku Plaza Real, nie mogłem pozbyć się uporczywej myśli, że naraziłem Klarę na niebezpieczeństwo, ofiarowując jej książkę Caraxa. Wbiegłem na plac, przemoczony do szpiku kości. Przyspieszyłem, by schronić się pod

arkadami ulicy Fernando. Wydało mi się, że widzę zarys cienia pełznącego za moimi plecami. Zebracy. Brama była zamknięta. Odszukałem w moim pęku kluczy komplet, który dostałem od Barceló. Miałem ze sobą klucze od księgarni, od mieszkania na Santa Ana oraz od mieszkania Barceló. Jeden z włóczęgów podszedł do mnie, zaczął szeptem prosić, bym pozwolił mu przenocować na klatce schodowej. Zamknąłem drzwi, nim dokończył zdanie.

Klatka schodowa była studnią pełną mroku. Pomruk błyskawic przeciskał się przez szczeliny w drzwiach i odbijał u stopni schodów. Ruszyłem przed siebie po omacku i potykając się, natrafiłem na pierwszy stopień. Chwyciłem się poręczy i zacząłem powoli wchodzić po schodach. Niebawem stopnie zanikły, co oznaczało, że doszedłem na piętro. Wymacałem marmurowe, nieprzyjazne ściany i natrafiłem na kasetony dębowych drzwi i aluminiową klamkę. Znalazłem otwór w zamku i włożyłem klucz. Gdy drzwi otworzyły się, oślepiła mnie błękitna jasność, a po skórze przepłynął podmuch ciepłego powietrza. Pokój Bernardy znajdował się w głębi mieszkania, tuż przy kuchni. I tam skierowałem swe kroki, choć wiedziałem, że jej nie ma. Zastukałem do drzwi i nie słysząc odpowiedzi, pozwoliłem sobie wejść do środka. W skromnym pokoiku stało duże łóżko, ciemna szafa ze starym lustrem i komoda, na której Bernarda poustawiała figurki Matki Boskiej, wszelakich świętych i święte obrazki w ilościach przemysłowych. Zamknąłem drzwi, a gdy się odwróciłem, serce nieomal stanęło mi w piersi na widok tuzina zbliżających się ku mnie błękitnych i bursztynowych oczu. Koty Barceló znały mnie dobrze i akceptowały moją osobę. Otoczyły mnie, pomiaukując, ale stwierdziwszy, że moje przemoczone ubranie nie wydziela upragnionego ciepła, rozeszły się obojętne.

Pokój Klary znajdował się w drugim końcu mieszkania, obok biblioteki i saloniku muzycznego. Czulem niewidzialne towarzystwo kotów czujnie śledzących moje poczynania. W migotliwym półmroku burzy mieszkanie Barceló jawiło mi się ponure i odstręczające, zupełnie inne od tego, które zacząłem już uważać za swój drugi dom. Dotarłem do części wychodzącej na plac Przede mną wyrosła gęsta i nieprzebyta oranżeria Barceló. Zanurzyłem się w gąszcz liści i gałęzi.

Przez chwilę dopadła mnie myśl, że jeśli nieznajomy bez twarzy dostał się do mieszkania, to najprawdopodobniej krył się właśnie tutaj. I tutaj na mnie czekał. Wydawało mi się nawet, że czuję unoszący się w powietrzu swąd spalonego papieru, ale szybko zrozumiałem, że do moich nozdrzy dociera jedynie woń tytoniu. Struchlałem. W tym domu nikt nie palił, a fajka Barceló, zawsze zgaszona, pełniła właściwie funkcję atrapy.

Doszedłem do salonu muzycznego, gdy blask błyskawicy przeszył wstążki dymu unoszące się w powietrzu jak girlandy oparów. Klawiatura pianina rozciągała się w niemożliwie szerokim uśmiechu. Przemierzyłem salon i doszedłem do drzwi biblioteki. Były zamknięte. Otworzyłem je i przywitała mnie poświata znad altany zbudowanej wokół osobistej biblioteki księgarza. Ściany, pokryte pękającymi od książek półkami, tworzyły owalne pomieszczenie, na którego środku stał stół do lektury i dwa fotele marszałka polnego. Wiedziałem, że Klara trzyma książkę Caraxa na oszklonej półce stojącej przy jednym z łuków altany. Tam też udałem się, zachowując ostrożność. Mój plan, czy też jego brak, polegał na zabraniu stąd książki, oddaniu jej tamtemu wariatowi i straceniu ich z oczu raz na zawsze. Poza mną nikt by nie dostrzegł braku książki.

Książka Juliana Caraxa czekała na mnie, wysuwając jak zwykle grzbiet z głębi półki. Wziąłem ją w dłonie i przycisnąłem do piersi, jakbym obejmował starego przyjaciela, którego miałem zdradzić. Judasz, pomyślałem. Postanowiłem odejść stąd, nie dając Klarze znaku mojej obecności. Zabrałbym książkę i zniknął z jej życia na zawsze. Wyszedłem cicho z biblioteki. Na końcu korytarza dostrzec można było zarys drzwi do pokoju Klary. Wyobraziłem ją sobie, jak leży w łóżku i śpi. Wyobraziłem sobie, jak moje palce muskają jej szyję, wędrują po zapamiętanym, choć nieznanym ciele. Odwróciłem się, gotów już odejść i pozostawić za sobą sześć lat złudzeń, ale coś mnie zatrzymało na wysokości muzycznego saloniku. Ktoś gwizdał za moimi plecami, za drzwiami. Ktoś śmiał się i szeptał... W pokoju Klary. Powoli podszedłem do drzwi. Pożyłem dłoń na klamce. Drżały mi palce. Spóźniłem się. Przełknąłem ślinę i otworzyłem drzwi.

9

Nagie ciało Klary leżało na białym prześcieradle, błyszczącym jak czysty jedwab. Ręce mistrza Neri ślizgały się po jej ustach, szyi i piersiach. Klara, wznosząc niewidzące oczy ku górze, dygotała i wiała się pod gwałtownymi uderzeniami wykonywanymi przez nauczyciela muzyki między jej bladymi i drżącymi udami. Te same dłonie, które sześć lat temu rozpoznawały moją twarz w mrokach Ateneo, teraz zaciskały się na błyszczących od potu pośladkach nauczyciela i wbijały w nie paznokcie, naprowadzając je ku swemu wnętrzu z dziką, zwierzęcą żądzą. Zaczęło brakować mi tchu. Stałem tam pewnie z pół minuty, przyglądając im się, póki spojrzenie Neriego, pełne niedowierzania z początku, a następnie pałające wściekłością, nie padło na mnie. Nieustannie dysząc, osłupiałem, znieruchomiał. Klara, nic nie pojmując, przywarła do niego, ocierając się i liżąc jego szyję.

– Co się dzieje? – jęknęła. – Dlaczego przestałeś?

Oczy Adriana Neri płonęły z furii.

– Nic takiego – szepnął – zaraz wracam.

Wstał i zaciskając pięści, rzucił się ku mnie jak wyrzucony z procy kamień. Nawet go nie zauważyłem. Nie mogłem oderwać oczu od spływającej potem i pozbawionej tchu Klary, od rysujących się pod jej skórą żeber i drżących z pożądania piersi. Nauczyciel muzyki złapał mnie za szyję i wywlókł z pokoju. Czułem, jak moje stopy ledwie muskają podłogę i choć próbowałem raz i drugi, nie mogłem się uwolnić z uścisku Neriego, który taszczył mnie przez oranżerię jak paczkę.

– Wszystkie gnaty ci poprzetrącam – wycedził przez zęby.

Zawlókł mnie do drzwi wejściowych, otworzył je i z całej siły wyrzucił na klatkę.

Książka Caraxa wypadła mi z rąk. Podniósł ją i rzucił mi ją z wściekłością w twarz.

– Jeśli cię jeszcze raz tu zobaczę albo dowiem się, że śmiałeś

podejść do Klary na ulicy, przysięgam, że tak ci skuję mordę, że wylądujesz w szpitalu. I gównu mnie obchodzi, ile masz lat – rzekł zimno. – Jasne?

Podniosłem się z trudem i stwierdziłem, że podczas szamotaniny ucierpiała nie tylko moja duma, ale również rozdarła przez Neriego marynarka.

– Jak się tu dostałeś?

Nie odpowiedziałem. Neri westchnął, kręcąc głową.

– Dawaj klucze – wypluł z siebie, z trudem hamując wściekłość.

– Jakie klucze?

Walnął mnie w twarz z całej siły. Poleciałem na ziemię. Gdy wstawałem, krew zalewała mi usta, a w lewym uchu słyszałem gwizd przeszywający mi głowę niczym gwizdek strażnika miejskiego. Obmacałem sobie twarz i poczułem pod palcami palącą ranę, która przecięła mi usta. Na serdecznym palcu nauczyciela błyszczał zakrwawiony sygnet.

– Klucze, powiedziałem.

– Idź pan w cholerę – splunąłem.

Nie zauważyłem padającego ciosu. Tylko poczułem się tak, jakby młot pneumatyczny zmiażdżył i rozbił w jednej chwili mój żołądek. Zgiąłem się wpół, jak popsuta pacynka, nie mogąc złapać tchu, zataczając się na ścianę. Neri złapał mnie za włosy i zaczął grzebać po kieszeniach, znajdując wreszcie klucze. Osunąłem się na podłogę, trzymając się za brzuch, płacząc z braku sił lub z wściekłości.

– Proszę powiedzieć Klarze, że...

Zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Znalazłem się w całkowitych ciemnościach. Zacząłem szukać po omacku książki. Znalazłem ją i próbując złapać oddech, zacząłem przemieszczać się w dół schodów, opierając się o ścianę. Wyszedłem na zewnątrz, plując krwią i łapczywie wdychając powietrze. Zimno i wiatr wzięły w kleszcze moje przemoczone ubranie. Rana na Ergach paliła.

– Nic panu nie jest? – usłyszałem w ciemnościach.

Był to żebrak, któremu nie tak dawno odmówiłem pomocy. Unikając jego wzroku, pokręciłem głową, zawstydzony. Ruszyłem przed siebie.

– Niech pan chociaż poczeka, aż przestanie padać – zasugerował

żebrak.

Wziął mnie pod ramię i zaprowadził do kąta pod arkadami, gdzie trzymał tobołek i torbę ze starymi brudnymi ubraniami.

– Mam trochę wina. Nie jest złe. Proszę się napić. Troszkę pana rozgrzeje, a przy okazji zdezynfekuje to...

Wypiłem łyk z podsuniętej butelki. Smakowało jak nafta rozcieńczona octem, ale ciepło tego poczęstunku przynosiło ukojenie żołądkowi i nerwom. Kilka kropel spłynęło mi na ranę i w tej najczarniejszej nocy mego życia nagle ujrzałem gwiazdy.

– Dobrze, nie? – Uśmiechnął się żebrak – No, proszę sobie nie żałować, śmiało, bo ten trunek postawi na nogi umarłego!

– Nie, nie, dzięki. Pańska kolej – szepnąłem.

Żebrak pociągnął tęgi łyk. Bacznie mu się przyjrzałem. Miał wygląd ministerialnego szaraczka z księgowości, który przez piętnaście lat chadzałby w tym samym garniturze. Wyciągnął ku mnie swoją dłoń. Uścisnąłem ją.

– Fermín Romero de Torres, chwilowo na wymówieniu. Miło mi pana poznać.

– Daniel Sempere, kompletny idiota. Cała przyjemność po mojej stronie.

– Niech się pan tak łatwo w psią skórę nie zaszywa, w takie noce jak ta dzisiejsza na wszystko patrzy się niełaskawym okiem. Wbrew sytuacji, w jakiej mnie pan znajdujesz, jestem urodzonym optymistą. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dni reżimu są policzone. Według wszelkich znaków Amerykanie dokonają na nas inwazji w najmniej spodziewanym momencie, a generalissimusowi Franco załatwią ciepłą posadę w kiosku z gazetami w Ceucie lub Melilli. Ja zaś w pełni odzyskam stanowisko, reputację i utraconą cześć.

– Czym się pan zajmował?

– Wywiad. Superszpiegostwo – powiedział Fermín Romero de Torres. – Powiem tylko, że byłem człowiekiem prezydenta Maria w Hawanie, i to powinno panu wystarczyć.

Potakiwałem ze zrozumieniem. Kolejny wariat. Barcelońskie noce obfitowały w takich wariatów. W takich idiotów jak ja, również.

– Ta rana elegancko nie wygląda. Nieźle pan oberwał, co?

Dotknąłem wargi. Ciągle krwawiła.

– Przez babę? – spytał. – Mógł pan sobie darować. Kobiety w tym kraju i proszę mi wierzyć, bo znam się na rzeczy, to oziębłe, pozbawione temperamentu dewotki. Właśnie tak, i nie inaczej. We wdzięcznej pamięci będę mieć zawsze pewną Mulatkę, którą zmuszony byłem zostawić na Kubie. To inny świat, proszę szanownego pana, zupełnie inny świat. Bo trza wiedzieć, że jak karaibska samiczka przylgnie do cię i rozchybocze się w takt tych rytmów kubańskich, i zacznie szeptać: „koguciku, zrób mi dobrze, zrób mi dobrze”, to wie pan, krew nie woda i prawdziwy mężczyzna, zresztą co ja się tu będę rozwodził...

Odniosłem wrażenie, że Fermín Romero de Torres, czy jakkolwiek brzmiało jego prawdziwe imię i nazwisko, spragniony był jakiegokolwiek rozmowy, niemal tak samo jak gorącej kąpieli, talerza soczewicy z chorizo i czystej bielizny. Przez jakiś czas udawałem, że słucham go z zainteresowaniem, czekając, aż ból nieco ustąpi. Przyszło mi to bez większego wysiłku, gdyż owemu człeczynie potrzeba było jedynie przytakiwania i kogoś, kto by udawał, że go słucha. Przystępował już do ujawnienia mi szczegółów i technicznych niuansów tajnego planu porwania małżonki głowy państwa, doñi Carmen Polo de Franco, gdy spostrzegłem, że coraz mniej pada, a burza powoli przesuwa się na północ.

– Na mnie już czas – wymamrotałem, zbierając się do wstania.

Fermín Romero de Torres pokiwał głową ze smutkiem i pomógł mi wstać, udając, że tak naprawdę to otrzepuje mi tylko pobrudzone ubranie.

– Może się jeszcze kiedyś spotkamy – rzekł zrezygnowany. – Lubię gadać, co zrobić. Jak zaczynam nawijać, to... a o tym porwaniu, to niech zostanie między nami, dobrze?

– Proszę się nie przejmować, będę milczeć jak grób. I dziękuję za wino.

Ruszyłem w kierunku Ramblas. Opuszczając plac, odwróciłem się, by rzucić okiem na okna mieszkania Barceló. Było w nich ciemno i spływały łzami deszczu. Chciałem wzbudzić w sobie nienawiść do Klary, ale nie potrafiłem. Prawdziwa nienawiść to dar, którego człowiek uczy się latami.

Przysięgłem sobie, że nie będę starał się jej zobaczyć, że już nigdy

nie wymówię jej imienia ani nie wspomnę czasu, jaki straciłem u jej boku. Z niezrozumiałych powodów poczułem się całkowicie spokojny. Złość, która wyrzuciła mnie z domu na ulicę, gdzie się rozplynęła. Złakłem się, że następnego dnia wróci ze zdwojoną siłą. Złakłem się, że zazdrość i wstyd zaczną mnie powoli toczyć, gdy przeżycia tej nocy opadną pod własnym ciężarem. Do świtu brakowało kilku godzin, ale dopiero po załatwieniu jeszcze jednej sprawy mogłem wrócić do domu z czystym sumieniem.

Ulica Arco del Teatro, duża szczelina zauważalna jedynie jako półmrok, nadal jednak istniała. Strumyk czarnej wody wezbrał na środku uliczki i zmierzał czarną procesją ku centrum dzielnicy Raval. Rozpoznałem stare drewniane drzwi i barokową fasadę, przed którą przyprowadził mnie ojciec pewnego poranka sześć lat temu. Wszedłem po stopniach i ukryłem się przed deszczem w łuku portalu cuchnącego szczynami i zbutwiałym drewnem. Wokół Cmentarza Zapomnianych Książek unosił się silny jak nigdy trupi zapach. Nie pamiętałem już, że kołatka zdobna była w czarci maskaron. Złapałem ją za rogi i zastukałem trzy razy do drzwi. Za drzwiami potoczyło się piwniczne echo. Odczekałem chwilę i ponownie zastukałem, tym razem sześciokrotnie, i tak mocno, że aż mnie zaboląła ręka. Minęło kolejnych parę minut, więc zacząłem przypuszczać, że nikogo tam nie ma. Przykucnąłem przy drzwiach i wyjąłem książkę Caraxa z kieszeni marynarki. Otworzyłem ją i raz jeszcze przeczytałem pierwsze zdanie, które tak mnie kiedyś porwało.

Tamtego lata padało codziennie i aczkolwiek wielu mówiło, że to kara boska za uruchomienie w miasteczku kasyna tuż obok kościoła, ja wiedziałem, że to z mojej, i tylko mojej winy, bo nauczyłem się kłamać, a w pamięci zachowywałem jeszcze ostatnie słowa mojej matki wypowiedziane na łożu śmierci: nigdy nie kochałam tego, za którego wyszłam za mąż, tylko innego, o którym dowiedziałam się, że zginął na wojnie; odszukaj go i powiedz mu, że umierając, o nim myślałam, bo to on jest twoim prawdziwym ojcem.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie owej nocy sprzed ośmiu lat,

spędzonej na gorączkowej lekturze. Zamknąłem książkę, by zastukać po raz trzeci i ostatni. Nie zdążyłem dotknąć nawet kołatki, gdy drzwi uchylił się na tyle szeroko, bym mógł dostrzec zarys twarzy strażnika, trzymającego kaganek.

– Dobry wieczór – szepnąłem. – Izaak, nieprawdaż?

Strażnik przyjrzał mi się bez śladu zdziwienia. Blask lampki wydobywał z ciemności ostre rysy jego twarzy w bursztynowych i szkarłatnych tonacjach, przydając mu uderzającego podobieństwa do czarnej kołatki.

– Pan jest Sempere, syn – rzekł zmęczonym głosem.

– Ma pan doskonałą pamięć.

– A pan ma tak cudowne wyczucie stosowności, że aż się rzygać chce. Wie szanowny pan, która jest godzina?

Jego przenikliwe spojrzenie już dojrzało książkę pod moją marynarką. Uczynił nakazujący gest głową. Wyjąłem książkę i pokazałem mu.

– Carax – powiedział. – W tym mieście góra dziesięć osób wie, kto zaczął, albo przeczytało tę książkę.

– Otóż komuś z tej dziesiątki bardzo zależy na spaleniu jej. Na jej ukrycie nie widzę lepszego miejsca, w każdym razie żadne inne nie przychodzi mi na myśl.

– To jest cmentarz, a nie sejf.

– W rzeczy samej. Trzeba tę książkę tak głęboko pogrzebać, żeby nikt jej nie mógł znaleźć.

Izaak wychylił głowę i rozejrzał się podejrzliwie po zaułku. Uchylił trochę szerzej drzwi i skinął na mnie, bym szybko wszedł. Tonący w nieprzeniknionych ciemnościach korytarz zionął stopionym woskiem i wilgocią. Słysząc było miarowy plusk spadających w ciemnościach kropel. Izaak podał mi kaganek i sięgnął do kieszeni płaszcza po pęk kluczy, których ilości i różności pozazdrościłby mu więzienny dozorca. Chyba za sprawą wiedzy tajemnej °Q razu natrafił na właściwy, by następnie włożyć go do zamka mieszczącego się w szklanej obudowie zawierającej mnóstwo dźwigni i kół zębatach, Co nasuwało skojarzenie z pozytywką, ale na skalę przemysłową. Po przekręceniu klucza rozległ się trzask niczym we wnętrzu nakręconej zabawki zobaczyłem, jak dźwignie i zapadki prześlizgują się w zadziwiający

mechanicznym balecie, doprowadzając do zablokowania drzwi pajączyną stalowych sztab, zapadających się w otwory wykute w kamiennym murze.

– Bank Hiszpanii może tylko pozazdrościć – rzekłem zdumiony. – To wygląda jak ściągnięte prosto z Juliusza Verne'a.

– Z Kafki – rzucił Izaak, odbierając mi kaganek i kierując się ku podziemiom budynku. – W dniu, w którym zrozumie pan, że interes z książkami to bida z nędzą i postanowi pan wówczas obrabować bank lub założyć własny, co wychodzi na jedno i to samo, proszę wpaść do mnie; wyjaśnię panu to i owo na temat zamków.

Szedłem za nim korytarzami, które jawiły mi się w pamięci we freskach w anioły i chimery. Izaak trzymał wysoko kaganek mrugający czerwonałą łuną. Utykał nieco, a jego okrycie z postrzępionej flaneli przywodziło na myśl raczej całun niż płaszcz. Pomyślałem, że ten człowiek, ni to Charon, ni to aleksandryjski bibliotekarz, na pewno czułby się dobrze przy lekturze Juliana Caraxa.

– Wie pan coś o Caraksie? – zapytałem.

Izaak zatrzymał się na końcu jednej z galeryjek i spojrzał na mnie obojętnie.

– Niewiele. Tyle tylko, co mi o nim opowiedziano.

– Kto opowiedział?

– Ktoś, kto go dobrze znał, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Serce mi zakolało w piersi.

– Kiedy to było?

– Gdy jeszcze się cesałem. A pan zapewne koszulę nosił w zębach, zresztą odnoszę wrażenie, że nie wyrósł pan zanadto od tamtego czasu. No, niech pan na siebie popatrzy: trzęsie się pan cały – powiedział.

– Cały jestem przemoczony, a tu jest zimno.

– Następnym razem proszę się zapowiedzieć, włączę centralne ogrzewanie i chuchać będę i dmuchać na moją okruszynkę. A na razie proszę za mną, do mojego biura, tam mam piec, a i jakiś koc się znajdzie do okrycia, gdy będziemy suszyć pańskie ubranie. Trochę merkurochromu i wody utlenionej też by się przydało, bo gębę masz pan, jakbyś dopiero co wyszedł z komisariatu na Via Layetana.

– Nie chcę sprawiać kłopotu, proszę mi wierzyć.

– Żaden kłopot. Dla siebie to robię, nie dla pana. Za tymi drzwiami ja ustalę reguły, a tu jedynymi zmarłymi są książki. Jeszcze mi pan zapalenie płuc złapie i będę musiał wezwać tych z kostnicy. A tą książką zdążymy się zająć. Trzydzieści osiem lat tu jestem i nie widziałem jeszcze, by którakolwiek zaczęła uciekać.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak jestem panu wdzięczny...

– Dobra, dobra. Wpuściłem pana ze względu na szacunek, jaki żywię do pańskiego ojca, inaczej stałby pan jeszcze na ulicy. Proszę za mną. A jeśli będzie pan grzeczny, to być może opowiem, co wiem o pańskim przyjacielu Caraksie.

Patrząc na niego kątem oka, zauważyłem, że łobuzersko uśmiecha się pod nosem. Izaak najwyraźniej świetnie się bawił w roli złowrogiego cerbera. Uśmiechnąłem się do siebie. Już nie miałem żadnych wątpliwości, czyje rysy miała twarzyczka czorta z kołatki.

Izaak narzucił mi na ramiona kilka cienkich koców i podał parującą filiżankę z czymś, co pachniało jak gorąca czekolada z ratafią.

– Zaczął pan mówić o...

– Nie ma zbyt dużo do opowiadania. Pierwszą osobą, od której usłyszałem o Caraksie, był Toni Cabestany, wydawca. Mówię o czasach sprzed dwudziestu lat, gdy jeszcze istniało wydawnictwo. Zawsze, gdy wracał ze swych podróży do Londynu, Paryża czy Wiednia, wpadał tutaj na pogawędkę. I on, i ja byliśmy już wdowcami, toteż niewesoło żartował, że teraz księgi mamy za żony, ja księgi stare i zapomniane, on zaś buchalteryjne. Przyjaźniliśmy się. W trakcie jednej z takich wizyt opowiedział mi, że nabył za parę groszy prawa autorskie do powieści niejakiego Juliana Caraxa, barcelończyka mieszkającego w Paryżu. To chyba było w dwudziestym ósmym, może w dwudziestym dziewiątym roku. Zdaje się, że Carax pracował nocami jako pianista w lichym burdelu na Pigalle, by w dzień pisać w nędznej mansardzie na Saint Germain. Paryż to jedyne miasto na świecie, gdzie śmierć głodowa uznawana jest wciąż jeszcze za sztukę. Carax opublikował we Francji parę powieści, które z handlowego punktu widzenia okazały się totalną klapą. Nikt za niego nie dawał złamanego grosza w Paryżu, a Cabestany zawsze lubił kupować tanio.

– Więc Carax pisał po francusku czy po hiszpańsku?

– Ba, żebym to ja wiedział. Najprawdopodobniej w obu językach. Jego matka była Francuzką, nauczycielką muzyki, wydaje mi się, a on mieszkał w Paryżu od dziewiętnastego czy dwudziestego roku życia. Cabestany mówił, że otrzymywali rękopisy od Caraxa po hiszpańsku. A jemu było wszystko jedno, czy to oryginał, czy przekład. Ulubionym językiem Cabesnv'ego był język pesety, wszystko inne było mu obojętne. Cabestany sądził, że może przy odrobinie szczęścia uda mu się wypuścić na rynek hiszpański kilka tysięcy egzemplarzy Caraxa.

– I udało mu się?

Izaak ściągnął brwi, dolewając mi trochę swojej mikstury.

– Wydaje mi się, że najwięcej udało mu się sprzedać Czerwonego domu, jakieś dziewięćdziesiąt egzemplarzy.

– Ale wydawał nadal Caraxa, nawet tracąc pieniądze – podkreśliłem.

– Otóż to. Naprawdę nie mam pojęcia dlaczego. Bo co jak co, ale Cabestany na pewno nie był romantykiem. Widocznie każdy musi mieć swój sekret... Pomiędzy dwudziestym ósmym a trzydziestym szóstym rokiem opublikował mu osiem powieści. A prawdziwe pieniądze robił na katechizmach i romansidłach w odcinkach, z prowincjonalną heroiną Violetą La – Fleur w roli głównej. Ta seria świetnie sprzedawała się w kioskach. A powieści Caraxa, jak miemam, wydawał dla przyjemności i z przekory wobec Darwina.

– Co się stało z panem Cabestany?

Izaak westchnął, unosząc wzrok.

– Lata, te każdemu z nas wystawiają rachunek. Zaczęły go nękać choroby, pojawiły się jakieś problemy z pieniędzmi. W trzydziestym szóstym najstarszy syn przejął wydawnictwo, ale należał do tych, co to nie potrafią przeczytać metki na własnych majtkach. Firma upadła w ciągu niespełna roku. Na szczęście Cabestany już nie zdołał zobaczyć, co spadkobiercy uczynili z dorobkiem jego całego życia ani co wojna uczyniła z tym krajem. Zabrał go tętniak w noc Wszystkich Świętych, z cohibą w ustach i dwudziestopięcioletnią panienką na kolanach. Syn był z innej gliny. Arogancki jak to tylko głupcy być potrafią. Jego pierwszym genialnym pomysłem była próba wyprzedania całego stanu magazynowego wydawnictwa na Przemiał lub coś podobnego. Bo jeden z jego przyjaciół, kolejny pieszczonek z willą w Caldetas i rozbijający się bugatti, przekonał go, że miłosne fotonowele i Mein Kampf będą się sprzedawać jak świeże bułeczki i że potrzeba będzie mnóstwa celulozy, żeby zaspokoić popyt na jedno i drugie.

– Z zrobił to?

– Nie zdążył. Tuż po przejęciu wydawnictwa odwiedził go w domu jakiś dziwny gość i złożył bardzo szczodłą ofertę. Chciał nabyć wszystkie egzemplarze powieści Juliana Caraxa będące w posiadaniu wydawnictwa, oferując za nie trzykrotną cenę zbytu.

– I, niech zgadnę, chciał je spalić – szepnąłem.

Izaak uśmiechnął się zaskoczony.

– No właśnie. A wydawało się, że do dwóch pan zliczyć nie umie, tylko by pan pytał i pytał.

– A ten gość kto zacz? – zapytałem.

– Jakiś Aubert albo Coubert, nie pamiętam dokładnie.

– Laín Coubert?

– Mówi to panu coś?

– To imię jednego z bohaterów *Cienia wiatru*, ostatniej powieści Caraxa.

Izaak zmarszczył brwi.

– Postać fikcyjna?

– W książce Laín Coubert to imię, jakie przyjmuje diabeł.

– Co nieco teatralne, moim zdaniem. Ale ktokolwiek to był, przynajmniej miał poczucie humoru – ocenił Izaak.

Mając świeżo w pamięci spotkanie z owym osobnikiem, nie znajdowałem w nim poczucia humoru za grosz, ale swoją opinię zachowałem na inną okazję.

– Ów osobnik, Coubert, czy jak mu tam, miał twarz poparzoną, zniekształconą?

Izaak spojrział na mnie z uśmiechem ni to kpiny, ni to przejęcia.

– Nie mam pojęcia. Osobie, która mi to wszystko opowiedziała, nie dane było go zobaczyć, a dowiedziała się o tym, gdyż Cabestany junior następnego dnia opowiedział wszystko swojej sekretarce. Ale o żadnej poparzonej twarzy nie wspomniał. I nie wziął pan tego z żadnego powieścidla, co?

Potrząsnąłem głową, dając znać, że ten temat jest nieistotny.

– A jak się to wszystko skończyło? Syn wydawcy sprzedał książki Coubertowi? – spytałem.

– Pieszczoszek chciał być za sprytny. Zażądał sumy większej od oferowanej mu przez Couberta, ten zaś wycofał ofertę. Kilka dni później magazyn wydawnictwa Cabestany w Pueblo Nuevo spłonął doszczętnie, krótko po północy. I to za darmo.

Westchnąłem.

– Co się stało z książkami Caraxa? Spłonęły?

– Niemal wszystkie. Na szczęście sekretarkę Cabestany'ego, gdy usłyszała o ofercie, coś tknęło i z własnej inicjatywy i na własne

ryzyko poszła do magazynu i zabrała do domu po jednym egzemplarzu z każdego tytułu Caraxa. To do jej obowiązków należało prowadzenie korespondencji z Caraxem, a z czasem wywiązała się nawet między nimi przyjaźń. Miała na imię Nuria i wydaje mi się, że była jedyną osobą w wydawnictwie, a prawdopodobnie i w całej Barcelonie, która czytała powieści Caraxa. Nuria ma słabość do z góry przegranych spraw. Gdy była mała, przynosiła do domu bezpańskie zwierzęta. Z czasem zaczęła przyjmować pod swą macierzyńską opiekę pisarzy przeklętych, może dlatego, że jej ojciec chciał być jednym z nich, ale nigdy mu się to nie udało.

– Wygląda na to, że zna ją pan dobrze.

Izaak wykrzywił twarz w uśmiechu diabła kulawego.

– Lepiej niż jej samej się wydaje. To moja córka.

Poddałem się milczeniu i zwątpieniu. Im więcej słyszałem o tej historii, tym bardziej czułem się zagubiony.

– Słyszałem, że Carax wrócił do Barcelony w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku. Niektórzy mówią, że tu zmarł. Miał rodzinę w mieście? Kogoś, kto mógłby coś o nim wiedzieć?

Izaak westchnął.

– A skąd ja mogę wiedzieć. Wydaje mi się, że rodzice Caraxa rozstali się dawno temu. Matka wyjechała do Ameryki Południowej, gdzie ponownie wyszła za mąż. Z ojcem zaś, z tego co mi wiadomo, nie utrzymywał kontaktu, odkąd wyjechał do Paryża.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem. Ludzie lubią komplikować sobie życie, jakby już samo w sobie nie było wystarczająco skomplikowane.

– Nie wie pan, czy jeszcze żyje?

– Mam nadzieję, że żyje. Był młodszy ode mnie, ale ja już mało bywam bieście i od lat nie czytam nekrologów, znajomi padają jak muchy i cholery można dostać, naprawdę. Aha, zapomniałbym, Carax to nazwisko matki, bo ojciec nazywał się Fortuny. Miał pracownię kapeluszy na rondzie San Antonio i z tego, co wiem, nie za bardzo mu się układało z synem.

– A mogło tak być, że Carax po powrocie do Barcelony, skoro byli zaprzyjaźnieni, starał się o spotkanie z pańską córką Nurią?

Izaak roześmiał się gorzko.

– Najprawdopodobniej jestem ostatnią osobą, która mogłaby to wiedzieć. Mimo wszystko jestem jej ojcem. Wiem, że raz, w trzydziestym drugim albo trzydziestym trzecim, Nuria pojechała do Paryża w sprawach Cabestany'ego i gościła przez kilka tygodni w domu Juliana Caraxa. A wiem to od Cabestan'ego, bo sama twierdziła, że mieszkała w hotelu. Moja córka wówczas była panną, a ja czułem przez skórę, że Carax jest w niej zadurzony. Moja Nuria należy do tych, co to ledwie wejda do sklepu, łamią męskie serca.

– Chce pan powiedzieć, że byli kochankami?

– No, widzę, że romansidła bardzo panu leżą. Nigdy się nie wtrącałem w prywatne życie Nurii, tym bardziej że moje własne nie należało do przykładnych. Jeśli kiedyś będzie pan miał córkę, błogosławieństwo, którego nikomu nie życzę, gdyż prędzej czy później zawsze złamie panu serce, ale wracając do tematu – gdy będzie pan miał córkę, to zacznie pan dzielić mężczyzn na dwa rodzaje: tych, których pan podejrzewa o sypianie z nią, i tych, których pan nie podejrzewa. A ten, który będzie się wypierał, łże jak najęty. Czułem, że Carax należy do pierwszej grupy, tym samym więc było mi obojętne, czy to geniusz, czy godny litości nieborak – ja zawsze go miałem za sukinsyna.

– Być może był pan w błędzie.

– Proszę się nie obrażać, ale jest pan jeszcze bardzo młody, a o kobietach wie pan tyle, co ja o brabanckich koronkach.

– Święta racja – zgodziłem się. – Co się stało z książkami, które pańska córka zabrała z magazynu?

– Są tutaj.

– Tutaj?

– A jak się panu zdaje, skąd się wzięła książka, którą pan znalazł? Wtedy, gdy przyprowadził pana ojciec?

– Nie rozumiem.

– Przecież to proste. Kilka dni po pożarze w magazynach Cabestany'ego Nuria zjawiała się u mnie. Była zdenerwowana. Twierdziła, że ktoś ją śledzi i że się obawia, że ów Coubert chce zdobyć książki Caraxa, aby je zniszczyć. Wyznała, że przyszła ukryć tu książki. Zakręciła się po dużej sali jak ktoś zakopujący skarby i ukryła je gdzieś w labiryncie półek. Nie pytałem, gdzie je wstawiła, a i sama nic

mi na ten temat nie rzekła. Na odchodne powiedziała tylko, że jak odnajdzie Caraxa, to po nie wróci. Wydawało mi się, że wciąż jest w nim zakochana, ale nic nie powiedziałem. Zapytałem, czy widziała go ostatnio, czy słyszała coś o nim. Odparła, że od miesięcy nie ma od niego żadnych wieści, praktycznie od czasu gdy przysłał jej z Paryża korektę swej ostatniej książki. Może i mnie okłamała, nie wiem. Ale wiem, że od tamtego dnia Nuria nie miała żadnych wieści o Caraksie, a książki zostały tu, stając się pożywką dla kurzu.

– A jak pan sądzi, czy pańska córka nie miałaby nic przeciwko temu, żeby ze mną o tym wszystkim porozmawiać?

– No cóż, do gadania mojej córki namawiać nie trzeba, ale czy zdoła powiedzieć panu więcej od nizej podpisanego, wątpię. Proszę zauważyć, że od tamtych wydarzeń minęło już dużo czasu. Z kolei nie ma co ukrywać, że stosunki między nami nie układają się tak, jakbym sobie tego życzył. Widujemy się raz w miesiącu. Idziemy coś zjeść gdzieś w pobliżu, a potem jak przyszła, tak znika. Wiem, że lata temu wyszła za mąż za zacnego chłopca, dziennikarza, trochę wariatuńcia, prawdę mówiąc z tych, co to zawsze po uszy siedzą w polityce, ale złote serce. Wzięła ślub cywilny, nikogo nie zaprosili. Dowiedziałem się o tym miesiąc później. Nigdy mi nie przedstawiła męża. Nazywa się Miquel. Chyba Miquel. Przypuszczam, że nie jest dumna ze swojego ojca, i wcale jej za to nie winie... Teraz jest inną kobietą. Nawet nauczyła się robić na drutach i już podobno nie nosi się jak Simone de Beauvoir. Pewnie któregoś dnia dowiem się, że zostałem dziadkiem. Od lat pracuje w domu jako tłumaczka z francuskiego i włoskiego. Szczerze mówiąc, nie wiem, skąd takie talenty. Bo na pewno nie po ojcu. Zapiszę panu jej adres, choć nie wiem, czy to dobry pomysł, by się jej pan przyznawał, że to ja pana przysyłam.

Izaak nabazgrał coś na brzegu starej gazety, wyrwał ten skrawek i podał mi go.

– Jestem panu bardzo wdzięczny. Nigdy nic nie wiadomo, może ona coś jednak pamięta...

Izaak uśmiechnął się nie bez smutku.

– Jak była mała, pamiętała wszystko. Wszystko. A potem dzieciaki dorastają i już człowiek nie ma pojęcia, co też one myślą i co czują. I tak pewnie powinno być. Niech pan nie mówi Nurii, co panu

naopowiadałem, dobrze? Niech to zostanie między nami.

– Nie ma sprawy. Myśli pan, że ona jeszcze myśli o Caraksie?

Izaak ciężko westchnął, spuszczać wzrok.

– A bo ja wiem. Nie wiem, czy naprawdę go kochała. Takie rzeczy pozostają w sercu, a ona teraz jest mężatką. Ja w pańskim wieku miałem dziewczynę, nazywała się Teresita Boadas i szła fartuchy w zakładach Santamaria, na ulicy Comercio. Miała szesnaście lat, dwa lata mniej niż ja, i była pierwszą kobietą, w której się zakochałem. Niech pan nie robi min, ja wiem, że wam, młodym, wydaje się, że my, starzy, nigdy nie byliśmy zakochani. Ojciec Teresity sprzedawał lód na targu Borne i był niemy od urodzenia. Nie wyobraża pan sobie, ile najadłem się strachu w dniu, gdy poprosiłem go o rękę córki, a on przez pięć minut patrzył na mnie, nie wypuszczając z ręki szpikulca do lodu. Dwa lata już oszczędzałem na obrączki, gdy Teresita się rozchorowała. Powiedziała, że na coś, co złapała w zakładach. W ciągu sześciu miesięcy umarła na gruźlicę. Jeszcze dziś pamiętam jęk jej niemego ojca, gdy chowaliśmy ją na cmentarzu Pueblo Nuevo.

Zapadło głębokie milczenie. Nie miałem odwagi odetchnąć, po chwili Izaak podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Mówię o czymś, co się zdarzyło pięćdziesiąt pięć lat temu, bagatela. Ale proszę mi wierzyć, nie ma dnia, żebym jej nie wspomniał, i naszych spacerów aż do ruin Wystawy Światowej z tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku, i jej śmiechu, gdy czytałem swoje wiersze. Pisałem je na zapleczu sklepiku z wędlinami i produktami kolonialnymi mojego wuja Leopolda. Nawet pamiętam twarz Cyganki, która na plaży Bogatell wróżyła nam z ręki i przepowiedziała, że do końca życia będziemy razem. Na swój sposób nie kłamała. I cóż mogę powiedzieć? Że tak, że chyba Nuria jeszcze wspomina tamtego mężczyznę, choć się nie przyznaje. I tak naprawdę nie wybaczę tego Caraxowi nigdy w życiu. Pan jest jeszcze młody, ale ja wiem, jak bolą tego typu rzeczy. Jeśli chce pan znać moje zdanie – Carax był łowcą serc, a serce mojej córki zabrał do grobu albo do piekła, proszę pana tylko o jedno, jeśli pan się z nią spotka i porozmawia: niech mi pan później opowie, jak się miewa. Niech się pan dowie, czy jest szczęśliwa. I czy wybaczyła swojemu ojcu.

Oświetlając sobie drogę kagankiem, tuż przed świtem raz jeszcze zapuściłem się w gąszcz Cmentarza Zapomnianych Książek. I wyobrażałem sobie córkę Izaaka przemierzającą te same mroczne i niekończące się korytarze, kierowaną tym samym co i ja nakazem: ocalić książkę. Z początku wydawało mi się, że pamiętam drogę, jaką szedłem prowadzony przez ojca podczas pierwszej wizyty w tym miejscu, ale szybko zrozumiałem, że labirynt wił się, skręcał, załamywał i zawracał, tworząc skomplikowane, niemożliwe do zapamiętania meandry. Trzykrotnie przemierzałem drogę, która wydawała się znajoma, i trzykrotnie labirynt doprowadzał mnie do punktu wyjścia. A tam czekał na mnie uśmiechnięty Izaak.

– Zamierza pan kiedyś po nią wrócić? – zapytał.

– Oczywiście.

– Wobec tego może ma pan ochotę na drobny fortel.

– Fortel?

– Młody człowieku, coś panu ciężko idzie ruszanie głową. Proszę sobie przypomnieć Minotaura.

Kilka sekund zajęło mi zrozumienie jego odpowiedzi. Izaak wyjął z kieszeni stary scyzoryk i podał mi go.

– Niech pan zrobi małe nacięcie na każdym z rogów, gdzie pan skręci, znak, który tylko pan rozpozna. To stare drewno i ma tyle rys i pęknięć, że nikt nie zauważy, chyba że będzie wiedział, czego szukać...

Poszedłem za jego radą i ponownie zanurzyłem się w zwodniczym gąszczu – Każdą zmianę kierunku zaznaczałem na półce literami C i X po stronie, w którą skręcałem. Po dwudziestu minutach byłem całkowicie zagubiony we wnętrzu budynku, a na miejsce, gdzie miałem ukryć powieść, trafiłem przez przypadek. Po prawej stronie zobaczyłem rząd tomów o ustawach amortyzacyjnych pióra przesławnego Jovellanosa. W moich oczach nastolatka tego typu kamuflaż mógłby zmylić najbardziej przebiegłe umysły. Wyjąłem kilka woluminów i przejrzałem drugi rząd książek ukrytych za murem spiżowej prozy. W obłoczkach kurzu, kilka komedii Moratina i ostatni romans rycerski *Curial e Güelfa* sąsiadowały z *Traktatem teologiczno – politycznym* Spinozy. Dla jeszcze większej zabawy zdecydowałem się postawić Caraxa między rocznikiem sądu grodzkiego Gerony z tysiąc dziewięćset pierwszego roku a kolekcją powieści Juana Valery.

Wyjąłem rozdzielający je tom antologii poezji Złotego Wieku i w to miejsce wstawiłem *Cień wiatru*. Na pożegnanie puściłem do książki oko i z powrotem wstawiłem na półkę pisma Jovellanosa, zamurując nimi książki z tylnego rzędu.

Nie ociągając się dłużej, ruszyłem z powrotem, według wcześniejszego oznakowania. Przemierzając tonące w półmroku, niekończące się tunele książek, nie mogłem powstrzymać uczucia smutku i przygnębienia. Nie potrafiłem uwolnić się od myśli, że choć mnie zupełnie przypadkowo udało się odkryć cały wszechświat w nieznannej książce, znalezionej w bezkresie nieskończoności tej nekropolii, to jednak dziesiątki tysięcy książek pozostanie nieodkrytych, zapomnianych na zawsze. Poczuję się osaczony milionami porzuconych stronic, wszechświatów i bezpańskich dusz, które toną w oceanie mroku, podczas gdy świat tętniący za tymi murami życiem nieświadomie traci pamięć, dzień po dniu, uważając się za tym mądrzejszego, im więcej udaje mu się zapomnieć.

Błyskały pierwsze promienie świtu, gdy wracałem do mieszkania na ulicy Santa Ana. Otworzyłem ostrożnie drzwi i wślizgnąłem się, nie zapalając światła. Z sieni widać było w głębi korytarza jadalnię i wciąż uroczyście nakryty stół. Stał na nim nietknięty tort, a serwis czekał na kolację. Na tle okna odcinała się sylwetka ojca siedzącego nieruchomo w fotelu. Nie spał i nadal ubrany był w swój wyjściowy garnitur. Z papierosa, którego trzymał pomiędzy serdecznym a wskazującym palcem, jakby to był długopis, leniwie wznosiła się smuzka dymu. Od lat nie widziałem ojca palącego.

– Dzień dobry – szepnął, gasząc papierosa w popielniczce niemal pełnej na wpół wypalonych niedopałków.

Spojrzałem na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Patrząc pod światło, nie mogłem zobaczyć jego oczu.

– Klara telefonowała w nocy kilkakrotnie, parę godzin po twoim wyjściu – powiedział. – Sprawiała wrażenie bardzo zaniepokojonej. Prosiła, żebyś do niej zadzwonił, niezależnie od pory.

– Nie chcę już więcej się z nią spotykać ani rozmawiać – odrzekłem.

Ojciec ograniczył się do milczącego przytaknięcia. Opadłem na

jedno z krzeseł w jadalni. Wbiłem wzrok w podłogę.

– Powiesz mi, gdzie byłeś?

– Kręciłem się tu i tam.

– Bardzo się o ciebie bałem.

W jego głosie nie było złości ani nawet wyrzutu, tylko zmęczenie.

– Wiem. Bardzo mi przykro – wyznałem.

– Co sobie zrobiłeś w twarz?

– No wiesz, deszcz, poślizgnąłem się i upadłem.

– Ten deszcz miał dobry prawy sierpowy. Przyłóż sobie coś.

– To nic takiego. Nawet nie czuję – skłamałem. – Muszę się tylko położyć. Ledwo się trzymam na nogach.

– Przynajmniej rozpakuj swój prezent, zanim pójdziesz do łóżka – zaproponował ojciec.

Wskazał paczkę, owiniętą w celofan, którą wieczorem położył na stole. Zawahałem się. Ojciec skinął głową. Sięgnąłem po paczuszkę i zważyłem ją w dłoni. Po czym nie otwierając, wyciągnąłem w kierunku ojca.

– Najlepiej będzie, jeśli to zwrócisz. Nie zasługuję na żaden prezent.

– Prezenty się robi dla przyjemności osoby ofiarującej, nie z powodu osoby otrzymującej – powiedział ojciec. – Poza tym tego akurat już nie da się zwrócić. Otwórz.

W brzasku świtu ostrożnie otworzyłem starannie zapakowany prezent. Było to drewniane rzeźbione pudełko pokryte lakierem, zdobione złotymi okuciami. Rozpromieniłem się w uśmiechu, zanim jeszcze je otworzyłem. Rozległ się cudowny zegarmistrzowski trzask. Wnętrze pudełka było wyściełane granatowym aksamitem. W środku spoczywało niebywałe porażające pióro Montblanc Meisterstück Victora Hugo. Wziąłem je do ręki, podszedłem do balkonu i obejrzałem w świetle poranka. Na złotym zaczepie skuwki była wygrawerowana inskrypcja:

Daniel Sempere, 1953

Rozdziawiwszy usta, spojrzałem na ojca. Chyba nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego jak w owej chwili. Bez słowa podniósł

się z fotela i mocno mnie objął. Poczulem, że coś ściska mnie w gardle, więc z braku słów zdusiłem w sobie resztki głosu.

Trzymać fason
1953

Owego roku jesień okryła Barcelonę warstwą opadłych liści, poruszającą się po ulicach jak skóra węża. Wspomnienie tej odległej nocy urodzinowej mocno mnie utemperowało, a może to życie samo postanowiło udzielić mi urlopu dziekańskiego od moich problemów rodem z wodewilu, żebym zaczął już dorastać. Sam byłem mocno zdumiony, że nie zanadto myślę o Klarze Barceló, Julianie Caraksie czy też o owym cudaku bez twarzy, roztaczającym woń spalonego papieru i zachowującym się niczym postać, która dopiero co wyrwała się ze stron jakiejś powieści. W listopadzie minął miesiąc od otrzeźwienia i ani razu nie zbliżyłem się nawet do Plaza Real, by próbować wyżebrać choćby cień Klary w oknie. Nie była to, prawdę mówiąc, wyłącznie moja zasługa. W księgarni zaczął się spory ruch, do tego stopnia, iż nie mogliśmy nadążyć z robotą.

– Trzeba będzie pomyśleć o zatrudnieniu kogoś, kto nam pomoże w wyszukiwaniu zamówionych tytułów – stwierdził w końcu ojciec. – Przydałby się nam ktoś szczególny, ni to detektyw, ni to poeta, bez wygórowanych żądań finansowych, a zarazem nieobawiający się zadań niemożliwych.

– Wydaje mi się, że mam idealnego kandydata – powiedziałem.

Odnalazłem Fermina Romero de Torres tam, gdzie spodziewałem się go spotkać, pod arkadami ulicy Fernando. Żebrak usiłował posklejać pierwszą stronę gazety poniedziałkowej z wyłowionych z kosza na śmieci strzępów. Jeden z nagłówków zapowiadał materiał o robotach publicznych i czekającym nas rozwoju.

– Na miły Bóg! Nie wyjdziemy z tego bagna! – usłyszałem jego okrzyk. – Ci faszyci w końcu przemienia nas wszystkich w stado bigotów i pantofelków pierwotniaków.

– Dzień dobry – zagadnąłem go. – Pamięta mnie pan?

Włóczęga podniósł wzrok i w jednej chwili jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Kogóż to moje oczy widzą! Co u pana słyhać, przyjacielu? Nie pogardzi pan łyczkiem czerwonego wina, nieprawdaż?

– Dzisiaj ja stawiam – powiedziałem. – Ma pan na coś szczególnie ochotę?

– No cóż, nie pogardziłbym owocami morza z rusztu, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi i zupeł nic.

Po drodze do księgarni Fermín Romero de Torres opowiedział mi o różnego rodzaju ucieczkach, myleniu tropów, zacieraniu śladów, jakie musiał przedsięwziąć w ostatnich tygodniach celem wymknięcia się siłom bezpieczeństwa państwa, w szczególności zaś swej nemezis, niejakiemu inspektorowi Fumero, z którym, jak się zdaje, od dawna chyba był w nieustannych zatargach.

– Fumero? – spytałem, przypomniawszy sobie, że tak nazywał się żołnierz, który zamordował ojca Klary Barceló w zamku Montjuïc na początku wojny.

Człeczyna przytaknął, nagle blady i strwożony. Wyglądał na całkiem wygłodzonego, był brudny i cuchnął miesiącami bezdomnej tułaczki. Nie miał pojęcia, dokąd go prowadzę, i dostrzegłem w jego oczach strach i narastający niepokój, który starał się pokryć potokiem słów. Gdy stanęliśmy przed księgarnią, spojrział na mnie niepewnym wzrokiem.

– Śmiało, proszę wejść. To księgarnia mojego ojca, którego chcę panu przedstawić.

Żebrok skulił się niepewny i zdenerwowany.

– Nie, nie, absolutnie, ja się zupełnie nie nadaję do przedstawiania, a to jest szacowny lokal, tylko wstyd panu przyniosę...

Ojciec wyjrzał zza drzwi, jednym rzutem oka otaksował dziada proszalnego, a następnie spojrział na mnie kątem oka.

– Tato, to jest pan Fermín Romero de Torres.

– Uniżony sługa szanownego pana – powiedział włóczęga, trzęsąc się niemal.

Ojciec uśmiechnął się doń uspokajająco i wyciągnął rękę. Włóczęga nie ośmielił się jej uścisnąć, zawstydzony swoim wyglądem i pokrywającym go brudem.

– Panowie, ja już lepiej sobie pójdę i zostawię panów w spokoju. – wyjąkał.

Ojciec delikatnie ujął go pod ramię.

– Nic z tych rzeczy, syn uprzedził mnie, że zjemy coś razem.

Żebrak spojrział na nas tyleż przerażony, co zdumiony.

– A może jednak wejdzie pan do środka i weźmie porządną ciepłą kąpiel – Potem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przespacerujemy się do Can Solé.

Fermín Romero de Torres bąknął coś niezrozumiałego. Ojciec, ciągle z uśmiechem na ustach, poprowadził go ku wejściu i właściwie niemal siłą wciągnął na górę, podczas gdy ja zamykałem księgarnię. Odwołując się do najgłębszych tajników sztuki perswazji i uciekając się do najwymyślniejszych forteli, zdołaliśmy go w końcu skłonić, by zrzucił z siebie cuchnące łachmany i wszedł do wanny. Nago wyglądał jak dziecko wojny i trzął się jak oskubany kurczak. Przeguby dłoni i łydki pokryte miał głębokimi bliznami, a tors i plecy były jedną wielką, zagojoną raną. Już sam ich widok przyprawiał o ból. Spojrzeliśmy na siebie z ojcem przerażeni, ale nic nie powiedzieliśmy.

Żebrak, wystraszony i drżący, dał się umyć jak dziecko. Szukając dlań czystego ubrania w skrzyni, słyszałem głos nieustannie przemawiającego doń ojca. Znalazłem garnitur, którego ojciec już nie nosił, starą koszulę i jakąś bieliznę. Z całego przyodziewku żebraka nawet obuwie nie nadawało się do niczego. Wyszperałem buty, które ojciec już dawno odłożył w kąt, bo były na niego za małe. Owinąłem łachmany w gazetę, w pierwszej kolejności zaś gacie, sine i sztywne, jakby wisiały na mrozie, i wrzuciłem do kosza na śmieci. Gdy wróciłem do łazienki, ojciec golił Fermina Romero de Torres w wannie. Blady i pachnący mydłem, żebrak wyglądał na młodszego o lat dwadzieścia. Obaj sprawiali wrażenie, jakby już się zdążyli zaprzyjaźnić. Fermín Romero de Torres, być może wskutek oparów soli kąpielowych, gadał jak najęty.

Niech pan, panie Sempere, zważy w swej łaskawości, iż choć życie niezbadanymi wyrokami pchnęło mnie w świat międzynarodowych intryg, wszakoż, w sercu moim, największą estymą darzyłem nauki humanistyczne. Od małego bowiem czułem pociąg do poezji i chciałem być Wergiliuszem albo Sofoklesem, tragedie bowiem i martwe języki przyprawiają mnie o gęsią skórę rozkoszy, ale mój ojciec, niech spoczywa w pokoju, był prostakiem pozbawionym

wyobraźni i zawsze chciał, ażeby jeden z jego synów wstąpił do Gwardii Cywilnej, niestety, do tego czcigodnego korpusu nie przyjęto by żadnej z moich siedmiu siostr, nawet jeśliby za ich wcieleniem do zaszczytnej służby przemawiać miały swoiste i charakterystyczne dla linii żeńskiej w mej rodzinie problemy ze zbytnim owłosieniem na twarzy. Na łożu śmierci ojciec kazał mi przysiąc, że jeśli nie dostanę się w szeregi trójgraniastych, to przynajmniej obiorę drogę kariery urzędnika państwowego, rezygnując tym samym z mego poetyckiego powołania. Jestem człowiekiem starej daty i wiem, że ojca, jakimkolwiek byłby osłem, trzeba słuchać, pan wie, co mam na myśli. Ale, hola, hola, niech pan nie sądzi, że się intelektualnie zapaściłem, oddając się przygodzie. Co miałem przeczytać, to przeczytałem, i mogę tu, od razu, wyrecytować co znaczniejsze fragmenty z Życie jest snem.

– Nie trzeba, szefie, proszę z łaski swej ubrać się, nikt tu nie wątpi w pańską erudycję – odezwałem się, przychodząc ojcu z odsieczą.

Oczy Fermina Romero de Torres zrobiły się maślane z wdzięczności. Wyszedł z wanny, jaśniejąc. Ojciec owinał go ręcznikiem. Żebrak poczuwszy delikatny materiał na skórze, zaczął chichotać jak dziecko. Pomogłem mu podwinąć rękawy i nogawki garnituru co najmniej o kilka numerów za dużego. Ojciec zdjął swój pasek i podał mi go, żebym opiął nim spodnie gościa.

– Chudy jest pan jak szczapa – powiedział. – Prawda, Danielu?

– Wypisz, wymaluj, amant filmowy.

– Ach, gdzie tam, kiedyś, to i owszem, miało się tę prezencję, ale wszystko, co miałem z Herkulesa, straciłem w więzieniu i od tamtej pory szkoda gadać...

– A moim zdaniem ma pan coś z Charles'a Boyer, ta postawa, to oko – sprzeciwił się ojciec. – Co mi przypomina, że mam dla pana propozycję.

– Ja dla pana, panie Sempere, jeśli będzie trzeba, to i zabić jestem gotów. Wystarczy, że poda mi pan imię i nazwisko, a ja bezboleśnie likwiduję wskazanego osobnika.

– Spokojnie, moja propozycja nie sięga tak daleko. Moja oferta dotyczy pracy w księgarni, a konkretnie wyszukiwania rzadkich książek dla naszych klientów. To specyficzna archeologia literacka, trzeba znać zarówno klasyków, jak i świat paserów. Na razie nie

jestem w stanie zaproponować zbyt wielkiej pensji, ale będzie się pan stołować u nas, a do czasu znalezienia odpowiedniego lokum zamieszka pan tutaj, o ile oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.

Żebrak popatrzył na nas oniemiały.

– No i co pan na to? – zapytał ojciec. – Przyłączy się pan do nas?

Wydawało mi się, że Fermín Romero de Torres szykuje się już do odpowiedzi, ale aniśmy się obejrżeli, jak żebrak się po prostu rozpłakał.

Za pierwszą pensję Fermín Romero de Torres kupił sobie filmowy kapelusz i kalosze oraz uznał za absolutnie konieczne zaprosić ojca i mnie na danie z byczego ogona, jakie serwowano w poniedziałki w restauracji znajdującej się nieopodal barcelońskiej areny Plaza Monumental. Ojciec znalazł mu pokój w pensjonacie na ulicy Joaquin Costa, gdzie dzięki przyjaźni naszej sąsiadki Merceditas z właścicielką można było pominąć obowiązek wypełnienia karty meldunkowej dla policji i tym sposobem utrzymać Fermina Romero de Torres z dala od węchu inspektora Fumero i jego psów gończych. Nierzadko stawały mi przed oczami straszliwe blizny pokrywające jego ciało. Kusilo mnie, by zapytać go o nie, bo podejrzewałem, że kryje się za tym inspektor Fumero, ale w oczach biedaka pojawiała się coś, co powstrzymało mnie przed zadaniem tego pytania. Sam to kiedyś nam opowie, gdy uzna, że nadszedł odpowiedni moment. Codziennie rano, punkt siódma, Fermín czekał na nas przy drzwiach księgarni, nieskazitelnie ubrany, zawsze z uśmiechem na ustach, gotów do pracy przez dwanaście albo i więcej godzin bez przerwy. Odkrył w sobie niepohamowaną namiętność do gorącej czekolady i rolady z owocami, równą co najmniej jego żarliwej miłości do wielkich tragedii greckich. Przybyto mu parę kilogramów, o wygląd twarzy dbał jak urodzony dandys, Wczesywał włosy do tyłu na brylantynę i zapuścił cienki wąsik, by dorównać kroku obowiązującej modzie. Miesiąc po wyjściu z naszej wanny odmienił się nie do poznania. Spektakularna przemiana była jednak niczym w porównaniu z tym, jak Fermín Romero de Torres zadziwił nas na znaczonej mu polu walki. Detektywistyczny zmysł, którym tylekroć się przechwalał, a który ja przypisywałem chorobliwemu konfabulowaniu, rzeczywiście

cechowała chirurgiczna wręcz precyzja. Nawet najdziwniejsze trafiające doń zamówienia realizowane były w najgorszym razie w parę dni. Nie było tytułu, którego by nie znał, ani fortelu, do którego by się nie uciekł, by zdobyć książkę po najkorzystniejszej cenie. Posiłkując się swym wygadaniem, potrafił przeniknąć do prywatnych bibliotek arystokratycznych pań z ulicy Pearson i dyletantów z klubu jeździeckiego, zawsze pod innym fałszywym nazwiskiem i na tyle skutecznie, że dostawał książkę w prezencie lub za psi grosz.

Przemiana włóczęgi w przykładnego obywatela sprawiała wrażenie cudu, rodem z opowieści głoszonych przez proboszczów w celu zilustrowania nieskończonego miłosierdzia Bożego – zbyt pięknych zawsze, żeby były prawdziwe – niczym reklamy środków na porost włosów. Trzy i pół miesiąca po tym, jak Fermín zaczął pracę w księgarni, pewnej niedzieli o drugiej nad ranem obudził nas telefon. Dzwoniła właścicielka pensjonatu, w którym mieszkał Fermín Romero de Torres. Łamiącym się głosem zakomunikowała nam, że pan Romero de Torres zaryglował się w swoim pokoju, krzyczy jak wariat, waląc w ściany i przysięgając, że jeśli ktoś wejdzie, zabije się na miejscu, podrzynając sobie gardło stłuczoną butelką.

– Proszę nie dzwonić na policję. Już jedziemy.

Natychmiast ruszyliśmy na ulicę Joaquin Costa. Noc była zimna, wiatr, jakby się kto powiesił, a niebo czarne jak smoła. Minęliśmy Dom Miłosierdzia i Litości, puszczając mimo uszu pomruki wymykające się z mrocznych bram cuchnących gnojem i węglem. Dotarliśmy do rogu Ferlandina. Przed nami, niczym szpaler ściemniałych uli zanikający w mrokach dzielnicy Raval, rozciągała się ulica Joaquin Costa. Najstarszy syn właścicielki czekał na nas na ulicy.

– Dzwoniliście na policję? – zapytał ojciec.

– Jeszcze nie – odrzekł.

Wbiegliśmy na górę po schodach. Pensjonat znajdował się na drugim piętrze, a w żółtawym świetle gołych żarówek wiszących na kablach ledwo zarysowywały się kręte brudne schody. Doña Encarna, wdowa po kapralu Gwardii Cywilnej i właścicielka pensjonatu, przyjęła nas w drzwiach spowita w błękitny szlafrok i w papilotach.

– Panie Sempere, to jest przyzwoity i szanujący się pensjonat.

Klientów mi nie brakuje, więc nie widzę potrzeby, żebym miała znosić takie szopki – mówiła, prowadząc nas ciemnym korytarzem cuchnącym amoniakiem i stęchlizną.

– Rozumiem – powtarzał szeptem ojciec.

Rozdzierające wrzaski Fermina Romero de Torres dochodziły z głębi korytarza. Zza uchylonych drzwi wyglądały wymizerowane i przerażone twarze, typowe dla tanich pensjonatów i tanich zupek.

– Proszę coś z tym zrobić, a wy wszyscy do łóżek, bo to nie jest, do kurwy nędzy, rewia kabaretowa – ryknęła wściekła doña Encarna.

Stanęliśmy przed drzwiami do pokoju Fermina. Ojciec zapukał ostrożnie.

– Fermín? Jest pan? To ja, Sempere.

Wycie, jakie w odpowiedzi dobiegło zza ściany, ścięło mi krew w żyłach. Nawet doña Encarna natychmiast zapomniała o swej władczej pozie, łapiąc się za serce skryte pod ciężkimi zwałami obfitej piersi.

Ojciec znów zapukał.

– Fermín? Proszę otworzyć.

Fermín ponownie zawył, rzucając się na ściany i wykrzykując plugastwa zdartym już głosem. Ojciec westchnął.

– Ma pani klucz od tego pokoju?

– Oczywiście.

– To proszę mi go dać.

Doña Encarna zawahała się. Pozostali goście znów wychylili głowy na korytarz, bladzi ze strachu. Wrzaski dochodziły pewnie aż do Kapitanatu.

– A ty, Danielu, biegnij po doktora Baró, mieszka zaraz obok, pod numerem dwunastym na Riera Alta.

– A nie lepiej wezwać księdza? Bo ten mi wygląda na opętanego – powiedziała doña Encarna.

– Nie, nie. Lekarz wystarczy w zupełności. No, Danielu, biegnij. A panią bardzo jednak proszę o klucz.

Doktor Baró był starym kawalerem cierpiącym na bezsenność, który zabijał czas w nocy, czytając Emila Zole i oglądając stereogramy z palenkami w kusej bieliźnie. Był stałym klientem księgarni mojego ojca i sam siebie oceniał jako łapiducha z ligi okręgowej, ale stawiał

diagnozę lepiej niż połowa doktorów z prywatnych gabinetów na ulicy Muntaner. Do jego pacjentów w większości należały stare kurwy z sąsiedztwa i biedota, która mogła mu zapłacić tyle co nic, ale i tak przyjmował wszystkich. Niejednokrotnie słyszałem z jego ust, że świat to jeden wielki nocnik, a on ma nadzieję, że Barcelona do jasnej cholery wygra w końcu ligę, a dzięki temu on będzie mógł wreszcie umrzeć w spokoju. Otworzył mi drzwi w szlafroku, jechało od niego winem, z ust zwisał niedopałek.

– Co się dzieje? Daniel?

– Ojciec mnie przysyła. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy.

Gdy przybyliśmy do pensjonatu, zastaliśmy doñę Encarnę szlochającą ze strachu, gości o twarzach barwy topiącego się wosku i ojca trzymającego w ramionach Fermina Romero de Torres w kącie. Fermín był nagi, łkał i cały się trząsał. Pokój był zdewastowany, a ściany zapaskudzone czymś, co mogło być krwią albo równie dobrze ekskrementami. Doktor Baró ogarnął wzrokiem sytuację i zdecydowanym gestem nakazał mojemu ojcu położyć Fermina na łóżku. Pomógł im marzący o karierze boksera syn doñi Encarny. Fermín jęczał i skręcał się, jakby jakaś drapieżna bestia pożerała go od wewnątrz.

– Ale co jest temu biednemu człowiekowi, na Boga? Co mu jest? – zawodziła doña Encarna, stojąc w drzwiach i cały czas kręcąc głową.

Doktor zmierzył puls Ferminowi, zaświecił latarką w oczy, bez słowa wyciągnął ze swej torby lekarskiej igły, strzykawkę i flakonik i zaczął przygotowywać zastrzyk.

– Przytrzymajcie go. To go uśpi. Danielu, pomóż nam.

We czterech unieruchomiliśmy Fermina, który poczuwszy ukłucie w udo, zaczął się gwałtownie wrywać. Jego mięśnie napięły się jak stalowe liny, ale po kilku sekundach oczy zasły mu mgłą i ciało opadło bezwładnie.

– Ale na miły Bóg, ostrożnie, ten człowiek jest strasznie wymizerowany, jeszcze go pan zabije – zamartwiała się doña Encarna.

– Proszę się nie martwić. On tylko śpi – powiedział doktor, przyglądając się badawczo bliznom pokrywającym wycieńczone ciało Fermina.

Zobaczyłem, jak w milczeniu kręci głową.

- Skurwysyny – szepnął po katalońsku.
- Od czego są te blizny? – zapytałem. – Od noża?

Doktor Baró pokręcił głową w odpowiedzi, nie podnosząc wzroku. Rozejrzał się po pobojuwisku, znalazł koc i przykrył swego pacjenta.

– Oparzenia. Tego człowieka torturowano – wyjaśnił. – Takie blizny zostawia lutownica.

Fermín spał bite dwa dni. Gdy się obudził, nic nie pamiętał poza tym, że zdawało mu się, iż się obudził w ciemnej celi, i to wszystko. Czuł się tak zawstydzony swoim zachowaniem, że padł na kolana przed doñą Encarną, prosząc o przebaczenie. Przysiągł jej, że odmaluje pensjonat, i wiedząc o tym, że jest dewotką, obiecał, że zamówi dziesięć mszy w kościele Belen.

– Pan przede wszystkim ma wyzdrowieć i więcej mnie tak nie straszyć, bo jestem już na to za stara.

Ojciec zapłacił za szkody i ubłagał doñę Encarnę, by dała Ferminowi jeszcze jedną szansę. Przystała na to z ochotą. Jej goście byli na ogół ludźmi biednymi i samotnymi, tak jak i ona. Gdy jej przerażenie minęło, jeszcze bardziej polubiła Fermina i kazała sobie obiecać, że będzie zażywał pastylki przepisane mu przez doktora Baró.

– Ja dla pani, doño Encarno, to i cegłę połknę, jak będzie trzeba.

Z czasem wszyscy zaczęliśmy udawać, że całkiem o tym zdarzeniu zapomnieliśmy, ale od tamtej pory wszystkie opowieści o inspektorze Fumero zacząłem traktować jak najpoważniej. Nie chcąc, po tym zajściu, zostawiać Fermina Romero de Torres samego, niemal w każdą niedzielę zabieraliśmy go do kawiarni Novedades. Potem szliśmy do kina Femina na rogu Diputación i Paseo de Gracia. Jeden z bileterów był przyjacielem ojca i wpuszczał nas wyjściem przeciwpożarowym na parterze w połowie kroniki filmowej, zawsze w chwili, gdy generalissimus przecinał wstęgę inauguracyjną na jakiejś nowej zaporze, co doprowadzało Fermina Romero de Torres do białej gorączki.

Znieść się tego spokojnie nie da – mówił z obrzydzeniem.

– Nie lubi pan kina, Fermín?

– Szczerze? Mnie tam ta siódma muza ani ziębi, ani grzeje. W moim odczuciu jest jedynie pożywką służącą do ogłupiania i otumaniania ludzi, znacznie gorszą od piłki nożnej czy walki byków.

Kinematograf został wynaleziony ku rozrywce niepiśmiennych mas, i w ciągu pięćdziesięciu lat niewiele się tu zmieniło.

Cały ten oziębły stosunek zmienił się drastycznie w dniu, w którym Fermín Romero de Torres odkrył Carole Lombard.

– Co za biust, Jezus Maria, Józefie święty, co za biust! – wykrzyknął w trakcie projekcji na cały głos. – To nie cycki, to dwie karawele!

– Cicho siedź, świntuchu, bo zawołam kogo trzeba – doszedł nas zza pleców głos jak z konfesjonału. – Co za brak wstydu. Co za kraj ordynusów.

– Niech pan mówi ciszej – poradziłem Ferminowi.

Fermín Romero de Torres nie miał zamiaru mnie słuchać. Zatracił się całkiem w łagodnym falowaniu owego cudownego dekoltu. Z błogim uśmiechem na twarzy, z oczami upačkanymi technikolorem. Kiedy po seansie wracaliśmy Paseo de Gracia, zauważyłem, że nasz bibliograficzny detektyw wciąż nie umie wyjść z transu.

– Coś mi się zdaje, że będziemy musieli poszukać panu jakiejś kobiety – powiedziałem. – Kobieta jak nic umili panu życie.

Fermín Romero de Torres westchnął, przewijając w pamięci rozkosze prawa ciążenia.

– Mówi pan na podstawie własnego doświadczenia, Danielu? – spytał niewinnie.

Ograniczyłem się do uśmiechu, czując, jak ojciec zerka na mnie.

Od owego dnia Fermín Romero de Torres co niedzielę chodził do kina.

Ojciec wolał zostać w domu i poczytać, ale Fermín Romero de Torres nabrał zwyczaju coniedzielnego chodzenia do kina. Kupował górę czekoladek i siadał w siedemnastym rzędzie, gdzie je pochłaniał, czekając, aż na firmamencie zajaśnieje kolejna modna gwiazda. Treść filmu była mu obojętna i nie przestawał gadać, dopóki ekranu nie wypełniała dama o wydatnych atrybutach.

– Zastanawiałem się nad tym, co zasugerował mi pan onegdaj o tym. by poszukać sobie kobiety – powiedział Fermín Romero de Torres. – Być może ma pan rację. W pensjonacie przybył nowy lokator, były seminarzysta z Sewilli, huncwot nie lada, który czasami przyprawia fenomenalne dziewczyny. A nawiasem mówiąc,

zauważył pan, jak polepszyła się nasza iberyjska rasa? Wracając do naszego eksseminarzysty, nie mam pojęcia, jak on to robi, ja trzech groszy bym za niego nie dał, ale może ogłupia je zdrowaśkami. Zajmuje sąsiedni pokój, więc wszystko słyszę i wnosząc tego, co dochodzi do moich uszu, to braciszek jest artystą. Szata nie zdobi człowieka, ale swoje robi. A pan co lubi w kobietach?

– Tak naprawdę to niewiele wiem o kobietach.

– Wiedzieć to nikt nie wie, ani Freud, ani one same, ale to jest jak elektryczność, nie trzeba wiedzieć, jak działa, żeby cię kopnęło. No, niech się pan nie krępuje. Co pan w nich lubi? Dla mnie, za przeproszeniem, kobieta musi wyglądać jak samica, żeby oko miało się na czym zatrzymać i ręka, ale pan mi wygląda na takiego, co preferuje raczej chuderlawe, a to punkt widzenia, który jak najbardziej, oczywiście, szanuję. Proszę mnie źle nie zrozumieć.

– Jeśli mam być szczery, to moje doświadczenie pod tym względem jest niewielkie. Prawdę mówiąc, żadne.

Fermín Romero de Torres przyjrzał mi się uważnie, nader zaintrygowany tą manifestacją wstrzemięźliwości.

– A ja myślałem, że tamtej nocy, no wie pan, to lanie...

– Daj Boże, żeby wszystko bolało tylko jak uderzenie w twarz...

Fermín jakby czytał w moich myślach i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Ale wie pan, i proszę nie brać tego do siebie, w kobietach najlepsze jest ich odkrywanie. I nic się nie może równać z tym, gdy dochodzi do tego po raz pierwszy. Bo człowiek nie wie, co to życie, dopóki po raz pierwszy nie rozbierze kobiety. Guzik po guziku, jakby obierał pan gorący ziemniak w zimową noc. Ech, szkoda słów...

Po chwili na ekranie pojawiła się Verónica Lake i Fermín odpłynął w inny wymiar. Korzystając z chwili przerwy, jaką reżyser postanowił dać Weronice Lake, Fermín oznajmił, że udaje się do kinowego bufetu celem uzupełnienia nadszarpniętych zapasów delicji. Po miesiącach głodowania mój przyjaciel stracił wszelki umiar, ale dzięki właściwościom swego metabolizmu nigdy nie stracił wybiedzonego wyglądu ofiary powojennego sądu. Zostałem sam, obojętny właściwie wobec akcji filmu. Skłamałbym, gdybym powiedział, że myślałem o Klarze. Myślałem tylko o jej ciele błyszczącym od potu i rozkoszy,

odpowiadającym na każdy gwałtowny ruch ciała nauczyciela muzyki. Przestałem patrzeć na ekran i wtedy zwróciłem uwagę na widza, który dopiero co wszedł. Zobaczyłem jego sylwetkę przesuwaną się ku środkowi sali. Zajął miejsce sześć rzędów przede mną. Kina są pełne samotnych ludzi, pomyślałem. Takich jak ja.

Próbowałem ponownie skoncentrować się na fabule. Główny bohater, detektyw cyniczny, ale o złotym sercu, tłumaczył właśnie jakiejś drugoplanowej postaci, dlaczego kobiety takie jak Verónica Lake przynoszą zgubę każdemu prawdziwemu mężczyźnie, a mimo to nie ma innego wyjścia, jak kochać je z największą desperacją, ściągając na siebie własny koniec z powodu ich zdradzieckiej przewrotności. Fermín Romero de Torres, który powoli stawał się doświadczonym krytykiem, ten gatunek opowieści określał jako „bajka o modliszce”. Jego zdaniem były to mizoginiczne fantazje dla urzędniczek cierpiących na zatwardzenie i dewotek nudzących się do zarzygania, które marzą tylko o tym, by oddać się hulaszczemu trybowi życia i łajdaczyć jak ostatni kurwiszon. Uśmiechnąłem się na myśl o komentarzach, jakie wygłosiłby do oglądanej przeze mnie sceny mój przyjaciel krytyk, gdyby się nie oddalił do bufetu, celem zaspokojenia swych niskich żądzy łasucha. Ale uśmiech zamarł mi na ustach niemal natychmiast. Człowiek siedzący sześć rzędów przede mną odwrócił się i przypatrywał mi się. Mglisty snop światła z projektora przewiercał ciemność sali kinowej; powiew drgającego światła, które ledwie kreśliło linie i rzucało kolorowe plamy. Natychmiast rozpoznałem człowieka bez twarzy. Coubert. Jego ostre, pozbawione powiek spojrzenie błyszczało. Uśmiech pozbawiony warg oblizywał się w ciemności. Poczulem zimne palce zaciskające się na moim sercu. Dwieście decybeli wybuchło na ekranie, rozległy się strzały, krzyki i epizod zakończył się przygaszeniem. Przez chwilę sala tonęła w absolutnej ciemności i byłem w stanie jedynie słyszeć pulsowanie w skroniach. Z wolna na ekranie rozbłysł kolejny epizod, rozpraszając ciemność w błękitno – purpurowy półmrok. Człowiek bez twarzy zniknął. Obróciłem się i zobaczyłem, jak oddala się korytarzem i mija Fermína Romero de Torres, wracającego ze swojego bufetowego safari. Fermín skręcił między rzędy i usiadł na swoim miejscu. Poczęstował mnie pralinką i przyjrzał mi się z pewną obawą.

– Danielu, jest pan blady jak pośladek zakonnicy. Nic panu nie jest?

Niewidzialny oddech omiatał rzędy foteli.

– Dziwnie tu pachnie – zauważył Fermín Romero de Torres. – Jak nieświeżą bździną notariusza albo senatora.

– Nie, nie. Śmierdzi zwęglonym papierem.

– Niech się pan poczęstuje cytrynowym sugusem, krzepi i leczy.

– Dziękuję, jakoś nie mam ochoty.

– To niech go pan przynajmniej schowa, nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie sięgnąć po sugusa jak po ostatnią deskę ratunku.

Schowałem cukierka do kieszeni marynarki i przetrwałem przez resztę filmu, nie zwracając uwagi ani na Veronicę Lake, ani na ofiary jej nieszczęsnych wdzięków. Fermín Romero de Torres zanurzył się cały w akcji filmu i w swoich pralinkach. Gdy rozbłysły światła, poczułem, jakbym budził się ze złego snu, i bliski byłem uznać pojawienie się owego osobnika za przywidzenie, fortel pamięci, ale jego szybkie spojrzenie w mroku wystarczyło, bym zrozumiał wiadomość. Nie zapomniał ani o mnie, ani o naszej umowie.

Szybko dało się odczuć pierwsza korzyść z pojawienia się Fermina: nagle stwierdziłem, że mam więcej wolnego czasu. Jeśli Fermín nie polował akurat na jakiś egzotyczny, a zamówiony przez klientów tytuł, wówczas porządkował magazyn, obmyślał przeróżne strategie promocyjne naszej księgarni, mył okna witryn i szyld szmatą nasączoną spirytusem, pucował grzbiety. Korzystając ze sprzyjających okoliczności, postanowiłem więc zainwestować swój wolny czas w dwie sprawy, które ostatnimi czasy zupełnie zarzuciłem: w rozwiązanie zagadki Caraxa i przypomnienie się Tomasowi Aguilar, którego było mi brak.

Tomás był wiecznie zamyślonym, skupionym i opanowanym, by nie rzec wręcz flegmatycznym chłopakiem, którego srogi i groźny wyraz twarzy wywoływał lęk. Zbudowany był jak zapaśnik o barkach gladiatora i twardym, przenikliwym spojrzeniu. Poznaliśmy się wiele lat temu za przyczyną bijatyki w pierwszym tygodniu mojego pobytu u jezuitów na Caspe. Ojciec przyszedł po niego po lekcjach w towarzystwie zarozumiałej smarkuli, która okazała się siostrą Tomasa. Wypsnął mi się idiotyczny dowcip na jej temat i w tej samej chwili Tomás Aguilar rzucił się na mnie z pięściami, czego skutki odczuwałem jeszcze przez parę tygodni. Tomás był dwa razy masywniejszy ode mnie, dwukrotnie silniejszy i zacieklejszy. W tamtym podwórkowym pojedynku, w otoczeniu chłopaków spragnionych krwawej walki, straciłem ząb i zyskałem poczucie proporcji. Nie chciałem powiedzieć ojcu ani księżom, kto mnie tak pobił, ani też tłumaczyć, że ojciec mojego przeciwnika nie tylko z upodobaniem przyglądał się, jak jego syn spuszcza mi tęgie lanie, ale ile sił wrzeszczał z całą dzieciarnią.

– To z mojej winy – odpowiedziałem, uznając temat za zamknięty.

Trzy tygodnie później Tomás podszedł do mnie na przerwie. Zdrętwiałem cały ze strachu. Chce mnie dobić, pomyślałem. Zaczął się

jąkać, po chwili zrozumiałem, że chce tylko przeprosić za spuszczone mi manto bo zdaje sobie sprawę, że była to nierówna i niesprawiedliwa walka.

– To ja powinienem cię przeprosić za czepianie się twojej siostry – powiedziałem. – Zrobiłbym to już tamtego dnia, ale wybiłeś mi zęb, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

Tomás spuścił wzrok zawstydzony. Przyjrzałem się temu nieśmiało i milczącemu wielkoludowi, który krążył po salach i korytarzach szkolnych jak zbłąkana dusza. Wszyscy chłopcy – ja pierwszy – bali się go i nikt się do niego nie odzywał, omijano jego wzrok. Ze spuszczonymi oczyma, niemal drżąc, zapytał, czy chciałbym zostać jego przyjacielem. Odparłem, że tak. Podał mi rękę i uścisnąłem ją. Jego uścisk bolał, ale wytrzymałem. Tego samego popołudnia Tomás zaprosił mnie na podwieczorek do siebie do domu i pokazał trzymaną w pokoju kolekcję dziwnych przedmiotów ze złomu i różnych metalowych części.

– Sam je zrobiłem – oznajmił z dumą.

Nie miałem pojęcia, co przedstawiają lub do czego miałyby służyć, ale nic nie powiedziałem, tylko pokiwałem głową z podziwem. Odniosłem wrażenie, że ten samotny wielkolud zbudował sobie krąg własnych przyjaciół z mosiądzu, a ja byłem pierwszą osobą, która dostąpiła zaszczytu ich poznania. To był jego sekret. Ja z kolei opowiedziałem mu o mamie i o tym, jak bardzo za nią tęsknię. Kiedy głos odmówił mi posłuszeństwa, Tomás objął mnie w milczeniu. Mieliśmy po dziesięć lat. Tamtego dnia został moim najlepszym – ja zaś jego jedynym przyjacielem.

Tomás to był dusza człowiek, wbrew swej wojowniczej posturze, która pozwalała mu zresztą unikać wszelkiej konfrontacji. Jąkał się, czasem mocno, szczególnie gdy rozmawiał z kimś, kto nie był jego matką, siostrą lub mną, czyli właściwie prawie zawsze. Fascynowały go ekstrawaganckie wynalazki i mechaniczne wymysły; zauważyłem wkrótce, że dokonuje sekcji wszelkiego rodzaju urządzeń, od gramofonu po maszynę do liczenia, by dotrzeć do ich sekretów. Kiedy nie przebywał ze mną lub nie pracował za swego ojca, większość czasu spędzał w swoim pokoju, konstruując niewiarygodne maszyny. Jego inteligencja była odwrotnie proporcjonalna do zmysłu praktycznego.

Zainteresowanie rzeczywistym światem skupiało się na sprawach takich, jak synchronizacja świateł na Grań Via, tajemnice oświetlonych fontann na Montjuïc czy automaty do gier w lunaparku Tibidabo.

Tomás pracował popołudniami w biurze swojego ojca i czasami wpadał potem do naszej księgarni. Mój ojciec zawsze okazywał zainteresowanie jego wynalazkami i dawał mu w prezencie podręczniki mechaniki lub biografie takich ludzi, jak Eiffel czy Edison, których Tomás uwielbiał. W miarę upływu lat bardzo polubił mojego ojca i od dawna już usiłował wynaleźć dla niego automatyczny system archiwizowania fiszek bibliograficznych, za punkt wyjścia biorąc części starego wentylatora. Od czterech lat pracował już nad tym projektem, a ojciec nieustannie okazywał najwyższe zainteresowanie postępami prac, byle Tomás nie stracił zapału. Początkowo obawiałem się reakcji Fermína na mojego przyjaciela.

– Ach, to pan jest na pewno tym wynalazcą, przyjacielem Daniela. Jest mi niezmiernie miło pana poznać. Fermín Romero de Torres, doradca bibliograficzny księgarni Sempere, do usług.

– Tomás Aguilar – wyjąkał mój przyjaciel, uśmiechając się i ściskając dłoń Fermína.

– Ujujuj, ostrożnie, bo jest pan w posiadaniu nie dłoni, tylko prasy hydraulicznej, a ja w swej firmie muszę wykazywać się finezją skrzypka.

Tomás, prosząc o wybaczenie, puścił jego dłoń.

– No dobrze, zostawmy te drobiazgi, proszę mi wyznać, jaka jest pańska opinia o twierdzeniu Fermata? – zapytał Fermín, rozcierając palce.

Po czym zatopili się zupełnie w niezrozumiałej dla mnie dyskusji o sekretach matematyki. Fermín zawsze się zwracał do niego „proszę pana” albo „panie doktorze” i udawał, że nie dostrzega jąkania chłopaka. Tomás zaś, w podzięcie za nieskończoną cierpliwość okazywaną przez Fermína, przynosił mu bombonierki szwajcarskich czekoladek, gdzie każda zawinięta była elegancko w papierek, na którym widniały a to niemożliwie błękitne jeziora, a to krowy na zjadliwie zielonych łąkach, a to zegary z kukułką.

– Pańskiemu przyjacielowi Tomasowi talentu nie brakuje, ale nie

może znaleźć sobie celu i brak mu tupetu, bez którego trudno zrobić karierę – mówił Fermín Romero de Torres. – Tak to już jest ze ścisłymi umysłami. Proszę sobie tylko przypomnieć don Alberta Einsteina. Tyle hipotez i teorii, jak już przychodzi do praktycznego zastosowania, to od razu robią bombę atomową, na domiar złego nie pytając go wcale o zgodę... Z drugiej strony, w boksterskim wyglądzie Tomasa, w środowisku akademickim też ma przechlapane, Do w tym życiu jedynie uprzedzenia roszczą sobie prawo do wydawania patentu na prawdę.

Chcąc zaoszczędzić Tomasowi ciężkiego losu i niezrozumienia, Fermín postanowił, iż należy koniecznie, poprzez odpowiednie ćwiczenia, wypolerować jego ułomny nieco talent oratorski i usunąć pewne braki w ogładzie towarzyskiej.

– Człowiek, jak każda mała, jest zwierzęciem społecznym, a społeczeństwo rządzi się kumoterstwem, nepotyzmem, lewizną i plotkarstwem, uznając je za podstawowe normy postępowania, etycznego – dowodził. – To czysta biologia.

– Coś się już chyba zmieniło.

– Ależ z pana naiwniak, Danielu.

Tomás odziedziczył wygląd twardziela po ojcu, dobrze prosperującym zarządcy dóbr, posiadającym swoje biura na ulicy Pelayo, tuż przy domu towarowym El Siglo. Pan Aguilar należał do owej szczególnej rasy szczęśliwych umysłów, które zawsze mają rację. Ten człowiek głębokich przekonań pewien był między innymi, iż jego syn jest bojaźliwego ducha i umysłowo niedorozwinięty. Celem zrekompensowania wstydlivych przywar zatrudniał wszelkiego rodzaju nauczycieli, by doprowadzili jego potomka do stanu normalności. „Ma pan traktować mojego syna jak ostatniego idiotę, rozumiano?”, słyszałem, jak wielokrotnie padało z jego ust. Nauczyciele próbowali wszystkiego, nawet błagalnych próśb, ale Tomás miał w zwyczaju zwracać się do nich wyłącznie w języku, którym władał biegle i mówił płynnie, bez zająknięcia, czyli po łacinie. Wcześniej czy Później nauczyciele składali rezygnację, tyleż zdesperowani, co i pełni obaw, że chłopak może być opętany i rzuca na nich diabelskie zaklęcia P^o aramejsku. Jedyłą nadzieją pan Aguilar pokładał jeszcze w wojsku i w tym, że służba wojskowa wy kieruje

syna na ludzi.

Tomás miał siostrę, młodszą od nas o rok Beatriz. Jej zawdzięczałem naszą przyjaźń, bo gdybym owego popołudnia nie ujrzał jej, jak trzymając swego ojca za rękę, czekała na koniec lekcji, i do głowy nie wpadłby mi chamski dowcip, mój przyjaciel nigdy by się na mnie nie rzucił z pięściami, a ja nigdy nie zdobyłbym się na odwagę, żeby z nim porozmawiać. Bea Aguilar była żywym portretem swojej matki i oczkiem w głowie ojca. Ruda i blada jak śmierć, zawsze ubrana była w bardzo drogie stroje z jedwabiu lub wełny. Miała figurę modelki i chodziła sztywna jakby połknęła kij, zadowolona z siebie, traktując się jak księżniczkę z własnej baśni. Oczy miała niebieskozielone, sama jednak z uporem powtarzała, że są barwy „szmaragdowo-szafirowej”. Bea, pomimo wielu lat nauki u sióstr terezjanek, a może właśnie dlatego, gdy tylko czuła się wolna od ojcowskiej kurateli, piła anyżówkę w wysokich kieliszkach, nosiła jedwabne pończochy La Perla Gris i malowała się jak wampirzyce kinowe, które spędzały sen z powiek mojego przyjaciela Fermina. Nie mogłem na nią patrzeć nawet z daleka, ona zaś odwzajemniała moją nieskrywaną wzgardę spojrzeniami pełnymi zimnej obojętności. Bea miała narzeczonego, odbywającego służbę wojskową w Murcji, picusia – glancusia należącego do Falangi, niejakiego Pabla Cascosa Buendię, potomka rodu starego i posiadającego stocznice w Galicji. Chorąży Cascos Buendia, który połowę służby spędzał na przepustkach dzięki wujowi z regionalnego dowództwa wojskowego, lubował się w długich perorach o genetycznej i duchowej przewadze rasy hiszpańskiej i bliskim już końcu bolszewickiego imperium.

– Marks już umarł – mówił z namaszczeniem.

– Dokładnie w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim – odpowiadałem mu.

– A ty się, ofiario, zamknij, bo jak cię huknę, to wylądujesz nad Zatoką Biskajską.

Nie raz i nie dwa przyłapałem Beę, jak uśmiechała się pod nosem, słuchając idiotyzmów, jakie wygadywał jej wojskowy narzeczony. Podnosiła wtedy wzrok i przyglądała mi się zagadkowo. Uśmiechałem się do niej z wymuszoną grzecznością wroga podczas bezterminowego rozejmu, ale szybko odwracałem głowę. Prędzej dałbym się zabić,

niżbym się do tego przyznał, ale w głębi serca bałem się jej.

Na początku owego roku Tomás i Fermín Romero de Torres zdecydowali połączyć swe błyskotliwe umysły w pracach nad pomysłem, który ich zdaniem miał mnie i mego przyjaciela ostatecznie zwolnić z obowiązku służby wojskowej. Fermín miał osobliwie odmienny od pana Aguilar pogląd na dobroczynne skutki doświadczeń wojskowych.

– Jedynym pożytkiem, jaki można odnieść z przebywania w kamaszach, jest ustalenie średniej statystycznej ograniczonych sadystów w narodzie – wyrażał swoje zdanie – i dwa pierwsze tygodnie w zupełności na to wystarczą, nie trzeba aż dwóch lat. Armia, małżeństwo, kościół i bank: oto czterech jeźdźców Apokalipsy. Tak, tak, śmieję się pan.

Anarchistyczno – libertyńskie przekonania Fermina Romero de Torres zaczęły być poddawane ciężkim próbom od pewnego październikowego popołudnia, gdy zrzędzeniem losu odwiedził nas w księgarni dawno niewidziany gość. Ojciec pojechał do Argentyny, by przeprowadzić wycenę całej kolekcji książek, i miał wrócić stamtąd dopiero wieczorem. Ja obsługiwałem klientów, podczas gdy Fermín, jak zwykle przekonany o swych nadzwyczajnych talentach ekwilibrystycznych, postanowił zaprowadzić ład na ostatniej półce książek dotykającej niemal sufitu. Wieczór już zapadł, szykowałem się do zamknięcia księgarni, gdy w oknie wystawowym ujrzałem sylwetkę Bernardy. Była ubrana czwartkowe jak w swój wyjściowy i pomachała mi. Na sam jej widok zrobiło mi się lekko na duszy i szybko dałem jej znak, żeby weszła do środka.

– Ojej, jaki panicz duży! – rzekła już w progu. – Nie do poznania... już z Pana kawał mężczyzny!

Objęła mnie, roniąc kilka łez i dotykając mojej głowy, ramion i twarzy by sprawdzić, czy pod jej nieobecność się nie zdezelowałem.

– Tęskniliśmy za paniczem – rzekła, spuszczać wzrok.

– To ty tęskniłaś, Bernardo. Dawaj całusa.

Ucałowała mnie bojaźliwie, a ja cmoknąłem ją głośno w oba policzki. Zaśmiała się. Widziałem w jej oczach, że czeka, aż zapytam o Klarę, ale w ogóle nie miałem takiego zamiaru.

– Ślicznie wyglądasz, bardzo elegancko. A co cię w ogóle do nas przyniosło?

– Prawdę mówiąc, to ja już od dawna chciałam przyjść się z panem zobaczyć, ale wie pan, jak to jest, a i czasu zawsze mało, pan Barceló choć to bardzo mądry człowiek, to jednak trzeba się nim zajmować jak dzieckiem, nie ma rady. A przyszłam, bo, widzi pan, jutro są urodziny mojej kuzynki, tej z San Adrian, i szukam dla niej prezentu. Pomyślałam, że może jakaś dobra książka, co to dużo tekstu, a mało ilustracji, ale że nie bardzo się na tym znam, to...

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, księgarnia zatrzęsała się, jakby trafiona pociskiem, gdy spod sufitu zważyło się wydanie dzieł wszystkich Blasco Ibañeza w twardej oprawie. Bernarda i ja spojrzeliśmy przestraszeni ku górze. Fermín sfruwał z drabiny niczym mistrz trapezu, z florentyńskim uśmiechem na ustach i oczyma pełnymi pożądania i zachwyty.

– Bernardo, pozwól, że przedstawię ci...

– Fermín Romero de Torres, doradca bibliograficzny firmy Sempere i Synowie, sługa uniżony – wygłosił Fermín, ujmując dłoń Bernardy i całując ją z pełną kurtuazji galanterią.

W jednej chwili Bernarda zrobiła się czerwona jak piwonia.

– Ojej, pan mnie z kimś myli, gdzie mnie tam do pani...

– Ani słowa więcej, pani markizo – przerwał jej Fermín. – Wiem, co mówię, bom obyty z socjetą jak mało kto, nie na darmo bywam w najlepszych dzielnicach Barcelony. Mogę prosić o zaszczyt poprowadzenia pani ku naszemu działowi klasyki młodzieżowej i dziecięcej, gdzie szczęśliwym zrzędzeniem losu, jak widzę, posiadamy wszystko, co najlepsze Emilio Salgariego, nie wykluczając biblii jego epickiej narracji, czyli przygód Sandokana.

– Ojej, sama nie wiem, biblii raczej obawiałabym się, bo wie pan, ciec dziewczyny byt starym związkowcem, i to ze związków anarchistycznych, CNT.

– Życzenie pani jest dla mnie rozkazem, proszę bardzo, oto mam

tutaj ni mniej, ni więcej tylko Tajemniczą wyspę Juliusza Verne'a, pierwszorzędną literacką powieść przygodową cechującą się równie wspaniałymi walorami edukacyjnymi z uwagi na opisy nowych technologii...

– Jeśli pan uważa, że to dobry prezent...

Szedłem za nimi, nie odzywając się, obserwując, jak Fermín staje się coraz bardziej rozanielony, a Bernarda czuje się coraz bardziej skrępowana nadmierną atencją owego człeczyny, który postury był nikczemnej, ale gadane miał jak odpustowa kramarka i patrzył na nią z zachwytem, do tej pory zawarowanym wyłącznie dla czekoladek Nestle.

– A pan, paniczu Danielu, co powie?

– Tutaj pan Romero de Torres jest ekspertem, możesz mu zaufać.

– W takim razie wezmę tę o wyspie, jeśli mi ją jeszcze zapakujecie.

Co jestem winna?

– Przyjmij to w prezencie od firmy – powiedziałem.

– Och, nie, absolutnie...

– Szanowna pani, gdyby była pani łaskawa nie oponować, czyniąc mnie najszczęśliwszym ze wszystkich mieszkańców Barcelony, proszę przyjąć to w prezencie od niżej podpisanego Fermina Romero de Torres.

Bernarda przyglądała nam się w milczeniu.

– Hola, hola, za własne zakupy płacę własnymi pieniędzmi, a to ma być prezent dla siostrzenicy...

– Wobec tego proszę w zamian pozwolić się zaprosić do kawiarni na podwieczorek – natychmiast podchwycił Fermín, przyglądając sobie włosy.

– No, nie daj się prosić, dziewczyno – zachęciłem. – Zobaczysz, jak będzie miło. Zapakuję książkę, a Fermín w tym czasie pójdzie się ubrać.

Fermín szybko udał się na zaplecze, by przyczesać się, uperfumować i włożyć marynarkę. Wziąłem z kasy trochę pieniędzy i dałem mu je, żeby mógł zaprosić Bernardę.

– Gdzie mam ją zabrać? – szepnął, zdenerwowany jak dziecko.

– Ja bym ją zabrał do Els Quatre Gats – odparłem. – Z tego, co wiem, ten lokal przynosi szczęście w sprawach sercowych.

Podałem Bernardzie zapakowaną książkę i mrugnąłem porozumiewawczo.

– To ile jestem winna, paniczu Danielu?

– Nie wiem. Przy okazji ci powiem. Nie było na niej ceny, więc muszę zapytać ojca – skłamałem.

Patrzyłem, jak idąc pod rękę, znikali w głębi ulicy Santa Ana, i myślałem sobie, że może w niebie ktoś akurat ma dyżur i wreszcie obdzielili tę dwójkę kilkoma kropelkami szczęścia. Wywiesiłem na drzwiach tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE. Poszedłem na zaplecze, by przejrzeć książkę, w której ojciec zapisywał zamówienia, i usłyszałem dźwięk dzwoneczka zawieszzonego przy drzwiach. Pomyślałem, że może Fermín czegoś zapomniał albo ojciec wrócił już z Argentyny.

– To ty, Fermín? Tata?

Minęło kilka sekund bez żadnej odpowiedzi. Przeglądałem dalej książkę zamówień. Usłyszałem kroki w księgarni, powolne stąpanie.

– Fermín? Tato?

Żadnej odpowiedzi. Wydało mi się, że usłyszałem stłumiony śmiech, i zamknąłem książkę zamówień. Może jakiś klient nie dostrzegł wywieszki ZAMKNIĘTE. Ruszałem już, by się nim zająć, gdy usłyszałem huk spadających z półek książek. Przełknąłem ślinę. Złapałem nóż do rozcinania papieru i powoli podszedłem do wychodzących na zaplecze drzwi. Nie miałem odwagi, by się jeszcze raz odezwać. Po chwili usłyszałem oddalające się kroki. Znów rozległ się dźwięk dzwoneczka i poczułem przeciąg od ulicy. Zajrzałem do sklepu. Nie było nikogo. Podbiegłem do drzwi i zamknąłem je na wszystkie zamki. Odetchnąłem głęboko, czując, że zachowuję się jak ostatni idiota i tchórz. Kierowałem się ponownie ku zapleczu, gdy zobaczyłem leżącą na kontuarze kartkę. Gdy podszedłem, okazało się, że jest to stara fotografia na grubym ozdobnym kartonie. Brzegi były przypalone, a samo zdjęcie przymglone i jakby pokryte śladami ubrudzonych popiołem palców. Obejrzałem je pod lampą. Na fotografii można było dostrzec parę młodych ludzi, uśmiechających się do obiektywu. On wydawał się mieć nie więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat, miał jasne włosy i arystokratyczne, delikatne rysy twarzy. Ona była chyba trochę od niego młodsza, rok, może dwa lata.

Miała bladą cerę i subtelne rysy twarzy, którą okalały czarne krótkie włosy, uwydatniające zachwycone i rozradowane oczy. On obejmował ją w talii, a ona zdawała się coś figlarnego doń szeptać. Wizerunek emanował takim ciepłem, że aż się uśmiechnąłem, jakbym w tych dwojgu nieznajomych rozpoznał starych przyjaciół. Za nimi można było dostrzec wystawę sklepu, pełną niemodnych już od dawna kapeluszy. Przyjrzałem się parze uważniej. Ubrania wskazywały, że zdjęcie liczyło sobie co najmniej dwadzieścia pięć albo trzydzieści lat. Był to obraz pełen światła i nadziei, która obiecywała coś, co istnieje wyłącznie w spojrzeniach liczących sobie niewiele lat. Ogień strawił obrys niemal całej fotografii, ale jeszcze można było dostrzec pełną surowej powagi twarz spoglądającą zza szyby staromodnej wystawy i sylwetkę rysującą się za wyrytym w szkle szyldem.

Synowie
ANTONIA
FORTUNNEGO
Rok założenia 1888

Tej nocy, którą spędziłem na Cmentarzu Zapomnianych Książek, Izaak opowiedział mi, że Carax posługiwał się nie nazwiskiem ojca: Fortuny, ale nazwiskiem matki. Ojciec Caraxa miał sklep z kapeluszami na rondzie San Antonio. Ponownie przyjrzałem się fotografii owej pary i nabrałem pewności, że ten chłopak to Julián Carax, uśmiechający się do mnie z przeszłości, nieświadom osaczających go płomieni.

Miasto cieni
1954

Następnego dnia Fermín przyleciał do pracy niesiony na skrzydłach Kupidyna, cały w uśmiechach i pogwizdując raz za razem bolero za bolerem. Normalnie zapytałbym go o przebieg spotkania z Bernardą, ale tego dnia byłem jak najdalszy od lirycznych nastrojów. Ojciec przyjął od profesora Javiera Velazqueza zamówienie i zobowiązał się dostarczyć książkę dziś o jedenastej rano do gabinetu profesora na wydziale, przy placu Uniwersyteckim. Na samą wzmiankę o profesorze Fermín zawsze dostawał wysypki, toteż korzystając z tego pretekstu, zaofiarowałem się sam zrealizować zamówienie.

– Ta kreatura to akademicki bufon, zbereźnik i faszystowski wazeliniarz – orzekł Fermín, podnosząc pięść w charakterystycznym geście, jaki zawsze czynił, gdy ogarniała go żądza do wymierzania klasowej sprawiedliwości. – Pod płaszczykiem zaliczania egzaminów ten by nawet Różę Luksemburg wykorzystał, gdyby mu się nadarzyła okazja.

– Nie przesadzaj, Fermín. Velázquez płaci bardzo dobrze, zawsze z góry, i rekomenduje nas, komu się da – przypomniał mu ojciec.

– To są pieniądze zbroczone krwią niewinnych dziewczyc – zaprotestował Fermín. – Bóg mi świadkiem, żem nigdy nie spał z nieletnią, i wcale, ale to wcale nie z braku chęci czy okazji; aktualnie widzą mnie panowie w gorszej formie, ale był czas, gdy posiadałem odpowiednią prezencję i nie lada oglądę i męskie przymioty, ale nawet wówczas, już to na wszelki wypadek, już to dlatego, że czułem, iż są zanadto śmiałe, żądałem dowodu osobistego albo zezwolenia rodziców na piśmie, by nie postąpić w niezgodzie z etyką.

Ojciec wzniosł oczy do nieba. – Z panem nie da się dyskutować, Fermín.

– No bo mam rację, po prostu mam rację.

Wziąłem paczkę, którą przygotowałem poprzedniej nocy – kilka książek Rilkego i apokryficzny esej na temat przekąsek i głębi uczucia

narodowego przypisywany Ortedze – i opuściłem Fermina i ojca, zatopionych w dyspacie dotyczącej tradycji i obyczajów.

Dzień był cudowny, niebo jaśniało najwspanialszym z błękitów, wiała świeża bryza, pachnąca jesienią i morzem. Zawsze najbardziej lubiłem Barcelonę w październiku, kiedy nie da się w domu wysiedzieć i trzeba wyjść na miasto, i wystarczy napić się wody z fontanny na Canaletas, która w owych dniach nawet nie cuchnie chlorem, żeby nieco zmadrzeć. Szedłem lekkim krokiem, mijając pucybutów, urzędasów wracających do biura po rytualnej kawie w południe, sprzedawców losów i tańczących zamiataczy, którzy wydawali się sprzątać miasto pędzlami, nierychliwie i na puentylistyczną modłę. Już wtedy w Barcelonie zaczęło pojawiać się coraz więcej samochodów, nie zdziwiło mnie więc, gdy na ulicy Balmes, przy światłach, zauważyłem stojące po obu stronach przejścia grupki kancelistów w szarych płaszczach, którzy pożerali głodnym wzrokiem studebakera, zupełnie jakby chodziło o kabaretową szansonistkę w dezabilu. Poszedłem ulicą Balmes aż do Grañ Via, co krok zatrzymując się na światłach, przepuszczając tramwaje, samochody i nawet motocykle z bocznymi przyczepami. Na jednej z wystaw zobaczyłem reklamę Philipsa, zapowiadającą przybycie nowego mesjasza, telewizji, o której mówiono, że zmieni nasze życie, a nas przemieni w istoty przyszłości, jak Amerykanów. Fermín Romero de Torres, zawsze na bieżąco z wszystkimi wynalazkami, już wieszczę i krakał:

– Telewizja, mój kolego, to antychryst i ośmielam się twierdzić, że wystarczą trzy lub cztery pokolenia, a ludzie nie będą wiedzieć, jak się samemu baka puszcza, człowiek wróci do jaskiń, do średniowiecznego barbarzyństwa i do stanu zidiocenia, z którego pierwotniak pantofelek wyrósł już w okresie plejstocenu. Ten świat nie zginie od bomby atomowej, jak prorokują gazety, ale umrze ze śmiechu, ze strywializowania, z obracania wszystkiego w żart, na domiar złego w kiepski żart.

Gabinet profesora Velazqueza mieścił się na drugim piętrze wydziału literatury, na końcu ciągnącej się przez całe piętro galerii wychodzącej na południowy dziedziniec, skąpanej w świetle mętnym od kurzu, opadającym na podłogę pokrytą szachownicą terakoty.

Natknąłem się na profesora jak w drzwiach sali wykładowej niby uważnie słuchał studentki obdarzonej wspaniałą figurą, ubranej w granatową garsonkę mocno wciętą talii i odsłaniającą helleńskie łydki obleczone w pończochy z delikatnego jedwabiu. Profesor Velázquez cieszył się sławą uwodziciela, a nie brakowało takich, którzy twierdzili, iż edukacja sentymentalna każdej panny z dobrego domu nie mogła być uznana za całkowitą, jeśli nie została sfinalizowana legendarnym już weekendem w hoteliku przy nadmorskiej promenadzie Sitges, spędzonym na deklamowaniu *tête – à – tête* dystyngowanemu akademikowi szlachetnych aleksandrynow. Mój kupiecki instynkt przestrzegł mnie przed przerywaniem profesorowi rozmowy, postanowiłem więc spokojnie odczekać, dokładnie przyglądając się wybranej pupilce. Być może spacer, który sobie zafundowałem, tak mocno mnie pobudził, a może to moje osiemnaście lat i okoliczność, że więcej czasu spędzałem wśród muz uwięzionych w starych tomiszczach niż w towarzystwie dziewczyn z krwi i kości, i tak odległych moim zdaniem o lata świetlne od ducha Klary Barceló: dość, że w owej chwili, przypatrując się dokładnie każdemu centymetrowi ciała studentki, którą widzieć mogłem jedynie od tyłu, choć wyobrażałem ją sobie w trzech wymiarach i z aleksandryjskiej perspektywy, zaczęła brać mnie niepohamowana oskoma.

– A kogóż my tu widzimy – zawołał profesor Velázquez. – Witaj, Danielu, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że to właśnie ty, a nie ten pajac, co był tu ostatnio, no ten, co ma na imię jak toreador, i który moim zdaniem był albo nietrzeźwy, albo należało go szybko zamknąć w izolatce, a na dodatek wyrzucić klucz. Wystaw sobie, że miał czelność zapytać mnie o etymologię słowa „cap”, z szyderym i nie muszę dodawać, iż całkiem niestosownym uśmieszkiem.

– Zaaplikowano mu bardzo silne leki. Wątroba mu dolega.

– Nie dziwota, jeśli przez cały dzień nie trzeźwieje – warknął Velázquez. – Ja na waszym miejscu skontaktowałbym się z policją. Na pewno jest notowany. A jak mu śmierzdzą nogi, mój Boże, ileż to tej czerwonej zarazy hula sobie na wolności, nie myjąc się, odkąd padła Republika.

Szykowałem się do wygłoszenia jakiegoś przyzwoitego

usprawiedliwienia dla Fermina, gdy towarzysząca profesorowi studentka odwróciła się, a wtedy opadła mi szczęka.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja zaczerwieniłem się po uszy.

– Witaj, Danielu – powiedziała Beatriz Aguilar.

Kiwnąłem głową, nie mogąc wykrztusić słowa, gdy uświadomiłem sobie, że bezwstydnie i łakomie przyglądam się siostrze mego przyjaciela, Beatriz moich lęków.

– A czyżbyście się już znali? – zapytał Velázquez zaintrygowany.

– Daniel jest starym przyjacielem rodziny – wytłumaczyła Bea. – I jedyną osobą, która miała odwagę powiedzieć mi kiedyś, że jestem pretensjonalna i zarozumiała.

Velázquez popatrzył na mnie zdumiony.

– To było dziesięć lat temu – podkreśliłem. – I nie mówiłem tego serio.

– A ja do dziś czekam, aż mnie przeprosi.

Velázquez serdecznie się roześmiał i wyjął z moich rąk paczkę.

– Zdaje się, że jestem tu niepotrzebny – rzekł, rozpakowując ją. – Wspaniale. Słuchaj, Danielu, powiedz ojcu, że szukam książki *Pogromca Maurów: młodzieńcze listy z Ceuty* Francisco Franco Bahamonde z prologiem i przypisami Pemana.

– Załatwione. Damy znać w ciągu kilku tygodni.

– Trzymam cię za słowo i uciekam, bo już na mnie czekają trzydzieści dwa dziewicze umysły.

Profesor Velázquez mrugnął do mnie i zniknął w głębi sali wykładowej, zostawiając mnie sam na sam z Beą. Nie wiedziałem, gdzie podziąć wzrok.

– Słuchaj, Bea, w sprawie tego afrontu, naprawdę nie...

– Przecież ja specjalnie robiłam ci na złość, a poza tym była to dziecinada. Tomás zresztą szybko wyrównał rachunki.

– Do tej pory mnie bołą.

Bea uśmiechała się do mnie uśmiechem pokoju, a przynajmniej rozejmu.

– Poza tym miałeś rację, czasem jestem pretensjonalna i zarozumiała – powiedziała. – Nie lubisz mnie, Danielu, prawda?

Pytanie zaskoczyło mnie całkowicie, poczułem się bezbronny i przestraszony tym, jak łatwo przestaje się nienawidzić osobę dotąd

uznawaną za wroga, z chwilą gdy ta przestaje się jak wróg zachowywać.

– Nie, to nieprawda.

– Tomás twierdzi, że nie w tym rzecz, że mnie nie lubisz, ale w tym, • w rzeczywistości nie jesteś w stanie strawić naszego ojca, ale twoja antypatia obraca się przeciwko mnie, bo z nim nie masz odwagi zadzierać. Nie winię cię za to. Nikt nie śmie zadzierać z moim ojcem.

W pierwszej chwili zatkało mnie, ale dziwiąc się sam sobie, uśmiechnąłem się i przytaknąłem.

– Wygląda na to, że Tomás zna mnie lepiej niż ja sam siebie.

– Nie dziw się. Mój brat wszystkich nas rozpracował, tyle że nigdy nic nie mówi. Ale jeśli pewnego dnia zechce przemówić, to mury zadrżą i runą. Bardzo cię ceni, wiesz?

Wzruszyłem ramionami i spuściłem oczy.

– Nieustannie mówi o tobie, twoim ojcu, księgarni i tym człowieku, który z wami pracuje, a o którym sądzi, że jest zapoznanym geniuszem. Czasem odnoszę wrażenie, że jesteście mu znacznie bliżsi niż my, jego prawdziwa rodzina.

Odważyłem się spojrzeć jej w oczy. Patrzyła twardo, bez lęku, ale życzliwie. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc uśmiechnąłem się tylko. Czując się osaczony jej szczerością, wyjrzałem na dziedziniec.

– Nie wiedziałem, że tu studiujesz.

– Tak, na pierwszym roku.

– Filologia?

– Mój ojciec twierdzi, że nauki ścisłe nie są odpowiednie dla płci niewieściej, i

– No tak. Dużo cyfr.

– To nieistotne, bo ja naprawdę lubię czytać, a poza tym tu można poznać bardzo interesujących ludzi.

– Jak profesor Velázquez?

Bea uśmiechnęła się kącikami ust.

– Jestem na pierwszym roku, to fakt, ale to nie znaczy, że jestem pierwszą naiwną i nie wiem, co w trawie piszczy, a szczególnie gdy się ma do czynienia z ludźmi pokroju profesora.

Byłem ciekaw, do jakiego pokroju ludzi mnie zaliczyła.

– Zresztą profesor Velázquez jest przyjacielem mojego ojca.

Obydwaj należą do rady Stowarzyszenia Ochrony i Rozwoju Zarzueli i Hiszpańskiej Pieśni.

Zrobiłem minę człowieka, na którym powyższa informacja zrobiła piorunujące wrażenie.

– A co u twojego narzeczonego, chorążego Cascosa Buendii?

Jej uśmiech zgasł.

– Pablo przyjeżdża za trzy tygodnie na przepustkę.

– Pewnie się cieszysz.

– Bardzo. To wspaniały chłopak, mogę sobie wyobrazić, co o nim myślisz.

Wątpię, pomyślałem. Bea przyglądała mi się lekko spięta. Chciałem już zmienić temat, ale nagle mi się wyrwało:

– Tomás mówi, że planujecie ślub i wyjazd do El Ferrol.

Przytaknęła bez zmrużenia oka.

– Jak tylko Pablo skończy służbę wojskową.

– Pewnie nie możesz się doczekać – powiedziałem, czując posmak zgryźliwości we własnym, nieoczekiwanie bezczelnym głosie.

– Właściwie to jest mi obojętne. Rodzina Pabla ma tam kilka majątków, parę stoczni, jedną z nich będzie zresztą zarządzał. Ma cechy przywódcze.

– To widać.

Bea powściągnęła uśmiech.

– Poza tym Barcelonę znam już na pamięć, po tylu latach...

Miała zmęczone, smutne oczy.

– Z tego, co wiem, to El Ferrol jest fascynującym miastem. Kipiące życiem. No i owoce morza, podobno bajeczne, zwłaszcza kraby.

Bea westchnęła, potrząsając głową. Wydało mi się, że chce się rozplakać ze złości, ale była na to zbyt dumna. Zaczęła śmiać się spokojnie.

– Sam popatrz, Danielu, dziesięć lat minęło, a obrażanie mnie nadal sprawia ci przyjemność. No proszę, śmiało, nie krępuj się. Sama sobie jestem winna, bo wydawało mi się, że możemy zostać przyjaciółmi albo przynajmniej udawać, że nimi jesteśmy, ale wygląda na to, że do pięt nie dorastam mojemu bratu. Przepraszam, że zabrałam ci tyle czasu.

Odwróciła się i skierowała ku znajdującej się na końcu korytarza

bibliotece. Patrzyłem, jak się oddala po czarno – białych płytkach, a jej cień przecina opadające z okien zasłony światła.

– Bea, poczekaj.

Przekląłem sam siebie i rzuciłem się za nią. W połowie korytarza dobiegłem do niej, złapałem za ramię i zatrzymałem. Spojrzała na mnie lodowatym wzrokiem.

– Przepraszam. Ale jesteś w błędzie: to moja, a nie twoja wina. To ja nie dorastam do pięt twojemu bratu i tobie też. A jeśli cię obraziłem, to z zazdrości o tego kretyna, którego masz za narzeczonego, i ze złości na myśl, że ktoś taki jak ty ma jechać za nim do El Ferrol czy do Konga.

– Danielu...

– I mylisz się co do mnie, bo możemy być przyjaciółmi, o ile dasz mi szansę, zwłaszcza teraz, gdy sama widzisz, że jestem niewiele wart. I co do Barcelony też się mylisz, bo choć uważasz, że znasz ją na pamięć, to mogę cię zapewnić, że wcale tak nie jest i gdybyś mi pozwoliła, mógłbym to udowodnić.

Widziałem, jak jej twarz rozpromienia się w uśmiechu, a po policzku powoli i milcząco spływa łza.

– Lepiej powiedz prawdę – rzekła wreszcie. – Bo w przeciwnym razie powiem mojemu bratu, a on po prostu da ci w ucho.

Wyciągnąłem do niej rękę.

– Może być. Wojna skończona?

Wyciągnęła swoją dłoń.

– O której kończysz zajęcia w piątek? – spytałem.

Zawahała się przez chwilę.

– O piątej.

– O piątej będę na dziedzińcu i jeszcze za dnia udowodnię ci, że są w Barcelonie rzeczy, których nie widziałaś, i że nie możesz wyjechać do El Ferrol z tym idiotą, którego ponoć kochasz, ale ja w to nie wierzę, bo jeśli to zrobisz, Barcelona będzie cię prześladować przez całe życie i umrzesz z tęsknoty.

– Sprawiasz wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie, Danielu.

Ja, który nigdy nie byłem nawet pewien, która jest właśnie godzina, przytaknąłem z przekonaniem całkowitego dyletanta. Stałem w miejscu, patrząc, jak Bea oddala się niekończącą się galerią, dopóki

jej sylwetka nie rozplynęła się w półmroku, a ja nie zadałem sobie pytania, co ja najlepszego zrobiłem.

Sklep kapeluszniczy Fortuny'ego lub raczej to, co z niego zostało, dogorywał przykucnięty u stóp wąskiego, szerniałego od sadzy i biednego z wyglądu budynku na rondzie San Antonio, tuż przy placu Goi. W pokrytym brudem oknie wystawowym można było jeszcze przeczytać wygrawerowane w szkłe litery, przy drzwiach nadal kołysał się szyld w kształcie melonika, oferując modele na obstalunek i ostatnie nowości z Paryża. Drzwi były zamknięte na kłódkę, która wyglądała, jakby wisiała tam od co najmniej dziesięciu lat. Przylepiłem nos do szyby, próbując dojrzeć coś w mrokach wnętrza.

– Jeśli w sprawie wynajmu, to spóźnił się pan – odezwał się jakiś głos za moimi plecami. – Administrator już sobie poszedł.

Kobieta, która do mnie przemówiła, miała około sześćdziesięciu lat i ubrana była w ogólnonarodowy strój dyżurny bogobojnej wdowy. Spod różowej chustki przykrywającej włosy wystawało kilka wałków, a satynowe pantofle były starannie dobrane do podkolanówek krwistego koloru. Nie miałem wątpliwości, że to dozorczyńni.

– To ten sklep można wynająć? – zapytałem.

– A to pan nie w tej sprawie?

– Właściwie nie, ale nigdy nie wiadomo, a może mnie to zainteresuje.

Dozorczyńni zmarszczyła czoło, zastanawiając się, czy zaliczyć mnie do blagierów, czy też obdarzyć łaską wątpliwości. Uśmiechnąłem się swoim najbardziej anielskim uśmiechem.

– Ten sklep, od jak dawna jest nieczynny?

– Od dwunastu lat przynajmniej, od kiedy stary zmarł.

– Pan Fortuny? Znała go pani?

– Od czterdziestu ośmiu lat doglądam tej kamienicy, chłopcze.

– To może znała pani również syna pana Fortuny'ego?

– Juliana? Oczywiście.

Wyjąłem z kieszeni nadpalone zdjęcie i pokazałem jej.

– Może mi pani powiedzieć, czy ten młody człowiek na zdjęciu to Julián Carax?

Dozorczyńni popatrzyła na mnie z pewną nieufnością. Wzięła fotografię do ręki i zaczęła dokładnie się jej przyglądać.

– Rozpoznaje go pani?

– Carax to było nazwisko panięskie matki – wyjaśniła z wyczuwalną dezaprobatą w głosie. – Tak, to Julián. Pamiętam go jako bardzo jasnego blondynka, choć na tym zdjęciu jakby miał ciemniejsze włosy.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, co to za dziewczyna stoi przy nim?

– A można wiedzieć, kto pyta?

– Przepraszam, nazywam się Daniel Sempere. Próbuję dowiedzieć się czegoś o panu Caraksie, o Julianie.

– Julián wyjechał do Paryża coś koło osiemnastego albo dziewiętnastego roku. Ojciec chciał go oddać do wojska, wie pan. A ja myślę sobie, że to matka go wywiozła, by go przed wojskiem ratować... A pan Fortuny został tu sam, mieszkał na poddaszu.

– A może pani wie, czy Julián później bywał w Barcelonie?

Dozorczyńni przyjrzała mi się w milczeniu.

– To pan nie wie? Julián zmarł tego samego roku w Paryżu.

– Słucham?

– Mówię, że Julián umarł. W Paryżu. Niebawem po przyjeździe. Trzeba mu było jednak iść do wojska.

– A mogę zapytać, skąd pani to wie?

– Jak to skąd? Bo jego ojciec mi to powiedział.

Przytaknąłem z namysłem.

– Rozumiem. A powiedział, na co umarł?

– Stary, wie pan, nie bawił się w szczegóły. Niedługo po wyjeździe Juliana przyszedł do niego list i kiedy zapytałam, co mam zrobić z tym listem, pan Fortuny powiedział, że Julián nie żyje i że gdyby coś jeszcze przyszło do Juliana, mam to wyrzucić. Co ma pan taką dziwną minę?

– Pan Fortuny okłamał panią. Julián nie zmarł w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym.

– Co pan powie?

– Julián mieszkał w Paryżu co najmniej do trzydziestego piątego

roku, a potem wrócił do Barcelony.

Twarz dozorczyńni się rozpromieniła.

– To znaczy, że Julián jest tutaj, w Barcelonie? Gdzie?

Przytaknąłem, mając nadzieję, że w ten sposób zdołam dozorczynię pociągnąć trochę za język.

– Matko Boska... No to bardzo mnie pan ucieszył, ale to bardzo, o ile to prawda, bo to był miły dzieciak, trochę dziwny i lubił pofantazjować, nawet sporo, a i owszem, ale miał w sobie coś takiego, że serce tajało. Na pewno marny byłby z niego żołnierz, to było widać z daleka. Mojej Isabelicie okropnie się podobał. Nie uwierzy pan, ale przez pewien czas nawet myślałam, że może się kiedyś pobiorą i Bóg wie, co tam... Mogę jeszcze raz zobaczyć zdjęcie?

Podąłem jej fotografię. Dozorczyńni przyglądała jej się, jakby miała do czynienia z talizmanem, z biletem powrotnym do czasów jej młodości.

– Aż się wierzyć nie chce, jakbym go żywego miała przed sobą... Ale jak mógł ten patałach powiedzieć, że jego syn umarł? Że też tacy pokręceni chodzą po świecie, choć nie dziwota z drugiej strony, bo i świat też taki jakiś pokręcony. A jak poszło Julianowi w Paryżu? Na pewno stał się bogaty. Zawsze mi coś mówiło, że Julián ma coś z bogacza.

– Niezupełnie. Został pisarzem.

– Pisał bajki?

– No, prawie. Pisał powieści.

– Takie w odcinkach? Oj, jak ładnie. No i właśnie, wcale mnie to nie dziwi, wie pan. Jak był mały, to właściwie nic innego nie robił, tylko opowiadał naszym dzieciakom przeróżne historie. W lecie moja Isabelita i jej kuzynki czasami chodziły na górę, na taras, żeby go posłuchać. Mówiły, że nigdy nie opowiadał dwa razy tej samej historii. Tyle że wszystkie były o umarlakach i o duchach. Mówiłam już panu, że dziwny był jednak z niego dzieciak. Choć i tak najdziwniejsze, że mając takiego ojca, całkiem nie zszikował. I wcale mnie nie zaskoczyło, że w końcu żona go zostawiła, bo z niego był patałach. Ja tam się w niczyje życie nie wtrącam, żeby było jasne. Mnie tam wszystko jedno, ale to był patałach. W końcu w takiej kamienicy i tak wszystko się roznosi. On ją bił, proszę sobie wyobrazić. A bo to raz

słysząc było krzyki i płacze? Nawet policja musiała parę razy tu przychodzić. Ja rozumiem, że czasami mąż musi stłuc żonę, żeby go szanowała, nie mówię, że nie, bo dużo jest lafirynd i dziewczyny już nie są takie jak kiedyś, ale on lubił ją bić tak sobie, dla bicia, rozumie pan? A ta biedna kobieta za jedyną przyjaciółkę miała młodą dziewczynę, Viçentetę z czwartego piętra, drugie drzwi. Czasem nawet biedaczka chowała się u Viçentety, żeby mąż już jej nie bił. I opowiadała jej różności...

– Różności? Jakie?

Dozorczyńni uniosła brwi, przybrała konspiratorski wyraz twarzy i rozejrzała się dookoła.

– A takie, że chłopak nie był dzieckiem kapelusznika.

– Julián? To znaczy, że Julián nie był synem Fortuny'ego?

– Tak powiedziała Francuzka Viçentecie, nie wiem, ze złości czy Bóg raczy wiedzieć z jakiego powodu. Viçenteta opowiedziała mi to parę lat później, gdy już tu nie mieszkali.

– To kto miałby być prawdziwym ojcem Juliana?

– A tego Francuzka nigdy nie chciała powiedzieć. Może i sama nie wiedziała. Wie pan, jacy są cudzoziemcy.

– I myśli pani, że mąż bił ją właśnie z tego powodu?

– A bądź tu mądry. Trzy razy skończyła w szpitalu, słyszy pan, trzy razy. A ten wieprz miał czelność jeszcze opowiadać wszystkim, że to z własnej winy, bo była pijaczką i tak się zachlewała, że wpadała na ściany. I komu on to chciał wmówić? Zawsze był skłócony z sąsiadami. Mojego zmarłego męża, niech spoczywa w pokoju, oskarżył kiedyś o kradzież w sklepie, bo według niego wszyscy z Murcji to włóczykije i złodzieje, proszę pana, a my przecież nie z Murcji, tylko z Andaluzji...

– Zdaje się, że wspominała pani, iż rozpoznaje dziewczynę, która jest na zdjęciu z Julianem?

Dozorczyńni znowu skupiła wzrok na zdjęciu.

– Nigdy jej nie widziałam. Ładniutka.

– Na zdjęciu wyglądają jak narzeczem – podpowiedziałem z nadzieją że coś drgnie w jej pamięci.

Oddała mi zdjęcie, kręcąc głową.

– Ja się na zdjęciach nie znam. A z tego, co wiem, Julián nie miał

dziewczyny, ale nawet gdyby miał, to raczej by mi o tym nie powiedział. Niewiele brakowało, żebym w ogóle się nie dowiedziała, że moja Isabelita się zadała z tym... wy, młodzi, pary z ust nie puściecie. To my, starzy, gadamy i gadamy, i nie wiemy, kiedy przestać.

– Pamięta pani jego kolegów, przyjaciół, kogoś, kto tu często przychodził?

Dozorczyni wzruszyła ramionami.

– Ojej, to już tyle czasu temu. Zresztą, nie wiem, czy pan wie, ale w ostatnich latach Julián rzadko już tu bywał. Zaprzyjaźnił się w szkole z chłopcem z bardzo dobrej rodziny Aldayów, co ja panu będę mówić. Teraz o nich jakoś cicho, ale wtedy mówiło się o nich jak o rodzinie królewskiej. Duże pieniądze. Wiem, bo czasami przysyłali samochód po Juliana. Gdyby pan widział ten samochód. Nawet Franco takiego nie ma. Cały błyszczący, z szoferem. Mój Paco, a znał się na tym, mówił, że był to jakiś rolsroj lub coś w tym guście.

– Pamięta pani imię tego kolegi Juliana?

– No wie pan, jak się nosi takie nazwisko jak Aldaya, to imię jest niepotrzebne. Pamiętam też innego chłopaka, nieprzytomny taki, Miquel mu chyba było. Wydaje się, że to też był kolega z klasy. Ale o nazwisko i wygląd proszę mnie nie pytać.

Wyglądało na to, że znaleźliśmy się w ślepych zaułku z jednej strony, z drugiej zaś zacząłem obawiać się, że dozorczyńni lada chwila straci zainteresowanie tematem. Idąc za podszeptem serca, zapytałem:

– Mieszka ktoś teraz w mieszkaniu Fortunych?

– Nie. Stary zmarł i nie zostawił testamentu, a żona, z tego, co wiem, nadal siedzi w Buenos Aires i nawet na pogrzeb nie przyjechała.

– Dlaczego w Buenos Aires?

– Widocznie nie udało jej się uciec dalej od niego. Szczerze mówiąc, wcale jej nie winie. Zostawiła wszystko w rękach adwokata, bardzo dziwnego osobnika. Nigdy go nie widziałam, ale moja córka Isabelita, która mieszka na piątym, pierwsze drzwi, dokładnie piętro niżej, mówi, że on czasem przychodzi wieczorami, bo ma klucze, i całymi godzinami spaceruje po mieszkaniu, a później idzie sobie. A kiedyś nawet, opowiadała mi córka, słychać było stukot kobiecych obcasów. No i co pan na to?

– A może to były szczudła? – podpowiedziałem.

Spojrzała na mnie nic nierozumiejącymi oczyma. Najwyraźniej dla dozorczynie był to nader poważny temat.

– I przez te wszystkie lata nikt więcej nie przychodził do mieszkania?

– A i owszem, zdarzyło się, że kiedyś przyszedł bardzo ponury typ, z tych, co to uśmiech mu z ust nie schodzi, ale z daleka już czuć, czym to śmierdzi. Powiedział, że jest z Brygady Kryminalnej. Chciał obejrzeć mieszkanie.

– A powiedział dlaczego?

Dozorczynie pokręciła głową.

– Pamięta pani jego nazwisko?

– Inspektor jakiś tam. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że jest policjantem. Sprawa brzydko pachniała, pan mnie rozumie. Jakieś porachunki osobiste. Spławiłam go i powiedziałam, że nie mam kluczy od mieszkania i że jeśli czegoś chce, to niech zadzwoni do adwokata. Powiedział mi, że wróci, ale nie widziałam go już więcej. A i wcale nie mam ochoty.

– A może przypadkiem zna pani nazwisko i adres owego adwokata?

– A o to niech pan zapyta naszego zarządcę, pana Molinsa. Ma nieopodal biuro, pod numerem dwadzieścia osiem na Floridablanca, na parterze. Proszę mu powiedzieć, że jest pan od pani Aurory, i polecam się na przyszłość.

– Bardzo jestem pani wdzięczny. A mieszkanie Fortuny'ego, pani Auroro, jest oczywiście puste?

– Nie, skądże, przecież odkąd umarł stary, nikt przez te wszystkie lata niczego stamtąd nie zabrał. A i czasem nieźle potrafi cuchnąć. Ja nawet myślę, że tam są szczury.

– A można by rzucić na nie okiem? Może uda nam się trafić na ślad tego, co naprawdę stało się z Julianem...

– Oj, nie, nie, ja nie mogę robić takich rzeczy. Musi pan porozmawiać z Panem Molinsem, on się tym zajmuje.

Uśmiechnąłem się przymilnie.

– Ale chyba ma pani klucz. Wiem, że tamtemu indywiduum powiedziała pani, że nie... Ale ja, gdybym był na pani miejscu, to bym

umierał z ciekawości, co też jest tam w środku.

Aurora spojrzała na mnie spode łba.

– Diabeł, diabeł wcielony.

Drzwi ustąpiły, zgrzytając nieprzyjemnie, jak odsuwana płyta nagrobna. Buchnęło stęchlizną. Popchnąłem je i stanąłem przed korytarzem pogrążonym w mroku. Spod sufitu zwisały, niczym białe włosy, kądziele kurzu. Potłuczone płytki podłogowe pokryte były czymś, co wyglądało na warstwę popiołu. Dostrzegłem jakby ślady stóp prowadzące w głąb mieszkania.

– Matko Przenajświętsza – szepnęła dozorczyńni. – Tu jest gorzej niż w chlewie.

– Jeśli pani woli, wejdę sam – odpowiedziałem.

– A jasne, tylko pan na to czeka. Właż pan, a ja będę szła tuż za panem.

Zamknęliśmy za sobą drzwi. Przez chwilę, dopóki wzrok się nie przyzwyczyił do ciemności, staliśmy nieruchomo w progu mieszkania. Słyszałem nerwowy oddech dozorczyńni, a w nozdrzach zakręciło mnie od kwaskowatej woni jej potu. Poczułem się jak hiena cmentarna, z duszą przeżartą chciwością i żądzą.

– Co to za hałas? – zapytała podenerwowana.

Coś zaniepokojonego naszą obecnością zatrzepotało w ciemnościach. Wydało mi się, że dostrzegam jasnawe cienie unoszące się na końcu korytarza.

– Gołębie – powiedziałem. – Pewnie dostały się przez stłuczoną szybę i zbudowały tu gniazdo.

– Mam wstręt do tych ptaszysk – powiedziała dozorczyńni. – Zasrańce jedne.

– Spokojnie, dońo Auroro, atakują tylko wtedy, gdy są głodne.

Ruszyliśmy w głąb korytarza. Dotarliśmy do pokoju stołowego wychodzącego na balkon. Można było dostrzec kontury połamanego stołu przykrytego obszarpanym obrusem wyglądającym jak całun. Wokół stołu stały cztery krzesła, nieopodal zaś dwie zakurzone witryny z zastawą, kompletem szklanek i serwisem do herbaty. W rogu pokoju przycupnęło stare pianino ze szerniałymi już klawiszami. Przy oknie balkonowym stał fotel z powyrywaną falbaną,

przy nim stolik do kawy, na którym leżała para okularów i Biblia oprawna w jasną skórę ze złoconymi brzegami stron, jeden z tych egzemplarzy, jakie w owym czasie dawano w prezencie z okazji Pierwszej Komunii. Kapitałka ze szkarłatnej nici była w dobrym stanie.

– Widzi pan, stary zmarł w tym właśnie fotelu, a lekarz mówił, że dwa dni siedział tu martwy. Umrzeć tak samotnie jak pies – to straszna śmierć. A najgorsze, że sam się o to prosił, ale mimo wszystko żał mi go.

Podszedłem do fotela śmierci pana Fortuny'ego. Przy Biblii leżała mała szkatułka z biało – czarnymi fotografiami, starymi portretami, robionymi w atelier. Przyklęknąłem, żeby się im przyjrzeć, pełen obaw, czy w ogóle mogę ją dotknąć. Pomyślałem, że profanuję wspomnienia Bogu ducha winnego człowieka, ale ciekawość zwyciężyła. Pierwsze zdjęcie przedstawiało młodą parę z dzieckiem, nie więcej niż czteroletnim. Rozpoznałem je po oczach.

– No i proszę, oto oni. Pan Fortuny za młodu i ona...

– Julián nie miał rodzeństwa?

Dozorczyńni wzruszyła ramionami, wzdychając.

– Gadano, że straciła dziecko po kolejnych mężowskich rękoczynach, ale ja tam nie wiem. Ludzie lubią plotkować, ot co. Pewnego razu Julián opowiedział dzieciakom z sąsiedztwa, że ma siostrę, którą tylko on może zobaczyć, bo ona wychodzi z luster, jakby była obłokiem z pary, a mieszka z samiusieńkim szatanem w pałacu pod jeziorem. Mojej Isabelicie przez cały miesiąc śniły się koszmary. No, jednak to nie było normalne dziecko, czasami.

Rozejrzałem się po kuchni. Zza rozbitej szyby małego okienka wychodzącego na podwórze słychać było nerwowy i nieprzyjemny trzepot gołębic skrzydeł.

– Wszystkie mieszkania mają taki sam rozkład? – zapytałem.

– Te, co wychodzą na ulicę, to znaczy wszystkie parzyste, tak, ale to jest na poddaszu, więc wygląda trochę inaczej – wytłumaczyła dozorczyńni. – Tam jest kuchnia i pralnia z małym okienkiem. Przy korytarzyku znajdują się trzy pokoje, na końcu łazienka. Takie mieszkanie to kawał mieszkania, o ile jest zadbane, niech pan sobie nie myśli. To, akurat, podobne jest do mieszkania mojej Isabelity, tyle

że teraz wygląda jak grób, oczywiście.

– A wie pani, który z tych pokoi był pokojem Juliana?

– Pierwsze drzwi to główna sypialnia. Te drugie prowadzą do małego pokoju. Może to ten?

Ruszyłem korytarzem. Farba odpadała ze ścian całymi płatami. Drzwi do łazienki w głębi były na wpół otwarte. Z lustra patrzyła na mnie czyjaś twarz. Mogła to być moja twarz, a równie dobrze twarz siostry, żyjącej w lustrach tego mieszkania. Spróbowałem otworzyć drugie drzwi.

– Są zamknięte na klucz – poinformowałem dozorczynię.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Przecież te drzwi nie mają zamków – szepnęła.

– A te mają jak najbardziej.

– No to musiał je założyć stary, bo w pozostałych mieszkaniach.

Spojrzałem na podłogę i zobaczyłem, że odbite w kurzu ślady stóp prowadzą ku zamkniętym drzwiom.

– Ktoś wchodził do tego pokoju – stwierdziłem. – I to niedawno.

– Niech mnie pan nie straszy – jęknęła dozorczyńni.

Podszedłem do drugich drzwi. Nie miały zamka. Ustąpiły od pierwszego pchnięcia, otwierając się ze skrzypiącym jękiem. Na środku pokoju stało stare rozpadające się łóżko z baldachimem. Pożółkła bielizna pościelowa wyglądała jak całun śmiertelny. Na łóżku leżał krucyfiks. Obok stało krzesło i komoda, a na niej małe lustro, miska, dzbanek. Przy ścianie zaś niedomknięta szafa. Obszedłem łóżko, by dojść do nocnego stolika, przykrytego szkłem przyciskającym zdjęcia przodków, nekrologi i loteryjne bilety. Na stoliku stała rzeźbiona, drewniana pozytywka i leżał zegarek kieszonkowy zastygły na piątej dwadzieścia. Nakręciłem pozytywkę, ale melodia urwała się po sześciu nutach. Otworzyłem szufladę stolika. Znalazłem pusty futerał na okulary, obcinacz do paznokci, tabakierkę i medalik Matki Boskiej z Lourdes. To wszystko.

– Gdzie się podział klucz od tamtego pokoju... – powiedziałem.

– Może zarządca go ma. Wie pan, lepiej będzie, jak już pójdziemy i...

Wzrok mój padł na pozytywkę. Podniosłem pokrywkę i znalazłem pozłacany klucz, który blokował mechanizm. Gdy wyjąłem kluczyk,

pozytywka znowu zaczęła grać. Rozpoznałem jeden z utworów Ravela.

– To musi być ten klucz – uśmiechnąłem się do dozorczyń.

– Wie pan co, jeśli pokój jest zamknięty, to pewnie z jakiegoś powodu. Choćby przez pamięć o...

– Przecież może pani na mnie poczekać na dole, u siebie, doño Auroro.

– Diabeł z pana wcielony. No, otwierajże pan wreszcie.

Gdy wkładałem klucz do zamka, usłyszałem świst i poczułem chłodny strumień powietrza na palcach. Na polecenie pana Fortuny'ego do drzwi pokoju opuszczonego przez syna założono zamek i zasuwkę. Doña Aurora patrzyła na mnie z trwogą, jakbyśmy mieli lada chwila otworzyć puszkę Pandory.

– Ten pokój wychodzi na ulicę? – zapytałem.

Dozorczyńni zaprzeczyła.

– Od tamtej strony jest tylko okno połaciowe.

Popchnąłem drzwi. Przed nami otworzyła się nieprzenikniona studnia ciemności. Nikła jasność zza naszych pleców wyprzedziła nas niczym opary ciepłych oddechów, ledwie trącając cienie. Okno wychodzące na podwórze było oklejone starymi gazetami. Zerwałem papier i ostrze mglistego światła rozcięło ciemności.

– Józefie święty – szepnęła stojąca przy mnie dozorczyńni.

Pomieszczenie pełne było krucyfiksów. Zwisaly ze stropu podwiązane do sznurków, wisiały na ścianach przybite gwoździemi. Były ich dziesiątki: z trudem, bo z trudem, ale można było je dojrzeć walające się po kątach, wycięte nożem na drewnianych meblach, wydrapane w płytkach podłogowych, namalowane czerwienią na lustrach. Prowadzące do pokoju ślady stóp po przekroczeniu progu znaczyły ścieżkę wokół łóżka, z którego ostał się zaledwie wrak z drutu i zżartego przez korniki drewna. W rogu pokoju, pod oknem południowym, stało zamykane biurko zwieńczone metalowymi krucyfiksami. Ostrożnie je otworzyłem. Brak kurzu na spojeniach wskazywał, że niedawno było otwierane. Biurko miało sześć szuflad. Zamki były wylamane. Po kolei zajrzałem do każdej z szuflad. Były puste.

Klęknąłem przed biurkiem. Zacząłem dokładnie dotykać nacięć na drewnie. Wyobrazilęm sobie dłonie Juliana Caraxa, wycinające wszystkie te bazgroły, hieroglify, których znaczenie zaginęło z biegiem

lat. W głębi biurka majaczył stos zeszytów i kubek z długopisami i ołówkami. Wziąłem jeden z zeszytów i przekartkowałem go. Rysunki, luźne słowa. Zadania arytmetyczne. Pojedyncze zdania, cytaty z książek. Niedokończone wiersze. Wszystkie zeszyty wyglądały tak samo. Niektóre rysunki powtarzały się strona po stronie, różniąc się szczegółami. Zwróciłem uwagę na postać mężczyzny, narysowaną jakby z samych płomieni. Inny z kolei rysunek przedstawiał ni to anioła, ni to gada owiniętego wokół krzyża. Wiele rysunków wyglądało jak próbne szkice ekstrawaganckiego budynku, pełnego wieżyczek i katedralnych łuków. Kreska znamionowała pewną rękę i niejaki nerw. Młody Carax zapowiadał się jako niepozbowiony talentu rysownik, choć spod jego ręki wyszły jedynie niedokończone szkice.

Zamierzałem już odłożyć ostatni zeszyt, nie przejrzawszy go nawet, gdy spomiędzy jego kartek coś się wyslizgnęło i sfrunęło do moich stóp. Było to zdjęcie dziewczyny z nadpalonego zdjęcia zrobionego przed tym samym budynkiem. Dziewczyna stała w ogrodzie pełnym krzewów i drzew. Zza gałęzi dostrzec można było ów dziwny budynek, którego szkic zrobiony ręką młodego Caraxa widziałem przed chwilą, ale teraz natychmiast rozpoznałem budowlę. Wieża «El Frare Blanc» z alei Tibidabo. Na odwrocie fotografii widniała prosta dedykacja:

Kocha Cię, Penélope

Schowałem fotografię do kieszeni, zamknąłem biurko i uśmiechnąłem się do dozorczyńni.

– Naoglądał się już pan? – zapytała, pragnąc opuścić mieszkanie jak najszybciej.

– Prawie – odparłem. – Powiedziała mi pani, że tuż po tym, jak Julián wyjechał do Paryża, przyszedł do niego list, ale pan Fortuny kazał go pani wyrzucić...

Dozorczyńni wahała się przez chwilę, po czym przytaknęła.

– Włożyłam list do szuflady komody w korytarzu, w razie gdyby Francuzka kiedyś wróciła. Pewnie jeszcze tam leży...

Podeszliśmy do komody i otworzyliśmy górną szufladę. Ciemnożółta koperta leżała pośród sterty stojących zegarków, guzików i monet, wycofanych z obiegu ze dwadzieścia lat temu.

Wziąłem kopertę i obejrzałem ją.

- Czytała pani ten list?
- A za kogo też pan mnie ma?
- Proszę się nie obrażać. Zważywszy okoliczności, byłoby to jak najbardziej naturalne, skoro pani myślała, że biedny Julián nie żyje...

Dozorczyni, spuszczać wzrok, wzruszyła ramionami i skierowała się ku wyjściu. Korzystając ze sposobności, schowałem list do wewnętrznej kieszeni marynarki i zamknąłem szufladę.

– Tylko proszę nie myśleć sobie Bóg wie co – powiedziała dozorczyń.

- Ależ skądże. Co było w liście?
- To był list miłosny. Jak te z radionowel, ale smutniejszy, co tu dużo gadać, bo czuło się, że jest nieudawany, taki prawdziwy. Nie uwierz pan, ale jak go czytałam, to byłam bliska płaczu.
- Bo pani, doño Auroro, jest bardzo wrażliwa.
- A pan jest diabeł wcielony.

Tego samego popołudnia, gdy pożegnałem się z doñą Aurorą, obiecawszy jej donieść o tym, co uda mi się wywiedzieć o Julianie Caraksie, udałem się do biura zarządcy budynku. Pan Molins znał już chyba lepsze czasy, bo teraz dogorywał w zapyziałym biurze przyczajonym w suterenie przy ulicy Floridablanca. Był korpulentnym pogodnym typem, z wypalonym w połowie cygarem w ustach, które wyglądało, jakby wyrastało mu spomiędzy wąsów. Trudno było określić, czy śpi, czy nie, gdyż oddychał jak ktoś, kto chrapie. Miał tłuste, oblepiające czoło włosy i spojrzenie cwaniackie i obleśne. Ubrany był w garnitur, za który nie dostałby nawet dziesięciu peset na pchlim targu Los Encantes, ale nadrabiał to wstrząsającym krawatem w tropikalnych kolorach.

Sądząc po wyglądzie biura, administrowano tam już wyłącznie kretowiskami i katakumbami Barcelony sprzed restauracji dynastii burbońskiej.

- Mamy remont – powiedział Molins przepraszająco.
- Żeby przełamać lody, rzuciłem imię doñi Aurory, jakby była naszą wspólną i starą znajomą.
- Trzeba jej przyznać, że za młodu był z niej kawał ładnej

dziewuchy – powiedział Molins. – Ale lata swoje zrobiły, utyla, no ja też już oczywiście nie jestem taki jak kiedyś. Proszę mi wierzyć, w pańskim wieku byłem adonisem. Dziewczyny na kolanach prosiły mnie o przysługę, jeśli nie o dziecko. Wiek dwudziesty to jedno wielkie gówno. No dobrze, czym mogę służyć, młody człowieku?

Opowiedziałem mu w miarę prawdopodobną historię o domniemanym pokrewieństwie z rodziną Fortunych. Po pięciu minutach mojego gadania Molins powlókł się do swego archiwum i dał mi adres adwokata prowadzącego sprawę Sophie Carax, matki Juliana.

– Co my tu mamy... Jose Maria Requejo. Ulica Leona Trzynastego pięćdziesiąt dziewięć. Ale korespondencję wysyłamy co kwartał na skrytkę pocztową na Via Layetana.

– Zna pan pana Requejo?

– Kiedyś chyba rozmawiałem z jego sekretarką przez telefon. Tak naprawdę wszystkie sprawy załatwiane są z nim korespondencyjnie i prowadzi je moja sekretarka, ale teraz jest właśnie u fryzjera. Dzisiejsi adwokaci nie mają już czasu, żeby prowadzić sprawy tak, jak prowadzono je kiedyś. Już nie ma dżentelmenów w tym zawodzie.

Najwyraźniej nie było również wiarygodnych adresów. Prosty rzut oka na spis ulic, leżący na biurku administratora, potwierdził moje podejrzenia: mecenas Requejo mieszkał na nieistniejącej ulicy. Powiedziałem to panu Molinsowi, który zareagował na informację jak na dowcip.

– No nie, nie chrzań pan – zaczął się śmiać. – A nie mówiłem? Na dodatek oszuści.

Administrator przechylił się w fotelu i znowu ni to chrapnął, ni to chrząknął...

– A numer tej skrytki pocztowej ma pan?

– Według zapisu w kartotece to dwa osiem trzy siedem, chociaż ja na tych wszystkich numerach, jakie mi zapisuje moja sekretarka, to się za bardzo nie wyznaję, sam pan wie, że kobiety się nie nadają do matematyki, a z numerków nadają się tylko do...

– A mogę zobaczyć fiszkę z tej kartoteki?

– Ależ oczywiście, bardzo proszę.

Wziąłem wyciągniętą ku mnie fiszkę i przyjrzałem się jej

dokładnie. Zapisane na niej cyfry były czytelne. Skrytka pocztowa miała numer dwa trzy dwa jeden. Grozą przejęła mnie myśl o księgowości prowadzonej w biurze pana Molinsa.

– Był pan może w jakichś bliższych stosunkach z panem Fortuny?

– Nie bardzo. Piczka zasadniczka. Jak dowiedziałem się, że ta jego Francuzka go opuściła, to go zaprosiłem, by się wybrał ze mną i z moimi przyjaciółmi do wspaniałego burdelu obok La Palomy. Ot tak, żeby się biedak rozerwał trochę, nic więcej. I proszę sobie wyobrazić, że przestał się do mnie odzywać i witać ze mną na ulicy, jakbym był powietrzem. No i co pan na to?

– Aż mnie замуrowało. A co jeszcze może mi pan opowiedzieć o rodzinie Fortunych? Dobrze ich pan znał?

– To były inne czasy – westchnął nostalgicznie. – Ja już, nie ma co ukrywać, znałem dziadka Fortuny'ego, który założył pracownię. A o synu, co ja panu będę gadał. A ona, no, porażająca. Co za kobieta. I uczciwa, żeby se pan nie myślał, wbrew tym wszystkim plotkom krążącym o niej...

– Jak chociażby ta, że Julián nie był wcale synem pana Fortuny?

– Taa? A od kogo to pan słyszał?

– Mówiłem panu przecież, jestem dalekim kuzynem. Niczego nie da się ukryć.

– Nic konkretnego nigdy nie wykazano.

– Ale gadano o tym – nie ustępowałem.

– Ludzie będą gadać i wszystko rozgrzebywać. Człowiek nie pochodzi od małpy, tylko od kury.

– A co ludzie mówili?

– A może kieliszek rumu? Jest to, co prawda, nasz produkt, bo z Igualady, ale ma karaibską iskierkę... Naprawdę, bardzo dobry.

– Nie, dziękuję, ale proszę sobie nalać i smakować, a ja chętnie posłucham...

Antonio Fortuny, nazywany przez wszystkich kapelusznikiem, poznał Sophie Carax w 1899 roku na stopniach katedry w Barcelonie. Złożył właśnie ślub świętemu Eustachemu, który spośród wszystkich świętych posiadających własną kapliczkę cieszył się sławą najsprawniejszego i najmniej drobiazgowego i małostkowego w

godzinę sprawiania cudu miłości. Antonio Fortuny skończył trzydzieści lat, był starym kawalerem, pragnął żony, i to już. Sophie była młodą Francuzką, mieszkającą w rezydencji dla panien na ulicy Riera Alta, i udzielała lekcji solfeżu i gry na pianinie latoroślom najznacześniejszych barcelońskich rodzin. Prócz młodego wieku i wykształcenia muzycznego, o które zadbał jej ojciec, pianista w jednym z teatrów w Nimes, zanim umarł na gruźlicę w 1886 roku, nie miała ani rodziny, ani majątku. Antonio Fortuny wręcz przeciwnie, był człowiekiem ekonomicznego sukcesu. Odziedziczył niedawno firmę swego ojca, znaną pracownię kapeluszy przy rondzie San Antonio, gdzie wyuczył się rzemiosła, którego arkana pragnął w przyszłości przekazać z kolei synowi. Sophie Carax wydała mu się krucha, piękna, młoda, uległa i płodna. Święty Eustachy uczynił zadość jego prośbom, podtrzymując swą sławę. Po czterech miesiącach uporczywych konkurów Sophie zgodziła się zostać żoną Antonia. Pan Molins, przyjaciel starego Fortuny'ego, uprzedzał młodego kapelusznika, że bierze za żonę nieznajomą, że Sophie, owszem, wygląda na dobrą dziewczynę, ale ów związek małżeński sprawia wrażenie zbyt korzystnego dla niej, niechby poczekał chociaż z rok... Antonio Fortuny odparł, że o swojej przyszłej żonie wie akurat tyle, ile trzeba. Reszta go nie interesowała. Pobrali się w bazylice del Pino i spędzili swój trzydniowy miesiąc miodowy w uzdrowisku Mongat. W przeddzień wyjazdu kapelusznik dyskretnie zapytał pana Molinsa, jak powinien się zachowywać w tajemniczym świecie alkowy. Molins sarkastycznie doradził mu, żeby śmiało zapytał o to żonę. Nowożeńcy wrócili do Barcelony po dwóch dniach. Sąsiedzi mówili, że Sophie płakała na schodach. Wiele lat później Viçenteta będzie przysięgać, że Sophie zwierzyła się jej, iż kapelusznik nawet palcem jej nie tknął, a kiedy chciała go skusić, potraktował ją jak ulicznicę, urażony plugastwem jej zamiarów. Sześć miesięcy później Sophie oznajmiła mężowi, że nosi dziecko w łonie. Dziecko innego mężczyzny.

Antonio Fortuny wielokrotnie widział swego ojca bijącego matkę, więc zrobił to, co uważał za stosowne. A przestał, gdy uznał, że jeszcze jedno uderzenie ją zabije. Mimo to Sophie nie wyjawiała nazwiska ojca dziecka. Antonio Fortuny, kierując się własną

szczególną logiką, doszedł do wniosku, że to sprawka diabła, gdyż było to dziecko grzechu, a grzech ma tylko jednego ojca: Złego. Przekonany, że grzech zagnieździł się w jego domu i między udami małżonki, zaczął wieszać wszędzie krucyfiksy: na ścianach, na drzwiach wszystkich pokoi i na suficie. Gdy Sophie ujrzała go, jak obwiesza krzyżami pokój, który wyznaczył jej na miejsce odosobnienia, przestraszyła się i ze łzami w oczach zapytała, czy przypadkiem nie zwariował. On, ślepy z wściekłości, odwrócił się i spoliczkował ją. „Taka sama kurwa jak inne”, splunął i zaczął okładać ją pasem, by następnie, nie żałując kopniaków, wyrzucić na schody. Następnego dnia, gdy Antonio Fortuny wychodził do swej pracowni, Sophie w strugach krwi nadal leżała pod drzwiami, trzęsąc się z zimna. Lekarzom nigdy nie udało się jej całkowicie złożyć złamanej prawej ręki. Sophie Carax już nigdy nie zagrała na pianinie, ale miała urodzić chłopca i dać mu na imię Julián na cześć swego ojca, którego straciła przedwcześnie, jak wszystko w życiu. Fortuny zamierzał wyrzucić ją z domu, ale uznał, że ewentualny skandal może źle wpłynąć na interesy firmy. Nikt nie będzie kupował kapeluszy od człowieka, za którym ciągnąć się będzie niesława rogacza. Nie miało to sensu. Sophie została ulokowana w zimnym i ciemnym pokoju na tyłach mieszkania. Tam powiła syna, za akuszerki mając dwie sąsiadki. Antonio pojawił się w domu trzy dni później. „To jest syn, którym obdarzył cię Bóg – oznajmiła Sophie. – Jeśli chcesz kogoś ukarać, to, proszę, ukarż mnie, ale nie karz tej niewinnej istoty. Dziecko potrzebuje domu i ojca. Moje grzechy nie są jego grzechami. Błagam cię, zlituj się nad nami”.

Pierwsze miesiące były trudne dla obojga. Antonio Fortuny postanowił odnosić się do żony jak do służącej. Nie dzielili łóża ani stołu i prócz rozmów dotyczących bieżących spraw domowych rzadko kiedy zwracali się do siebie. Raz w miesiącu, zazwyczaj przy pełni księżyca, Antonio Fortuny stawał o świcie w pokoju Sophie i bez słowa rzucał się na swoją żonę z impetem, ale miernym skutkiem. Wykorzystując te rzadkie chwile bojowej intymności, Sophie próbowała pogodzić się z mężem, szepcząc słowa miłości i nie żałując najwymyślniejszych pieszczot. Kapelusznik nie należał do mężczyzn zawracających sobie głowę drobiazgami, a zaćma

podniecenia przechodziła mu w kilka minut, jeśli nie w kilka sekund. Z tych ataków w podwiniętej koszuli nocnej nie zostało poczęte żadne dziecko. Z biegiem lat Antonio Fortuny przestał odwiedzać sypialnię Sophie, nabył zaś zwyczaju czytania Pisma Świętego do godzin porannych, szukając w nim ukojenia dla swoich cierpień.

Z pomocą Pisma kapelusznik próbował rozbudzić w swoim sercu miłość do dziecka o głębokim spojrzeniu; nade wszystko lubiło ono żartować i wymyślać cienie tam, gdzie ich nie było. Pomimo uporczywych wysiłków nie był w stanie poczuć w małym Julianie swego rzeczywistego potomka ani dopatrzeć się w nim swoich rysów. Chłopiec z kolei nie wykazywał zbytniego zainteresowania kapelusznictwem czy też naukami katechizmu. W Boże Narodzenie Julián zabawiał się przestawianiem postaci w szopce, wymyślając zarazem tak intrygujące fabuły, jak nieczne porwanie maleńkiego Jezusa przez Trzech Króli. Dość szybko nabrał nawyku rysowania aniołków o wilczych kłach oraz wymyślania historii o zakapturzonych zjawach, wychodzących ze ścian i pożerających myśli śpiących ludzi. Z czasem kapelusznik stracił jakiegokolwiek nadzieję, że uda mu się nakierować chłopaka na porządne ścieżki. To dziecko nie było jednym z Fortunych i nigdy nie miało być. Chłopiec twierdził, że w szkole się nudzi, i wracał do domu z zeszytami, których kartki pokryte były rysunkami potworów, skrzydlatych węży i żywych, przemieszczających się budynków, pożerających nieostrożnych przechodniów. Już wówczas było jasne, że fantazje i twory wyobraźni interesowały go o wiele bardziej niż codzienna, otaczająca go rzeczywistość. Ze wszystkich przykrości, jakie spotkały w życiu Antonia Fortuny, żadna nie sprawiła mu takiego bólu jak ów syn, nasłany przez diabła po to jedynie, by kapelusznik stał się pośmiewiskiem całego świata.

Mając dziesięć lat, Julián oznajmił, że chce zostać malarzem takim jak Velázquez, marzył bowiem o stworzeniu płócien, których wielki mistrz nie zdołał nigdy namalować, dlatego że musiał nieustannie portretować skretyniałych członków rodziny królewskiej. Na domiar złego Sophie, czy to dla zabicia nudy samotności czy przez wzgląd na swego ojca, zaczęła uczyć Juliana gry na pianinie. Julián, który uwielbiał muzykę, malarstwo i to

wszystko, co w społeczeństwie prawdziwych mężczyzn jest całkiem nieprzydatne i nie przynosi żadnych profitów, szybko nauczył się podstaw harmonii, by następnie dojść do wniosku, że woli tworzyć własne kompozycje, niż tępo i wbrew naturze podążać za partyturami. W owym czasie Antonio Fortuny sądził jeszcze, że upośledzenie, w jakiejś mierze umysłowe, chłopca jest wynikiem jego sposobu odżywiania się, pozostającego pod wpływem francuskiej kuchni jego matki. Przecież rzeczą powszechnie wiadomą było, że nadmiar spożywanego masła powoduje zapaść moralną, o umysłowym otepieniu nie mówiąc. Zabronił Sophie używania w kuchni masła raz na zawsze. Rezultaty były jednak odmienne od spodziewanych.

Po ukończeniu dwunastu lat Julián zaczął tracić swe gorączkowe zainteresowanie malarstwem i Velazquezem, ale ledwie co rozbudzone nadzieje kapelusznika rychło okazały się płonne. Julián rezygnował z marzeń o Prado na rzecz innych, znacznie szkodliwszych. Odkrył bibliotekę przy ulicy del Carmen i każdą dyspensę udzielaną mu przez ojca w pracowni wykorzystywał na pobyt w sanktuarium książek i pożeranie tomów powieści, poezji i prac historycznych. W przeddzień trzynastych urodzin ogłosił, że chce być kimś o nazwisku Robert Louis Stevenson, obcokrajowcem, jakby na to nie patrzeć. Kapelusznik oznajmił mu, że w najlepszym razie zostanie kamieniarzem. Wtedy właśnie utwierdził się w przekonaniu, że jego syn jest po prostu najzwyczajniejszym głupcem.

Częstokroć, nie mogąc zasnąć, Antonio Fortuny kręcił się w łóżku ze złości i frustracji. Wgłębi serca kochał tego chłopaka, powtarzał sobie raz i drugi. I chociaż na to nie zasługiwała, kochał również tę latawicę, która go zdradziła zaraz pierwszego dnia. Kochał ich z całej duszy, ale na swój sposób, czyli właściwie, porządnie i słusznie. Prosił tylko Boga o wskazanie sposobu, w jaki mogliby być we trójkę szczęśliwi, najlepiej i w miarę możliwości na jego, Antonia Fortuny, sposób. Modlił się do Pana o znak, o szept, o okruch obecności. Bóg, w swej nieskończonej mądrości i być może przytłoczony lawiną próśb tyłu znękanych dusz, nie odpowiadał. Podczas gdy Antonio Fortuny spalał się w ogniu wyrzutów sumienia i bólu, Sophie po drugiej stronie muru powoli gasła, patrząc, jak jej życie dryfuje w

podmuchu kłamstw, opuszczenia, winy. Nie kochała mężczyzny, któremu służyła, ale czuła, że do niego należy, a sama myśl porzucenia go i zabrania dziecka wydawała się jej nie do przyjęcia. Z goryczą wspominała prawdziwego ojca Juliana, a po jakimś czasie nauczyła się nawet nienawidzić zarówno jego osobę, jak i to wszystko, co sobą reprezentował, a czego jej najbardziej brakowało i za czym tęskniła. Z braku rozmów i wymiany myśli małżeństwo zaczęło wymieniać między sobą wrzaski. Przekleństwa i złorzeczenia fruwały w powietrzu jak noże, raniąc każdego, kto stawał im na drodze, najczęściej Juliana. A później kapelusznik nigdy nie pamiętał dokładnie, dlaczego pobił żonę. Pamiętał tylko ogień furii i wstyd. Przysięgał sobie, że już nigdy się to nie powtórzy, że jeśli zajdzie taka potrzeba, to odda się w ręce policji, żeby go wtrącono do więzienia.

Antonio Fortuny był przekonany, że z boską pomocą może zostać lepszym od swego ojca człowiekiem. Lecz prędzej czy później jego pięści znowu trafiwały w kruche ciało Sophie, więc w końcu uznał, że skoro nie może jej posiadać jako prawowity mąż, posiada ją jako kat. W ten oto sposób, kryjąc wszystko pod korcem, rodzinie Fortunych upływał rok za rokiem na wyciszaniu serc i dusz tak dalece, że z tego chowania się za parawanem milczenia zapomnieli słowa, które pomogłyby im wyrazić prawdziwe uczucia, przeistaczając się w całkiem sobie obcych ludzi, przypadkowo mieszkających pod wspólnym dachem, jednym z wielu dachów w bezkresnym mieście.

Było już dobrze po wpół do trzeciej, gdy wróciłem do księgarni. Ledwo wszedłem, Fermín obrzucił mnie sarkastycznym spojrzeniem, stojąc na szczycie drabiny i polerując grzbiety pełnej edycji *Epizodów narodowych* znamienitego don Benita Pérez Galdosa.

– Błogosławione niech będą moje oczy. Już myśleliśmy, że płynie pan do Ameryki, Danielu.

– Coś mnie zatrzymało po drodze. A gdzie ojciec?

– Ponieważ pan się nie zjawiał, więc udał się na miasto, by roznieść pozostałe zamówienia. Prosił, żebym przekazał panu, że dziś po południu jedzie do Tiany dokonać wyceny prywatnej biblioteki jakiejś wdowy. Pański ojciec jest z tych, co to zabijają milczeniem.

Powiedział, żeby nie czekał pan na niego z zamknięciem księgarni.

– Był zły?

Fermín pokręcił głową, schodząc z drabiny z kocią zręcznością.

– Ależ skąd. Pański ojciec to święty. Poza tym nie posiadał się z radości, że ma pan narzeczoną.

– Proszę?

Fermín mrugnął do mnie, oblizując się.

– Niezły z pana gagatek, oj niezły, żeby pary z ust nie puścić. A dziewczyna – no nie mam słów, na sam jej widok korek na pół Barcelony. A jaka klasa – prima sort. Widać, że nauki pobierała w najlepszych szkołach, choć w jej spojrzeniu jest coś nie tak... I gdyby nie to, że serce mam zajęte Bernardą, ale zaraz, przecież ja panu jeszcze nie powiedziałem o naszym podwieczorku... iskry, panie Danielu, iskry strzelały, co tam iskry, fajerwerki, to była istna noc sylwestrowa...

– Fermín – przerwałem mu. – O czym, do diabła, pan mówi?

– O pańskiej narzeczonej.

– Ja nie mam narzeczonej, Fermín.

– Wy, młodzi, teraz to nazywacie byle jak, dziewczyna, sympatia albo...

– Fermín, niech pan przestanie tak nawijać i cofnie się do początku. O czym pan mówi?

Fermín Romero de Torres spojrzał na mnie skonfundowany i złączywszy palce jednej ręki, zaczął gestykulować nią na sposób iście sycylijski.

– Zaraz, zaraz. Dziś po południu, będzie godzinę temu, może półtorej, zawitała w te progi panna z żurnalu i zapytała o pana. Pański ojciec rodzony i ja, sługa uniżony, byliśmy jak najbardziej przytomni i mogę pana zapewnić, że bez najmniejszego cienia wątpliwości panna nie miała nic z mary sennej. Nawet jej zapach mogę panu opisać... Lawendowy, choć odrobinę słodszy. Jak świeżo wysmażony paczuszek.

– I tenże paczuszek wyznał, że jest moją dziewczyną?

– Żeby tak dosłownie, to nie powiem, ale uśmiechała się znacząco, wie pan, i powiedziała, że czeka na pana w piątek po południu. A myśmy ograniczyli się jedynie do tego, że dwa i dwa to...

- Bea... – wymamrotałem.
- Ergo, istnieje – podsumował Fermín z ulgą.
- Tak, ale nie jest moją dziewczyną – powiedziałem.
- To nie wiem, na co pan czeka.
- To siostra Tomasza Aguilara.
- Pańskiego przyjaciela wynalazcy?

Przytaknąłem.

– Tym bardziej nie ma co zwlekać. Choć nawet gdyby była siostrą najbardziej zaplutego reakcjonisty, i tak nic by jej nie brakowało, bo, proszę mi wierzyć, jest ekstra. Ja na pana miejscu już bym uderzał.

– Bea ma narzeczonego. Odbywa służbę wojskową.

Fermín westchnął z irytacją.

– No tak, wojsko, plaga i plemienny relikwiarz małego korporacjonizmu. Dobrze się składa, może go pan awansować na rogowca bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Bredzi pan, Fermín. Bea wyjdzie za niego za męża, gdy tylko ten skończy służbę.

Fermín uśmiechnął się chytrze.

– A mnie coś mówi, że nie, że ta dziewczyna nie wyjdzie za męża.

– A co tam pan może wiedzieć.

– A i owszem, o kobietach i innych użytecznościach ziemskiego padołu wiem znacznie więcej niż pan. Jak wywodzi nam Freud, kobieta pragnie czegoś wręcz przeciwnego, niż myśli lub mówi, co, jak dobrze się temu przyjrzeć, nie jest wcale czymś przerażającym, jeśli zważyć, że mężczyzna, jak wywodzą nasi rodzimi uczeni w piśmie, ulega z kolei dyktatowi swego narządu płciowego lub trawiennego.

– Proszę sobie darować ten wykład, bo już czuję, dokąd pan zmierza. A jeśli ma pan rzeczywiście coś do powiedzenia, to proszę się streszczać.

– No więc, węzłowato i jak najesencjonalniej: ta mała nie wyjdzie za męża za tego wojaka, bo nie wygląda na taką.

– Tak? A na jaką, jeśli łaska?

Fermín zbliżył się, jakby chciał mi coś powiedzieć w tajemnicy.

– Na zarazę – rzekł, podnosząc brwi z tajemniczą miną. – I proszę zważyć, że mówię to jako komplement.

Fermín miał rację, jak zawsze. Pokonany, zdecydowałem się

przetrzymać piłkę na jego poławie.

– A jeśli już mowa o zarazie, to winien jest mi pan parę słów o Bernardzie. Był całus czy nie było całusa?

– Panie Danielu, proszę mnie nie obrażać. Przypominam, że rozmawia pan z absolutnym profesjonalistą w dziedzinie uwodzenia, a te całusy i buziuchny są dla amatorów i pantoflarzy dyletantów. Kobietę tak naprawdę zdobywa się pomału. Wszystko jest kwestią psychologii, jak przeprowadzenie dobrej walki z bykiem.

– Jednym słowem dała panu kosza.

– Ferminowi Romero de Torres kosza nie daje nawet święty Roch. Rzecz w tym, że mężczyzna, że znów wrócę do Freuda, by posłużyć się metaforą, rozgrzewa się jak żarówka: trzask prask i już jest rozżarzony do czerwoności, i kolejne trzask prask lub pstryk, jak kto woli, i w sekundę jest sopel lodu. Płeć niewieścia zaś, i to jest naukowo dowiedzione, rozgrzewa się jak ruszt, rozumiemy się? Powolutku, pomalutku, na wolnym ogniu, jak dobra *escudella*. Ale gdy się już rozgrzeje, nie ma siły, która by to zatrzymała. Jak wielkie piece w Vizcayi.

Rozważyłem termodynamiczne teorie Fermina.

– I właśnie to robi pan z Bernardą? – zapytałem. – Rozgrzewa pan ogień pod rusztem?

Fermín puścił oko.

– Ta kobieta to wulkan, który lada chwila może wybuchnąć. Jej libido to buzująca lava, a serce to serce świętej – rzekł, oblizując się.
– By nie chybić z porównaniem, przypomina mi moją Mulateczkę z Hawany, osobę też nader pobożną. Ale ponieważ jestem do szpiku kości dżentelmenem, z tych staroświeckich, przedwojennych dżentelmenów, nie wykorzystuję sytuacji, i zadowolilem się niewinnym całusem w policzek. Bo mnie się nie spieszy. To, co dobre, każe na siebie czekać. Nie brakuje kogucików, którym się wydaje, że jeśli położyli rękę na babskim tyłku, a baba nie protestuje, to już ją mają. Nowicjusze. Serce niewiasty to labirynt subtelności, stanowiący wyzwanie dla szulerskiego umysłu prostackiego samca. Jeśli chce pan naprawdę zdobyć kobietę, musi pan zacząć myśleć jak ona, a rzecz pierwsza to zdobycie jej duszy. Cała zaś reszta, owo słodkie i miękkie odurzenie, które rozum odbiera i prawość, przychodzi samo.

Z całą powagą przyjąłem jego wykład.

– Fermín, jest pan poetą.

– Nie, ja jestem po stronie Ortegi y Gasset, czystej wody pragmatyk, gdyż poezja kłamie, choć ładnie to czyni, a to, co ja mówię, to prawda prawdziwsza od naszej swojskiej bułki z pomidorem. Mistrz mówił, pokażcie mi don Juana, a ja wam w zamian ukazę zamaskowanego pedała. Moim żywiołem jest cierpliwość i trwanie. Pana biorę na świadka, że uczynię z Bernardy kobietę jeśli nie uczciwą, bo już nią jest, to przynajmniej szczęśliwą.

Uśmiechnąłem się, przytakując. Jego entuzjazm był zaraźliwy, a retoryka nie do pokonania.

– Proszę o nią dbać, Fermín. Bo Bernarda ma zbyt dobre serce i zbyt wiele zawodów już ją w życiu spotkało.

– A pan sądzi, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Przecież ma to wypisane na twarzy jak polisę fundacji na rzecz wdów wojennych. A mówię to ja, człowiek, który niejednego kurewstwa w życiu doświadczył: uczynię tę kobietę szczęśliwą, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

– Słowo?

Wyciągnął do mnie rękę z patosem godnym templariusza. Uścisnąłem ją.

– Słowo Fermina Romero de Torres.

Popołudnie wlokło się ospale, do księgarni zajrzało zaledwie paru ciekawskich. Uznawszy, że tak już będzie do wieczora, zaproponowałem Ferminowi, żeby wziął wolne na resztę popołudnia.

– Niech pan idzie po Bernardę i zabierze ją do kina albo pochodźcie sobie po ulicy Puertaferriisa i pooglądajcie witryny tamtejszych sklepów. I niech pan trzyma ją pod ramię, ona to uwielbia.

Fermín nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i natychmiast pobiegł na zaplecze, gdzie trzymał czyściutką zmianę ubrania i wszelakiego rodzaju wody kolońskiej i pomady, w neseserku, którego mogłaby mu pozazdrościć diwa hiszpańskiej piosenki i wielbicielka kufarów wszelakiej maści, doña Concha Piquer. Opuszczając księgarnię, wyglądał jak filmowy amant, tyle że z

trzydziestokilogramową niedowagą. Ubrany był w garnitur, należący kiedyś do mojego ojca, na głowie zaś miał filcowy kapelusz, o kilka numerów za duży, ale rozwiązywał problem rozmiaru, wkładając do środka kule ze zmiętego papieru gazetowego.

– Momencik jeszcze, Fermín. Zanim pan sobie pójdzie... Chciałbym poprosić pana o przysługę.

– Zrobione. Proszę o rozkazy, bo ja jestem tu po to, żeby je wykonywać.

– Ale proszę, żeby to zostało między nami, dobrze? Ani słowa mojemu ojcu.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– A, tu cię mamy, łobuzie. To coś związanego z tą wspaniałą dziewczuchą?

– Nie, nie. To kwestia śledztwa i zagadki. Coś z pańskiej parafii.

– Hola, hola, bo o dziewczynach też wiem co nieco. Mówię to na wszelki wypadek, gdyby zdarzyło się, że pewnego dnia będzie panu niezbędna porada praktyczna, wie pan. Pewność i zaufanie, bo w tych sprawach jestem jak lekarz. Serio.

– Będę to miał na uwadze. A na razie chciałbym wiedzieć, do kogo należy skrytka pocztowa w centrum na Via Layetana. Numer dwa trzy dwa jeden. I jeśli to możliwe, kto odbiera stamtąd pocztę. Jest mi pan w stanie pomóc?

Fermín zapisał sobie numer długopisem na podbiciu stopy, pod skarpetką.

– To bułka z masłem. Mnie się nie oprze żadna oficjalna instytucja. Proszę mi dać parę dni, a przygotuję panu kompletny raport.

– Rozumiem również, że mojemu ojcu ani słowa?

– Oczywiście. Proszę o mnie myśleć jak o sfinksie Cheopsa.

– Dziękuję bardzo. A teraz już proszę iść. Życzę miłego wieczoru.

Zasalutowałem mu na pożegnanie i przez chwilę patrzyłem za nim, jak maszeruje chwacko niczym kogut w stronę kurnika. Nie upłynęło pięć minut od wyjścia Fermina, gdy usłyszałem dzwoneczek przy drzwiach wejściowych i podniosłem wzrok znad kolumn cyfr. Mężczyzna w szarym płaszczu i w filcowym kapeluszu wchodził właśnie do księgarni. Miał starannie wypielegnowany wąsik i szkliste

błękitne oczy. Do ust przyklejony fałszywy i wymuszony uśmiech subiekta. Zaczęłam żałować, że nie ma Fermina, bo nikt lepiej od niego nie wypraszał komiwojazerów i akwizytorów zagląających czasem do księgarni. Gość obdarzył mnie zatłuszczonym i fałszywym uśmiechem, biorąc na chybił trafił książkę z odłożonego przy wejściu stosu egzemplarzy czekających na wycenę i skatalogowanych. Z całej jego postaci emanowała pogarda dla wszystkiego, co napotykały jego oczy. Nawet mi zwykłego „dzień dobry” nie wtrynisz, pomyślałem.

– Ale tu liter, co? – powiedział.

– No cóż, to książka, a książki zazwyczaj mają dużo liter. Czym mogę panu służyć?

Facet odłożył książkę, przytakując głową ze zrozumieniem i ignorując moje pytanie.

– No właśnie, właśnie, święte słowa. Czytanie jest dobre dla tych, co mają dużo czasu i niewiele do roboty. Jak kobiety. Bo kto pracuje, nie ma czasu na bajeczki. W życiu trzeba harować. Nie sądzi pan?

– Opinia jak każda inna. Szuka pan czegoś szczególnego?

– To nie opinia, to fakt. To choroba, która toczy ten kraj, ludzie nie chcą pracować. Obibok siedzi na obiboku, nie sądzi pan?

– Nie wiem, proszę szanownego pana. Być może. My tutaj, jak pan widzi, tylko sprzedajemy książki.

Mężczyzna podszedł do lady, nieustannie taksując spojrzeniem pomieszczenie księgarni i od czasu do czasu krzyżując je z moim. Jego wygląd i gesty wydawały mi się jakby znajome, choć nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego. Było w nim coś, co przypominało jedną z kolorowych figur na starych kartach spotykanych w antykwariatach lub u wróżki, postać, która uciekła z rycin średniowiecznych manuskryptów. Prezentował się posępnie aż do bólu, niczym przekleństwo w niedzielnym garniturku.

– Jeśli mi pan powie, czym mogę służyć...

– To raczej ja tu przybywam, żeby panu wyświadczyć przysługę. Czy jest pan właścicielem tego lokalu?

– Nie. Właścicielem jest mój ojciec.

– Nazwisko?

– Moje czy mojego ojca?

Facet obdarzył mnie kpiarskim uśmiechem. Śmieszek,

pomyślałem.

– Rozumiem więc, że plakat Sempere i Synowie dotyczy was obu.

– Gratuluję spostrzegawczości. Mogę zapytać, jaki jest powód pańskiej wizyty, skoro nie jest pan zainteresowany żadną książką?

– Powodem mojej czysto towarzyskiej wizyty jest chęć ostrzeżenia pana, że doszły mnie słuchy, iż zadajecie się z mętami społecznymi, w szczególności z dewiantami i przestępcami.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Przepraszam?

Facet wbił we mnie wzrok.

– Mówię o pedałach i złodziejach. Proszę mi tu nie wmawiać, że nie wie pan, o czym mówię.

– Obawiam się, że nie mam najmniejszego pojęcia. Ani też ochoty, by słuchać pana dalej.

Facet pokiwał głową, przyjmując napastliwy i wściekły wyraz twarzy.

– No to ma pan przejebane. Mam prawo przypuszczać, że jest panu wiadome, czym się zajmuje obywatel Federico Flaviá.

– Don Federico jest naszym osiedlowym zegarmistrzem i wspaniałym człowiekiem, i bardzo wątpię, aby był przestępcą.

– O pedałach mówię. Wiem, że ta ciota często zagląda do pańskiej księgarni, jak sądzę po to, by kupić romantyczne historyjki i pornografię.

– A mogę wiedzieć, co to pana obchodzi?

W odpowiedzi wyciągnął portfel i otworzywszy, rzucił na ladę. Rozpoznałem brudną legitymację policyjną ze zdjęciem stojącego przede mną osobnika, choć trochę młodszego. Przeczytałem do miejsca, gdzie było napisane „Inspektor Francisco Javier Fumero Almuñiz”.

– Młody człowieku, proszę zwracać się do mnie z szacunkiem, bo inaczej wsadzę pana z tatusiem za sprzedaż bolszewickiego śmiecia, na taką minę, że się nie pozbieracie, że wam włosy wypadną z głowy, jasne?

Chciałem coś powiedzieć, ale słowa mi zamarły na ustach.

– No dobra, ale to nie to pedaliszcze mnie tu sprowadza. Wcześniej czy później i tak trafi tam, gdzie jego i jemu podobnych

miejsce, i wtedy się nim zajmę. Trapi mnie natomiast to, iż według posiadanych przeze mnie informacji zatrudniają panowie pospolitego złodzieja, najgorszego autoramentu szumowinę.

– Nie wiem, o kim pan mówi, inspektorze.

Fumero zachichotał swoim usługowym i lepkiem, protekcjonalnym i rajfurskim śmieszkiem.

– Bóg raczy wiedzieć, pod kogo się teraz podszywa. Lata temu przedstawiał się jako Wilfredo Camagüey, mistrz mamba i, jak utrzymywał, ekspert od wudu, nauczyciel tańca następcy tronu, don Juana de Borbón i kochanek Maty Hari. Kiedy indziej przyjmuje nazwisko ambasadorów, artystów rewiiowych albo toreadorów. Już straciliśmy rachubę.

– Przykro mi, że nie mogę panu pomóc, ale nie znam żadnego Wilfreda Camagüey.

– Oczywiście, że nie, ale świetnie pan wie, o kim mówię, nieprawdaż?

– Nie.

Fumero ponownie się zaśmiał. Ten wymuszony i manieryczny śmiech charakteryzował go i podsumowywał jak spis treści.

– Lubi pan utrudniać sprawy, nieprawdaż? Przyszedłem tu po przyjacielsku, żeby przestrzec panów, że kto wpuszcza niepożądany element do domu, wcześniej czy później kończy z przytrzaśniętymi palcami, a pan mnie traktuje jak kłamczucha.

– Żadną miarą. Naprawdę jestem bardzo wdzięczny za wizytę i przestrożę, ale zapewniam, że...

– Gówna mi tu proszę nie wciskać, bo jak się wkurwię, to dam po pysku i zamknę ten kramik, jasne? Ale dziś mam dzień dobroci, więc na ostrzeżeniu poprzestaną. Pan wie najlepiej, jakie towarzystwo sobie dobierać... Jeśli lubi pan pedałów i złodziei, to znaczy, że ma pan coś z jednych i z drugich. Ja stawiam sprawy jasno. Albo jest pan ze mną, albo przeciwko mnie. Takie jest życie. No to jak?

Nic nie powiedziałem. Fumero pokiwał głową, chichocząc.

– Bardzo dobrze, Sempere. Sam pan się prosi. Źle żeśmy zaczęli. Jeśli szuka pan kłopotów, to już je pan znalazł. Życie to nie powieść, wie pan? W życiu trzeba się opowiedzieć po jednej ze stron. I pan już wybrał, to oczywiste. Tych, co przegrywają przez głupotę.

– Zmuszony jestem prosić pana o opuszczenie księgarni.

Ruszył w kierunku drzwi, ciągnąc za sobą tajemniczy śmieszek.

– Jeszcze się zobaczymy. I proszę powiedzieć swojemu przyjacielowi, jakkolwiek on się teraz nazywa, że inspektor Fumero ma na niego oko i bardzo serdecznie go pozdrawia.

Wizyta złowieszczego inspektora i echo jego słów popsują mi całe popołudnie. Po kwadransie szamotania się za ladą, ze ściśniętym żołądkiem, postanowiłem zamknąć księgarnię godzinę wcześniej i wyszedłem na ulicę, by pochodzić bez konkretnego celu. Wciąż kołatały mi po głowie insynuacje i groźby, jakie padły z ust tego początkującego rzeźnika. Zastanawiałem się, czy powinienem powiadomić ojca i Fermina o wizycie, ale uznałem, że właśnie o to inspektorowi Fumero chodziło, o zasianie w nas wątpliwości, niepokoju, strachu i niepewności. Doszedłem do wniosku, że nie będę podejmował jego gry. Choć pomówienia na temat przeszłości Fermina dosyć mnie niepokoiły. Zrobiło mi się wstyd, gdy złapałem się na tym, że przez chwilę dałem wiarę słowom policjanta. Po dokładnym przemyśleniu wszystkiego zdecydowałem się zagrzebać ten epizod w zakamarkach swej pamięci i całkowicie zignorować jego ewentualne następstwa. Wracając już do domu, postanowiłem przejść obok pracowni zegarmistrzowskiej. Don Federico, ujrawszy mnie zza lady, zaczął dawać znaki, bym wszedł do środka. Zegarmistrz był człowiekiem uprzejmym, zawsze uśmiechniętym, zawsze pamiętającym o złożeniu odpowiednich, w zależności od charakteru święta, życzeń i zawsze można było udać się do niego z prośbą o pomoc, mając całkowitą pewność, że zegarmistrz potrafi i tym razem problemowi zaradzić. Zimny dreszcz mnie przeszył na myśl o tym, że znajduje się na czarnej liście inspektora Fumero, i zacząłem zastanawiać się, czy go o tym nie uprzedzić, choć nie wiedziałem, jak to zrobić, nie mieszając się w nieswoje sprawy. Zakłopotany bardziej niż zazwyczaj, wszedłem do pracowni i uśmiechnąłem się do zegarmistrza.

– Co słyhać, Danielu? A co to, z pogrzebu wracasz?

– A bo dzień jakiś taki piegowaty – powiedziałem. – A co u pana, don Federico, w porządku wszystko?

– A nie narzekam. Produkuje się coraz gorsze zegarki, więc roboty

mam nawet za dużo. Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiał zatrudnić pomocnika. Może twój przyjaciel, ten wynalazca, byłby zainteresowany? Jestem przekonany, że ma do tego smykałkę.

Nietrudno mi było sobie wyobrazić zdanie ojca Tomasa Aguilara na temat przyjęcia przez jego syna pracy w firmie don Federica, sztandarowego pedała w dzielnicy.

– Przekażę mu propozycję.

– A przy okazji, Danielu. Mam tutaj budzik, który dwa tygodnie temu przyniósł mi twój ojciec. Nie wiem, co mu zrobił, ale szczerze ci powiem, że lepiej kupić nowy, niż ten naprawiać.

Przypomniałem sobie, że czasami w duszne letnie noce mój ojciec sypiał na balkonie.

– Wpadł mu na ulicę – powiedziałem.

– Tak mi się wydawało. Powiedz mu, żeby coś postanowił. Mogę mu zdobyć radianta w bardzo dobrej cenie. Zresztą możesz go już teraz zabrać, a ojciec niech go wypróbuje. Jak mu się spodoba, to go kupi, a jeśli nie, to mi go przy okazji oddasz.

– Bardzo dziękuję, don Federico.

Zegarmistrz zaczął pakować mi rzeczony żelastwo.

– Wysoka technologia – mówił, potakując z zadowoleniem. – Słuchaj, bardzo mi się podobała książka, którą swego czasu zaferował mi Fermín. Grahama Greene'a. Ten Fermín to strzał w dziesiątkę.

Przytaknąłem.

– Na wagę złota.

– Zauważyłem, że nigdy nie nosi zegarka. Powiedz mu, żeby wpadł, i coś mu załatwimy.

– Nie omieszka. Dziękuję, don Federico.

Wręczając mi budzik, zegarmistrz spojrzał na mnie uważnie, po czym ściągnął brwi.

– Na pewno nic się nie stało, Danielu? Tylko piegowaty dzień?

Uśmiechając się, ponownie przytaknąłem.

– Nic się nie stało, don Federico. Proszę na siebie uważać.

– Ty też, Danielu, uważaj.

Wróciwszy do domu, zastałem ojca śpiącego na kanapie, z gazetą na piersi. Zostawiłem budzik na stole z kartką, na której napisałem:

„To od don Federica – wyrzucić stary budzik”, i udałem się po cichu do swojego pokoju. Położyłem się w półmroku na łóżku i zasnąłem, rozmyślając o inspektorze, o Ferminie i zegarmistrzu. Gdy się obudziłem, była druga nad ranem. Wyrzuciłem na korytarz i zobaczyłem, że ojciec zabrał nowy budzik i udał się do swojego pokoju. Mieszkanie tonęło w ciemnościach, a świat cały wydawał mi się miejscem jeszcze bardziej mrocznym i złowrogim niż poprzedniej nocy. Zdałem sobie sprawę, że w istocie rzeczy nie wierzyłem dotąd w to, że inspektor Fumero naprawdę istnieje. Teraz był postacią z krwi i kości. Poszedłem do kuchni i nalałem sobie szklanek zimnego mleka. Ogarnął mnie niepokój, czy u Fermina wszystko w porządku, czy jest bezpieczny w swoim pensjonacie.

Wróciłem do siebie, starając się odsunąć myśli nieustannie krążące wokół inspektora policji. Usiłowałem zasnąć, ale szybko pojąłem, że nic z tego. Zapaliłem światło i sięgnąłem po wykradzioną rano doñi Aurorze i ciągle przechowywaną w kieszeni marynarki kopertę zaadresowaną do Juliana Caraxa. Położyłem ją na biurku, pod światłem padającym z lampy. Była to pergaminowa koperta o zaklejonych, pożółkłych brzegach, gliniasta w dotyku. Na słabo odznaczonym datowniku można było odczytać: „18 października 1919”. Lakowa pieczęć odpadła, prawdopodobnie dzięki bezinteresownym zabiegom doñi Aurory. W tym miejscu pozostała czerwona plama, jakby ślad po szmince ust całujących zamknięcie koperty, na której można było przeczytać nadawcę:

Penélope Aldaya
Avenida del Tibidabo 32, Barcelona

Otworzyłem kopertę i wyjąłem list, kartkę koloru ochry, starannie złożoną w pół. Rządki liter pisanych błękitnym atramentem to blakły, to odzyskiwały co kilka słów swą nerwowość i kolor. Wszystko w tej kartce mówiło o innych czasach: rytm pisma uzależniony od atramentu w kałamarzu, słowa wydrapane ostrzem stalówki na grubym papierze, chropowaty dotyk papieru. Wygładziłem list na blacie i przeczytałem, niemal wstrzymując oddech.

Kochany Julianie,

dzisiaj rano dowiedziałam się od Jorge, że rzeczywiście wyjechałeś z Barcelony, by ruszyć na poszukiwanie swoich marzeń. Zawsze się bałam, że te marzenia nie pozwolą ci należeć do mnie czy do kogokolwiek. Chciałabym zobaczyć cię po raz ostatni, spojrzeć ci w oczy i powiedzieć to wszystko, czego nie potrafię wyrazić w liście. Nic nie wyszło tak, jak zamierzaliśmy. Za dobrze cię znam i wiem, że nie napiszesz do mnie, nawet nie wyślesz mi swojego adresu, że będziesz chciał być zupełnie kimś innym. Wiem, że znienawidzisz mnie za to, że nie było mnie tam, gdzie obiecałam. Że będziesz myślał, że cię zawiodłam. Że nie miałam odwagi.

Tyle już razy wyobrażałam sobie ciebie, jak odjeżdżasz sam w tym właśnie pociągu, przekonany o mojej zdradzie. Wiele razy próbowałam cię odnaleźć poprzez Miquela, ale powiedział mi, że już nie chcesz nic o mnie wiedzieć. Jakich kłamstw ci naopowiadali, Julianie? Co ci powiedzieli o mnie? Dlaczego im uwierzyłeś?

Teraz już wiem, że cię straciłam, że straciłam wszystko. Ale to nie znaczy, że pozwolę, byś odjechał i zapomniał o mnie, nie wiedząc, że nie mam do ciebie żalu, że wiedziałam od samego początku, wiedziałam, że cię stracę i że nigdy nie ujrysz we mnie tego, co ja ujrzałam w tobie. Chcę, żebyś wiedział, że pokochałam cię od pierwszego dnia i nadal cię kocham, teraz bardziej niż kiedykolwiek, choćby ci miało być z tym ciężko.

Piszę do ciebie po kryjomu, żeby nikt nie wiedział. Jorge przysiągł, że jeśli cię jeszcze zobaczy, to cię zabije. Nie pozwalają mi już wyjść z domu. Ani wychylać się przez okno. Nie sądzę, by kiedykolwiek mieli mi wybaczyć. Zaufana osoba obiecała, że wyśle do ciebie ten list. Nie piszę, kto to, żeby jej nie zaszkodzić. Nie wiem, czy moje słowa dotrą do ciebie. Ale gdyby tak się stało i zdecydowałbyś po mnie wrócić, to tutaj znajdziesz sposób. Gdy piszę, wyobrażam sobie ciebie, jak jedziesz pociągiem, pełen marzeń i zarazem załamany zdradą, uciekając od nas wszystkich i od siebie samego. Jest tyle rzeczy, których nie mogę ci opowiedzieć, Julianie. Rzeczy, o których nie wiedzieliśmy i o których lepiej, żebyś się nigdy nie dowiedział.

Chcę, żebyś był szczęśliwy, Julianie, to moje jedyne pragnienie,

żeby spełniły ci się wszystkie marzenia i żebyś, nawet jeśli o mnie z czasem zapomnisz, zrozumiał kiedyś, jak bardzo cię kochałam.

*Twoja na zawsze,
Penélope*

Słowa Penélope, które tamtej nocy czytałem raz za razem, by wreszcie wyuczyć się ich na pamięć, pozwoliły mi się uwolnić od niesmaku, jaki czułem po wizycie inspektora Fumero. Po nieprzespanej nocy, opętany tym listem i głosem, jaki intuicyjnie w tym liście wyczuwałem, wyszedłem o świcie na miasto. Ubrałem się po cichu i zostawiłem ojcu na komodzie w przedpokoju wiadomość, że mam parę rzeczy do załatwienia i że będę w księgarni o wpół do dziesiątej. Gdy wyszedłem z bramy, ulice jeszcze drzemały, okryte niebieskawym pledem ocierającym się o cienie i kałuże pozostawione nocą przez mżawkę. Zapiąłem kurtkę po szyję i szybko ruszyłem w kierunku placu Cataluña. Znad schodów do metra unosiła się zasłona ciepłej pary, niemal płonącej w miedzianym świetle. W kasie kolei katalońskich kupiłem bilet trzeciej klasy do stacji Tibidabo. Wsiadłem do wagonu wypełnionego chłopcami na posyłki, służącymi i najmitami, trzymającymi pod pachą wałówki wielkości cegły, pieczołowicie zawinięte w gazetę. Skryłem się w mrokach tuneli i oparłem głowę na oknie, zamykając oczy, podczas gdy pociąg przebiegał się przez trzewia Barcelony, by wreszcie dotrzeć do stóp Tibidabo. Gdy wyszedłem na ulicę, odniosłem wrażenie, że odkrywam inne miasto. Świtało i cieniutkie ostrze purpury rozcinało chmury, zahaczając o fasady pałacików i wielkopańskich rezydencji z obu stron alei Tibidabo. Niebieski tramwaj leniwie pełził we mgle. Pobiegłem za nim i dogoniwszy go, wskoczyłem na tylną platformę, pod czujnym wzrokiem konduktora. Drewniany wagon był prawie pusty. Dwóch zakonników i dama we wdowim, Popielatym futrze drzemali, kiwając się w takt powozu z niewidzialnymi foniami.

– Ja tylko pod numer trzydzieści dwa – poinformowałem konduktora, uśmiechając się najpiękniej, jak potrafiłem.

– Jeśli o mnie chodzi, to może pan choćby i na koniec świata – odparł obojętnie. – Tu nawet Chrystusowi żołnierze zapłacili za bilety.

Albo się kasuje, albo się drałuje. A wyskakiwania w biegu nie policzę.

Para zakonników w sandałach i w surowych franciszkańskich habitach przytaknęła, pokazując na dowód różowe bilety.

– No to wysiadam – powiedziałem – bo nie mam drobnych.

– Jak pan woli. Ale proszę to zrobić na najbliższym przystanku, bo nie chcę tu wypadków.

Tramwaj wspinał się w tempie niemal spacerowym, ocierając się o cienistą aleję drzew i zerkając ponad murami i ogrodami na rezydencje o duszach zapatrzonych w zamki. W wyobraźni rezydencje te jawiły mi się pełne posągów, fontann, budynków stajennych i sekretnych kapliczek. Wyjrzałem z platformy i dostrzegłem na tle drzew sylwetkę wieży El Frare Blanc. Zbliżając się do skrzyżowania z ulicą Román Macaya, tramwaj zwolnił, zatrzymując się niemal. Motorniczy zadzwonił, a konduktor obrzucił mnie karzącym spojrzeniem.

– Szpuła, cwaniaczku. Tutaj masz ten swój numer trzydzieści dwa.

Wyskoczyłem, słysząc stukot ginącego we mgle tramwaju. Rezydencja rodziny Aldayów była po drugiej stronie ulicy. Broniła jej stalowa brama, porośnięta bluszczem. Wśród prętów można było, choć z trudem, dojrzeć zarys zamkniętej na głucho furtki. Na kracie widniał utworzony przez węże z czarnego żelaza numer trzydzieści dwa. Próbowałem zza furtki wypatrzeć, jak wygląda teren rezydencji, ale można było się jedynie domyślać konturów i łuków ciemnej wieży. Ślad rdzy krwawił z dziurki od klucza przy zamku furtki. Ukląkłem i próbowałem przez tę dziurkę cokolwiek wypatrzeć. Z trudem można było dostrzec gąszcz zdiczałych roślin i zarys czegoś, co wydawało się fontanną lub zbiornikiem wodnym, z którego wystawała dłoń wyciągnięta ku niebu. Po jakiejś chwili dopiero zrozumiałem, że ręka jest z kamienia i że nie brakuje innych części ciała czy całych postaci zanurzonych w fontannie, których nie byłem w stanie zidentyfikować... Nieco dalej, pośród zarośli, dostrzec można było poszczerbione, popękane, obsypane liśćmi i gruzem marmurowe schodki. Fortuna i chwała rodu Aldaya już nie mieszkały pod tym adresem, i to od wielu lat. To miejsce było grobem.

Wycofałem się i skręciłem za róg, by rzucić okiem na południową część domu. Stamtąd lepiej było widać jedną z wieżyczek pałacyku. W

tej samej chwili kątem oka spostrzegłem sylwetkę wychudzonego człowieka odzianego w niebieski fartuch; trzymał w ręku miotłę, którą zawzięcie odgarniał liście z chodnika. Obserwował mnie z niejaką podejrzliwością, więc uznałem, że jest to dozorca jednej z sąsiednich rezydencji. Uśmiechnąłem się do niego tak, jak potrafi tylko ktoś, kto spędza wiele godzin za ladą.

– Dzień dobry – zacząłem grzecznie. – Orientuje się pan, od jak dawna dom Aldayów jest niezamieszkały?

Człowieczek spojrzał na mnie, jakbym zaczął go wypytywać o kwadraturę koła. Uniósł do podbródka tak poźółkłe palce, że nietrudno było odgadnąć jego słabość do celtów bez filtra. Nie miałem przy sobie paczki papierosów, szkoda, bo teraz by się przydała. Zacząłem grzebać w kieszeni kurtki, szukając czegoś odpowiedniego na zachętę.

– Od dwudziestu, może dwudziestu pięciu lat będzie, i oby tak dalej – powiedział dozorca unizonym tonem człowieka, którego do roboty trudno nawet kijem zapędzić.

– Od dawna pan tu pracuje?

Człowieczek przytaknął.

– Ano pracuje się tu u państwa Miravell od roku dwudziestego, nie przymierzając.

– A słyszał pan może, co się stało z rodziną Aldayów?

– Pewnie pan wie, że dużo stracili za Republiki – odparł. – Kto wiatr sieje... wszystko, co wiem, słyszałem w domu państwa Miravell, bo cii kiedyś się przyjaźnili z Aldayami. Zdaje się, że najstarszy syn, Jorge, wyjechał za granicę, do Argentyny. Fabryki mają tam. Forsy im nie brak. Tacy zawsze spadają na cztery łapy. Ma pan może papieroska?

– Niestety, papieroskiem nie mogę służyć, ale mogę panu zaproponować sugusa. Ostatnie badania dowiodły, iż zawiera tyle samo nikotyny co cygara Montecristo, a ponadto od groma witamin.

Dozorca zmarszczył czoło ze sporą dozą niedowierzania, niemniej skorzystał z oferty. Poczęstowałem go odnalezionym przed chwilą w zakamarkach kieszeni cytrynowym sugusem, którego dostałem od Fermina wieki temu. Miałem nadzieję, że był jeszcze w miarę jadalny.

– Dobry – orzekł dozorca, ciumkając cukierka.

– Ma pan zaszczyt ssać dumę narodowego cukiernictwa. Generalissimus Franco spożywa je niczym pestki słonecznika. A proszę mi powiedzieć, czy słyszał pan kiedyś o córce Aldayów, Penélope?

Dozorca oparł podbródek na miotle niczym rodinowski myśliciel.

– Eeee, coś nie tak, chyba się pan myli. Aldayowie nie mieli córek. Samych synów.

– Tak? Jest pan pewien? Słyszałem, że w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku mieszkała w tym domu młoda dziewczyna, nazywała się Penélope Aldaya i prawdopodobnie była siostrą Jorge.

– Może i tak było, ale, jak panu mówiłem, ja tu jestem dopiero od tysiąc dziewięćset dwudziestego.

– A posiadłość do kogo teraz należy?

– Z tego, co wiem, ciągle jest na sprzedaż, choć mówiło się, że dom będzie wyburzony, a na jego miejscu zostanie zbudowana szkoła. I prawdę mówiąc, to najlepsze wyjście. Doszczętnie wszystko wyburzyć.

– A dlaczego?

Dozorca spojrział na mnie znacząco. Gdy się uśmiechnął, zauważyłem, że brakuje mu co najmniej czterech zębów w górnej szczęce.

– Ci ludzie, jak im tam, Aldayowie. No wie pan, co się mówi, czysta pszenica to nie była.

– A co się mówi, bo chyba nie bardzo rozumiem.

– No, wie pan. Takie tam plotki i gadanie. Ja tam nie wierzę w te bujdy, żeby pan nie myślał, ale gadają, że niejeden sobie w środku tego domu zafajdał gacie ze strachu.

– No nie, tylko niech pan nie mówi, że dom jest zaklęty – powiedziałem, powściągając uśmiech.

– A śmieje się pan, śmieje. Ale coś musi być na rzeczy...

– Pan coś widział?

– Widzieć, nie widziałem, ale słyszeć, słyszałem.

– A co pan słyszał?

– No, wie pan, kiedyś, lata temu, poszedłem tam w nocy z Joanetem, nie żebym chciał, ale on się uparł. Bo ja tam nic nie zgubiłem... no i usłyszałem tam coś bardzo dziwnego. Jakby płacz.

Dozorca, nieproszony, zademonstrował mi próbkę dźwięku, o

którym mówił. Dla mnie to brzmiało jak litania gruźlika podśpiewującego kuplety.

– Może to był wiatr – zasugerowałem.

– Może, ale mnie włosy dęba stanęły. Nie ma pan jeszcze takiego cukierka?

– Mogę panu ofiarować pastylkę Juanola. Znakomicie odświeża po słodkim.

– Może być – zgodził się dozorca, wyciągając rękę.

Dałem mu całe opakowanie. Smak anyżku najwyraźniej rozwiązał mu język, na tyle przynajmniej, że raczył opowiedzieć pokrętną historię pałacyku Aldayów.

– Między nami mówiąc, tu coś śmierdzi. Bo pewnego razu Joanet, syn pana Miravella, kawał chłopca, dwa razy taki jak pan – starczy, że powiem, że jest w reprezentacji narodowej piłki ręcznej – więc paru kumpli panicza Joaneta słyszało o domu Aldayów i go wrobili. A on wrobił mnie i namówił, żebym z nim poszedł, bo co tu dużo gadać, bał się iść sam. No wie pan, maminsynki. Uparł się wejść tam po nocy, żeby się pobażancić przed dziewczyną, i omal się nie zesrał ze strachu. Bo pan widzi ten dom za dnia, ale w nocy on jest zupełnie inny. W każdym razie Joanet mówi, że wszedł na drugie piętro – bo ja, wie pan, odmówiłem, to przecież nielegalne, chociaż ten dom już wtedy był niezamieszkały od dziesięciu lat – no więc wszedł i powiedział, że coś tam było, że wydawało mu się, że słyszy jakiś głos w którymś z pokoi, ale gdy chciał tam wejść, to drzwi trzasły mu przed nosem. No i co pan na to?

– A że wygląda mi to na przeciąg – powiedziałem.

– Albo i co innego – dodał dozorca, ścisząc głos. – Słyszałem, jak któregoś dnia mówili w radiu, że świat jest pełen tajemnic. Wie pan, że odnaleziono najprawdziwszy Święty Całun w samym środku centrum Sardanyola. Wszyto go w kinowy ekran, by ukryć przed muzułmanami, którzy chcą się nim posłużyć, żeby udowodnić, że Chrystus był czarny. No i co pan na to?

– Brak mi słów.

– Otóż to właśnie. Dużo tajemnic. Ten dom powinni wyburzyć i zasypać cały teren gaszonym wapnem.

Podziękowałem dozorczy za informacje, szykując się zarazem do

zejścia ku San Gervasio. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że szczyt Tibidabo wschodzi wśród gazy chmur. Nagle zapragnąłem podejść do stacji kolejki i wjechać na górę, do starego wesołego miasteczka na samym szczycie, i zagubić się pośród karuzel i salonów gier, ale obiecałem przecież wrócić punktualnie do księgarni. Idąc na stację metra, wyobrażałem sobie Juliana Caraxa, jak schodzi tym samym chodnikiem i w oczekiwaniu na niebieski tramwaj, wspinający się do nieba, przygląda się tym samym uroczystym fasadom, zachowanym mimo upływu czasu niemal w pierwotnym stanie, tak jak i schodki, i ogrody z posągami. Dotarwszy na sam dół alei, wyjąłem fotografię Penélope uśmiechającej się na dziedzińcu rodzinnego pałacyku. Jej oczy obiecywały czystość duszy i całą przyszłość do opisania. „Kocha Cię, Penélope”.

Wyobraziłem sobie Juliana Caraxa w moim wieku z tą fotografią w dłoniach, być może w cieniu tego samego drzewa, pod którym i ja się schroniłem. Widziałem go niemal, jak uśmiechnięty, pewny siebie, patrzy w przyszłość tak szeroką i jasną jak ta aleja, i przez chwilę pomyślałem, że prócz duchów nieobecności i straty nie ma tam innych zjaw, i że to światło, które uśmiechało się do mnie, jest światłem pożyczonym i świecącym dopóty, dopóki podtrzymywałem je wzrokiem, sekunda po sekundzie.

Blisko domu zorientowałem się, że Fermín albo ojciec otworzyli już księgarnię. Wpadłem do mieszkania, by szybko coś przekąsić. Ojciec zostawił mi grzanki, marmoladę i termos kawy na stole. W niecałe dziesięć minut rozprawiłem się ze wszystkim i zbiegłem na dół. Wszedłem do księgarni przez drzwi od zaplecza wychodzące na korytarz budynku i skierowałem się ku swojej szafce. Założyłem fartuch, którego używałem w księgarni, chroniąc ubranie przed kurzem ze skrzynek i półek. W głębi szafy trzymałem blaszaną puszkę, ciągle zachowującą zapach herbatników Camprodón. Trzymałem w niej wszelkie niepotrzebne rupiecie, których nie miałem sumienia się pozbyć: popsute zegarki i wieczne pióra, stare monety, kawałki różnych miniaturek, kulki do gry, łuski naboju znalezione w parku Laberinto oraz stare pocztówki Barcelony z początku wieku. Wśród wszystkich tych rupieci leżał jeszcze skrawek gazety z adresem córki Izaaka Monforta, zapisanym przez niego tej nocy, gdy zjawilem się na Cmentarzu Zapomnianych Książek, by ukryć tam *Cień wiatru*. Baczenie przypatrzyłem się świstkowi papieru w zakurzonej świetle padającym zza pudeł i półek. Zamknąłem pudełko i schowałem papierek w portmonetce. Wszedłem do księgami, gotów zaprzęgnąć głowę i zając ręce najtrywialniejszą robotą, jaka się napatoczy.

– Dzień dobry – rzekłem.

Fermín klasyfikował zawartość kilku pudeł przysłanych przez kolekcjonera z Salamanki, a mój ojciec usiłował rozszyfrować niemiecki katalog luterańskich apokryfów o tytule przywodzącym na myśl szlachetną wędlinę.

– A Bóg niech obdarzy nas jeszcze lepszymi popołudniami – zaintonował Fermín, wyraźnie pijąc do mojego spotkania z Beą.

Nie odpowiedziałem, nie chcąc sprawiać mu frajdy, i zająłem się mało przyjemnym, nieuniknionym, comiesięcznym uzupełnianiem ksiąg rachunkowych, sumując pokwitowania, listy wysyłkowe, wpłaty

i wypłaty. Monotonie dnia umilało radio, nadając piosenki bardzo modnego Antonia Machina. Karaibskie rytmy nie były w guście ojca, ale znosił je ze względu na Fermína, któremu przypominały wytęsknioną Kubę. Ta scena powtarzała się co tydzień: ojciec udawał głuchego, a Fermín nieznacznie kołysał się w takt muzyki, w przerwach na reklamy opowiadając anegdoty o swoich przygodach w Hawanie. Drzwi do księgarni były otwarte i wpadał przez nie przyjemny i nastrajający optymistycznie zapach świeżego chleba i kawy. Po jakimś czasie nasza sąsiadka Merceditas, wracająca z zakupów z targu Boqueria, zatrzymała się przed wystawą, po czym wsunęła głowę przez drzwi.

– Dzień dobry, panie Sempere – przywitała się śpiwnie.

Ojciec, czerwieniejąc, uśmiechnął się do niej. Odnosiłem wrażenie, że Merceditas mu się podoba, ale widocznie bliska mu reguła kartuzów zobowiązywała go do absolutnego milczenia. Fermín przyglądał się jej kątem oka, oblizując się i śledząc jej delikatne kołysanie biodrami, jakby właśnie wniesiono ciasto pełne wonności. Merceditas otworzyła papierową torbę i obdarowała nas trzema błyszczącymi jabłkami. Pomyślałem, że pewnie tli się jej jeszcze w głowie zamysł pracy w naszej księgarni, w związku z czym zupełnie nie kryła swej antypatii wobec Fermína, uzurpatora.

– Niech pan popatrzy, jakie śliczne. Zobaczyłam je i pomyślałam sobie: te będą dla panów Sempere – powiedziała miódopłynnym tonem. – Z tego, co wiem, wy, intelektualiści, lubicie jabłka, jak Wilhelm Newton.

– Izaak Newton, serdeńko – sprostował Fermín skwapliwie.

Merceditas omiotła go morderczym spojrzeniem.

– Oho, mądrała odzywa się nieproszony. Niech pan się cieszy, że i panu jabłko przyniosłam, a nie gorzkiego grejpfruta, który się panu jak najbardziej należy.

– Ależ dziewczyno, przyjęcie tegoż owocu grzechu pierworodnego z rąk twych zalotnych powoduje, iż natychmiast stają mi w myśli...

– Fermín, proszę – uciał ojciec.

– Tak, panie Sempere – poddał się Fermín bezzwłocznie.

Merceditas już szykowała się, by nie pozostać Ferminowi dłużna, gdy usłyszeliśmy nagle jakieś hałasy. Zamilkliśmy w oczekiwaniu. Z

ulicy dochodził nas coraz większy rwetes, głosy zaniepokojonych przechodniów. Mercedes ostrożnie wyjrzała, otwierając szerzej drzwi, i ujrzeliśmy kilku poruszonych sklepikarzy, kręcących z niedowierzaniem głową. Niebawem na naszych schodach pojawił się don Anacleto Olmo, nasz sąsiad i samozwańczy rzecznik Królewskiej Akademii Języka na naszej klatce schodowej. Don Anacleto był profesorem w liceum, ukończył wydział literatury hiszpańskiej i nauk humanistycznych i mieszkał na drugim piętrze, dzieląc chudobę z siedmioma kotami. W chwilach wolnych od pracy dydaktycznej dorabiał jako redaktor tekstów dla znanego i szacownego wydawnictwa i, jak wieść niosła, pisał dekadencje erotyki, które publikował pod pseudonimem Rodolfo Pitón. Prywatnie don Anacleto był przyjemnym i uroczym człowiekiem, ale publicznie czuł się zobowiązany do odgrywania roli rapsoda, miał specyficznym kwiecistym styl, dzięki któremu na cześć wielkiego poety barokowego został obdarzony przydomkiem Gongorino.

Tamtego ranka miał purpurową z przejęcia twarz i z trudem panował nad drżeniem rąk opartych na lasce z kości słoniowej. Spojrzeliśmy nań mocno zaintrygowani.

– Co się dzieje, don Anacleto? – zapytał ojciec.

– Generał Franco zmarł? No, niech pan powie, że tak – powiedział Fermín pełen nadziei.

– A siedźże pan cicho, ordynusie – ucięła Mercedes. – Niech pan da mówić doktorowi.

Don Anacleto wciągnął głęboko powietrze i odzyskując zimną krew, przystąpił do referowania raportu o zaistniałych wydarzeniach w swoistej dla siebie, podniosłej tonacji.

– Przyjaciele, życie jest dramatem i nawet istoty z natury swej najszlachetniejsze zaznać muszą goryczy kapryśnego i zawistnego losu. Wczoraj w nocy, o brzasku, gdy miasto spało tak bardzo zasłużonym snem utrudzonego pracą narodu, don Federico Flaviá i Pujades, nasz szacowny sąsiad, który tyle dobrego uczynił dla dobrobytu i rozwoju tej dzielnicy, parając się zegarmistrzostwem w swej pracowni, znajdującej się tuż obok, trzy numery stąd, został aresztowany przez siły bezpieczeństwa państwa.

Poczułem, że dusza uciekła mi w piętę.

– Jezus Maria, Józefie święty – jęknęła Mercedesitas.

Fermín westchnął zawiedziony, bo nie ulegało wątpliwości, że urzędujący szef państwa ciągle cieszy się doskonałym zdrowiem. Don Anacleto, już spokojny i opanowany, nabrał powietrza i wrócił do sprawozdania.

– Podobno, a informacja pochodzi z wiarygodnego źródła zbliżonego do Generalnej Dyrekcji Policji, dwóch funkcjonariuszy średniego szczebla Brygady Kryminalnej incognito zaskoczyło don Federica krótko po północy, jak w kobiecym odzieniu wykonywał kuplety o treściach pikantnych na estradzie tancbudy na ulicy Escudillers, ku niewątpliwej uciechu gawiedzi, przypuszczalnie złożonej z osobników umysłowo upośledzonych. Owe zapomniane przez Boga istoty, zbiegłe tegoż dnia z zakładu prowadzonego przez jeden z zakonów, rozgorączkowane rozgrywającym się widowiskiem, spuściły spodnie, by oddać się nieobyczajnym pługom, nie bacząc na swój lewitujący srom i śliniąc się niepomiernie.

Mercedesitas przeżegnała się, przerażona kierunkiem, w jakim zaczęła podążać relacja.

– Matki niektórych z tych biednych niewiniątek, poinformowane o zajściu, złożyły już doniesienie o spowodowanie skandalu publicznego i dokonanie zamachu na fundamentalne normy moralne. Prasa, sępiąca i żerująca na samych nieszczęściach i problemach, otrzymawszy informację od zawodowego donosiciela, szybko zwęszyła padlinę sensacji. Po niespełna czterdziestu minutach od nadejścia przedstawicieli władz pojawił się we wspomnianym lokalu również Kiko Calabuig, reporter dziennika „El Caso”, bardziej znany jako gównozjad, gotów na wszystko, byle spreparować odpowiedni materiał i zdążyć wydrukować go jeszcze w swojej czarnej kronice dnia dzisiejszego, gdzie – jakżeby inaczej – nie stroniąc od brukowego grubiaństwa, już w tytule wydrukowanym czcionką wielkości dwadzieścia cztery, kwalifikuje zaistniały w lokalu spektakl jako dantejski i zatrważający.

– To niemożliwe – zareagował mój ojciec. – Przecież wyglądało na to, że don Federico zmitygował się nieco.

Don Anacleto przytaknął z ojcowskim zatroskaniem.

– Tak, ale proszę pamiętać o naszych przysłowiach ludowych,

krynicy największej mądrości, że ciągnie wilka do lasu i nie samym powietrzem człowiek żyje. Ale to jeszcze nic – bo najgorszego jeszcze państwu zaoszczędziłem.

– No to do rzeczy, wasza miłość, bo od tych metaforycznych meandrów zaczynam odczuwać gwałtowną potrzebę wypróżnienia się – zaprotestował Fermín.

– Niech pan nie słucha tego chama, ja bardzo lubię, jak pan mówi, bo pan, panie doktorze, mówi jak kronika filmowa – wtrąciła się Merceditas.

– Dziękuję, córko, ale jam tylko skromny nauczyciel. Ale do rzeczy, bez zbędnych wstępów, dygresji, kwiecistych sztafaży. Wygląda na to, że zegarmistrz, który w chwili zatrzymania występował pod artystycznym pseudonimem Dziewczynka z podwiązkami, był już kilkakrotnie zatrzymywany w podobnych okolicznościach, co zresztą odnotowane jest w kryminalnych annałach strażników pokoju.

– Lepiej niech pan powie, bandziorów z blachą – rzekł Fermín.

– Ja się nie wtrącam do polityki. Niemniej mogę wam zdradzić, że zrzuciwszy biednego don Federica ze sceny celnym trafieniem butelką, agenci zabrali go na komisariat na Via Layetana. W innych okolicznościach i przy odrobinie szczęścia sprawa skończyłaby się na wystawieniu na pośmiewisko i może kilku kopniakach lub też innych szykanach, niestety, przykrym trafem znalazł się tam również przesławny inspektor Fumero.

– Fumero – szepnął Fermín, który na samą wzmiankę o swojej nemezis, aż się wzdrygnął.

– On sam, we własnej osobie. Jak wspominałem lub też wspomnieć chciałem, ów sternik bezpieczeństwa naszych obywateli, wróciwszy właśnie ze zwycięskiej obławy na nielegalny lokal prowadzący zakłady i wyścigi karaluchów na ulicy Vigatans, został poinformowany o zajściu przez przerażoną matkę jednego z przebywających w zakładzie chłopców i przypuszczalnego inspiratora ucieczki, Pepeta Guardiole. W zaistniałej sytuacji znamienity inspektor, nie bacząc na fakt, iż już o tej porze miał w sobie dwanaście kaw nielecho wzmocnionych brandy Soberano, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Po wnikliwym zapoznaniu się z obciążającymi dowodami oznajmił dyżurującemu sierżantowi, że – i pozwolę sobie,

mimo obecności panienki, na dosłowny cytat, choćby ze względu na wartość dokumentalną – tyle „pedalstwa” nie może ujść karze, a i dla dobra samego zegarmistrza, czyli don Federica Flaviá i Pujades, kawalera urodzonego w miejscowości Ripollet, i dla dobra nieśmiertelnych duszyczek mongoidalnych urwisów, których obecność i udział były akcydentalne, ale dla sprawy decydujące, należy go przymknąć na całą noc we wspólnej celi w doborowym towarzystwie złoczyńców. Jak prawdopodobnie państwo wiecie, wspomniana cela cieszy się złą sławą pośród elementu ze względu na fatalne warunki sanitarne, a każde poszerzenie listy gości o nowego obywatela staje się powodem do uciech, wnosi bowiem coś nowego i ludycznego zarazem w monotonne życie więzienne.

Po czym don Anacleto przystąpił do krótkiego, acz nader ciepłego opisu charakteru ofiary, skądinąd dobrze wszystkim znanej.

– Nie muszę państwu przypominać, że pan Flaviá i Pujades, obdarzony delikatną i kruchą osobowością, to uosobienie dobroci i chrześcijańskiego miłosierdzia. Jeśli do pracowni wpada mucha, miast zabić ją kapciem, nasz zegarmistrz otwiera drzwi i okna na oścież, żeby owad, boskie stworzenie, z powrotem dołączył do właściwej sobie przestrzeni. Don Federico, a wiem o tym na pewno, jest osobą wierzącą, praktykującą i aktywnie udzielającą się w parafii, jednakże przez całe życie musi zmagać się z mroczną skłonnością do nałogu, który zdołał go już kilkakrotnie pokonać, zmuszając do wyjścia na ulicę w kobiecych fatalaszkach. Jego umiejętność naprawiania wszystkiego, od zegarków po maszyny do szycia, jest powszechnie znana, jego osoba zaś ceniona była zawsze przez nas wszystkich, którzy go znamy i często bywamy w jego pracowni, nawet przez tych, którym nie w smak były jego okazjonalne eskapady nocne w wielkiej peruce z grzebieniem we włosach i w sukience w grochy.

– Mówi pan o nim tak, jakby biedak już nie żył – powiedział skonsternowany Fermín.

– Nie, nie, żyje, dzięki Bogu.

Westchnąłem z ulgą. Don Federico mieszkał z osiemdziesięcioletnią i całkiem głuchą matką, znaną jako La Pepita i sławną w całej dzielnicy z puszcanych wiatrów, tak huraganowych, iż po każdym z nich wróble bez zmysłów spadały z balkonów.

– W najgorszych snach nie przyśniłoby się La Pepicie, że jej Federico – kontynuował profesor – spędzi noc w obrzydliwej celi, gdzie banda nożowników i złodziejasków będzie grać o biedaka jak o odpustowe kurwiszcze, by, zaspokoiwszy już swoje podłe chucie jego mizernym ciałem, pobić do nieprzytomności, przy radosnym wtórze więźniów wrzeszczących: „parowa, parowa, parówę do gówna”.

Zapadło grobowe milczenie. Mercedes łkała. Fermín chciał ją czule przytulić i pocieszyć, ale wyrwała mu się gwałtownie.

Ładny obrazek, prawda? – zakończył don Anacleto ku ogólnej konsternacji.

Epilog całej historii nie był wcale lepszy. W południe brutalnie wyrzucono don Federica z szarej policyjnej furgonetki u drzwi jego domu. Był cały pokrwawiony, w sukience w strzępach, bez peruki i bez swej kolekcji eleganckiej biżuterii. Obsikano go, twarz miał poobijaną i pociętą. Syn właścicielki piekarni znalazł go skulonego pod drzwiami, płaczącego i drżącego jak dziecko.

– Tak nie można, proszę pana, nie można – skwitowała opowieść Merceditas, oparta o drzwi księgarni, z dala od rąk Fermina. – Ten biedaczek to człowiek dobry jak świeży chleb i nikomu nie wadzi. A że lubi się przebrać za babę i sobie gdzieś tam pośpiewać? No i co z tego? Ludzie są obrzydliwie źli.

Don Anacleto milczał, spuściwszy wzrok.

– Są głupi, a nie źli – zaprotestował Fermín. – Głupi. To nie to samo. Zło zakłada jakąś moralną determinację, jakiś zamiar i pewną myśl. A głupiec nie pomyśli ani się nie zastanowi. Działa instynktownie, jak zwierzę, przekonany, że robi dobrze, że zawsze ma rację; dumny, że przypierdala, za przeproszeniem, każdemu, kto widzi mu się inny od siebie samego, i wszystko jedno, czy dlatego, że innego koloru, wyznania, języka, narodowości, czy też, jak w przypadku don Federica, dlatego, że lubi inaczej spędzać czas wolny. Źli ludzie jeszcze mają swoje miejsce na świecie, zbyteczni są skończeni głupcy.

– Głupot by pan nie opowiadał. Odrobina chrześcijańskiego miłosierdzia by się przydała zamiast złośliwości i zjadliwości, bo inaczej pozagryzamy się na śmierć – zaatakowała Merceditas. – Dużo chodzenia na msze, a i owszem, ale o Panu naszym, Jezusie Chrystusie, to nawet Pan Bóg nie pamięta.

– Merceditas, nie tykajmy przemysłu mszalno – kadzidlanego, bo to istotna część problemu, a nie możliwość jego rozwiązania.

– Oho, już z pana wyłazi ateista. A można wiedzieć, co takiego panu kler zrobił?

– Dajcie spokój z kłótniami – przerwał ojciec. – Ferminie, niech pan pójdzie do don Federica i dowie się, czy czegoś mu nie trzeba, może mu przynieść coś z apteki czy zrobić jakieś zakupy.

– Tak, panie Sempere. Już idę. Dobrze pan wie, że mnie gubią ciągoty oratorskie.

– Pana gubi brak wstydu i szacunku – dodała Merceditas. – Pan jest bluźniercą. Panu powinni duszę siarkowym dymem oczyścić.

– Szanowna pani, zważywszy, iż jest pani osobą poczciwą z jednej strony – choć ograniczoną nieco i ujawniającą ewidentne braki w wiedzy podstawowej – z drugiej zaś mając na względzie, iż musimy w danej chwili priorytetowo stawić czoło nieprzewidzianej, a zaistniałej w naszym otoczeniu sytuacji sąsiedzkiej, pozwoli pani, iż nie przystąpię do wyjaśnienia pani paru podstawowych kwestii.

– Fermín! – jęknął ojciec.

Fermín zamknął się i wybiegł. Merceditas patrzyła za nim z dezaprobatą.

– Ani się obejrzycie, jak ten człowiek wpędzi was w niezłe tarapaty, zobaczycie. To co najmniej anarchista, mason, a może nawet Żyd. Z takim nochalem...

– Niech pani nie zwraca na niego uwagi. Uwielbia robić wszystko na przekór.

Merceditas pokręciła głową, urażona.

– Muszę już lecieć, jestem w niedoczasie, taka już dola wieloletowca. Miłego dnia.

Pożegnaliśmy się i popatrzyliśmy, jak odchodzi ulicą, wyprostowana i stukająca obcasami. Ojciec odetchnął głęboko, jakby chciał w pełni poczuć odzyskany spokój. Z don Anacleto uchodziły resztki animuszu, twarz mu co jakiś czas bladła, oczy zasnuwały się smutkiem i jesienią.

– Ten kraj tonie w gównie – rzekł, rezygnując ze swej górnolotnej retoryki.

– Więcej optymizmu, don Anacleto. Zawsze tak było, i tutaj, i gdzie indziej, tyle że zdarzają się gorsze chwile, tym gorsze i bardziej ponure, im bliższe naszemu otoczeniu. Zobacz pan, jak don Federico

podniesie się po tym wszystkim, on jest silniejszy, niż nam się wszystkim wydaje.

Profesor z niedowierzaniem odpowiedział niemal szeptem:

– To jest jak przyptyw i odpływ, wie pan? Barbarzyństwo, ma się rozumieć. Odpływa i wydaje się, że już jesteśmy uratowani, ale wraca, zawsze wraca... i nas zalewa. Jestem tego świadkiem codziennie w instytucie. Mój Boże. Do sal wykładowych przychodzą małpy. Darwin był idealistą i marzycielem, zapewniam pana. Jaka tam ewolucja. Zanim trafię na jednego myślącego, muszę stoczyć bitwę z dziewięcioma orangutanami.

Ograniczyliśmy się do skwapliwego przytaknięcia. Nauczyciel pożegnał się i odszedł z nisko opuszczoną głową. Wyglądał, jakby mu pięć lat przybyło przez ostatnią godzinę. Ojciec westchnął. Spojrzeliśmy na siebie, nie wiedząc, co rzec. Zacząłem się zastanawiać, czy powinienem mu opowiedzieć o wizycie inspektora Fumero w księgami. To było uprzedzenie, pomyślałem. Ostrzeżenie. Fumero użył biednego don Federica w roli telegramu.

– Coś ci jest, Danielu? Jesteś blady jak ściana.

Westchnąłem i spuściłem wzrok. Zacząłem mu relacjonować incydent z inspektorem Fumero i jego insynuacje. Ojciec słuchał mnie, z trudem hamując coraz większą wściekłość.

– To moja wina – stwierdziłem. – Powinienem był mu coś powiedzieć...

Ojciec zaprzeczył.

– Co ty pleciesz, Danielu, skąd mogłeś przypuszczać.

– Ale...

– Nawet o tym nie myśl. A Ferminowi ani słowa. Bóg jeden wie, jak zareaguje, gdy się dowie, że ta kreatura znowu mu depta po piętach.

– Ale coś trzeba będzie zrobić.

– Owszem, postarać się uważać, żeby nie wpadł w tarapaty.

Przytaknąłem, choć bez przekonania, i podjąłem pracę rozpoczętą przez Fermina, ojciec zaś ponownie zajął się zaległą korespondencją. Co jakiś czas patrzył na mnie ukradkiem. Udawałem, że nie zdaję sobie z tego sprawy.

– A jak się udało spotkanie z profesorem Velazquezem, wszystko

w porządku? – zapytał, spragniony zmiany tematu.

– Tak. Bardzo był zadowolony z książek. A propos okazji, powiedział mi, że szuka książki z listami Franco.

– *Pogromca Maurów*. Przecież to apokryf... Żart Madariagi. Co mu powiedziałeś?

– Że się tym zajmiemy i damy mu znać w ciągu dwóch tygodni, góra.

– Doskonale. Fermín się tym zajmie, a później wystawimy profesorowi rachunek jak za zboże!

Przytaknąłem. I kontynuowaliśmy swe rutynowe zajęcia. Ojciec wciąż mi się przyglądał. Oho, pomyślałem.

– Wczoraj była tu bardzo sympatyczna dziewczyna. Fermín mówi, że to siostra Tomasa Aguilara.

– Zgadza się.

Ojciec kiwnął głową, komentując dziwny splot okoliczności gestem mówiącym: „coś takiego”. Nim ponowił atak, dał mi chwilę odsapnąć pod pretekstem, że coś nagle sobie przypomniał.

– A tak przy okazji, Danielu, dziś akurat mamy niewiele pracy, więc może miałbyś ochotę pozalać swoje sprawy. Zresztą, odnoszę wrażenie, że za dużo pracujesz.

– Dziękuję, ale czuję się dobrze.

– Zastanawiałem się nawet, czy nie zostawić tu Fermina i nie pójść do Liceo razem z Barceló. Dziś grają Tannhdusera i zaprosił mnie, bo ma kilka miejsc w łoży.

Udawał, że przegląda korespondencję. Był fatalnym aktorem.

– A od kiedy to lubisz Wagnera?

Wzruszył ramionami.

– Darowanemu koniowi... A poza tym gdy jest się w towarzystwie Barceló, to naprawdę wszystko jedno, jaka opera jest wystawiana, bo przez całe przedstawienie komentuje grę śpiewaków, krytykując kostiumy i tempo. Często pyta o ciebie. Mógłbyś kiedyś zajrzeć do niego.

– Zajrzę, zajrzę.

– No więc co ty na to, byśmy zostawili Fermina i poszli się rozerwać, bo dawno już sobie na to zasłużyliśmy. A gdybyś potrzebował pieniędzy...

– Tato, Bea nie jest moją dziewczyną.

– A kto tu mówi o dziewczynach? Ja w każdym razie wychodzę. A ty zrobisz, jak zechcesz. Gdybyś potrzebował, weź z kasy, ale zostaw kartkę, żeby Fermín się nie wystraszył przy podliczaniu utargu.

Po czym jak gdyby nigdy nic zniknął na zapleczu, uśmiechając się od ucha do ucha. Spojrzałem na zegarek. Było wpół do jedenastej rano. Umówiłem się z Beą na uniwersytecie o piątej, a dzień, niestety, zapowiadał się dłuższy niż *Bracia Karamazow*.

Niebawem Fermín wrócił z domu zegarmistrza i poinformował, że komando sąsiadek ustanowiło stałe dyżury, by opiekować się biednym don Federikiem, u którego lekarz stwierdził trzy złamane żebra, mnóstwo pomniejszych urazów i rozerwanie odbytnicy.

– Trzeba było coś kupić? – zapytał ojciec.

– Aptekę mogliby otworzyć, tyle sąsiedzi znieśli lekarstw i maści przeróżnych, wobec tego pozwoliłem sobie zanieść mu kwiaty, duży flakon wody kolońskiej Nenuco i trzy butelki fruco brzoskwiniowego, ulubionego soku don Federica.

– Dobrze pan zrobił. Proszę mi przypomnieć później, ile jestem panu winien – rzekł ojciec. – A jak się czuje don Federico?

– Jak kupa skitranego gówna, taka jest prawda. Ledwo go zobaczyłem, jak skulony w kłębek siedzi w rogu łóżka i jęczy, że chce umrzeć, od razu ogarnęła mnie żądza mordy, ni mniej, ni więcej. Choćby i teraz wkroczyłbym uzbrojony po zęby do siedziby Brygady Kryminalnej i z miejsca położyłbym trupem z pół tuzina sukinsynów, zaczynając od tego gnijącego czyraka Fumero.

– Fermín, spędźmy przynajmniej kilka dni w spokoju. Kategorycznie zabraniam panu podejmowania jakichkolwiek drastycznych kroków.

– Jak pan rozkaże, panie Sempere.

– A La Pepita jak to znosi?

– Z godnym podziwu spokojem ducha. Sąsiadki znieczulają ją odpowiednimi dawkami brandy, a gdy tam zajrzałem, właśnie padła jak kłoda na sofę, gdzie chrapała jak marynarz i puszczała wiatry dziurawiące tapicerkę.

– To się nazywa trzymać fason. Fermín, byłbym wdzięczny, gdyby został pan dziś w księgarni, ja zajrzałbym do don Federica. Wieczorem

jestem umówiony z Barceló. Z kolei Daniel ma kilka spraw do załatwienia.

Podniosłem wzrok dokładnie w chwili, kiedy ojciec i Fermín wymieniali porozumiewawcze spojrzenie.

– A to ci dopiero para swatek – powiedziałem.

Słyszałem jeszcze ich śmiech, gdy opuszczałem księgarnię, kipiąc z wściekłości.

Ulice zamiatała zimna i przeszywająca bryza, zostawiając za sobą delikatną akwarelę pary. Przytłumione światło słońca odbijało się miedzianym echem od dachów i dzwonnicy Dzielnicy Gotyckiej. Spotkanie z Beą miałem dopiero za kilka godzin, postanowiłem więc spróbować szczęścia i odwiedzić Nurię Monfort, licząc, że ciągle jeszcze mieszka pod adresem, który podał mi jej ojciec jakiś czas temu.

Plac San Felipe Neri jest ukrytą za starymi rzymskimi murami drobną szczeliną w labiryncie ulic, pokrywających Dzielnicę Gotycką. Mury kościoła spryskane zostały w dniach wojny domowej ogniem karabinu maszynowego. Tego poranka grupa dzieciaków bawiła się w żołnierzy, za nic mając pamięć kamieni. Młoda kobieta o włosach poprzetykanych srebrnymi pasemkami przyglądała im się z mglistym uśmiechem, siedząc na ławce z na wpół otwartą książką w dłoniach. Adres wskazywał na to, że Nuria Monfort mieszkała w budynku stojącym przy wejściu na plac. Na poczerńiałym łuku z kamieni koronujących portal dało się jeszcze przeczytać datę: 1801. W ciemnościach przedsionka można było raczej domyślać się krzywych i swoiście krętych schodów, niż je dostrzec. Przejrzałem miodowe plastry mosiężnych skrzynek pocztowych. Nazwiska lokatorów można było przeczytać na kawałkach pożółkłej tektury.

Miquel Moliner/Nuria Monfort

111. 2

Powoli ruszyłem w górę, nie na żarty obawiając się, że jeśli mocniej stąpnę na te maleńkie, jak z domku dla lalek stopnie, to wszystko się pode mną zawali. Na każdym piętrze były dwie pary

nieoznakowanych numerem drzwi. Wszedłszy na trzecie piętro, wybrałem drzwi na chybił trafił i zastukałem. Schody cuchnęły stęchlizną, starym kamieniem i gliną. Zastukałem kilka razy, ale nikt nie odpowiedział. Postanowiłem spróbować z drugimi drzwiami. Zastukałem pięścią trzy razy. W mieszkaniu słychać było nastawione na cały regulator radio transmitujące program religijny *Chwile refleksji z ojcem Martinem Calzado*.

Drzwi otworzyła kobieta w pikowanym szlafroku koloru turkusowego, w kapciach i papilotach na głowie. W kiepskim świetle wyglądała jak pletwonurek. Zza jej pleców dochodził aksamitny głos ojca Martina Calzado składający podziękowania sponsorowi programu, producentowi kosmetyków Aurorin, ulubionych produktów pielgrzymów do sanktuarium w Lourdes i cudownego panaceum na wrzody i krnąbrne brodawki.

- Dzień dobry. Szukam pani Monfort.
- Nuriety? Pomylił pan drzwi, młody człowieku. To naprzeciwno.
- Proszę o wybaczenie. Pukałem, ale nikt nie odpowiadał.
- Nie jest pan przypadkiem wierzyicielem, prawda? – zapytała nagle, z lękiem świadczącym o doznanych już przejściach.
- Nie, nie, bez obaw. Przychodzę od ojca pani Monfort.
- A, to dobrze. Nurieta pewnie siedzi na dworze i czyta. Nie widział jej pan, wchodząc?

Gdy wyszedłem z powrotem na ulicę, zobaczyłem, że kobieta o srebrzystych włosach nadal siedzi z książką w rękach na ławce przy placu. Przyjrzałem się jej uważnie. Nuria Monfort była atrakcyjną, nawet bardzo atrakcyjną kobietą, obdarzoną rysami charakterystycznymi dla rysowanych w żurnalach modelek lub studyjnych portretów, a w oczach jeszcze jarzyły się węgielki młodości. W tej kruchej, pastelowej postaci było coś z ojca. Uznałem, że ma około czterdziestu paru lat, sugerując się srebrzystością włosów i rysami twarzy, która w półświecie mogłaby uchodzić za twarz znacznie młodszej kobiety.

– Pani Monfort?

Spojrzała na mnie, nie widząc mnie wcale, jak ktoś, kto budzi się z transu.

– Nazywam się Daniel Sempere. Pani ojciec jakiś czas temu podał

mi ten adres i powiedział, że być może będzie mi pani mogła opowiedzieć coś o Julianie Caraksie.

Gdy usłyszała ostatnie moje słowa, wszelki wyraz senności zniknął z jej twarzy. Pojąłem, że wzmianka o ojcu nie była najszcześniejszym fortelem.

– Czego pan chce? – spytała lękliwie.

Poczułem, że jeśli w tej właśnie chwili nie zdobędę jej zaufania, stracę daną mi szansę. Jedyłą kartą, jaką mogłem zagrać, była prawda.

– Proszę pozwolić mi się wytłumaczyć. Osiem lat temu, przez przypadek właściwie, na Cmentarzu Zapomnianych Książek trafiłem na powieść Juliana Caraxa, którą pani ukryła, by ochronić ją przed zniszczeniem przez człowieka, który ponoć nazywa się Laín Coubert – powiedziałem.

Spojrzała na mnie uważnie, bez najmniejszego ruchu, jakby się bała, że lada chwila świat wokół niej się zawali.

– Zabiorę pani tylko kilka minut – dodałem. – Obiecuję.

Przytaknęła, zrezygnowana.

– Jak się miewa mój ojciec? – zapytała, uciekając w bok wzrokiem.

– Dobrze. Lat mu przybyło. Bardzo za panią tęskni.

Nuria Monfort odpowiedziała westchnieniem, którego nie mogłem rozszyfrować.

- Chodźmy lepiej do domu. Nie chcę rozmawiać o tym na ulicy.

Nuria Monfort mieszkała wśród cieni. Wąski korytarzyk prowadził do jadalni, służącej czasem za kuchnię, bibliotekę i biuro. Po drodze mogłem dojrzeć skromną sypialnię bez okien. To wszystko. Reszta mieszkania ograniczała się do mikroskopijnej łazienki, bez pryszniczki ani wanny, przez którą przepływały wszelkiego rodzaju wonie, od kuchennych zapachów z baru na parterze, po fetor stuletnich niemal rur. Ten dom tonął w nieustannym półmroku, niczym balkon podtrzymywany przez obdrapane mury. Śmierdziało w nim czarnym tytoniem, zimnem i nieobecnością... Nuria Monfort obserwowała mnie, a ja udawałem, że nie dostrzegam niedostatków jej czterech kątów.

– Wychodzę na dwór poczytać, bo w mieszkaniu prawie nie mam światła – powiedziała. – Mąż obiecał, że kupi mi lampę, jak wróci.

– Pani mąż jest w podróży?

– Miquel jest w więzieniu.

– Przepraszam, nie wiedziałem...

– A skąd mógłby pan o tym wiedzieć. Nie krępuję się mówić o tym, bo mój mąż nie jest kryminalistą. Ostatni raz aresztowano go za drukowanie ulotek dla związku zawodowego metalowców. Minęły już dwa lata. Sąsiedzi myślą, że wyjechał na jakiś czas do Ameryki. Mój ojciec też o tym nie wie i nie chciałabym, żeby się dowiedział.

– Ode mnie się nie dowie, może być pani pewna – powiedziałem.

Zapadła cisza pełna napięcia. Domyśliłem się, że Nuria Monfort widzi we mnie Izaakowego szpiega.

– Pewnie trudno jest samemu utrzymać dom – odezwałem się bez sensu, byle tylko zapełnić pustkę słowami.

– Nie jest łatwo. Staram się zarabiać tłumaczeniami, ale w sytuacji kiedy mąż jest w więzieniu, to kropla w morzu. Adwokaci puścili mnie z torbami i tonę w długach. Tłumaczeniami zarabia się równie mało co pisaniem.

Spojrzała na mnie, jakby oczekiwała potwierdzenia. Ograniczyłem się do uśmiechu.

– Tłumaczy pani książki?

– Już nie. Teraz tłumaczę formularze, umowy i dokumenty celne, są o wiele lepiej płatne. Na tłumaczeniu książek niewiele się zarabia, choć i tak więcej niż na ich pisaniu. Wspólnota mieszkaniowa usiłowała już parę razy mnie wyeksmitować. Opóźnienia w opłatach to zresztą najdrobniejsze przewinienie. Niech pan tylko pomyśli, znam języki i chodzę w spodniach. Są i tacy, co oskarżają mnie o to, że prowadzę tu dom schadzek. Z drugiej strony, szkoda, że tak nie jest...

Miałem nadzieję, że w półmroku nie widać mojego rumieńca.

– Przepraszam. Nie wiem, po co opowiadam panu o tym. Niepotrzebnie zawstydzam pana.

– Sam sobie jestem winien, nie musiałem pytać.

Zaśmiała się nerwowo. Bijąca z niej samotność aż parzyła.

– Jest pan nawet trochę podobny do Juliana – rzekła niespodziewanie. – W sposobie patrzenia i w gestykulacji. Zachowywał się tak samo jak pan. Siedział w milczeniu i tak patrzył, że nie wiadomo było, o czym myśli, a człowiek jak najęty opowiadał rzeczy, które lepiej przemilczeć... Napiłby się pan czegoś? Może kawy z mlekiem?

– Nic, dziękuję, proszę się nie kłopotać.

– Żaden kłopot. I tak zamierzałam sobie zaparzyć kawy.

Coś mi mówiło, że ta kawa z mlekiem to cały jej południowy posiłek. Raz jeszcze podziękowałem, ona zaś odeszła w kąt jadalni, gdzie stała kuchenka elektryczna.

– Proszę się rozgościć – rzekła, odwrócona do mnie plecami.

Zacząłem się rozglądać, zastanawiając się, jak mam to zrobić. Biurkiem Nurii był stół w kącie przy balkonie. Maszyna do pisania Underwood spoczywała przy kinkiecie i szafce pełnej podręczników i słowników. Nie było żadnych rodzinnych fotografii, ale ścianę nad biurkiem pokrywały pocztówki, ze zdjęciem tego samego mostu, który chyba skądś znałem, choć nie mogłem sobie przypomnieć, czy znajduje się on w Rzymie, czy w Paryżu. Biurko świadczyło o schludności i wręcz obsesyjnej pedanterii. Ołówki dokładnie zaostrzone i ułożone w idealnym porządku. Papiery i teczki równo

uporządkowane i rozłożone w trzech symetrycznych rzędach. Odwracając się, zauważyłem, że Nuria Monfort obserwuje mnie, stojąc w progu przedpokoju. Przyglądała mi się w milczeniu, tak jak się patrzy na ulicy lub w metrze na kogoś całkiem nieznanego. Nie ruszając się z miejsca, zapaliła papierosa, chowając twarz za smugami błękitnego dymu. Przyszło mi na myśl, że w Nurii Monfort jest coś z owych femmes fatales, które rozpałały wyobraźnię Fermina, gdy pojawiały się na berlińskim dworcu w oparach mgły i łunie niemożliwego światła. I pomyślałem również, że ją pewnie ów własny szczególny wygląd mierzi.

– Niewiele mam do opowiedzenia – zaczęła. – Poznałam Juliana ponad dwadzieścia lat temu w Paryżu. Pracowałam wówczas dla wydawnictwa Cabestany. Pan Cabestany nabył za grosze prawa do powieści Juliana. Pracowałam w wydziale administracyjnym, ale gdy pan Cabestany dowiedział się, że mówię po francusku, włosku i trochę po niemiecku, przesunął mnie do działu praw autorskich, awansując zarazem na osobistą sekretarkę. Do moich zadań należało, między innymi, prowadzenie korespondencji z autorami i z zagranicznymi wydawnictwami, od których nasze wydawnictwo kupowało poszczególne tytuły, i w taki oto sposób nawiązałam kontakt z Julianem Caraxem.

– Pani ojciec powiedział, że byliście dobrymi przyjaciółmi.

– Mój ojciec na pewno panu powiedział, że mieliśmy romans albo coś podobnego. Nieprawdaż? W jego mniemaniu żadnej parze spodni nie przepuszczę, jakbym była suką w rui.

Szczerść i bezceremonialność tej kobiety całkowicie mnie deprimowały. Z trudem przyszło mi sklecenie sensownego w miarę zdania. W tym czasie Nuria Monfort zdążyła już uśmiechnąć się dyskretnie i pokręcić parę razy głową.

– Niech pan nie zwraca uwagi na to, co mówi. Ojciec wbił to sobie do głowy, gdy w trzydziestym trzecim zostałam wysłana przez pana Cabestany'ego, by załatwić parę spraw z wydawnictwem Gallimard. Byłam w Paryżu cały tydzień i zatrzymałam się w mieszkaniu Juliana z tej prostej przyczyny, że pan Cabestany wolał zaoszczędzić na kosztach hotelu. Bardzo to romantyczne, nieprawdaż? Do owego wyjazdu moja znajomość z Julianem Caraxem była wyłącznie

listowna, a korespondencja dotyczyła wyłącznie praw autorskich lub spraw ściśle wydawniczych. Wszystko, co o nim wiedziałam lub sobie na jego temat wyobrażałam, pochodziło wyłącznie z przysyłanych przezeń manuskryptów.

– Opowiadał coś pani o swoim życiu w Paryżu?

– Nie. Julián nie lubił mówić ani o sobie, ani o swoich książkach. Chyba nie był w Paryżu szczęśliwy, ale, prawdę mówiąc, odniosłam wrażenie, że należał do tych osób, które nigdzie nie są szczęśliwe. Szczerze mówiąc, nigdy go dobrze nie poznałam. Nie dopuszczał do tego. Był bardzo skrytym człowiekiem i niejednokrotnie wydawało mi się, że przestał interesować się światem i ludźmi. Pan Cabestany uważał go za bardzo nieśmiałego i trochę psychicznego, ale, moim zdaniem, Julián żył przeszłością, skupiony wyłącznie na wspomnieniach. Odgrodził się całkiem od świata, zamknął dla swoich książek i w swoich książkach, niczym luksusowy więzień.

– Mówi pani tak, jakby mu pani zazdrościła.

– Są więzienia gorsze od słów, Danielu.

Ograniczyłem się do przytaknięcia, nie bardzo wiedząc, co właściwie ma na myśli.

– Wspominał coś o swoich barcelońskich latach?

– Niewiele. Podczas mojego pobytu w Paryżu coś niecoś opowiedział mi o swojej rodzinie. Jego matka była Francuzką, nauczycielką muzyki. Ojciec miał firmę kapeluszną czy coś podobnego. I był bardzo religijny, i bardzo surowy.

– A powiedział cokolwiek o swoich relacjach z ojcem?

– Wiem, że nie przepadali za sobą. I to od dawna. Julián tak naprawdę wyjechał do Paryża, żeby uniknąć wojska, do którego pchał go ojciec. Matka obiecała Julianowi, że nie dopuści do tego, zabierając go jak najdalej od tego człowieka.

– No, ale ten człowiek był mimo wszystko jego ojcem.

Nuria Monfort uśmiechnęła się. Poruszyła ledwie kącik ust, ze smutnym i zmęczonym błyskiem w oczach.

– Nawet jeśli nim był, nie zachowywał się jak ojciec, a i Julián nigdy go za ojca nie uważał. Kiedyś mi opowiedział, że przed ślubem jego matka miała przygodę z nieznajomym, którego tożsamości nigdy nie chciała wyjawić. Ów nieznany mężczyzna był prawdziwym ojcem

Juliana.

– To brzmi jak początek *Cienia wiatru*. Wierzy pani, że mówił prawdę?

Nuria Monfort przytaknęła.

– Julián tłumaczył mi, że przez całe dzieciństwo musiał patrzeć, jak kapelusznik, bo tak go nazywał, poniżał i bił jego matkę. Potem przychodził do pokoju Juliana, żeby mu nieustannie przypominać, że jest dzieckiem grzechu, że odziedziczył słaby i nikczemny charakter swojej matki i że będzie nieszczęśliwym przez całe swoje życie, że nic mu się nie uda...

– Julián czuł żal do swojego ojca?

– Czas leczy rany. Nigdy nie odniosłam wrażenia, że Julián go nienawidzi. Tak pewnie byłoby najlepiej. Wydawało mi się, że po tylu wybrykach Julián po prostu stracił jakikolwiek szacunek do kapelusznika. Mówił o tym wszystkim, jakby go to w ogóle nie obchodziło, jakby stanowiło część przeszłości, którą zdołał pozostawić za sobą, ale takich rzeczy przecież się nie zapomina. Słowa, którymi z małostkowości czy z ignorancji zatruwa się serce własnego dziecka, zostają na zawsze w pamięci i prędzej czy później spopielają mu duszę.

Zastanowiło mnie, na ile opiera się na własnych doświadczeniach, i znowu stanęła mi przed oczami sylwetka mojego przyjaciela Tomása Aguilara, słuchającego ze stoicyzmem kazania swego świetlanego progenitora.

– Ile Julián miał wtedy lat?

– Wydaje mi się, że osiem albo dziesięć.

Westchnąłem.

– A gdy osiągnął wiek poborowy, matka zabrała go do Paryża. Chyba nawet się nie pożegnali z kapelusznikiem, a ten nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego rodzina go opuściła.

– A wspominał może Julián o dziewczynie imieniem Penélope?

– Penélope? Chyba nie. Zapamiętałabym.

– To była jego dziewczyna z czasów, gdy jeszcze mieszkał w Barcelonie.

Podaliśmy jej zdjęcie Caraxa i Penélope. Zauważyłem, że jej twarz rozpromienia się na widok nastoletniego Juliana Caraxa. Zzerała ją

nostalgia, poczucie straty.

– Jaki młodziutki... To jest właśnie Penélope?

Przytaknąłem.

– Bardzo ładna. Julián zawsze potrafił otaczać się ładnymi kobietami.

Takimi jak ty, pomyślałem.

– A wiele ich było...?

Znowu ten uśmiech, kpiący.

– Narzeczonych? Przyjaciółek? Nie wiem. Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszałam, żeby wspominał o jakiejś kobiecie. Raz, z czystej złośliwości, zapytałam go o to. Zapewne pan wie, że zarabiał na życie, grając na pianinie w domu schadzek. Zapytałam, czy, cały czas otoczony łatwymi pięknościami, nie czuje pokusy. Żart mu się nie spodobał. Odpowiedział, że nie ma prawa nikogo kochać, że zasługuje na samotność.

– Powiedział dlaczego?

– Julián nigdy nie mówił dlaczego. -

– Ale przecież, tuż przed powrotem do Barcelony w trzydziestym szóstym, miał się ożenić.

– Takie były pogłoski.

– Wierzy pani w to?

Wzruszyła ramionami z niedowierzaniem.

– Mówiłam już panu, że przez cały okres naszej znajomości Julián nigdy nie wspominał o żadnej kobiecie, tym bardziej zaś o kobiecie, z którą miałby się żenić. A o tym niby – ślubie doszły mnie słuchy znacznie później. Neuval, ostatni wydawca Caraxa, opowiedział Cabestany'emu, że panną młodą była bogata i chora wdowa, dwadzieścia lat starsza od Juliana. Neuval twierdził, że ta kobieta utrzymywała go przez lata. Lekarze dawali jej pół roku życia, góra rok. Zdaniem Neuvala chciała wyjść za Juliana, żeby mógł wszystko po niej odziedziczyć.

– Przecież ta ceremonia ślubu nigdy się nie odbyła.

– A i nie wiadomo, czy w ogóle istniał taki zamiar i czy istniała taka wdowa.

– Z tego, co mi wiadomo, Carax w dniu swego ślubu miał się o świecie pojedynkować. Może wie pani dlaczego albo z kim?

– Neuval przypuszczał, że chodziło o kogoś związanego z wdową. Daleki i chciwy kuzyn, który obawiał się, że cały rodzinny majątek może trafić w ręce obcego. Neuval wydawał przede wszystkim romanse i wydaje mi się, że ten gatunek odebrał mu rozum.

– Widzę, że nie za bardzo pani wierzy w ten ślub i w pojedynkę.

– Nie. Nigdy nie wierzyłam w tę bujdzę.

– Wobec tego, co się, pani zdaniem, stało? Dlaczego Carax wrócił do Barcelony?

Uśmiechnęła się smutno.

– Od siedemnastu lat zadaję sobie to pytanie.

Nuria Monfort zapaliła kolejnego papierosa. Wyciągnęła paczkę w moją stronę. Poczujęm pokusę, ale odmówiłem.

– Ale ma pani jakieś domysły? – nie rezygnowałem.

– Wiem tylko tyle, że w lecie trzydziestego szóstego roku, tuż po wybuchu wojny, z wydawnictwem skontaktował się pracownik miejskiej kostnicy, by poinformować, że przed trzema dniami przyjęli ciało Juliana Caraxa. Znalezione go martwego na ulicy w dzielnicy Raval, w łachmanach i z kulą w sercu. Miał przy sobie książkę, egzemplarz *Cienia wiatru*, i paszport. Stempel wskazywał na to, że przekroczył granicę z Francją miesiąc wcześniej. Nikt nie wiedział, gdzie przez ten okres przebywał. Policja skontaktowała się z jego ojcem, ale ten odmówił zajęcia się ciałem, twierdząc, że nigdy nie miał syna. Gdy przez następne dwa dni nikt nie zgłosił się po ciało, zmarły został pochowany w zbiorowej mogile na cmentarzu Montjuïc. Nawet kwiatów nie mogłam złożyć, bo nikt nie potrafił mi wskazać, gdzie go pochowano. Pracownikowi kostnicy, który zatrzymał sobie książkę znaną w marynarce Juliana, dopiero po kilku dniach wpadło do głowy, że może zadzwonić do wydawnictwa Cabestany. I w ten oto sposób dowiedziałam się, co się stało. Nie byłam w stanie tego pojąć, bo tylko na mnie albo na pana Cabestany'ego mógł Julián liczyć w Barcelonie. Byliśmy jego jedynymi przyjaciółmi, ale nie poinformował nas o swoim powrocie. Dopiero po jego śmierci dowiedzieliśmy się, że wrócił do Barcelony...

– A udało się coś później ustalić?

– Nic. To wydarzyło się w pierwszych miesiącach wojny. Julián był jednym z wielu zaginionych bez wieści. Teraz się o tym nie mówi, ale

takich bezimiennych grobów, jak Juliana, jest mnóstwo. Dopytywanie i wywiadywanie się było jak walenie głową w ścianę. Korzystając z pomocy pana Cabestany'ego, bardzo już wówczas chorego, złożyłam skargę na policji i stukałam, i pukałam, gdzie tylko się dało. Ale to wszystko doprowadziło jedynie do wizyty młodego inspektora, aroganckiego i złowrogiego typu, który mi oznajmił, że lepiej dla mnie będzie, jeśli miast zadawać pytania, skupię się na bardziej pozytywnym działaniu, gdyż kraj cały prowadzi krucjatę przeciw wrogom naszej ojczyzny. Dosłownie. Nazywał się Fumero, tyle pamiętam. Zdaje się, że teraz to jakaś szycha. Dużo o nim piszą w gazetach. Być może słyszał pan o nim.

Przełknąłem ślinę.

– Coś niecoś.

– I przez jakiś czas było głucho o Julianie, dopóki z wydawnictwem nie skontaktował się ktoś, kto był zainteresowany nabyciem wszystkich egzemplarzy powieści Caraxa, jakie mieliśmy w magazynie.

– Laín Coubert?

Nuria Monfort przytaknęła.

– Ma pani pojęcie, kim jest ten człowiek w rzeczywistości?

– Mam pewne podejrzenia, ale nie jestem pewna. W marcu trzydziestego szóstego, a pamiętam, bo wówczas przygotowaliśmy wydanie *Cienia wiatru*, ktoś zadzwonił do wydawnictwa, prosząc o adres Juliana. Powiedział, że jest jego starym przyjacielem i chce go odwiedzić w Paryżu. Zrobić mu niespodziankę. Połączono go ze mną i poinformowałam go, że nie jestem upoważniona do przekazywania tej informacji.

– Powiedział, jak się nazywa?

– Jorge jakiś tam.

– Może Jorge Aldaya?

– Bardzo prawdopodobne. Julián często go wspominał. Zdaje się, że byli uczniami szkoły San Gabriel, mówił o nim tak, jakby chodziło o jednego z najlepszych przyjaciół.

– Wiedziała pani, że Jorge Aldaya był bratem Penélope?

Nuria Monfort zmarszczyła czoło, zbita z tropu.

– Dała mu pani adres Juliana?

– Nie. Nie spodobał mi się.
– I jak zareagował?
– Zaczął się ze mnie wyśmiewać, powiedział, że i tak go znajdzie, i rzucił słuchawkę.

Coś ją gryzło. Zacząłem podejrzewać, dokąd prowadzi nas ta rozmowa.

– Ale znowu dał o sobie znać, prawda?

Przytaknęła nerwowo.

– Jak już powiedziałam, tuż po zniknięciu Juliana człowiek ten zjawiał się w wydawnictwie Cabestany. Pan Cabestany już nie mógł pracować i firmą zajmował się jego najstarszy syn. Gość, Lam Coubert, chciał kupić wszystkie posiadane przez nas egzemplarze powieści Juliana. Myślałam, że to niesmaczny dowcip. Lain Coubert to przecież bohater książki *Cień wiatru*.

– Diabeł.

Nuria Monfort przytaknęła.

– Widziała się pani z nim?

Zaprzeczyła i zapaliła trzeciego papierosa.

– Nie. Ale słyszałam część rozmowy z synem pana Cabestany'ego...

Zawiesiła głos, nie dokończywszy zdania, jakby się bała lub nie wiedziała, jak je zakończyć. Papieros drżał jej w palcach.

– Jego głos – powiedziała. – To był głos tego człowieka, który przedtem dzwonił, podając się za Jorge Aldayę. Syn Cabestany'ego, arogancki głupek, żądał większej sumy. Coubert powiedział, że musi przemyśleć ofertę. Tej samej nocy w magazynie wydawnictwa w Pueblo Nuevo wybuchł pożar, magazyn spłonął, a książki Juliana razem z nim.

– Poza tymi, które pani uratowała i ukryła na Cmentarzu Zapomnianych Książek.

– Tak.

– Zastanawiała się pani, dlaczego ktoś chciałby spalić wszystkie książki Juliana Caraxa?

– Dlaczego pali się książki? Z głupoty, ignorancji, nienawiści... Skąd mam wiedzieć.

– Ale jak się pani wydaje? – nalegałem.

– On żył w swoich książkach. To ciało, które trafiło do kostnicy, to

tylko cząstka Juliana. Jego dusza jest w jego opowieściach. Kiedyś go zapytałam, na kim się wzoruje, tworząc swoich bohaterów, a on odpowiedział mi, że na nikim. Że wszyscy jego bohaterowie to on sam.

– Więc gdyby ktoś chciał go zniszczyć, musiałyby zniszczyć te opowieści i ich bohaterów?

Znowu pojawił się ślad zmęczonego i przegranego uśmiechu.

– Przypomina mi pan Juliana – rzekła. – Sprzed utraty wiary.

– Wiary w co?

– We wszystko.

Podeszła w półmroku i ujęła mnie za rękę. Nic nie mówiąc, pogładziła ją od wewnątrz, jakby chciała odczytać linie dłoni. Ręka zaczęła mi drżeć. Złapałem się na rysowaniu w myślach konturu jej ciała pod starymi, pewnie pożyczonymi ubraniami. Pragnąłem jej dotknąć i poczuć płonący pod jej skórą puls. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę i od razu nabrałem pewności, że wie, o czym myślę. Poczulem, że nigdy nie była tak bardzo samotna. Znow uniosłem wzrok i napotkałem spokojne i pełne rezygnacji oczy.

– Julián umarł samotnie, przekonany, że nikt nie będzie pamiętał ani o nim, ani o jego książkach i że jego życie nic nie znaczyło – rzekła. – Bardzo by się ucieszył, wiedząc, że ktoś chce utrzymać go przy życiu, pamiętać o nim. Mawiał, że istniejemy, póki ktoś o nas pamięta.

Ogarnęło mnie bolesne niemal pragnienie pocałowania tej kobiety, żądza, jakiej nigdy dotąd nie czulem, nawet przy zepchniętej w niepamięć Klarze Barceló. Odczytała moje spojrzenie.

– Robi się późno, Danielu – szepnęła.

Część mnie chciała zostać, zagubić się w tej dziwnej półmrocznej intymności z tą nieznaną kobietą i słuchać, jak mówi, że moje gesty i milczenie przypominają jej Juliana Caraxa.

– Tak – wybelkotałem.

Przytaknęła w milczeniu i odprowadziła mnie do drzwi. Korytarz trwał wieczność. Otworzyła drzwi i wyszedłem na schody.

– Jeśli spotka pan mojego ojca, proszę mu powiedzieć, że wszystko u mnie dobrze. Proszę mu skłamać.

Podąłem jej rękę na pożegnanie i zduszonym głosem podziękowałem za poświęcony mi czas. Nuria Monfort zignorowała

mój grzecznościowy gest. Położyła mi ręce na ramionach, pochyliła się i pocałowała w policzek. Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu i tym razem ośmieliłem się poszukać jej ust, prawie drżąc. Wydało mi się, że się rozchylają i że jej palce szukają mojej twarzy. W ostatniej chwili Nuria Monfort cofnęła się i spuściła wzrok.

– Myślę, że lepiej, by pan sobie poszedł, Danielu – szepnęła.

Wydawało mi się, że się rozplącze, i zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, zamknęła drzwi. Zostałem na klatce schodowej, czując jej nieruchomą obecność po drugiej stronie drzwi, i zastanawiałem się, co się stało tam, w środku. Z przeciwległej strony mrugał judasz sąsiadki. Skinąłem jej głową i zbiegłem schodami w dół... Gdy wyszedłem na ulicę, jeszcze miałem głęboko w sobie jej twarz, głos i zapach. Niosłem muśnięcie jej warg i jej oddech przez ulice pełne ludzi bez twarzy, wychodzących z biur i sklepów. Gdy skręciłem w ulicę Canuda, owiała mnie lodowata bryza. Nie posiadałem się z wdzięczności za zimne powietrze chłodzące mi twarz i ruszyłem ku uniwersytetowi. Pokonawszy Ramblas, przebiłem się do ulicy Tallers i zagubiłem w wąskim labiryncie cieni, myśląc o tym, że zostałem uwięziony w tej ciemnej jadalni, w której wyobrażałem sobie teraz Nurię Monfort siedzącą samotnie w mroku, układającą w milczeniu swoje ołówki, teczki i wspomnienia, z oczami zalanymi trucizną łez.

Zmierzch zapadł niespodziewanie, zdradziecko niemal, przynosząc zimny powiew i osuwający się w szczeliny ulic purpurowy szal. Przyspieszyłem kroku i po dwudziestu minutach fasada uniwersytetu wynurzyła się niczym ceglastej barwy statek, osadzony na mieliźnie nocy. Pedel wydziału filologii oddawał się w swej budce lekturze najbardziej wpływowych piór współczesnej Hiszpanii, aktywnych na łamach sportowej popołudniówki „El Mundo Deportivo”. W gmachu pozostawało już niewielu studentów. Korytarzami i krużgankami, prowadzącymi na wewnętrzny dziedziniec, na którym poświata dwóch żółtawych lamp ledwie zakłócała półmrok, podążał za mną pogłos własnych kroków. Opanowała mnie nagle myśl, że Bea zdrwiła ze mnie i umówiła się o tej idiotycznej porze, żeby przytrzeć mi nosa za moją pychę. Liście drzewek pomarańczowych na dziedzińcu drżały jak srebrne lzy, a szmer fontanny wił się pośród krużganków. Omiotłem patio szybkim spojrzeniem, zakładając już rozczarowanie, ale być może, kryła się w tym swoista podszyta tchórzostwem ulga. Była tam. Siedziała na ławce, wędrując wzrokiem po sklepieniach podcieni, a jej sylwetka wyraźnie odcinała się na tle fontanny. Przystanąłem na progu, by przypatrzeć jej się spokojnie, i przez chwilę zdało mi się, że widzę w niej siedzącą na placu i śniącą na jawie Nurię Monfort. Zauważyłem, że nie ma przy sobie ani teczki, ani książek, więc pomyślałem, że pewnie dzisiaj nie miała zajęć. Może przyszła tutaj wyłącznie po to, żeby się ze mną spotkać. Przełknąłem ślinę i wkroczyłem na dziedziniec. Odgłos kroków na kamieniach zdradził moją obecność i Bea skierowała wzrok ku mnie, posyłając mi pełen zaskoczenia uśmiech, jakby do naszego spotkania doszło zrządzeniem losu.

– Myślałam, że nie przyjdiesz – powiedziała Bea.

– To samo myślałem o tobie – odparłem.

Nie ruszyła się z miejsca, siedziała, przyciskając mocno kolana i

trzymając ręce splecione na brzuchu. Zacząłem się zastanawiać, jak to jest, że patrząc na kogoś z daleka, możemy zarazem odczytać każde wgłębienie na jego ustach.

– Przyszłam, bo chcę ci wykazać, jak bardzo się mylisz, mówiąc mi to, co mi wtedy powiedziałeś, Danielu. Wyjdę za mąż za Pabla i nieważne, co mi dziś pokażesz, bo i tak odjadę z nim do El Ferrol, jak tylko zakończy służbę.

Spojrzałem na nią tak, jak się patrzy na uciekający pociąg. Zdałem sobie sprawę, że przez dwa dni bujałem w obłokach, a teraz świat wymykał mi się z rąk.

– A ja myślałem, że przyszłaś, bo po prostu chciałaś się ze mną zobaczyć – uśmiechnąłem się blado.

Nie uszło mej uwagi, że wyraz jej twarzy uległ zmianie i nie może znaleźć riposty.

– Żartuję – skłamałem. – Ale wcale nie żartowałem, gdy zapewniałem, że chcę ci pokazać taką Barcelonę, jakiej nie znasz. W ten przynajmniej sposób będziesz miała jakiś powód, żeby pamiętać mnie albo Barcelonę, gdziekolwiek będziesz.

Bea uśmiechnęła się smutno, unikając zarazem mego spojrzenia.

– Mało brakowało, żebym uciekła do kina, wiesz? Żeby nie spotkać się z tobą – powiedziała.

– Dlaczego?

Przyjrzała mi się, nic nie mówiąc. Wzruszyła ramionami i spojrzała w górę, jakby chciała w locie łowić wymykające się jej słowa.

– Bo bałam się, że być może masz rację – powiedziała w końcu.

Odetchnąłem. Oślaniał nas zmierzch i owo milczenie osamotnienia, które łączy obcych sobie ludzi, i poczułem, że dość mam teraz odwagi, by powiedzieć, co mi tylko ślina na język przyniesie, choćby miało to być po raz ostatni.

– Kochasz go czy nie?

Obdarzyła mnie nieprzekonującym uśmiechem.

– Nie twój problem.

– Racja – odparłem. – To tylko i wyłącznie twój problem.

Wzrok jej mocno ochłódł.

– A co to cię w ogóle obchodzi?

– A to już nie twój problem.

Nie uśmiechnęła się. Usta jej drżały.

– Wszyscy, którzy mnie znają, dobrze wiedzą, jak bardzo cenię Pabla. Moja rodzina i...

– Ale ja jestem prawie obcym człowiekiem – przerwałem jej. – I chciałbym to usłyszeć od ciebie.

– Usłyszeć co?

– Że naprawdę go kochasz. Że nie wychodzisz za niego za mąż tylko po to, żeby opuścić dom rodzinny albo wyjechać jak najdalej z Barcelony, czy też znaleźć się jak najdalej od swojej rodziny, żeby już nikt nie mógł wyrządzić ci krzywdy. Że nie uciekasz, a tylko wyjeżdżasz.

Oczy rozbłysły jej łzami wściekłości.

– Nie masz prawa mówić mi tego, Danielu. Nie znasz mnie.

– Powiedz więc po prostu, że się mylę, wtedy sobie pójdę. Kochasz go?

Przez dłuższy czas patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Nie wiem – wyszeptała wreszcie. – Nie wiem.

– Ktoś kiedyś powiedział, że w chwili, kiedy zaczynasz zastanawiać się, czy kochasz kogoś, przestałeś go już kochać na zawsze – powiedziałem.

Bea zaczęła szukać śladu ironii w mojej twarzy.

– Kto tak powiedział?

– Niejaki Julián Carax.

– To twój przyjaciel?

Ku swemu własnemu zaskoczeniu, przytaknąłem.

– Coś jakby.

– Nie omieszkaj mnie z nim poznać.

– Choćby i dzisiaj w nocy, jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Opuściliśmy teren uniwersytetu pod osłoną nieba w fioletowych płomieniach. Szliśmy po prostu przed siebie, bardziej po to, by wzajemnie przyzwyczaić się do swoich kroków, niż żeby dojść do konkretnego celu. Zaczęliśmy rozmawiać o jej bracie Tomasie, bo był to jedyny temat, w którym i ona, i ja czuliśmy się bezpieczni. Bea mówiła o nim jak o obcej osobie, którą się kocha, choć prawie jej się nie zna. Unikała mego wzroku i uśmiechała się nerwowo. Czułem, że

żałowała słów wypowiedzianych na dziedzińcu uniwersytetu, że ciągle sprawiają jej ból, paląc ją wewnątrz.

– Słuchaj, ale o tym, co ci przedtem powiedziałam – odezwała się nagle i bez związku – nie powiesz Tomasowi ani słowa, prawda?

– Jasne. Zresztą nikomu ani słowa nie powiem.

Zaśmiała się nerwowo.

– Nie wiem, co mi się stało. Nie obraż się, ale czasem człowiek nabiera większej swobody przy kimś obcym niż przy kimś, kogo bardzo dobrze zna. Skąd się to bierze?

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie dlatego, że obca osoba widzi nas takimi, jakimi jesteśmy, a nie takimi, jakimi staramy się jej wydać.

– To też powiedział twój przyjaciel Carax?

– Nie, to wymyśliłem przed chwilą, żeby zrobić na tobie wrażenie.

– A jak ty mnie widzisz?

– Jak tajemnicę.

– To najdziwniejszy komplement, jaki pod swoim adresem dotąd usłyszałam.

– Ale to nie komplement, tylko groźba.

– Nie rozumiem.

– Tajemnice trzeba rozwiązywać, dokładnie badać, co ukrywają.

– Możesz się rozczarować, zobaczywszy, co jest w środku.

– A może będę zaskoczony. Ty również.

– Tomás nie uprzedził mnie, że masz tyle tupetu.

– Bo tę odrobinę, którą mam, zachowałem specjalnie dla ciebie.

– Dlaczego?

Bo się ciebie boję, pomyślałem.

Schroniliśmy się w starej kawiarni przy teatrze Poliorama. Usiedliśmy przy oknie i zamówiliśmy bułki z szynką i kawę z mlekiem, żeby szybko się rozgrzać. Po chwili do naszego stolika podszedł wychudzony typ, z grymasem kulawego diabła na twarzy i cały w lansadach.

– Czy to, za przeproszeniem, szanowne państwo raczyli byli mieć życzenie na pieczywko z szyneczką?

Przytaknęliśmy.

– Z przykrością pragnę nadmienić w imieniu dyrekcji, że aktualnie

nie posiadamy ani jednego plasterka szynki. Mogę zaoferować czarną butifarrę, butifarrę białą, tudzież mieszaną, klopsa lub paprykowaną. Wszystko prima sort i najpierwszej świeżości. Służyć mogę również sardynką marynowaną, jeśli akurat podlegacie państwo zakazowi spożywania produktów mięsnych, wynikającemu z religijnych nakazów. Dziś mamy bowiem piątek...

– Mnie, szczerze mówiąc, wystarczy kawa z mlekiem – odparła Bea.

Ja umierałem z głodu.

– A może dwie porcje *papas bravas*? – powiedziałem. – I trochę pieczywa, jeśli to możliwe.

– Już się robi, szanowny panie. I proszę nam wybaczyć braki w asortymencie. Normalnie mam wszystkiego w bród, nawet możesz pan u mnie dostać kawior bolszewicki. Ale dziś odbywał się półfinał Pucharu Europy i odwiedziło nas bardzo dużo personelu. Co za mecz!

Typ odszedł, wijąc się ceremonialnie. Bea obserwowała go rozbawiona.

– Skąd ten język? Z Andaluzji?

– Spod Barcelony – wyjaśniłem. – Rzadko jeździsz metrem, prawda?

– Ojciec powiada, że z metra korzysta pospólstwo i że jeśli dziewczyna jest w metrze sama, narażona jest na nieobyczajne zaczepki Cyganów.

Chciałem jej coś odpowiedzieć, ale ugryzłem się w język. Bea zaśmiała się. Gdy podano kawę i jedzenie, rzuciłem się na jedno i drugie, nie zważając na maniery. Bea nie spróbowała nawet kęsa. Obejmując dłońmi dużą dymiącą filizankę, przyglądała mi się z półuśmiechem, ni to z ciekawością, ni to ze zdumieniem.

– W takim razie co takiego mi pokażesz, czego do tej pory nie widziałam?

– Parę rzeczy. To, co ci pokażę, stanowi część pewnej opowieści. Zdaje się, że mówiłaś mi ostatnio, że najbardziej lubisz czytać?

Bea przytaknęła, unosząc brwi.

– Więc to jest historia o książkach.

– O książkach?

– O książkach przeklętych, o człowieku, który je napisał, o postaci,

która uciekła ze stron powieści, żeby ją następnie spalić, o zdradzie i utraconej przyjaźni. To historia o miłości, nienawiści i marzeniach żyjących w cieniu wiatru.

– Przemawiasz jak obwoluta książkowa powieści za trzy grosze.

– Pewnie dlatego, że pracuję w księgarni i zdążyłem się na te obwoluty napatrzeć a napatrzeć. Ale to jest prawdziwa historia. Tak prawdziwa jak to, że pieczywo, jakie nam podano, jest czerstwe od co najmniej trzech dni. I jak wszystkie prawdziwe historie zaczyna się i kończy na cmentarzu, choć nie na takim cmentarzu, jak myślisz.

Uśmiechnęła się, jak dziecko, któremu obiecuje się jakąś zagadkę albo magiczną sztuczkę.

– Zamieniam się w słuch.

Przełknąłem ostatni łyk kawy i przez chwilę przyglądałem się jej w milczeniu. Pomyślałem, jak wielkie jest moje pragnienie schronienia się w tych oczach, płochliwych i tylko z pozoru pustych. Pomyślałem o samotności, jaka mnie opadnie w nocy, gdy się z Beą pożegnam, nie mając w zanadrzu już żadnych sztuczek ani historii, dzięki którym mógłbym zdradziecko przeciągać nasze spotkanie w nieskończoność. Pomyślałem, jak niewiele mogę jej zaofiarować, a jak dużo od niej oczekuję.

– Mózg zaczyna ci trzeszczeć, Danielu – powiedziała. – Co ty tam knujesz?

Rozpocząłem opowieść od owego dalekiego poranka, kiedy się obudziłem i nie mogłem przypomnieć sobie twarzy mojej matki, i nie przerwałem, póki nie wspomniałem o świecie pełnym mroków, który przeczulem owego ranka w domu Nurii Monfort. Bea słuchała mnie w milczeniu, z uwagą, nie zdradzając swym zachowaniem, co czuje i co o tym sądzi. Opowiedziałem jej o mojej pierwszej wizycie na Cmentarzu Zapomnianych Książek i o nocy spędzonej na lekturze *Cienia wiatru*. Opowiedziałem jej o spotkaniu z człowiekiem bez twarzy i o liście podpisanym przez Penélope Aldayę, który, nie wiadomo dlaczego, wciąż miałem przy sobie. Opowiedziałem jej, jak nigdy nie zdołałem pocałować Klary Barceló i żadnej innej kobiety i jak drżały mi ręce, gdy poczułem muśnięcie warg Nurii Monfort, zaledwie parę godzin temu. Opowiedziałem jej, że właśnie dopiero w tamtej chwili zrozumiałem, że cała ta historia jest o samotnych, o nieobecności i

utracie i że właśnie dlatego w niej szukałem schronienia, doprowadzając do całkowitego zatarcia granic między tą historią a moim własnym życiem, jak ktoś, kto ucieka poprzez powieściowe stronice, bo ci, których kochać powinien, są jedynie cieniami żyjącymi w duszy obcego człowieka.

– Nic już nie mów – szepnęła Bea. – Zaprowadź mnie tam.

Noc już całkiem zapadła, kiedy stanęliśmy przed bramą Cmentarza Zapomnianych Książek, w cieniach ulicy Arco del Teatro. Chwyciłem za kołatkę i uderzyłem nią mocno trzy razy. Wiał zimny wiatr, przesycony wonią węgla. Skryliśmy się przed nim pod łukiem wejścia. Parę centymetrów od moich oczu napotkałem spojrzenie Bei. Uśmiechała się. Niebawem dały się słyszeć cichutkie kroki zbliżające się do drzwi i doszedł nas słaby głos strażnika.

– Kto tam? – spytał Izaak.

– To ja, Daniel Sempere, Izaaku.

Odniosłem wrażenie, że klnie pod nosem. Rozległy się niezliczone trzaski i zgrzyty kafkowskiego zamku. W końcu drzwi ustąpiły parę centymetrów, odsłaniając w świetle kaganka orlą twarz Izaaka Monforta. Ujrawszy mnie, strażnik ciężko westchnął i wzniósł oczy do góry.

– Sam nie wiem, po co pytam – powiedział. – Bo któż inny mógłby zjawiać się tu o tej porze?

Izaak zakutany był w coś, co wyglądało na dziwne połączenie płaszcza kąpielowego, szlafroka i szynela armii rosyjskiej. Pikowane pantofle dopasowane były wręcz idealnie do wełnianej szlafmicy w kratkę, z chwością.

– Mam nadzieję, że nie wyrwałem pana z łóżka – rzekłem.

– A skądże. Dopiero zaczynałem odmawiać wieczorny paciorek.

Rzucił wzrokiem na Beę, jakby właśnie spostrzegł wiązkę lasek dynamitu syczącą i rzucającą iskry u swoich stóp.

– Ja z kolei żywię nadzieję, że, mając na uwadze pańskie dobro, to, co widzą moje oczy, jest jedynie ułudą i przywidzeniem – stwierdził groźnie.

– Izaaku, to jest Beatriz, moja przyjaciółka, którą chciałbym, za pańskim przyzwoleniem, pooprowadzać po tym miejscu. Proszę się nie niepokoić, to osoba godna zaufania.

– Sempere, muszę przyznać, że znałem osesków wykazujących znacznie więcej rozsądku od pana.

– To nie potrwa długo.

Izaak westchnął, uznając się za pokonanego, i przyjrzał się Bei badawczo, z podejrzliwością godną policjanta.

– Jest pani oczywiście świadoma tego, że zadaje się pani z człowiekiem upośledzonym na umyśle? – spytał.

Bea uśmiechnęła się uprzejmie.

– Zaczynam to sobie właśnie uświadamiać.

– Święta naiwności. Zna pani reguły?

Bea przytaknęła. Izaak burknął coś pod nosem i przepuścił nas, jak zwykle przyjrzawszy się przedtem dokładnie ulicznymi cieniami.

– Odwiedziłem pańską córkę, Nurię – powiedziałem niby od niechcenia. – Wszystko u niej w porządku. Bardzo dużo pracuje, ale jest dobrze. Prosiła, żebym przekazał panu pozdrowienia.

– Tak, oczywiście, jako załącznik do zatrutych strzał. Poskąpiła panu Bozia talentu do kłamania, Sempere. Ale dzięki za dobre chęci. Proszę wchodzić.

Gdy już byliśmy w środku, podał mi kaganek i zajął się zamykaniem drzwi, nie zwracając na nas uwagi.

– Jak już państwo skończą, wiadomo, gdzie mnie szukać.

W widmowych krawędziach, ledwie wystających spod powłoki mroku, domyślać się można było labiryntu książek. Z kaganka padała pod nasze nogi mglista plama jasności. Bea, oszołomiona, zatrzymała się na progu labiryntu. Uśmiechnąłem się, rozpoznawszy na jej twarzy ten sam wyraz, jaki mój ojciec niezawodnie dostrzegł na mojej twarzy lata temu. Zagłębiliśmy się w tunele i galerie, skrzypiącego z każdym naszym krokiem labiryntu. Znaki, jakie zostawiłem podczas mojego ostatniego pobytu, były na swoim miejscu.

– Chodź, chcę ci coś pokazać – powiedziałem.

Parę razy zdarzyło mi się zgubić własny ślad, więc musieliśmy zawracać i od nowa szukać ostatniego znaku. Bea przypatrywała mi się z przerażeniem i podziwem zarazem. Mój wewnętrzny kompas sugerował, że nasz szlak zagubił się w gmatwaninie dróg, prowadzących spiralami ku wnętrzościom labiryntu. W końcu udało mi się odnaleźć własne ślady w gąszczu korytarzy i tuneli, by wreszcie

trafić do wąskiego korytarzyka, rodzaju kładki prowadzącej w ciemność. Ukłakłem przy ostatnim regale, by odnaleźć mego starego druha, ukrytego za rzędem tomów pogrzebanych pod warstwą kurzu, błyszczącego w świetle kaganka niczym szron. Chwyciłem książkę w dłonie i wyciągnąłem ją ku Bei.

– Przedstawiam ci Juliana Caraxa.

– *Cień wiatru* – przeczytała Bea, muskając wyblakłe litery na okładce. – Mogę ją wziąć? – zapytała.

– Każdą możesz wziąć, oprócz tej jednej.

– To niesprawiedliwe. Bo po tym wszystkim, co mi opowiedziałeś, właśnie chcę tę książkę, a nie inną.

– Może kiedyś, ale nie dzisiaj.

Wziąłem książkę z jej rąk i ponownie ukryłem w schowku.

– Wróć tu kiedyś sama i zabiorę ją sobie, bez twego przyzwolenia i bez twojej wiedzy – odparła z kpiną w głosie.

– Nawet tysiąca lat by ci nie starczyło na jej odnalezienie.

– Tak ci się tylko wydaje. Widziałam twoje znaki i znam mit o Minotaurze.

– Izaak by cię nie wpuścił.

– Mylisz się bardzo. Przypadłam mu do gustu o wiele bardziej niż ty.

– A co ty możesz wiedzieć!

– Umiem czytać w oczach.

Niestety, uwierzyłem jej i szybko spojrzałem w inną stronę.

– Wybierz sobie inną. Popatrz, ta ma bardzo zachęcający tytuł. *Świnia z mesety, zwierzę nieznanne. W poszukiwaniu korzeni iberyjskiej słoniny*. Autor: Anselmo Torquemada. Na pewno sprzedał więcej egzemplarzy niż Julián Carax wszystkich swoich książek razem. Z mięsa świni nic się nie marnuje.

– Tamta chyba bardziej mnie pociąga.

– *Tess d'Urberville*. Wydanie angielskie. Dasz radę przeczytać Thomasa Hardy'ego w oryginale?

Spojrzała na mnie spod oka.

– Proszę, wobec tego należy do ciebie.

– Nie widzisz? Tak jakby na mnie czekała. Jakby stała tutaj ukryta specjalnie dla mnie, jakby czekała od dawna, zanim w ogóle przyszedł

na świat.

Spojrzałem na nią zaskoczony. Uśmiech Bei zgasł.

– Powiedziałaś coś nie tak?

Wówczas, bez zastanowienia, ledwie musnąwszy jej wargi, pocałowałem ją.

Dobiegała już północ, gdy dotarliśmy do bramy domu Bei. Przez całą niemal drogę milczeliśmy, nie mając odwagi wyrazić swoich myśli. Szliśmy oddzielnie, chowając się jedno przed drugim. Bea szła sztywno wyprostowana ze swoją Tess pod pachą, ja krok za nią, ciągle czując na wargach jej smak. Wciąż wlokłem za sobą spojrzenie z ukosa, jakim uraczył mnie Izaak, gdy opuszczaliśmy Cmentarz Zapomnianych Książek. To spojrzenie było mi bardzo dobrze znane, bo widziałem je tysiące razy u mojego ojca, spojrzenie, które pytało mnie, czy zdaję sobie w ogóle sprawę z tego, co czynię. Ostatnie godziny upłynęły w innym zupełnie świecie, w świecie przelotnych dotyków, niezrozumiałych spojrzeń, zzerających trzeźwość umysłu i wstydlivość uczuć. Teraz, wróciwszy do rzeczywistości, zawsze czyhającej pośród cieni miasta, czar przemijał i pozostawało bolesne pragnienie i nieokreślony niepokój. Wystarczyło mi spojrzeć na Beę, by zrozumieć, że to, co się ze mną działo, było niczym w porównaniu z szalejącą w niej burzą. Zatrzymaliśmy się przy bramie i spojrzeliśmy na siebie, nie usiłując nawet czegokolwiek udawać. Nocny dozorca, meloman, zbliżał się niespiesznie, podśpiewując bolera w smakowitym akompaniamencie masywnych pęków kluczy.

– Może lepiej będzie, jak już nie będziemy się spotykać? – zaproponowałem bez przekonania.

– Nie wiem, Danielu. Nic nie wiem. Tego właśnie chcesz?

– Nie, jasne, że nie. A ty?

Wzruszyła ramionami, a usta jej drgnęły, zarysowując nikły uśmiech.

– A jak myślisz? – zapytała. – Przedtem cię okłamałam, wiesz? Na dziedzińcu.

– Okłamałaś?

– No, że nie chciałam dziś się z tobą widzieć.

Nocny dozorca krążył nieopodal, uśmiechając się pod nosem,

wyraźnie obojętny na tę moją pierwszą w życiu scenę przy bramie i szepty, które jemu, staremu wydze, zdały się pewnie banalne, oklepane i nudne.

– Jeśli o mnie chodzi, to proszę się nie spieszyć – odezwał się. – Pójdę tam za róg, papieroska sobie skręcę i jestem na zawołanie.

Poczekalem, aż dozorca się oddali.

– Kiedy się zobaczymy?

– Danielu, nie wiem.

– Jutro?

– Błagam, Danielu. Nie wiem.

Kiwnąłem głową. Poglaskała mnie po policzku.

– Idź już, tak będzie lepiej.

– Wiesz, gdzie możesz mnie znaleźć, prawda?

Kiwnęła głową.

– Będę czekał.

– Ja też.

Oddaliłem się, spojrzeniem trzymając się wciąż jej spojrzenia. Nocny dozorca, doświadczony w tego rodzaju wydarzeniach, spieszył już otworzyć jej bramę.

– Ty bezwstydniku – mijając mnie, wycedził nie bez podziwu. – Ale ci się trafił cukierek.

Odczekałem, aż Bea zniknie za bramą, i ruszyłem lekkim krokiem, co chwila spoglądając za siebie. Z wolna ogarnęło mnie absurdalne przekonanie, że wszystko jest możliwe, i zdało mi się, że nawet te bezludne ulice i ten nieprzyjazny wiatr pachną nadzieją. Gdy dotarłem na plac Cataluña, dostrzegłem na środku stado gołębi. Zasłoniły sobą wszystko niby szal białych skrzydeł falujący w ciszy. Zamierzałem obejść cały plac, ale w tej samej chwili zobaczyłem, że ogromne stado gołębi, nie zrywając się do lotu, rozstępuje się przede mną i puszcza mnie środkiem. Zacząłem iść po omacku, patrząc, jak gołębie rozstępują się przede mną, by ponownie połączyć się za moimi plecami. Gdy dotarłem na środek placu, usłyszałem katedralne dzwony wybijające północ. Zatrzymałem się pośrodku oceanu srebrzystych ptaków i pomyślałem, że właśnie minął najdziwniejszy i najcudowniejszy dzień w moim życiu.

Gdy przechodziłem obok wystawy, spostrzegłem, że w księgarni pali się światło. Pomyślałem, że może ojciec jeszcze pracuje, starając się nadrobić zaległości w korespondencji, albo pod byle pozorem czeka na mnie, by wyrwać ze mnie cośkolwiek na temat mojego spotkania z Beą. Dostrzegłem sylwetkę układającą stos książek i rozpoznałem wychudzony i nerwowy profil Fermina, skupionego całkowicie na swojej pracy. Zapukałem w szybę. Fermín spojrział w okno mile zaskoczony i dał mi znak, żebym wszedł od zaplecza.

– Pan jeszcze pracuje, Ferminie? Strasznie już późno przecież.

– Tak po prawdzie to zabijałem czas, żeby później zajrzeć do biednego don Federica i przy nim posiedzieć. Ustaliliśmy z Eloyem, od optyka, że będziemy dyżurować przy nim, na zmiany. Ja i tak mało śpiam. Dwie, trzy godziny góra. Zresztą pan też nie lepszy. Już jest po północy, z czego wnoszę, iż pańskie spotkanie z dziewczyną zakończyło się pełnym sukcesem.

Wzruszyłem ramionami.

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem – przyznałem.

– A macał ją pan?

– Nie.

– Dobry znak. Niech pan nigdy nie ufa tym, które pozwalają się obmacywać na całego już przy pierwszym spotkaniu. Aczkolwiek jeszcze mniej należy ufać tym, które czekają na przyzwolenie swego księdza proboszcza. Polędwica, że posłużę się metaforą masarską, jest pośrodku. Jeśli tak się zdarzy, że okazja sama włazi w ręce, proszę nie robić z siebie świętoszka i jak najbardziej z tej okazji korzystać. Niemniej jeśli szuka pan czegoś naprawdę poważnego, tak jak moje uczucia względem Bernardy, wówczas proszę pamiętać o tej złotej regule.

– A pan i Bernarda to coś poważnego?

– To coś bardziej niż poważnego. To coś na wskroś duchowego. A

u pana względem owej miódki, Beatriz, jak? Bo że obdarzona jest wzorcowymi przymiotami korporalnymi, aż się rzuca w oczy, ale sedno pytania jest następujące: czy należy ona do tych, które rozkochują, czy też do tych, które oszałamiają trzewia pospolitsze?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparłem. – Wydaje mi się, że i jedno, i drugie.

– Panie Danielu, proszę zważyć, że to jest jak niestrawność. Czy czuje pan tu coś, u góry żołądka? Jakby połknął pan cegłę? Czy też czuje pan takie rozgorączkowanie?

– Raczej ta cegła – powiedziałem, choć i rozgorączkowania bym nie wykluczał.

– Wobec tego sprawa jest poważna. Niech Bóg ma pana w swojej opiece. Proszę, niech pan siądzie, a ja zaparzę lipy.

Przysiedliśmy przy stole na zapleczu księgarni, w otoczeniu książek i ciszy. Miasto spało i księgarnia zdawała się szalupą dryfującą po oceanie spokoju i cienia. Fermín podał mi dymiącą filiżankę i uśmiechnął się z niejakim zakłopotaniem. Coś chodziło mu po głowie.

– Czy mogę panu zadać pytanie natury osobistej, panie Danielu?

– Ależ oczywiście!

– Bardzo proszę o szczerą odpowiedź – powiedział i odchrząknął. – Czy sądzi pan, że mógłbym być jeszcze ojcem?

Widocznie musiał dostrzec zdziwienie w mojej twarzy, bo szybko pospieszył z wyjaśnieniami:

– Nie mam na myśli ojca biologicznego, bo i owszem, postury jestem raczej podłej, ale, Bogu dzięki, opatrność raczyła obdarzyć mnie potencją i męską furią byka rozplodowca. Mówię o innym rodzaju ojca. Takim dobrym ojcu, rozumie mnie pan.

– Dobrym ojcu?

– Tak. Takim jak pański. O mężczyźnie z głową, sercem i duszą. Mężczyźnie, który umie słuchać, prowadzić i szanować dziecko, a nie topić w nim własne wady. O kimś, kogo syn będzie kochać nie tylko dlatego, że to ojciec, ale i podziwiać będzie ze względu na to, jaką jest osobą, o kimś, do kogo będzie chciał być podobny.

– A dlaczego mnie pan o to pyta? Wydawało mi się, że nie wierzy pan w małżeństwo i w rodzinę. Jarzmo i tak dalej, pamięta pan?

Fermín przytaknął.

– Panie Danielu, zwykły dyletantyzm. Małżeństwo i rodzina są tylko i wyłącznie tym, co sami z nich czynimy. Bo inaczej stają się szopką hipokryzji. Rupieciarnią i gołosłowiem. Ale jeśli jest w tym prawdziwa miłość, o której się nie gada i nie rozgłasza na wszystkie strony świata, którą czuć i którą się okazuje...

– Nie poznaję pana, jakby był pan innym człowiekiem.

– Bo właśnie nim jestem. I to Bernardy zasługa, że pragnę być kimś lepszym, niż jestem.

– A dlaczego?

– Żeby na nią zasłużyć. Pan, Danielu, jest młody, więc tego teraz pan nie rozumie, ale z czasem zobaczy pan, jak ważną rzeczą jest nie to, co się daje, ale to, z czego się ustępuje. Rozmawialiśmy z Bernardą. To urodzona matka, dobrze pan o tym wie. Nie mówi o tym, ale wydaje mi się, że największym szczęściem, jakie mogłoby ją spotkać za życia, byłoby macierzyństwo. A ja do tej kobiety słabość mam większą niż do gruszek w syropie. Dość powiedzieć, że gotów jestem stanąć przed ołtarzem po trzydziestu dwu latach całkowitej abstynencji religijnej i wyśpiewać psalmy świętego Serafina lub zrobić dla niej każdą rzecz.

– Widzę właśnie, że jest pan gotów na wszystko, ale przecież poznał ją pan niedawno...

– Panie Danielu, w moim wieku człowiek albo wie, jak ma zagrać, albo ma już przejebane. To życie warto przeżyć dla trzech, może czterech rzeczy, reszta może posłużyć za nawóz na pole. Ja już zdążyłem narobić wiele głupstw, a teraz wiem, że zależy mi tylko na tym, żeby Bernarda była szczęśliwa i żebym mógł doczekać dnia, w którym wydam ostatnie tchnienie w jej ramionach. Chcę znowu być szanowanym człowiekiem, rozumie to pan, Danielu. I wcale nie ze względu na swoją osobę, bo jeśli o mnie chodzi, to szacunek tego całego chóru parafialnego, zwanego ludzkością, mam w głębokim poważaniu, ale ze względu na nią. Bo Bernarda w to wszystko wierzy, w radionowełe, w księży proboszczów, w szacunek i w Matkę Boską z Lourdes. Już taka jest, a ja kocham ją właśnie taką, i niech tylko ktoś mi spróbuje uszczknąć tych kilka włosków, które jej rosną na bródce. I dlatego chcę być kimś, z kogo ona będzie mogła być dumna. Chcę, żeby myślała: mój Fermín to kawał chłopca, jak Cary Grant,

Hemingway albo Manolete.

Założyłem ręce, usiłując zmierzyć się z problemem.

– I o tym wszystkim rozmawiał pan z Bernardą? O tym, że chce pan z nią mieć dziecko?

– Ależ skądże, na miłość boską. Za kogo mnie pan bierze? Naprawdę wierzy pan, że włóczę się po całym świecie i oświadczam babom, że mam ochotę zostawić je brzemiennymi? Jeśli o mnie chodzi, to proszę bardzo, pierwszy chętny, bo tej głupiej gąsce Mercedes mógłbym w tej chwili zmajstrować trojaczki i mieć jak u pana Boga za piecem, ale...

– Ale Bernarda zwierzyła się panu, że chce założyć rodzinę?

– Panie Danielu, tego się nie mówi. Po oczach to widać.

Przytaknąłem.

– W takim razie i o ile moje zdanie cośkolwiek może w tej sytuacji znaczyć, będzie pan wspaniałym ojcem i cudownym mężem. Nawet jeśli pan w to wszystko nie wierzy i nigdy to nie będzie dla pana oczywiste.

Twarz mu się rozpromieniła.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście.

– Zdejmuje mi pan z serca ogromny ciężar, bo wystarczy mi przywołać wspomnienie o moim rodzicielu i pomyśleć, że mógłbym dla kogoś stać się tym, kim on był dla mnie, by natychmiast ogarnęła mnie ochota, żeby poddać się zabiegowi sterylizacji.

– A dajże pan spokój, zresztą biorąc pod uwagę pański wigor rozrodczy, nie ma takiej siły, która by pana poskromiła.

– No tak, to prawda – zreflektował się. – No dobrze, starczy tego dobrego, proszę iść odpocząć, nie chcę pana dłużej zatrzymywać.

– Ależ nie zatrzymuje mnie pan. Odnoszę wrażenie, że oka dziś nie zmrużę.

– Przyzwyczajenie drugą naturą... A tak w ogóle, pamięta pan o tej skrytce pocztowej?

– A co, udało się panu coś ustalić?

– Przecież mówiłem panu, że wystarczy zostawić to mnie. Po południu, w porze obiadowej, udałem się na Poczta Główną i zamieniłem słówko ze starym pracującym tam znajomym. Skrytka

pocztowa o numerze dwa trzy dwa jeden założona jest na niejakiego Jose Maria Requejo, adwokata posiadającego kancelarię na ulicy Leona Trzynastego. Pozwoliłem sobie sprawdzić adres tegoż i wcale nie byłem zaskoczony, stwierdzając, że takowa kancelaria pod podanym adresem nie istnieje, aczkolwiek śmiem przypuszczać, że o tym już pan wie. Korespondencja adresowana na tę skrytkę odbierana jest od wielu lat przez tę samą osobę. A wiem o tym, ponieważ niektóre przesyłki, nadsyłane z jednego z biur pośrednictwa nieruchomości, są polecane i ich odbiór należy pokwitować i okazać dowód tożsamości.

– A kim jest ta osoba? To ktoś pracujący u adwokata Requejo? – spytałem.

– Tego nie zdołałem stwierdzić, ale śmiem wątpić. I albo mylę się bardzo, albo ów Requejo istnieje na tej samej zasadzie co Matka Boska Fatimska. Mogę jedynie ujawnić panu imię i nazwisko osoby odbierającej korespondencję: Nuria Monfort.

Zbladłem.

– Nuria Monfort? Jest pan tego pewien?

– Na własne oczy widziałem niektóre z tych pokwitowań. Na każdym z nich widniało imię i nazwisko oraz numer dowodu osobistego. Wnoszę z miny bliskiej puszczenia pawia, iż tą wiadomością jest pan całkowicie zaskoczony.

– Dosyć.

– Czy mogę zadać pytanie, kimże jest owa Nuria Monfort? Pracownik poczty, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że pamięta ją doskonale, bo zjawiała się tam parę tygodni temu, by odebrać korespondencję, i według jego bezstronnej opinii jest nieporównanie ładniejsza niż Wenus z Milo, i ma jędrniejsze piersi. A ja wierzę w jego ocenę, bo przed wojną był docentem estetyki, ale zważywszy, że jest dalekim kuzynem socjalisty Largo Caballero, teraz oczywiście liże znaczki pocztowe z odpowiednią podobizną...

– Dziś widziałem się z tą kobietą u niej w domu – wyszeptałem.

Fermín patrzył na mnie zbity z tropu.

– Z Nurią Monfort? Podejrzewam, że mocno się omyliłem co do pańskiej osoby, Danielu. Jest pan po prostu najautentyczniejszą hulaką.

– To nie jest to, co pan myśli, panie Ferminie.

– A to szkoda, pańska strata. Ja w pańskim wieku zachowywałem się jak ten sklep całodobowy na rogu: z rana, w południe czy w nocy zawsze możesz do nas wskoczyć.

Przyjrzałem się temu chudemu, kościstemu i tak drobnemu człowieczkowi, że wydawał się przyklejony do swego wydatnego nosa i żółtawego czoła, i uświadomiłem sobie, że staje się on moim najlepszym przyjacielem.

– Mogę coś panu opowiedzieć? Coś, co mi chodzi po głowie już od jakiegoś czasu.

– Ależ jak najbardziej. Śmiało. A tym bardziej jeśli to rzecz mało wybredna i ma jakiś związek z ową kobitą.

Po raz drugi tej nocy przystąpiłem do zrelacjonowania historii Juliana Caraxa i zagadki jego śmierci. Fermín słuchał z najwyższą uwagą, notując coś w swoim zeszycie i od czasu do czasu przerywając mi, by zapytać o jakiś szczegół, którego znaczenie umykało mej uwadze. Im bardziej słuchałem samego siebie, tym więcej luk uświadamiałem sobie w tej historii. Nie raz i nie dwa gmatwało mi się wszystko, bo dojść nie mogłem powodów, dla których Nuria Monfort mnie okłamała. Co kryło się za tym, że przez lata, być może, odbierała korespondencję adresowaną na nieistniejącą kancelarię adwokacką, która przypuszczalnie zajmowała się mieszkaniem rodziny Fortuny – Carax na San Antonio? Nie zdawałem sobie sprawy, że swoje wątpliwości formułuję na głos.

– Trudno nam na razie stwierdzić, dlaczego ta kobieta pana okłamała – powiedział Fermín. – Niemniej możemy odważyć się na postawienie hipotezy, iż jeśli uczyniła to z jakiegoś względu, to równie dobrze mogła to uczynić i przypuszczalnie uczyniła z wielu innych względów.

Westchnąłem, czując całkowity zamęt w głowie.

– Co pan radzi?

Fermín Romero de Torres westchnął, przybrawszy minę mędrca od siedmiu boleści.

– Powiem panu, co możemy zrobić. W najbliższą niedzielę, o ile nie będzie pan miał nic przeciwko temu, wpadniemy jak gdyby nigdy nic do szkoły i spróbujemy dowiedzieć się czegoś o początkach

przyjaźni między tym Caraxem i tym drugim chłopakiem, tym bogaczem...

– Aldayą.

– Jeśli chodzi o księży, to nawiązuję z nimi świetny kontakt, sam pan zobaczy, może i z racji tej mojej gęby franciszkanina gołodupca. Parę miłych słówek i już mi jedzą z ręki.

– To znaczy?

– Człowieku! Zapewniam pana, że śpiewać nam będą jak na mszy.

Sobotę spędziłem jak w transie, uwiązany do kontuaru księgarni, z nadzieją, że nagle, jak za czarodziejskim zaklęciem, ujrzę wchodzącą przez drzwi Beę. Na każdy dźwięk dzwonka telefonicznego rzucałem się biegiem do aparatu, wyrywając niemal słuchawkę ojcu lub Ferminowi. Wczesnym popołudniem, po odebraniu dwudziestki telefonów od klientów i ani jednego od Bei, zacząłem godzić się z tym, że świat i moja nędzna egzystencja dobiegały już kresu. Ojciec wyszedł, by oszacować jakąś kolekcję na San Gervasio, a Fermín wykorzystał sytuację, by udzielić mi kolejnej pouczającej lekcji, wprowadzającej mnie w zawilości miłosnych intryg.

– Proszę się uspokoić, bo w przeciwnym razie gotów jest pan sobie w wątrobie kamień wyhodować – poradził mi. – Zaloty są jak tango: czysty absurd i same esy – floresy. Ale to pan jest mężczyzną i na pana spada obowiązek podjęcia inicjatywy.

Zaczynało to brzmieć dość ponuro.

– Podjęcie inicjatywy? Ja?

– A co pan chciał? Nabycie prawa szczania na stojąco musi swoje kosztować.

– Ale Bea dała mi do zrozumienia, że sama da mi znać.

– Nie masz pan najmniejszego pojęcia o kobietach. Założę się, że to dziewczę wygląda teraz tęsknie w stylu Damy Kameliowej przez okno swego pokoju, wyczekując pana, by uwolnił ją pan z rąk ojca okrutnika i pociągnął ze sobą w wir wyuzdania i grzechu.

– Serio pan mówi?

– Sprawdzone i udowodnione.

– A jeśli postanowiła, że na oczy już mnie więcej nie chce widzieć?

– Panie Danielu! Kobiety, prócz beznadziejnych przypadków, jak nie przymierzając pańska sąsiadka Merceditas, obdarzone są znacznie większą inteligencją niż my, a przynajmniej są bardziej szczerze wobec samych siebie względem tego, czego naprawdę chcą, a czego nie chcą.

Inna sprawa, czy komuś o tym mówią. Staje pan wobec zagadki samej natury, panie Danielu. Femina, Babel i labirynt. Jeśli dopuści pan, by się zaczęła zastanawiać, jest pan zgubiony. Proszę pamiętać: gorące serce, chłodny rozum. Kodeks uwodziciela.

Fermín przystępował już do szczegółowego omówienia pewnych swoistości i technicznych aspektów sztuki uwodzenia, kiedy rozległ się dzwoneczek przy drzwiach i w progu stanął mój przyjaciel Tomás Aguilar. Serce mi zakołatało. Opatrzność odmawiała mi Bei, ale przysyłała mi jej brata. Nieszczęsny posłaniec, pomyślałem. Na chmurnej twarzy Tomasa rysował się wyraz przygnębienia.

– Nie powiem, żeby wkraczał pan w nasze progi lekko i radośnie, don Tomás – zauważył Fermín. – Ale małej czarnej nam pan nie odmówi, nieprawdaż?

– Nie powiem nie – odparł Tomás z właściwą sobie rezerwą.

Fermín przystąpił do zaserwowania mu filiżanki mikstury trzymanej w termosie, z którego wydobywał się aromat podejrzanie bliższy jerezowi niż kawie.

– Coś się stało? – zapytałem.

Tomás wzruszył ramionami.

– Nic nowego. Ojciec wstał dziś lewą nogą, wołałem więc wyjść i odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

Przełknąłem ślinę.

– A co się stało?

– A skąd mogę wiedzieć? Wczoraj w nocy moja siostra wróciła do domu Bóg wie o której godzinie. Ojciec czekał na nią, jak zwykle trochę podchmielony. Nie chciała mu powiedzieć, skąd wraca ani z kim była, i ojciec wpadł we wściekłość. Do czwartej rano wrzeszczał na nią, wyzywał od najgorszych, delikatnie mówiąc, pomstował, że wyśle ją do klasztoru, na zakonnice, i że jeśli zajdzie w ciążę, to wyrzuci ją na zbity pysk jak ostatnią kurwę.

Fermín spojrzał na mnie z przerażeniem. Poczułem, jak spływające mi po plecach krople potu gwałtownie stygną.

– A dziś rano – ciągnął Tomás – Bea zamknęła się w swoim pokoju i nie wychodzi. Ojciec z kolei rozsiadł się w bawialni, czyta na okrągło „ABC” i słucha zarzuel w radiu na cały regulator. W przerwie między pierwszym a drugim aktem *Luisy Fernandy* uciekłem, bo już

byłem bliski obłądu.

– No, ale najpewniej pańska siostra była z narzeczoną, nie? – z głupia frant zapytał Fermín. – Logiczne, nie?

Usiłowałem za kontuarem kopnąć go w kostkę, ale zdołał się zręcznie wywinąć.

– Jej narzeczony odbywa służbę wojskową – wyjaśnił Tomás . – Przepustkę dostanie dopiero za parę tygodni. A poza tym jak z nim wychodzi, to wraca do domu o ósmej, najpóźniej.

– A pan nie domyśla się, gdzie była i z kim?

– Przecież już mówił, że nie ma pojęcia. – Próbowałem za wszelką cenę zmienić temat.

– A pański ojciec też nie ma pojęcia? – nie ustępował Fermín, setnie się bawiąc zaistniałą sytuacją.

– Nie, ale poprzysiągł, że się dowie i że nogi z dupy powyrywa temu, kto okaże się tym skurwysynem, i z twarzy zrobi mu krwawą miazgę.

Poczułem, że robię się siny na twarzy. Fermín bez namysłu podał mi filiżankę swego napitku. Wypiłem jednym haustem. Smakowało ciepłą naftą. Tomás przyglądał mi się w milczeniu nieprzejrzanym i mrocznym wzrokiem.

– Czy panowie słyszeli? – zapytał niespodziewanie Fermín. – Tak jakby odgłos dubeltowego salto mortale.

– Nie.

– To trzewia unizonego sługi. Bo proszę sobie wyobrazić, że ogarnął mnie tak nagły głód, że... nie pogniewacie się, panowie, że na czas jakiś opuszczę panów i podskoczę do piekarni; może jeszcze uda mi się jakąś drożdżóweczkę dostać. Że nie wspomnę o tej nowej ekspedientce, dopiero co przybyłej z Reus, palce lizać i czekać na więcej. Nazywa się Maria Virtudes, ale z virtuti to chyba jej nic nie zostało... A przy okazji będą mogli panowie swobodnie porozmawiać o poruszających panów problemach.

W mgnieniu oka Fermín zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pędząc w poszukiwaniu swego podwieczorku i nimfetki. Tomás i ja zostaliśmy sami, dryfując w milczeniu, które zapowiadało się na cenniejsze od federalnych rezerw złota.

– Tomás – zacząłem pomimo straszliwej suchości w ustach. –

Wczoraj w nocy twoja siostra była ze mną.

Przyglądał mi się nieomal bez mrugnięcia okiem. Przełknąłem ślinę.

– Powiedz coś – wykrztusiłem.

– Upadłeś na głowę.

Przez minutę dobiegał uliczny szmer. Tomás trzymał swoją kawę w stanie nietkniętym.

– To z twojej strony poważna sprawa?

– Widziałem się z nią tylko raz.

– To żadna odpowiedź.

– A to bardzo ważne dla ciebie?

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, co robisz. Przestałbyś się z nią widywać tylko dlatego, że ja bym cię o to poprosił?

– Tak – skłamałem. – Ale nie proś mnie o to.

Tomás spuścił głowę.

– Nie znasz Bei – wyszeptał.

Nie odpowiedziałem. Pozwoliliśmy upływać minutom, słowem się nie odzywając, patrząc na szare postaci przyglądające się oknu wystawowemu i modląc się, by któraś z nich odważyła się wejść i zdjęła z nas ten zły czar milczenia. W końcu Tomás odstawił filiżankę na kontuar i skierował się ku drzwiom.

– Idziesz już?

Przytaknął.

– Może byśmy jutro się spotkali? – zapytałem. – Moglibyśmy pójść do kina, z Ferminem, jak kiedyś.

Zatrzymał się przy wejściu.

– Tylko raz cię o to poproszę. Nie wyrządź krzywdy mojej siostrze.

Wychodząc, wpadł na Fermina, taszczącego torbę wonnych słodkości prosto z pieca. Fermín obejrzał się za nim, by zobaczyć, jak kręcąc głową, znika w mroku. Postawił torbę na kontuarze i wyciągnął z niej świeżutką ensaimadę. Odmówiłem. Nie byłbym w stanie przełknąć nawet aspiryny.

– Przejdzie mu, spokojnie, sam pan zobaczy. Między przyjaciółmi to normalne.

– Sam nie wiem – wyszeptałem.

Spotkaliśmy się w niedzielę o wpół do ósmej rano w kawiarni Canaletas, gdzie Fermín zaprosił mnie na kawę z mlekiem i pączki, których świeżość nasuwała raczej skojarzenia z pumeksem. Usługiwał nam kelner ze znaczkiem Falangi w klapie i z przyczernionym wąsikiem. Nieustannie nucił, a gdy zapytaliśmy go o przyczynę tak wspaniałego humoru, wyjaśnił nam, że wczoraj został ojcem. Kiedy pogratulowaliśmy mu, natychmiast zaczął częstować nas cygarami Faria, byśmy zapalili je sobie w ciągu dnia za zdrowie jego pierworodnego. Przynakliśmy mu, że oczywiście spełnimy jego życzenie. Fermín zerkał nań kątem oka, marszcząc brwi; zacząłem podejrzewać, że coś knuje.

Podczas śniadania przystąpił do inauguracji sesji detektywistycznej, prezentując ogólny zarys zagadki.

– Wszystko zaczyna się od zwykłej przyjaźni pomiędzy dwoma chłopcami, Julianem Caraxem i Jorge Aldayą, kolegami z tej samej klasy, tak jak don Tomás i pan. Przez lata wszystko układa się dobrze. Nierozłączni przyjaciele, a przed nimi całe życie. Niemniej w pewnym momencie dochodzi do jakiegoś konfliktu, który tę przyjaźń niszczy. Parafrazując salonowych dramaturgów – konflikt ma postać kobiety, której na imię Penélope. Bardzo to homeryckie. Podążasz pan za myślą?

Jedyne, co mi przyszło na myśl, to ostatnie słowa Tomasa Aguilara zeszłego wieczoru, w księgarni: „Nie wyrządź krzywdy mojej siostrze”. Poczulem, że zbiera mi się na mdłości.

– W roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym Julián Carax wyjeżdża do Paryża niczym najpospolitszy Odyseusz – kontynuował Fermín. – Z podpisanego przez Penélope listu, którego Julián nigdy nie otrzymał, wynika, że w tym czasie dziewczyna więziona jest, z mało jasnych przyczyn, przez własną rodzinę w swoim własnym domu, a przyjaźń Aldayi i Caraxa należy już do przeszłości. Nie dość

na tym, bo Penélope donosi nam, iż jej brat Jorge poprzysiągł sobie, że jeśli napotka swego dawnego przyjaciela Juliana, to go zabije. Mocne słowa jak na koniec przyjaźni. Nie trzeba być Pasteurem, by wywnioskować, że konflikt jest bezpośrednią konsekwencją związku pomiędzy Penélope a Caraxem.

Zimny pot pokrył moje czoło. Czułem, jak kawa z mlekiem i cztery kęsy, które zdołałem jakoś przełknąć, stają mi w gardle i cofają się.

– Niemniej powinniśmy suponować, że Carax nigdy nie dowiedział się, co przydarzyło się Penélope, bo list nie dochodzi do jego rąk. On sam niknie w mgłach Paryża, gdzie wieść będzie żywot ni to pianisty w jakimś varietes, ni to zapoznanego powieściopisarza, doznającego samych literackich klęsk. Te lata w Paryżu to tajemnica. Jedyne ślady po nich to zapomniane i przypuszczalnie zagubione dzieła. Wiemy, że w pewnej chwili postanawia zawrzeć związek małżeński z zagadkową i majątną damą, dwukrotnie od niego starszą. Charakter tego małżeństwa, jeśli wierzyć świadectwom, wydaje się wskazywać raczej na swoisty akt miłosierdzia lub przyjaźni ze strony chorej damy niż na romantyczny poryw. Najwidoczniej protektorka, w obawie o przyszłość ekonomiczną swego protegowanego, postanawia powierzyć mu swoją fortunę i pożegnać się z tym światem cielesną kotłowaniną ku jeszcze większej chwale mecenatu sztuki. Tacy już są paryżanie.

– A może to była prawdziwa miłość? – próbowałem zaoponować zduszonym głosem.

– Dobrze się pan czuje? Coś pan nadto blady i spływa pan potem.

– Czuję się doskonale – skłamałem.

– Do czego zmierzam. Miłość jest jak wędlna: jest salami i jest mortadela. Wszystko ma właściwe sobie miejsce i funkcję. Carax wyznał, że nie czuje się godny jakiegokolwiek miłości, i jest faktem, że nie mamy żadnej informacji o jakimkolwiek jego romansie w okresie pobytu w Paryżu. Jasne, że praca w domu schadzek umożliwia zaspokajanie elementarnego ferworu instynktów, a to dzięki fraternizacji zatrudnionego tam personelu, jakby chodziło o otrzymanie jakiegoś bonusu lub też, lepiej powiedziawszy, trafienia wygranej na bożonarodzeniowej loterii. Ale to czyste spekulacje. Wróćmy do momentu, kiedy to zostaje zapowiedziany ślub Caraxa i jego protektorki. To wówczas znów pojawia się Jorge Aldaya na mapie

tej mrocznej sprawy. Wiemy, że nawiązuje kontakt z wydawcą Caraxa w Barcelonie, by zdobyć informacje o miejscu jego pobytu. Nieco później, w dniu swego ślubu, Julián Carax pojedynkuje się rano z kimś na cmentarzu Père – Lachaise, po czym znika. Do ślubu nigdy nie dochodzi. Od tego momentu wiemy tyle co nic.

Fermín dramatycznie zawiesił głos i skierował ku mnie swe wysoce tajemnicze spojrzenie.

– Przypuszczalnie Carax przekracza granicę i wykazując raz jeszcze swe przysłowiowe wyczucie chwili, powraca do Barcelony w roku trzydziestym szóstym, dokładnie w momencie wybuchu wojny domowej. Niewiele wiemy o tym, co robi i gdzie przebywa w Barcelonie w owym czasie. Przypuszczamy, że przebywa w mieście przez miesiąc i że przez ten czas nie nawiązuje żadnego kontaktu ze swymi znajomymi. Nawet z ojcem czy z Nurią Monfort. Nieco później zostaje odnaleziony martwy, zamordowany jednym celnym strzałem. Niebawem pojawia się i daje o sobie znać ponura postać, przedstawiająca się jako Lam Coubert, zapożyczając to imię i nazwisko od jednego z bohaterów ostatniej powieści Caraxa, nomen omen będącego samym księciem piekieł. Ów domniemany czart okazuje się gotów wymazać z powierzchni resztki tego, co pozostało po Caraksie, i zniszczyć jego książki na zawsze. Żeby dopełnić cały ten melodramat, pojawia się jako człowiek pozbawiony twarzy, zniekształconej w wyniku poparzenia. Czarny charakter, jakby prosto wzięty z gotyckiego wodewilu, złoczyńca, w którym, na domiar złego, Nuri Monfort wydaje się, iż rozpoznaje głos Jorge Aldayi.

– Pragnę przypomnieć, że Nuria Monfort okłamała mnie – powiedziałem.

– To prawda, ale równie dobrze Nuria Monfort raczej nie powiedziała panu wszystkiego albo chciała zapomnieć o pewnych faktach. Niewiele jest powodów, żeby mówić prawdę, za to jest ich bez liku, żeby kłamać... Na pewno czuje się pan dobrze? Bo twarz ma pan barwy lekko nieświeżego twarożku.

Pokręciłem głową i natychmiast pobiegłem do toalety.

Zwróciłem śniadanie, kolację i sporą dawkę nagromadzonej w sobie złości. Przemyłem twarz lodowatą wodą i przyjrzałem się swemu odbiciu w zmatowiałym lustrze, na którym ktoś napisał

woskową kredką: „Girón skurwysyn”. Wróciwszy na salę, spostrzegłem, że Fermín stoi już przy barze, płaci rachunek i dyskutuje o futbolu z kelnerem, który nam usługiwał.

– Lepiej? – zapytał.

Przytaknąłem.

– To spadek ciśnienia – stwierdził Fermín. – Proszę się poczęstować sugusem; to lekarstwo na wszystko.

Po wyjściu z kawiarni uparł się, żebyśmy dziś zapomnieli o metrze i do szkoły pojechali taksówką, argumentując, że dzień mamy piękny jak nigdy, a tunele dobre są dla szczurów.

– Taksówka na Sarria będzie kosztować majątek – oponowałem.

– Mamy sponsora w postaci kasy oszczędności kretynów – uciał dyskusję Fermín. – Nasz wielce patriotyczno – ideologiczny kelner pieprzył się przy wydawaniu reszty, więc na śniadaniu jeszcze zarobiliśmy. A pan jest w stanie nienadającym się do podziemnych wojaży.

Zasobniejsi o zdobyte nieuczciwie fundusze, stanęliśmy na rogu przy Rambla de Cataluña, czekając na wolną taksówkę. Ale musieliśmy kilka przepuścić, Fermín oświadczył bowiem, że jeśli już nadarza mu się sposobność przejażdżki samochodem, to niech to będzie przynajmniej studebaker. Straciliśmy co najmniej kwadrans, zanim pojawiła się taksówka spełniająca jego oczekiwania. Fermín natychmiast zaczął ją zatrzymywać, wymachując teatralnie rękami. Z satysfakcją zajął miejsce z przodu, co stworzyło mu sprzyjające warunki, by od razu wdać się w dysputę z taksówkarzem na temat wywiezionego do Moskwy w czasie wojny złota i Józefa Stalina, idola i przewodnika duchowego kierowcy.

– Trzy wielkie postaci żyły w tym wieku: przewodnicząca Dolores Ibarruri, toreador Manolete i Józef Stalin – ogłosił ni stąd, ni zowąd taksówkarz, gotów uraczyć nas szczegółową hagiografią znamienitego towarzysza.

Rozparłem się wygodnie na tylnym siedzeniu, przy otwartym okienku, ciesząc się owiewającym mnie wiatrem, i nie zwracałem uwagi na perory – Fermín, wniebowzięty z powodu jazdy w studebakerze, podpuszczał kierowcę, od czasu do czasu punktując uwagami o wątpliwej wadze historiograficznej wruszający portret

sowieckiego przywódcy, malowany słowem przez barcelońskiego taksówkarza.

– O ile mi wiadomo, cierpi on niezmiernie na prostatę, od momentu, kiedy udławił się pestką owocu głogu, w wyniku czego mocz oddaje jedynie wtedy, gdy nuci mu się Międzynarodówkę – rzucił od niechcenia Fermín.

– Faszystowska propaganda – wyjaśnił taksówkarz z jeszcze większym oddaniem. – Towarzysz Stalin szcza jak nikt. Niejedna rzeka z Wołgą na czele życzyłaby sobie takiego dopływu.

Debata polityczna towarzyszyła nam przez całą Via Augusta ku wyższej części miasta. Dzień się przejaśniał, a chłodna bryza nakryła niebo krzykliwym błękitem. Dojechawszy do ulicy Ganduxer, kierowca skręcił w prawo i zaczęliśmy zmusznie wspinać się ku alei Bonanova.

Szkoła San Gabriel wznosiła się w środku pokrytej drzewami alei w wąskiej i wznoszącej się serpentynami od Bonanova uliczce. Fasada, cała pokryta długimi i wąskimi jak sztylety oknami, sugerowała profil gotyckiego pałacu wybudowanego z czerwonej cegły, zawieszzonego na łukach i wieżyczkach, wychylających się ponad koronami kasztanowców w katedralne sklepienia. Zwolniliśmy taksówkę i zagłębiliśmy się w gęstwinę ogrodu, pokrytego kamiennymi ścieżkami, pełzającymi pomiędzy drzewami i fontannami, z których wylaniały się zielone od mchu cherubiny. W drodze do głównego wejścia Fermín zaczął, swoim zwyczajem, zarysowywać dzieje instytucji, oferując mi wykład z zakresu historii społecznej.

– Aczkolwiek może się panu kojarzyć z mauzoleum Rasputina, gimnazjum San Gabriel było w swoim czasie jedną z najbardziej prestiżowych i najekskluzywniejszych instytucji Barcelony. W czasach Republiki straciło nieco na znaczeniu, gdyż ówcześni nowobogacy, nowi przemysłowcy i bankierzy, których potomkom przez lata odmawiano przyjęcia, bo ich nazwiska brzmiały zbyt nowo, postanowili stworzyć własne szkoły, gdzie traktowano by ich z szacunkiem, a oni mogliby odmawiać przyjęcia potomkom tych innych. Pieniądz jest jak każdy inny wirus: przeżarłszy duszę, w której zagościł, odchodzi w poszukiwaniu świeżej krwi. Na tym świecie

nazwisko trwa krócej niż potrzeba na zjedzenie garści pestek słonecznika. W czasach swej świetności, powiedzmy, między tysiąc osiemset osiemdziesiątym a dziewięćset trzydziestym, mniej więcej, gimnazjum San Gabriel przyjmowało śmietankę paniczyków z rodowodami pokrytymi już patyną wieków i trzosami dźwięczącymi jak największe dzwony. Potomkowie Aldayów et consortes przybywali w to ponure miejsce funkcjonujące jako internat, by tu bratać się z sobie podobnymi, słuchać mszy i uczyć się historii, by móc ją powtarzać ad nauseam.

– Ale przecież Julián Carax nie był jednym z nich – przerwałem mu.

– No cóż, zdarza się, iż te przewspaniałe instytucje oferują jedno lub dwa stypendia dla synów swego ogrodnika lub czyścibuta, by w ten sposób okazać swą duchową wielkość i chrześcijańską szczodrość – odparł Fermín. – Najskuteczniej obłaskawia się biedaków, ucząc ich małpowania bogatych. Oto trucizna, dzięki której kapitalizm oślepia...

– Niech pan da spokój z wygłaszaniem teraz swej doktryny społecznej, bo jak to usłyszy jeden z tych ojczulków, to wyrzucą nas stąd na zbity pysk – uciałem, spostrzegając na szczycie schodów prowadzących do głównego wejścia dwóch duchownych przyglądających nam się z zainteresowaniem, ale i z pewną nieufnością, co budziło obawę, czy przypadkiem nie słyszeli ostatnich słów.

Jeden z nich ruszył ku nam, uśmiechając się kurtuazyjnie i w biskupim geście krzyżując ręce na piersiach. Mógł już mieć około pięćdziesiątki, a jego chuda sylwetka i przerzedzone włosy sprawiały, iż upodobniał się do drapieżnego ptaka. Spojrzenie miał przenikliwe, bił od niego zapach wody kolońskiej i naftaliny.

– Dzień dobry. Jestem ojciec Fernando Ramos – przedstawił się. – Czym mogę służyć panom?

Fermín wyciągnął rękę, której ksiądz, osłaniając się tarczą lodowatego uśmiechu, wpierszył się przyjrzał, a dopiero później uścisnął.

– Fermín Romero de Torres, doradca bibliograficzny firmy Sempere i Synowie, prawdziwy to dla mnie zaszczyt poznać przenabożną ekscelencję. Ten po lewicy mej zaś to mój

współpracownik i, śmiem twierdzić, przyjaciel zarazem, Daniel, młodzieniec z przyszłością, cieszący się uznaną reputacją dobrego chrześcijanina.

Ojciec Fernando przyglądał nam się bez zmrużenia powiek. Ja miałem nadzieję, że ziemia mnie pochłonie.

– To ja czuję się zaszczycony, panie Romero de Torres – odparł serdecznie. – Czy nie będzie zbyt dużą śmiałością z mej strony, jeśli spytam, czemu skromne progi naszej instytucji zawdzięczają wizytę tak znamienitych gości?

Postanowiłem interweniować, zanim Fermín popełni wobec duchownej osoby kolejną gafę, w wyniku której musielibyśmy salwować się ucieczką.

– Ojciec Fernando, szukamy kontaktu z dwoma byłymi uczniami szkoły San Gabriel: z Jorge Aldayą i Julianem Caraxem.

Ojciec Fernando zacisnął wargi i uniósł jedną z brwi.

– Julián zmarł ponad piętnaście lat temu, Aldaya zaś wyjechał do Argentyny – rzekł sucho.

– A znał ich ksiądz?

Nim usłyszeliśmy odpowiedź, czujny wzrok duchownego spoczął na każdym z nas z osobna.

– Byliście kolegami z klasy. A mogę wiedzieć, skąd panów zainteresowanie nimi?

Zastanawiałem się nad odpowiedzią, ale ubiegł mnie Fermín.

– Tak się złożyło, że w naszym posiadaniu znalazło się kilka obiektów, które były lub też – ustawodawstwo nie wypowiada się w tej kwestii jednoznacznie – są własnością obu wspomnianych panów.

– A jaka jest natura owych obiektów, jeśli można zapytać?

– Błagam waszą miłość o przystanie na milczenie z naszej strony, bo jak mi Bóg miły, nie brak w tej materii racji, związanych z drażliwym sumieniem i dochowaniem tajemnic, ale nie mają one najmniejszego związku z daleko idącym zaufaniem, na jakie wasza ekscelencja i reguła, którą z taką prawością i nabożnością ojciec reprezentuje, z naszej strony zasługuje – wystrzelił jednym tchem Fermín.

Ojciec Fernando patrzył nań bliski już zauroczenia. Postanowiłem przejąć ponownie inicjatywę, zanim Fermín złapie oddech.

– Artykuły, o których wspomina pan Romero de Torres, są natury wybitnie rodzinnej, to pamiątki i przedmioty o wartości wyłącznie sentymentalnej. A my mielibyśmy tylko prośbę: czy mógłby nam ojciec, o ile nie sprawi to ojcu kłopotu, podzielić się swoimi szkolnymi wspomnieniami o Julianie i Aldayi?

Ojciec Fernando wciąż przyglądał się nam z rezerwą. Było dla mnie oczywiste, że dotychczasowe wywody, usprawiedliwiające naszą obecność, i próby zdobycia jego zaufania niezupełnie go przekonują. Posłałem Ferminowi błagalne spojrzenie, by wymyślił coś, co pomogłoby nam pokonać opory księdza.

– A wie pan, że jest pan trochę podobny do młodego Juliana? – niespodziewanie zapytał ojciec Fernando.

Dojrzałem błysk w oczach Fermina. Zaczyna się, pomyślałem. Stawiamy wszystko na tę jedną kartę.

– Pozazdrościć oka waszej wielebności – oświadczył Fermín, udając zdziwienie. – Spostrzegawczość księdza zdemaskowała nas bezlitośnie. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że czeka księdza co najmniej kardynalski kapelus, a i tiara papieska by mnie nie zdziwiła.

– Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli.

– A czy wspomniana przez księdza oczywistość nie rzuca się wprost w oczy?

– Żeby być szczerym, nie bardzo.

– Możemy liczyć na tajemnicę spowiedzi??

– Jesteśmy w ogrodzie, nie w konfesjonale.

– Wystarczy nam eklezjastyczna dyskrecja księdza.

– Tę mogę panom zapewnić.

Fermín głęboko westchnął i spojrzał na mnie pełnym melancholii wzrokiem.

– Danielu, nie możemy już dalej okłamywać tego świątobliwego Chrystusowego żołnierza.

– Oczywiście, że nie możemy... – wymamrotałem całkiem pogubiony.

Fermín podszedł do duchownego i niemal szeptem, konfidencjonalnym tonem wyznał:

– Pater, mamy solidne, niewzruszone właściwie, podstawy, by domniemywać, iż obecny tu i drogi naszemu sercu przyjaciel Daniel

jest właściwie sekretnym synem zmarłego Juliana Caraxa. Stąd, rzecz prosta, nasze szczególne zainteresowanie, by odtworzyć jego przeszłość i odzyskać pamięć o nieobecnej znamienitości, której Parka nie dozwoliła kroczyć u boku biednej dziewczyny.

Ojciec Fernando wbił we mnie oczy pełne niemego zdziwienia.

– To prawda?

Przytaknąłem. Fermín poklepał mnie po plecach, gestem pełnym przygnębienia i współczucia.

– Niech ksiądz popatrzy: biedaczysko, szukające swego rodziciela zagubionego w mgławicach pamięci. Czyż istnieje coś równie smutnego? Niech wasza łaskawość sam powie.

– A mają panowie dowody, potwierdzające te słowa?

Fermín chwycił mnie za podbródek i w odpowiedzi posłużył się moją twarzą.

– A czyż może być większy, proszę księdza dobrodzieja, dowód od tej twarzyczki, niemego, ale jakżeż wiarygodnego świadka powołania do życia progenitury w niniejszej sprawie?

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

– Pomoże mi ksiądz, prawda? – odezwałem się obłudnie błagalnym tonem. – Proszę...

Ojciec Fernando westchnął ciężko, zakłopotany.

– Nic złego chyba w tym nie ma, jak sądzę – powiedział w końcu. – Co panowie chcą wiedzieć?

– Wszystko – odparł Fermín.

Ojciec Fernando snuł swoje wspomnienia niemal tak, jakby wygłaszał homilię. Konstruował przejrzyste i mistrzowsko zwięzłe zdania, nadając im kadencję, zdającą się zapowiadać rychły morał, który jednak się nie pojawiał. Lata pracy w szkole wyrobiły w nim ów zdecydowany i dydaktyczny ton kogoś przyzwyczajonego do tego, iż się go słucha, ale zarazem zastanawiającego się, czy jest wysłuchiwany.

– O ile mnie pamięć nie zawodzi, Julián Carax został przyjęty w poczet uczniów szkoły San Gabriel w roku tysiąc dziewięćset czternastym. Od razu wzbudził moją sympatię, obaj bowiem należeliśmy do niewielkiej grupy uczniów niepochozących z rodzin zamożnych. Przezywano nas oddziałem Porządných. Każdy z nas miał swą własną historię. Ja zdobyłem tu miejsce ze stypendium dzięki mojemu ojcu, który przez dwadzieścia pięć lat pracował w kuchni tego zakładu. Za Julianem wstawił się pan Aldaya, klient firmy kapeluszniczej Fortuny, należącej do ojca Juliana. To były, rzecz jasna, inne czasy, rzeczywistą władzę skupiały w rękach rody i rodowe dynastie. Ten świat już nie istnieje, resztki tego świata zmiotła z ziemi Republika, z pożytkiem dla wszystkich, moim zdaniem, a jedyną pozostałością po nim są nazwiska widniejące na papierze firmowym przedsiębiorców, banków i bezpostaciowych konsorcjów. Jak wszystkie stare miasta, Barcelona jest zbiorowiskiem ruin. Wielka sława, którymi wielu się chełpi, pałace, fabryki i zabytki, symbole, z którymi się utożsamiamy, wszystko to proch i marność jedynie, relikwie nieistniejącej już cywilizacji.

Dotarłszy do tego miejsca, ojciec Fernando zawiesił uroczyście głos, tak jakby czekał na odpowiedź kongregacji po łacinie lub brewiarzowy respons.

– I niech przewiełbny ojciec powie amen, amen i po trzykroć amen, boć to najprawdziwsza prawda – wykrzyknął Fermín, by

przerwać krępującą ciszę.

– Mówił ksiądz o pierwszym roku mego ojca w szkole – delikatnie przypominałem.

Ojciec Fernando przytaknął głową raz i drugi.

– Już wówczas używał wyłącznie nazwiska Carax, choć właściwiej byłoby używać pierwszego członu – Fortuny. Z początku z tego powodu był dla niektórych obiektem kpin. Kpili też z niego z powodu przynależenia do Porządnych, rzecz jasna. Ze mnie też drwiono, bo byłem synem kucharza. Tak to już jest z dziećmi. Bóg napełnia ich serca dobrocią, ale powtarzają to, co usłyszą w domu.

– Aniołeczki – przytaknął Fermín.

– A mój ojciec? Co ksiądz pamięta?

– No cóż, to było tak dawno temu... Największym przyjacielem pańskiego ojca był wówczas nie Jorge Aldaya, ale chłopiec, który nazywał się Miquel Moliner. Miquel pochodził z rodziny niemal tak zamożnej jak Aldayowie i odważyłbym się nawet powiedzieć, że był najbardziej ekstrawaganckim uczniem, jaki pojawił się w murach tej szkoły. Ksiądz rektor miał go nawet za opętanego, bo recytował Marksa po niemiecku podczas mszy.

– Nieomylna oznaka opętania – przytaknął Fermín.

– Miquel i Julián świetnie się rozumieli. Często, w czasie dużej przerwy, w południe, zbieraliśmy się w trójkę i Julián wyjaśniał nam różne sprawy. Opowiadał też o swojej rodzinie i o Aldayach...

Ksiądz przerwał na chwilę, jakby nie był pewien własnych słów.

– Jeszcze po ukończeniu szkoły utrzymywaliśmy z Miquelem przez jakiś czas kontakt. Julián wyjechał już do Paryża. Wiem, że Miquelowi bardzo go brakowało; często go wspominał, przywoływał nawet niektóre sekrety, z jakich Julián zwierzał mu się w swoim czasie. Później, kiedy wstąpiłem już do seminarium, Miquel stwierdził, że przeszedłem do obozu wroga, żartem to powiedział, niemniej straciliśmy kontakt ze sobą.

– A słyszał ojciec, że Miquel ożenił się z niejaką Nurią Monfort?

– Miquel się ożenił?

– Dziwi to księdza?

– Pewnie nie powinienem się dziwić, ale... Sam nie wiem. od wielu lat nic nie wiem o Miquelu. Od wybuchu wojny.

– A wspominał księdzu o Nurii Monfort?

– Nie, nigdy. I nigdy mi też słowem nie napomykał o tym, że ma zamiar się żenić czy też że ma narzeczoną... Przepraszam jednak najmocniej, ale nie jestem do końca przekonany, że mogę panom o tym wszystkim mówić. To są sprawy, o których opowiadali mi Julián i Miquel po przyjacielsku, czyli ufając mej dyskrecji...

– Ale będzie miał ksiądz sumienie, żeby odmówić dziecku jedynej możliwości odzyskania pamięci o swym ojcu? – zapytał Fermín.

Widać było, że ojcem Fernando targają wątpliwości z jednej strony, z drugiej zaś, takie odniosłem wrażenie, czuje chęć poddania się wspomnieniom, odzyskania owych bezpowrotnie straconych dni.

– Tyle lat już minęło, że nie ma to chyba żadnego znaczenia. Pamiętam dobrze dzień, kiedy Julián opowiedział nam, jak poznał Aldayów i jak jego życie zaczęło się niezauważalnie dlań odmieniać...

...W październiku tysiąc dziewięćset czternastego roku wehikuł który niejeden wziął za osadzony na kółkach grobowiec rodzinny, zatrzymał się z wieczora przy sklepie kapeluszniczym Fortuny na plantach San Antonio. Z pojazdu wyłoniła się postawna dumna i wyniosła postać don Ricarda Aldayi, wtenczas już jednego z najbogatszych ludzi nie tylko Barcelony, ale całej Hiszpanii, który władał twierdzami i koloniami imperium włókienniczego rozciągającego się wzdłuż wszystkich rzek Katalonii. W prawej dłoni dzierżył wodze banków i posiadłości ziemskich wielkości połowy prowincji. Lewa zaś, w ciągłym działaniu, pociągała za sznurki wiodące do władz prowincji, do ratusza, wielu ministerstw, pałacu biskupiego i portowego urzędu celnego.

Tego właśnie wieczoru ów mężczyzna z okazałym wąsem, cesarskimi bokobrodami, wzbudzający swą osobą co najmniej szacunek, potrzebował niezwłocznie kapelusza. Wkroczył z gołą głową do sklepu don Antonia Fortuny'ego, rozejrzał się pobieżnie po nim i skupiwszy swój wzrok na kapeluszniku i jego pomocniku, młodym Julianie, odezwał się tymi słowy: „Powiedziano mi, że stąd, wbrew pozorom, wychodzą najlepsze kapelusze w Barcelonie. Zanosi się na niezbyt pogodną jesień i potrzebne mi będzie sześć cylindrów, z tuzin meloników, czapek myśliwskich i coś odpowiedniego do

parlamentu w Madrycie. Notuje pan, czy mam powtórzyć?”. Taki był początek pracowitego, ale i nader zyskownego procesu, w którym ojciec i syn połączyli swe wysiłki, by sprostać obstalunkowi don Ricarda. Julián, namiętny czytelnik dzienników, orientował się w pozycji Aldayi, przyrzekł więc sobie, że nie może teraz zawieść ojca, w tym przełomowym i najbardziej dla jego firmy decydującym momencie. Od momentu, w którym potentat przekroczył próg jego sklepu, kapelusznik niemal unosił się nad ziemią z zadowolenia. Aldaya przyobiecał mu, iż jeśli nie zawiedzie jego oczekiwań, wówczas zarekomenduje jego firmę wszystkim zaprzyjaźnionym osobom. Oznaczało to, że zakład kapeluszniczy Fortuny z godziwego, niemniej skromnego przedsiębiorstwa, urósłby nagle do firmy obracającej się w wysokich sferach, przystrajającej zarówno najtęższe, jak i nie całkiem tęgie głowy deputowanych, burmistrzów, kardynałów i ministrów. Dni teraz mijały w okamgnieniu. Julián przez cały tydzień wagarował, pracując na zapleczu po osiemnaście, dwadzieścia godzin dziennie. Ojciec, uskrzydłony entuzjazmem, brał go co jakiś czas w swoje ramiona, a nawet bezwiednie całował. Szampański nastrój udzielił mu się do tego stopnia, że swej żonie Sophie kupił i podarował suknię i parę butów – po raz pierwszy od czternastu lat. Odmienił się nie do poznania. W niedzielę zapomniał udać się na mszę, a tego samego dnia po południu, pękając z dumy, objął Juliana i ze łzami w oczach wyznał mu: „Dziadek byłby z nas dumny”.

Jednym z najbardziej skomplikowanych, tak z technicznego, jak i z politycznego punktu widzenia, procesów w zapomnianej już sztuce kapelusznictwa było branie miary. Don Ricardo Aldaya obdarzony był czaszką, która zdaniem Juliana oscylowała pomiędzy kształtem melonopodobnym a formą mało kształtną. Kapelusznikowi wystarczył rzut oka na znamienity czerep, by natychmiast zdać sobie sprawę z czyhających trudności, tej samej więc nocy, gdy Julián przyznał, iż głowa ta kojarzy mu się raczej z co poniektórymi fragmentami masywu Montserrat, Fortuny'emu nie pozostało nic innego, jak mu jedynie przytaknąć. „Niech ojciec nie bierze tego do siebie, ale ojciec przecież dobrze wie, że kiedy trzeba wziąć miarę, lepiej, żebym ja to zrobił, bo ojca nerwy ponoszą. Mógłby to ojciec

mnie zostawić, bardzo proszę”... Kapelusznik nader chętnie przystał na tę prośbę, następnego więc dnia, z chwilą gdy Aldaya zajechał przed sklep mercedesem, gościem zaopiekował się właśnie Julián . Aldaya, znalazłszy się już w pracowni i stwierdziwszy, że zdejmowaniem miary ma się zająć czternastoletni chłopak, wpadł w złość: „A to co ma znaczyć? Ten młokos ma brać miarę? Włos się jeży”. Julián , choć świadom statusu i rangi klienta, miał się spieszyć, odciął się bez chwili namysłu: „Szanowny panie Aldaya, jeżyć to się już panu niewiele może, bo fryzura pańska niebawem będzie przypominać bernardyńską tonsurę, i jeśli nie zrobimy panu najszybciej jak można kompletu kapeluszy, to niechybnie będzie pan zmuszony, udając się w miejsca publiczne, byle tupecikiem przyklepywać co poważniejsze ubytki”, fortuny, usłyszawszy Juliana, ledwo ducha nie wyzionął. Aldaya, niczym nieporuszony, wbił wzrok w Juliana, po czym, ku zdumieniu obecnych, wybuchnął śmiechem, jakim nie śmiał się już od lat.

„Ten wasz chłopak daleko zajdzie, Fortunato” – zawyrokował Aldaya, który nie był w stanie zapamiętać nazwiska kapelusznika.

W ten oto sposób odkryli, że don Ricardo Aldaya miał po czubki włosów wszystkich drżących przed nim wazeliniarzy, pochlebców i obdarzonych duszą dywanika fagasów padających mu do nóg. Miał w pogardzie włazidupków, cykorów i każdego, kto okazywał najmniejszą bodaj słabość fizyczną, mentalną czy też moralną. Natknąwszy się na nic nieznaczącego chłopaka, czeladnika zaledwie, któremu starczyło czelności i poczucia humoru, by zadworować sobie z niego, Aldaya uznał, iż trafił na idealnie spełniającą jego wymagania firmę kapeluszną, wobec czego podwoił wartość zamówienia. W owym tygodniu bez najmniejszych oporów, a nawet z przyjemnością, stawiał się na codzienne zdejmowanie kolejnych miar przez Juliana i przymierzanie kolejnych modeli. Antonio Fortuny nie mógł wyjść z zadziwienia, widząc, jak jeden z najznamienitszych przedstawicieli katalońskiej socjety reaguje wybuchami śmiechu na żarty i anegdoty opowiadane przez syna, jakiego do tej pory nie znał, z którym dotąd nigdy nie rozmawiał i który nigdy nie objawiał poczucia humoru. Pod koniec tygodnia

Aldaya wziął kapelusznika na bok, by porozmawiać z nim w zaufaniu.

– Panie Fortunato, ten wasz syn to urodzony talent, a pan każesz mu tu pluć, łapać i na nitki wiązać w tym zapyziałym kantorze.

– Ależ, don Ricardo, to bardzo dobry interes, a chłopak naprawdę jest pojętny, choć brak mu ogłady.

– Czcze gadanie. Do jakiej szkoły go pan posłał? , – No cóż, uczęszcza do szkoły...

– To fabryki wyrobników. Talent i geniusz trzeba za młodu oszlifować, w przeciwnym razie marnieje, a nawet niszczy tego, kto jest nim obdarzony. Trzeba go ukierunkować. Pomóc mu. Rozumie mnie pan, Fortunato?

– Chyba pan się myli względem mojego syna. Z geniusza nie ma nic a nic. Z takiej geografii ledwo dostatecznie, i to z ogromnym trudem... Nauczyciele wciąż mnie ostrzegają, że ciągle myśli o niebieskich migdałach, no i sprawia kłopoty wychowawcze, ogłady mu brak, zresztą to po matce, ale tutaj zawsze będzie mógł zdobyć godziwy zawód i...

– Fortunato, nudziarz z pana. Jeszcze dziś spotykam się z radą nadzorcą gimnazjum San Gabriel i zaproponuję, by przyjęli pańskiego syna do tej samej klasy co mojego pierworodnego, Jorge. Prosić o mniej byłoby niegodziwością.

Kapelusznik wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Szkoła San Gabriel była przecież szkołą janczarów towarzyskiej śmietanki i najwyższych sfer.

– Ależ don Ricardo, mnie nawet nie byłoby stać...

– A kto panu powiedział, że będzie pan musiał cokolwiek łożyć. Wykształceniem tego chłopaka ja się zajmę. A pan jako ojciec ma jedynie powiedzieć: tak.

– Ależ oczywiście, że tak, jeszcze tego by brakowało, niemniej...

– Wobec tego nie ma o czym gadać. Choć, rzecz jasna, należałoby jeszcze wysłuchać, co Julián ma do powiedzenia.

– On zrobi to, co mu każę, jeszcze by tego brakowało.

W tym właśnie momencie Julián pojawił się w drzwiach zjedna z form w rękach.

– Don Ricardo, kiedy pan tylko każę...

– *Słuchaj Julianie, co porabiasz dziś wieczorem?* – zapytał Aldaya.

Julián spojrzał wpierw na ojca, potem na przemysłowca, znów na ojca.

– *No, będę pomagał ojcu w sklepie.*

– *A poza tym.*

– *Nosiłem się z zamiarem pójścia do biblioteki...*

– *Lubisz zatem książki?*

– *Tak, proszę pana.*

– *A czytałeś Conrada? Jądro ciemności?*

– *Trzykrotnie.*

Kapelusznik ściągnął brwi całkowicie pogubiony.

– *A kto zacz ten Conrad, jeśli można zapytać?*

Aldaya uciszył go gestem, który zdawał się gestem specjalnie wypracowanym dla temperowania akcjonariuszy na walnych zgromadzeniach.

– *W domu mam bibliotekę liczącą czternaście tysięcy woluminów, Julianie. W młodości czytałem bardzo dużo, teraz nie mam na to czasu. A właśnie przypomniałem sobie, że mam trzy egzemplarze z autografem Conrada. Mój syn Jorge nie zajrzy do biblioteki, choćby go tam wołami ciągnięto. U nas w domu jedyną myślącą i czytającą osobą jest Penélope, więc wszystkie te książki czeka zguba i zapomnienie. Chciałbyś je zobaczyć?*

Julián przytaknął bez słowa. Kapelusznik przyglądał się scenie z uczuciem rosnącego i zupełnie dlań niejasnego niepokoju. Padające nazwiska i tytuły nic mu nie mówiły. Przecież wszyscy wiedzieli, że powieści to rzecz dla kobiet i dla tych, co nie mają co robić. Jądro ciemności kojarzyło mu się co najmniej z grzechem śmiertelnym.

– *Fortunata, pański syn idzie ze mną, chcę przedstawić go mojemu synowi. Spokojnie, nie ma pan powodów do niepokoju, oddam go panu. A ty, chłopcze, powiedz mi, jechałeś kiedyś mercedesem?*

Julián domyślał się, że taką właśnie nazwę nosi ów imperialny wehikuł, którym przemysłowiec się przemieszczał. Zaprzeczył, kręcąc głową.

– *No to czas najwyższy. To tak jakby trafić do nieba bez potrzeby*

umierania.

Antonio Fortuny ujrzał, jak odjeżdżają owym przeraźliwie luksusowym powozem, a kiedy spróbował w swym sercu odnaleźć cokolwiek, natrafił jedynie na smutek. Wieczorem, podczas kolacji z Sophie (do stołu siadła w nowej sukni i w nowych butach, i niemal nie było widać śladów uderzeń i blizn), zaczął zastanawiać się, gdzie tym razem popełnił błąd. Właśnie wtedy, kiedy Bóg przywracał mu syna, Aldaya mu go zabierał.

– Kobieto, przebierz się w coś normalnego, bo w tej sukni wyglądasz jak ulicznica. I nie stawiaj mi już więcej tego wina na stole. Wystarczy nam to rozcieńczone wodą. Zgubi nas ta rozrzutność.

Julián nigdy nie był po drugiej stronie bulwaru Diagonal. Owa linia wyznaczona przez aleje drzew i osadzone pomiędzy ogrodami wille i pałace, czekająca jakby na przybycie tu miasta, była zakazaną granicą. Nad Diagonal rozciągały się osady całe, wzgórze i miejsca tajemnicze, pełne niezmiernych bogactw i niepojętych legend. Podczas gdy mijali wszystkie te miejsca, Aldaya mówił mu o szkole San Gabriel, o nowych kolegach, których w życiu na oczy nie widział, o przyszłości, którą uważał za całkowicie nierealną.

– A ty, Julianie, jaki jest twój cel? Do czego zmierzasz? W życiu oczywiście.

– Sam nie wiem. Czasem wydaje mi się, że chciałbym zostać pisarzem. Powieściopisarzem.

– Jak Conrad, co? No tak, jesteś bardzo młody. A bankowość w ogóle cię nie pociąga?

– Nie wiem, proszę pana. A prawdę mówiąc, nigdy mi nie przyszło do głowy. Trzy pesety razem to największa kwota, jaką widziałem w swoim życiu. Finanse to dla mnie czarna magia.

Aldaya zaśmiał się.

– Julianie, nie ma w tym żadnej magii. Cała tajemnica polega na tym, że trzeba składać po trzy miliony peset, a nie po trzy pesety. Wtedy nie ma żadnego sekretu ani cudu, ani żadnej Trójcy Świętej.

Owego popołudnia, wspinając się aleją Tibidabo, Julianowi zdawało się, że właśnie przekroczył bramy raj. Po obu stronach drogi wznosiły się rezydencje, które jawiły mu się jako katedry. W

połowie alei szofer skręcił i znaleźli się za ogrodzeniem jednej z nich. Natychmiast pojawiły się zastępy służby na powitanie swego pana. Julián zdążył jedynie dojrzeć imponujący trzypiętrowy gmach. Nigdy przez myśl by mu nie przeszło, że w takim miejscu mogą mieszkać ludzie z krwi i kości. Dał się poprowadzić przez westybul przeszedł przez salę o charakterystycznym sklepieniu, z której wznosiły się marmurowe schodki wychodzące na zasłony z aksamitu i wkroczył do ogromnej sali, której ściany pokryte były książkami od podłogi po nieskończoność.

– No i co powiesz? – zapytał Aldaya.

Julián ledwie go słuchał.

– Niech Damian da znać, żeby Jorge zszedł do biblioteki.

Służba, bezcielesna i bezgłówna, pojawiała się i znikwała, zanim przebrzmiało ostatnie słowo polecenia, padające z ust pana, skutecznie i posłusznie, niczym świetnie wytresowany zespół owadów.

– Będziesz musiał, Julianie, wprowadzić zasadnicze zmiany w swej garderobie. Nie brakuje prostaków, dla których habit czyni mnicha... Powiem Jacincie, żeby zajęła się tym, zostawmy to jej, a ty w ogóle się tym nie kłopotz. I właściwie nie musisz nawet wspominać o tym ojcu, bo może zrobi mu się przykro. Jest i mój syn. Jorge, chciałbym poznać cię ze wspaniałym chłopcem, a niebawem twoim nowym kolegą w klasie. Oto Julián Fortu...

– Julián Carax – poprawił gość.

– Julián Carax – powtórzył nie bez satysfakcji Aldaya. – To brzmi ładnie, podoba mi się. Oto mój syn Jorge.

Julián wyciągnął dłoń, Jorge Aldaya zaś ją uścisnął. W dotyku ręka była chłodna, obojętna. Czyste, regularne rysy twarzy i woskowa niemal cera zdradzały, że tu właśnie, w świecie lalek wyrastał. Nosił ubranie i buty, które Julianowi wydały się wyjęte prosto z jakiejś powieści. Oczy ujawniały poczucie wyższości i arogancji, pogardy i powierzchownej grzeczności. Julián uśmiechnął się ciepło, wyczytując niepewność, lęk i pustkę pod ową skorupą pompatyczności i konwenansu.

– Czy to prawda, że nie przeczytałeś ani jednej książki z tej biblioteki?

- Książki są nudne.
- Książki są lustrem: widzisz w nich tylko to, co już masz w sobie
- odparł Julián .

Don Ricardo Aldaya znów wybuchnął śmiechem.

– Zostawiam was tutaj samych, żebyście mogli poznać się bliżej. Sam zobaczysz Julianie, że Jorge, wbrew tej twarzyczce pieszczoszka i zarozumialca, nie jest wcale taki głupi, na jakiego wygląda. Przecież musi mieć coś z ojca.

Słowa Aldayi musiały ostro ranić chłopca, choć uśmiech nie schodził mu z ust nawet na chwilę. Julián natychmiast pożałował swoich słów, a i chłopaka zrobiło mu się żal.

– A ty pewnie jesteś synem kapelusznika – powiedział Jorge bez cienia złośliwości. – Ojciec ostatnio dużo o tobie mówi.

– Bo jestem nowością. Mam nadzieję, że nie potraktujesz tego na serio. Wbrew twarzyczce wścibskiego wszystkowiedzącego nie jestem takim kretynem, na jakiego wyglądam.

Jorge uśmiechnął się. Julián pomyślał, że uśmiecha się z wdzięcznością, jak ludzie pozbawieni przyjaciół.

– Chodź, pokażę ci resztę domu.

Opuścili bibliotekę i ruszyli ku głównemu wejściu, w kierunku ogrodów. Gdy wracali przez salę z marmurowymi schodkami, Julián uniósł wzrok i zdało mu się, że dostrzega zarys wchodzącej po stopniach sylwetki, wspierającej dłoń o poręcz. Poczul, że zetraca się w przywidzeniu. Dziewczyna mogła mieć dwanaście lub trzynaście lat i szła w eskorcie dojrzałej już, drobnej i różowawej kobiety, w której wszystko, bez najmniejszej wątpliwości, wskazywało na to, że jest piastunką. Dziewczyna miała na sobie błękitną satynową sukienkę. Włosy były migdałowej barwy, a skóra ramion i smukłej szyi zdawała się przepuszczać światło. Zatrzymała się na szczycie schodów i spojrzała przez ramię. Przez sekundę ich spojrzenia spotkały się, a ona raczyła obdarzyć go zaledwie nikłym zarysem uśmiechu. Następnie piastunka otoczyła dziewczynę ramieniem i poprowadziła w stronę korytarza, w którym obie zniknęły. Julián spuścił wzrok, by znowu napotkać spojrzenie Jorge.

– To Penélope, moja siostra. Zdażysz ją poznać. Jest trochę rąbnięta. Nic innego nie robi, tylko całymi dniami czyta. No,

chodźmy, chcę ci pokazać kaplicę w podziemiach. Kucharki mówią, że tam straszy.

Julián posłusznie ruszył za Jorge, ale świat uciekał mu spod nóg. Po raz pierwszy od momentu, kiedy zasiadł w mercedesie don Ricarda Aldayi, udało mu się pojąć coś z tego, co się wokół niego działo. Śniła mu się wielokrotnie, nieskończoną ilość razy, na tych właśnie schodach, w tej błękitnej sukience i z błyskiem w popielatym spojrzeniu. Nie wiedział, kim jest i dlaczego się doń uśmiecha. Znalazłszy się w ogrodzie, dał się poprowadzić Jorge ku powozowni i położonym nieco dalej kortom tenisowym. I dopiero gdy tam dotarł, odwrócił głowę i ujrzał ją, w oknie na drugim piętrze. Ledwo mógł dojrzeć jej sylwetkę, ale wiedział, że się do niego uśmiecha i że, w sobie wiadomy sposób, też go rozpoznała.

Ów przelotny obraz Penélope u szczytu schodów towarzyszył mu przez pierwsze tygodnie pobytu w szkole San Gabriel. W jego nowym świecie istniało wiele pokrętnych zachowań, z których nie wszystkie mu odpowiadały. Uczniowie z San Gabriel zachowywali się jak udzielni aroganccy książęta, a ich nauczyciele podobni byli powolnym, acz oświeconym służącym. Pierwszym uczniem, z którym Julián się zaprzyjaźnił, pomijając oczywiście Jorge Aldayę, był syn jednego ze szkolnych kucharzy, Fernando Ramos, któremu wówczas nawet do głowy by nie przyszło, że kiedyś przywdzieje sutannę i będzie prowadził lekcje w tych samych salach lekcyjnych, gdzie sam dorastał. Fernando, przezywany przez resztę chłopców Kuchtą i traktowany przez nich jak służący, obdarzony był żywą inteligencją, ale z trudem przychodziło mu nawiązywanie bliższych kontaktów z kolegami i właściwie nie miał tu przyjaciół. Jedyным jego kumplem był zachowujący się ekstrawagancko chłopiec, Miquel Moliner, który z czasem miał stać się najbliższym przyjacielem Juliana w tej szkole. Miquel Moliner, któremu nie zbywało inteligencji, lecz nie starczało cierpliwości, znajdował upodobanie w doprowadzaniu swych nauczycieli do szału, podważając każde z ich twierdzeń za pomocą dialektycznych gier, zdradzających nie tylko błyskotliwy umysł, ale i zabójczą zapamiętałość. Reszta bała się jego ciętego języka i uznawała go za przedstawiciela innego gatunku, co w pewien sposób nie odbiegało zanadto od prawdy. Pomimo

usilnego przystrajania się w piórka aktywnego przedstawiciela bohemy i dramatycznego tuszowania arystokratycznych manier Miquel nie był w stanie zataić, że jest synem przemysłowca, wzbogaconego do granic absurdu na produkcji broni.

– Ty jesteś Carax, prawda? Twój ojciec ponoć robi kapelusze? – zapytał Juliana, ledwie Fernando Ramos ich sobie przedstawił.

– Julián dla przyjaciół. A twój ponoć armaty?

– Sprzedaje je tylko. Bo jeśli o robienie chodzi, to robić potrafi jedynie pieniądze. Moi przyjaciele, do których zaliczam jedynie Nietzschego i obecnego tu Fernanda, mówią na mnie Miquel.

Miquel Moliner był chłopcem smutnym. Ulegał chorobliwej fascynacji śmiercią i tym wszystkim, co związane było z tematami cmentarno – pogrzebowymi, których zgłębianiu poświęcał znakomitą część swego czasu i talentu. Jego matka zmarła trzy lata temu w dziwnym wypadku domowym, który jakiś dość mało rozważny lekarz ośmielił się zaklasyfikować jako samobójstwo. To Miquel odnalazł ciało przebłyskujące spod powierzchni wody w studni letniego pałacyku rodziny w Argentonie. Kiedy wyłowiono ją za pomocą sznurów, kieszenie palta, które zmarła miała na sobie, okazały się pełne kamieni. Znajdował się tam również list napisany po niemiecku, w ojczystym języku matki, ale pan Moliner, który nigdy nie zadał sobie najmniejszego trudu, by nauczyć się tego języka, spalił list tego samego popołudnia, nie dopuszczając, by ktokolwiek go przeczytał. Miquel Moliner wszędzie widział śmierć, w opadłych liściach, w ptakach wypadłych z gniazd, w starcach i w deszczu porywającym wszystko wraz z sobą. Obdarzony był niezwykłym talentem plastycznym i nader często zdarzało mu się godzinami zapamiętane rysować węglem szkice, w których zawsze pojawiała się tajemnicza dama w oparach morskich mgieł pośród bezludnych plaż, przedstawiająca, jak sądził Julián, matkę Miquela.

– A kim będziesz, jak dorośniesz, Miquelu?

– Ja nigdy nie dorosnę – odpowiadał enigmatycznie.

Jego największą pasją, prócz rysowania i nieprzyznawania nikomu racji, były dzieła tajemniczego lekarza austriackiego, który po latach miał zyskać sławę: Zygmunta Freuda. Miquel Moliner, który dzięki swej zmarłej matce doskonale czytał i pisał po

niemiecku, posiadał sporo woluminów zawierających prace wiedeńskiego doktora. Ulubionym obszarem tematycznym Miquela była interpretacja snów. Miał w zwyczaju pytać ludzi, co im się śniło, by następnie przystępować do zdiagnozowania pacjenta. Zawsze mówił, że umrze młodo i jest mu to obojętne. Julián uważał, że obsesyjne myślenie o śmierci spowodowało, iż Miquel odnajdywał w niej więcej sensu niż w życiu.

– Kiedy umrę, Julianie, wszystko, co mam, stanie się twoje – zwykł mawiać. – Oprócz snów.

Poza Fernandem Ramosem, Molinerem i Jorge Aldayą Julián szybko miał okazję poznać wstydliwego i nieco gburowatego chłopca o imieniu Javier, jedyne go syna małżeństwa, pracującego jako dozorca w San Gabriel i mieszkającego w skromnym domku, położonym przy wejściu do szkolnych ogrodów. Javier, którego osobę, podobnie jak osobę Fernanda, reszta uczniów traktowała niemal tak jak niewzywanego tu przez nikogo lokaja, kręcił się po ogrodach i szkolnych dziedzińcach, nie nawiązując z nikim kontaktu. Dzięki tym nieustannym wędrówkom po terenie szkoły znał na wylot wszystkie zakątki budynku, labirynt piwnic, przejścia prowadzące do wieżyczek i wszelkiego rodzaju zakamarki, których nikt już nie pamiętał. To był jego tajemny świat i schronienie przed resztą świata. Zawsze miał przy sobie wyszperany kiedyś w ojcowskich szufladach scyzoryk, którym rzezał drewniane figurki, chowane następnie w szkolnym gołębniku. Jego ojciec, Ramón, dozorca, był weteranem wojny o Kubę, podczas której stracił rękę i (jak rozpowiadano nie bez złośliwości) prawie jądro, trafiony śrutem wystrzelonym nie przez kogo innego jak przez samego Theodore'a Roosevelta, podczas inwazji w Zatoce Świń. Przekonany, że nieróbstwo jest matką wszelkiego zła, Ramón Jednojajowiec (jak przezywali go uczniowie) wysyłał regularnie swego syna, by zbierał do worka suche liście z ogrodowych fontann i igliwie spod sosen. Ramón był zacnym człowiekiem, może nazbyt gburowatym, ale na pewno fatalnie skazanym na dobieranie sobie towarzystwa najgorszego z możliwych. Najgorszym zaś z najgorszych była jego małżonka. Jednojajowiec ożenił się z babą wysoce prostacką o aparycji sprzątaczkii, ale z pretensjami księżniczki, która znajdowała

przyjemność w pokazywaniu się, niby przypadkiem, w skąpym odzieniu, i to w obecności swego syna, uczniom, ku ich niebywalej ucieście lub zgorzeniu. Na chrzcie dano jej Maria Craponcia, niemniej kazała mówić na siebie Yvonne, bo zdawało jej się to w znacznie lepszym tonie. Yvonne miała zwyczaj przepytować syna na okoliczność rysujących się możliwości awansu społecznego, jaki go miał czekać, dzięki, jak jej się zdawało, nawiązywanym przez przyjaciół z przedstawicielami towarzyskiej śmietanki Barcelony. Wypytywała syna o stan majątkowy to tego, to tamtego, już widząc siebie stojącą w leżącej się jedwabie i przyjmowaną na herbatki z francuskimi ciasteczkami na wielkich salonach najlepszego towarzystwa.

Javier starał się spędzać jak najmniej czasu w domu i wdzięczny był za wszelkie, choćby i najtrudniejsze zadania, zlecane mu przez ojca. Jakakolwiek wymówka była uzasadniona, żeby pozostawać na osobności, uciekać do swego sekretnego świata i rzezać drewniane figurki. Kiedy uczniowie gimnazjum dostrzegali z daleka jego postać, zaczęli śmiać się z niego albo rzucali weń kamieniami. Razu pewnego Julianowi zrobiło się go serdecznie żal, gdy zobaczył, jak pada, rażony kamieniem w czoło, które natychmiast zaczęło krwawić, więc podbiegł doń, by mu pomóc i zaoferować zarazem swoją przyjaźń. Z początku Javier myślał, że Julián podbiega, by mu dołożyć na oczach śmiejących się do rozpuku uczniów.

– Mam na imię Julián – powiedział, podając rękę. – Idę właśnie z przyjaciółmi pod sosny, by rozegrać tam parę partyjek szachów, może masz ochotę przyłączyć się do nas?

– Nie umiem grać w szachy.

– Ja dwa tygodnie temu też jeszcze nie umiałem. Ale Miquel to dobry nauczyciel...

Chłopak patrzył nieufnie, oczekując, że lada chwila okaże się to wszystko jakimś kolejnym kawałem albo przygrywką do niespodziewanego ataku.

– Nie jestem pewien, czy twoi kumple zechcą, żebym się do was przyłączył...

– To był ich pomysł. No, więc jak?

Od tamtego dnia Javier przyłączał się czasem do nich po

zakończeniu zleconych sobie robót. Zazwyczaj nie odzywał się, słuchał jedynie i bacznie obserwował. Budziło to niepokój Aldayi, który odczuwał pewien lęk w obecności synka dozorca. Fernando, który na własnej skórze doświadczył (okazywanej przez innych) pogardy w związku z niskim pochodzeniem, odnosił się wobec tajemniczego kolegi z nadmierną uprzejmością. Miquel Moliner, który uczył go podstaw szachów i obserwował uważnie, mierząc chłodnym badawczym spojrzeniem, w odróżnieniu od reszty grupy nie mógł się jakoś do niego przekonać.

– On jest postrzelony. Chwyta koty i gołębie, godzinami je torturuje tym swoim kozikiem, a później grzebie pod sosnami. Sama rozkosz!

– A kto tak mówi?

– Sam mi opowiadał parę dni temu, gdy tłumaczyłem mu zasady ruchu koniem. Opowiadał mi też, że czasami jego matka pakuje mu się w nocy do łóżka i dobiera się do niego.

– E tam, kpił sobie z ciebie.

– Wątpię. Ten chłopak ma coś nie po kolei z głową i przypuszczalnie to nie jest jego wina.

Julián starał się nie brać pod uwagę ostrzeżeń i proroctw Miquela, niemniej nawiązanie przyjaźni z synem dozorca rzeczywiście szło dość opornie. Yvonne zaś patrzyła i na Juliana, i na Fernanda Ramosa z dużą niechęcią. Z całej chmary paniczów ci dwaj właśnie groszem nie śmierdzieli. Mówiło się, że ojciec Juliana jest skromnym sklepikarzem, a matka zaledwie nauczycielką muzyki. „Ci ludzie nie mają ani pieniędzy, ani klasy, ani elegancji, kochanie moje – strofowała Javiera. – Jedyнным, który do ciebie pasuje, jest Aldaya, to chłopiec z bardzo dobrego domu”. „Tak, matko – odpowiadał – jak matka sobie życzy”. Z czasem zaczął bardziej zawierzać swoim nowym przyjaciółom. Usta mu się nawet zaczęły otwierać częściej, rzezał komplet figur szachowych dla Miquela Molinera, w podzięce za naukę gry w szachy. Pewnego dnia, w najmniej spodziewanym i w ogóle uznawanym za niemożliwy momencie, chłopcy odkryli, że Javier potrafi się uśmiechać i nawet ma przyjemny niewinny uśmiech, uśmiech dziecka.

– No i widzisz? To zwyczajny, najzwyczajniejszy chłopak –

twierdził Julián.

Miquel Moliner mimo to nie dawał się przekonać i przypatrywał się dziwnemu młodzieńcowi podejrzliwie i sceptycznie, niemal z badawczą nieufnością.

– Javier ma bzika na twoim punkcie, Julianie – powiedział któregoś dnia. – Na głowie staje, byle zyskać twoje uznanie.

– Przecież to idiotyzm! Od uznania ma przecież ojca i matkę, ja jestem tylko zwykłym przyjacielem.

– Naiwniakiem jesteś, ot co. Jego ojciec to zwykły biedak, który nie wie, za co ma się łapać, kiedy chce mu się sikać, a doña Yvonne to harpia z ptasim mózdzkiem, która od rana czyha, by niby niechcący przyłapano ją w dezabilu, przekonana, że jest Bóg wie jaką diwą albo kimś jeszcze gorszym, aż wstyd mówić. Chłopak, co w pełni zrozumiale, szuka substytutu, a ty, anioł zbawiciel, spadasz mu z nieba i wyciągasz pomocną dłoń. Święty Julián od Źródła, patron wydziedziczonych.

– Od tego doktora Freuda mózgowica zaczyna ci gnić. Wszyscy potrzebujemy przyjaciół. Ciebie nie wyłączając.

– Ten chłopak nie ma przyjaciół i nigdy ich mieć nie będzie. Ma podstępłą duszę. Nie wierzysz, to poczekaj czas jakiś. Zastanawiam się, co też mu się śni...

Miquel Moliner nie podejrzewał nawet, jak bardzo sny Francisca Javiera są podobne do snów jego przyjaciela Juliana. Kiedyś, parę miesięcy przed pojawieniem się Juliana w gimnazjum, syn dozorczy zbierał opadłe liście przy fontannach, kiedy na dziedziniec zajechał okazały automobil don Ricarda Aldayi. Tego dnia przemysłowiec nie był sam. Towarzyszyła mu zjawa, świetlisty anioł w jedwabiach, unoszący się jakby nad ziemią. Ów anioł, czyli nie kto inny jak jego córka Penélope, wyszedł z mercedesa i lekko powiewając skrzydłami kapelusza, podszedł do fontanny, by zanurzyć swą dłoń w jej wodach. Jak zawsze, piastunka Jacinta nie odstępowała jej na krok, gotowa natychmiast zareagować na każdy gest dziewczyny. I nawet gdyby dziewczynę otaczał tłum służących, to i tak Jacinta nie spuszczałaby z niej oka. Chłopak bał się mrugnąć w obawie, że obraz się rozwieje. Stał sparaliżowany, nie oddychając, podpatrując urojenie. Po chwili, jakby wyczuwszy jego obecność i ukradkowe

spojrzenie, Penélope skierowała ku niemu wzrok. Uroda tej twarzy wydała mu się tak bolesna, że aż nie do wytrzymania. Zdało mu się również, że na jej wargach dostrzega zarys uśmiechu. Wystraszony, uciekł, by ukryć się w wieży cystern, przy gołębniku, znajdującym się na najwyższym tarasie szkolnego budynku, w swym ulubionym schowku. Ręce jeszcze mu drżały, kiedy sięgnął po swoje narzędzia, by przystąpić do pracy nad nową figurką, której rysy byłyby podobne do twarzy przed chwilą ujranej. Kiedy tej nocy wrócił do domu dozorca, znacznie później niż zazwyczaj, matka czekała nań, na wpół rozebrana i wściekła. Chłopak spuścił wzrok, obawiając się, że jeśli matka zdoła odczytać jego spojrzenie, zobaczy w nim dziewczynę z fontanny, a tym samym odczyta wszystkie jego obecne myśli.

– A ty gdzie się włóczysz, zasrany smarkaczu?

– Przepraszam, matko. Zgubiłem się.

– Ty od dnia swoich narodzin już jesteś zgubiony.

Lata później, za każdym razem, kiedy wkładał lufę swego rewolweru w usta więźnia, by następnie nacisnąć spust, inspektor Francisco Javier Fumero miał wspominać dzień, w którym ujrzał czaszkę swej matki, eksplodującą niczym dojrzały arbuz, nieopodal leśnego barku w Las Planas, i nie poczuł nic poza obrzydzeniem do rzeczy martwych. Gwardia Cywilna wezwana przez obsługę lokalu, która usłyszała strzał, odnalazła siedzącego na głazie chłopca trzymającego na kolanach ciepłą jeszcze strzelbę. Obojętnie, z twarzą upstrzoną kropelkami krwi, jakby zżerała go ospa, przyglądał się bezgłowemu ciału Marii Craponcii, alias Yvonne, pokrytemu przez owady. Gdy spostrzegł zbliżających się funkcjonariuszy, wzruszył jedynie ramionami. Idąc za odgłosami szłochu, policjanci odnaleźli trzydzieści metrów dalej, w zaroślach Ramona Jednojajowca. Trząśł się jak dziecko i nie sposób było zrozumieć jego bełkot. Porucznik Gwardii, wahając się długo, orzekł w końcu, iż do zdarzenia doszło w wyniku tragicznego wypadku i tak też stwierdził w raporcie, choć nie w swoim sumieniu. Gdy zapytali chłopca, czy mogą coś dla niego zrobić, Francisco Javier Fumero zapytał ich z kolei, czy może zostawić sobie strzelbę, bo jak dorośnie, to chciałby zostać żołnierzem...

– Dobrze się pan czuje, panie Romero de Torres?

Nagle pojawienie się Fumera w opowieści ojca Fernanda Ramosa zmroziła mnie, ale Fermina wręcz poraziła. Zrobił się zielony na twarzy, ręce mu się trzęsły.

– Miewam problemy z ciśnieniem – zaczął zmyślać wątlym głosem. – Ten kataloński klimat nam, ludziom z południa, nie służy.

– Może szklankę wody? – zaofiarował się skonsternowany ksiądz.

– Jeśli wasza dostojność nie ma nic przeciwko temu. I gdyby jeszcze jakąś pralinę, ze względu na glukozę, prawda...

Ksiądz podał mu szklankę wody. Fermín wypił ją jednym haustem.

– Służę jedynie cukierkami eukaliptusowymi. Mogą być?

– Bóg zapłać.

Fermín wziął do ust garść cukierków i po chwili jego twarz przybrała odcień zwykłej bladości.

– Jest ksiądz pewien, że ten chłopak, syn dozorca, który broniąc terytoriów zamorskich, bohatersko stracił jądro, nazywał się Fumero, Francisco Javier Fumero?

– Tak. Całkowicie. Panowie znają go może?

– Nie – odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

Ojciec Fernando zmarszczył brwi.

– Bo wcale bym się nie dziwił, gdyby panowie go znali lub o nim słyszeli. Francisco Javier od jakiegoś czasu cieszy się dość smutną sławą.

– Nie jesteśmy pewni, czy dobrze rozumiemy księdza...

– Doskonale mnie panowie rozumiecie. Francisco Javier Fumero jest inspektorem Brygady Kryminalnej Barcelony i jego zła reputacja jest na tyle znana, że dociera nawet do nas, nieopuszczających terenu tej szkoły. A pan, usłyszawszy to nazwisko, skurczył się o kilka, jeśli nie kilkanaście, centymetrów, powiedziałbym.

– No właśnie, kiedy ksiądz ponownie wymienił jego imiona i nazwisko, to jakby rzeczywiście nie było mi ono całkiem obce...

Ojciec Fernando przyjrzał nam się bacznie.

– Ten młody człowiek nie jest synem Juliana Caraxa. Jestem w błędzie?

– Jest duchowym synem, eminencjo, to z moralnego punktu

widzenia ma większą wagę.

– W co się panowie uwikłali? Kto was przysłał?

W tym momencie byłem już całkiem pewny, że lada chwila zostaniemy wykopani z gabinetu duchownego, postanowiłem więc uciszyć Fermina i raz wreszcie zagrać kartą uczciwości.

– Ma ksiądz rację. Julián Carax nie jest moim ojcem. Ale nikt nas tu nie przysłał. Przed laty natknąłem się na pewną książkę Caraxa, książkę, o której sądzono, że nie zachował się ani jeden jej egzemplarz. Od tamtej pory staram się jak najwięcej dowiedzieć o jej autorze i okolicznościach jego śmierci. A pan Romero de Torres służy mi w tym swą pomocą...

– Co to była za książka?

– *Cień wiatru*. Czytał ją ksiądz?

– Czytałem wszystkie powieści Juliana.

– A ma ksiądz egzemplarze?

Ojciec Fernando pokręcił głową.

– A mogę zapytać, co się z nimi stało?

– Parę lat temu ktoś zakradł się do mojego pokoju i podpalił je.

– A podejrzewa ksiądz kogoś?

– A oczywiście. Fumera. Czy to nie jest prawdziwa przyczyna panów wizyty?

Wymieniliśmy z Ferminem zdumione spojrzenia. ;

– Inspektor Fumero? A dlaczego właśnie on miałby palić książki?

– A któżby inny! W ostatnim roku naszego pobytu w szkole Francisco Javier usiłował zabić Juliana ze strzelby swojego ojca. Gdyby Miquel go nie powstrzymał...

– A dlaczego chciał go zabić? Julián był przecież jego jedynym przyjacielem.

– Francisco Javier miał obsesję na punkcie Penélope. Nikt o tym nie wiedział. Podejrzewam, że Penélope nawet nie wiedziała o istnieniu tego biedaka. Przez lata trzymał to w sekrecie. Zdaje się, że śledził Juliana, o czym ten nie miał najmniejszego pojęcia. Zdaje się, że kiedyś zobaczył, jak Julián całuje Penélope. Chyba, bo nie wiem tego na pewno. Ale na pewno wiem, że usiłował go zabić w biały dzień... Miquel Moliner, który nigdy nie ufał Fumero, rzucił się na niego i w ostatniej chwili mu przeszkodził. Ciągłe widoczny jest ślad

po kuli przy bramie. Ilekroć tamtędy przechodzę, zawsze staje mi w pamięci ów dzień.

– A co się stało z Fumero?

– I on, i jego rodzina zostali usunięci z terenu szkoły. Francisca Javiera wysłano, zdaje się, na jakiś okres do internatu. Dopiero parę lat później doszły nas słuchy, że jego matka zginęła w jakimś wypadku na polowaniu. Nie było żadnego wypadku. Miquel miał rację od samego początku. Francisco Javier Fumero jest mordercą.

– Gdyby mnie zebrano się na wynurzenia... – wyszeptał Fermín.

– A może warto, żeby się panom jednak na takie wynurzenia zebrano i żebyście opowiedzieli mi wreszcie coś bliższego prawdzie, na odmianę.

– Możemy powiedzieć, że to nie Fumero spalił księdzu książki.

– A kto w takim razie?

– Nie ma najmniejszej wątpliwości, że jest to mężczyzna o twarzy strawionej przez ogień i że ów człowiek chce uchodzić za niejakiego Laina Couberta.

– Czy to nie jest...

Przytaknąłem.

– Imię i nazwisko jednej z postaci Caraxa. Diabła.

Ojciec Fernando pochylił się w fotelu, niemal tak samo zagubiony jak i my.

– Za to coraz oczywistsze staje się, że to wokół osoby Penélope toczy się wszystko, a o niej akurat najmniej wiemy – podsumował Fermín.

– Nie wydaje mi się, abym w tej materii mógł panom być pomocny. Widziałem ją może dwa, trzy razy, i to z daleka. Wiem o niej tyle, ile opowiedział mi Julián, a był raczej oszczędny w słowach. Jediną osobą, której zdarzyło się kiedyś wspomnieć przy mnie o Penélope, była Jacinta Coronado.

– Jacinta Coronado?

– Piastunka Penélope. Wychowała Jorge i Penélope. Jedno i drugie kochała do szaleństwa, Penélope jednak szczególnie. Czasem pojawiała się w szkole, by odebrać Jorge, bo don Ricardo Aldaya nie lubił, by jego dzieci choć sekundę przebywały same, bez opieki kogoś z domu. Jacinta była aniołem. Dotarło do jej uszu, że ja, tak jak i Julián

, pochodzimy z rodzin o skromnych dochodach, i zawsze przynosiła nam coś na podwieczorek, gdyż wydawało jej się, że głodujemy. Mówiłem jej, że mój ojciec jest kucharzem, żeby nie przejmowała się tak bardzo, bo jedzenia mi nie brakuje. Ale ona nalegała. Czasami czekałem na nią i rozmawialiśmy. To najlepsza kobieta, jaką poznałem. Nie miała dzieci ani narzeczonego. Była sama na tym świecie i oddała życie dla wychowania dzieci Aldayów. Kochała Penélope całą duszą. Do dziś o niej opowiada...

– Nadal jest ksiądz w kontakcie z Jacinta?

– Odwiedzam ją czasem w przytułku Santa Lucia. Ona nie ma nikogo. Nasz Pan, z przyczyn, które są zakryte przed naszym zrozumieniem, nie zawsze nagradza nas w życiu. Jacinta jest już bardzo starą kobietą i nadal bardzo samotną.

Fermín i ja spojrzeliśmy po sobie.

– A Penélope? Nigdy jej nie odwiedza?

Spojrzenie ojca Fernando było jak bezdenna czarna studnia.

– Nikt nie wie, co się stało z Penélope. Ta dziewczyna była życiem Jacinty. Gdy Aldayowie wyjechali do Ameryki i Jacinta ją straciła, straciła wszystko.

– Dlaczego jej nie zabrali ze sobą? Czy Penélope również wyjechała do Argentyny, z resztą Aldayów? – zapytałem.

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nikt nie widział Penélope ani nie słyszał o niej od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku.

– Roku, w którym Carax wyjechał do Paryża – zauważył Fermín.

– Musicie mi obiecać, że nie będziecie męczyć biednej staruszki, żeby odkopywała bolesne wspomnienia.

– Za kogo waćpan nas uważa? – zapytał dotknięty Fermín.

Spodziewając się, że nic więcej od nas nie wydobędzie, ojciec Fernando kazał sobie przysiąc, że będziemy go informować o wynikach naszych starań. Fermín, żeby go uspokoić, uparł się złożyć przysięgę na Nowy Testament leżący na stoliku.

– Proszę zostawić Ewangelię w spokoju. Wystarczy mi pańskie słowo.

– Widzę, że ksiądz wie swoje i swój honor ma.

– Proszę, odprowadzę was do wyjścia.

Poprowadził nas przez ogród, lecz zatrzymał się w bezpiecznej odległości od wyjścia, spoglądając na ulicę prowadzącą serpentyną w dół ku rzeczywistemu światu, jakby się obawiał, że jeśli postąpi kilka kroków dalej, rozplynie się. Zastanowiłem się, kiedy ostatni raz ojciec Fernando opuścił mury szkoły.

– Bardzo mnie zasmuciła wiadomość o śmierci Juliana – powiedział matowym głosem. – Mimo tego wszystkiego, co się później stało, i mimo że z czasem nasze drogi się rozeszły, byliśmy dobrymi przyjaciółmi: Miquel, Aldaya, Julián i ja. Nawet Fumero. Wydawało mi się, że zawsze będziemy nierozłączni, ale życie wie o sprawach, o których my nie wiemy. Nie miałem więcej takich przyjaciół jak oni i nie sądzę, abym miał mieć. Ale mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz, Danielu.

Dobiegało południe, gdy pogrążeni we własnych myślach, dotarliśmy do alei Bonanova. Nie miałem wątpliwości, że Fermín ma głowę zaprzątniętą złowieszczą obecnością inspektora Fumero w tej sprawie. Spojrzałem na niego kątem oka i ujrzałem pochmurną i pełną niepokoju twarz. Welon ciemnych chmur rozlewał się po niebie niczym krew, przepuszczając drzazgi światła w kolorze opadłych liści.

– Pospieszmy się, bo złapie nas ulewa – powiedziałem.

– Spokojnie. Te chmury wyglądają na nocne. Z tych, co to muszą się ukisić. Czekaają na swój czas.

– No nie, zaraz się okaże, że zna się pan również na chmurach.

– Życie na ulicy uczy nas więcej, niż sami chcemy wiedzieć. Na samą myśl o Fumero zrobiłem się strasznie głodny. Może wpadniemy do baru na placu Sarria i zjemy sobie po bule z tortillą, z dużą, bardzo dużą ilością cebuli?

Skierowaliśmy się w stronę placu, na którym tłumy staruszków czarowały stada miejscowych gołębi, ograniczając życie do zabawy okruchami i do czekania. Weszliśmy do baru i zajęliśmy stolik przy drzwiach. Fermín przystąpił do rozprawy z obiema bułkami, swoją i moją, popijając kuflem piwa, by następnie wypić trochę rumu i zjeść jeszcze dwie czekoladki. I sugusa na deser. Mężczyzna siedzący przy stoliku obok obserwował Fermina ukradkiem znad gazety, prawdopodobnie myśląc o tym samym co ja.

– Nie wiem, gdzie pan to wszystko mieści, Ferminie.

– W mojej rodzinie wszystkich cechował przyspieszony metabolizm. Moja świętej pamięci siostra Jesusa potrafiła w południe pochłonąć tortillę z sześciu jaj z kaszanką i świeżym czosnkiem, a wieczorem, jakby nigdy nic, rzucić się na kolację jak wygłodniały Kozak. Nazywali ją Wątróbka, bo cierpiała na wzdęcia. Biedaczka. A wyglądała tak samo jak ja, uwierzy pan? Taka sama, pociągła, żeby nie powiedzieć koścista, twarz i ciało zdecydowanie żyłaste. Pewien

doktor z Caceres powiedział kiedyś mojej matce, że Romerowie de Torres są brakującym ogniwem między człowiekiem a rybą młotem, gdyż w naszej rodzinie dziewięćdziesiąt procent ciała to sama chrząstka, zazwyczaj występująca tylko w nosie i uszach. Jesusę mylono we wsi ze mną, bo biedaczce nigdy nie urosły piersi, a golić zaczęła się wcześniej niż ja. Umarła na suchoty, mając dwadzieścia dwa lata, w stanie nietkniętego dziewictwa i skrycie zakochana w świętoszkowatym księdzu, który spotykając ją na ulicy, nieodmiennie witał słowami: „Witaj, Ferminie, kawał chłopca zaczyna się z ciebie robić”. Ironia losu.

– Tęskni pan za nimi?

– Za rodziną?

Fermín wzruszył ramionami, z nostalgicznym uśmiechem na ustach.

– A bo ja wiem? Niewiele rzeczy tak bardzo oszukuje jak wspomnienia. Choćby ten ksiądz... A pan? Tęskni pan za matką?

Spuściłem wzrok.

– Bardzo.

– Wie pan, co ja najlepiej pamiętam? – spytał Fermín. – Jej zapach. Zawsze pachniała czystością, słodkim chlebem. I wszystko jedno, czy cały dzień pracowała w polu albo miała na sobie łachmany z całego tygodnia. Zawsze pachniała tym wszystkim, co dobre na tej ziemi. A nawet nie wyobraża pan sobie, jakim była prostakiem. Klęła jak szewc, a pachniała jak królowna z bajki. Przynajmniej tak mi się wydawało. A pan, panie Danielu? Z czym się w pańskiej pamięci kojarzy mama?

Zawahałem się przez chwilę, by wreszcie wydusić z siebie:

– Z niczym. Od lat nie potrafię przypomnieć sobie matki. Ani jej twarzy, ani jej głosu, ani zapachu. Uleciało to wszystko w dniu, w którym odkryłem Juliana Caraxa, i jak dotąd nie wróciło.

Fermín przyglądał mi się uważnie, nie spiesząc się z odpowiedzią.

– Nie ma pan jej zdjęć?

– Nigdy nie chciałem ich oglądać – odparłem.

– Dlaczego?

Nikommu o tym nie mówiłem, nawet mojemu ojcu ani Tomasowi.

– Bo się boję. Boję się spojrzeć na zdjęcie mojej matki i zobaczyć

na nim zupełnie obcą mi osobę. Myśli pan, że to głupie?

Fermín pokręcił głową, nim odparł:

– I myśli pan, że jeśli uda się panu rozwiązać tajemnicę Juliana Caraxa i wydobyć go z niepamięci, wówczas obraz twarzy pańskiej matki wróci do pana z zapomnienia?

Przyjrzałem mu się, nic nie mówiąc. Nie było ironii ani osądzania w jego spojrzeniu. Przez chwilę Fermín Romero de Torres wydał mi się najinteligentniejszym i najmądrzejszym człowiekiem na świecie.

– Być może – odparłem bez zastanowienia.

Mijało południe, gdy wsiedliśmy do autobusu wracającego do centrum. Usiedliśmy z przodu, zaraz za kierowcą, co Fermín skwapliwie wykorzystał, by natychmiast wszcząć z nim debatę dotyczącą rozlicznych innowacji technicznych i kosmetycznych, których wprowadzenie w naziemnym transporcie publicznym ma właśnie możliwość podziwiać po dłuższej, bo datującej się od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego, przerwie w korzystaniu z jego usług, osobliwie zaś w zakresie informacji i oznakowania, czego jasno dowodzi tablica z napisem: „Zabrania się pluć i wyrażać”. Fermín przyjrzał się wywieszce kątem oka i postanowił oddać jej cześć, wydobywając ze swego gardła charkot nad charkotami, co wystarczyło, by spiorunowały nas wzrokiem trzy, siedzące z tyłu niczym patrol specjalny, bigotki uzbrojone w książeczki do nabożeństwa.

– Dzikus – mruknęła świętoszka zajmująca miejsce na wschodniej flance i zadziwiająco podobna do oficjalnego portretu generała Yagüe.

– Otóż i one – powiedział Fermín. – Troje świętych czci Hiszpania. Święta Konfuzja, Święta Zasadniczka i Święte Oburzenie. Udało się temu triumwiratowi zamienić ten kraj w czystą kpinę.

– Nie inaczej – zgodził się kierowca. – Za Republiki było nam lepiej. Że nie wspomnę o korkach. Rzygać się chce.

Siedzący z tyłu mężczyzna roześmiał się, najwyraźniej rozbawiony zasłyszaną wymianą poglądów. Rozpoznałem w nim tego samego człowieka, który siedział nieopodal nas w barze. Z wyrazu twarzy wynikało, że trzyma stronę Fermína i że marzy wprost o jego starciu z dewotkami. Przez ułamek sekundy spojrzeliśmy sobie w oczy. Uśmiechnął się do mnie uprzejmie i powrócił do swojej gazety. Gdy dojechaliśmy do ulicy Ganduxer, zauważyłem, że Fermín, zwinąwszy

się w kłębek i przykrywszy płaszczem, śpi z otwartymi ustami i wypogodzoną twarzą. Autobus prześlizgiwał się przez wielkopańsko wypucowaną aleję San Gervasio, gdy Fermín nagle się obudził.

– Śnił mi się ksiądz Fernando – powiedział. – Tyle że ubrany był jak środkowy napastnik Realu Madryt, a pod pachą trzymał puchar ligi lśniący jak czyste złoto.

– No i co? – zapytałem.

– Jeśli Freud ma rację, to może oznaczać, iż ksiądz strzelił nam gola.

– Na mnie zrobił wrażenie uczciwego człowieka.

– Istotnie. Być może nawet za bardzo i wbrew własnym interesom. Bo księży z buławą świętego wysyłają do ośrodków misyjnych, żeby ich zjadły piranie albo zeżarły moskity.

– E, bez przesady.

– O święta naiwności! Pan wierzy nawet we Wrózkę Zębuszkę. Prosi pan o dowód? Proszę bardzo: bajeczki o Miquelu Molinerze, które zaserwowała panu Nuria Monfort. Coś mi się wydaje, że ta damulka wtryniła panu więcej bałamuctw niż ma „L'Osservatore Romano” na swej pierwszej stronie. Teraz się okazuje, że jej mąż to przyjaciel z lat dzieciennych Aldayi i Caraxa, patrzcie, patrzcie. A na dodatek mamy opowiadkę o Jacincie, dobrej niani, historyjkę, która być może jest prawdziwa, ale za bardzo przypomina ostatnie akty sztuki Alejandra Casony. Że już nie wspomnę o gwiazdorskim pojawieniu się Fumero w roli oprawcy.

– Naprawdę uważa pan, że ojciec Fernando nas okłamał?

– Nie, nie. Podzielał pańską opinię, że ojciec Fernando jest uczciwym człowiekiem, niemniej mundur swoje robi i być może coś schował do skarpety, że się tak wyrażę. Wydaje mi się, że jeśli nas okłamał, to raczej coś pomijając lub z poczucia przyzwoitości, a nie ze złośliwości czy w złych intencjach. Zresztą nie wydaje mi się, żeby w ogóle był zdolny wymyślić coś takiego. Gdyby potrafił lepiej kłamać, nie uczyłby algebry i łaciny, tylko pracowałby w kurii, w gabinecie kardynała, a do kawy zajadałby się świeżo pieczonymi ciasteczkami.

– Co wobec tego robimy?

– Prędzej czy później trzeba będzie odkopać mumię anielskiej staruszki, potrząsnąć nią i zobaczyć, co wypadnie. Na razie powęszę to

tu, to tam i zobaczę, czego się dowiem o Miquelu Molinerze. I dobrze byłoby przyjrzeć się tej Nurii Monfort, bo coś mi mówi, że to kobieta, którą moja zmarła matka określiłaby jako latawicę.

– Bardzo się pan co do niej myli – zaprotestowałem.

– Pokażą panu parę ładnych cycków i od razu się panu wydaje, że to święta Teresa, co w pańskim wieku jest wybaczone, ale nieuleczalne. Proszę mi to zostawić, Danielu, ja już się nią zajmę, bo mnie zapach wiecznej kobiecości już nie ogłupia tak jak pana. W moim wieku krwiobieg kieruje się raczej ku półkulom mózgowym niż ku miękkim częściom ciała.

– I kto to mówi!

Fermín wyjął portmonetkę i zaczął liczyć pieniądze.

– Ma pan tam fortunę – powiedziałem. – To tyle zostało z porannej reszty?

– To tylko część. Ale reszta też pochodzi z wiadomego i legalnego źródła. Zabieram dzisiaj Bernardę na miasto. Niczego nie potrafię odmówić tej kobiecie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, to i napadnę na Banco de España, napadnę, byle spełnić jej kaprysy. A pan ma jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

– Niespecjalnego.

– A ta mała?

– Jaka mała?

– No przecież nie mała czarna! Siostra Aguilara, cholera!

– Nie wiem.

– Wiedzieć to pan wie aż za dobrze, tyle że nie ma pan, mówiąc brutalnie, jaj, żeby złapać byka za rogi.

W tym momencie podszedł do nas konduktor ze zmęczonym wyrazem twarzy, wyprawiając iście prestidigitatorskie sztuczki trzymaną w ustach wykałaczką.

– Panowie wybaczą, ale tamte panie pytają, czy nie mogliby panowie używać bardziej przyzwoitego języka.

– A gówno – powiedział Fermín na cały głos.

Konduktor odwrócił się do trzech dam i wzruszył ramionami, dając im do zrozumienia, że zrobił co mógł i że nie ma zamiaru wdawać się w mor – dobiecie w imię językowej czystości.

– Ludzie, którzy nie mają własnego życia, zawsze muszą wściubić

nos w cudze – kontynuował Fermín. – O czymże to rozmawialiśmy?

– O moich brakach w narządach.

– No właśnie. Chroniczny przypadek. Proszę mnie słuchać. Niech pan idzie po swoją dziewczynę, bo życie przelatuje szybko, zwłaszcza te lata, które warto przeżyć. Słyszał pan, co mówił ksiądz. Było, minęło.

– Ale to nie jest moja dziewczyna.

– Więc niech pan ją uwiedzie, zanim to zrobi ktoś inny, zwłaszcza ten ołowiany żołnierz.

– Mówi pan, jakby Bea była jakimś łupem.

– Nie, jakby była błogosławieństwem, Danielu – poprawił Fermín.

– Przeznaczenie zazwyczaj czeka tuż za rogiem. Jakby było kieszonkowcem, dziwką albo sprzedawcą losów na loterię: to jego najczęstsze wcielenia. Do drzwi naszego domu nigdy nie zapuka. Trzeba za nim ruszyć.

Przez resztę drogi rozmyślałem nad tą filozoficzną perełką, podczas gdy Fermín przeszedł natychmiast w stan drzemki, w czym wykazywał napoleoński wprost talent. Wysiedliśmy z autobusu na rogu Grañ Via i Paseo de Gracia pod osłoną popielatego nieba wysysającego światło. Zapinając płaszcz pod samą szyją, Fermín oznajmił, że czym prędzej biegnie do swego pensjonatu wyszykować się na randkę z Bernardą.

– Niech pan, panie Danielu, weźmie pod uwagę, że jeśli jest się postury raczej nikczemnej, tak jak ja, wówczas toaleta, siłą rzeczy, trwać musi nie mniej niż dziewięćdziesiąt minut. Nie można się postawić, jeśli się człowiek nie zastawi, taka jest smutna rzeczywistość w dzisiejszych blagierskich czasach. *Vanitas pecata mundi.*

Patrzyłem, jak oddala się Grañ Via, raczej zaledwie szkic człowieka niż człek pełny, opatulony w łopoczący na wietrze jak flaga szary, znoszony płaszcz. Ja z kolei ruszyłem w stronę domu, gdzie chciałem zatopić się w dobrej książce i schować przed światem. Gdy skręciłem za róg Puerta del Ángel przy skrzyżowaniu z ulicą Santa Ana, serce skoczyło mi do gardła. Fermín jak zwykle miał rację. Przeznaczenie czekało na mnie przed księgarnią, odziane w garsonkę z szarej wełny, nowe buty i jedwabne pończochy i przyglądało się swemu odbiciu w

szybie wystawowej.

– Mój ojciec myśli, że jestem na sumie – powiedziała Bea, nie odrywając wzroku od swego wizerunku.

– Prawie jakbyś na niej była. Bo tutaj, mniej niż dwadzieścia metrów stąd, w kościele Santa Ana od dziewiątej rano odprawia się msze bez przerwy.

Rozmawialiśmy jak dwoje nieznajomych stojących przypadkiem przed wystawą, szukając w szybie swego wzroku.

– Ja wcale nie żartuję. Poszłam po parafialną gazetkę niedzielną, żeby sprawdzić temat kazania. Ojciec może mnie poprosić, żebym mu je dokładnie streściła.

– Lubi być dobrze poinformowany.

– Przysiągł, że ci połamie nogi.

– Najpierw będzie się musiał dowiedzieć, kim jestem. A póki mam nogi całe, biegam szybciej niż on.

Bea przyglądała mi się w napięciu, obserwując znad ramienia przechodniów prześlizgujących się za naszymi plecami w szarych i wietrznych podmuchach.

– Nie wiem, co cię tak śmieszy – powiedziała. – On to mówi poważnie.

– Nie śmieję się. Umieram ze strachu. Ale cieszę się, że cię widzę.

Uśmiech kącikami ust, nerwowy, ulotny.

– Ja też – przyznała.

– Mówisz o tym tak, jakby to była jakaś choroba.

– To coś gorszego. Myślałam, że jeśli zobaczę cię w świetle dziennym, może głupawka mi przejdzie.

Zacząłem się zastanawiać czy to komplement, czy złorzeczenie.

– Nie możemy być widziani razem, Danielu. Nie tak, na ulicy.

– Możemy wejść do księgarni. Na zapleczu jest ekspres do kawy i...

– Nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek widział, jak tu wchodzę czy stąd wychodzę. Jeśli ktoś zobaczy mnie teraz, jak rozmawiam z tobą, mogę powiedzieć, że wpadłam przypadkiem na najlepszego przyjaciela mojego brata. Ale jeśli zobaczą nas razem dwa razy, zaczną się plotki.

Westchnąłem.

– A kto nas może zobaczyć? Kogo w ogóle obchodzi, co robimy lub czego nie robimy?

– Ludzie zawsze dojrzą to, co ich w ogóle nie powinno obchodzić, a mojego ojca zna pół Barcelony.

– I przyszłaś tutaj tylko po to, żeby na mnie poczekać?

– Nie po to przyszłam. Przyszłam na mszę, już zapomniałeś? Sam mi to mówiłeś. Dwadzieścia metrów stąd...

– Zaczynam się ciebie bać, Bea. Kłamiesz lepiej ode mnie.

– Nie znasz mnie, Danielu.

– Tak mówi twój brat.

Nasze spojrzenia spotkały się w odbiciu witryny.

– Tamtej nocy pokazałeś mi coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam – szepnęła Bea. – Teraz kolej na mnie.

Zmarszczyłem brwi zaintrygowany. Bea otworzyła torebkę, wyjęła złożony kartonik wizytówki i podała mi go.

– Nie jesteś jedyną osobą, która zna tajemnice Barcelony. Mam dla ciebie niespodziankę. Czekam na ciebie pod tym adresem o czwartej. Ale nikomu ani słowa o tym, że jesteśmy tam umówieni.

– Jak będę wiedział, że trafiłem pod właściwy adres?

– Będiesz wiedział.

Spojrzałem na nią kątem oka, z nadzieją, że po prostu kpi sobie ze mnie.

– Jeśli nie przyjdiesz, zrozumiem – powiedziała Bea. – Zrozumiem, że nie chcesz mnie już więcej widzieć.

Odwróciła się na pięcie, nie dając mi szansy na jakąkolwiek odpowiedź, i odeszła lekkim krokiem w kierunku Ramblas. Stałem ze złożonym kartonikiem w dłoni i niewypowiedzianymi słowami na ustach, spoglądając za nią, póki jej postać nie rozplynęła się w poprzedzającym burzę szarym półmroku. Rozłożyłem kartonik. W środku, niebieskim pociągnięciem, zapisany był dobrze mi znany adres,

Avenida del Tibidabo, 32

Burza nie czekała do zmierzchu. Ledwie wsiadłem do autobusu numer 22, rozbłysły pierwsze błyskawice. Kiedy autobus objechał plac Molina i zaczął wspinać się ulicą Balmes, miasto już było skryte w strugach płynnego aksamitu, przypominając mi, że zabrałem ze sobą jedynie lichy parasol.

– Odważnyś pan – mruknął kierowca, gdy poprosiłem, żeby stanął na żądanie.

Było już dziesięć po czwartej, gdy autobus zostawił mnie na pastwę burzy przy samym końcu ulicy Balmes. Wznosząca się przede mną aleja Tibidabo falowała pod ołowianym niebem niczym wodna fatamorgana. Policzyłem do trzech i rzuciłem się biegiem przed siebie. Po kilku minutach, przemoczony do suchej nitki, dygocąc z zimna, schroniłem się w jakiejś bramie, żeby złapać oddech. Oszacowałem długość odcinka, jaki mi pozostał. Lodowate porywy burzy przysłańały szarym welonem nierzeczywiste otoczenie pograżonych we mgle pałacyków i domów. Pośród nich wznosiła się ciemna i samotna baszta pałacyku Aldayów. Odgarnąłem z czoła mokre włosy i ponownie zacząłem biec w tamtym kierunku całkowicie bezludną ulicą.

Otwarta furtka kłapała na wietrze. Za nią widać było dróżkę prowadzącą do domu. Przemknąłem się do środka. Pośród zarośli dostrzec można było puste piedestały po bezlitośnie pozrzuconych posągach. Gdy zbliżyłem się do domu, zauważyłem, że posąg, przedstawiający jednego z archaniołów, archanioła Uriela, został wrzucony do ogrodowej fontanny. Sylwetka z poczerńiałego marmuru lśniła upiornie spod powierzchni wody wylewającej się ze zbiornika. Z fontanny wychylała się dłoń anioła światłości; oskarżycielski palec, zaostrzony jak bagnet, wskazywał główne wejście do domu. Rzeźbione dębowe drzwi były uchylone. Pchnąłem je i nie bez strachu wszedłem do przypominającego jaskinię hallu, którego ściany drgały od

przytulnego ciepła świecy.

– Już myślałam, że nie przyjdiesz – usłyszałem głos Bei.

W jednym z odchodzących w półmrok korytarzy można było dostrzec sylwetkę Bei odcinającą się na tle bladej jasności napływającej z daleka. Siedziała na krześle, oparta o ścianę, ze świecą u stóp.

– Zamknij drzwi – rozkazała, nie wstając. – Klucz jest w zamku.

Posłuchałem. Zamek zachrzęścił grobowym echem.

Usłyszałem kroki nadchodzącej Bei i przez całkiem przemoczone ubranie poczułem dotyk jej ręki.

– Trzęsiesz się. Z zimna czy ze strachu?

– Jeszcze nie wiem. Co my tutaj robimy?

Uśmiechnęła się w półmroku i wzięła mnie za rękę.

– Nie wiesz? A wydawało mi się, że zgadniesz...

– To był dom Aldayów, tyle wiem. Jak ci się udało wejść i skąd o nim wiedziałaś?

– Chodź, rozpalimy ogień, żebyś się ogrzał.

Poprowadziła mnie korytarzem ku przylegającej do wewnętrznego patia galerii. Salon zbudowany był wokół marmurowych kolumn unoszących się ku kasetonowemu, rozpadającemu się teraz na kawałki, stropowi. Na gołych ścianach widać było plamy po wiszących tu kiedyś obrazach i lustrach, tak jak na marmurowej podłodze widniały ślady po meblach. W kominku w salonie leżały przygotowane polana. Obok sterta starych gazet. Kominek pachniał świeżym drewnem i popiołem. Bea uklękła, by wcisnąć między szczapy zmiętą gazetę. Przytknęła płonąca zapalną, wywołując natychmiast wybuch płomieni. Ręce Bei układały polana z dużą biegłością. Pomyślałem, iż pewnie wyobraża sobie, że zżera mnie ciekawość i niecierpliwość, ale postanowiłem przyjąć postawę wyrażającą opanowanie i flegmę, by dać jej do zrozumienia, że jeśli chce bawić się ze mną w jakieś dziwne tajemnice, to przegraną ma już w kieszeni. Rozpływała się w tryumfującym uśmiechu. Moje drżące ręce wyraźnie rozmijały się z moim postanowieniem.

– Często tu przychodzisz? – spytałem.

– Dziś jestem tu po raz pierwszy. Zdziwiony?

– Trochę.

Uklękła przy ogniu, wyjęła z torby koc i rozłożyła go. Pachniał lawendą.

– Usiądź tutaj, blisko ognia, bo jeszcze zapalenia płuc się przeze mnie nabawisz.

Ciepło kominka przywróciło mnie do życia. Bea w milczeniu, zahipnotyzowana, przyglądała się płomieniom.

– No i co z tym sekretem? – zapytałem w końcu.

Westchnęła i usiadła na jednym z krzeseł. Ja zostałem przy kominku, przyglądając się parze unoszącej się z mojego ubrania.

– Dom, który ty nazywasz pałacikiem Aldaya, w rzeczywistości ma swoją własną nazwę – Mglisty Anioł – ale prawie nikt o tym nie wie. Agencja mego ojca od piętnastu lat bezskutecznie usiłuje go sprzedać... Gdy opowiadałeś mi historię Juliana Caraxa i Penélope Aldayi, nie zwróciłam na to uwagi. Wieczorem, w domu, zaczęłam wszystko kojarzyć i przypomniało mi się, że słyszałam, jak kiedyś ojciec coś mówił o tym domu i o rodzinie Aldayów. Wczoraj poszłam do biura ojca i jego sekretarz Casarus opowiedział mi historię domu. Wiedziałaś, że to nie była ich główna rezydencja, ale jeden z domów letnich?

Zaprzeczyłem.

– Właściwą rezydencją Aldayów był pałac, zburzony w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku pod wielopiętrową kamienicę, położony w miejscu, w którym dziś jest skrzyżowanie ulic Bruch i Mallorca. Zaprojektowali go Puig i Cadafalch na zlecenie dziadka Penélope i Jorge, Simona Aldayi, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, w czasach, gdy były tam tylko pola i chwasty. Najstarszy zaś syn patriarchy Simona, don Ricardo Aldaya, kupił ten właśnie cieszący się złą sławą dom za bezcen w początkach dwudziestego wieku od pewnej malowniczej postaci. Casarus powiedział mi, że dom jest przeklęty i że nawet agenci nieruchomości nie mają odwagi przyjść, żeby go obejrzeć i unikają wizyt jak ognia...

Tamtego wieczoru, podczas gdy ja się ogrzewałem przy kominku, Bea opowiedziała mi historię o tym, jak Mglisty Anioł trafił w ręce rodziny Aldaya. Opowieść brzmiała jak melodramat, który równie dobrze mógł zostać napisany przez Juliana Caraxa. Dom został zbudowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku przez zespół architektów, Nauli, Martorell i Bergada, na zlecenie bogatego i ekstrawaganckiego finansisty Salvadora Jausy, który w rezultacie był jego lokatorem zaledwie przez rok. Ów kataloński potentat, skromnego nader pochodzenia, sierota od szóstego roku życia, zbił większość swej fortuny na Kubie i Portoryko. Mówiono, że między innymi to dzięki jego intrygom i manipulacjom doszło do klęski w wojnie o Kubę ze Stanami Zjednoczonymi i utraty ostatnich kolonii. Z Nowego Świata przywiózł coś więcej niż majątek: towarzyszyła mu amerykańska żona, blada i delikatna damulka z filadelfijskich wyższych sfer, niemówiąca słowa po hiszpańsku, oraz kubańska służąca, Mulatka, pracująca u niego od wielu lat, podróżująca z siedmioma kuframi bagażu i zamkniętą w klatce małpką ubraną w strój arlekina. Przyjechawszy do Barcelony, wynajęli kilka pokoi w hotelu Colón na placu Cataluña, w oczekiwaniu na zakup domu odpowiadającego gustom i aspiracjom finansisty.

Nikt nie miał wątpliwości, że służąca – hebanowa piękność obdarzona spojrzeniem i smukłą kibicią, według kronik często przyprawiająca nieomal o zawały – była w rzeczywistości jego kochanką i przewodniczką po mrocznych i zdrożnych rozkoszach. Wiedźma i cyganicha – bez dwóch zdań. Miała na imię Marisela, przynajmniej tak nazywał ją Jausà, a jej aparycja i tajemnicze zachowanie wkrótce stały się ulubionym tematem herbatek, którymi panie z najszacowniejszych rodzin zabijały czas i jesienną nudę, pojadając ciasteczka. Na owych towarzyskich spotkaniach zaczęły krążyć plotki, głoszące, że afrykańska samica, za podszeptem mocy

piekielnych, cudzołożyla, siedząc na samcu, szalejąc niczym klacz w rui, popełniając tym samym co najmniej pięć lub sześć grzechów śmiertelnych. Nie brakło więc listów do kurii, upraszających o specjalne błogosławieństwo chroniące nieskalane i dziewicze duszyczki członków szacownych rodzin Barcelony przed podobnym wpływem. Na domiar złego Jausà miał w zwyczaju wyjeżdżać powozem na spacer w niedzielny poranek wraz z żoną i Mariselą, wystawiając na widok publiczny swe babilońskie wyuzdanie, nie oszczędzając przy tym niewinnych dzieciątek, udających się w tym czasie Paseo de Gracia na mszę o jedenastej. Nawet dzienniki pisały o wyniosłym i dumnym spojrzeniu czarnuchy, spoglądającej na barcelońską publikę tak, jak królowa dzungli patrzyłaby na bractwo Pigmejów.

W tamtych czasach modernistyczna gorączka już ogarniała Barcelonę, ale Jausà wyraźnie oznajmił swoim architektom, że pragnie czegoś innego. W jego słowniku „inny” było najlepszym epitetem. Spędził lata, spacerując wzdłuż wybudowanych dla wielkich magnatów amerykańskiej ery przemysłowej neogotyckich rezydencji, stojących przy Piątej Alei między 58 a 72 ulicą naprzeciw wschodniej strony Central Parku. Zaślepiiony swoimi amerykańskimi marzeniami, finansista nie chciał słuchać żadnych argumentów, by budować zgodnie z obowiązującą właśnie modą, tak samo jak odmówił wykupienia łoża w teatrze Liceo, co z racji statusu wypadało mu uczynić, określając barcelońską operę jako wieżę Babel głuchych i ul nieproszonych gości. Pragnął domu oddalonego od miasta, przy względnie spokojnej wówczas alei Tibidabo. Mówił, że pragnie oglądać Barcelonę z daleka. Do towarzystwa pragnął jedynie rzeźb aniołów w ogrodzie, które według jego wskazówek (przekazanych przez Mariselę) miały być ustawione na końcach siedmioramiennej gwiazdy. Zdecydowany doprowadzić swoje plany do końca i posiadając pełne skrzynie pieniędzy na spełnienie swojego kaprysu, Salvador Jausà wysłał swych architektów na trzy miesiące do Nowego Jorku, żeby przestudiowali szalone konstrukcje wzniesione jako siedliska komandora Vandervilta, rodziny Johna Jacoba Astora, Andrew Camegiego i pozostałych pięćdziesięciu najbogatszych rodów. Wydał odpowiednie instrukcje, żeby przyswoili sobie styl i techniki

warsztatowe pracowni McKim, Mead & White, i ostrzegł ich, że jeśli mają mu dostarczyć projekt zgodny z gustem tych, których określał jako „kielbaśników i fabrykantów guzików”, to mogą się nie fatygować.

Rok później trzech architektów pojawili się w pełnych przepychu pokojach hotelu Colón, żeby przedstawić projekt. Jausà, w towarzystwie Mulatki Mariseli, wysłuchał ich w milczeniu i po zakończeniu prezentacji zapytał, ile by kosztowało wybudowanie domu w sześć miesięcy. Frederic Martorell, główny szef pracowni architektonicznej, odchrząknął, dla przyzwoitości zanotował sumę na kartce papieru i podał potentatowi. Ten bez mrugnięcia okiem od razu wypisał czek na całą kwotę i pożegnał architektów obojętnym gestem. Siedem miesięcy później, w lipcu tysiąc dziewięć – setnego roku, Jausà, jego małżonka i służąca Marisela wprowadzali się do domu. W sierpniu tegoż roku obydwie kobiety już nie żyły, a policja odnalazła Salvadora Jausę w agonii, nagiego i przykutego do fotela w gabinecie. Raport sierżanta prowadzącego sprawę wspominał, że ściany w całym domu były zakrwawione, posągi aniołów, okrążające ogród, rozbite, ich twarze pomalowane jak rytualne maski – i że na cokołach znaleziono resztki czarnych świec. Dochodzenie trwało osiem miesięcy. W tym czasie Jausà stracił mowę.

Policyjne śledztwo doprowadziło do następujących wniosków: wszystko wskazywało na to, że Jausà i jego żona zostali otruci wyciągiem roślinnym podanym im przez Mariselę, w której pokojach odnaleziono kilka flakonów płynu. Dziwnym trafem Jausà przeżył, choć skutki trucizny były straszliwe: stracił mowę i słuch, był częściowo sparaliżowany, skazany na nieustającą agonię przez resztę swoich dni. Jego żona została odnaleziona w sypialni, wyciągnięta na łożu i ubrana tylko w klejnoty i brylantową bransoletkę. Policja przypuszczała, że Marisela, po popełnieniu zbrodni, podcięła sobie żyły nożem i obeszła cały dom, chlustając krwią na ściany pokoi i korytarzy, aż padła trupem w swojej izbie na poddaszu. Według policji powodem zbrodni była zazdrość. Przypuszczalnie żona potentata była w ciąży. Rozpowiadano, że Marisela narysowała gorącym czerwonym lakiem trupią czaszkę na jej brzuchu. Sprawa, tak samo jak usta Salvadora Jausy, została zamknięta na zawsze kilka miesięcy później.

Towarzystwo barcelońskie mówiło, że w historii miasta nigdy nic podobnego się nie wydarzyło i że napływ Indian i gminu z Ameryki niszczy zdrową tkankę moralną kraju. Po cichu wielu się cieszyło, że dziwactwa Salvadora Jausy dobiegły końca. Jak zwykle się pomylili: one dopiero się zaczynały.

Policja i adwokaci Jausy zatroszczyli się o to, by zamknąć sprawę, ale sam Jausà był zdecydowany ją kontynuować. W owym właśnie czasie poznał don Ricarda Aldayę, odnoszącego swe pierwsze sukcesy przemysłowca, cieszącego się sławą uwodziciela, obdarzonego temperamentem drapieżcy, który zaofiarował się odkupić dom z zamiarem wyburzenia go, by po jakimś czasie odsprzedać teren za znacznie większe pieniądze, wartość ziemi w tej części Barcelony rosła bowiem jak na drożdżach. Jausà odmówił sprzedaży domu, niemniej zaprosił Aldayę do siebie, by zademonstrować mu coś, co określił jako eksperyment tyleż naukowy, co duchowy. Od zamknięcia śledztwa nikt nie przekroczył progu posesji. To, co Aldaya zobaczył w środku, zmroziło go. Jausà zupełnie stracił rozum. Ciemne plamy krwi Mariseli nadal pokrywały ściany. Jausà zaprosił również wynalazcę i pioniera wdrażania jednej z nowinek technologicznych, jakim był kinematograf. Nazywał się Fructuós Gelabert, a przystał na prośby Jausy, w zamian za środki na wybudowanie studiów kinematograficznych w Valles, przekonany, że w dwudziestym wieku animowane obrazy zastąpią zorganizowaną religię. Jausà najwyraźniej był pewien, że duch czarnej Mariseli przebywa w domu. Dawał do zrozumienia, że czuje jej obecność, zapach, dotknięcia w ciemności, a nawet słyszy jej głos. Służba po usłyszeniu tych rewelacji natychmiast się ewakuowała, by wynajść się do mniej nerwowych prac w sąsiedniej miejscowości Sarria, gdzie nie brakowało pałaców i rodzin, które nie potrafią napełnić dzbanka wodą ani zacerować sobie skarpetek.

Jausà pozostał więc sam ze swoją obsesją i niewidzialnymi duchami. Szybko doszedł do wniosku, że rozwiązanie tkwi w pokonaniu bariery niewidzialności. W swoim czasie miał okazję zapoznać się w Nowym Jorku z efektami nowego wynalazku i podzielał opinię zmarłej Mariseli, że kamera wysysa duszę zarówno osoby filmowanej, jak i widza. Poleciał zatem Fructuosowi Gelabertowi

nakręcenie nieskończonej liczby metrów filmu na korytarzach Mglistego Anioła w poszukiwaniu znaków i wizji z tamtego świata. Dotychczasowe próby, pomimo stawy fachowca kierującego operacją, niczego nie przyniosły.

Wszystko się zmieniło, gdy Gelabert oznajmił, że otrzymał nowy rodzaj czułego materiału z fabryki Thomasa Edisona z Menlo Park, New Jersey, który pozwalał jak nigdy dotąd na filmowanie scen przy bardzo słabym oświetleniu. W nigdy niewyjaśnionych okolicznościach jeden z pomocników w laboratorium Gelaberta wylał wino musujące ze szczepu xarelo, pochodzące z Penedes, do kuwety z wywoływaniem filmem i w wyniku reakcji chemicznej na wywołanej kliszy zaczęły się pojawiać dziwne kształty. Ten właśnie film chciał Jausà pokazać don Ricardowi Aldayi w noc, w którą zaprosił go do swej widmowej posiadłości pod numerem trzydziestym drugim w alei Tibidabo.

Aldaya, usłyszawszy ową historię, wyraził przypuszczenie, że Gelabert obawiał się wyschnięcia środków hojnie dostarczanych przez Jausè i uciekł się do jarmarcznej sztuczki, by utrzymać zainteresowanie swego mocodawcy. Jausè jednak nie wątpił w najmniejszym stopniu w wiarygodność przedstawianych mu rezultatów. Mało tego, tam, gdzie inni widzieli kształty i cienie, on widział dusze. Przekonywał, że widzi sylwetkę Mariseli materializującą się na rozwieszonym prześcieradle, cień, który przeistacza się w stojącego na dwóch łapach wilka. Ricardo Aldaya poza plamą niczego więcej nie dostrzegł, ponadto twierdził, że zarówno prezentowany film, jak i technik obsługujący projektor cuchnęli winem i innymi napojami spirytusowymi. Mimo wszystko, ponieważ był rasowym przedsiębiorcą, wyczuł, że cała ta sytuacja mogłaby okazać się dlań nader korzystna. Zwariowany, samotny i ogarnięty obsesją złapania ektoplazmy milioner stanowił wymarzoną ofiarę. Aldaya skwapliwie przytakiwał więc, zachęcając zarazem Jausè, by ten kontynuował swe badania. Całymi tygodniami Gelabert i jego pracownicy kręcili kilometry filmów, wywoływanych następnie w różnych kuwetach napełnionych mieszankami chemikaliów rozcieńczonych Aromas de Montserrat – czerwonym winem pobłogosławionym w parafii Ninot, oraz wszelakiego rodzaju winami musującymi z tarragońskich winnic. Między jedną projekcją a drugą

Jausà udzielał pełnomocnictw, podpisywał upoważnienia i przekazywał kontrolę nad swoimi zasobami finansowymi Ricardowi Aldayi.

Jausà zniknął podczas burzy w listopadową noc owego roku. Nikt nie miał pojęcia, co się z nim stało. Ponoć wyświetlał rolkę specjalnego filmu Gelaberta, gdy uległ wypadkowi. Don Ricardo Aldaya polecił Gelabertowi odzyskać rolkę, a obejrzawszy samemu film, osobiście spalił taśmę i dał do zrozumienia fachowcowi, by o wszystkim zapomniał, podbudowując swą argumentację nieodparcie hojnym czekiem. Był już wtedy nominalnym właścicielem większości dóbr zaginionego Jausy. Byli tacy, co twierdzili, iż nieboszczka Marisela wróciła, by porwać go ze sobą do piekła. Inni głosili, że przez kilka miesięcy spotykano na obrzeżach cytadeli żebraka do złudzenia przypominającego zmarłego milionera, póki nie przejechała go w biały dzień czarna karoca o zasłoniętych oknach. Ale i tak już było za późno: czarnej legendzie tej posiadłości i pogłoskom uparcie powtarzanym w barcelońskich salonach nie udało się już zapobiec.

Kilka miesięcy później don Ricardo Aldaya przeprowadził swą rodzinę do budynku przy alei Tibidabo, gdzie po dwóch tygodniach narodziła mu się najmłodsza córka, Penélope. Żeby to uczcić, Aldaya przechrzcił dom na Villa Penélope. Nowa nazwa jednak nigdy się nie przyjęła. Dom zachował właściwy sobie charakter i był odporny na wpływy nowych właścicieli. Nowi lokatorzy skarżyli się na rozlegające się w nocy dziwne hałasy, pukanie w ściany i unoszące się z nagła fetory zgnilizny czy pojawiające się niczym błędni wartownicy zimne przeciągi. Rezydencja pełna była tajemnic. Posiadała dwupoziomą piwnicę, z rodzajem niezagospodarowanej krypty na dole i z kaplicą na górze, zdominowaną przez ogromny, polichromowany krzyż z Chrystusem, który całej służbie wydawał się niepokojąco podobny do Rasputina, bardzo wówczas popularnej postaci. Książki w bibliotece ciągle zmieniały swoje miejsce na półkach. Na trzecim piętrze znajdował się pokój, którego nie używano ze względu na pojawiające się na ścianach ni stąd, ni zowąd zacieki, przybierające wygląd niewyraźnych twarzy. Świeże kwiaty więdły w nim po kilku minutach i zawsze słychać tam było bzyczenie much, choć nie sposób było je dostrzec.

Kucharki zapewniały, że niektóre artykuły, takie jak cukier, znikają ze spiżarni, a mleko w pełni Księżyca zabarwiało się na czerwono. Co jakiś czas pod drzwiami niektórych pokoi znajdowano zdechłe ptaki lub gryzonie. Stwierdzano również nagłe znikanie przedmiotów, szczególnie biżuterii i guzików z odzieży chowanej w szafach i szufladach. Co poniektóre zaginione przedmioty jak za zaklęciem odnajdowały się kilka miesięcy później w odległym kącie domu albo zakopane w ogrodzie. Nigdy nie odnajdowano ich ot tak po prostu. Don Ricardo wszystkie te dziwy traktował jako zabobony i wygłupy zamożnych ludzi. Był przekonany, że tygodniową głodówką skutecznie wyleczyłby swą rodzinę ze strachów. Nie potrafił jednakże z równym spokojem przyjmować kradzieży kosztowności swej żony. Każde zniknięcie klejnotów ze szkatuły pani Aldayi kończyło się wyrzuceniem kolejnej służącej, mimo iż każda z płaczem zapewniała o swej niewinności. Co bystrzejsze skłonne były jednak przypuszczać, że rzecz nie była w żadnych tajemniczych duchach, ale w nieszczęsnym zwyczaju don Ricarda nawiedzania o północy sypialni młodych służących ku pozamałżeńskim swawolom. Jego sława w tym względzie dorównywała jego fortunie, a nie brakowało i takich, którzy twierdzili, że miarkując z jego wyczynów, spłodzeni przez niego bękarci mogliby założyć własny związek zawodowy. Ale nie tylko kosztowności ginęły. Z czasem cała rodzina Aldayów utraciła radość życia.

Nigdy nie byli szczęśliwi w tym domu, zdobytym dzięki kupieckim fortelom don Ricarda. Pani Aldaya bez przerwy błagała męża, żeby sprzedał dom i by przeprowadzili się do rezydencji w mieście, czy nawet wrócili do pałacu, jaki Puig i Cadafalch zbudował dla dziadka Simona, patriarchy klanu. Ricardo Aldaya niezmiennie odmawiał. Przebywał nieustannie już to w podróżach, już to w należących do rodziny przedsiębiorstwach i nie dostrzegał, by dom był przyczyną jakichś problemów. Pewnego razu mały Jorge zaginął wewnątrz na osiem godzin. Matka wraz ze służbą szukała go rozpaczliwie, lecz bez skutku. Chłopiec, gdy się odnalazł, blady i oszołomiony, wyznał, że cały czas był w bibliotece w towarzystwie tajemniczej czarnej kobiety, która pokazywała mu stare fotografie i powiedziała, że wszystkie kobiety z jego rodziny umrą w tym domu, by odkupić grzechy swych

mężczyzn. Tajemnicza dama nawet ujawniła małemu Jorge datę śmierci jego matki: dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku. Na ślad tej kobiety nigdy już oczywiście nie natrafiono, niemniej parę lat później, o świcie dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku, pani Aldaya została odnaleziona martwa w swoim łóżu. Zniknęły wszystkie jej klejnoty. Przy pogłębianiu studni na dziedzińcu jeden z robotników odnalazł je na dnie, w mule, razem z lalką należącą do Penélope.

Tydzień później don Ricardo Aldaya postanowił pozbyć się domu. Jego imperium finansowe było już śmiertelnie ranne i nie brakowało osób insynuujących, że dzieje się tak z winy przeklętego domu, ściągającego nieszczęście na tych, którzy w nim zamieszkiwali. Inni, rozważniejsi, ograniczali się do twierdzenia, że Aldaya nigdy nie zrozumiał transformacji rynkowych i że przez całe życie jedynie niszczył i rujnował firmę, stworzoną przez patriarchę Simona. Ricardo Aldaya ogłosił, że opuszcza Barcelonę i przenosi się z rodziną do Argentyny, gdzie posiada świetnie prosperujące fabryki tekstylne. Wielu mówiło, że ucieka przed klęską i wstydem.

W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku Mglisty Anioł został wystawiony na sprzedaż za śmieszoną cenę. Na początku zainteresowanie było bardzo duże ze względu zarówno na dreszczyk emocji, jak i rosnący prestiż dzielnicy, ale po obejrzeniu domu w środku żaden z ewentualnych nabywców nie decydował się na kupno. W tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku pałacyk został zamknięty. Tytuł własności został przeniesiony na firmę, której Aldaya był dłużnikiem, z zamiarem sprzedaży domu lub jego wyburzenia czy też w jakimkolwiek innym celu. Przez lata dom był oferowany do sprzedaży, ale wciąż brakowało chętnego do jego kupna. Firma posiadająca tytuł jego własności, Botell i Llofré S.L., zbankrutowała w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, po wtrąceniu głównych udziałowców do więzienia pod nigdy niewyjaśnionymi do końca zarzutami. Obaj zginęli tragicznie w wypadku w więzieniu San Vicens w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Firma została przejęta przez madryckie konsorcjum finansowe, którego współnikami byli trzej generałowie, szwajcarski bankier, a

dyrektorem wykonawczym pan Aguilar, ojciec Tomasa i Bei. Mimo ogromnych wysiłków żadnemu z agentów, którymi kierował Aguilar, nie udało się sprzedać domu, nawet gdy proponowano mocno zaniżoną cenę. Od ponad dziesięciu lat nikt nie przekroczył jego progu.

– Do dzisiaj – powiedziała Bea i pogрузzyła się w typowym dla siebie milczeniu.

Z czasem miałem się przyzwyczaić do tego milczenia, nagłego zawieszenia głosu, zamykania się w sobie, błędzenia gdzieś wzrokiem daleko.

– Bardzo chciałam pokazać ci to miejsce. I sprawić ci niespodziankę. Słuchając Casasusa, powiedziałam sobie, że muszę cię tu przyprowadzić, bo to jest część twojej historii, Caraxa i Penélope. Wzięłam klucz z biura ojca. Nikt nie wie, że tu jesteśmy. To nasza tajemnica. Chciałam się nią podzielić z tobą. I nie byłam pewna, czy przyjdiesz.

– Nie miałaś najmniejszej wątpliwości.

Przytaknęła z uśmiechem.

– Wierzę, że nic nie dzieje się przez przypadek, wiesz? We wszystkim zawarty jest tajemny zamysł, którego nie pojmujemy. Na przykład w tym, że znalazłeś książkę Caraxa na Cmentarzu Zapomnianych Książek, czy też w tym, że i ty, i ja jesteśmy tutaj teraz, w domu należącym kiedyś do Aldayów. Wszystko stanowi część czegoś, czego nie możemy pojąć, ale co nami włada.

Podczas gdy ona mówiła, moja dłoń niezgrabnie przesuwiała się z jej łydki w kierunku kolana. Bea spojrzała na nią jak na owada, który zdołał się tam niechcący wdrapać. Zacząłem gorączkowo zastanawiać się, co by zrobił Fermín w takiej chwili. Gdzie się podziały wszystkie jego nauki, właśnie teraz, kiedy najbardziej by mi się przydały?

– Tomás mówi, że nigdy nie chodziłeś z dziewczyną – powiedziała Bea, jakby to tłumaczyło wszystko.

Zabrałem dłoń i zdruzgotany, opuściłem wzrok. Miałem wrażenie, że Bea się uśmiecha, ale wolałem nie sprawdzać.

– Twój braciszek niby taki milczek, a jak przychodzi co do czego, to język mu lata jak łopata. Co jeszcze o mnie wygaduje?

– Mówi, że przez długi czas byłeś zakochany w starszej od siebie

kobiecie i że z miłości pękło ci serce.

– Jedyne, co mi pękło, to warga, za to najadłem się wstydu.

– Tomás mówi, że potem nie umawiałeś się z żadną dziewczyną, bo wszystkie porównywałeś do tej kobiety.

Kochany Tomás i jego ciosy poniżej pasa.

– Na imię ma Klara – rzekłem.

– Wiem. Klara Barceló.

– Znasz ją?

– Każdy zna jakąś Klarę Barceló. Mniejsza o imię.

Milczeliśmy przez chwilę, patrząc na trzaskający ogień.

– Wczoraj w nocy napisałam list do Pabla – powiedziała Bea.

– Do twojego narzeczonego porucznika? Po co?

Bea wyjęła kopertę z kieszeni bluzki i pokazała mi ją. Była zaklejona i zapieczętowana.

– Napisałam mu, że chcę, żebyśmy się pobrali jak najszybciej, w ciągu miesiąca, jeśli to możliwe, i że chcę wyjechać na zawsze z Barcelony.

Wytrzymałem jej nieprzeniknione spojrzenie, niemal drząc.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo chcę, żebyś mi powiedział, czy mam go wysłać, czy nie.

Dlatego cię tu dziś sprowadziłam, Danielu.

Przyjrzałem się kopercie, którą obracała w palcach jak kości do gry.

– Spójrz na mnie – powiedziała.

Podniosłem wzrok i wytrzymałem spojrzenie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Bea opuściła wzrok i oddaliła się w głąb korytarza. Znajdowały się tam drzwi wychodzące na marmurową balustradę prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec. Patrzyłem jak jej sylwetka rozmywa się w deszczu. Poszedłem za nią i zatrzymałem ją, wyrywając kopertę z rąk. Deszcz smagał jej twarz, zmywając łzy i złość. Wprowadziłem ją z powrotem do środka i pociągnąłem ku ciepłu z kominka. Nie patrzyła mi w oczy. Wziąłem kopertę i wrzuciłem do ognia. Patrzyliśmy, jak płonie, a stronice parują w strużkach błękitnego dymu. Bea przyklękła obok mnie ze łzami w oczach. Objąłem ją i poczułem jej oddech na szyi.

– Nie pozwól mi upaść, Danielu – szepnęła.

Najmądrzejszy człowiek jakiego znałem, Fermín Romero de

Torres, powiedział mi kiedyś, że żadnego z przeżyć nie da się porównać z tym, gdy mężczyzna po raz pierwszy rozbiera kobietę. Nie okłamał mnie, ale i nie powiedział całej prawdy. Nic nie powiedział o dziwnym drzeniu rąk, zamieniającym rozpięcie każdego guzika, przesunięcie suwaka, w zadanie przerastające siły. Nic nie powiedział o uroku jasnej i drżącej skóry, o pierwszym muśnięciu ust ani omamach unoszących się z każdego skrawka ciała. Nie opowiedział mi o tym, ponieważ wiedział, że cud zdarza się tylko raz, a gdy się objawia, przemawia językiem tajemnic, które ujawni – się, giną na zawsze. Tysiące razy chciałem odzyskać to pierwsze popołudnie z Beą w rezydencji w alei Tibidabo, gdy szum deszczu pochłonął cały świat. Tysiące razy chciałem wrócić i zagubić się we wspomnieniu, z którego zaledwie mogę odzyskać wizerunek wykradziony ciepłu płomieni Bea, naga i lśniąca od deszczu, nieopodal kominka, otwarta w nieskrępowanym spojrzeniu, które od tamtej chwili prześladowało mnie nieustannie. Pochyliłem się nad nią i delikatnie dotknąłem skóry brzucha. Bea opuściła powieki, zamknęła oczy i uśmiechnęła się do mnie, pewna siebie i silna.

– Rób ze mną, co chcesz – szepnęła.

Miała siedemnaście lat, a jej usta były pełne życia.

Było już po zmierzchu, gdy opuściliśmy rezydencję, spowici w błękitne cienie. Jedynym śladem po burzy były podmuchy zimnej mżawki. Chciałem oddać Bei klucz, ale dała mi znać spojrzeniem, żebym go sobie wziął. Zeszliśmy do alei San Gervasio, łudząc się, że lada chwila uda nam się złapać taksówkę albo autobus. Szliśmy w milczeniu, trzymając się za ręce i nie patrząc na siebie.

– Dopiero we wtorek będę mogła się z tobą zobaczyć – powiedziała Bea drżącym głosem, jakby nagle zwątpiła w moją chęć ponownego spotkania.

– Będę tu czekał na ciebie – powiedziałem.

Za rzecz oczywistą uznałem, że będę spotykać się z Beą wyłącznie w ścianach tej starej rezydencji, bo pozostała część miasta była nie dla nas. Odniosłem nawet wrażenie, że im bardziej oddalaliśmy się od starego domu, tym słabiej trzymała moją rękę i tym chłodniejsza stawała się jej dłoń. Gdy dotarliśmy do alei, ulice były właściwie wyludnione.

– Tu nic nie znajdziemy – powiedziała Bea. – Lepiej idźmy do Balmes.

Ruszyliśmy ku ulicy Balmes szybkim krokiem, starając się iść pod drzewami, by zmoknąć jak najmniej i być może nie patrzeć sobie w oczy. Wydawało mi się, że Bea chwilami przyspiesza, niemal mnie ciągnie. Nawet pomyślałem, że jeśli puszcze jej rękę, to zacznie biec. Moja wyobraźnia, pijana jeszcze od dotyku i smaku jej ciała, zajęta była jedynie myślą, by posadzić Beę na ławce, całować bez końca i wyrzucić z siebie potok głupot, po których wysłuchaniu każdy padłby ze śmiechu. Ale Bea była już nieobecna. Coś ją zżerało od środka, po cichu i bezlitośnie.

– Co się dzieje? – szepnąłem.

Odpowiedziała mi pękniętym uśmiechem strachu i samotności. Spojrzałem wówczas na siebie jej oczami i zobaczyłem ledwo

wyrośniętego chłopaka, któremu wydaje się, że zdobył świat cały w ciągu godziny, ale jeszcze nie wie, że może go stracić w minutę. Szedłem jednak dalej obok Bei, nie oczekując odpowiedzi. W końcu otrzeźwiałem. Wkrótce doszedł nas uliczny gwar i powietrze wydawało się zasklepić niczym pęcherzyk gazu w ciepłej latarni i sygnalizacji ulicznych, które przywiodły mi na myśl niewidzialną ścianę.

– Rozstańmy się tutaj, tak będzie lepiej – powiedziała Bea, puszczając moją dłoń.

Na rogu dostrzec można było światła postoju taksówek – pochód światełek.

– Jak chcesz.

Pochyliła się i musnęła mój policzek wargami. Jej włosy pachniały woskiem.

– Bea – zacząłem ze ściśniętym gardłem – ja cię kocham...

Pokręciła głową w milczeniu, kładąc mi dłoń na ustach, jakby moje słowa ją raniły.

– We wtorek o szóstej, dobrze? – zapytała.

Przytaknąłem ponownie. Widziałem, jak odchodzi i wsiada do taksówki, prawie nieznamą osobą. Jeden z taksówkarzy, który obserwował naszą rozmowę okiem sędziego liniowego, spojrzał na mnie z ciekawością.

– No to jak? Jedziemy do domu, szefie?

Wsiadłem bezmyślnie. Taksówkarz spoglądał na mnie z lusterka, a ja ostatecznie traciłem z oczu samochód odwożący Beę, dwa świetne punkciki tonące w czarnej studni.

Udało mi się zasnąć dopiero wtedy, gdy świt zaczął wylewać na okno mojego pokoju sto odcieni coraz bardziej ponurej szarości. Obudził mnie Fermín rzucający kamyczkami w moje okno z przykościelnego placu. Okryłem się byle czym i zbiegłem otworzyć księgarnię. Fermín był pełen wczesnoponiedziałkowego entuzjazmu. Podnieśliśmy kratę i powiesiliśmy tabliczkę OTWARTE.

– No, nieźle mamy podkrążone oczy. Szare jak Murzyn w tunelu. Od razu widać, że wyciągnął pan kasztany z ognia.

Wróciwszy na zaplecze, włożyłem swój niebieski fartuch i podałem

Ferminowi jego, a raczej go cisnąłem. Złośliwie się uśmiechając, złapał go w locie.

– Raczej ogień pochłonał kasztany i mnie – odciąłem się.

– Poetyckie brewerie niech pan zostawi don Ramonowi Gómez de la Serna, pańskie twory są anemiczne. No dobra, opowiadaj.

– Co mam opowiadać?

– Wybór należy do pana. Jeśli o mnie chodzi, może pan zacząć od ilości trafień albo od opisu rund honorowych...

– Nie mam nastroju do żartów, Ferminie.

– Młodości, ty naiwności kwiecie. No dobra, ale radzę jednak ze mną nie zaczynać, bo akurat jestem w posiadaniu najświeższych wieści związanych z naszym dochodzeniem dotyczącym pańskiego przyjaciela Juliana Caraxa.

– Zamieniam się w słuch.

Obrzucił mnie spojrzeniem z arsenału zastrzeżonego dla intryg międzynarodowych: jedna brew znacząco uniesiona, druga złowieszczo drgająca. – Otóż tak się złożyło, iż wczoraj, odprowadziwszy do domu Bernardę, która nie doznała uszczerbku na cnocie, choć i owszem, zyskała parę siniaków na pośladkach, doświadczyłem, wskutek niekontrolowanych wzwodów wieczornych, bezsenności, którą to okoliczność spożytkowałem, udając się do jednego z ośrodków informacyjnych barcelońskiego półświatka, konkretnie zaś do tawerny Eliodora Salfumana, zwanego zimnodupkiem, lokalu nie najzdrowszego, acz pełnego swoistego kolorytu na ulicy Sant Jeroni, dumie i sercu dzielnicy Raval.

– Niech się pan streszcza, na miłość boską.

– Nic innego nie robię. Reasumując więc, gdym już się tam znalazł, witając się z niektórymi bywalcami i starymi druhami, przystąpiłem do indagowania, kogo się da, w sprawie Miquela Molinera, męża pańskiej Maty Hari, czyli Nurii Monfort, i domniemanego pensjonariusza miejskich hoteli penitencjarnych.

– Domniemanego?

– To najodpowiedniejsze słowo, bo czuję się w obowiązku nadmienić, iż w tym właśnie przypadku od domniemania do prawdy daleka droga. Z doświadczenia wiem, że jeśli chodzi o spisy i rejestry więziennej ludności, moi informatorzy z zakładu gastronomicznego są

bardziej wiarygodni niż krwio pijcy z Pałacu Sprawiedliwości, i mogę zaświadczyć, drogi Danielu, że przez dziesięć ostatnich lat co najmniej nikt nigdy nie słyszał o Miquelu Molinerze występującym w roli więźnia, aresztanta, osoby odwiedzającej, czy też w roli jakiegokolwiek żywej istoty, w więzieniach Barcelony.

– Być może przebywa w jakimś innym zakładzie karnym.

– Tak, oczywiście, w Alcatraz, Sing – Sing lub w Bastylii. Danielu, ta kobieta okłamała pana.

– Zaczynam podejrzewać, że tak.

– Niech pan nie podejrzewa, proszę to przyjąć do wiadomości.

– No dobrze, co teraz? Miquel Moliner to fałszywy trop.

– Albo ta Nuria jest tak szczwana, że wyprowadza nas w pole.

– Co pan proponuje?

– Na razie trzeba sprawdzić inne ślady. Sądzę, iż byłoby wskazane odwiedzić staruszkę, ową dobrą nianię z opowieści, jaką nam wczoraj rano zaserwował ksiądz dobrodziej.

– No, chyba nie podejrzewa pan, że niania też zniknęła.

– Nie, ale wydaje mi się, że już czas najwyższy, byśmy przestali się cackać i wisieć u cudzej klamki jak dziady proszalne. Tu trzeba ostro i sprytem. Zgadza się pan ze mną?

– Fermín, wszystko, co pan powie, to święte, tylko do mszy panu służyć.

– No to niech pan odkurzy komżę ministranta, bo wieczorem, po robocie, ruszamy do przytułku Santa Lucia złożyć staruszcze wizytę miłosierdzia. A teraz niech pan opowiada, jak poszło wczoraj z tą małą kłaczka? I niczego proszę nie przemilczać, bo czego mi pan nie opowie, to wyskoczy panu na twarzy jak trądzik.

Westchnąłem pokonany i wyznałem wszystko jak na spowiedzi. Gdy skończyłem moją opowieść, będącą zarazem wyznaniem lęków egzystencjalnych niedorozwiniętego gimnazjalisty, Fermín, ku memu zaskoczeniu, uścisnął mnie mocno.

– Pan jest zakochany – westchnął wzruszony, poklepując mnie po plecach. – Biedaczysko.

Tego wieczoru opuściliśmy księgarnię punktualnie, napotykając rzucone w naszą stronę stalowe spojrzenie ojca, który zaczynał podejrzewać, że zajmujemy się czymś nader mętnym, tak często

bowiem ostatnio wychodziliśmy razem. Fermín wymamrotał coś bez ładu i składu o pilnych zamówieniach, po czym nie czekając na odpowiedź, wymknęliśmy się szybko. Byłem przekonany, że wcześniej czy później będę musiał i tak wyjawić ojcu część tej historii, którą – to już zupełnie inna sprawa.

Po drodze, z właściwym sobie zamiłowaniem do folkloru brukowego, Fermín opowiedział mi wszystko o miejscu, do którego się udawaliśmy. Przytułek Santa Lucia, instytucja ciesząca się wątpliwą sławą, dogorywał we wnętrzu starego i zrujnowanego pałacu na ulicy Moncada. Otaczająca go legenda kreśliła obraz miejsca usytuowanego pomiędzy kostnicą i czyścem, w którym panowały straszliwe warunki sanitarne. A jego historia była co najmniej szczególna. Począwszy od wieku jedenastego, w gmachu tym mieściły się między innymi rezydencje nader szacownych rodów, więzienie, elegancki salon kurtyzan, biblioteka prohibitów, koszary, warsztaty rzeźbiarskie, przytułek dla trędowatych i klasztor. W połowie dziewiętnastego wieku rozpadający się właściwie pałac został przemieniony w muzeum cyrkowych deformacji i potworności przez ekstrawaganckiego przedsiębiorcę przedstawiającego się jako Laszlo de Vicherny, księżę Parmy i prywatny alchemik dworu Burbonów, ale który, żigolak i hochsztapler, jak później się okazało, nazywał się w rzeczywistości Baltasar Deulofeu i Carallot i był rodem z Esparraguery.

Chełpił się, iż posiada największą na świecie kolekcję ludzkich płodów w różnych fazach deformacji, przechowywanych w słojach z formaliną, by nie wspomnieć o jeszcze większej kolekcji nakazów aresztowania, wydanych przez policję połowy Europy i Ameryki. Jego Tenebrarium (tak nazwał Deulofeu swój zbiór) oferowało między innymi sesje spirytyzmu, nekromancji, walki kogutów, szczurów, psów, kobiet, kalek lub walki mieszane, nie mówiąc już o przyjmowaniu zakładów, prowadzeniu specjalizującego się w paralitykach i karłach zamtuзу, kasynie, doradztwie prawnym i finansowym, produkcji naparów miłosnych, wreszcie scenie teatralnej, na której prezentowano miejscowy folklor, przedstawienia kukielkowe i parady egzotycznych tancerek. Na święta Bożego Narodzenia wystawiano żywą szopkę, w której występowała załoga

muzeum i burdelu; sława tego przedstawienia docierała do najdalszych krańców prowincji.

Tenebrarium cieszyło się ogromnym powodzeniem przez piętnaście lat, ale gdy wyszło na jaw, że w ciągu jednego tygodnia Deulofeu uwiódł żonę, córkę i teściową wojskowego gubernatora prowincji, wstyd i hańba spadły na miejsce rozrywki i jego twórcę. Zanim Deulofeu zdołał zbiec z miasta i skryć się za jedną ze swych licznych tożsamości, banda zamaskowanych rzezimieszków zaczęła się nań w zaułkach dzielnicy Santa Maria, a schwytawszy go, wpięrow powiesiła, a następnie podpaliła w Ciudadeli, porzucając ciało wałęsającym się po okolicy bezpańskim psom na pożarcie. Po dwudziestu latach niszczenia i zapomnienia, tak głębokiego, iż nikt nawet nie pofatygował się, by usunąć zbiór potworności nieszczęsnego Laszla, Tenebrarium zostało przekształcone w publiczną instytucję charytatywną prowadzoną przez siostry zakonne.

– Panie od Bolesnej Męki, czy coś równie okropnego – powiedział Fermín. – Tyle że zazdrośnie strzegą swego tajemniczego przybytku, co moim zdaniem świadczy o nieczystym sumieniu, trzeba więc uciec się do jakiegoś fortelu, żeby się tam dostać.

Ostatnimi laty pensjonariusze przytułku Santa Luda rekrutowali się spośród zaludniających barceloński półświatek osób bliskich śmierci, samotnych starców, ludzi upośledzonych, nędzarzy i co poniektórych nawiedzonych. Na ich szczęście większość przebywała tam krótko, bo warunki lokalowe i towarzystwo nie sprzyjały długowieczności. Zdaniem Fermina zmarłych wynoszono z przytułku tuż przed świtem, by zawieźć ich ciała w ostatnią podróż do zbiorowej mogiły wozem przekazanym w darze przez wątpliwej reputacji firmę z Hospitalet de Llobregat, specjalizującą się w wyrobach mięsnych i wędliniarskich, która parę lat później stać się miała jednym z bohaterów mrocznego skandalu.

– Pan to wszystko wymyśla – zaprotestowałem, przygnębiony dantejskim opisem.

– Moje zdolności twórcze nie sięgają tak daleko, proszę pana. A zresztą, cierpliwości, a sam pan zobaczy. Dziesięć lat temu mniej więcej, w okolicznościach, o których wołałbym zapomnieć, zmuszony byłem odwiedzić ten przybytek i zapewniam pana, panie Danielu, że

wyglądał tak, jakby dekoratorem wnętrz był pański przyjaciel Julián Carax. Szkoda, że nie wzięliśmy liści laurowych, żeby przytłumić nieco swoisty zapaszek. A zresztą martwmy się raczej, jak się tam dostać.

Zastanawiając się nad tym, zagłębiliśmy się w ulicę Moncada, kurczącą się o tej porze do tonącego w ciemnościach pasażu, osaczonego przez stare pałace zamienione w magazyny i warsztaty. Litania dzwonów z bazyliki Santa María del Mar wzmacniała echo naszych kroków. Po chwili gorzka, gryząca woń zaczęła przebijać się przez zimową bryzę.

– Co to za zapach?

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Fermín.

Drzwi z butwiejącego drewna wyprowadziły nas na podwórze strzeżone przez gazowe latarnie, omiatające swym światłem gargulce i anioły o rysach zacierających się na starych kamieniach. Na pierwsze piętro prowadziły schodki kończące się prostokątem mglistej jasności rysującym główne wejście do przytułku. Światło gazowe wydostające się z tej szczeliny barwiło kolorem ochry wypływającą z wnętrza mgłę. Jakaś postać o kanciastej i drapieżnej sylwetce obserwowała nas, stojąc w drzwiach. Mierzyła nas stalowym spojrzeniem, równie szarym jak habit, w który była odziana. Trzymała parujący drewniany kubek, z którego wydobywał się nieopisany smród.

– Niechbędzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Panienka – szybko i żarliwie przywitał się Fermín.

– A gdzie trumna? – huknął złowrogi głos.

– Trumna? – spytaliśmy unisono.

– Nie jesteście z zakładu pogrzebowego? – zapytała zakonnica znużonym głosem.

Nie byłem pewien, czy jest to komentarz do naszego wyglądu, czy po prostu najzwyklejsze pytanie. A Ferminowi oczy tylko rozbłysły.

– Trumna czeka w samochodzie. Musimy wpierw rzucić okiem na klienta. Techniczna przymiarka.

Poczułem, że mnie mdli.

– Wydawało mi się, że pan Collbató miał przyjechać osobiście – rzekła zakonnica.

– Pan Collbató prosi najusilniej o wybaczenie, ale w ostatniej dosłownie chwili musiał przystąpić do nader pilnego i skomplikowanego balsamowania. Atlety cyrkowej.

– Pracujecie u pana Collbató?

– Jesteśmy jego prawą i lewą ręką. Wilfredo Velludo, do usług, a to mój młody uczeń Sansón Carrasco.

– Bardzo mi miło – dodałem.

Zakonnica przez chwilę taksowała nas wzrokiem, po czym kiwnęła głową, obojętna na odbijający się w jej oczach obraz dwóch strachów na wróble.

– Witajcie w Santa Lucia. Jestem siostra Hortensja, to ja dzwoniłam do was. Proszę za mną.

Udaliśmy się w milczeniu za siostrą Hortensją korytarzem, którego woń nasuwała mi skojarzenie z tunelem metra. Mijaliśmy pozbawione drzwi framugi, za którymi dostrzec można było sale oświetlone świecami, wypełnione upchanymi przy ścianach łózkami. Gdzieniedzie rozlegał się lament, za zasłonami widać było zarys postaci.

– Tędy – prowadziła siostra Hortensja, wyprzedzając nas o parę metrów.

Weszliśmy do przestronnej piwnicy, w której bez trudu mogłem usytuować scenerię Tenebrarium opisaną mi wcześniej przez Fermina. Półmrok osłaniał coś, co na pierwszy rzut oka wydawało mi się kolekcją woskowych figur, siedzących lub porzuconych w kątach, z martwymi i szklistymi oczami, błyszczącymi jak mosiężne monety w świetle świec. Pomyślałem, że to manekiny albo eksponaty byłego muzeum. Ale niebawem stwierdziłem, że się poruszają, choć bardzo powoli i ostrożnie. Nie można było określić ani wieku, ani płci. Pokrywające je łachmany były szare jak popiół.

– Pan Collbató prosił, żebyśmy nie dotykały niczego i nie sprzątały – rzekła siostra Hortensja, tłumacząc się nieomalże. – Włożyliśmy tylko biedaka do jednej ze skrzyń, które tu były, bo zaczynało padać.

– Bardzo słusznie, ostrożności nigdy za wiele – skwitował Fermín.

Obrzuciłem go przerażonym spojrzeniem. Spokojnie pokręcił głową, dając mi do zrozumienia, że panuje nad sytuacją. Siostra Hortensja zaprowadziła nas do znajdującego się na końcu korytarza pomieszczenia wyglądającego jak cela, bez światła ani powietrza. Zdjęła jedną z lamp gazowych wiszących na ścianie i podała nam.

– Długo wam to zajmie? Mam sporo roboty.

– Nami niech sobie siostra głowy nie zawraca. Może siostra spokojnie wrócić do swoich obowiązków, a my już się nim zajmiemy. Spokojnie.

– Jeśli będzie potrzebna pomoc, to jestem w piwnicy, na oddziale

obłożnie chorych. I mam prośbę, proszę go zabrać tylnym wejściem, o ile to możliwe. Lepiej, żeby go inni nie widzieli. To ich deprymuje.

– Zrobione, proszę się nie martwić – powiedziałem drżącym głosem.

Siostra Hortensja przyjrzała mi się przez chwilę z uwagą. Widząc ją z bliska, zdałem sobie sprawę, że to starsza już kobieta, prawie staruszka. Od pensjonariuszy tego przybytku dzieliła ją niezbyt wielka różnica wieku.

– Czy pański czeladnik nie jest trochę za młody do tej pracy?

– Życie wyjawia nam swoje prawdy, nie bacząc na wiek – odparł Fermín.

Zakonnica uśmiechnęła się do mnie słodko, potakując głową. Nie było nieufności w tym spojrzeniu, a jedynie smutek.

– Mimo wszystko – szepnęła.

Odeszła w mrok, zabierając kubek i ciągnąc swój cień niczym ślubny welon. Fermín popchnął mnie do środka celi. Było to prymitywne pomieszczenie, wykute w ociekających wilgocią ścianach jaskini. Z sufitu zwisały łańcuchy, zakończone hakami, a w popękanej podłodze tkwiła kratka ściekowa. Pośrodku, na stole z szarawego marmuru spoczywała drewniana skrzynia. Fermín uniósł lampę i z trudem dostrzegliśmy sylwetkę zmarłego wylaniającą się spośród słomianej wyściółki. Rysy twarzy jak z pergaminu, niemożliwe, ostro wycięte, bez życia. Skóra sina. Oczy, białe jak skorupki stłuczonych jajek, otwarte.

Poczułem, jak żołądek wywraca mi się do góry nogami, i odwróciłem wzrok.

– No to do roboty – zaapelował Fermín.

– Zwariował pan?

– Mam na myśli odnalezienie niejkiej Jacinty, zanim nie odkryją naszego oszustwa.

– A jak niby mamy to zrobić?

– Jak to jak? Pytając.

Wyjrzelśmy na korytarz, by się upewnić, że siostra Hortensja zniknęła.

Następnie ostrożnie cofnęliśmy się do jednej z sal, obok której wcześniej przechodziliśmy. Wynędzniałe postacie przyglądały się nam

wzrokiem, w którym ciekawość mieszała się ze strachem, a nawet zazdrością.

– Ostrożnie, bo niektórzy z nich, gdyby byli w stanie wyssać choć odrobinę krwi przywracającej im młodość, nie zawahaliby się rzucić nam się do gardeł – przestrzegł Fermín. – Podeszły wiek sprawia, że wyglądają łagodnie jak owieczki, ale tutaj jest tyle samo skurwysynów co na zewnątrz, albo i jeszcze więcej. Oni są z tych, co przetrwali i pochowali resztę. Niech się pan nad nimi nie użala. No śmiało, proszę zacząć od tych w kącie, wyglądają na bezzębnych.

Jeśli te słowa miały natchnąć mnie odwagą, to nie zdały się na nic. Przyjrzałem się tej grupie ludzkich wraków dogorywających w kącie i uśmiechnąłem się do nich. Wystarczyło na nich spojrzeć, by ulec propagandowym banałom o moralnej nicości świata i mechanicznej brutalności, z jaką ten niszczy bezużyteczne już dlań elementy. Fermín jakby odczytał te moje głębokie przemyślenia, bo przytaknął z powagą.

– Matka natura to wielka ładaczka, taka jest smutna prawda – powiedział. – Śmiało!

Pierwsza tura pytań o to, gdzie może przebywać Jacinta Coronado, nie przyniosła mi ze strony wszystkich tych istot niczego, prócz pustych spojrzeń, jęków, bekania i majaków. Po kwadransie dałem sobie spokój i wróciłem do Fermina z nadzieją, że przynajmniej jemu się poszczęściło. Był przybity niepowodzeniem.

– Jak odnajdziemy w tej dziurze Jacintę Coronado?

– Nie mam pojęcia. To kocioł z szaleńcami. Myślałem, że ich kupię sugusami, ale biorą je za czopki.

– A może zapytać siostrę Hortensję? Powiemy jej prawdę i już.

– Prawdę, Danielu, mówi się w ostateczności, a zakonnicy tym bardziej. Musimy powalczyć do ostatniego naboju. A ta grupka tam, jak się panu widzi? Jacyś tacy ożywni. Z nimi przyjdzie się dogadać... Niech ich pan przepytaj.

– A pan?

– Ja będę zabezpieczać tyły, na wypadek gdyby pingwin wrócił. No już, do roboty.

Z niewielką nadzieją na sukces, a właściwie całkowicie nadziei pozbawiony, podszedłem do stłamszonej w kącie sali grupki

pensjonariuszy.

– Dobry wieczór – odezwałem się, natychmiast przyłapując się na bezsensowności mojego przywitania, bo tu zawsze był wieczór. – Szukam pani Jacinty Coronado. Co – ro – na – do. Może któryś z panów ją zna albo może mi powiedzieć, gdzie mogę ją znaleźć?

Cztery ziejące łapczywością spojrzenia. Tu przynajmniej jest za co chwycić, pomyślałem. Może nie wszystko stracone.

– Jacinta Coronado? – powtórzyłem.

Wymienili spojrzenia. Jeden z nich, krągłutki, pozbawiony włosów na całym ciele, wyglądał na przywódcę. Jego twarz i zachowanie w tym rezerwacie skatologii przywodziły mi na myśl szczęśliwego Nerona, grającego na harfie, podczas gdy Rzym dogorywa u jego stóp. Z władczym wyrazem twarzy cesarz Neron uśmiechnął się do mnie kpiarsko. Nie pozostałem mu dłużny i odpowiedziałem podobnym uśmiechem, pełnym nadziei.

Dał znać, żebym się nachylił, jakby chciał coś mi szepnąć na ucho. Zawahałem się, ale w końcu usłuchałem.

– Może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę panią Jacintę Coronado? – zapytałem po raz ostatni.

Przybliżyłem ucho do jego warg tak, że mogłem poczuć ciepły i cuchnący oddech na skórze. Złakłem się, że może mnie ugryźć, ale niespodziewanie zaczął bardzo głośno puszczać gazy o nieprawdopodobnej sile rażenia. Jego koledzy zaczęli się śmiać i klaskać w dłonie. Odskokyłem o kilka kroków, ale śmierdzące opary zdążyły już mnie spowić. Wówczas dostrzegłem obok siebie zgiętego w kabłąk starca o brodzie proroka, skłębionych włosach i płonących oczach, podpierającego się na lasce i patrzącego z obrzydzeniem.

– Tracisz czas, chłopcze. Juanito umie tylko puszczać bąki, reszta zaś – jedynie śmiać się z tego i je wdychać... Jak widzisz, tutejsza struktura społeczna nie różni się zbyt od tej na zewnątrz.

Stary filozof mówił z powagą i doskonałą dykcją. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– O ile się nie przesłyszałem, szukasz Jacinty?

Przytaknąłem, zdumiony objawieniem się inteligentnego życia w tej jaskini koszmarów.

– A można wiedzieć dlaczego?

– Jestem jej wnukiem.

– A ja markizem Matoimel. Jesteś kłamcą, blagierem i oszustem. Powiedz mi, dlaczego jej szukasz, w przeciwnym razie w ogóle mnie tu nie spotkałeś, a ja udaję wariata. Tutaj to łatwe. A jeśli zamierzasz pytać po kolei wszystkich tych nieszczęśników, szybko zrozumiesz, w czym rzecz.

Juanito i jego grupka wdychaczy nadal ryczeli ze śmiechu. Solista za – bisował, z tą różnicą, iż jego popisowy numer był teraz głośniejszy, trwał dłużej i uzupełniony został o syk podobny do odgłosu powietrza uciekającego z dziurawej dętki, co wskazywało, iż nie tylko panuje nad puszczaniem wiatrów, ale jest swoistym mistrzem. Poddałem się.

– Ma pan rację. Nie jestem spokrewniony z panią Coronado, ale muszę z nią porozmawiać. To bardzo ważne.

Starzec podszedł do mnie. Miał łobuzerski, koci uśmiech zmęczonego dziecka, a jego spojrzenie aż kipiało od przemyślności.

– Może mi pan pomóc? – poprosiłem błagalnie.

– A to zależy od tego, na ile będziesz mógł pomóc mnie.

– O ile będę w stanie, chętnie służyć panu pomocą. Czy mam przekazać jakąś wiadomość pańskiej rodzinie?

Starzec zaśmiał się gorzko.

– To rodzina wepchnęła mnie do tej studni. Stado pijawek, gotowych ściągnąć jeszcze niewyziębione kalesony. Niech ich piekło pochłonie albo urząd skarbowy. Wystarczająco długo utrzymywałem ich wszystkich i z nimi wszystkimi wytrzymywałem. Chcę kobiety.

– Proszę?

Starzec spojrzał na mnie niecierpliwie.

– Twój młody wiek nie usprawiedliwia, chłopcze, twego zaćmienia umysłu. Mówię, że chcę kobiety. Samicy, dobrej, rasowej kłaczki. Młodej, to znaczy młodszej niż pięćdziesiąt pięć lat, i zdrowej, bez żadnych ran czy złamań.

– Nie jestem pewien, czy aby w pełni rozumiem...

– Rozumiesz mnie doskonale. Zanim odejdę na tamten świat, chcę nacieszyć się kobietą, która ma zęby i nie sika pod siebie. I wszystko mi jedno, czy będzie ładna, czy nie, jestem już na wpół ślepy, w moim wieku każda baba, którą jest za co złapać, to Wenus. Jasne?

– Jasne jak słońce. Ale nie bardzo wiem, jak mam znaleźć panu kobietę...

– Gdy byłem w twoim wieku, istniała taka dziedzina w zakresie usług jak damy lekkiego prowadzenia. Ja wiem, że świat się zmienia, ale nigdy w swej istocie. Znajdź mi jedną, fajną i pulchniutką, i dobijemy targu. A jeśli zastanawiasz się, jakie są moje możliwości nacieszenia się nią, to zważ, że zadowolę się poszczypaniem jej w tyłek i potrzymaniem za cycki. Zalety rutyny.

– Pańska sprawa, co pan będzie robić, ale teraz nie mogę panu sprowadzić tu kobiety.

– Jestem stary i napalony, owszem, ale nie głupi. Wiem doskonale. Wystarczy, że mi przyrzekniesz.

– A jaką pan ma gwarancję, że nie obiecuję tylko po to, żeby mi pan powiedział, gdzie jest Jacinta Coronado?

Staruszek uśmiechnął się złowrogo.

– Daj mi swoje słowo, problemy sumienia zostaw zaś mnie.

Rozejrzałem się. Juanito rozpoczynał drugą część swego recitalu, choć zainteresowanie jego publiczności gasło.

Prośba tego niewyżytego dziadka wydała mi się jedyną obdarzoną sensem rzeczą w tym czyścicu.

– Ma pan moje słowo. Zrobię, co będę mógł.

Starzec uśmiechnął się od ucha do ucha. Naliczyłem trzy zęby.

– Blondynkę, choćby i utlenioną. Z cycami jak się patrzy i ze świńskim gadanym, o ile mogę prosić, bo ze wszystkich zmysłów słuch jeszcze mam jako taki.

– Zobaczą, co da się zrobić. Teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jest Jacinta Coronado.

No nie, własnym uszom nie wierzę. Naprawdę obiecał pan coś takiego temu matuzalemowi?

– Już mówiłem.

– Mam nadzieję, że to było w żartach.

– Nie mogę oszukiwać stojącego nad grobem staruszka, choćby nie wiem jak frywolnego.

– I to właśnie czyni pana szlachetnym, Danielu, ale jak pan zamierza sprowadzić panienkę do tego świętego przybytku?

– Przypuszczam, że płacąc potrójną stawkę. Szczegóły zostawiam panu.

Fermín wzruszył ramionami zrezygnowany.

– No dobrze, umowa to umowa. Coś wymyślimy. Niemniej, gdyby w przyszłości miało dojść do podobnych w charakterze negocjacji, proszę dopuścić do nich mnie.

– Załatwione.

Tak jak wskazał mi żwawy staruszek, Jacintę Coronado znaleźliśmy na antresoli, do której dostać się można było jedynie z trzeciego piętra po drabinie. Według lubieżnego staruszka było to schronienie dla tych nielicznych pensjonariuszy, wobec których Parki zachowały się na tyle niedelikatnie, iż nie odebrały im przytomności umysłu, choć z drugiej strony stan ten nie gwarantował długowieczności. Prawdopodobnie owe tajemne komnaty zajmowane były w swoim czasie przez Baltasara Deulofeu alias Laszla de Vicherny'ego, który stąd zarządzał Tenebrarium i tu wśród oparów i perfumowanych olejków oddawał się sztukom miłosnym świeżo przybyłym ze Wschodu. Z tych wątpliwych wspaniałości pozostały jedynie opary, choć zupełnie innej natury. Jacinta Coronado, owinięta w pled, siedziała nieruchomo na wiklinowym krześle.

– Pani Coronado? – zapytałem, podnosząc głos, w obawie, że biedaczka jest głucha lub przytępa, albo i jedno, i drugie.

Staruszka przyjrzała nam się dokładnie i z niejaką podejrzliwością. Miała trudne do uchwycenia spojrzenie, zaledwie kilka kosmyków białych włosów porastało jej głowę. Szybko zauważyłem, że dziwnie mi się przygląda, jakby już kiedyś mnie widziała i nie mogła sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Bałem się, że Fermín przedstawi mnie jako syna Caraxa lub palnie coś równie szalonego, ale on jedynie przyklęknął przy krześle staruszki i wziął ją za drżącą i kruchą dłoń.

– Jacinto, ja mam na imię Fermín, a ten mały to mój przyjaciel Daniel. Przysłała nas pani przyjaciel, ojciec Fernando Ramos, który nie mógł przyjść, bo czeka go dziś odprawienie dwunastu mszy, sama pani wie, jak to jest w służbie Bożej, ale przysłała moc pozdrowień. Jak się pani czuje?

Staruszka uśmiechnęła się czule do Fermina. Mój przyjaciel pogładził ją po głowie i twarzy. Każdy dotyk przyjmowała z wdzięcznością niczym łaszący się kot. Poczulem, że ściska mnie w gardle.

– Co za głupie pytanie, prawda? – kontynuował Fermín. – Bo pani wolałaby być poza murami tego pensjonatu i puścić się w tany. Bo ma pani aparycję tancerki, na pewno słyszy to pani od wszystkich.

Nigdy nie widziałem, żeby tak delikatnie odnosił się do kogokolwiek, nawet do Bernardy. Wypowiedziane przezeń słowa były li tylko pochlebstwami, ale ton głosu i spojrzenie były jak najbardziej szczerze.

– Śliczne rzeczy pan opowiada – szepnęła głosem zdławionym, jakby od dawna z nikim nie rozmawiała albo niewiele miała do powiedzenia.

– Ale gdzie im do pani urody, pani Jacinto. A pozwoli pani zadać sobie parę pytań? Tak jak w konkursach radiowych?

Staruszka, miast odpowiedzieć, zamrugła raz i drugi.

– Śmiem uznać, iż oznacza to przyzwolenie. Pani Jacinto, pamięta pani Penélope? Penélope Aldayę? Bo to o nią właśnie chcielibyśmy zapytać.

Jacinta przytaknęła z nagłym błyskiem w oku.

– Moja dziewczynka – szepnęła i zdawało się, że lada chwila się rozpłacze.

– Nikt inny. Pamięta pani? Jesteśmy przyjaciółmi Juliana. Juliana

Caraxa. Tego od strasznych opowieści, jego też pani pamięta, prawda?

Oczy staruszki błyszczały, jakby słowa i dotyk chwilami przywracały ją życiu.

– Ojciec Fernando, ze szkoły San Gabriel, powiedział nam, że pani bardzo kochała Penélope. On też panią bardzo kocha i wspomina panią codziennie, wie pani? A nie przychodzi częściej, bo jego nowy biskup, kawał karierowicza, każe mu tyle mszy odprawiać, że biedak już ledwie mówi.

– A nie ma już pan kłopotów z jedzeniem? – nagle zapytała staruszka.

– A dziękuję pani, Jacinto, jem jak smok, problem w tym, że mam bardzo męski metabolizm i wszystko spalam. Ale to ubranie, które mam na sobie, kryje same mięśnie. Proszę dotknąć, śmiało. Jestem żyła, jak siłacz Charles Atlas, tylko bardziej owłosiony.

Jacinta przytaknęła uspokojona. Wpatrzona była w Fermína jak w święty obrazek. O mojej obecności całkiem zapomniała.

– Co może nam pani powiedzieć o Penélope i Julianie?

– Zabrali mi ją – powiedziała. – Moją dziewczynkę.

Nachyliłem się, żeby coś powiedzieć, ale Fermín rzucił mi spojrzenie mówiące: milcz.

– Kto pani zabrał Penélope, Jacinto? Pamięta pani?

– Pan – powiedziała, podnosząc oczy pełne trwogi, jakby się obawiała, że ktoś może nas usłyszeć.

Fermín, jakby szacując wagę i powagę gestu staruszki, podążył w górę za jej spojrzeniem, rozważając różne możliwości.

– Ma pani na myśli Boga Wszchemogącego, władcę niebios czy też ojca panienki Penélope, don Ricarda?

– Jak się ma Fernando? – zapytała staruszka.

– Ksiądz? Jak pączek w maśle. Ani się obejrzymy, jak zostanie papieżem i przeprowadzi panią do Kaplicy Sykstyńskiej. Przesyła mnóstwo pozdrowień.

– Bo wie pan, tylko on mnie odwiedza. Przychodzi, bo wie, że nie mam nikogo więcej.

Fermín rzucił na mnie okiem, jakby potwierdzając, iż myśli to samo co ja. Jacinta Coronado trzymała się o wiele lepiej, niż sugerował jej wygląd. Ciało gasło, ale rozum i dusza nadal działały w

tej otchłani nędzy. Byłem ciekaw, ilu takich jak ona i lubieżny staruszek, który wskazał nam drogę do niej, zostało tu zamkniętych.

– Przychodzi, bo bardzo panią kocha, Jacinto. Bo pamięta, jak się pani nim opiekowała i żywiła, gdy był dzieckiem; wszystko nam opowiedział. A pani pamięta? Pamięta pani tamte czasy, gdy chodziła pani po Jorge do szkoły, pamięta pani Fernanda i Juliana?

– Julián ...

Jej głos był przewlekłym westchnieniem, ale zdradzał ją uśmiech.

– Pamięta pani Juliana Caraxa, Jacinto?

– Pamiętam dzień, gdy Penélope powiedziała, że wyjdzie za niego za mąż...

Fermín i ja spojrzeliśmy na siebie osłupiali.

– Wyjdzie za mąż? Kiedy to było, Jacinto?

– W dniu, w którym zobaczyła go po raz pierwszy. Miała trzynaście lat i nic o nim nie wiedziała, ani kim jest, ani jak się nazywa.

– To skąd mogła wiedzieć, że wyjdzie za niego za mąż?

– Bo zobaczyła to. We śnie.

María Jacinta Coronado w dzieciństwie była przeświadczona, że świat kończy się na obrzeżach Toledo i za murami miasta nie ma nic więcej prócz ciemności i oceanu ognia. Takiego przekonania nabrała we śnie, jaki miała podczas trwającej ją gorączki, która omalże nie zabiła czteroletniej dziewczynki. Sny zaczęły się od owej tajemniczej gorączki, która zdaniem jednych była następstwem ukąszenia ogromnego czerwonego skorpiona (widziano go w domu raz i już nigdy więcej), według drugich zaś pojawiła się w wyniku niecznych praktyk obłąkanej zakonnicy, nocami zakradającej się do domów, by truć dzieci. Lata później zakonnica miała trafić na szafot, gdzie duszona garotą, z oczami wychodzącymi z orbit, odmawiała jeszcze pacierz na opak, podczas gdy nad miastem rozpościerała się czerwona chmura w zawierusze martwych chrabąszczy. W snach Jacinta widziała przeszłość, przyszłość, a czasem odkrywała tajemnice i sekrety starych toledańskich ulic. Jedną z postaci często obecnych w jej snach był Zachariasz, anioł ubrany zawsze na czarno i widziany zawsze w towarzystwie ciemnego kota o żółtych oczach i oddechu przesiąkniętym wonią siarki. Zachariasz wiedział

wszystko: obwieścił jej dzień i godzinę śmierci wuja Venancia, akwizytora maści wszelakich i wód święconych. Wyjawił miejsce, w którym matka Jacinty, kobieta nader pobożna, by nie rzec dewotka, ukrywała plik listów od roznamiętnionego studenta medycyny, może i biednego, ale niezłe wprowadzonego w arkana anatomii, i w którego sypialni na ulicy Santa Maria odkryła awansem drzwi do raju. Wywróżył, że w jej brzuchu tkwi zło, zmarła dusza, bardzo jej niechętna, i że zazna miłości z jednym tylko mężczyzną, miłości egoistycznej i jałowej, która złamie jej serce na pół. Przepowiedział, że za swego życia zobaczy, jak będzie umierać wszystko, co pokocha, i że zanim trafi do nieba, odwiedzi piekło. Gdy nadszedł dzień jej pierwszej menstruacji, Zachariasz i jego siarkowy kot zniknęli z jej snów, ale przez wiek lat Jacinta miała wspominać wizyty anioła w czerni ze łzami w oczach, spełniły się bowiem wszystkie jego przepowiednie.

Jacinta wcale się nie zdziwiła, gdy lekarze jej powiedzieli, że nigdy nie będzie miała dzieci. I choć serce pękało jej z żalu, nie była również zdziwiona, gdy mąż po trzech latach małżeństwa oznajmił, że odchodzi do innej, bo Jacinta jest jak jałowe pole niedające plonu, nie jest kobietą. Pod nieobecność Zachariasza (którego uznawała za emisariusza niebios, bo w czerni czy nie w czerni, ale był świetlistym aniołem – i najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała) Jacinta rozmawiała z Bogiem sam na sam, po kątach, nie widząc go i nie oczekując, że będzie się kłopotał udzielaniem jej odpowiedzi, bo – było nie było – to, co ją spotkało w życiu, to nic wielkiego wobec tylu nieszczęść trapiących świat. Wszystkie jej monologi z Panem Bogiem krążyły wokół tego samego tematu: jednego tylko pragnęła w życiu, być matką.

Kiedyś, gdy modliła się w katedrze, podszedł do niej mężczyzna, którego rozpoznała jako Zachariasza. Ubrany jak zwykle w czerń, trzymał na rękach swego złośliwego kota. Nie postarzał się ani o jeden dzień i wciąż mógł szczyścić się wspaniałymi, długimi, ostrymi paznokciami, których żadna hrabina by się nie powstydziała. Anioł przyznał się, że sam się zjawia, Pan Bóg nie zamierza bowiem wysłuchać jej modłów. Zarazem jednak pocieszył ją, by się nie martwiła, bo on już znajdzie sposób, by zesłać jej maleństwo.

Pochylił się nad nią, wyszeptał słowo Tibidabo i czule pocałował w usta. Gdy poczuła delikatne usta, jak cukierek, miała widzenie: będzie miała dziewczynkę, bez konieczności obcowania z mężczyzną (co przyjęła z ogromną ulgą, mając w pamięci trzyletnie doświadczenie z mężem, który uparcie zmuszał ją do robienia tych rzeczy, unosząc się nad nią, zasłaniając jej twarz poduszką i powtarzając „nie patrz, zdziw”). Dziewczynka miała trafić do niej w odległym mieście, uwięzionym między księżycem gór i morzem światła, mieście pełnym budynków, które istnieć mogą jedynie w snach. Już później Jacinta nie potrafiła stwierdzić, czy spotkanie z Zachariaszem było jednym z jej snów, czy też anioł rzeczywiście podszedł do niej w katedrze w Toledo ze swoim kotem i swymi świeżo wymanikiurowanymi czerwonymi paznokciami. Ani przez chwilę jednak nie wątpiła, że jego przepowiednia się sprawdzi. Tego samego popołudnia zasięgnęła rady diakona parafii, człowieka odczytanego i bywałego w świecie (wieść głosiła, że dotarł nawet do Andory i że trochę mówił po baskijsku). Diakon, który przyznał, iż nie słyszał o istnieniu pośród skrzydlatych legionów nieba anioła Zachariasza, wysłuchał z uwagą widzenia Jacinty i po długim namyśle oraz uważnym wysłuchaniu opisu czegoś, co mogło być jakąś katedrą, wyglądającą według Jacinty jak wielki grzebień zrobiony z roztopionej czekolady, odparł jej: „Jacinto, to, co widziałaś, to Barcelona, wielka czarodziejka i świątynia Sagrada Familia...”. Dwa tygodnie później, zaopatrzona w tobolek, książkę do nabożeństwa i swój pierwszy od pięciu lat uśmiech, Jacinta ruszała do Barcelony przekonana, że spełni się wszystko, co powiedział jej anioł.

Dopiero po wielu miesiącach potu i znoju u różnych pracodawców Jacinta znalazła stałe zajęcie w jednym z domów towarowych Aldaya i Synowie, przy terenach dawnej Wystawy Światowej przy Ciudadeli. Barcelona z jej snów przeistoczyła się we wrogię i mroczne miasto zamkniętych pałaców i fabryk wydmuchujących mgliste opary, które zatruwały skórę węglem i siarką. Jacinta od pierwszego dnia czuła, że to miasto jest kobietą, próżną i okrutną, i nauczyła się jej bać i unikać patrzenia jej w oczy. Mieszkała sama, w pensjonacie w dzielnicy Ribera. Tam za swoją

pensję mogła sobie pozwolić zaledwie na nędzną izdebkę pozbawioną okien, gdzie jedynym źródłem światła były świece kradzione w katedrze i palone przez całą noc, żeby odpędzić szczury, które odgryzły uszy i palce półrocznego dziecka Ramonety, wynajmującej sąsiedni pokój prostytutki i jedynej osoby, z jaką udało jej się zaprzyjaźnić w ciągu jedenastomiesięcznego pobytu w Barcelonie. Tamtej zimy padało niemal codziennie – czarny deszcz z sadzy i arszeniku. Wkrótce Jacinta zaczęła obawiać się, że Zachariasz ją oszukał i że przybyła do tego straszego miasta, by umrzeć tu z zimna, nędzy i w zapomnieniu.

Gotowa mimo wszystko przeżyć, przychodziła do sklepu przed świtem i nie wychodziła przed zmrokiem. Tam przypadkiem miał się natknąć na nią don Ricardo Aldaya, gdy doglądała córki jednego z dozorców, która rozchorowała się z wycieńczenia. Aldaya, zobaczywszy, z jaką troską i czułością Jacinta opiekuje się dziewczynką, zabrał ją do siebie, by zajęła się jego po raz pierwszy brzemienną żoną. Modły Jacinty zostały wysłuchane. Tej nocy znów ujrzała we śnie Zachariasza. Anioł nie był już ubrany na czarno. Zjawił się nago, a jego skóra pokryta była rybią łuską. Przybył nie w towarzystwie kota, lecz owiniętego wokół swego torsu białego węża. Włosy urosły Zachariaszowi aż do pasa, a jego uśmiech, cukierkowy uśmiech, który całowała w katedrze w Toledo, przecięty był ostrymi, spiczastymi zębami, takimi, jakie widziała u niektórych morskich ryb trzepoczących ogonami na przybrzeżnym targu. Lata później dziewczyna opíše swoje widzenie osiemnastoletniemu Julianowi Caraxowi, wspominając również, iż w dniu, kiedy opuszczała pensjonat, by przeprowadzić się do pałacyku Aldayów, dowiedziała się, że jej przyjaciółka Ramoneta została tej samej nocy zadżgana w bramie, a jej dziecko umarło z zimna w ramionach trupa. Z chwilą kiedy wieść zaczęła się rozchodzić, mieszkańcy pensjonatu rzucili się hurmem, kopiąc, gryząc, nie żałując pięści, by wyszarpać tych kilka rzeczy pozostałych po zmarłej. Nie tknęli jedynie jej największego skarbu: książki. Jacinta rozpoznała ją, bo wiele razy Ramoneta prosiła o przeczytanie jednej, może dwóch stron. Sama nigdy nie nauczyła się czytać.

Cztery miesiące później urodził się Jorge Aldaya i choć Jacinta

obdarzyła go czułością, jakiej jego matka, eteryczna dama, zawsze wyglądająca, jakby nie mogła wydostać się z akwarium swego lustrzanego odbicia, nigdy nie potrafiła lub nie chciała mu dać, rozumiała, że to nie było maleństwo obiecane jej przez Zachariasza. W owych latach Jacinta wyrosła ze swej młodości, przeistaczając się w zupełnie inną kobietę, choć o tym samym imieniu i twarzy. Poprzednia Jacinta została w pensjonacie dzielnicy Ribera, równie martwa jak Ramoneta. Nowa Jacinta żyła teraz pod osłoną luksusów Aldayów, daleko od tego straszego i zniechęconego przez siebie miasta, w którym nie bywała nawet w swoje wolne, przypadające raz na miesiąc, dni. Nauczyła się żyć życiem innych – tej rodziny, opływającej w bogactwa, o jakich się Jacincie nie śniło. Żyła oczekiwaniem na dziecinę, dziewczynkę oczywiście – jak to miasto – którą miała obdarzyć całą miłością, jaką Bóg nappełnił jej duszę. Czasami zastanawiała się, czy ów senny spokój spalający jej dni i ta noc kryjąca sumienie nie są właściwie tym, co inni nazywali szczęściem, i chciała wierzyć, że Bóg poprzez swe niekończące się milczenie na swój sposób odpowiedział na jej modły.

Penélope urodziła się wiosną tysiąc dziewięćset trzeciego roku. Don Ricardo Aldaya był już właścicielem domu w alei Tibidabo, w przekonaniu współpracowników miejsca dotkniętego jakimś przekleństwem złych mocy, które nie wzbudzało jednak w Jacincie żadnych lęków, wiedziała bowiem, że to, co inni biorą za zły urok, nie jest niczym innym jak obecnością dostrzeganą wyłącznie przez nią w snach: cieniem Zachariasza, nieprzypominającego już w niczym owego mężczyzny z jej snów sprzed lat, bo objawiającego się teraz tylko pod postacią wilka chodzącego na tylnych łapach.

Penélope była dziewczynką kruchą, bladą i drobną. Jacinta widziała w niej kwiat rosnący pośród srogiej zimy. Lata całe czuwała przy niej każdej nocy, przygotowywała osobiście każdy posiłek, szyla ubrania, nie opuściła w żadnej z tysiąca i jednej chorób, była przy niej, gdy ta powiedziała swoje pierwsze słowo i kiedy stała się kobietą. Pani Aldaya, obsadzona w roli jednej z salonowych postaci, wchodziła na scenę i schodziła z niej zgodnie z zasadami dobrego wychowania. Wieczorem przychodziła powiedzieć córce dobranoc, zapewniając zarazem, że ją kocha

najbardziej na świecie, że jest najważniejszą dla mamy osobą. Jacinta nigdy nie powiedziała Penélope, że ją kocha. Niania wiedziała, że ten, kto kocha naprawdę, kocha w milczeniu, uczynkiem, a nie słowami. W głębi duszy Jacinta pogardzała panią Aldaya, próżną, pustą istotą, starzejącą się i snującą w labiryncie korytarzy ogromnego domu, uginającą się pod ciężarem klejnotów, którymi mąż, od lat cumujący w innych portach, ją uciszał. Nienawidziła jej, gdyż spomiędzy wszystkich kobiet Bóg wybrał właśnie tę do wydania na świat Penélope, podczas gdy jej łono, łono prawdziwej matki, pozostawało puste i bezpłodne. Z upływem lat, jakby słowa jej męża miały się proroczo spełnić, Jacinta zaczęła tracić nawet kobiece kształty. Straciła na wadze, jej figura zaś przypominała kości obleczone skórą. Piersi zaczęły jej maleć do tego stopnia, iż z czasem wyglądały jak wydmuszki ze skóry, biodra nabrały chłopięcych kształtów, a ojej ciało, twarde i kanciaste, nie był w stanie potknąć się nawet wzrok don Ricarda Aldayi, któremu starczyło poczuć ledwie zapowiedź jakiegokolwiek cielesności, by natychmiast przystąpić do ataku, o czym aż nadto dobrze wiedziały wszystkie panny służebne w domu i w sąsiedztwie. Tak jest lepiej, mówiła sobie Jacinta. Nie miała czasu na głupoty.

Cały swój czas poświęcała Penélope. Czytała jej, wszędzie jej towarzyszyła, kąpała ją, ubierała, rozbierała, czesała, chodziła z nią na spacer, usypiała ją i budziła. Ale przede wszystkim rozmawiała z nią. Wszyscy mieli ją za lunatyczną niańkę, starą pannę, która poza pracą w domu nic innego nie ma do roboty, ale nikt nie znalazł prawdy: Jacinta nie tylko była matką Penélope, była też jej najlepszą przyjaciółką. Odkąd dziewczynka zaczęła mówić i wyrażać swe myśli, a tę umiejętność Penélope posiadała znacznie szybciej niż jakiegokolwiek znane Jacincie dziecko, obie dzieliły się sekretami, marzeniami i swym życiem.

Czas jedynie pogłębił owe więzi. Gdy Penélope weszła w wiek paniński, były już nierozłącznymi towarzyszkami. Jacinta widziała, jak Penélope rozkwita, staje się kobietą, a jej uroda i jasność zaczynają być oczywiste nie tylko dla zakochanych oczu Jacinty. Penélope była światłem. Gdy w domu pojawił się ów tajemniczy młodzieniec o imieniu Julián, Jacinta od pierwszej chwili widziała,

że między nim a Penélope coś zaiskrzyło. To, co między nimi powstawało, podobne było do więzi łączącej Jacintę z Penélope, ale jednocześnie było czymś zupełnie innym. Intensywniejszym. Niebezpiecznym. Początkowo myślała, że będzie nienawidzić tego chłopca, ale szybko stwierdziła, że nie czuje, i poczuć jej nie zdoła, żadnej nienawiści do Juliana Caraxa. Im bardziej Penélope ulegała zauroczeniu Julianem, tym bardziej Jacinta również mu się poddawała, by z czasem pragnąć tylko tego, co pragnęła Penélope. Nikt się nie zorientował, nikt nie zwrócił na to uwagi, ale jak zwykle to, co najistotniejsze, zostało postanowione, nim się wszystko zaczęło, a kiedy się zaczęło, było już za późno.

Musiało upłynąć wiele miesięcy ukradkowych spojrzeń i daremnych pragnień, zanim Julianowi Caraxowi i Penélope dane było spotkać się sam na sam. Przypadek rządził ich życiem. Widywali się na korytarzach, obserwowali z przeciwległych krańców stołu, przechodząc obok siebie, ocierali się ubraniami w milczeniu, wyczuwali na odległość. Pierwsze słowa wymienili ze sobą w domowej bibliotece rezydencji przy alei Tibidabo, gdy w pewien burzowy wieczór Willa Penélope rozbłysła łuną świec, a Julián, przez chwilę wyrwaną ciemnościom, dostrzegł jakby w oczach dziewczyny pewność, że obydwójce czują to samo i że trawi ich ten sam sekret. Nikt nie powinien był tego zauważyć. Nikt z wyjątkiem Jacinty, która z narastającym niepokojem obserwowała grę spojrzeń wymienianych przez Penélope i Juliana w cieniu Aldayów. Bala się o ich dwoje.

W owym czasie Julián zaczął całymi nocami, do białego rana, pisać opowiadania, otwierając w nich swoją duszę przed Penélope. A później, goszcząc w domu przy alei Tibidabo pod byle pretekstem, szukał odpowiedniej chwili, by wślizgnąć się do pokoju Jacinty i przekazać jej zapiski, by ta z kolei przekazała je dziewczynie. Czasami Jacinta wręczała mu napisany przez Penélope liścik, który czytał po wielekroć. Ta zabawa trwała miesiącami. Gdy czas im nie sprzyjał, Julián robił, co mógł, żeby być jak najbliżej Penélope. Jacinta służyła mu pomocą, byle widzieć Penélope szczęśliwą, byle utrzymać to światło przy życiu. Julián przeczuwał zaś, że niewinność z początku znajomości już przestaje istnieć i nadszedł

czas na ustępstwa. Zaczął więc okłamywać don Ricarda co do swoich życiowych planów, okazywać fałszywy entuzjazm wobec swej przyszłości w bankowości i finansach, udawać przywiązanie, którego wcale nie czuł, do Jorge Aldayi, byle tylko usprawiedliwić swoją prawie stałą obecność w domu przy alei Tibidabo, wyrażać wyłącznie opinie, jakie inni chcieli odeń usłyszeć, umiejętnie odczytywać ich spojrzenia i pragnienia, zamknął uczciwość i szczerłość w lochach nierozwagi, i zaczynał czuć, że sprzedaje duszę kawałek po kawałku, i obawiać się, że jeśli nadejdzie dzień, gdy zasłużą na Penélope, nie zostanie już nic z Juliana, jakim był w dniu, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Czasami budził się o świcie, trzęsąc się z wściekłości, przepojony pragnieniem, by wyjawić światu swe prawdziwe uczucia, stanąć przed don Ricardem Aldayą i rzucić mu w twarz, że wcale nie interesuje go fortuna Aldayów, że nie ma żadnych planów na przyszłość, a tym bardziej związanych z firmą, że pragnie tylko jego córki Penélope i że chce ją zabrać jak najdalej z tego pustego świata, w którym zamknął ją ojciec. W blasku dnia jego odwaga gdzieś pryskała.

Od czasu do czasu Julián otwierał serce przed Jacintą, ta zaś zaczynała lubić go o wiele bardziej, niż by chciała. Nierzadko Jacinta na chwilę opuszczała Penélope i pod pretekstem odebrania Jorge ze szkoły San Gabriel odwiedzała Juliana i przekazywała mu listy od Penélope. W ten sposób poznała Fernanda, jedynego przyjaciela, jaki po wielu latach miał jej zostać, gdy będzie czekać na śmierć w piekle Santa Lucia, tak jak przepowiedział anioł Zachariasz. Czasami rozmyślnie zabierała ze sobą Penélope i ułatwiała młodym krótkie spotkanie, widząc narastającą między nimi miłość, której sama nigdy nie zaznała, której jej odmówiono. Wtedy też zwróciła uwagę na posepną i niepokojącą obecność milczącego chłopca, syna dozorczy z San Gabriel, na którego wszyscy mówili Francisco Javier. Nieraz przyłapywała go, jak śledzi oboje młodych, jak stara się z daleka odczytać każdy ich gest, jak oczyma pożera Penélope. Zachowała fotografię, którą oficjalny portrecista Aldayów, Recasens, zrobił Julianowi i Penélope przy pracowni kapeluszniczej na rondzie San Antonio. Było to niewinne zdjęcie, zrobione w południe w obecności don Ricarda i Sophie Carax. Jacinta zawsze je miała przy sobie.

Pewnego dnia, gdy czekała na Jorge przy wyjściu ze szkoły San Gabriel, zauważyła, że zostawiła torbę przy fontannie, wróciła się więc po nią i wówczas spostrzegła, iż młody Fumero kręci się nieopodal, spoglądając na nią nerwowo. Wieczorem zaczęła szukać zdjęcia, a nie znalazłszy go, doszła do wniosku, że na pewno on je ukradł. Kilka tygodni później Francisco Javier Fumero podszedł do niej i zapytał, czy mógłby prosić ją o przekazanie czegoś Penélope. Gdy Jacinta zapytała, co takiego ma przekazać, chłopak wyjął chustkę, w którą owinął coś, co wydawało się wyrzeźbioną w sosnowym drewnie figurką. Jacinta rozpoznała w niej Penélope i wstrząsnął nią dreszcz. Zanim zdążyła coś powiedzieć, chłopak odszedł. Wracając do domu przy alei Tibidabo, Jacinta wyrzuciła figurkę przez okno samochodu, jakby usuwała cuchnące ścierwo. Jeszcze długi czas po tym zdarzeniu niejednokrotnie Jacinta budziła się w strugach potu i koszmarne snu, w którym ten chłopak o dziwnym spojrzeniu rzucał się na Penélope z zimną i obojętną brutalnością insekta.

W niektóre popołudnia, gdy oczekiwanie na wyjście Jorge ze szkoły przedłużało się, Jacinta rozmawiała z Julianem. I on zaczynał lubić tę kobietę o twardych rysach twarzy i ufać jej bardziej niż samemu sobie. Niebawem, gdy w jego życiu pojawiał się problem lub dokuczala mu jakaś zgryzota, właśnie Jacinta i Miquel Moliner byli pierwszymi, którzy się o tym dowiadawali, czasem nawet pierwszymi i ostatnimi. Swego czasu Julián opowiedział Jacincie, że zastał swoją matkę i don Ricarda Aldayę przy fontannach, jak w oczekiwaniu na wyjście uczniów prowadzili rozmowę. Don Ricardo zdawał się delectować towarzystwem Sophie, Julián poczuł zaś ukłucie w sercu, bo świadom był otaczającej przemysłowca sławy donzuana i wiedział o jego niezaspokojonym apetycie na wdzięki niewieście, bez względu na pochodzenie czy przynależność kastową, z wyjątkiem jego świętej żony, na którą był, jak się zdaje, uodporniony.

– Opowiadałem właśnie twojej matce, jak bardzo podoba ci się nowa szkoła.

I pożegnawszy się z nimi, don Ricardo puścił do nich oko i odszedł, śmiejąc się. W drodze powrotnej do domu jego matka

słowem się nie odezwała, najwyraźniej dotknięta komentarzami, jakie wygłaszał przy niej don Ricardo Aldaya.

Nie tylko Sophie z niepokojem przyjmowała narastającą zażyłość Juliana z Aldayami i zepchnięcie na margines dawnych przyjaciół z podwórka, a nawet własnej rodziny. To, co u matki było smutkiem i milczeniem, w kapeluszniku objawiało się coraz większą niechęcią i złością. Początkowy entuzjazm rozbudzony perspektywą poszerzenia klienteli o barcelońską śmietankę szybko minął. Syna już prawie nie widywał i na dodatek musiał nająć Quimeta, chłopaka z sąsiedztwa, dawnego kolegę Juliana, jako pomocnika i ucznia do sklepu. Antonio Fortuny miał się za osobę, która tylko o kapeluszach potrafi mówić swobodnie. Chował swoje uczucia w ciemnicy własnej duszy, gdzie w końcu gniły bezpowrotnie. Z każdym dniem stawał się coraz bardziej rozdrażniony i podenerwowany. Nic mu się nie podobało, począwszy od wysiłków biednego Quimeta, stojącego na głowie, żeby nauczyć się zawodu, aż po próby Sophie, starającej się załagodzić niepamięć, na jaką skazał ich Julián .

– Twojemu synowi wydaje się, że jest kimś, bo ci bogacze traktują go jak cyrkową małpkę – mówił głosem ponurym i przesiąkniętym trucizną złości.

Zbliżały się już trzy lata od pierwszej wizyty don Ricarda Aldayi w pracowni Fortuny i Synowie, gdy dnia pewnego kapelusznik poprosił Quimeta o zastąpienie go w sklepie do południa i wyszedł. Jak gdyby nigdy nic zjawił się w biurze konsorcjum Aldaya na Paseo de Gracia i poprosił o spotkanie z don Ricardem.

– A kogo mam zaszczyt zaanonsować? – zapytał nie bez swoistej wyniosłości lokaj.

– Jego osobistego kapelusznika.

Don Ricardo przyjął go, nieco zaskoczony, ale w dobrej wierze, myśląc, że Fortuny najprawdopodobniej chce mu przedłożyć jakiś rachunek. Drobnik kupcy nie są w stanie pojąć zasad bon tonu w kwestiach pieniędzy.

– Czym mogę służyć, mój drogi Fortunato?

Bez zbędnych wstępów Antonio Fortuny przystąpił do wyjaśniania don Ricardowi, że bardzo się myli co do jego syna Juliana.

– Mój syn, don Ricardo, nie jest taki, jak panu się wydaje. Wręcz przeciwnie, to ignorant, leń i beztalencie, któremu własna matka wbiła do głowy Bóg wie jakie mniemanie o sobie. Nigdy niczego nie osiągnie, proszę mi wierzyć. Brakuje mu ambicji, charakteru. Pan go nie zna, a on, jak widać, umie sprytnie omamić obcych, aż uwierzą, że zjadł już wszystkie rozumy, gdy tymczasem on nic nie umie. To przeciętniak. Ale ja go znam jak nikt, więc pomyślałem, że muszę pana ostrzec.

Don Ricardo Aldaya wysłuchał monologu z kamienną twarzą.

– I to wszystko, Fortunato?

Przemysłowiec nacisnął guzik w biurku i po chwili w drzwiach gabinetu pojawił się ten sam lokaj, który raczył przyjąć kapelusznika.

– Nasz drogi Fortunato już wychodzi, Bakells – oznajmił. – Proszę odprowadzić naszego gościa do wyjścia.

Oziębły ton przemysłowca nie przypadł kapelusznikowi do gustu.

– Proszę mi wybaczyć, don Ricardo, ale nazywam się Fortuny, nie Fortunato.

– Niech i tak będzie. Jest pan bardzo smutnym człowiekiem, Fortuny. Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli przestanie pan tu przychodzić.

Kapelusznik, opuściwszy budynek, stanął na ulicy i poczuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek, przekonany, że wszyscy są przeciw niemu. Po kilku zaledwie dniach zaczął otrzymywać rezygnacje z zamówień składanych w swoim czasie przez klientów pozyskanych dzięki jego relacjom z Aldayą. Nie minął miesiąc, gdy musiał zwolnić Quimeta, bo nie było pracy dla nich obu. Zresztą chłopak nie był nic wart. Leniwy i beznadziejny jak wszyscy.

To w tamtych właśnie dniach sąsiedzi i okoliczni mieszkańcy zaczęli mówić, że pan Fortuny jakby się postarzał, jakby stał się bardziej samotny i bardziej zgorzkniały. Nie rozmawiał już prawie z nikim i godzinami przesiadywał w swej pracowni, nie mając tam nic do roboty, przypatrując się z pogardą choć czasem i z niejaką tęsknotą ludziom przechodzącym za oknem wystawowym. Później uznał, że młodzi ludzie już nie noszą kapeluszy, a ci, co noszą, wolą je kupować nie na obstalunek, ale gotowe, w modniejszych wzorach i

tańsze. Pracownia Antonia Fortuny i Synowie powoli pogrążyła się w letargu cieni i ciszy.

– Czekacie na moją śmierć – mówił do siebie. – Może zrobię wam tę przyjemność.

Nie wiedział o tym, ale zaczął umierać już znacznie wcześniej.

Po tym incydencie dla Juliana liczył się już tylko świat Aldayów, ważna była tylko Penélope i jedyna wyobrazalna dlań przyszłość. I tak minęły niemal dwa lata, na stąpaniu po linie i ukrywaniu się. Zachariasz na swój sposób dawno go uprzedził. Przybywało wokół niego cieni i niebawem miały go całkiem osaczyć. Pierwszy znak nadszedł pewnego kwietniowego dnia osiemnastego roku. Jorge Aldaya kończył osiemnaście lat i don Ricardo, zgodnie z odgrywaną przez siebie rolą wielkiego patriarchy, postanowił wbrew woli swego syna wydać wystawne przyjęcie urodzinowe (a raczej wydał odpowiednie polecenia), na którym na domiar złego miał być nieobecny, usprawiedliwiając się obowiązkami zawodowymi choć obowiązki te polegały na spotkaniu w apartamencie błękitnym hotelu Colón z przepyszną damą, niedawno przybyłą z Sanki Petersburga. Dom przy alei Tibidabo został zamieniony w pawilon cyrkowy: setki lamp, chorągiewek, a także straganów, porozstawianych w ogrodach dla obsłużenia gości.

Zaproszeni zostali prawie wszyscy koledzy Jorge Aldayi ze szkoły San Gabriel. Za namową Juliana Jorge zaprosił Francisca Javiera Fumero. Miquel Moliner uprzedził ich, że syn dozorczy z San Gabriel w tej bombastycznej atmosferze, pośród nadętych paniczyków, będzie się czuł nie na miejscu. Francisco Javier otrzymał zaproszenie, ale wyczuwając to, co przepowiadał Miquel Moliner, postanowił go nie przyjąć. Gdy doña Yvonne, jego matka, dowiedziała się, że jej syn zamierza odrzucić zaproszenie do rezydencji arcybogatyń Aldayów, o mato nie odarta go ze skóry. Czyż nie był to znak oczywisty, że niebawem i przed nią wreszcie staną otworem wszystkie salony w Barcelonie? Bo przecież następnym krokiem, nieprawdaż, będzie bilecik od pani Aldaya z zaproszeniem na popołudniową herbatkę w towarzystwie innych dystyngowanych dam. Doña Yvonne sięgnęła więc po oszczędności uszczknięte z męzowskiej pensji i przystąpiła do działań mających

na celu nabycie synowi marynarskiego ubranka.

Francisco Javier liczył sobie wtedy lat siedemnaście i w owym granatowym ubranku, z krótkimi spodenkami, w każdym calu zgodnym z wyrafinowanym poczuciem gustu doña Yvonne, wyglądał groteskowo i upokarzająco. Ustępując wobec nalegań matki, Francisco Javier przez tydzień rzezał nóż do papieru – prezent dla Jorge. W dzień przyjęcia doña Yvonne uparła się odprowadzić syna do bramy rezydencji Aldayów. Chciała odetchnąć atmosferą wyższych sfer i poczuć chwałę swego syna przekraczającego progi domu, który niebawem i przed nią miał stanąć otworem. Gdy nadszedł czas, aby wbić się w żaloszny mundurek, Francisco Javier odkrył, że ubranie jest dla niego za małe. Yvonne postanowiła natychmiast je przerobić. Spóźnili się na przyjęcie. Tymczasem, korzystając ze zgiełku i nieobecności don Ricarda, ani chybi smakującego właśnie najwyśmienitszy słowiański kąsek i świętującego urodziny syna na swój sposób, Julián wymknął się z przyjęcia. Umówili się z Penélope w bibliotece, w miejscu, gdzie nie istniało najmniejsze ryzyko natknięcia się na któregoś z członków światłej i znamienitej śmietanki towarzyskiej. Ani Julián, ani Penélope, nazbyt zajęci żarłocznymi pocałunkami, nie zauważyli obłądnej pary zbliżającej się do rezydencji. Francisco Javier, w pierwszokomunijnym wdzianku marynarzyka, purpurowy z upokorzenia i wstydu, i doña Yvonne, w odkurzoną na tę okazję letnim kapeluszu dopasowanym do sukni pełnej plis i falbanek, upodabniającej właścicielkę do kramiku z cukierkami lub – jak powiedział Miquel Moliner, który zobaczył ją z daleka – do bizona przebranego za madame Recamier. Przy drzwiach stało dwóch lokajów. Nadchodzący goście nie zrobili na nich żadnego wrażenia. Doña Yvonne głośno zaanonsowała, że zjawił się jej syn, don Francisco Javier Fumero de Sotoceballos. Lokaje odparli, nie bez kpiny, że żadne z anonsowanych nazwisk nic im nie mówi. Dotknięta, ale zachowując maniery wielkiej damy, Yvonne kazała synowi pokazać zaproszenie. Niestety, przy przerabianiu ubrania zaproszenie zostało odłożone na stolik do szycia doña Yvonne i tam zostało.

Francisco Javier usiłował wytłumaczyć wszystkie okoliczności,

ale jękał się tylko, a śmiech obu służących nie pomagał w wyjaśnieniu nieporozumienia. Odprawiono ich z kwitkiem. Doña Yvonne, płonąc z wściekłości, oznajmiła, że nie wiedzą, z kim mają do czynienia. Służący odparli jej, że posada pomywaczki już jest zajęta. Z okna swego pokoju Jacinta widziała, jak odchodzący już Francisco Javier nagle staje. Odwrócił się i jakby nie chcąc oglądać widowiska urządzonego przez wydzierającą się matkę i aroganckich lokajów, uniósł głowę. I zobaczył ich. Julián całował Penélope w oknie biblioteki. Całowali się tak zapamiętale, jak tylko mogą się całować ludzie należący wyłącznie do siebie i o bożym świecie niepamiętający.

Następnego dnia Francisco Javier pojawił się nagle w szkole podczas dużej przerwy. Wieść o gorszącym zajściu z poprzedniego dnia obiegła już całą szkołę, więc natychmiast rozległy się śmiechy oraz pytania, co zrobił ze swoim marynarskim wdziankiem. Śmiechy ucichły jak nożem uciął, gdy uczniowie zorientowali się, że chłopak trzyma w ręku strzelbę ojca. Zapadła cisza i wielu uczniów zaczęło uciekać. I tylko chłopcy z paczki odwrócili się i popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Francisco Javier bez słowa podniósł strzelbę i wycelował. Świadkowie mówili później, że na jego twarzy nie było złości ani gniewu. Działał z tym samym lodowatym automatyzmem, z jakim wykonywał prace w ogrodzie. Pierwsza kula drasnęła głowę Juliana. Druga przeszłaby mu gardło, gdyby Miquel Moliner nie rzucił się na syna dozorczy i nie wyrwał mu strzelby z rąk. Julián Carax przyglądał się scenie ogłupiały i sparaliżowany. Wszyscy myśleli, że strzały wymierzone były w Jorge Aldayę w zemście za upokorzenie z poprzedniego wieczoru. Dopiero później, gdy Gwardia Cywilna już zabierała chłopaka, a jego rodziców usuwano, a właściwie brutalnie wyrzucano ze służbowego mieszkania, Miquel Moliner podszedł do Juliana i powiedział bez przechwalania się, że uratował mu życie. Julianowi nawet przez myśl nie przeszło, że życie to, lub też część tego życia, które chciał przeżyć, już zbliża się do kresu.

Dla Juliana i jego kolegów to był ostatni rok szkolny. Jedni częściej, inni rzadziej, ale wszyscy mówili o swoich planach czy też planach rodziny wobec nich na następny rok. Jorge Aldaya już

wiedział, że ojciec wyśle go na studia do Anglii, a Miquel Moliner uznawał za absolutnie pewne studia na Uniwersytecie Barcelońskim. Fernando Ramos nieraz wspominał, że być może wstąpi do seminarium, co, zważywszy na szczególną sytuację chłopca, nauczyciele uważali za najmądrzejszą decyzję. O Franciscu Javierze Fumero wiadomo było tylko tyle, że dzięki interwencji don Rikarda Aldayi został wysłany do poprawczaka zagubionego w dolinie Aren, gdzie czekała go długa zima. Julián zaś, w odróżnieniu od swych przyjaciół, dopiero się zastanawiał, co ma ze sobą zrobić. Marzenia i ambicje literackie wydawały mu się coraz bardziej nieosiągalne. Pragnął tylko być z Penélope.

Podczas gdy Julián zastanawiał się nad swoją przyszłością, inni przystąpili już do jej planowania. Don Ricardo Aldaya, chcąc powoli wprowadzać go w tajniki interesów, szykował mu posadę w firmie. Kapelusznik ze swej strony postanowił, że jeśli syn nie przejawia zainteresowania przejęciem rodzinnej firmy, wobec tego nie będzie żył na jego koszt. W rezultacie podjął w tajemnicy kroki, dzięki którym Julián miał zostać wcielony do wojska. Kilka lat życia w koszarach miało go wyleczyć z wielkopaństwa. Julián o żadnym z tych planów nie miał pojęcia, a gdy w końcu dotarły doń szczegóły, było już za późno. W głowie miał tylko Penélope i przestały mu już wystarczać potajemne randki oraz udawanie, że to tylko daleka znajomość. Nalegał na częstsze spotkania, coraz bardziej ryzykując, że ich związek w końcu zostanie odkryty. Jacinta robiła co mogła, żeby utrzymać to w tajemnicy: kłamała na potęgę, organizowała sekretne spotkania i znajdowała tysiące sposobów, żeby oboje mogli przez chwilę być sam na sam. Ale rozumiała, że to wszystko za mało, że każda minuta spędzona razem jeszcze bardziej ich łączy. Już dawno nauczyła się spostrzegać w ich oczach wyzwanie i arogancję pożądania: hardą wolę doprowadzenia do tego, by przyłapano ich wreszcie na gorącym uczynku, by ich sekret wywołał skandal, a oni nie musieli już kryć się po kątach i kochać na ślepo. Czasami, gdy Jacinta szła okryć Penélope do snu, dziewczyna wybuchała płaczem i wyznawała, że pragnie jedynie wyjechać z Julianem, wskoczyć do pierwszego nadjeżdżającego pociągu i uciec, gdzie oczy poniosą. Jacinta, która nosiła w pamięci wspomnienie, jaki świat rozpościera

się za ogrodzeniem pałacyku Aldayów, wzdrygała się na te słowa i odwozila ją od podobnych myśli. Penélope była łagodnej natury i przerażenie, jakie pojawiało się na twarzy Jacinty, wystarczało, by ją powstrzymać i uspokoić. Ale Julián to było coś zupełnie innego.

Tej ostatniej szkolnej wiosny w San Gabriel Julián z niepokojem odkrył, że don Ricardo Aldaya i jego matka Sophie spotykają się potajemnie. Początkowo obawiał się, że przemysłowiec mógł uznać Sophie za kolejny łakomy kąsek do swojej kolekcji, ale szybko spostrzegł, że spotkania odbywały się zawsze w kawiarniach w centrum, przebiegały w jak najbardziej przyzwoitych okolicznościach i ograniczały się do rozmów. Sophie utrzymywała je w tajemnicy. Gdy w końcu Julián zdecydował się zapytać wprost don Ricarda, co się dzieje pomiędzy nim a jego matką, przemysłowiec roześmiał się.

– Nic ci nie umknie, Julianie, prawda? Właśnie zamierzałem z tobą porozmawiać. Twoja matka i ja rozmawiamy o twojej przyszłości. Przyszła do mnie zaniepokojona kilka tygodni temu, gdyż twój ojciec planuje wysłać cię w przyszłym roku do wojska. Matka, co naturalne, chce dla ciebie jak najlepiej i zjawiła się u mnie, by zobaczyć, czy razem możemy coś w tej sprawie zdziałać. Nic się nie martw, słowo Ricarda Aldayi, że nie zostaniesz mięsem armatnim. Twoja matka i ja mamy wobec ciebie wielkie plany. Zaufaj nam.

Julián może i chciałby zaufać, ale don Ricardo wzbudzał wszystkie możliwe uczucia poza zaufaniem. Miquel Moliner, spytany o radę, zgodził się z Julianem.

– Jeśli chcesz uciec z Penélope, niech Bóg ma cię w swej opiece, bo potrzebujesz pieniędzy.

Pieniądzy Julián nie miał.

– To się da załatwić – dał mu do zrozumienia Miquel – po to są bogaci przyjaciele.

W ten oto sposób Miquel i Julián zaczęli planować ucieczkę kochanków. Celem podróży, zgodnie z sugestią Molinera, miał być Paryż. Miquel argumentował, że jeśli już ma się być głodującym pisarzem pośród artystycznej bohemy, to przynajmniej w najpiękniejszych dekoracjach, a takie oferuje Paryż. Penélope mówiła

trochę po francusku, a dla Juliana, dzięki matce, był to drugi język.

– Poza tym Paryż jest na tyle duży, żeby się zgubić, ale i na tyle mały zarazem, żeby móc coś dla siebie znaleźć – uważał Miquel.

Jego przyjaciel zebrał całkiem pokaźną kwotę, do swych wieloletnich oszczędności dodając pieniądze, które pod najdziwaczniejszymi pretekstami wyciągał od ojca. Tylko Miquel miał wiedzieć, dokąd jada.

– A ja z kolei zamierzam zaniemówić, jak tylko wsiądziecie do pociągu.

Tego samego popołudnia, po ustaleniu ostatnich szczegółów z Molinerem, Julián udał się do rezydencji przy alei Tibidabo, by z tymi szczegółami zaznajomić Penélope.

– Nikomu ani słowa o tym, co ci powiem. Nikomu. Nawet Jacincie – zaczął Julián .

Dziewczyna słuchała go oszołomiona i oczarowana. Plan Molinera był perfekcyjny. Miquel miał kupić bilety na fałszywe nazwisko i poprosić kogoś obcego, żeby je odebrał z okienka na stacji. Gdyby jakimś cudem policja dotarła do tej osoby, wówczas otrzymałaby opis kogoś zupełnie niepodobnego do Juliana. Julián i Penélope mieli spotkać się w pociągu. Żadnego oczekiwania na peronie, nie można rzucać się w oczy. Ucieczka miała nastąpić w niedziele w południe. Julián miał dojechać na dworzec Francia. Tam miał czekać na niego Miquel z biletami i pieniędzmi.

Cześć bardziej delikatna dotyczyła Penélope. Miała oszukać Jacintę i poprosić ją, żeby pod jakimś pretekstem zabrała ją z mszy o jedenastej i zaprowadziła do domu. Po drodze Penélope miała domagać się pozwolenia na spotkanie z Julianem, obiecując powrót do domu, zanim wróci rodzina. Penélope pojechałaby wtedy na stację. Obydwoje wiedzieli, że gdyby powiedziała prawdę, Jacinta nie pozwoliłaby im odjechać. Za bardzo ich kochała.

– To doskonały plan, Miquel – powiedział Julián , poznawszy strategię obmyśloną przez przyjaciela.

Miquel smutno przytaknął.

– Z wyjątkiem jednego szczegółu. Krzywdy, jaką wyrządzą wielu ludziom, wyjeżdżając na zawsze.

Julián przyznał mu rację, myśląc o swej matce i Jacincie. Nie

przyszło mu do głowy, że Miquel Moliner mówi o sobie.

Najtrudniej było przekonać Penélope, że nie wolno wtajemniczać Jacinty w plan. Tylko Miquel miał znać prawdę. Pociąg odjeżdżał o pierwszej po południu. Nieobecność Penélope miała wyjść na jaw dopiero wtedy, gdy będą już po drugiej stronie granicy. Dojechawszy do Paryża, mieli stanąć w jakimś hoteliku, zameldować się jako małżeństwo pod fałszywym nazwiskiem. I dopiero wysłać na adres Miquela Molinera listy, w których zapewniliby o swej miłości, uspokoili, że są cali i zdrowi, że kochają ich, i zapowiedzieli ślub kościelny, błagając o wybaczenie i zrozumienie. Miquel Moliner miał włożyć listy do nowych kopert, żeby nie było widać stempla z Paryża, i wysłać z jakiejś pobliskiej miejscowości.

– Kiedy? – zapytała Penélope.

– Za sześć dni – powiedział Julián . – W najbliższą niedzielę.

Miquel uważał, że najlepiej by było, dla uniknięcia podejrzeń, zaniechać wszelkich spotkań przez owe dzielące ich od ucieczki sześć dni. Powinni się umówić w tej sprawie i omijać z daleka aż do spotkania w pociągu do Paryża. Nie widzieć jej przez sześć dni, i przez sześć dni nie dotykać, zdało się Julianowi nieskończonością. Pocałunkiem przypieczętowali umowę, tajemny ślub.

I wtedy Julián zaprowadził Penélope do pokoju Jacinty na trzecim piętrze domu. Znajdowały się tam tylko pokoje dla służby i Julián był przekonany, że nikt ich tutaj nie znajdzie. Rozebrali się gwałtownie, z pasją i z pożądaniem, drapiąc skórę do krwi i ginąc w milczeniu. Nauczyli się swoich ciał na pamięć i pogrzebali najbliższe sześć dni rozłąki w kroplach potu i śliny. Julián wszedł w nią z furją, przygwałdzając Penélope do desek podłogi. Przyjmowała go z otwartymi oczyma, obejmując wysoko nogami, i z lekko rozwartymi od żądz ustami. Nie było cienia kruchej dziewczęcości ani w jej spojrzeniu, ani w jej ciepłym ciek domagającym się więcej. Po jakimś czasie, przytulając twarz do jej brzucha i trzymając dłonie na jej drżących jeszcze, białych piersiach, Julián z wolna uświadomił sobie, że powinni się już pożegnać. Zdażył wstać, gdy drzwi do pokoju uchyliły się i na progu dało się dostrzec kobiecą postać. W pierwszej chwili sądził, że ma do czynienia z Jacintą, szybko jednak zrozumiał, że w progu stoi pani Aldaya, która przypatrywała im się jak

zahipnotyzowana, z fascynacją i wstrętem zarazem. Wydusiła z siebie jedynie: „Gdzie jest Jacinta?”. Po czym odwróciła się i odeszła w milczeniu, podczas gdy Penélope kulila się na podłodze w niemej agonii, a Julián czuł, że świat wokół nich wali się w gruzy.

– Idź już, Julianie. Idź, zanim zjawi się tu mój ojciec.

– Ale...

– Idź.

Julián kiwnął głową.

– Cokolwiek się stanie, w niedzielę czekam na ciebie w naszym pociągu.

Penélope udało się lekko uśmiechnąć.

– Będę tam. A teraz idź już. Proszę.

Wciąż była naga, gdy wyslizgnął się z pokoju i zszedł schodami dla służby do powozowni, a stamtąd ruszył w najzimniejszą noc, jaką pamiętał.

Każdy z kolejnych dni był coraz gorszy. Julián nie spał, obawiając się, że w każdej chwili przyjdą po niego wynajęci przez don Ricarda płatni mordercy. Nie przyszedł nawet sen. Następnego dnia w szkole San Gabriel nie zauważył żadnej zmiany w zachowaniu Jorge Aldayi. Zatrwożony, wyznał Miquelowi Moliner, co się stało. Miquel, z charakterystyczną dla siebie flegmą, pokręcił przecząco głową.

– Całkiem zwariowałaś, no ale wiemy o tym nie od dzisiaj. Dziwi jednak całkowity spokój w domu Aldayów. Chociaż, jeśli się chwilę zastanowić, nie jest to wcale takie zaskakujące. Jeśli, jak twierdzisz, nakryła was pani Aldaya, to niewykluczone, że ona sama nie wie jeszcze, co z tym fantem począć. Rozmawiałem z nią trzy razy w życiu i wywnioskowałem dwie rzeczy: po pierwsze, pani Aldaya ma mentalność dwunastolatki, po drugie, cierpi na chroniczny narcyzm, który uniemożliwia jej ujrzenie lub zrozumienie czegokolwiek, czego ona sama nie chce ujrzeć lub zrozumieć, szczególnie w odniesieniu do własnej osoby.

– Oszczędź mi diagnozy, Miquel.

– Chcę powiedzieć, że najprawdopodobniej wciąż się zastanawia nad tym, co ma powiedzieć, jak, kiedy i komu. Najpierw musi przemyśleć konsekwencje, jakie sama poniesie: ewentualny skandal,

wściekłość męża... Reszta, ośmielam się przypuszczać, wcale jej nie obchodzi.

– Myślisz więc, że nic nie powie?

– Może przez dzień lub dwa. Ale nie wierzę, żeby była zdolna do zachowania takiej tajemnicy przed swym małżonkiem. Co z ucieczką? Aktualna?

– Jak nigdy.

– Cieszę się, że to mówisz. Bo odnoszę wrażenie, że teraz już rzeczywiście nie ma odwrotu.

Dni owego tygodnia upływały w powolnej agonii. Julián przychodził codziennie do szkoły San Gabriel, czując ciężącą mu coraz bardziej niepewność. Siedział w klasie na kolejnych lekcjach, udając, że jest obecny, niezdolny nawet do wymiany choćby jednego spojrzenia z Miquelem Moliner, którego zaczynał ogarniać równie dręczący, jeśli nie większy niepokój. Jorge Aldaya nic nie mówił. Był jak zwykle miły i uprzejmy. A Jacinta przestała po niego przychodzić. Teraz po młodego Aldayę przyjeżdżał szofer don Ricarda. Julián czuł, że kona powoli i że właściwie marzy już tylko o tym, żeby stało się wreszcie to, co się stać musi, byle to czekanie dobiegło końca. W czwartek po południu, już po lekcjach, zaczął dopuszczać myśl, że może jednak szczęście mu dopisało. Pani Aldaya nic nie powiedziała, być może ze wstydu, głupoty lub którejkolwiek z przyczyn przewidywanych przez Miquela. Nieistotne. Ważne, by trzymała język za zębami do niedzieli. Tej nocy po raz pierwszy od kilku dni zdołał zasnąć.

W piątek rano spotkał czekającego nań przed ogrodzeniem szkoły ojca Romanonesa.

– Julianie, muszę z tobą porozmawiać.

– Tak, proszę ojca.

– Od początku wiedziałem, że ten dzień nadejdzie, i muszę ci wyznać, że rad jestem, iż to ja osobiście przekażę ci nowinę

– Jaką nowinę, ojczy?

Julián Carax nie był już uczniem szkoły San Gabriel. Jego obecność w budynku, salach czy nawet ogrodach była absolutnie zabroniona. Wszystkie jego rzeczy i książki przechodziły na własność szkoły.

– Techniczna nazwa to relegowanie ucznia ze skutkiem natychmiastowym – podsumował ojciec Romanones.

– Mogę zapytać o przyczynę?

– Znalazłoby się ich z tuzin, ale jestem pewien, że sam będziesz mógł wybrać najodpowiedniejszą. Żegnaj, Carax. Szczęścia w życiu. A będziesz go potrzebował.

Stojąca na placu fontann kilkadziesiąt metrów dalej grupa uczniów przypatrywała mu się. Niektórzy się śmiali, czyniąc pożegnalne gesty ręką. Inni patrzyli na niego ze zdziwieniem i współczuciem. Tylko jeden uśmiechał się smutno: jego przyjaciel Miquel Moliner, który kiwnął jedynie głową i wyszeptał jakieś milczące słowa. Julianowi zdało się, że odczytuje w powietrzu: „Do niedzieli”.

Wracając do domu na rondzie San Antonio, Julián spostrzegł stojący przed zakładem mercedes don Ricarda Aldayi. Zatrzymał się na rogu i czekał. Po chwili don Ricardo wyszedł ze sklepu ojca i wsiadł do samochodu. Julián schował się w bramie i stał w niej, dopóki samochód nie odjechał w kierunku placu Uniwersyteckiego. Wbiegł schodami na górę. Jego matka, Sophie, czekała zalana łzami.

– Coś ty zrobił, Julianie – wyszeptała, bez złości.

– Wybacz, mamó...

Sophie mocno objęła syna. Wychudła i postarzała się, jakby wszyscy okradli ją z życia i młodości. A ja najbardziej, pomyślał Julián.

– Posłuchaj uważnie, Julianie. Twój ojciec i don Ricardo Aldaya wszystko tak załatwili, żebyś w ciągu kilku dni znalazł się w wojsku. Aldaya ma wpływy... Musisz wyjechać, Julianie. Musisz wyjechać tam, gdzie żaden z nich cię nie znajdzie...

Julián odniósł wrażenie, że w oczach matki dostrzega trawiący ją od środka cień.

– Czy jest coś jeszcze, mamó? Coś, czego mi mama nie powiedziała?

Sophie wpatrywała się w syna, nie próbując nawet powstrzymać drżenia ust.

– Musisz wyjechać. Obydwoje musimy odejść stąd na zawsze.

Julián objął ją mocno i wyszeptał do ucha:

– Niech się mama o mnie nie martwi. Niech się mama nie martwi.

Całą sobotę spędził zamknięty w pokoju, wśród swoich książek i zeszytów z rysunkami. Kapelusznik zszedł do sklepu prawie o świcie i wrócił dopiero późnym rankiem. Nawet nie ma odwagi powiedzieć mi tego prosto w twarz, pomyślał Julián . Owej nocy, z oczami pełnymi łez, pożegnał się z latami, które spędził w tym ciemnym i zimnym pokoju, zagubiony w niemających się spełnić marzeniach. W niedzielę o świcie, za cały bagaż mając tylko torbę z ubraniem i kilkoma książkami, ucałował w czoło skuloną i śpiącą wśród pledów w jadalni Sophie i odszedł. Ulice okrywała błękitnawa mgiełka i miedziane błyski wschodziły z tarasów Starego Miasta. Szedł powoli, żegnając się z każdą bramą, każdym zaułkiem, zastanawiając się, czy pułapka czasu jest rzeczywiście pułapką i czy któregoś dnia będzie mógł pamiętać tylko to, co dobre, i zapomni o samotności, która tyle razy prześladowała go na tych ulicach.

Dworzec Francia był opustoszały, wygięte i wypolerowane klingi torów płonęły w świetle świtu i tonęły we mgle. Julián usiadł na ławce i wyjął książkę. Siedział tak parę godzin, zagubiony w magii słów, wchodząc coraz w inną skórę, zmieniając imię. Dał się porwać marzeniom jakichś postaci w cieniu, sądząc, że nie ma dlań na ziemi żadnego innego sanktuarium ani schronienia. Już wiedział, że Penélope nie przyjdzie na spotkanie. Wiedział, że on sam wsiądzie do pociągu jedynie w towarzystwie wspomnienia. Gdy w samo południe na stacji pojawił się Miquel Moliner i wręczył mu bilet i wszystkie pieniądze, jakie udało się zebrać, przyjaciele objęli się w milczeniu. Julián nigdy nie widział, by Miquel Moliner płakał. Zegar ich osaczał, odliczając uciekające minuty.

– Jeszcze jest czas – szeptał Miquel, z wzrokiem wlepionym w wejście na perony.

O pierwszej pięć zawiadowca stacji ostatni raz wezwał pasażerów udających się do Paryża do zajmowania miejsca w pociągu. Pociąg powoli już ruszał, gdy Julián spojrział za siebie, żeby pożegnać się z przyjacielem. Miquel Moliner patrzył na niego, stojąc na peronie, z rękoma w kieszeniach.

– Pisz – powiedział.

– Jak tylko dojadę, zaraz napiszę – odparł Julián .

– *Nie. Nie do mnie. Pisz książki. Nie listy. Pisz je dla mnie. Dla Penélope.*

Julián przytaknął, teraz dopiero uświadamiając sobie, jak bardzo będzie tęsknił za przyjacielem.

– *I nie rezygnuj z marzeń – dodał Miquel. – Nigdy nie wiesz, kiedy okażą się potrzebne.*

– *Zawsze są – szepnął Julián, ale ryk pociągu już porwał słowa.*

– Penélope opowiedziała mi, co się wydarzyło tamtej nocy, gdy pani natrafiła na nich w moim pokoju. Następnego dnia kazała mi przyjść do siebie i zapytała, co wiem o Julianie. Powiedziałam, że ja nic nie wiem, że to dobry chłopak, kolega Jorge... Kazała mi trzymać Penélope pod kluczem w pokoju, dopóki nie zmieni polecenia. Don Ricardo był w Madrycie i wrócił dopiero w piątek. A jak tylko wrócił, to pani opowiedziała mu, co się zdarzyło. Byłam przy tym. Don Ricardo, jak siedział w fotelu, tak natychmiast skoczył i spoliczkował panią tak mocno, że upadła... I zaczął krzyczeć jak wariat, żeby powtórzyła to, co przed chwilą powiedziała. Pani była przerażona. Pana w takim stanie nigdy nie widziałyśmy. Nigdy. Jakby go opętały wszystkie możliwe demony. Czerwony z wściekłości, wbiegł po schodach do sypialni Penélope i ciągnąc za włosy, wywlókł ją z łóżka. Chciałam go powstrzymać, ale odpędził mnie kopniakami. Tej samej nocy wezwał rodzinnego lekarza, żeby zbadał Penélope. Lekarz, kiedy skończył, porozmawiał z panem. Zamknęli Penélope na klucz w jej pokoju, a pani mi powiedziała, żebym pozbierała swoje rzeczy.

Nie pozwolili mi zobaczyć się ani pożegnać z Penélope. Don Ricardo zagroził, że mnie zadenuncjuje policji, jeśli komukolwiek opowiem, co się wydarzyło. Wyrzucili mnie na bruk tej samej nocy, po osiemnastu latach służby w ich domu; nie miałam dokąd pójść. Dwa dni później, w pensjonacie na ulicy Muntaner, odwiedził mnie Miquel Moliner i powiedział mi, że Julián wyjechał do Paryża. Chciał, żebym mu opowiedziała, co się stało z Penélope, i wyjaśniła, dlaczego nie pojawiła się na stacji. Przez kilka tygodni chodziłam do domu i błagałam o spotkanie z Penélope, ale nawet za bramę nie pozwalali mi wejść. Czasami stawałam naprzeciwko tuż przy rogu, i stałam tak przez calutki dzień, czekając, że może ich zobaczę, jak będą

wychodzić... Nigdy jej nie zobaczyłam. Nie wychodziła z domu. Trochę później pan Aldaya wezwał policję i z pomocą swoich ustosunkowanych przyjaciół wsadził mnie do domu wariatów w Horta, twierdząc, że nikt mnie nie zna i że jestem wariatką nękającą jego rodzinę i dzieci. Dwa lata tam spędziłam, zamknięta jak zwierzę. Pierwsze, co zrobiłam, gdy mnie wypuścili, to od razu ruszyłam pod dom w alei Tibidabo, żeby zobaczyć Penélope.

– I udało się? – zapytał Fermín.

– Dom był zamknięty, na sprzedaż. Nikt tam nie mieszkał. Powiedziano mi, że Aldayowie wyjechali do Argentyny. Napisałam na adres, który mi podano. Listy wróciły nieotwarte...

– A co się stało z Penélope? Wie pani?

Jacinta zaprzeczyła, osuwając się.

– Nigdy już jej więcej nie zobaczyłam.

Staruszka jęczała, zalana łzami. Fermín wziął ją w ramiona i zaczął kołysać. Ciało Jacinty Coronado przypominało ciało drobnej dziewczynki, a Fermín wydawał się przy niej wielkoludem. W głowie kłębiło mi się tysiące pytań, ale mój przyjaciel wykonał gest, który jednoznacznie wskazywał, że rozmowa dobiegła końca. Widziałem, jak się przygląda brudnej i zimnej dziurze, gdzie Jacincie Coronado przyszło spędzać ostatnie godziny.

– Idziemy, Danielu. Szybko. Proszę, idź pierwszy.

Zrobiłem, jak kazał. Odchodząc, obejrzałem się i zobaczyłem, jak Fermín klęczy przed staruszką, całując ją w czoło. Pokazała swój bezzębny uśmiech.

– Ale tak szczerze, Jacinto – usłyszałem Fermina – lubi pani sugusy, prawda?

Podczas naszej powrotnej wędrówki ku wyjściu minęliśmy się z prawdziwym przedsiębiorcą pogrzebowym i z jego dwoma pomocnikami o małym wyglądzie, taszczącymi sosnową trumnę, sznury i kilka starych prześcieradeł o niewiadomym przeznaczeniu. Cała grupka wydzielala złowrogą woń formaliny i taniej wody kolońskiej, a na ich przezroczytych twarzach rysowały się bezbarwne i psie uśmiechy. Fermín ograniczył się do wskazania celi, gdzie oczekiwał zmarły, i pobłogosławił całą trójkę, która w odpowiedzi na

jego gest przeżegnała się gorliwie i z szacunkiem.

– Idźcie w pokoju – szepnął Fermín, ciągnąc mnie do wyjścia, gdzie zakonnica trzymająca lampkę olejną pożegnała nas potępiającym i grobowym spojrzeniem.

Kiedy znaleźliśmy się już poza murami tego przybytku, ponury kanion z kamienia i mrocznych cieni ulicy Moncada zdał mi się teraz doliną chwały i nadziei. Fermín oddychał obok mnie głęboko i z ulgą, i zdałem sobie sprawę, że nie tylko ja cieszę się z opuszczenia tego targowiska mrocznych cieni. Historia opowiedziana przez Jacintę ciążyła nam na sumieniu bardziej, niż gotowi byliśmy się przyznać.

– Danielu, a gdybyśmy tak zdryfowali na porcyjkę krokiecików z szynką, z nieodzowną lampką wina musującego albo i z dwoma, tu w Xampanet, dla zabicia absmaku?

– Szczerze mówiąc, nie odmówiłbym.

– Nie umówił się pan na dziś z panną?

– Na jutro.

– Łobuz z pana. Jeszcze się każe prosić, co? Pojętny z pana uczeń...

Dziesięciu kroków nawet nie zdążyliśmy zrobić ku dochodzącej z baru parę numerów dalej wrzawie, gdy trzy postacie odłączyły się od cienia i ruszyły w naszą stronę. Dwóch rzezimieszków stanęło za naszymi plecami tak blisko, że poczułem ich oddechy na karku. Trzeci z nich, mniejszy, ale nieporównanie bardziej złowrogi, przeciął nam drogę. Na sobie miał ten sam płaszcz, a jego lepki uśmiech wydawał się z błogości przelewać z kącików ust.

– No proszę, proszę, kogóż tu mamy? Przecież to mój stary przyjaciel, człowiek o tysiącu twarzy – odezwał się inspektor Fumero.

Usłyszałem niemal, jak wszystkie kości Fermina zaczynają na widok tej zjawy dygotać ze strachu. Jego elokwencja ograniczyła się do głuchego jęku. I jeden, i drugi oprych, którzy, jak mi się wydało, byli jedynie agentami Brygady Kryminalnej, w jednej chwili złapali nas za karki i przeguby, gotowi w przypadku najmniejszego ruchu wykrcić nam ręce.

– Sądząc po zaskoczeniu na twojej twarzy, myślałeś pewnie, że straciłem twój ślad już dawno temu, co? Mniemam, że chyba nie uwierzyłeś w to, że takie suche gównno jak ty może wypłynąć z szamba i udawać przyzwoitego obywatela, prawda? Jesteś nienormalny, ale

nie do tego stopnia. Poza tym, jak mi donoszą, wsadzasz swój parszywy nos w sprawy, które nie powinny cię interesować. Zły znak... A u siostrzyczek czego szukasz? Żyjesz z którejś? Ile teraz za to biorą?

– Ja szanuję cudze tyłki, panie inspektorze, zwłaszcza jeśli przebywają za furtą klasztorną. Być może gdyby pan zajął się tym, co do pana należy, zaoszczędziłby pan sporo na penicylinie, a i z perystaltyką jelit nie miałby pan kłopotu...

Fumero zaśmiał się zardzewiałym od złości chichotem.

– To lubię. Jaja jak się patrzy. Mówię: gdyby wszystkie szumowiny były takie jak ty, moja praca byłaby jednym wielkim odpustem. A jak się teraz każesz nazywać, popaprańcu? Gary Cooper? No dobra, koniec żartów, powiedz mi z łaski swojej, co tu robisz, wtryniając swój nochal do przytułku Santa Lucia, a jak mi powiesz, to może puszcze cię wolno, tylko z paroma siniakami. Zamieniam się w słuch. Co was tu sprowadza?

– Sprawa prywatna. Przyszliśmy odwiedzić krewnego.

– A jasne i twoją kurwę mać. Słuchaj, dziś akurat jestem w dobrym humorze, bo inaczej już dawno bym cię zaciągnął na komisariat i tam potraktował palnikiem. No już, bądź grzecznym chłopczykiem i powiedz całą prawdę swojemu przyjacielowi, inspektorowi Fumero, co do kurwy nędzy robisz tu ze swoim kolegą. Bądź łaskaw co nieco powspółpracować, do cholery, zaoszczędzisz mi trudu prefasonowania glacy tego chłoptasia, którego żeś se za mecenasa obrał.

– Rusz mu pan jeden włos na głowie, a przysięgam, że...

– Aleś mnie wystraszył, zesrałem się w portki.

Fermín przełknął ślinę. Sprawiał wrażenie, jakby zaklinał resztki odwagi, wyciekającej mu wszystkimi porami skóry.

– Chyba nie ma pan na myśli owych przesławnych marynarskich por – teczek, nabytych przez dostojną mamusię, przesławną pomywaczkę? Szkoda by ich było, bo, jak mi opowiadano, w owym ubranku wyglądał pan nader gustownie.

Z twarzy Fumero krew uciekła, a z jego spojrzenia zniknął jakikolwiek wyraz.

– Coś ty powiedział?

– Powiedziałem, iż odnoszę wrażenie, że odziedziczył pan gust i

wdzięk po doni Yvonne Sotoceballos, damy ze sfer najwyższych...

Fermín nie był nazbyt korpulentnym człowiekiem i już po pierwszym ciosie poleciał na ziemię. Skulony, leżał w kałuży, w której wylądował, nie próbując nawet wstać, gdy Fumero zaczął go kopać w żołądek, w nerki i w głowę. Przestałem liczyć po piątym kopniaku. Fermín nie był w stanie złapać oddechu i wykonać jakiegokolwiek ruchu, choćby palcem, by chronić się przed ciosami. Trzymający mnie w żelaznym uścisku policjanci śmiali się z grzeczności lub obowiązku.

– Nie wtrącaj się – szepnął mi jeden z nich. – Nie mam ochoty złamać ci ręki.

Próbując się jednak uwolnić, zobaczyłem przez chwilę twarz agenta, który do mnie przemówił. Natychmiast go poznałem. Był to mężczyzna z gazetą, którego spotkałem w barze na placu Sarria parę dni temu, ten sam, który jechał z nami autobusem i śmiał się z dowcipów Fermina.

– A najbardziej mnie wkurwiają ludzie grzebiący w gównie i w przeszłości – wykrzykiwał Fumero, chodząc wokół Fermina. – Co było, to było, i należy to zostawić w spokoju, rozumiano? A mówię to nie tylko do ciebie, ale i do tej lebiegi. Ty, dzieciaku, patrz i ucz się, bo jesteś następny w kolejce.

Patrzyłem w padającym ukośnie świetle latarni, jak inspektor Fumero okłada kopniakami leżącego Fermina. Nie byłem w stanie otworzyć ust. Pamiętam głuchy, straszliwy odgłos uderzeń, bezlitośnie spadających na mojego przyjaciela. Do tej pory mnie boją. Ograniczyłem się do schronienia w uścisku policjantów, trzęsąc się i leżąc w milczeniu łyż tchórzostwa.

Gdy Fumero znudził się kopaniem bezwładnego ciała, rozchylił płaszcz, rozpiął rozporek i zaczął sikać na Fermina. Mój przyjaciel, podobny stercie łachmanów w kałuży, nie ruszał się. Fumero obficie polewał swym dymiącym strumieniem Fermina, a ja wciąż nie mogłem otworzyć ust. Kiedy skończył, zapiął rozporek i skierował się ku mnie z twarzą mokrą od potu, ciężko dysząc. Jeden z agentów podał mu chustkę, którą inspektor wytarł sobie twarz i kark. Fumero przysunął się do mnie jak mógł najbliżej, niemal dotykając twarzą mojej twarzy, i wbił we mnie wzrok.

– Nie byłeś wart tego lania, szczawiu. To jest problem twojego

przyjaciela: zawsze staje po niewłaściwej stronie. Następnym razem przypierdolę mu jak nigdy i jestem głęboko przekonany, że to ty będziesz temu winien.

Myślałem, że teraz mnie walnie, że nadeszła moja kolej. Właściwie to chciałem, żeby mnie walnął. Bardzo chciałem wierzyć, że otrzymane razy wyleczą mnie ze wstydu, że nie byłem w stanie kiwnąć palcem w obronie Fermina, podczas gdy on jedyne, co robił, to jak zwykle próbował mnie ochronić.

Ale cios nie został wymierzony. Tylko smagnięcie tych pełnych pogardy oczu. Fumero poklepał mnie po policzku.

– Nie bój się, dzieciaku. Ja sobie nie brudzę rąk tchórzami.

Policjanci zarechotali z dowcipu szefa, odprężeni, bo widowisko dobiegło końca. Widać było, że marzą o opuszczeniu tego miejsca. Oddalali się, śmiejąc w mroku. Gdy podbiegłem udzielić mu pomocy, Fermín bezskutecznie próbował wstać i odnaleźć w brudnej kałuży wybite zęby. Krew leciała mu z ust, nosa, uszu i z powiek. Gdy zobaczył, że jestem cały i zdrow, usiłował skwitować to uśmiechem, i w tej samej chwili musiałem go szybko łapać, bo wyglądał, jakby miał zaraz oddać ducha. Moim pierwszym skojarzeniem było, że jest lżejszy od Bei.

– Fermín, na Boga, trzeba pana natychmiast zawieźć do szpitala.

Fermín energicznie zaprzeczył.

– Zabierz mnie do niej.

– Do kogo, Fermín?

– Do Bernardy. Jeśli już mam paść, to w jej ramionach niech mi przyjdzie skonać.

Tej właśnie nocy znów przekroczyłem próg mieszkania na Plaza Real, choć poprzysiągłem sobie, że nie zrobię tego nigdy. Kilku przygodnych, by tak rzec, widzów całego zajścia stojących w drzwiach baru Xampanet pospieszyło mi teraz z pomocą w przeniesieniu Fermina na postój taksówek przy ulicy Princesa, a kelner z baru zadzwonił pod podany mu numer, uprzedzając gospodarzy o naszym przybyciu. Jazda taksówką trwała dłużej niż wieczność. Fermín stracił przytomność, jeszcze zanim ruszyliśmy. Trzymałem go mocno w ramionach i usiłowałem rozgrzać. Czułem wsiąkającą mi w ubranie ciepłą krew. Przez cały czas szeptałem mu do ucha, że już dojeżdżamy, że to nic groźnego. Głos mi drżał. Od czasu do czasu widziałem we wstecznym lusterku groźne spojrzenia kierowcy.

– Nie chcę żadnych kłopotów, jasne? Jeśli ten wykituje, to wynocha mi z wozu.

– Zamknij się pan i dodaj gazu.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, Gustavo Barceló i Bernarda już czekali w drzwiach w towarzystwie doktora Soldevili. Bernarda, widząc nas we krwi i błocie, podniosła histeryczny lament. Doktor natychmiast przystąpił do zmierzenia Ferminowi pulsu i zapewnił, że pacjent żyje. We czwórkę wnieśliśmy Fermina po schodach do pokoju Bernardy, gdzie przyprowadzona przez doktora pielęgniarka szykowała wszystko do przyjęcia chorego. Ledwie położyliśmy go na łóżku, doktor zaczął go rozbierać, prosząc nas zarazem, byśmy opuścili pokój i pozwolili mu robić to, co do niego należy. Zamknął nam drzwi przed nosem krótkim i treściwym: „Wyjdzie z tego”.

Na korytarzu Bernarda szlochała, żaląc się, że kiedy wreszcie udaje jej się spotkać przyzwoitego mężczyznę, to zjawia się Pan Bóg i wydziera go jej, całkiem z maltretowanego. Don Gustavo Barceló przytulił ją i zaprowadził do kuchni, gdzie poił ją brandy tak skutecznie, że po chwili biedaczka ledwie trzymała się na nogach. A

kiedy wypowiedane przez nią słowa stały się zupełnie niezrozumiałe, antykwariusz nalał sobie kieliszek i wychylił jednym haustem.

– Przepraszam, ale nie wiedziałem, dokąd mam pójść... – zacząłem.

– Spokojnie. Dobrze zrobiłeś. Soldevila to najlepszy traumatolog w Barcelonie – odparł, niby zwracając się do mnie, ale właściwie bardziej przed siebie.

– Dziękuję – wyszeptałem.

Barceló westchnął i nalał hojną ręką brandy do szklanki. Odmówiłem, szklanka powędrowała do Bernardy, która opróżniła ją jednym haustem.

– A teraz bądź łaskaw wziąć prysznic i przyodziać się w coś czystego – powiedział Barceló. – Jeśli wrócisz do domu w takim stanie, twój ojciec dostanie zawału z przerażenia.

– Nie trzeba... ja się dobrze czuję – podziękowałem.

– To się tak nie trzęś. No, śmiało, możesz skorzystać z mojej łazienki, jest terma. Drogę znasz. Ja tymczasem zadzwonię do twego ojca i powiem mu, no tak, nie wiem, co mu powiem. Coś wymyślę.

Przytaknąłem.

– To nadal jest twój dom, Danielu – rzekł Barceló, oddalając się korytarzem. – Tęskniliśmy za tobą.

Bez kłopotu odnalazłem łazienkę Gustava Barceló, ale miałem problem z natrafieniem na kontakt. Właściwie, pomyślałem, wolę kąpać się w ciemności. Zdjąłem swoje zabłocone i pokrwawione ubranie i wskoczyłem do imperialnej wanny Gustava Barceló. Perłowa mgła wpływała przez okno wychodzące na podwórze, rozmazując kontury pomieszczenia i wzory glazury na podłodze i ścianach. Z prysznicą łał się wrzątek z taką siłą, że łazienka Barceló w porównaniu z naszą na Santa Ana wydała mi się czymś godnym jedynie luksusowych hoteli, w których nigdy dotąd nie byłem. Postąłem kilka minut w obłokach pary, nieruchomo.

W uszach wciąż boleśnie rozbrzmiewały mi głuche ciosy spadające na Fermina. Natrętnie powracały słowa Fumera, a w oczach wciąż stawała mi twarz policjanta, który mnie trzymał, najprawdopodobniej, żeby mnie ochronić. Po jakimś czasie poczułem, że woda robi się zimniejsza, domyśliłem się więc, że wyczerpuję rezerwę ciepłej wody z

termy mojego gospodarza. Skrzętnie wykorzystałem ostatnie letnie krople i zakręciłem kran. Para unosiła się z mojego ciała jak jedwabne nici. Bardziej się domyśliłem, niż spostrzegłem przez prysznicową zasłonkę, że w drzwiach stała jakaś postać. Jej puste spojrzenie błyszczało jak kocie oczy.

– Nie bój się, Danielu, możesz wyjść spokojnie. Pomimo wszystkich mych niegodziwości, nadal nie mogę cię zobaczyć.

– Witaj, Klaro.

Wyciągnęła w moją stronę czysty ręcznik. Wziąłem go. Owinąłem się w niego, zawstydzony jak pensjonarka, i nawet w cieniu pełnym pary mogłem dojrzeć, że Klara uśmiecha się, odgadując moje ruchy.

– Nie słyszałem, jak weszłaś.

– Nie pukałam. Dlaczego kąpiesz się po ciemku?

– A skąd wiesz, że światło nie jest zapalone?

– Bzyczenie żarówki – powiedziała. – Nigdy nie przyszedłeś się pożegnać.

Przyszedłem, odparłem w myślach, ale byłaś bardzo zajęta. Słowa spęły na wargach, ich żal i gorycz wydały się strasznie odległe, nagle wręcz śmieszne.

– Wiem. Wybacz.

Wyszedłem spod prysznic i stanąłem na dywaniku. Aureola pary płonęła na srebrnych kurkach, padająca z lufcika jasność kładła się białym welonem na twarzy Klary. Nic się nie zmieniła i wciąż była taka, jaką ją zapamiętałem. Cztery lata nieobecności na niewiele mi się właściwie zdały.

– Głos ci się zmienił – powiedziała. – A sam też się zmieniłeś, Danielu?

– Jeśli rzeczywiście tak cię to interesuje, jak byłem głupi, tak jestem.

I tchórzliwszy, dodałem w myśli. Zachowała ten swój półuśmiech, który sprawiał ból nawet w półmroku. Wyciągnęła rękę i tak samo jak osiem lat wcześniej w bibliotece Ateneo, natychmiast zrozumiałem. Poprowadziłem jej dłoń ku mej mokrej twarzy i poczułem, jak jej palce odkrywają mnie na nowo, a jej wargi rysują słowa w milczeniu.

– Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić, Danielu. Wybacz mi.

Ująłem jej dłoń i pocałowałem w ciemności.

– To ty mi wybacz.

Atmosfera melodramatu prysła natychmiast, gdy w drzwiach pojawiła się Bernarda, która mimo swego stanu upojenia zdołała jednak zobaczyć, że całkiem nagi i mokry trzymam przy ustach dłoń Klary w ciemnej łazience.

– Na miłość boską, paniczu Danielu, co za brak wstydu! Jezu Chryste, Maryjo, Józefie święty...

Przerazona Bernarda natychmiast zawróciła, a ja mogłem liczyć wyłącznie na to, że z chwilą ustąpienia efektów wypitej brandy pamięć o tym, co przed chwilą widziała, zniknie z jej umysłu jak resztki snu. Klara cofnęła się i wyciągnęła ku mnie ubranie, które trzymała pod lewym ramieniem.

– Wuj dał mi to dla ciebie. Jeszcze z jego lat młodzięcych. Mówi, że bardzo urosłeś, więc powinno na ciebie pasować. Idę, możesz się spokojnie ubrać. Nie powinnam była wchodzić bez pukania.

Wziąłem od niej ubranie i zacząłem wkładać, ciepłą i pachnącą bieliznę, różową bawełnianą koszulę, skarpetki, kamizelkę, spodnie i marynarkę. Lustro pokazywało domokrażcę pozbawionego uśmiechu. Gdy wróciłem do kuchni, doktor Soldevila właśnie wyszedł na chwilę z pokoju, gdzie zajmował się Ferminem, żeby zdać relację ze stanu zdrowia pacjenta.

– Na razie najgorsze minęło – oznajmił. – Nie ma powodów do obaw. Takie rzeczy zawsze wyglądają na gorsze, niż są w rzeczywistości. Pański przyjaciel ma złamaną lewą rękę i dwa żebra, stracił trzy zęby i ma mnóstwo siniaków, ran ciętych i obtarć, ale na szczęście nie stwierdziłem wewnętrznego krwotoku ani objawów urazu mózgu. Zwinięte gazety, które chory nosi pod ubraniem, żeby osłonić się przed chłodem, a jednocześnie przydać sobie, jak mówi, nieco ciała i korpulentności, zadziałały niczym pancerz, osłabiając ciosy. Przed chwilą pacjent, odzyskawszy na jakiś czas przytomność, poprosił mnie, bym przekazał wam, że czuje się jak dwudziestolatek, chce kanapkę z kaszanką i świeżym czosnkiem, czekoladkę i cytrynowe sugusy. Zasadniczo nie widzę przeciwwskazań, choć wydaje mi się, że na razie lepiej zacząć od soków, jogurtu i może niewielkiej porcji gotowanego ryżu. Wreszcie, i na dowód swego stanu duchowego, pacjent prosił, bym nie omieszkiał powiedzieć wam, że

podczas zakładania mu szwów na nodze przez siostrę Amparito doznał, cytuję, erekcji godnej stalagmitu.

– Bo to kawał chłopca – powiedziała Bernarda przepraszająco.

– A kiedy będziemy mogli go zobaczyć? – zapytałem.

– Lepiej jeszcze trochę poczekać. Może o świcie. Dobrze mu zrobi odpoczynek, a jutro rano chciałbym go zabrać do szpitala del Mar, by dla pewności zrobić mu encefalogram, ale wydaje mi się, że możemy być spokojni, że pan Romero de Torres za kilka dni będzie jak nowo narodzony. Sądząc po bliznach i śladach na ciele, ten człowiek wychodził z gorszych opresji i z niejednej katastrofy uszedł z życiem. A jeśli potrzebujecie zaświadczenia, żeby złożyć doniesienie...

– To nie będzie potrzebne – przerwałem.

– Młody człowieku, uprzedzam, że to mogło się bardzo źle skończyć. Trzeba natychmiast zawiadomić policję.

Barceló przyglądał mi się uważnie. Spojrzałem na niego, na co skinął głową.

– Nadejdzie i na to pora, doktorze, proszę się tym nie kłopotać – powiedział. – Rzeczą teraz najważniejszą jest stan pacjenta. Jutro z samego rana osobiście złożę doniesienie. Nawet władza ma prawo do odrobiny spokoju i odpoczynku nocnego.

Doktorowi najwyraźniej nie podobała się moja sugestia, by przemilczeć incydent wobec policji, ale gdy usłyszał, że Barceló sam ma się tym zająć, wzruszył ramionami, uznając sprawę za załatwioną, i wrócił do Fermina. Ledwie zniknął, Barceló skinął głową, bym udał się z nim do jego gabinetu. Bernarda, siedząc na swym stołku, wzdychała raz po raz, pełna strachu i brandy.

– Bernardo, proszę się czymś zająć. Kawy by Bernarda zaparzyła. Mocnej.

– Tak, proszę pana. Już robię.

Poszedłem za Barceló do jego gabinetu, jaskini zasnutej mgłą fajkowego dymu unoszącego się pośród stosów książek i papierów. Co jakiś czas dochodziły nas potknięcia grającej na pianinie Klary. Najwyraźniej lekcje mistrza Neri nie na wiele się zdały, przynajmniej w zakresie sztuki interpretacji muzycznych. Księgarz poprosił mnie, bym usiadł, i zaczął nabijać fajkę.

– Dzwoniłem do twego ojca i powiedziałem mu, że Fermín uległ

niegroźnemu wypadkowi, a ty przywiozłeś go tutaj.

– Uwierzył w to?

– Nie sądzę.

– Aha.

Księgarz zapalił fajkę i wyciągnął się w swym ogromnym fotelu przy biurku, rozkoszując się swoim mefistofelicznym wyglądem. W drugim końcu mieszkania Klara hańbiła Debussy'ego. Barceló wzniósł oczy ku niebu.

– A co się stało z nauczycielem muzyki? – zapytałem.

– Zwolniłem go. Nadużył swego stanowiska.

– Aha.

– Jesteś całkiem pewien, że ty też nie oberwałeś? Dziwnie oszczędny w słowach się zrobiłeś. Jako chłopiec byłeś bardziej elokwentny.

Drzwi od gabinetu otworzyły się i weszła Bernarda, niosąc tacę z dwiema filiżankami i cukiernicą. Obserwując jej krok, zacząłem obawiać się, czy przypadkiem nie znajdę się nagle w strugach wrzącej niemal kawy.

– Kawa podana. Czy nalać panu do niej trochę brandy?

– Odnoszę wrażenie, że butelka lepanto w pełni zasłużyła sobie dziś na odpoczynek, Bernardo. I Bernarda też. Proszę już iść spać. W razie potrzeby my z Danielem będziemy czuwać. A zważywszy, że Fermín zajmuje pani sypialnię, może pani skorzystać z mojego pokoju.

– Oj, proszę pana, mowy nie ma.

– To rozkaz. I proszę nie dyskutować. Za pięć minut Bernarda ma spać.

– Ale, proszę pana...

– Bernardo, bo nie będzie świątecznej premii.

– Co pan tylko rozkaże, panie Barceló. Ale śpię na kołdrze, bo jakiś porządek musi być.

Barceló z całym ceremoniałem odczekał, aż Bernarda opuści gabinet. Wrzucił sobie do filiżanki siedem kostek cukru i mieszając kawę, posłał mi swój koci uśmiech poprzez kłęby dymu z holenderskiego tytoniu.

– Sam widzisz. Muszę w tym domu rządzić twardą ręką.

– Taaak, widać, że nie daje pan sobie w kaszę dmuchać, don Gustavo.

– Ty za to szukasz kłopotów. No dobrze, a teraz, gdy już jesteśmy sami, powiedz mi szczerze, dlaczego złożenie doniesienia na policji nie jest twoim zdaniem dobrym pomysłem?

– Bo oni już o wszystkim wiedzą.

– Chcesz powiedzieć...

Przytaknąłem.

– W co żeście się wplątali, jeśli w ogóle Mogę zapytać?

Westchnąłem.

– A w czymś mogę w ogóle pomóc?

Podniosłem wzrok. Barceló, jakby na chwilę zapomniawszy o swym ironicznym wyrazie twarzy, uśmiechał się bez cienia złośliwości.

– A nie ma to przypadkiem jakiegoś związku z tą książką Caraxa, której nie chciałeś mi sprzedać, choć oczywiście powinieneś był to zrobić?

Poczułem się całkiem zaskoczony.

– Mógłbym wam pomóc – zaoferował się. – Mam to, czego wam brakuje: pieniądze i zdrowy rozsądek.

– Proszę mi wierzyć, don Gustavo, ja i tak już zbyt wiele osób wplątałem w to wszystko.

– A zatem jedna więcej nie zaszkodzi. No, słucham, nie krępuj się. Wyobraź sobie, że jestem twoim spowiednikiem.

– Od lat już się nie spowiadam.

– Na twarzy masz to wypisane.

Gustavo Barceló, słuchając, przybierał wygląd kontemplacyjny i salomonowy, godny lekarza lub nuncjusza apostolskiego. Przyglądał mi się niemal bez mrugnięcia okiem, z dłońmi złożonymi pod brodą jakby w modlitwie, oparłszy się łokciami o biurko, kiwając głową od czasu do czasu, jakby wyczuwał objawy lub grzeszki w toku mojej opowieści i konstruował sobie własny osąd faktów, w miarę jak podawałem mu je na tacy. Za każdy razem, gdy na chwilę przerywałem, antykwariusz unosił pytająco i ponaglająco brwi i specyficznym gestem prawej dłoni nakazywał, bym kontynuował rozplątywanie mej opowieści, która zdawała się go przeogromnie bawić. Od czasu do czasu karbował sobie coś w umyśle, unosząc rękę, lub też wznosił oczy ku nieskończoności, jakby chciał zważyć konsekwencje tego wszystkiego, co mu opowiadam. Nie raz i nie dwa rozplątywał się w sardonicznym uśmiechu, którego pojawianie się przypisywałem, jakżeby inaczej, swojej naiwności lub toporności moich osądów.

- Jeśli uważa pan to za głupstwo, to już się więcej nie odzywam.
- Wręcz przeciwnie. Mówienie jest rzeczą głupców, milczenie – tchórzy, a słuchanie rzeczą mędrców.
- Kto to powiedział? Seneka?
- Nie. Mistrz masarski Braulio Recolons, właściciel sklepu mięsnego na ulicy Aviñón, obdarzony niewysłowionym wprost talentem, zarówno w zakresie wędliniarstwa, jak i trafnej aforystyki. Kontynuuj, proszę. Mówiłeś o tej chwackiej dziewczynie...
- Bei. Ale to jest moja osobista sprawa i nie ma nic wspólnego z całą resztą.

Barceló śmiał się pod nosem. Przystępowałem właśnie do podjęcia przerwanej wątku mej opowieści, gdy do gabinetu zajrzał doktor Soldevila, dysząc i sapiąc.

- Panowie wybaczą. Już miałem sobie iść. Pacjent czuje się dobrze

i jest pełen, dosłownie i w przenośni, energii. Ten dżentelmen wszystkich nas przeżyje. Twierdzi, ni mniej, ni więcej, że środki przeciwbólowe uderzyły mu do głowy, doprowadzając go do stanu okrutnego pobudzenia. Odmawia udania się na spoczynek i upiera się, że nieodwołalnie musi porozmawiać z panem Danielem o sprawach, których charakteru nie chciał mi zdradzić, twierdząc, że nie wierzy w przysięgę Hipokratesa czy też, jak mówi, Hipokryty.

– Już tam idziemy. I proszę wybaczyć biednemu Ferminowi. Jego słowa są niewątpliwie wynikiem wstrząsu.

– Bardzo prawdopodobne, niemniej nie usprawiedliwia to całkiem jego bezczelności, bo nie ma sposobu, by odwieść go od podszczyptywania pielęgniarki w pośladek i recytowania rymowanek sławiących ją jędrność i krągłość jej ud.

Odprowadziliśmy pielęgniarkę i doktora do drzwi i dziękując najserdeczniej za pomoc, pożegnaliśmy się z nimi. Gdy znaleźliśmy się w pokoju, odkryliśmy, że Bernarda nie usłuchała jednak poleceń Barceló i wyciągnęła się na łóżku obok Fermina, gdzie zasnęła w końcu, znużona strachem, brandy i trudami dnia. Fermín, cały w bandażach i plastrach, tulił ją delikatnie i głaskał po głowie. Na twarz jego nie sposób było patrzeć bez bólu, bo była jedną wielką raną, w której zarysowywał się nietknięty nochał i oczka sponiewieranej myszki, po obu stronach zaś, niczym antenki, sterczała para uszu. Posłał nam bezzębny uśmiech, unosząc w górę dłoń i rozczapierzając palce w znaku zwycięstwa.

– Jak pan się czuje, Fermín? – zapytałem.

– Dwadzieścia lat młodszy – rzekł cicho, żeby nie obudzić Bernardy.

– Niech mi pan tu nie sprzedaje głodnych kawałków, bo z daleka już widać, że nie nadaje się pan do niczego. Aleśmy się strachu najedli. Jest pan pewien, że się pan dobrze czuje? Nie kręci się panu w głowie? Nie słyszy pan głosów?

– A właśnie, skoro o tym mowa, wydawało mi się, że dochodzi mnie od czasu do czasu jakieś rzępolenie, fałszujące i bez wycucia rytmu, jakby mała próbowała grać na pianinie.

Barceló ściągnął brwi. W oddali Klara nieprzerwanie uderzała w klawisze.

– Proszę się nie przejmować, Danielu. Zbierałem gorsze cięgi. Ten Fu – mero nie umie nawet wytrzepać dywanu.

– A więc autorem pańskiej nowej facjaty jest nie kto inny jak przesławny pan inspektor Fumero – rzekł Barceló. – No cóż, jak widzę, obracacie się w wyższych sferach.

– Jeszcze nie dotarłem do tej części opowieści – powiedziałem.

Fermín rzucił ku mnie spojrzenie pełne niepokoju.

– Panie Ferminie, bez paniki. Daniel zapoznaje mnie właśnie z detalami tej szczególnej farsy, którą namotaliście. Przyznać muszę, że to nader intrygująca sprawa. A mogę wiedzieć, panie Ferminie, jak u pana ze spowiedzią? Uprzedzam, że mam zaliczone dwa lata seminarium.

– A ja bym dał panu trzy co najmniej, don Gustavo.

– Wszystko można stracić, poczynając od wstydu. Składa mi pan po raz pierwszy wizytę i jakby nigdy nic od razu ląduje pan w łóżku z moją służącą.

– Ale niech pan na tę bidulę, tego mojego anioła, popatrzy tylko. Don Gustavo, moje zamiary są jak najbardziej poważne.

– Pańskie zamiary to sprawa pańska i Bernardy, która, o ile mi wiadomo, jest już pełnoletnia. A teraz do rzeczy i poważnie. W co żeście się wpakowali?

– Co pan mu opowiedział, Danielu?

– Doszliśmy do aktu drugiego: wejście femme fatale – uściślił Barceló.

– To znaczy kogo? Nurii Monfort? – zapytał Fermín.

Barceló mlasnął z ukontentowaniem.

– To jest ich więcej? Nieźle, nieźle, zaczyna mi to wyglądać na uprowadzenie z seraju.

– Może pan mówić nieco ciszej, bo tak się składa, że nieopodal znajduje się moja narzeczona.

– Spokojnie, pańska narzeczona ma w żyłach pół butelki brandy z Lepanto. Salwa armatnia nie jest jej w stanie obudzić. No, proszę przekazać Danielowi, żeby łaskawie opowiedział mi resztę. Co trzy głowy to nie jedna, zwłaszcza jeśli moja głowa jest tą trzecią.

Fermín jakby usiłował wrzucić ramionami w pancerzu bandaży i plastrów.

– Ja nie mam nic przeciwko. Danielu, pan decyduje.

Poddałem się wobec widomych oznak, że nie pozbędę się don Gustava Barceló, i wróciłem do opowieści, aż doszedłem do momentu, kiedy Fu – mero i jego ludzie kilka godzin temu zaskoczyli nas na ulicy Moncada. Gdy opowieść dobiegła końca, Barceló wstał i rozmyślając, zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Fermín i ja obserwowaliśmy go nie bez pewnego chłodnego dystansu. Bernarda chrapała jak cielaczek.

– Maleństwo moje – mruczał rozanielony Fermín.

– Jest kilka rzeczy, które szczególnie mnie uderzają – rzekł antykwa – riusz. – Inspektor Fumero siedzi w tym aż po uszy, bez dwóch zdań, aczkolwiek nie jestem w stanie uchwycić do jakiego stopnia i dlaczego. Z jednej strony mamy do czynienia z tą kobietą...

– Nurią Monfort.

– Następnie mamy temat powrotu Juliana Caraxa do Barcelony i zamordowania go na ulicach miasta po tym, jak przebywa tu przez miesiąc przez nikogo nierozpoznany. Niewiasta ewidentnie kłamie jak najęta, nawet co do czasu.

– Od samego początku tak twierdzą – wtrącił Fermín. – Ale rzecz w tym, że górę tu bierze młodzieńcza gorączka, a brak jest spójnej wizji całości.

– I kto to mówi: święty Jan od Krzyża.

– Spokój, spokój, panowie. Bez kłótni proszę, trzymajmy się faktów. W tym, co Daniel opowiedział, jest coś, co wydało mi się bardzo dziwne, nawet na tle całej reszty i wcale nie ze względu na charakter rodem z powieści brukowej, ale z powodu pewnego fundamentalnego i arcybanalnego szczegółu – dodał Barceló.

– Niech światło prawdy nas oślepi i zadziwi, don Gustavo.

– Proszę bardzo: ojciec Caraxa odmawia rozpoznania jego ciała, obstając przy tym, że nie miał syna. Bardzo to dziwne. Wbrew naturze prawie. Nie ma takiego ojca na świecie, który dopuściłby się czegoś takiego. Nieistotne, jak wiele złości było między nimi. Śmierć ma w sobie coś takiego, że w każdym wzbudza wrażliwość. Stojąc przy trumnie, wszyscy widzimy tylko to, co dobre, lub to, co zobaczyć chcemy.

– Co to za wiekopomny cytat, don Gustavo – zakpił Fermín. – Nie

ma pan nic przeciwko temu, bym wzbogaci! nim swój repertuar?

– Ale istnieją również wyjątki – zaoponowałem. – Z tego, co nam wiadomo, pan Fortuny był człowiekiem dość specyficznym.

– Wszystko, co o nim wiemy, to plotki z trzeciej ręki – rzekł Barceló. – Jeśli wszyscy z uporem chcą kogoś przedstawić jako potwora, to mamy jedną z dwóch sytuacji: albo był to święty człowiek, albo ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie.

– A panu, na odmianę, kapelusznik przypadł jakoś szczególnie do gustu – powiedział Fermín.

– Jeśli wizerunek szwarccharakteru, z góry przepraszam, jeśli któryś z przedstawicieli szacownego cechu kapeluszników poczuje się urażony, zbudowany został wyłącznie na świadectwie dozorczyń, w pierwszym i instynktownym odruchu wątpliwości biorą u mnie górę.

– Ale wskutek zasady do trzech razy sztuka nie możemy być niczego pewni. Wszystko, co wiemy, pochodzi, jak pan mówi, z trzeciej lub nawet z czwartej ręki. I wszystko jedno, czy wliczamy w to dozorczynię, czy nie.

– Nie wierz temu, kto wierzy wszystkim – wytknął Barceló.

– Ma pan swój dzień, don Gustavo, szkoda gadać – zakpił Fermín.

– Perełka za perełką, jak na zamówienie. Tylko pozazdrościć tak przejrzystej wizji i pełnego oglądu.

– Jedyną pewną rzeczą w tym wszystkim jest to, że potrzebujecie mojej pomocy logistycznej i najprawdopodobniej finansowej, jeśli chcecie wyjść z tej szopki, zanim inspektor Fumero zaprosi was do specjalnie przygotowanego apartamentu w więzieniu San Sebas. Panie Ferminie, mniemam, że nie jest pan całkiem odmiennego zdania?

– Ja służę pod rozkazami Daniela. Jak Daniel rozkaże, to mogę i za Jezuska w żłobku robić.

– A twoje zdanie, Danielu?

– Panowie mają więcej doświadczenia. Co pan proponuje?

– Oto mój plan: gdy Fermín odzyska formę, ty, Danielu, pójdziesz z niezapowiedzianą wizytą do pani Nurii Monfort i wyłożysz jej karty na stół: wiemy, że skłamała i coś ukrywa, wiele lub tylko trochę, zobaczymy.

– A to wszystko po co? – spytałem.

– Żeby zobaczyć jej reakcję. Nic ci oczywiście nie powie. Albo znów

skłamanie. Ale najważniejsze to wbić banderillę, że posłużę się terminologią z tauromachii, a następnie już tylko patrzeć, dokąd nas doprowadzi byk, w tym przypadku jałoweczka. I wówczas do akcji wkracza pan, Ferminie. Gdy Daniel założy kotce dzwoneczek, pan zajmie się dyskretną obserwacją podejrzaną w oczekiwaniu, aż wpadnie. Wówczas przystąpi pan do śledzenia jej.

– Zakłada pan, że ona gdzieś się uda – zaprotestowałem.

– Człeku małej wiary. Oczywiście, że to zrobi. Prędszej czy później. I coś mi mówi, że w tym przypadku będzie to wcześniej niż później. To fundamenty kobiecej psychologii.

– A co pan w tym czasie zamierza robić, doktorze Freud? – zapytałem.

– To moja sprawa i dowiesz się we właściwym czasie. I będziesz mi wdzięczny.

Chciałem poszukać wsparcia w oczach Fermina, ale biedak, w trakcie tryumfального monologu Barceló, zasnął, obejmując Bernardę. Głowę przechylił w bok, a z ust w błogim uśmiechu ściekała mu ślina. Bernarda wydawała z siebie głębokie i rozgłośnie chrapnięcia.

– Oby wreszcie ten okazał się przyzwoity – mruknął Barceló.

– Fermín to cudowny facet – zapewniłem.

– Nie wątpię, bo jakoś nie chce mi się wierzyć, by oczarował ją swym wyglądem. No już, idźmy stąd.

Wychodząc z pokoju, wpierw zgasiliśmy światło, następnie zamknęliśmy drzwi, zostawiając turkawki swemu losowi. Zdało mi się, że w oknach w głębi korytarza dostrzegam wschodzący brzask świtu.

– A dajmy na to, że się nie zgodzę – powiedziałem cicho. – I poproszę, żeby pan o wszystkim zapomniał.

Barceló uśmiechnął się.

– Za późno, Danielu. Trzeba było sprzedać mi tę książkę lata temu, kiedy miałeś ku temu sposobność.

Przez wilgotne i zalane szkarłatem ulice wróciłem o świcie do domu, mając na sobie absurdalne i pożyczone ubranie, a w sobie – kaca po nocnej katastrofie. Ojciec spał w jadalni na fotelu, z pledem na nogach i *Kandydem* Voltaire'a w dłoniach, książką tak przezeń ulubioną, iż czytał ją cztery, pięć razy w roku, te jedyne cztery czy pięć

razy w roku, kiedy słyshałem go zaśmiewającego się do łez. Przyjrzałem mu się w milczeniu. Miał siwe, rzednące już włosy, skóra na policzkach zaczęła tracić jędrność. Patrzyłem na tego mężczyznę, którego kiedyś uważałem za silnego, prawie niezwycięzonego, i zobaczyłem człowieka kruchego, pokonanego i nieświadomego swej przegranej. A może obaj należeliśmy do przegranych. Pochyliłem się, żeby dokładniej okryć go pledem – który według jego ponawianych od lat zapewnień – lada chwila miał wylądować w jakiejś dobroczynnej ochronce, i pocałowałem go, jakbym chciał ochronić przed niewidzialnymi nićmi odciągającymi mnie od niego, od naszego małego mieszkania, od moich wspomnień, jakbym wierzył, że tym pocałunkiem mogę oszukać czas i przekonać, by nas ominął i przeszedł obok, by wrócił innego dnia, innego życia.

Niemal całe przedpołudnie spędziłem na zapleczu księgarni, śniąc na jawie przywołując wizerunek Bei. Rysowałem jej nagą skórę dłońmi i wydawało mi się, że znów wdycham jej oddech o smaku chałki. Byłem zdumiony, że z tak kartograficzną precyzją pamiętam każdy szczegół jej ciała, blask mej śliny na jej wargach i tę linię jasnych, niemal przezroczystych włosów schodzącą w dół brzucha, którą mój przyjaciel Fermín, w trakcie jednego ze swych zaimprovizowanych wykładów na temat cielesnej logistyki, określił jako „uliczkę w Barcelonie”.

Po raz setny spojrzałem na zegarek, by ze zgrozą stwierdzić, że jeszcze muszę spędzić tu kilka godzin, zanim będę mógł zobaczyć Beę i dotknąć jej. Zacząłem porządkować faktury, paragony i kwity z ostatniego miesiąca, ale szelest papieru przypominał mi szmer bielizny spływającej z bioder i jasnych ud panny Beatriz Aguilar, siostry mojego najbliższego przyjaciela z dzieciństwa.

– Danielu, jesteś nieprzytomny. Jakiś problem? Czy chodzi o Fermina? – zapytał ojciec.

Przytaknąłem zawstydzony. Mój najlepszy przyjaciel kilka godzin temu nie żałował karku i żeber, by ratować moją skórę, ja zaś zacząłem dzień od rozmyślań o rodzaju zapięcia przy staniku.

– O wilku mowa...

Podniosłem wzrok i oto stał tam. Fermín Romero de Torres we własnej osobie, trzymając fason, jak mógł, w swym najlepszym garniturze, sponiewierany nieco, jak przydeptany niedopałek, ale z tryumfalnym uśmiechem na ustach i świeżym goździkiem w butonierce.

– Człowieku, co pan tu robi? Przecież miał pan leżeć i wracać do zdrowia!

– Zdrowie samo wróci. Ja jestem człowiekiem czynu. A jeśli mnie tu zabraknie, to nie zdołacie sprzedać nawet najzwyklejszego katechizmu.

Fermín zdecydowany był, wbrew zaleceniom lekarza, zająć swoje miejsce za księgarską ladą. Miał poźólkłą, pełną siniaków twarz, bardzo brzydko utykał i poruszał się jak połamana lalka.

– Na miłość boską, niech pan wraca szybko do łóżka – odezwał się mój ojciec przerażony.

– Mowy nie ma. Statystyki wykazują, że znacznie więcej ludzi umiera w łóżku niż w okopach.

Wszystkie nasze protesty Fermín puszczał mimo uszu. Mój ojciec dość szybko zrezygnował, bo coś w spojrzeniu Fermina mówiło nam, że nawet jeśli ból w kościach jest trudny do zniesienia, to zupełnie nie do wytrzymania jest perspektywa samotnego przebywania w łóżku.

– Niech panu będzie, ale jeśli tylko zobaczę, że podnosi pan coś cięższego od ołówka, policzymy się.

– Według rozkazu. Ma pan moje słowo, że dziś nawet głosu nie podniosę.

Nie zwlekając, Fermín włożył swój błękitny fartuch, wziął szmatę i butelkę spirytusu i usadowił się za ladą, z zamiarem gruntownego wyczyszczenia okładek i grzbietów piętnastu otrzymanych dziś przez nas i mocno zużytych egzemplarzy nader poszukiwanej książki noszącej tytuł *Trójgraniasty kapelusz: Dzieje wielce zasłużonej Gwardii Cywilnej aleksandrynem spisane*, autorstwa bakałarza Fulgencio Capona, młodziutkiego pisarza, entuzjastycznie przyjętej przez krytykę w całym kraju.

Oddany bez reszty swemu zacnemu zajęciu, Fermín co jakiś czas jednak zerkał ku mnie i puszczał oko jak, nie przymierzając, diabeł kulawy.

– Ma pan uszy czerwone jak pomidory, Danielu.

– Pewnie od wygadywanych przez pana głupot.

– Albo od trawiącej pana gorączki miłosnej. Kiedy spotkanie z wybranką?

– To nie pańska sprawa.

– No, no, kiepsko to widzę. Odstawił już pan pikantne przyprawy? Proszę pamiętać, że powodując rozszerzanie naczyń krwionośnych, są śmiertelnie niebezpieczne.

– A idź pan do diabła.

Popołudnie, jak już zdążyliśmy się przyzwyczaić, mijało nam

powoli, jałowo i kiepsko. Zaszedł tylko niepozorny, szarawy, od płaszcza po głos, klient, szukający Księgi dobrej miłości ponoć opisującej bez niedomówień średniowieczne praktyki miłosne i widniejącej na niejawnym liście literackich hitów. Mój ojciec całkiem zgłupiał, ale Fermín szybko rzucił się na ratunek:

– Nastąpiła oczywiście niewielka, rzecz jasna, pomyłka, bo *Księga dobrej miłości* nie jest oczywiście traktatem naukowym, lecz dziełem wielce poetyckim, napisanym przez archidiakona z Hity i traktującym o wiele – aspektowości nie tyle Erosa, co Amora, choć i temu pierwszemu sporo wersów autor poświęcił...

– Biorę.

Zmierzchało już, gdy wyszedłem ze stacji metra tam, skąd aleja Tibidabo brała swój początek. W fałdach fioletowawej mgły mogłem dojrzeć oddalający się zarys niebieskiego tramwaju. Postanowiłem nie czekać na jego powrót i poszedłem pieszo. Po jakimś czasie ujrzałem sylwetkę Mglistego Anioła. Wyjąłem klucz, który dostałem od Bei, i otworzyłem małą furtkę wyciętą w ogrodzeniu. Wchodząc, zostawiłem ją niedomkniętą, by ułatwić Bei wejście. Rozmyślnie przyszedłem za wcześniej. Wiedziałem, że dojazd zajmie jej co najmniej pół godziny, może nawet czterdzieści pięć minut. Chciałem w samotności poczuć dom, poznać go, nim przybędzie Bea i całkiem go sobie przywłaszczy. Zatrzymałem się na chwilę, kontemplując fontannę i rękę anioła wystającą z zabarwionej na czerwono wody. Oskarżycielsko wyciągnięty palec wskazujący wydawał się ostry jak sztylet. Zbliżyłem się do brzegu zbiornika. Pod powierzchnią drżała wyrzeźbiona twarz, bez spojrzenia i bez duszy.

Wdrapałem się po schodkach prowadzących do wejścia. Drzwi były lekko uchylone. Poczułem ukłucie niepokoju, bo wydawało mi się, że zamknąłem je, wychodząc poprzedniej nocy. Obejrzałem zamek, ale nie widać było żadnych śladów włamania, więc pewnie jednak zapomniałem zamknąć drzwi na klucz. Pchnąłem je delikatnie i poczułem owiewający moją twarz oddech domu, zapach spalonego drewna, stęchlizny i zwiędłych kwiatów. Wyjąłem zabrane z księgarni pudełko zapalek i przyklęknąłem, by zapalić pierwszą ze świec pozostawionych przez Beę. Bańka miedzianego koloru rozbłysła w

moich rękach i wydobyła z ciemności tańczące kontury ścian pokrytych łzami wilgoci, zawalone stropy i wyrwane z zawiasów drzwi.

Podszedłem do następnej świeczki i zapaliłem ją. Powoli, jakbym niemal odprawiał rytuał, podążałem śladem świec ustawionych przez Beę, kolejno je zapalając, wywołując poświatę bursztynowego światła, unoszącego się w powietrzu jak pajęczyna w potrzasku nieprzeniknionych ciemności. Skończyłem wyznaczoną marszrutę przy kominku biblioteki, nieopodal leżących wciąż na podłodze, przysypanych popiołem koców. Usiadłem twarzą do salonu. Spodziewałem się ciszy, ale dom był pełen dźwięków. Trzaski drewna, świst wiatru w dachówkach, tysiąc i jeden stukotów w ścianach i pod podłogą.

Minęło z pół godziny, gdy poczułem, że chłód i półmrok zaczynają mnie usypiać. Wstałem i zacząłem chodzić po sali, żeby się rozgrzać. W kominku leżały jedynie resztki niedopalonej szczapy, uznałem więc, że zanim zjawi się Bea, w rezydencji ochłodzi się na tyle, że siłą rzeczy myśli me ograniczone zostaną do uczuć czystych i nieskalanych, wymazując wszystkie rozgorączkowane majaki, jakimi karmiłem swą wyobraźnię ostatnimi dniami. A znalazłszy cel praktyczniejszy, mniej poetycki niż kontemplacja zniszczeń dokonanych przez czas, wziąłem jedną ze świec i zacząłem krążyć po domu, szukając czegokolwiek, co nadawałoby się na opał, by doprowadzić do stanu używalności i salon, i tych kilka koców dygocących z zimna przed kominkiem i zupełnie obojętnych na ciepłe wspomnienia, jakimi je darzyłem.

To, co pamiętałem z literatury wiktoriańskiej, podpowiadało mi, że najrozsądniej będzie rozpocząć poszukiwania od piwnicy, gdzie powinny znajdować się kuchnie i skład węgla. I uczepiwszy się tej myśli, przez ładnych parę minut szukałem drzwi lub schodków prowadzących do piwnicy. Zdecydowałem się na znajdujące się na końcu korytarza drzwi z litego drewna. Wyglądały na wyborne dzieło sztuki snycerskiej z płaskorzeźbami przedstawiającymi aniołów i wielkim krzyżem na środku. Mechanizm zamka mieścił się tuż pod krzyżem. Próbowałem go sforsować, ale bezskutecznie. Zamek najprawdopodobniej się zaciął albo był po prostu zardzewiały. Żeby

otworzyć te drzwi, należałoby wyłamać je łomem lub strzaskać siekierą, ale oba sposoby z miejsca odrzuciłem. Przyjrzałem się dokładnie drzwiom w blasku świecy, dochodząc do wniosku, że bardziej przypominają sarkofag. Poczułem się zaintrygowany, co też kryje się za nimi.

Po dokładniejszych oględzinach aniołów wyrzeźbionych na drzwiach całkiem odeszła mi ochota na dalsze dociekania i odszedłem. Już miałem zrezygnować z szukania drogi do piwnicy, kiedy przypadkiem właściwie natknąłem się na maleńkie drzwiczki na końcu korytarza. Początkowo myślałem, że to schowek na szczotki i kubły. Ująłem klamkę, która ustąpiła natychmiast. Za drzwiami znajdowały się schody prowadzące ostro ku tonącej w mrokach głębinie. W nozdrza uderzył mnie silny odór mokrej ziemi. I gdy tak stałem w oparach tego, dziwnie znajomego, smrodu, ze wzrokiem wbitym w znajdującą się pod moimi nogami studnię ciemności, nagle opadło mnie wspomnienie z dzieciństwa, dotąd skrzętnie skrywane za zasłoną strachu.

Deszczowe popołudnie na wschodnim stoku cmentarza Montjuïc ; patrzę na morze pomiędzy lasu niemożliwych grobowców, cuchnącego śmiercią lasu mauzoleów, krzyży i nagrobków z wyrzeźbionymi trupimi czaszkami i twarzami dzieci bez ust i bez spojrzeń, a wokół mnie – sylwetki kilkunastu dorosłych, zapamiętane jedynie jako czarne i całkiem przemoczone ubrania, i ręka ojca, który ściska mocno moją dłoń, zbyt mocno, jakby w ten sposób chciał powstrzymać łzy, podczas gdy puste słowa księdza spadają w wyłożony marmurem dół, do którego trzech grabarzy o twarzach obojętnie nijakich spycha szarą trumnę, a krople wody toczą się po niej jak roztopiony wosk, i z której wydaje mi się, że słyszę głos mojej matki, wołający mnie, błagający, żebym ją uwolnił z tego kamiennego więzienia, ja zaś mogę tylko trząść się i bezgłośnie prosić ojca, żeby nie ściskał tak mocno mojej ręki, bo to boli, podczas gdy ten zapach świeżej ziemi, popiołu i deszczu, pochłaniał wszystko, zapach pustki i śmierci.

Otworzyłem oczy i prawie po omacku, bo jasność świecy

wykradała ciemności zaledwie kilka centymetrów przestrzeni, zszedłem po stopniach. Dotarwszy na dół, uniosłem świecę i rozejrzałem się wokół. Nie było tu ani kuchni, ani składziku pełnego suchego drewna. Przede mną biegł wąski korytarzyk kończący się w półokrągłej sali, nad którą dominowała postać z ramionami rozłożonymi jak skrzydła, o twarzy porwanej krwawymi łzami, z dwojgiem bezdennych, czarnych oczu i węzem kolców zaciśniętym na skroniach. Poczulem wbijający się w kark sztylet zimna. Po chwili uspokoiłem się na tyle, żeby zrozumieć, że przed sobą mam drewnianą rzeźbę Chrystusa wiszącą na ścianie kaplicy. Podszedłem bliżej i moim oczom ukazał się monstrualny widok. W kącie dawnej kaplicy leżał stłoczony z tuzin damskich nagich popiersi. Spostrzegłem, że pozbawione są rąk i głów, i wyrastają z trójnogów. Każde z popiersi miało inny kształt, co było widać gołym okiem, bez trudu również spostrzegłem, że ich zarys odpowiada sylwetkom kobiet w różnym wieku i o różnych figurach. Na brzuchach można było odczytać napisane węglem imiona. „Isabel. Eugenia. Penélope”. W końcu moje wiktoriańskie lektury mogły okazać swoją przydatność, bo wnet pojąłem, że to, co mam przed oczami, to relikwiarz nieistniejącej już praktyki, echo czasów, kiedy to w majątnych rodach każdy z członków rodziny dysponował swoim manekinem służącym do zdejmowania miary, przymiarek, szycia ubrań i całych panięńskich wypraw. Pomimo surowego i groźnego spojrzenia Chrystusa nie mogłem oprzeć się pokusie, by nie wyciągnąć i nie pogłaskać torsu podpisanego imieniem Penélope.

W tej samej chwili jakbym usłyszał rozlegające się kroki piętro wyżej. Pomyślałem, że Bea już dojechała i szuka mnie po całym domu. Z niemałą ulgą opuściłem kaplicę i skierowałem się ku schodom. Już stawiałem nogę na stopniu, gdy zobaczyłem, że po drugiej stronie korytarza stoi piec z przyłączoną instalacją grzewczą w stanie – na pierwszy rzut oka – całkiem dobrym, a w każdym razie niepasującym do reszty domu. Przypomniałem sobie słowa Bei, że agencja nieruchomości, usiłując od wielu lat sprzedać pałacyk Aldayów, przeprowadziła kilka prac modernizacyjnych celem przyciągnięcia potencjalnych klientów. Podszedłem do pieca, by przyjrzeć mu się dokładniej, i stwierdziłem, że jest to system kaloryferów, zasilany

ciepłem z małego kotła. Na podłodze stało kilka kubłów z węglem, wałały się kawałki sprasowanego drewna i puszki, zapewne z naftą. Otworzyłem drzwiczki kotła i zajrzałem do środka. Wszystko wydawało się w porządku. Myśl o uruchomieniu tego złomu po tylu latach wydała mi się szaleństwem, ale nie przeszkodziło mi to w napełnieniu kotła węglem i kawałkami drewna i polaniu ich naftą. W trakcie tych przygotowań wydawało mi się, że słyszę skrzypienie starego drewna, więc obejrzałem się za siebie. Nie mogłem odegnać obrazu zakrwawionych cierni odrywających się od drewna i przeraziłem się, że zaraz wyłoni się, parę kroków przede mną, postać owego Jezusa Chrystusa, wychodząca mi na spotkanie z zimnym uśmiechem.

Gdy przytknąłem płomień świecy, w piecu buchnął ogień, wydobywając zarazem z wnętrza metaliczny grzmot. Zamknąłem drzwiczki i cofnąłem się o kilka kroków, tracąc z każdą chwilą wiarę w powodzenie moich zamiarów. Piec wydawał się rozgrzewać z trudem, więc postanowiłem wrócić na parter, żeby sprawdzić, czy to, co robię, odnosi jakikolwiek skutek. Wszedłem po schodach i wróciłem do dużego salonu z nadzieją, że zastanę już w nim Beę, wszędzie jednak wiało pustką. Odkąd przyjechałem, minęła, jak mi się wydawało, prawie godzina i moje obawy, że przedmiot mego mrocznego pożądanego nigdy się nie pojawi, zaczynały przybierać postać bolesnej pewności. Żeby zagłuszyć niepokój, poszedłem na poszukiwanie kaloryferów, które by potwierdziły, że jednak doszło do zmartwychwstania pieca. Wszystkie, jakie zdołałem odnaleźć, odmówiły działania – były lodowate. Wszystkie poza jednym. W małym pomieszczeniu, w łazience liczącej sobie cztery, może pięć metrów kwadratowych i znajdującej się dokładnie nad piecem dawało się odczuć nieco ciepła. Przyklęknąłem i z radością stwierdziłem, że podłoga jest ciepława. I wtedy weszła Bea, zastając mnie w tej idiotycznej sytuacji, kiedy kręciłem się na czworakach po podłodze łazienki i obmacywałem płytkę po płytce, z głupawym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Gdy wracam pamięcią do tamtych dni i usiłuję odtworzyć wydarzenia, do jakich doszło owej nocy w pałacyku Aldayów, na

usprawiedliwienie mojego zachowania przychodzi mi do głowy tylko to jedno wytłumaczenie, że kiedy ma się osiemnaście lat i jest się topornym i niedoświadczonym, to stara łazienka może przeistoczyć się w raj. Nie musiałem zbyt długo przekonywać Bei, byśmy zabrali koce z salonu i zamknęli się w maleńkim pomieszczeniu jedynie w towarzystwie dwóch świec i muzealnej armatury. Główny mój argument, termiczny, trafił do niej w miarę szybko, a emanujące z podłogowej glazury ciepło, całkowicie rozwiało skrywane obawy, że mój szaleńczy pomysł może skończyć się pożarem całego domu. Później zaś, w czerwonawej poświacie świec, gdy rozbierałem ją drżącymi dłońmi, uśmiechała się nieznacznie, szukając mojego wzroku i udowadniając mi, że teraz i zawsze, ledwie mi coś zaświta w głowie, ona zdąży już o tym wcześniej pomyśleć.

Pamiętam, jak siedziała oparta plecami o zamknięte drzwi łazienki, z bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma i otwartymi w moją stronę dłońmi. Pamiętam, jak hardo i bez żadnego zakłopotania na twarzy przechylała lekko głowę do tyłu, gdy opuszkami palców wodziłem po jej szyi. Pamiętam, jak wzięła moje dłonie i położyła je sobie na piersiach i jak jej drżały wargi, gdy ująłem jej sutki w palce i ścisnąłem, całkiem ogłupiały, i jak osunęła się na podłogę, gdy ja szukałem ustami jej brzucha, a jej białe uda przyjmowały mnie.

– Robiłeś to wcześniej, Danielu?

– W snach.

– Pytam poważnie.

– Nie. A ty?

– Nie. Nawet z Klarą Barceló?

Zaśmiałem się, pewnie z siebie samego.

– Co wiesz o Klarze Barceló?

– Nic.

– A ja jeszcze mniej – powiedziałem.

– Nie wierzę.

Pochyliłem się ku niej i spojrzałem jej w oczy.

– Nigdy tego z nikim przedtem nie robiłem.

Bea uśmiechnęła się. Moja ręka ześlizgnęła się między jej uda, zacząłem gorączkowo szukać jej ust, przekonany już, że kanibalizm

jest najwyższym wcieleniem mądrości.

– Danielu? – niemal szeptem odezwała się Bea.

– Co? – zapytałem.

Odpowiedź nigdy nie padła. Nagle jęzor zimnego powietrza z przeraźliwym gwizdem wpadł przez szparę między drzwiami i podłogą i nim zdążył zdmuchnąć płomień świec, nasze spojrzenia spotkały się, byśmy przez tę trwającą wieki sekundę mogli zrozumieć, że czar przeżywanej chwili nieodwracalnie i całkowicie pryska. Niemal od razu zdaliśmy sobie sprawę, że ktoś stoi po drugiej stronie drzwi. Zanim pochłonęła nas ciemność, zdążyłem jeszcze ujrzeć strach malujący się na twarzy Bei. A później rozległ się huk uderzenia w drzwi. Jakby walnęła w nie brutalna, stalowa pięść, wyrywając je prawie z zawiasów.

Poczułem, jak Bea gwałtownie podrywa się w ciemnościach, więc szybko ją objąłem i przytuliłem. Ledwie cofnęliśmy się w głąb łazienki, gdy na drzwi spadło drugie uderzenie, ciskając je z niesamowitą siłą na ścianę. Bea krzyknęła i skuliła się w mych ramionach. Przez chwilę widziałem tylko błękitną mgłę wpełzającą z korytarza i wzbijające się spiralami serpentyny dymu zgaszonych świec. W ciemnej paszczy otworu po drzwiach, na progu ciemności, mignął mi kanciasty zarys ludzkiej postaci.

Wychyłałem na korytarz, obawiając się natrafić na kogoś zupełnie nieznanego, na włóczęgę, który schronił się w pałacyku przed podłą nocą, a może modłać się właśnie o to. Ale w korytarzu nie było nikogo. Bea, kuląc się z przerażenia w kącie łazienki, wyszeptała moje imię.

– Tu nikogo nie ma – powiedziałem. – Może to przeciąg.

– Przeciąg nie wali pięściami w drzwi, Danielu. Chodźmy stąd.

Wróciłem do łazienki i zabrałem nasze ubrania.

– Masz, ubierz się. Rozejrzemy się.

– Lepiej w ogóle stąd odejźmy.

– Zaraz pójdziemy. Chcę tylko coś sprawdzić dla pewności.

Ubraliśmy się po omacku i jak najszybciej. Po kilku właściwie sekundach mogliśmy zobaczyć swoje oddechy skraplające się w powietrzu. Schyliłem się po jedną ze świec i ponownie ją zapaliłem. Strumień zimnego powietrza rozlewał się po domu, jakby ktoś pootwierał wszystkie drzwi i okna.

– No i widzisz? To przeciąg.

Bea pokręciła głową bez słowa. Wróciliśmy do salonu, dłońmi osłaniając płomyk świecy. Bea szła tuż za mną, nie oddychając prawie.

– Czego szukamy, Danielu?

– Poczekaj chwilkę.

– Nie, chodźmy już.

– Dobrze.

Ruszyliśmy w kierunku wyjścia i wtedy to zauważyłem. Rzeźbione drzwi na końcu korytarza, które godzinę czy dwie godziny temu próbowałem bezskutecznie odemknąć, teraz stały otworem.

– Co się dzieje? – zapytała Bea.

– Poczekaj tu.

– Danielu, proszę...

Zacząłem iść korytarzem, oświetlając sobie drogę drżącym w zimnych podmuchach powietrza płomykiem świecy. Bea westchnęła ciężko i nie bez oporu poszła za mną. Stałem przed drzwiami. Dawało się dostrzec marmurowe stopnie schodzące w mrok. Stałem na pierwszych schodkach. Bea, sparaliżowana strachem, stała na progu ze świecą w ręku.

– Danielu, błagam, chodźmy już stąd...

Zszedłem powoli na sam dół. Poświata trzymanej w górze świecy wydobywała z ciemności zarysy prostokątnego pomieszczenia o ścianach z gołego kamienia, pokrytych krucyfikami. Od panującego tu chłodu zatykało w piersiach. W głębi dostrzegłem marmurową płytę, a na niej dwa białe podobnego kształtu, choć różnej wielkości, przedmioty, sądząc po odblasku migotliwego płomienia, chyba z lakierowanego drewna. Zbliżywszy się nieco, zrozumiałem swój błąd. Spoczywały tam dwie białe trumny. Jedna z nich mierzyła ledwie trzy piędzi. Krople zimnego potu spłynęły mi po karku. To była dziecięca trumienka. Znajdowałem się w krypcie.

Bezwiednie zbliżyłem się do marmurowej płyty, na odległość wyciągniętej ręki. Dopiero wtedy zauważyłem, że na obu trumnach było wyryte imię i krzyż. Pokrywał je kurz, całun z popiołów. Położyłem wówczas dłoń na większej z trumien. Powoli, niemal w transie, nie zastanawiając się nad tym, co robię, starłem kurz z wieka. W czerwonej łunie świecy z trudem dawało się odczytać:

1902 – 1919

Zmroziło mnie. Coś albo ktoś ruszył się w ciemnościach. Poczułem, jak lodowate powietrze ześlizguje się po moim ciele, i cofnąłem się kilka kroków.

– Precz stąd – odezwał się głos z ciemności.

Rozpoznałem go natychmiast. Laín Coubert. Głos diabła.

Rzuciłem się schodami w górę, złapałem Beę za ramię i pociągnąłem ile sił ku wyjściu. Biegliśmy po ciemku, bo zdążyliśmy już pogubić świece. Bea, przerażona do granic wytrzymałości, nie rozumiała mojej nagłej paniki. Nic nie widziała. Nic nie słyszała. Nie miałem zamiaru się zatrzymywać, żeby jej cokolwiek wyjaśniać. Bałem się, że w każdej chwili coś może wyskoczyć z ciemności i zamknąć nam drogę ucieczki. Szczęściem przy końcu korytarza czekały na nas drzwi wejściowe – mroczny prostokąt obramowany sączącym się światłem.

– Zamknięte – wymamrotała Bea.

Jak mogłem najszybciej, obmacałem kieszenie w poszukiwaniu klucza. Na ułamek sekundy obejrzałem się za siebie: nie ulegało wątpliwości, że z głębi korytarza zbliżają się ku nam dwa błyszczące punkty. Oczy. Moje palce natrafiły na klucz. Desperacko włożyłem go do zamka, otworzyłem i bez ceregieli wypchnąłem Beę na zewnątrz. Wyczuwając trwogę w moim głosie, rzuciła się biegiem ku ogrodowej furtce i nie zatrzymała się, aż oboje, bez tchu, złani zimnym potem, znaleźliśmy się na chodniku przy alei Tibidabo.

– Co się stało tam na dole, Danielu? Był tam ktoś?

– Nie.

– Zbladłeś.

– Od urodzenia jestem blady. Szybciej, idziemy.

– A klucz?

Został w zamku. Nie miałem najmniejszej ochoty po niego wracać.

– Chyba go zgubiłem, jak wychodziliśmy. Kiedy indziej go poszukamy.

Szybkim krokiem skierowaliśmy się w dół alei. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i zwolniliśmy dopiero po kilkuset metrach, gdy z

oddali trudno już było dostrzec sylwetkę rezydencji. Dopiero wtedy zauważyłem, że mam rękę brudną od kurzu, i wdzięczny byłem nocy za ciemność, dzięki której ukryć mogłem przed Beą spływające mi po policzkach łzy trwogi.

Ulicą Balmes doszliśmy do placu Nunez de Arce, gdzie wreszcie znaleźliśmy taksówkę. Niemal bez słowa dojechaliśmy do Consejo de Ciento. Bea trzymała mnie za rękę i parokrotnie udało mi się dostrzec, że przypatruje mi się szklanym, nieprzeniknionym wzrokiem. Nachyliłem się, żeby ją pocałować, ale nie rozchyliła ust.

– Kiedy się zobaczymy?

– Zadzwoń jutro albo pojutrze – powiedziała.

– Słowo?

Przytaknęła.

– Możesz zadzwonić do domu albo do księgarni. To ten sam numer. Masz go, prawda?

Ponownie przytaknęła. Poprosiłem kierowcę, żeby się na chwilę zatrzymał na rogu Muntaner i Diputaci6n. Chciałem odprowadzić ją do drzwi, ale odmówiła i odeszła, nie pozwalając się nawet pocałować na pożegnanie czy choćby uścisnąć sobie rękę. Wsiadłszy z taksówki, od razu zaczęła biec, i tak w biegu zniknęła mi oczu. W domu Aguilar6w paliło się światło i bez problemu mogłem zobaczyć Tomasa obserwującego mnie z okna swego pokoju, w którym przegadaliśmy tyle wieczor6w i rozegraliśmy tyle partii szach6w. Dałem mu znak ręką, siląc się zarazem na uśmiech, którego najprawdopodobniej nie mógł dojrzeć. Nie odpowiedział na pozdrowienie. Tkwił nieruchomo przy oknie, przyklejony niemal do szyby, przyglądając mi się chłodno. Chwilę później oderwał się od okna, po czym odszedł i światło zgasło. Czekał na nas, pomyślałem.

Gdy wróciłem do domu, na stole stały resztki kolacji dla dwóch osób. Ojca już nie było i nawet przeszło mi przez myśl, czy przypadkiem nie odważył się zaprosić Merceditas na kolację. Nie zapalając światła, prześlizgnąłem się do swego pokoju. Ledwie zdążyłem usiąść na brzegu łóżka, gdy spostrzegłem, że w pokoju mam gościa, który leżał w ciemnościach wyciągnięty na łóżku jak trup z rękoma złożonymi na piersiach. Poczulem zimny skurcz w żołądku, ale wnet rozpoznałem chrapanie i zarys olbrzymiego nosa. Zapaliłem nocną lampkę i zobaczyłem Fermina Romero de Torres, pogrążonego we śnie, z błogim uśmiechem na twarzy. Westchnąłem, na co śpiący otworzył oczy. Ujrzawszy mnie, zrobił minę kogoś wielce zdziwionego. Niewątpliwie spodziewał się zupełnie innego towarzystwa. Potarł powieki i rozejrzał się wokół.

– Mam nadzieję, że nie przestraszyłem pana. Bernarda twierdzi, że kiedy śpię, jestem podobny do Borisa Karloffa w wydaniu hiszpańskim.

– A co pan robi w moim łóżku, Fermín?

Nie bez nostalgii przewrócił białkami oczu.

– Ano oddaję się snom z Carole Lombard w roli głównej. Właśnie byliśmy w łaźni w Tangerze i namaszczałem ją oliwką, taką do niemowlęcych pupc. Namaszczał pan kiedykolwiek kobietę olejkiem od stóp do głów?

– Fermín, jest wpół do pierwszej w nocy i ledwo trzymam się na nogach.

– Proszę wybaczyć. Pański ojciec nalegał, żebym przyjął zaproszenie na kolację, skutkiem czego zachciało mi się po tejże okrutnie spać, albowiem wołowina ma na mnie nieodparcie narkotyczny wpływ. Pański ojciec poddał myśl, żebym się na chwilę tu wyciągnął, dodając, że panu nie będzie to w niczym przeszkadzać...

– I nie przeszkadza mi. Tylko że się nie spodziewałem. Proszę

zostać w łóżku i wrócić do Carole Lombard, bo bez wątpienia czeka na pana w łaźni. I proszę się przykryć, zimno, że psa by nie wygonił, i nie daj Bóg, żeby się jakieś choróbsko do pana przyczepiło. A ja pójdę do jadalni.

Fermín zgodnie przytaknął. Ślady po uderzeniach na twarzy zaczynały mu puchnąć, a jego głowa – twarz miał porośniętą dwudniowym zarostem i dziwnie przerzedzone włosy – wyglądała jak dojrzały owoc opadły z drzewa. Wyciągnąłem koce z komody, jeden z nich podając Ferminowi. Zgasilem światło i przeszedłem do jadalni, gdzie czekał na mnie ulubiony fotel ojca. Opatuliłem się kocem i ułożyłem, jak mogłem, przekonany, że nie zmrużę oka. Obraz dwóch białych trumien w ciemnościach wciąż boleśnie ranił moją pamięć. Zamknąłem oczy i z całych sił próbowałem o nich zapomnieć, usiłując przywołać wizerunek nagiej Bei leżącej na kocach w świetle świec. Zanurzając się w tych radosnych myślach, słyszałem, jak mi się zdało, daleki szmer morza, zacząłem więc się zastanawiać, czy to możliwe, bym zapadał w sen, zupełnie tego nieświadom. Być może płynąłem już pod pełnymi żaglami w kierunku Tangeru. Niebawem pojąłem, że to tylko chrapanie Fermina, i w chwilę potem świat zgasł. W życiu nie spałem lepiej i mocniej niż owej nocy.

O świcie deszcz lał jak z cebra, zatapiając ulice i wściekle smagając szyby okienne. Telefon zadzwonił o wpół do ósmej. Wyskoczyłem z fotela, by go odebrać. Fermín, w szlafroku i kapciach, i ojciec, z dzbankiem do parzenia kawy, wymienili, zwyczajowe już w podobnych sytuacjach, spojrzenia.

– Bea? – szepnąłem do słuchawki, odwracając się do nich plecami. Zdawało mi się, że usłyszałem westchnienie.

– Bea, to ty?

Nie doczekałem się odpowiedzi, a po chwili połączenie zostało przerwane. Przez jakiś czas stałem, gapiąc się w aparat i czekając, aż znów rozlegnie się dzwonek.

– Na pewno jeszcze zadzwoni, Danielu. A na razie chodź na śniadanie – powiedział ojciec.

Później zadzwoni, pomyślałem. Teraz ktoś jej w tym na pewno przeszkodził. Niełatwo było obejść ogłoszony przez pana Aguilara stan

wyjatkowy. Nie ma co panikować. Tłumacząc sobie to na różne sposoby, dowlokłem się do stołu, by przysiadłszy się do ojca i Fermina, udawać, że towarzyszę im w śniadaniu. Być może to przez ten deszcz, ale jedzenie straciło cały smak.

Padło przez cały ranek, a tuż po otwarciu księgarni, w całym osiedlu nastąpiła awaria światła i do południa pozbawieni byliśmy prądu.

– Tego tylko nam brakowało – westchnął ojciec.

O trzeciej zaczął przeciekać dach. Fermín zaproponował, że pójdzie do Merceditas, by pożyczyć parę kubłów, misek lub czegokolwiek przydatnego w tej sytuacji. Ojciec kategorycznie mu zabronił. A wody przybywało. Chcąc zagłuszyć niepokój, opowiedziałem Ferminowi, co przydarzyło mi się w nocy, przemilczając jednak to, co zobaczyłem w krypcie. Fermín słuchał przejęty, ale mimo jego nieopisanych nacisków stanowczo odmówiłem opisu kształtu, jędrności i uroków piersi Bei. Dzień cały lało.

Po kolacji zostawiłem ojca zajętego lekturą, a sam, niby dla spaceru i rozprostowania kości, poszedłem pod dom Bei. Zatrzymałem się na rogu, by popatrzeć na okna i zarazem zadać sobie pytanie, co ja tu właściwie robię. Przez myśl przechodziły mi takie określenia jak podglądanie, wtykanie nosa w nie swoje sprawy i ośmieszanie się. Mimo wszystko, pozbawiony zarówno godności, jak i płaszcza odpowiedniego na tę porę roku, schowałem się przed wiatrem w bramie, po drugiej stronie ulicy, by stojąc w niej przez niemal pół godziny, wpatrywać się cały czas w okna, w których migają mi to w jedną, to w drugą stronę sylwetki pana Aguilara i jego żony. Bei nie zdołałem dostrzec.

Dochodziła północ, gdy wróciłem do domu, trzęsąc się z zimna i uginając pod brzemieniem problemów całego świata. Jutro zadzwoni, powtarzałem sobie raz po raz, usiłując jednocześnie zasnąć. Ale nazajutrz Bea nie zadzwoniła. Ani pojutrze. I nie zadzwoniła przez cały tydzień, przez cały najdłuższy i ostatni w moim życiu tydzień.

Siedem dni później miałem już nie żyć.

Tylko ktoś, komu został ledwie tydzień życia, zdolny jest tak marnować czas, jak ja go trwonilem w tamte dni. Warowałem przy telefonie i gryzłem się, tak uwięziony w swym zaślepieniu, że nie potrafiłem nawet przewidzieć tego, co los już uznawał za przesądzone. W poniedziałek udałem się koło południa na wydział filologii, by tam spróbować spotkać się z Beą. Wiedziałem, że pojawienie się tam mojej osoby i nasze spotkanie na oczach ludzi nie sprawi jej żadnej przyjemności, ale wolałem już atak wściekłości niż tę ustawiczną niepewność.

Zapytałem w sekretariacie o zajęcia profesora Velazqueza i stanąłem przy wyjściu, czekając na koniec wykładu. Dwadzieścia minut później otworzyły się drzwi i zobaczyłem arogancką i wymuskaną sylwetkę profesora Velazqueza, jak zwykle otoczonego wianuszkami wielbicielek. Minęło kolejnych pięć minut, lecz Bea nie pojawiała się. Podszedłem do drzwi sali i zajrzałem do środka. Trójka dziewcząt o aparycji słuchaczek szkoły niedzielnej rozmawiała ze sobą i wymieniała notatki lub powierzała sobie najskrytsze tajemnice. Ta, która wyglądała na przewodzącą tej sodalicji, dostrzegłszy moją obecność, przerwała wywód, by przygwoździć mnie inkwizytorskim spojrzeniem.

– Przepraszam, szukam Beatriz Aguilar. Była na zajęciach?

Dziewczyny wymieniły złośliwe spojrzenia i zaczęły mnie taksować wzrokiem od stóp do głów.

– Jesteś jej narzeczonym? – zapytała jedna z nich. – Tym chorążym?

Ograniczyłem się do wyzutego z czegokolwiek uśmiechu, który wzięły za oczywiste potwierdzenie. I tylko jedna z nich odpowiedziała uśmiechem, nieśmiało i unikając mego wzroku. Pozostałe dwie, nastawione dość wojowniczo, niemal rzuciły się na mnie.

– Jakoś inaczej wyobrażałam sobie ciebie – rzekła ta o wyglądzie

gruppenfuhrera.

– A gdzie twój mundur? – przyglądając mi się nieufnie, zapytała ta druga, szarży też niezgorszej.

– Jestem na przepustce. Czy już sobie poszła?

– Beatriz nie przyszła dzisiaj na zajęcia – poinformowała wyzywająco głównodowodząca.

– Nie przyszła?

– Nie – potwierdziła zastępczyni od wątpliwości i podejrzeń. – Powinieneś to wiedzieć, jeśli jesteś jej narzeczonym.

– Jestem jej narzeczonym, a nie przybocznym żandarmem.

– Chodźmy stąd, to jakiś dupek – skwitowała komendantka.

Jedna i druga przeszły obok mnie, spoglądając spod oka i z półuśmiechem obrzydzenia. Ta trzecia, nieśmiała, zatrzymała się przy mnie na chwilę i upewniwszy się, że pozostałe jej nie widzą, szepnęła mi do ucha:

– W piątek też jej nie było.

– A wiesz dlaczego?

– Ty nie jesteś jej narzeczonym, prawda?

– Nie. Tylko kolegą.

– Chyba jest chora.

– Chora?

– Tak powiedziała jedna z dziewczyn, dzwoniła do niej do domu.

Teraz muszę już iść.

Zanim zdążyłem jej podziękować, pobiegła za koleżankami, które na nią czekały na końcu korytarza z pałającymi wściekłością oczyma.

– Danielu, po prostu i najzwyczajniej w świecie coś się musiało stać. Umarła cioteczna babka, papuga dostała świnki, dziewczyna złapała katar od tego latania z gołym tyłkiem... Bóg raczy wiedzieć. Na przekór temu, co się panu raczy wydawać, wszechświat nie kręci się wokół widzimisię pańskiego przyrodzenia. Na losy ludzkości wpływają inne czynniki.

– Myśli pan, że o tym nie wiem? Jakby mnie pan nie znał, Ferminie.

– Kochanieńki, gdyby Bóg obdarzył mnie obfitszymi biodrami, mógłbym nawet pana na świat wydać: tak dobrze pana znam. Niech

mnie pan usłucha. Proszę wziąć na wstrzymanie i pomyśleć na trzeźwo. Od czekania dusza rdzewieje.

– Jestem śmieszny?

– Gorzej, niepokojący. Wiem, oczywiście, że w pańskim wieku takie rzeczy odbierane są jak koniec świata, ale wszystko przecież ma swoje granice. Dzisiaj wieczorem idziemy w tango. Jest na ulicy Plateria lokal, który ostatnio ma fantastyczne wzięcie. Ponoć sprowadzono tam właśnie, prosto z Ciudad Real, czyli z samego serca Kastylii, nordyckie panienki, które potrafią chłopca dokumentnie wykończyć, łącznie z jego łupieżem. Ja zapraszam.

– Jestem ciekaw, co Bernarda na to?

– A spokojnie, dziewczynki zostawiam panu. Ja w tym czasie poczekam sobie na pana w salonie, gazetki poczytam, oko nacieszę z daleka towarem, bom przeszedł na wyznanie monogamistyczne, jeśli nie *in mentis* to przynajmniej *de facto*.

– Jestem niewymownie wdzięczny, ale...

– Osiemnastoletni chłopak odrzucający taką ofertę jest niespełna rozumu. Natychmiast należy przeciwdziałać. Proszę.

Pogrzebał w kieszeniach i dał mi parę monet. Byłem ciekaw, czy są to owe dublony, którymi zamierzał opłacić mój pobyt w zbytkownym haremie kastylijskich nimf.

– Za to nawet nam nie powiedzą „dobry wieczór”, Ferminie.

– Należysz pan do tych, co to niby spadają z drzewa, ale jakoś nigdy nie spadają na ziemię. Naprawdę sądził pan, że wezmę pana na dziwki, by następnie oddać pana przezartego rzeźniczką pańskiemu ojcu, najświęszemu człowiekowi, jakiego znam? A panienki potrzebne mi były po to jedynie, żeby odwołując się do jedynej części pańskiej osoby, która wydaje się funkcjonować, sprawdzić, czy zareaguje pan. A wszystko po to tylko, żeby ruszył pan dupę, udał się do najbliższej budki i spokojnie, bez żadnego skrępowania, zadzwonił do ukochanej.

– Bea wyraźnie zabroniła mi do siebie dzwonić.

– Powiedziała również, że zadzwoni do pana w piątek. Dziś jest poniedziałek. Jak pan chce. Co innego jest wierzyć w kobiety, a co innego wierzyć w to, co mówią.

Poddając się sile jego argumentacji, wymknąłem się z księgarni i

ze stojącej na rogu budki telefonicznej wykręciłem numer Aguilarów. Po piątym sygnale ktoś wreszcie podniósł słuchawkę, ale nie odezwał się. Minęło pięć sekund wydających się wiecznością.

– Bea? – szepnąłem. – To ty?

Głos, który rozległ się po drugiej stronie, trafił mnie prosto w żołądek.

– Ty skurwysynu, duszę ci wyrwę z jajami.

Głos był zimny i spokojny. Hamowana złość nadawała mu stalowy ton. To mnie najbardziej przeraziło. Mogłem sobie wyobrazić pana Aguilara w przedpokoju swego mieszkania, trzymającego słuchawkę tego samego aparatu telefonicznego, z którego tylokrotnie korzystałem, by uprzedzić ojca, że moja wizyta u Tomasa przeciągnie się. Oniemiały, słuchałem oddechu ojca Bei, zastanawiając się, czy rozpoznał mnie po głosie.

– Chociaż widzę, że jaj ci brakuje, bo nie masz nawet odwagi się odezwać. Byle zasraniec jest w stanie zrobić to, co zrobiłeś, ale prawdziwy mężczyzna przynajmniej by się nie chował. Ja bym umarł ze wstydu, gdybym się dowiedział, że siedemnastoletnia dziewczyna ma większe jaja ode mnie, bo ona nie chciała powiedzieć, kim jesteś, i nie powie. Znam ją. A ponieważ nie masz odwagi wziąć wszystkiego na siebie, ona będzie musiała zapłacić za to, co zrobiłeś.

Kiedy odkładałem słuchawkę, trzęsły mi się ręce. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co zrobiłem, dopóki nie powlokłem się z powrotem do księgarni. Nie przyszło mi do głowy, że mój telefon tylko pogorszy sytuację, w jakiej już się znalazła Bea. Ja chciałem tylko siedzieć cichutko, jak mysz pod miotłą, nie ujawniać się, wypierając się tych, których ponoć kochałem, a w rzeczywistości jedynie wykorzystywałem. Już raz tak się zachowałem, gdy inspektor Fumero pobił Fermina. I znowu postąpiłem tak samo, pozostawiając Beę samej sobie. I pewnie postąpię identycznie, jeśli tylko pojawi się podobna okoliczność. Z dziesięć minut stałem na ulicy, próbując się uspokoić, zanim wrócę do księgarni. Być może powinienem był zadzwonić jeszcze raz i powiedzieć panu Aguilar że tak, to ja, że oszalałem dla jego córki i że nie mam nic więcej do dodania. A jeśli miałby ochotę zjawić się tu w swym mundurze majora i rozkwasić mi pysk, trudno, jego prawo.

Wracalem już do księgarni, gdy zauważyłem, że ktoś mnie obserwuje z bramy po drugiej stronie ulicy. Początkowo myślałem, że to don Federico, zegarmistrz, ale wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że chodzi o kogoś znacznie wyższego i solidniejszej postury. Zatrzymałem się, żeby nań spojrzeć, on zaś, ku mojemu zdumieniu, skinął głową, jakby chciał mnie pozdrowić i zarazem dać mi do zrozumienia, że nie przeszkadza mu, iż dostrzegłem jego obecność. Światło latarni padało na jego twarz z profilu. Rysy wydały mi się znajome. Zbliżył się o krok i zapinając sobie płaszcz pod szyją, uśmiechnął się do mnie, po czym wmieszał w tłum przechodniów zmierzający w kierunku Rambli. Rozpoznałem w nim wówczas agenta policji, który mnie trzymał, podczas gdy inspektor Fumero masakrował Fermina. Gdy wszedłem do księgarni, Fermín uniósł wzrok i rzucił ku mnie inkwizytorskie spojrzenie.

– A skąd wziął pan taką minę?

– Fermín, chyba mamy kłopoty.

Tej nocy zaczęliśmy realizować plan, sprytnie obmyślony parę dni temu wspólnie z don Gustavem Barceló.

– Po pierwsze musimy się upewnić, czy ma pan rację i czy rzeczywiście jesteśmy inwigilowani przez policję. Na początek przejdziemy się, jakby nigdy nic, do Els Quatre Gats, żeby sprawdzić, czy facet rzeczywiście tam się czai. I ani słowa o tym pańskiemu ojcu, bo to tylko może skończyć się u niego kamieniami w nerkach.

– A co niby mam mu powiedzieć? Od jakiegoś czasu zaczyna już coś podejrzewać.

– A cokolwiek, że idzie pan na przykład po landrynki albo po cukier puder.

– A dlaczego mamy przejść się akurat do Els Quatre Gats?

– Bo tam robią najlepsze bułki ze swojską kiełbasą w promieniu pięciu kilometrów, a gdzieś porozmawiać musimy. A zresztą niech pan przestanie już tak nudzić i posłucha mnie wreszcie.

Uznając, że dobre jest każde działanie trzymające mnie jak najdalej od własnych myśli, grzecznie usłuchałem Fermina i po kilku minutach byłem już na ulicy, zapewniwszy ojca, że wrócę na kolację. Fermín czekał na mnie na rogu Puerta del Ángel. Gdy podszedłem do niego, podniósł znacząco brwi i dał znak, byśmy, nie zwlekając, ruszyli

przed siebie.

– Ciągniemy ogon jakieś dwadzieścia metrów za sobą. Proszę się nie odwracać.

– To ten sam, co wcześniej?

– Nie wydaje mi się, chyba że się skurczył od wilgoci. Ten wygląda na żółtodzioba. Z wypiekami na twarzy czyta gazetę sportową sprzed tygodnia. Widocznie Fumero zmuszony jest prowadzić rekrutację wśród młodzieży specjalnej troski.

Dotarłszy chwilę po nas do Els Quatre Gats, nasz niewidzialny człowiek zajął stolik nieopodal naszego stolika i po raz setny zaczął udawać, że czyta wyniki meczów ligowych z zeszłego tygodnia. Co dwadzieścia sekund patrzył na nas z ukosa.

– Biedaczek, ale się poci – powiedział Fermín, potrząsając głową. – A pan, Danielu, jest jakiś nieobecny. Rozmawiał pan z dziewczyną czy nie?

– Jej ojciec podniósł słuchawkę.

– I odbyliście uprzejmą i przyjacielską rozmowę?

– Raczej monolog.

– No tak. Domniemywam, że jeszcze nie mówi pan do niego „tatusiu”.

– Powiedział, że wyrwie mi duszę z jajami, dosłownie.

– To pewnie figura stylistyczna.

Pochyliła się nad nami sylwetka kelnera. Fermín, zacierając radośnie rękę, zamówił jedzenia na pułk wojska.

– A pan nic nie chce, Danielu?

Pokręciłem głową. Gdy kelner przyniósł dwie tace pełne przekąsek, bułek z wędlinami i przeróżnych piw, a także wino, Fermín wręczył mu hojną garść monet, zaznaczając, że reszty nie trzeba.

– Widzi pan tego faceta przy stoliku obok okna, ubranego jak Świerszcz za Kominem, z głową wbitą w gazetę?

Kelner przytaknął z miną spiskowca.

– Byłbym niewymownie wdzięczny, gdyby przekazał mu pan, że inspektor Fumero przesyła mu natychmiastowy rozkaz, by udał się ipso facto na targ Boqueria, nabył sto gramów gotowanej ciecierzycy i zawiózł niezwłocznie do komisariatu (choćby taksówką, jeśli zajdzie taka potrzeba), w przeciwnym razie może już szykować swoje jąderka

na tacy. Mam powtórzyć?

– Nie trzeba, proszę pana. Sto gramów gotowanej ciecierzycy albo jąderka.

Fermín łaskawie dołożył mu jeszcze jedną monetę.

– Niech pana Bóg błogosławi.

Kelner z szacunkiem skinął głową i skierował się ku stolikowi naszego psa gończego. Wysłuchawszy polecenia, facet zbladł. Odsiedział jeszcze piętnaście sekund, bijąc się z niezgłębionymi myślami, po czym rzucił się ku drzwiom. Ferminowi nawet powieka nie drgnęła. W innych okolicznościach ubawiłbym się setnie takim epizodem, ale owego wieczoru moje myśli krążyły jedynie wokół Bei.

– Danielu, oprzytomnijże pan, bo mamy sporo do obgadania. Jutro rano idzie pan do Nurii Monfort, tak jak się umawialiśmy.

– A jak już tam przyjdę, to co mam powiedzieć?

– Tematów ma pan bez liku. Rzeczą najważniejszą jest przeprowadzić plan, o którym mówił pan Barceló, i to w jedwabnych rękawiczkach. Musi jej pan dać do zrozumienia, że wie pan, iż – po pierwsze – perfidnie skłamała co do Caraxa, po drugie – jej domniemany mąż, Miquel Moliner, nie przebywa w więzieniu, wbrew temu, co ona utrzymuje, po trzecie – wywiedział się pan, iż to ona jest tą niewidzialną ręką, która odbiera korespondencję z dawnego mieszkania Fortunych – Caraxów, posługując się skrytką pocztową zapisaną na nieistniejącą kancelarię adwokacką... Powie jej pan, co trzeba, tak żeby grunt zaczął jej się palić pod nogami. A wszystko w odpowiednim melodramatycznym sosie i nie stroniąc od biblijnych porównań. Potem, zniemacka i dla większego efektu, odwraca się pan na pięcie i wychodzi, a ona niech się maceruje w bejcy udręki.

– A tymczasem...

– A tymczasem ja będę czekał, by w odpowiednim momencie przystąpić do śledzenia każdego jej kroku, co mam zamiar uczynić, posługując się zaawansowanymi technikami kamuflażu.

– To się nie uda, Ferminie.

– Człowieku małej wiary. Cóż takiego rzekł ojciec tej dziewczyny, że doprowadził pana do takiego stanu? To z powodu tej groźby? Zapomnij pan. No, co takiego panu powiedział ten nawiedzony?

Odpowiedziałem bez zastanowienia.

- Prawdę.
 - Prawdę według świętego Daniela Męczennika?
 - A naigrawaj się pan, ile wlezie. Należy mi się.
 - Nie naigrawam się, Danielu. Ale nie mogę patrzeć, jak się pan biczuje. Można by rzec, że jest pan o krok od włosiennicy. Nie zrobił pan nic złego. Życie obdarza nas wystarczającą liczbą katów, żeby nie być sobie Torquemadą.
 - Mówi pan na podstawie własnego doświadczenia?
- Fermín wzruszył ramionami.
- Nigdy mi pan nie opowiedział, gdzie, kiedy i jak los zetknął pana z Fumero – dodałem.
 - Chce pan usłyszeć historię z morałem?
 - Ale tylko pod warunkiem, że ma pan rzeczywiście ochotę mi ją opowiedzieć.

Fermín nalał sobie szklankę wina i wypił jednym haustem.

– Amen – powiedział sam do siebie. – O Fumero mogę powiedzieć tyle, co i wieść gminna niesie. Gdy usłyszałem o nim po raz pierwszy, nasz przysły inspektor był rewolwerowcem na usługach Federacji Anarchistów Iberyjskich. Cieszył się swoistą reputacją, bo nie bał się niczego i nikogo, i nie miał żadnych skrupułów. Wystarczyło mu dostarczyć nazwisko, a on załatwiał zlecenie strzałem prosto w twarz, na ulicy, w biały dzień. W burzliwych czasach osoby obdarzone takim talentem są nader cenione. Pozbawiony był również poczucia lojalności i jakichkolwiek przekonań. Naginał się do sprawy, póki sprawa pomagała w karierze. Jest mnóstwo takich ludzi na świecie, ale mało kto jest tak utalentowany jak Fumero. Od anarchistów przeszedł do komunistów, a od nich do faszystów dzielił go już tylko krok. Szpiegował na rzecz jednych i drugich, sprzedawał informacje i jednemu, i drugiemu, brał pieniądze od wszystkich. Od dawna miałem na niego oko. Wtedy pracowałem dla rządu katalońskiego. Czasem brano mnie za brzydszego brata prezydenta Companysa, z czego zresztą byłem bardzo dumny.

- Czym się pan zajmował?
- Wszystkim po trochu. W dzisiejszych serialach to, czym się zajmowałem, nazywa się szpiegostwem, ale w czasach wojny wszyscy jesteśmy szpiegami. Jedną z moich działek było pilnowanie takich

ludzi jak Fumero. Tacy są najbardziej niebezpieczni. Jak źmije, bez barwy ani sumienia. W czasach wojny wyłażą zewsząd. W czasach pokoju zakładają maski. Ale nadal są. Są ich tysiące. W każdym razie wcześniej czy później miałem przejrzeć jego grę. I przejrzałem, ale raczej za późno. Barcelona padła w ciągu kilku dni i wszystko się pozmieniało. Stałem się poszukiwanym kryminalistą, a moi przełożeni pochowali się jak szczury. Fumero oczywiście był już na czele operacji „oczyszczania”. Czystkę przeprowadzano już to strzelając po prostu na ulicy, już to wsadzając do zamku Montjuïc. Mnie zatrzymano w porcie, gdy usiłowałem zdobyć miejsca na grecki statek, by wyekspediować do Francji kilku z moich szefów. Zabrali mnie do Montjuïc i trzymali dwa dni w całkowicie ciemnej celi, bez wody i bez wentylacji. Pierwszym światłem, jakie zobaczyłem po dwóch dniach, był płomień palnika. Fumero i jakiś typ mówiący wyłącznie po niemiecku powiesili mnie za nogi głową w dół. Niemiec obdarł mnie z ubrania, spalając je palnikiem kawałek po kawałku. Fachowiec, z dużą praktyką. A gdy wisiałem już całkiem nagi z poprzypalanymi na całym ciele włoskami, do akcji przystąpił Fumero, oznajmiając, że jeśli nie powiem, gdzie ukrywają się moi przełożeni, to zabawa dopiero się zacznie. Ja nie jestem odważnym człowiekiem, Danielu. Nigdy nie byłem, ale tę odrobinę odwagi, jaka mi jeszcze pozostała, wykorzystałem, żeby wysłać go do diabła, nie zapominając, a jakże, wspomnieć coś niecoś o jego mamusi. Niemiec na znak Fumera wstrzyknął mi w udo cholera wie co i odczekał kilka minut. No a potem zaczął mnie przypalać palnikiem, a Fumero palił sobie papierosa i przyglądał mi się z uśmiechem. Widział pan bliźny...

Przytaknąłem. Fermín mówił spokojnym głosem, bez emocji.

– Te ślady to nic takiego. Najgorsze zostają w człowieku. Pod palnikiem wytrzymałem godzinę, a może to była minuta. Nie wiem. Ale w końcu podałem imiona, nazwiska, nawet numer kołnierzyka wszystkich moich przełożonych, a nawet tych, którzy nimi nie byli. Wyrzucili mnie w jakimś zaułku w Pueblo Seco, nagiego i poparzonego. Jakaś dobra kobiecina wzięła mnie do siebie i kurowała przez dwa miesiące. Komuniści zastrzelili jej męża i dwóch synów na progu ich domu. Nie wiedziała dlaczego. Gdy już mogłem wstać i wyjść na ulicę, dowiedziałem się, że wszyscy moi przełożeni zostali

zatrzymani kilka godzin po tym, jak ich wydałem.

– Fermín, jeśli nie chce pan o tym mówić...

– Nie, nie. Lepiej, żeby wreszcie pan to usłyszał i wiedział, z kim się pan zadaje. Gdy wróciłem do domu, poinformowano mnie, że zarówno mieszkanie, jak i całe moje mienie zostało skonfiskowane na rzecz państwa. Nie wiedząc o tym, stałem się żebrakiem. Próbowałem się gdzieś zatrudnić. Bez szans. Nie odmawiano mi jedynie butelki podłego wina za parę groszy. To powolna trucizna, zżera kiszki jak kwas, ale miałem nadzieję, że prędzej czy później dokona swego. Pocięczałem się, że kiedyś wrócę na Kubę, do mojej Mulatki. Zatrzymali mnie, gdy usiłowałem dostać się na statek do Hawany. Sam już nie wiem, ile czasu spędziłem w więzieniu. Po roku człowiekowi wszystko się zaciera, nawet z myśleniem zaczyna mieć kłopoty. Po wyjściu zacząłem żyć na ulicy, gdzie znalazł mnie pan wieki później. Takich jak ja, towarzyszy z celi lub objętych amnestią, było mnóstwo. Szczęściarze mieli kogoś na zewnątrz albo przynajmniej mieli gdzie wrócić. Reszta tworzyła wojsko wydziedziczonych. Jak już raz otrzymasz legitymację tego klubu, to nigdy nie przestajesz być jego członkiem. Większość z nas wychodziła po zmroku, gdy świat nie patrzył. Poznałem wielu takich jak ja. Rzadko kiedy widywałem ich ponownie. Życie na ulicy jest krótkie. Ludzie patrzą na ciebie z obrzydzeniem, nawet ci, którzy dają ci jałmużnę, ale to nic w porównaniu z uczuciem obrzydzenia, jakie się żywi do samego siebie. To jest tak, jakbyś żył zatrzęsnięty w trupie, który chodzi, odczuwa głód, śmierdzi i nie chce umrzeć. Co jakiś czas Fumero i jego ludzie zatrzymywali mnie i oskarżali o jakąś idiotyczną kradzież albo o zaczepianie dziewczynek wychodzących ze szkoły. I kolejny miesiąc w więzieniu, i cięgi, i znowu na ulicę. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, na co komu ta farsa. Zdaje się, że policja uważała, iż należy dysponować stałą grupą podejrzanych, spośród których dokonuje się aresztowań, zawsze gdy zajdzie odpowiednia potrzeba. Podczas jednego z moich spotkań z Fumero, już wielce szanowanym obywatelem, zapytałem, dlaczego mnie nie zabił tak jak innych. Roześmiał się i rzekł, że są rzeczy gorsze niż śmierć. Nigdy nie zabijam donosicieli, powiedział. Pozwalam im zgnić za życia.

– Ferminie, pan nie jest donosicielem. Każdy na pana miejscu

zrobiłby to samo. Pan jest moim najlepszym przyjacielem.

– Nie zasługuję na pańską przyjaźń, Danielu. Pan i pański ojciec uratowaliście mi życie i należy ono do was. I co będę mógł dla panów zrobić, to zrobię. W dniu, w którym zabrał mnie pan z ulicy, Fermín Romero de Torres narodził się na nowo.

– To nie jest pana prawdziwe nazwisko?

Fermín pokręcił głową.

– Zobaczyłem je na plakacie anonsującym corridę na Plaza de las Arenas. Tamto nazwisko zostało pogrzebane. Człowiek, który przedtem mieszkał w tym cieple, umarł, Danielu. Czasami wraca w nocnych koszmarach. Ale pan nauczył mnie być innym człowiekiem i obdarował mnie pan kimś, dla kogo warto raz jeszcze żyć, moją Bernardą.

– Ferminie...

– Niech pan nic nie mówi, Danielu. Proszę tylko o wybaczenie, o ile potrafi mi pan wybaczyć.

Objąłem go w milczeniu i pozwoliłem mu płakać. Ludzie patrzyli na nas krzywo, a ja nie pozostawałem im dłużny, posyłając piorunujące spojrzenia. Po jakimś czasie zaczęli nas ignorować. Kiedy odprowadzałem Fermina do pensjonatu, odzyskał głos.

– To, co dzisiaj opowiedziałem... Błagam, żeby Bernardzie...

– Ani Bernardzie, ani nikomu. Ani słowa, Ferminie.

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni.

Nie spałem przez całą noc, wyciągnięty na łóżku przy zapalonym świetle przyglądając się mojemu wspaniałemu pióru Montblanc, którym od lat nie napisałem ani słowa i które z wolna zaczynało stawać się najwspanialszą parą rękawiczek, jaką kiedykolwiek podarowano jednorękiemu. Już kilka razy ogarniała mnie pokusa, żeby udać się do Aguilarów i bezwarunkowo, by tak rzec, poddać się im, ale po drobiazgowym rozważeniu wszystkich okoliczności dochodziłem do wniosku, że wkraczanie o świcie do rodzinnego domu Bei niewiele poprawi sytuację, w jakiej się znajdowała. O świcie zmęczenie i rozkojarzenie pozwoliły mi odzyskać wrodzony egoizm, dzięki czemu dość szybko zdołałem sobie wmówić, że najlepiej będzie, jeśli wszystko pozostawię własnemu biegowi, a czas i tak swoje zrobi.

Do południa w księgarni nie było prawie ruchu, co skwapliwie wykorzystałem, by uciąć sobie drzemkę na stojąco, z wycuciem równowagi i wdziękiem flaminga, jak nie omieszkał tego ująć mój ojciec. W południe, tak jak uzgodniliśmy z Ferminem, wyszedłem z księgarni, niby to na przechadzkę, Fermín oznajmił zaś, że ma wyznaczoną wizytę w ambulatorium na zdjęcie kilku szwów. Odniosłem wrażenie, że ojciec przełknął oba kłamstwa bez mrugnięcia okiem. Świadomość, że regularnie zaczynamy go oszukiwać, zaczynała mi doskwierać, co zresztą powiedziałem Ferminowi, wykorzystując chwilową nieobecność ojca w księgarni.

– Panie Danielu, relacje między ojcem a synem zawsze są oparte na tysiącu drobnych i nieszkodliwych kłamstw. Święty Mikołaj, Baba Jaga, Wróżka Zębuszka i tak dalej, i tak dalej. To tylko jeszcze jedno kłamstwo. Proszę się nie czuć winnym.

A gdy nadeszła umówiona chwila, znów skłamałem i poszedłem do domu Nurii Monfort, której dotyk i zapach wciąż był żywy w mojej pamięci. Płac San Felipe Neri przejęty został we władanie przez odpoczywające na kamieniach stada gołębi. Myślałem, że natknę się

na Nurię Monfort zatopioną w lekturze, ale plac był pusty. Każdy mój krok stawiany na kamieniach był bacznie śledzony przez dziesiątki ptaków. Sam też rozglądałem się uważnie, szukając na próżno Fermina, przebranego za Bóg jeden wie kogo, bo odmówił ujawnienia mi, o jaki kamuflaż mu chodzi. Wszedłem na schody i stwierdziłem, że nazwisko Miquel Moliner nadal figuruje na skrzynce. Byłem ciekaw, czy będzie to pierwsza z nieściskości, jakie miałem zamiar wytknąć Nuri Monfort. Wchodząc po ciemnych schodach, właściwie zapragnąłem, żeby nie było jej w domu. Nikt się tak nie lituje nad kłamczuchem jak ktoś podobny do niego. Gdy dotarłem na piętro, zatrzymałem się, żeby zebrać się na odwagę i wymyślić jakieś wytłumaczenie, usprawiedliwiające moją obecność. Słychać było radio sąsiadki, pochłoniętej tym razem konkursem wiedzy religijnej zatytułowanym Garnki świętych, elektryzującym całą Hiszpanię każdego wtorku w południe.

A teraz, Bartolome, pytanie za dwadzieścia pięć peset: w jakiej postaci ukazuje się Zły mędrcom z tabernakulum w przypowieści o archaniele i tykwie w Księdze Jozuego?: A) kózki B) garncarza C) kuglarza z małpą.

Gdy w studio radiowym rozległy się oklaski publiczności, stanąłem, już zdecydowany na wszystko, przed drzwiami Nuri Monfort i wcisnąłem dzwonek na kilka sekund. Słyszając rozbrzmiewające w środku mieszkania echo, westchnąłem z ulgą. Już szykowałem się do odejścia, gdy dały się słyszeć kroki zbliżające się do drzwi, a wizjer judasza rozjaśnił się łezką światła. Uśmiechnąłem się. Na dźwięk klucza w zamku wciągnąłem głęboko powietrze.

Danielu – szepnęła z ledwie widocznym pod światło uśmiechem.

Welon błękitnawego dymu z papierosa przesłaniał jej twarz. Jej wilgotne usta błyszcząły ciemnym szkarłatem, zostawiając krwawe ślady na filtrze przytrzymywanym między wskazującym i środkowym palcem. Są osoby, które się pamięta, i osoby, o których się śni. Dla mnie Nuria Monfort swoją cielesnością i obecnością bliższa była przywidzeniu: nie kwestionujesz prawdziwości omamu, po prostu idziesz za nim, póki się nie rozwieje lub cię nie zniszczy. Poszedłem za nią do ciasnego i tonącego w półmroku saloniku, w którym stało jej biurko, książki i ta kolekcja ołówków ułożonych jak w nieprzewidzianej symetrii.

– Myślałam, że już cię więcej nie zobaczę.

– Przykro mi, że sprawiam zawód.

Usiadła na krześle przy biurku, krzyżując nogi i odchylając się nieco. Oderwałem wzrok od jej szyi i skupiłem się na widocznym na ścianie zacieku. Zbliżyłem się do okna i szybko rozejrzałem się po placu. Ani śladu Fermina. Słyszałem oddech Nurii Monfort za plecami, czułem jej spojrzenie. Przystąpiłem do rzeczy, nie odrywając wzroku od okna.

– Kilka dni temu mój dobry przyjaciel dowiedział się, że administrator odpowiedzialny za dawne mieszkanie rodziny Fortunych – Caraxów wysyłał korespondencję na adres skrytki pocztowej, należącej do kancelarii adwokackiej, która, zdaje się, nie istnieje. Ten sam przyjaciel dowiedział się, że osoba odbierająca przez całe lata przesyłki z tej skrytki posługiwała się pani nazwiskiem, pani Monfort...

– Milcz.

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak chowa się w cień.

– Nie znasz mnie wcale, a już osądzasz – powiedziała.

– Wobec tego proszę dać mi szansę, żebym panią poznał.

– Komu to opowiedziałeś? Kto jeszcze o tym wie?
– Więcej osób, niż się wydaje. Policja śledzi mnie już od jakiegoś czasu.

– Fumero?

Przytaknąłem. Odniosłem wrażenie, że drżą jej ręce.

– Nawet nie wiesz, co żeś narobił, Danielu.

– To proszę mi powiedzieć – odparłem z bezwzględnością, której wcale nie czułem.

– Wydaje ci się, że skoro się natknąłeś na jakąś książkę, to zyskałeś prawo wtrącania się w życie osób, których nie znasz, w sprawy, których nie możesz zrozumieć i które są ci całkiem obce.

– Już nie są mi obce, czy tego chcę, czy nie.

– Nawet nie wiesz, o czym mówisz.

– Byłem w domu Aldayów. Wiem, że ukrywa się tam Jorge Aldaya.

Wiem, że to on zamordował Caraxa.

Przyglądała mi się, długo ważąc słowa.

– Fumero wie o tym?

– Nie wiem.

– Lepiej, żebyś wiedział. Fumero śledził cię dzisiaj?

Płonąca w jej oczach wściekłość parzyła mnie. Wszedłem tu w roli oskarżyciela i sędziego, ale coraz bardziej czułem się winnym.

– Nie sądzę. Pani to wiedziała? Pani wiedziała, że to Aldaya zabił Juliana i że ukrywa się w tym domu... dlaczego pani mi nie powiedziała?

Uśmiechnęła się gorzko.

– Nic nie rozumiesz, prawda?

– Rozumiem, że skłamała pani w obronie człowieka, który zamordował kogoś, kogo nazywa pani jego przyjacielem, że przez lata ukrywała pani tę zbrodnię, chroniąc człowieka, którego jedynym celem było zatarcie najmniejszego śladu istnienia Juliana Caraxa i który pali jego książki. Rozumiem, że okłamała mnie pani w sprawie swego męża, który nie siedzi w więzieniu, a i tutaj, jak widać, też go nie ma. Ot, co rozumiem.

Nuria Monfort powoli pokręciła głową.

– Idź już stąd, Danielu. Idź stąd i nie wracaj więcej! Już dosyć złego narobiłeś.

Skierowałem się ku drzwiom, zostawiając Nurię Monfort w jadalni. W połowie drogi zatrzymałem się jednak i zawróciłem. Nuria siedziała na podłodze oparta o ścianę. Cały czar jej obecności przysł w jednej chwili.

Przeszedłem przez plac San Felipe Neri, zamiatając wzrokiem ziemię. Wlokłem za sobą ból, jaki zebrałem z ust tej kobiety, ból, który teraz stał się również moim udziałem, choć nie całkiem rozumiałem, jak to się stało i dlaczego. „Nawet nie wiesz, co żeś narobił”. Pragnąłem tylko odejść stąd. Mijając kościół, omal nie przegapiłem stojącego w portalu chudego i nosatego księdza, który błogosławił mnie z namaszczeniem, trzymając w rękach książkę do nabożeństwa i różaniec.

Wróciłem do księgarni z czterdziestopięciominutowym opóźnieniem. Ojciec zmarszczył brwi z wyrzutem i spojrzął na zegarek.

– Gratuluję punktualności. Zostawiacie mnie tu samego, choć wiecie, że muszę jechać do klienta na San Cugat.

– A Fermín? Jeszcze nie wrócił?

Ojciec pokręcił głową z tym charakterystycznym dla siebie w stanie wzburzenia pośpiechem.

– A w ogóle to przyszedł do ciebie list. Położyłem ci go przy kasie.

– Tato, przepraszam, ale...

Zniecierpliwionym gestem dał mi znać, bym darował sobie jakiegokolwiek usprawiedliwienia, po czym okrył się płaszczem, włożył kapelusz i wyszedł bez słowa pożegnania. Znając go, mogłem zakładać, że zanim dojdzie do stacji, minie mu już cała złość. Za to mocno dziwiła mnie nieobecność Fermina. Widziałem go w teatralnym habicie zakonnika na placu San Felipe Neri, jak czyhał na wybiegającą chyłkiem Nurię Monfort, która prowadziła go nieświadomie ku rozwiązaniu wielkiej tajemnicy. Moja wiara w skuteczność tej strategii legła w gruzach, bo mogłem sobie wyobrazić, że jeśli rzeczywiście Nuria Monfort wyjdzie na ulicę, to w rezultacie Fermín, idąc za nią, trafi do apteki lub piekarni. Śmiały plan. Podszedłem do kasy, by rzucić okiem na wspomniany przez ojca list. Była to biała, prostokątna niczym płyta nagrobna, koperta, ale miast krucyfiksowi widniał na niej napis, który całkiem pozbawił mnie resztek animuszu.

BARCELÓŃSKI OKRĘG WOJSKOWY
REJONOWA KOMISJA POBOROWA

– Alleluja – wymamrotałem.

Wiedziałem, co zawiera, więc nie było potrzeby zaglądnienia do

środka, niemniej rozdarłem kopertę, żeby już ostatecznie wytapiać się w błocie. Pismo było zwięzłe, dwa akapity prozy, rozkraczonej pomiędzy namiętną proklamacją a operetkową arią w charakterystycznym dla epistolografii wojskowej stylu. Oznajmiano mi, iż za dwa miesiące ja, Daniel Sempere Martin, będę miał zaszczyt i honor podjąć się wypełnienia najświętszego i najbardziej budującego z obowiązków, jakie życie mogło zaofiarować celtyberyjskiemu mężczyźnie: służba ojczyźnie i przywdzianie munduru, narodowej krucjaty w obronie duchowej ostoji Zachodu. Miałem nadzieję, że może chociaż Fermín będzie zdolny znaleźć groteskowe aspekty w całej tej sprawie i przynajmniej przez czas jakiś będziemy mogli śmiać się do rozpuku z *Upadku spisku żydo – masońskiego*, prezentowanej przez niego wersji na opak. Dwa miesiące. Osiem tygodni. Sześćdziesiąt dni. Mogłem tak dzielić czas aż po sekundy, otrzymując kilometrową cyfrę. Pozostawało mi pięć milionów sto osiemdziesiąt cztery tysiące sekund wolności. Może don Federico, który według mojego ojca był w stanie wyprodukować volkswagena, mógłby zrobić mi zegarek z hamulcami tarczowymi. Może ktoś zdoła mi powiedzieć, co mam zrobić, żeby nie stracić całkiem Bei. Usłyszawszy dzwoneczek przy drzwiach, pomyślałem, że to wraca Fermín, który w końcu uznał, że naszych detektywistycznych zapędów nie starczy nawet na jeden głupi dowcip.

– Patrzcie, patrzcie, młody dziedzic, jak Pan Bóg przykazał, dogłąda włości i nieważne, że minę ma przy tym jak, nie przymierzając, ogórek skrzyżowany z cytryną. Chłopcze, rozwesel lico swe, bo wyglądasz jak reklama prześcieradła po praniu – rzekł Gustavo Barceló, strojny w palto z wielbłądziej wełny, dzierżąc w ręce niczym pastorał biskupi zupełnie zbędną laskę z kości słoniowej. – Nie zastałem twojego ojca, Danielu?

– Przykro mi, don Gustavo, ojciec udał się na spotkanie z klientem i sądzę, że nie wróci przed...

– To znakomicie. Nie jemu chciałem bowiem złożyć wizytę, a to, co mam ci do powiedzenia, lepiej, by nie dotarło do jego uszu.

Ściągając z dłoni rękawiczki, puścił do mnie oko i zaczął rozglądać się po księgarni z nieukrywaną dezaprobatą.

– A nasz kolega po fachu, Fermín? Jest gdzieś tutaj?

- Zaginął podczas walk.
- Domniemywam, że i w trakcie rozwiązywania sprawy Caraxa przy użyciu swych rozlicznych talentów.
- Duszą całą i całym ciałem. Ostatni raz widziałem go w sutannie udzielającego błogosławieństwa *urbi et orbi*.
- *Mea culpa*, bo niepotrzebnie was napuszczałem. Że też chciało mi się w ogóle gadać cokolwiek.
- Jakiś pan niespokojny, don Gustavo. Coś się stało?
- I tak, i nie, właściwie. Albo raczej tak, do pewnego stopnia.
- Więc co mi pan miał do powiedzenia, don Gustavo?

Antykwariusz uśmiechnął się do mnie łagodnie. Jego wyniosły sposób bycia i salonowa arogancja pierzchły, by ustąpić miejsca swoistej powadze, odrobinie ostrożności i niemałej dozie rzeczywistego przejęcia.

– Dziś rano poznałem don Manuela Gutierrezę Fonsecę, lat pięćdziesiąt dziewięć, stanu wolnego, urzędnika kostnicy miasta Barcelony od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego. Trzydzieści lat służby na progu ciemności. To jego słowa, nie moje. Don Manuel to dżentelmen starej daty, o nieskazitelnym manierach, uprzejmy i usłużny. Od piętnastu lat wynajmuje pokój na ulicy Ceniza, dzieląc go z piętnastoma papużkami, które nauczyły się trajkotać marsz żałobny. Ma wykupiony abonament na jaskółkę w Liceo. Lubi Verdiego i Dionizettiego. Wyznał mi, że w jego pracy rzeczą najistotniejszą jest postępowanie według regulaminu. W regulaminie wszystko jest przewidziane, szczególnie w sytuacjach, w których człowiek nie wie, co ma robić. Piętnaście lat temu don Manuel otworzył brezentowy wór przyniesiony przez policję i znalazł się twarzą w twarz ze swym najlepszym przyjacielem z lat dzieciństwa. Reszta ciała znajdowała się w innym worze. Don Manuel, ze ściśniętym sercem, przystąpił do postępowania zgodnie z regulaminem.

- Może kawy, don Gustavo? Zaczyna pan źle wyglądać.
 - Będę wdzięczny.
- Odszedłem po termos i przygotowałem mu filiżankę kawy z ośmioma kostkami cukru. Wypił ją jednym haustem.
- Lepiej już?

– Tak, dziękuję, zaczynam wracać do siebie. Jak już mówiłem, don Manuel pełnił był właśnie dyżur we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku w dniu, w którym odesłano ciało Juliana Caraxa do działu autopsji. Rzecz jasna, don Manuel nie mógł przypomnieć sobie imienia i nazwiska, ale sprawdzenie danych w archiwach, jak również zasilenie prywatnego funduszu emerytalnego don Manuela kwotą stu peset znacząco wpłynęło na jego pamięć. Słuchasz mnie?

Przytaknąłem niemal w transie.

– Don Manuel dobrze pamięta szczegóły z owego dnia, jak mi bowiem wyznał, był to jeden z rzadkich przypadków, gdy złamał regulamin. Policja zaznaczyła, że zwłoki zostały odnalezione w jednym z zaułków Raval tuż przed świtem. Ciało trafiło do prosektorium przed południem. Jedynymi przedmiotami, jakie znaleziono przy zmarłym, była książka i paszport identyfikujący go jako Juliana Fortuny Caraxa, urodzonego w Barcelonie, w roku tysiąc dziewięćsetnym. W paszporcie widniał stempel z posterunku granicznego w La Junquera, wskazujący na to, że Carax wjechał do kraju miesiąc wcześniej. Przyczyną zgonu, oczywistą, była rana postrzałowa. Don Manuel nie jest lekarzem, ale tego i owego z czasem się wyuczył. Jego zdaniem strzał, prosto w serce, padł z najbliższej możliwej odległości. Dzięki paszportowi można było zlokalizować pana Fortuny, ojca Caraxa. Przybył do kostnicy tej samej nocy, by dokonać identyfikacji zwłok.

– Jak dotąd wszystko zgadza się z tym, co opowiedziała Nuria Monfort.

Barceló przytaknął.

– Tak jest. Ale Nuria Monfort nie powiedziała ci, że mój przyjaciel don Manuel, podejrzewając, że policja nie wykazywała zbyt dużego zainteresowania tą sprawą, i stwierdziwszy, że nazwisko na książce, którą znaleziono w kieszeniach nieboszczyka, jest tożsame z nazwiskiem zmarłego, postanowił przejąć inicjatywę i tego samego popołudnia, czekając na przybycie pana Fortuny, zadzwonił do wydawnictwa, by poinformować o tym, co się stało.

– Nuria Monfort powiedziała mi, że pracownik kostnicy zadzwonił do wydawnictwa trzy dni później, kiedy ciało zostało już pogrzebane w

zbiorowym grobie.

– Don Manuel twierdzi, że zadzwoni! tego samego dnia, w którym ciało zostało dostarczone do kostnicy. Powiedział mi, że rozmawiał z jakąś młodą kobietą, która podziękowała mu za telefon. Don Manuel pamięta, że był mocno zdziwiony zachowaniem owej kobiety. Skomentował to takimi oto słowy: „Tak jakby już o wszystkim wiedziała”.

– No a Fortuny? To prawda, że odmówił uznania w zmarłym swego syna?

– Właśnie to najbardziej mnie zaintrygowało. Don Manuel wyjaśnia, że o zmierzchu zjawił się mały, trzęsący się mężczyzna w towarzystwie funkcjonariuszy policji. To był pan Fortuny. Don Manuel twierdzi, że nigdy nie mógł przyzwyczaić się do tej chwili, w której ludzie przychodzili identyfikować ciało kogoś bardzo bliskiego, i że to jest najgorsze. I że nikomu nie życzy takich przeżyć... Jak twierdzi, najgorzej jest, kiedy zmarły jest osobą młodą, a rozpoznającymi – rodzice lub niedawno poślubiony małżonek. Don Manuel bardzo dobrze pamięta pana Fortuny. Mówi, że kiedy ten zjawił się w kostnicy, ledwie trzymał się na nogach, płakał jak dziecko, a policjanci musieli go podtrzymywać. Cały czas łkał: „Co ci syneczku zrobili? Co ci syneczku zrobili?”.

– A zobaczył w ogóle ciało?

– Don Manuel opowiedział mi, że był o krok od zasugerowania funkcjonariuszom, by dali spokój przewidzianej procedurze. Po raz pierwszy i ostatni w życiu przyszło mu na myśl zakwestionowanie regulaminu. Zwłoki były w nie najlepszym stanie. Przypuszczalnie denat, nim przetransportowano jego ciało do kostnicy, nie żył już od ponad dwudziestu czterech, a nie od kilku godzin – jak twierdziła policja. Manuel obawiał się, że kiedy staruszek zobaczy ciało, zupełnie się rozklei. Pan Fortuny w kółko powtarzał, że to niemożliwe, że jego Julián na pewno żyje... Wówczas don Manuel ściągnął okrywające ciało prześcieradło, a dwaj funkcjonariusze formalnie zapytali Fortuny'ego, czy to jego syn Julián .

– I co?

– Fortuny słowem się nie odezwał, przyglądał się jedynie ciału, a po minucie, mniej więcej, odwrócił się i odszedł.

- Jak to odszedł?
- Jak mógł najszybciej.
- A policja? Nie zatrzymała go? Przecież chodziło o zidentyfikowanie zwłok.

Berceló uśmiechnął się złośliwie.

– Teoretycznie tak. Ale don Manuel pamięta, że w kostnicy był jeszcze ktoś, jeszcze jeden policjant, który, podczas gdy funkcjonariusze przygotowywali pana Fortuny'ego, wszedł cichutko i bez słowa obserwował całą scenę, oparty o ścianę, trzymając w ustach papierosa. Don Manuel pamięta go dobrze, bo kiedy zwrócił mu uwagę, że regulamin surowo zabrania palenia tytoniu w pomieszczeniu, jeden z policjantów dał mu znać, żeby się zamknął. Opowiadał don Manuel, że z chwilą, gdy Fortuny opuścił kostnicę, ów trzeci policjant podszedł do ciała, rzucił okiem i splunął zmarłemu w twarz. Zabrał paszport i wydał polecenie, by zabrano zwłoki do Can Tunis, gdzie jeszcze tego samego dnia pogrzebano je w zbiorowej mogile.

– To bez sensu.

– To samo pomyślał don Manuel. Zwłaszcza że było to niezgodne z regulaminem. „Przecież ciągle nie wiemy, kim jest ten człowiek”, powiedział. Policjanci nie odezwali się. Don Manuel, wściekły, rzucił w ich stronę: „A może panowie wiedzą aż za dobrze, kto to jest. Bo byle głupek widzi, że ten człowiek nie żyje już co najmniej od dwudziestu czterech godzin”. Don Manuel, oczywiście, odwoływał się wyłącznie do regulaminu, nie był przecież ani głupi, ani naiwny. Jak mi powiedział, trzeci funkcjonariusz podszedł doń, spojrzał mu głęboko w oczy i zapytał, czy pragnie towarzyszyć nieboszczykowi w jego ostatniej podróży. Don Manuel zwierzył mi się, że skóra mu ścierpła z przerażenia. Owemu człowiekowi szaleństwo z oczu wyglądało, więc don Manuel nie miał najmniejszej wątpliwości, że nie żartuje. Wymamrotał, że on jedynie pragnie postępować zgodnie z regulaminem, a tu nikt nie wie, kim jest zmarły, więc tym samym nie można go jeszcze grzebać. „Ten człowiek jest tym, kim ja powiem, że jest”, odparł policjant. Po czym sięgnął po formularz aktu zgonu i podpisał go, dając do zrozumienia, że sprawę uważa za skończoną. Don Manuel mówi, że nigdy nie zapomni tego podpisu, bo podczas

wojny, i wiele lat jeszcze po wojnie, widywał ten podpis wielokrotnie na dziesiątkach akt zgonów nieboszczyków, którzy pojawiali się w kostnicy nie wiadomo skąd i których nikt nie był w stanie zidentyfikować...

– Inspektor Francisco Javier Fumero...

– Duma i ostoja Generalnej Dyrekcji Policji. Wiesz, Danielu, co to znaczy?

– Że od samego początku trafialiśmy kulą w płot.

Barceló sięgnął po kapelusz i laskę, i skierował się ku wyjściu, kręcąc głową i mamrocząc pod nosem.

– Nie, kochany, to znaczy, że kule w płot dopiero teraz się zaczną.

Całe popołudnie spędziłem nad ponurym listem powiadamiającym mnie o powołaniu do wojska, czekając zarazem na jakiś znak życia od Fermina. Od przewidzianej godziny zamknięcia księgarni minęło już ponad trzydzieści minut, a Fermina jak nie było, tak nie było. Zadzwoiłem do pensjonatu na ulicy Joaquin Costa. Odezwała się doña Encarna, która głosem już nieco przesiąkniętym anyżówką powiedziała, że nie widziała Fermina od rana.

– Jeśli nie zjawi się w ciągu pół godziny, będzie musiał zjeść kolację na zimno, bo niech sobie nie myśli, że to hotel Ritz. Ale nic mu się nie stało, prawda?

– Nie ma powodów do niepokoju, doño Encarno. Miał zrealizować zlecenie i pewnie przeciągnęła się sprawa. W każdym razie, gdyby udało się go pani jeszcze dziś wieczorem zobaczyć, byłbym bardzo wdzięczny za przekazanie mu prośby, żeby do mnie zadzwonił. Do Daniela Sempere, sąsiada pani przyjaciółki Merceditas.

– Proszę się nie martwić, choć uprzedzam, że ja o wpół do dziewiątej wskakuję pod kołdrę.

Zatelefonowałem od razu do mieszkania Barceló, mając nadzieję, że może Fermín zaszedł tam, by pomóc wprowadzić więcej ładu do spiżarni lub też obłapić Bernardę w pokoju do prasowania. Nie przyszło mi do głowy, że telefon może odebrać Klara.

– Daniel? A to ci niespodzianka!

Właśnie, pomyślałem sobie. Uciekając się do jakiegoś wykrętu godnego mistrza don Anacleta, podałem od niechcienia i jakby bagatelizując powód mojego telefonu.

– Nie, Fermín nie zajrzał tu przez cały dzień. A Bernarda była całe popołudnie ze mną, więc coś by wiedziała. A wiesz, że właśnie rozmawialiśmy o tobie?

– Bardzo zajmujący temat.

– Bernarda mówi, że ładny z ciebie chłopak wyrasta, mężczyzna

całą gębą.

– Zążywam bardzo duęo witamin.

Zapadła długa cisza.

– Danielu, myślisz, że możemy kiedyś znowu być przyjaciółmi? Ile lat potrzeba, żebyś mi wybaczył?

– Przecież jesteśmy przyjaciółmi i niczego nie muszę ci, Klaro, wybaczać. Dobrze o tym wiesz.

– Wuj mówił mi, że ciągle zbierasz informacje o Julianie Caraksie. Może zaszedłbyś któregoś dnia i opowiedziałbyś mi wszystkie nowiny. Ja też mam ci wiele do powiedzenia.

– Świetnie, ale za kilka dni.

– Danielu, wychodzę za mąż.

Spojrzałem na słuchawkę. Miałem wrażenie, że zapadają mi się nogi albo szkielet zaczął mi się kurczyć.

– Danielu, jesteś tam?

– Tak, jestem.

– Zaskoczyło cię to.

Przełknąłem ślinę o konsystencji betonu.

– Nie. Zaskakujące jest to, że jeszcze nie wyszłaś za mąż, bo pretendentów na pewno ci nie brakowało. Kim jest ów szczęściarz?

– Nie znasz go. Ma na imię Jacobo. Przyjaciół mego wuja Gustava. Jeden z dyrektorów Banco de España. Poznaliśmy się na zorganizowanym przez wuja recitalu operowym. Jacobo jest wielbicielem opery. Jest starszy ode mnie, ale tworzymy parę dobrych przyjaciół, a to przecież najważniejsze, nieprawdaż?

Zapieкло mnie w ustach od złośliwości, ale ugryzłem się w język, bo była zbyt zjadliwa.

– Ależ oczywiście... No cóż, gratulacje wobec tego.

– Nigdy mi nie wybacysz, prawda Danielu? Dla ciebie zawsze będę Klarą Barceló, Klarą wiarołomną.

– Dla mnie zawsze będziesz Klarą Barceló i kropka. I o tym też dobrze wiesz.

Znowu zapadła jedna z tych cisz, podczas których niejedna skroń zdradliwie pokrywa się siwizną.

– A ty, Danielu? Fermín nie ukrywa, że masz śliczną dziewczynę.

– Klaro, przepraszam, muszę kończyć, klient właśnie przyszedł.

Zadzwoń w tygodniu, za parę dni, i umówimy się na podwieczorek u ciebie. Wszystkiego najlepszego raz jeszcze.

Odłożyłem słuchawkę i odetchnąłem.

Ojciec wrócił od klienta wyraźnie przygnębiony, nie przejawiając najmniejszej chęci do rozmowy. Zabrał się od razu do przygotowania kolacji, ja – do nakrywania do stołu, i nawet nie zapytał o Fermina czy też o to, jak minął dzień w księgarni. Kolację zjedliśmy ze wzrokiem zatopionym w talerzach, okopani w czczej paplaninie radiowych wiadomości. Ojciec ledwie tknął wodnistą i pozbawioną smaku zupę. Mieszał ją jedynie, jakby szukał złota na dnie.

– Nic nie zjadłeś – powiedziałem.

Wzruszył ramionami. Radio nie ustawało w ostrzeliwaniu nas głupstwami. Ojciec wstał i wyłączył radioodbiornik.

– O co chodziło w tym piśmie z wojska? – zapytał w końcu.

– Dostałem powołanie, za dwa miesiące idę w rekruty.

Odniosłem wrażenie, jakby jego spojrzeniu przybyło dziesięć lat.

– Barceló powiedział, że spróbuje znaleźć jakieś dojskie, żeby po przysiędze przeniesiono mnie do garnizonu w Barcelonie. Może nawet będę mógł nocować w domu – starałem się łagodzić całą sprawę.

Ojciec skwitował moją odpowiedź anemicznie. Trudno było mi wytrzymać jego spojrzenie, więc wstałem, by sprzątnąć ze stołu. Ojciec nie ruszył się, siedział, opierając podbródek na skrzyżowanych dłoniach, błędzący gdzieś wzrokiem. Zabierałem się do zmywania talerzy, gdy usłyszałem dobiegający ze schodów coraz głośniejszy odgłos stawianych zdecydowanie i pospiesznie kroków, niewróżących nic dobrego. Rzuciłem okiem na ojca. Nasze spojrzenia spotkały się. Kroki ucichły przy naszych drzwiach. Ojciec mocno niespokojny, wstał. W chwilę później rozległo się łomotanie do drzwi i rozległ się gromki, rozsierzdony i dziwnie nieobcy głos:

– Policja! Otwierać!

Opadły mnie jak najgorsze przeczucia. Usłyszeliśmy kolejną serię uderzeń. Ojciec podszedł do drzwi i przytknął oko do judasza.

– Czego panowie chcą o tej porze?

– Panie Sempere, otwieraj pan drzwi albo je na drzazgi rozbijemy. Nie będę dwa razy ostrzegał.

Poznałem w końcu głos Fumera i zmroziło mnie do reszty. Ojciec

obrzucił mnie oskarżycielskim spojrzeniem. Przytaknąłem. Tłumiąc oddech, otworzył drzwi. W żółtawym świetle klatki schodowej wyraźnie odcinały się sylwetki Fumera i nieodstępującej go nigdy eskorty. Popielate płaszcze narzucone na szare kukły.

– Gdzie jest? – wrzasnął Fumero, zdecydowanym ruchem ręki odsuwając na bok mojego ojca i torując sobie drogę do kuchni.

Ojciec w pierwszym odruchu usiłował go zatrzymać, ale jeden z ochroniarzy, beznamiętnie i sprawnie niczym maszyna skonstruowana wyłącznie do takich działań, rzucił się nań, wykręcił mu rękę i pchnął go na ścianę. Był to ten sam osobnik, który deptał mnie i Ferminowi po piętach, ten sam, który mnie trzymał, podczas gdy Fumero masakrował mego przyjaciela przed przytułkiem Santa Lucia, ten sam, który śledził mnie parę nocy temu. Obrzucił mnie pustym, nieprzeniknionym spojrzeniem. Ruszyłem na spotkanie Fumera, okazując najwyższy spokój i opanowanie, na jaki było mnie aktorsko stać. Inspektor miał oczy nabiegłe krwią... Na lewym policzku widniało świeże zadrapanie obrębione zaschniętą krwią.

– Gdzie jest?

– Co?

Fumero spuścił oczy i jakby pozbawiony już sił, pozwolił opaść głowie, szepcząc coś pod nosem. Kiedy z powrotem uniósł głowę, na twarzy miał zwierzęcy grymas, a w ręku rewolwer. Nie odrywając wzroku od moich oczu, walnął nasadą rewolweru w stojący na stole dzban ze zwiędłymi kwiatami. Dzban rozprysł się na tysiąc kawałków, woda z gnijącymi już łyżkami zalała obrus. Niestety, nie potrafiłem opanować drżenia. Mój ojciec wrzeszczał w przedpokoju, trzymany przez obu policjantów. Wytrzymałem nacisk lodowatej lufy wrzynającej mi się w policzek i woń prochu, bo tylko na tyle starczyło mi odwagi.

– Ty mi, smarkaczu, nie podskakuj, bo w przeciwnym razie szanowny ojczulek będzie musiał twój mózg zbierać z podłogi. Słyszysz?

Trzęsąc się cały, przytaknąłem. Fumero przyciskał coraz mocniej lufę rewolweru do mojego policzka. Czuję jak rani mi skórę, ale nie śmiałem nawet mrugnąć.

– Pytam po raz ostatni. Gdzie jest?

Zobaczyłem swoje odbicie w czarnych źrenicach inspektora, zwięzających się w miarę, jak kciuk odwodził z wolna kurek.

– Tutaj go nie ma. Nie widziałem go od południa. To prawda.

Fumero stał nieruchomo przez pół minuty, masakrując mi rewolwerem policzek i oblizując wargi.

– Lerma! – rozkazał. – Rozejrzyjcie się!

Jeden z agentów natychmiast zaczął rozglądać się po mieszkaniu. Ojciec bezskutecznie próbował wyrwać się z łapsk trzeciego policjanta.

– Jeśli kłamiesz i znajdziemy go w domu, to nogi twojemu ojcu powyrywam z dupy, przyrzekam ci to – wycedził Fumero.

– Mój ojciec o niczym nie wie. Zostawcie go w spokoju.

– Ty, mały, nawet się nie orientujesz, co jest grane. Ale gdy twój kumpel wreszcie wpadnie mi w ręce, to gra będzie skończona. Żadnych sądów, żadnych szpitali, żadnych kurewskich ceregieli. Teraz osobiście dopilnuję, by go wycofać skutecznie z gry. I nie odmówię sobie przy tym zabawy, tego możesz być pewny. I nie muszę się spieszyć. Możesz mu to powiedzieć, jak go spotkasz. Bo ja znajdę go na pewno, choćby się zapadł pod ziemię. A po nim przyjdzie kolej na ciebie.

W jadalni zjawił się funkcjonariusz Lerma, który wymieniwszy z Fumero spojrzenia, zaprzeczył niemal niezauważalnym gestem. Fumero zdjął palec z kurka i cofnął rewolwer.

– Szkoda – powiedział Fumero.

– O co go pan oskarża? Dlaczego go pan szuka?

Fumero odwrócił się do mnie plecami i podszedł do obu agentów, którzy na jego znak, puścili ojca.

– Nie ujdzie to panu płazem – wypluł mój ojciec.

Oczy Fumera spoczęły na nim. Ojciec odruchowo cofnął się o krok. Przestraszyłem się, że to dopiero początek wizyty pana inspektora, ale Fumero niespodziewanie pokręcił głową i uśmiechając się pod nosem, opuścił nasze mieszkanie bez większych ceregieli. Lerma ruszył za nim. Trzeci policjant, mój odwieczny anioł stróż, zatrzymał się na progu. Spojrzał na mnie, jakby mi chciał coś powiedzieć.

– Palacios! – wrzasnął Fumero głosem zniekształconym przez echo klatki schodowej.

Palacios spuścił wzrok i zniknął za drzwiami. Wyszedłem za nim.

Przez mniej lub bardziej uchylone drzwi sąsiadów padały na schody snopy światła różnej szerokości, a zza drzwi wyglądały w półmrok wylęknione twarze. Ciemne sylwetki trzech policjantów znikwały w dole schodów, a wściekły stukot ich butów to wracał, to zanikał, jak fale trującego odpływu, zostawiając za sobą strach i czern.

Zbliżała się północ, gdy ponownie usłyszeliśmy uderzenia w drzwi, tym razem znacznie słabsze, bojaźliwe niemal. Ojciec, który przemywał mi wodą utlenioną skaleczenie, jakie zostawił na moim policzku rewolwer Fumera, zmarł. Nasze spojrzenia spotkały się. Rozległy się kolejne trzy uderzenia.

Przez chwilę myślałem, że to Fermín, który być może, schowany w jakimś ciemnym kącie klatki schodowej, był świadkiem całego incydentu.

– Kto tam? – zapytał ojciec.

– To ja, don Anacleto.

Ojciec odetchnął. Otworzyliśmy drzwi, za którymi stał profesor, blady jak śmierć.

– Co panu jest, don Anacleto? Dobrze się pan czuje? – zapytał ojciec, wpuszczając go do środka.

Profesor trzymał w wyciągniętych rękach gazetę. Patrząc na nas przerażonym wzrokiem, podał ją nam bez słowa. Papier był jeszcze ciepły, a farba świeża.

– Poranne wydanie – wymamrotał don Anacleto. – Strona szósta.

Najpierw zauważyłem dwie fotografie rozmieszczone po obu stronach tytułu. Pierwsza z nich przedstawiała Fermina, okrągłego nieco i o włosach bujniejszych, może piętnaście lub dwadzieścia lat młodszego. Na drugiej widniała twarz kobiety o zamkniętych oczach i cerze jak marmur. Z trudem ją rozpoznałem, i to dopiero po jakiejś chwili, bo przyzwyczajony byłem oglądać ją w półmroku.

WŁÓCZĘGA MORDUJE KOBIECĘ W BIAŁY DZIEŃ

Barcelona / na podstawie materiałów agencyjnych (Redakcja)

Policja poszukuje włóczęgi, który w godzinach popołudniowych zamordował Nurię Monfort Masdedeu, lat ponad czterdzieści, mieszkankę Barcelony.

Zbrodnia miała miejsce wczesnym popołudniem w osiedlu San Gervasio, gdzie ofiara została nieoczekiwanie napadnięta przez włóczęgę, który przypuszczalnie, jak wynika z materiałów Generalnej Dyrekcji Policji, śledził ją z niewyjaśnionych jak dotąd przyczyn.

Podjezranym o dokonanie zabójstwa jest Antonio Jose Gutiérrez Alcayete, lat pięćdziesiąt jeden, urodzony w Villa Inmunda, prowincja Cdceres, przestępca notowany w kronikach policyjnych i wieloletni pacjent zakładów psychiatrycznych, sześć lat temu zbiegły z zakładu karnego Modelo i od swej ucieczki ukrywający się pod przybranymi nazwiskami. W chwili dokonania zabójstwa odziany był w sutannę. Policja ostrzega, iż ów bardzo groźny przestępca jest uzbrojony. Jak dotąd nie wiadomo, czy ofiara i jej zabójca znali się i jaki jest motyw morderstwa, aczkolwiek źródła zbliżone do Generalnej Dyrekcji Policji wskazują, iż istnieją podstawy, by uznać za wielce prawdopodobną hipotezę o wcześniejszych związkach łączących kobietę i włóczęgę. Ofierze zadano sześć ran białą bronią, w brzuch, szyję i pierś. Świadcami napadu byli uczniowie pobliskiej szkoły, którzy natychmiast zaalarmowali swoich nauczycieli, ci zaś powiadomili policję i pogotowie. Według raportu policji rany otrzymane przez ofiarę były śmiertelne. Ciało zmarłej zostało przewiezione do Szpitala Klinicznego w Barcelonie o godzinie 18.15.

Przez cały dzień nie mieliśmy żadnej wiadomości od Fermina. Ojciec uznał, że należy otworzyć księgarnię, jak gdyby się nic nie stało, zachowując pozory, że życie toczy się normalnie, a my mamy jak najczystsze sumienia. Policja wystawiła dwóch tajniaków. Jeden stał przy naszej klatce, drugi obserwował plac Santa Ana, ukryty w portalu kościoła niczym umieszczony tam w ostatniej chwili święty. Widzieliśmy, jak w strugach padającego od świtu deszczu coraz bardziej trzęsą się z zimna, z ust wydobywają im się coraz bardziej przezroczyste opary i coraz głębiej chowają dłonie w kieszenie płaszczy. Co chwilę przechodził któryś z okolicznych mieszkańców, zerkał z ukosa na wystawę, żaden jednak nie odważył się do nas zajrzeć.

– Pewnie już się rozniosło – powiedziałem ojcu.

Ojciec jedynie skinął głową. Przez cały ranek słowem się do mnie nie odezwał, ograniczając się do porozumiewania za pomocą gestów. Strona z wiadomością o zamordowaniu Nurii Monfort leżała na kontuarze. Co dwadzieścia minut podchodził do kontuaru, sięgał po tę stronę i ponownie ją czytał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Przez calutki dzień, zamknięty w sobie, niczego nie okazując, gromadził w sobie wściekłość.

– Choćbyś przeczytał to sto i więcej razy, nigdy nie stanie się to prawdą – powiedziałem mu.

Ojciec uniósł wzrok i popatrzył na mnie groźnie.

– Znałeś tę osobę? Nurię Monfort?

– Rozmawiałem z nią parę razy – odparłem.

Twarz Nurii Monfort obecna była w każdej mojej myśli. Moja nieszczerłość miała smak mdłości. Jeszcze mnie prześladował zapach Nurii, dotyk jej ust, obraz biurka pedantycznie zadbanego i uporządkowanego i jej smutne i mądre spojrzenie. „Parę razy”.

– A musiałeś z nią rozmawiać? I w ogóle co ty do niej miałeś?

– Przyjaźniła się kiedyś z Julianem Caraksem. Odwiedziłem ją, bo chciałem, żeby opowiedziała mi o Caraxie. I to wszystko. Była córką Izaaka, strażnika. To on dał mi jej adres.

– Fermín ją znał?

– Nie.

– A skąd masz taką pewność?

– A ty jak możesz w niego wątpić i wierzyć w podobne oszczerstwa? Fermín wiedział o Nurii tylko to, co sam mu powiedziałem.

– I dlatego ją śledził?

– Tak jest.

– Bo go o to prosiłeś.

Nie odpowiedziałem. Ojciec westchnął.

– Nie rozumiesz tego, tato.

– Zgadza się, nie rozumiem. Nie rozumiem ani ciebie, ani Fermina, ani...

– Tato, ale przecież znamy Fermina i sam dobrze wiesz, że to, co tam piszą, jest w ogóle niemożliwe.

– Jak to znamy Fermina? Co my o nim wiemy? No co? Zaczniemy od tego, że nawet nie wiedzieliśmy, jak się naprawdę nazywa.

– Mylisz się co do jego osoby.

– Nie, Danielu. To ty się mylisz, i to w wielu sprawach. Kto ci się każe grzebać w cudzym życiu?

– Mogę rozmawiać, z kim mam ochotę.

– Domyślam się, że i konsekwencje ponosisz wtedy, kiedy masz na to ochotę.

– Sugerujesz, że jestem odpowiedzialny za śmierć tej kobiety?

– Ta kobieta, jak mówisz, miała imię i nazwisko, i znałeś ją. f

– Nie musisz mi tego wypominać – odparłem ze łzami w oczach.

Ojciec przyjrzał mi się ze smutkiem, kręcąc zarazem głową.

– Mój Boże, nawet nie śmiem pomyśleć, jak się w tej chwili czuje biedny Izaak – szepnął do siebie.

– Ja nie jestem winien jej śmierci – powiedziałem cicho, zastanawiając się, czy jeżeli zacznę powtarzać to sobie nie raz, i nie dwa, to wreszcie sam w to uwierzę.

Ojciec skierował się w stronę zaplecza, mrużąc pod nosem.

– Powinieneś, Danielu, sam wiedzieć najlepiej, za co jesteś, a za co nie jesteś odpowiedzialny. Czasem sam już nie wiem, kim jesteś.

Złapałem płaszcz i uciekłem na ulicę, i na deszcz, gdzie mnie nikt nie znał i nikt nie mógł czytać mi w duszy.

Zanurzyłem się w lodowaty deszcz, nie wiedząc, dokąd mam iść. Szedłem ze spuszczonego wzrokiem, wlokąc za sobą obraz Nurii Monfort, bez życia, rozciągniętej na zimnej marmurowej płycie, z ciałem okrytym ranami. Z każdym krokiem miasto wokół mnie zanikało. Przechodząc przez skrzyżowanie na ulicy Fontanella, nawet nie spojrzałem na światła. Kiedy poczułem na twarzy uderzenie wiatru, odwróciłem się ku ścianie metalu i światła zmierzającej ku mnie z ogromną prędkością. W ostatniej chwili jakiś znajdujący się za mną przechodzień pociągnął mnie do tyłu i ściągnął z drogi rozpędzonego autobusu. Przez kilka sekund migotała mi przed oczyma karoseria, kilka centymetrów od mojej twarzy, niechybna śmierć, defilująca ułamek sekundy przede mną. Kiedy uświadomiłem sobie, co się wydarzyło, przechodzień, który uratował mi życie, oddalał się już pasami przejścia dla pieszych, stając się dla mnie zaledwie sylwetką w szarym płaszczu. Stałem w miejscu jak wryty, nie mogąc złapać tchu. W omamach deszczu mogłem dostrzec, że mój wybawca zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i przygląda mi się w strugach wody. To był trzeci policjant, Palacios. Między nas wślizgnęła się fala pojazdów, a gdy po chwili znów rzuciłem okiem w tę stronę, agenta Palaciososa już nie było.

Skierowałem się w stronę domu Bei, bo nie byłem już w stanie dłużej czekać. Musiałem przypomnieć sobie odrobinę tego, co we mnie było dobre i co dostałem właśnie od Bei. Wbiegłem ile sił po schodach i stanąłem przy drzwiach Aguilarów, nie mogąc prawie złapać tchu. Chwyciłem za kołatkę i mocno uderzyłem nią trzykrotnie w drzwi. Czekaając na ich otwarcie, nabierałem odwagi, a zarazem zaczynałem uświadamiać sobie swój stan: przemoknięty do suchej nitki. Odgarnąłem włosy z czoła i sam sobie wytłumaczyłem, że to musi wystarczyć. Jeśli w drzwiach pojawi się pan Aguilar, gotów połamać mi kości i zbić po mordzie, to dobrze, im szybciej, tym lepiej. Znowu zakołatałem i po chwili usłyszałem zbliżające się kroki.

Blaszka judasza nieco się uchyliła. Ciemne i czujne oko zaczęło mi się przyglądać.

– Kto tam?

Poznałem głos Cecylii, jednej z służących u rodziny Aguilarów.

– To ja, Cecylio, Daniel Sempere.

Badawcze oko zniknęło z wizjera judasza i po paru sekundach zaczął się koncert na zasuwę, zapadki i klucze broniące dostępu do mieszkania. Drzwi uchyliły się powoli, w drzwiach zaś przyjęła mnie Cecylia, w czepku, fartuszkach i z palącą się w lichtarzu świecą. Z jej mocno wystraszonego wyrazu twarzy wniosłem, że swoim wyglądem przywodzę jej na myśl żywego trupa.

– Dobry wieczór, Cecylio. Bea jest w domu?

Patrzyła na mnie, ale nie rozumiała. W dotychczasowym protokole postępowania w tym domu moja obecność, choć w ostatnich czasach raczej rzadka, kojarzona była wyłącznie z Tomaszem, dawnym kolegą szkolnym.

– Panienci Beatriz nie ma...

– Wyszła?

Cecylia, która teraz była jednym wielkim przerażeniem przywiązany do fartuszka, skinęła głową.

– A wiesz, kiedy wróci?

Wzruszyła ramionami.

– Poszła z państwem do lekarza ze dwie godziny temu.

– Do lekarza? Jest chora?

– Nie wiem, proszę panicza.

– A do jakiego doktora poszli?

– Ja nie wiem, proszę panicza.

Nie chciałem dalej męczyć biednej służącej. Nieobecność rodziców Bei otwierała przede mną inne możliwości dotarcia do prawdy.

– A Tomás jest?

– Tak, paniczu. Proszę wejść, pójdę zaanonsować panicza.

Wszedłem do westybuli i tam zaczekałem. Kiedy indziej, dawniej, udałbym się od razu do pokoju przyjaciela, ale już tak dawno nie zachodziłem do tego domu, że znów czułem się tu jak obcy. Cecylia zniknęła w głębi korytarza, otoczona świetlistą aureolą, zostawiając mnie na pastwę ciemności. Odniosłem wrażenie, że w dali słyszę głos

Tomasa, a następnie odgłos zbliżających się kroków. Zacząłem obmyślać jakąś wymówkę, która w oczach przyjaciela usprawiedliwiłaby moje nagłe najście. Zarysowująca się na progu westybulu postać należała jednak do służącej. Cecylia skierowała ku mnie spojrzenie pełne skruchy, od moich ust zaś odkleił się przylepiony zawczasu uśmiech.

– Panicz Tomás przekazał mi, że jest bardzo zajęty i nie może panicza teraz przyjąć.

– Ale powtórzyłaś mu, kto przyszedł? Daniel Sempere.

– Tak, paniczu. Powiedział mi, żeby pan sobie poszedł.

W żołądku poczułem bryłę lodu, od której odebrało mi dech.

– Przykro mi, paniczu – powiedziała Cecylia.

Skinąłem głową, nie wiedząc, co mam powiedzieć. Dziewczyna otworzyła drzwi mieszkania, które jeszcze nie tak dawno temu uważałem za swój drugi dom.

– Może panicz potrzebuje parasola?

– Nie, dziękuję, Cecylio.

– Strasznie mi przykro, paniczu Danielu – powtórzyła dziewczyna.

Uśmiechnąłem się albo wydawało mi się, że się uśmiechnąłem.

– Nie przejmuj się, Cecylio.

Drzwi zamknęły się za mną, wypychając mnie w cień. Stałem przed nimi jakiś czas, a następnie powlokłem się schodami w dół. Deszcz ciągle i nieubłaganie padał. Ruszyłem w dół ulicy, dotarłszy do skrzyżowania, zatrzymałem się i obejrzałem. Spojrzałem w górę, ku oknom mieszkania Aguilarów. W oknie odcinała się sylwetka Tomasa mojego niegdyś przyjaciela. Spoglądał na mnie nieruchomo. Pomachałem mu ręką. Nie odpowiedział. Po paru sekundach odszedł w głąb pokoju. Stałem na ulicy z pięć minut, łudząc się, że jeszcze raz podejdzie do okna, ale bez skutku. Deszcz wycisnął mi łzy. Odszedłem w deszczu i łzach.

W drodze powrotnej do księgarni przeszedłem na drugą stronę przy kinie Capitol, gdzie dwóch malarzy stojących na rusztowaniach z niedowierzaniem przyglądało się, jak świeżo wymalowany plakat rozplywa się w ulewie. Już z daleka dawało się dostrzec stoicki posąg kolejnego tajniaka, pełniącego wartę przed księgarnią. Gdy doszedłem do sklepiku don Federica Flaviá zauważyłem, że zegarmistrz wyszedł na próg i przygląda się ulewie. Na jego twarzy wciąż dostrzec można było blizny po ostatniej wizycie w komisariacie. Miał na sobie nieskazitelny garnitur z szarej wełny, w dłoniach trzymał papierosa, którego nie spieszył się zapalić. Przesłałem mu ręką pozdrowienie, odwzajemnił je uśmiechem.

– Czy masz coś przeciwko parasolom, Danielu?

– A czy jest coś piękniejszego od deszczu, don Federico?

– Jest, zapalenie płuc. No, chodź, wejdź do środka, to twoje cudo już jest naprawione.

Spojrzałem nań, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Don Federico z kolei spoglądał na mnie badawczo z nieodmiennym przez cały czas uśmiechem. Przytaknąłem jedynie i wszedłem za nim do bazaru tysiąca cudów. Ledwo znaleźliśmy się wewnątrz, podał mi małą papierową torbę.

– No, zmykaj już, bo ten strach na wróble sprzed księgarni oka z nas nie spuszczał.

Zerknąłem do torby. W środku była książeczka oprawna w skórę. Książeczka do nabożeństwa. Książeczka do nabożeństwa, którą Fermín miał w rękach, kiedy widziałem go ostatni raz. Don Federico, popychając mnie w stronę wyjścia, przysłonił mi usta dłonią w geście potwierdzenia i poważnego ostrzeżenia zarazem. Gdy ponownie znaleźliśmy się na ulicy, odzyskał pogodny wyraz twarzy i pożegnał się donośniejszym nieco głosem.

– I żebyś nie forsował kluczyka przy nakręcaniu, bo znowu pęknie

sprężyna. Będiesz pamiętał?

– Będę uważał, don Federico, dziękuję bardzo.

Oddaliłem się, czując w żołądku gulę rosnącą w miarę zbliżania się do tajniaka pilnującego księgarni. Zbliżywszy się doń, pozdrowiłem go tą samą ręką, w której trzymałem torebkę od don Federica. Policjant nie okazał najmniejszego zainteresowania nią. Wszedłem do księgarni. Ojciec stał za kontuarem, jakby od mojego wyjścia w ogóle się stamtąd nie ruszył. Spojrzał na mnie zakłopotany.

– Słuchaj, Danielu, jeśli chodzi o to przedtem...

– Daj spokój. Miałeś rację.

– Trzęsiesz się cały...

Nie zdążyłem nawet przytaknąć, bo natychmiast poszedł po termos. Skorzystałem z tego, żeby zamknąć się w małej toalecie na zapleczu księgarni i sprawdzić książeczkę do nabożeństwa. Trzepocąc jak motyl, uleciała z niej karteczka od Fermina. Złapałem ją w locie. List napisany został na przezroczystej niemal bibułce do skręcania papierosów, drobniutkim maczkiem, który dawało się odczytać, wyłącznie po rozciągnięciu liściku pod światło.

Danielu, przyjacielu!

Proszę nie wierzyć w ani jedno słowo z gazet o morderstwie Nurii Monfort. Jak zawsze jest to zwykle kłamstwo i jawne oszczerstwo. Ja jestem zdrow, nic mi nie grozi, ukrywam się w bezpiecznym miejscu. Proszę mnie nie szukać i nie wysyłać listów. Ten list po przeczytaniu należy zniszczyć. Nie musi pan go połykać, wystarczy go spalić albo podrzeć. Nawiążę z panem kontakt, odwołując się do właściwego mi sprytu i życzliwości osób trzecich. Błagam o przekazanie ekstraktu niniejszego listu, z zachowaniem daleko idącej dyskrecji i z użyciem szyfru, mej ukochanej. Proszę nic nie robić. Pański przyjaciel, trzeci człowiek.

FRdT

Zacząłem od nowa czytać liścik, kiedy ktoś nagle mocno zapukał do drzwi ubikacji.

– Można? – rozległ się nieznajomy głos.

Serce skoczyło mi do gardła. Nie mając pojęcia, co w tej sytuacji

robić, zgmiotłem zapisaną bibułkę i włożyłem do ust. Pociągnąłem za łańcuszek i wykorzystałem huk spuszczonej wody, by szybko przełknąć papierową kuleczkę. Miała smak wosku i sugusa. Otworzywszy drzwi, natknąłem się na gadzi uśmiech tajniaka, który przed chwilą jeszcze stał jak słup przed księgarnią.

– Proszę wybaczyć. Ja nie wiem, czy to przez słuchanie przez cały dzień tego deszczu, ale zaraz się zsikam, żeby nie rzec, że się...

– Ależ jeszcze tego by brakowało – odparłem, przepuszczając go. – Proszę śmiało korzystać.

– Bardzo panu dziękuję.

Tajniak, który w świetle żarówki zdał mi się małą łasicą, zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół. Jego spojrzenie, obmierzłe jak kanał ściekowy, spoczęło na książce do nabożeństwa w moich rękach.

– Wie pan, ja bez czytania ani rusz – wyjaśniłem.

– Ze mną jest tak samo. A później gadają, że Hiszpan nie czyta. Może mi pan pożyczyć?

– Na rezerwuarze leży książka ostatniego laureata Nagrody Krytyki – uciałem. – Lektura obowiązkowa.

Oddaliłem się jak gdyby nigdy nic i dołączyłem do ojca, który przygotowywał mi kawę z mlekiem.

– A ten co? – zapytałem.

– Zarzekał się, że się zaraz zesra. Co miałem robić?

– Zostawić go na dworze, to by się zaraz dogrzał.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę już na górę.

– Ależ skądże. I szybko zmień ubranie, bo jeszcze złapiesz zapalenie płuc.

W mieszkaniu było zimno i cicho. Udałem się do mojego pokoju i zerknąłem przez okno. Drugi tajniak wciąż stał na dole, przy portalu kościoła Santa Ana. Zdjąłem z siebie przemoczone ubranie i włożyłem grubą pidżamę, a na nią jeszcze szlafrok, należący kiedyś do mojego dziadka. Wyciągnąłem się na łóżku i nie zadając sobie trudu zapalenia lampy, poddałem się półmrokowi i dzwonieniu deszczu o szyby. Zamknąłem oczy i spróbowałem przywołać obraz, dotyk i zapach Bei. Ostatniej nocy nie zmrużyłem oka, więc zmęczenie szybko mnie zmogło. W snach zakapturzona sylwetka mgielnej Parki unosiła się

nad Barceloną, cień – widmo przesuujące się nad wieżami i dachami, trzymające na czarnych niteczkach setki białych trumienek, które zostawiały za sobą smugę czarnych kwiatów, z zapisanym na płatkach krwią imieniem Nurii Monfort.

Obudziłem się tuż przed świtem, porą okien pokrytych wilgocią i szarością. Ubrałem się ciepło, przewidując ziąb, i włożyłem wysokie buty. Otworzyłem drzwi cichutko na korytarz i przeszedłem przez mieszkanie niemal po omacku, aby wydostać się na ulicę. Już z daleka dostrzec można było światła kiosków na Ramblach. Skierowałem się ku temu, który żeglował na wysokości przesmyka ulicy Tallers, i kupiłem poranne wydanie, odurzające jeszcze zapachem świeżej farby drukarskiej. Zacząłem nerwowo przerzucać strony, by jak najszybciej dotrzeć do działu z nekrologami. Pod sztabowym, drukarskim krzyżem widniało imię i nazwisko Nurii Monfort. Świat zaczął mi drżeć w oczach. Wsunąwszy pod pachę złożoną gazetę, szybko odszedłem, szukając ciemności. Pogrzeb miał odbyć się tego dnia o czwartej po południu, na cmentarzu Montjuïc . Wróciłem do domu opłotkami. Ojciec jeszcze spał. Udałem się do swego pokoju. Usiadłem przy biurku i wyjąłem moje pióro Meisterstück z etui. Wziąłem kartkę papieru z nadzieją, że pióro samo mnie poprowadzi. W moich rękach nie miało nic do powiedzenia. Nadaremnie zaklinałem słowa, które chciałem zaofiarować Nurii Monfort, ale nie udawało mi się nic napisać i niezdolny byłem poczuć cokolwiek poza tym niewytłumaczalnym przerażeniem, jakie mnie ogarniało, gdy docierała do mnie myśl, że już jej nie ma, że straciłem ją, że bestialsko wyrwano ją z życia. Wiedziałem jednak, że kiedyś wróci do mnie, za kilka miesięcy lub lat, i że na zawsze zachowam wspomnienie o niej w dotyku nieznanego, w obrazach, które nie mnie przynależą, nie wiedząc, czy godny byłem tego wszystkiego. Odchodzisz w cieniu, pomyślałem. Tak, jak żyłaś.

Tuż przed trzecią wsiadłem na bulwarze Kolumba do autobusu jadącego na cmentarz Montjuïc. Przez szybę widać było las masztów i flag trzepocących w basenie portowym. Niemal pusty autobus objechał wzgórze Montjuïc, by następnie skrócić w drogę wspinającą się ku wschodniej bramie wielkiego cmentarza Barcelony. Byłem jedynym pasażerem.

– O której godzinie odjeżdża ostatni autobus? – zapytałem kierowcę, wychodząc.

– O wpół do piątej.

Kierowca zostawił mnie tuż przy bramie. Aleja cyprysów we mgle prowadziła w głąb cmentarza. Nawet stąd, u stóp wzgórza, dostrzec można było bezkresne miasto zmarłych, wspinające się zboczem na sam szczyt i przechodzące na drugą stronę. Bulwary grobów przecinały się z alejami pomników, od których odchodziły zaułki mauzoleów, a za wieżami zwieńczonymi ognistymi aniołami wyrastały lasy nagrobków. Miasto umarłych było ogromnym grobem pałaców, ossarium monumentalnych mauzoleów, na których straży stały oddziały grzęznących w błocie posągów z rozpadającego się kamienia. Głęboko odetchnąłem i zagłębiłem się w labirynt. Moja matka była pochowana kilkaset metrów od tej ścieżki, obudowanej niekończącymi się korytarzami śmierci i rozpacz. Z każdym stawianym krokiem mogłem poczuć chłód, pustkę i gniew tego miejsca, trwogę, o jaką przyprawiała panująca wokół cisza i twarze schwyte w stare portrety, pozostawione samym sobie w towarzystwie świec i zwiędłych kwiatów. Po jakimś czasie dojrzałem palące się w oddali gazowe latarnie wokół wykopanego dołu. Przyspieszyłem kroku i zatrzymałem się w miejscu, do którego docierały słowa księdza.

Trumna, skrzynia z surowych sosnowych desek, spoczywała w błocie. Dwóch grabarzy stało nad nią, opierając się na łopatach.

Przyjrzałem się obecnym. Stary Izaak, strażnik Cmentarza Zapomnianych Książek, nie przyszedł na pogrzeb swej córki. Poznałem sąsiadkę z naprzeciwka, która szlochała, potrząsając głową, podczas gdy jakiś mężczyzna, wyglądający na całkiem przybitego, pocieszał ją, gładząc po plecach. Pewnie jej mąż. Przy nich stała czterdziestoletnia mniej więcej kobieta ubrana na szaro, z bukietem kwiatów. Płakała w milczeniu, omijając wzrokiem dół i zaciskając wargi. Nigdy przedtem jej nie widziałem. Na uboczu, zakutany w ciemny płaszcz i chowając kapelusz za siebie, stał policjant, który wczoraj uratował mi życie. Palacios. Podniósł wzrok i zaczął mi się przyglądać, przez wiele sekund nie mrugnawszy ani razu. Jedyne ślepe, pozbawione sensu słowa księdza, oddzielały nas od strasznej ciszy. Spojrzałem na trumnę, popaćkaną grudkami gliny. Wyobrazałem sobie leżącą w niej Nurię, nieświadom, że płacze, dopóki nie podeszła do mnie szara nieznajoma i nie ofiarowała mi kwiatu ze swego bukietu. Zebrani po chwili odeszli, a grabarze, na znak księdza, zakończyli swą pracę w świetle lamp, ale ja wciąż stałem przy grobie. Schowałem kwiat do kieszeni palta i w końcu odszedłem, niezdolny wypowiedzieć ani jednego słowa pożegnania, z jakim tu przyszedłem.

Zaczynało zmierzchać, kiedy dotarłem do cmentarnej bramy, pewny, że przepuściłem ostatni autobus. Nie zastanawiając się, ruszyłem w cieniu cmentarza drogą wzdłuż portu, z powrotem do miasta. Dwadzieścia metrów od bramy stał czarny samochód z włączonymi światłami. Siedząca w nim osoba paliła papierosa. Gdy się zbliżyłem, Palacios otworzył mi drzwiczki od strony pasażera i dał znak, żebym zajął miejsce.

– Wsiadaj, podrzucę cię do domu. O tej porze nie złapiesz tu żadnego autobusu ani taksówki.

Wahałem się.

– Wolę iść na piechotę.

– Nie gadaj głupstw. Wsiadaj.

Mówił kategorycznym tonem osoby przywykłej do rozkazywania i natychmiastowego egzekwowania swoich poleceń.

– Proszę – dodał.

Wsiadłem do samochodu, policjant zaś włączył silnik.

– Enrique Palacios – przedstawił się, wyciągając do mnie rękę.
Ja swojej nie wyciągnąłem.

– Wystarczy, że mnie pan podrzuci do Kolumba.

Samochód ruszył z piskiem opon. Wyjechaliśmy na jakąś drogę i przez dłuższy czas milczeliśmy.

– Chcę, byś wiedział, że bardzo mi przykro z powodu pani Monfort.

W jego ustach słowa te zabrzmiały dla mnie jak plugastwo, zniewaga.

– Wdzięczny jestem panu za uratowanie mi wczoraj życia, ale muszę powiedzieć, że gówno mnie obchodzi, co pan, panie Enrique Palacios, czuje.

– Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz, Danielu. Chciałbym ci pomóc.

– Jeśli spodziewa się pan, że powiem, gdzie jest Fermín, to może mnie już pan wysadzić...

– Nie obchodzi mnie, gdzie przebywa twój przyjaciel. Nie jestem na służbie.

Nic nie odparłem.

– Nie ufasz mi i nie mam o to pretensji. Ale przynajmniej mnie wysłuchaj. To już zaszło za daleko. Ta kobieta nie musiała umrzeć. A ja chcę cię tylko prosić, żebyś dał spokój tej sprawie i raz na zawsze zapomniiał o tym człowieku, o Caraksie.

– Gada pan tak, jakbym miał jakiś wpływ na to, co się dzieje. A ja jestem tu tylko widzem. Bo przedstawienie urządzacie sobie panowie sami. Ze swoim szefem, oczywiście.

– Danielu, mam już dość pogrzebów. I wcale nie chcę uczestniczyć w twoim.

– To się świetnie składa, bo nikt nie zamierza pana zapraszać.

– Wcale nie żartuję.

– I ja nie żartuję. Proszę się zatrzymać, wysiadam.

– Za dwie minuty będziemy przy Kolumbie.

– No i co z tego? Ten samochód czuć trupem, tak jak i pana. Proszę dać mi wysiąść.

Palacios zwolnił i zatrzymał się na poboczu. Wyszedłem z samochodu i trzasnąłem drzwiczkami, unikając jego wzroku. Stałem,

czekając, aż odjedzie, ale nie odjeżdżał. Odwróciłem się i zobaczyłem, że opuszcza szybę. Odniosłem wrażenie, że odczytuję w jego twarzy szczerą, nawet ból, ale nie chciałem dać temu wiary.

– Nuria Monfort umarła na moich rękach, Danielu – powiedział. – Wydaje mi się, że jej ostatnie słowa były skierowane do ciebie.

– Co powiedziała? – spytałem drętym od zimna głosem. – Mówiła o mnie?

– Majaczyła, ale wydaje mi się, że ciebie miała na myśli. W pewnej chwili powiedziała, że są więzienia gorsze od słów. A później, tuż przed śmiercią, poprosiła mnie, żebym ci powiedział, byś pozwolił jej odejść.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

– Bym pozwolił odejść? Komu?

– Jakiejś Penélope. Pomyślałem, że chodzi pewnie o twoją dziewczynę.

Palacios spuścił wzrok i odjechał ze zmierzchem. Stałem, patrząc na światła samochodu niknące w błękitno – szkarłatnym mroku, całkowicie zbity z tropu. Po chwili skierowałem się ku bulwarowi Kolumba, powtarzając ostatnie i niezrozumiałe dla mnie słowa Nurii Monfort. Dotarwszy na plac Portal de la Paz, zatrzymałem się, by popatrzeć na nabrzeża i przystań łodzi spacerowych. Usiadłem na stopniach schodzących ku mętnym wodom i w nich zanikających. W tym samym miejscu, w noc odchodzącą już w niepamięć, zobaczyłem po raz pierwszy Laina Couberta, człowieka bez twarzy.

– Są więzienia gorsze od słów – wyszeptałem.

I dopiero wtedy zrozumiałem, że to nie ja byłem adresatem przesłania Nurii Monfort. To nie ja miałem pozwolić odejść Penélope. Ostatnie słowa Nurii nie były skierowane do całkiem obcego człowieka, ale do kogoś, kogo skrycie kochała przez dwadzieścia lat: do Juliana Caraxa.

Dotarłem na plac San Felipe Neri już po zmroku. Ławka, na której dostrzegłem po raz pierwszy Nurię Monfort, kulila się u stóp latarni, pusta i wytatuowana przez ostrza scyzoryków w imiona zakochanych, plugastwa i przysięgi. Uniosłem wzrok ku oknom mieszkania Nurii Monfort na trzecim piętrze i dostrzegłem drżącą, miedzianą poświatę. Świeczka.

Rzuciłem się w jaskinię ciemnej bramy i zacząłem po omacku pokonywać schody. Ręce mi drżały, kiedy dotarłem na trzecie piętro. Spod lekko uchylonych drzwi wypełzał płat czerwonego światła. Zatrzymałem się przy nich i trzymając rękę na klamce, nadstawiłem ucha. Wydawało mi się, że z wewnątrz dochodzi mnie jakiś szept i urywany oddech. Przez chwilę uległem wrażeniu, że jeśli pchnę drzwi, zastanę za nimi czekającą na mnie Nurię, siedzącą z podwiniętymi nogami i palącą papierosa przy balkonie, opartą o ścianę, w tym miejscu, w którym ją zostawiłem. Delikatnie, pełen obaw, że przychodzę nie w porę, pchnąłem drzwi i wszedłem do mieszkania. W pokoju falowały balkonowe zasłony. Siedząca nieruchomo przy oknie postać trzymała w dłoniach świecę, której blask co jakiś czas wydobywał twarz z ciemności. Błyszcząca niczym kropla świeżej żywicy, potoczyła się po tej twarzy perełka jasności, spadając na kolana. Izaak Monfort odwrócił się ku mnie z twarzą poraną łzami.

– Nie widziałem pana na pogrzebie – odezwałem się.

Pokreślił głową w milczeniu i zaczął wycierać łzy wewnętrzną stroną kłapy marynarki.

– Nurii tam nie było – wyszeptał po chwili. – Zmarli nigdy nie pojawiają się na własnych pogrzebach.

Rozejrzał się wokół, jakby tym samym chciał mi pokazać, że córka jego jest w tym pokoju, siedzi tuż przy nas w półmroku i przysłuchuje się nam.

– A wie pan, że nigdy nie byłem w tym domu? – zapytał. – Jeśli

dochodziło już do spotkań, Nuria zawsze przychodziła do mnie. „Tak jest łatwiej dla ojca – mówiła. – Po co ma ojciec wchodzić po tyłu schodach?”. A ja zawsze powtarzałem: „Bez zaproszenia nie będę się do ciebie wybierał”, a ona odpowiadała: „Przecież ojciec nie potrzebuje mojego zaproszenia, to obcych się zaprasza. Może ojciec przyjść, kiedy tylko najdzie ojca ochota”. Przez piętnaście lat z okładem ani razu jej nie odwiedziłem. Powtarzałem jej wciąż, że wybrała sobie złą dzielnicę. Za mało światła. Stary dom. A ona tylko potakiwała. Tak samo, gdy jej mówiłem, że wybrała złe życie. Bez przyszłości. Mąż bez zawodu ni dochodu. Zadziwiająco, jak osądzamy bliskich, nie zdając sobie sprawy z podłości naszego lekceważenia, dopóki ich nam nie zabraknie, dopóki nie zabiorą ich nam. Zabierają, bo nigdy do nas nie należeli...

Głos Izaaka, ogołocoony z ironii, bliski był załamania, tracił swój dotychczasowy wigor i stawał się coraz bardziej głosem starca.

– Nuria bardzo pana kochała. Proszę mi wierzyć. Wiem również, że i ona czuła się kochana przez pana – zacząłem mówić pospiesznie.

Stary Izaak ponownie pokręcił głową. Uśmiechał się, ale łzy leciały mu ciurkiem, cichutko.

– Może i mnie kochała, po swojemu, tak jak i ja kochałem, po mojemu. Ale nie znaliśmy się. Może dlatego, że nigdy nie pozwoliłem jej dać się poznać ani nie zrobiłem żadnego ruchu, żeby poznać ją... Przeszliśmy przez życie jak dwoje całkiem obcych sobie ludzi, widujących się codziennie i wymieniających grzecznościowe ukłony i pozdrowienia. Sądzę nawet, że pewnie umarła, nie wybaczywszy mi.

– Zapewniam pana, że...

– Danielu, jest pan młody i bardzo się pan stara, ale choć jestem pijany i nawet nie wiem, co właściwie wygaduję, nie nauczył się pan jeszcze kłamać na tyle dobrze, by oszukać starego człowieka o sercu przegniłym °d zgryzot i nieszczęść.

Uciekłem wzrokiem.

– Policja twierdzi, że człowiek, który ją zabił to pański przyjaciel – zmienił nagle temat.

– Policja kłamie.

Izaak kiwnął głową.

– Wiem.

– Zapewniam pana.

– Nie trzeba, Danielu. Wiem, że mówi pan prawdę – powiedział Izaak, wyciągając z kieszeni palta kopertę.

– Wieczorem, zanim została zamordowana, była u mnie, tak jak zwykła u mnie bywać lata temu. Pamiętam, że zazwyczaj szliśmy wtedy coś zjeść do tej samej kawiarni na ulicy Guardia, do której prowadziłem ją, gdy była małą dziewczynką. Zawsze rozmawialiśmy o książkach, o starych książkach. Czasem opowiadała mi coś o swojej pracy, nic szczególnego, drobiazgi, jakie opowiada się nieznanemu w autobusie... Kiedyś powiedziała mi, że jest jej przykro, iż tak bardzo zawiodła moje oczekiwania. Spytałem, skąd wystraszyła tak absurdalny wymysł. „Z ojca oczu, proszę ojca, z ojca oczu”, odparła. Ani razu nie powstała mi w głowie myśl, że być może ja sprawiłem jej jeszcze większy zawód. Czasami wydaje nam się, że ludzie są loteryjnymi losami: że znajdują się obok nas, by urzeczywistnić nasze absurdalne nadzieje.

– Z całym szacunkiem, ale spił się pan jak bela i nawet nie wie pan, co mówi.

– Wino przeistacza mędrca w głupca, a głupca w mędrca. Swoje wiem, a to wystarcza mi, by pojąć, że moja własna córka nigdy mi nie ufała. Bardziej ufała panu, a przecież widziała pana raptem kilka razy.

– Zapewniam pana, że jest pan w błędzie.

– Na nasze ostatnie spotkanie przyniosła mi tę kopertę. Była bardzo niespokojna, czymś zatroskana, ale nie chciała nic powiedzieć. Poprosiła mnie tylko, abym przechował tę kopertę, którą, gdyby coś się stało, mam oddać panu.

– Gdyby coś się stało?

– Tak słowo w słowo powiedziała. Sprawiała wrażenie tak bardzo wzburzonej, że zaproponowałem jej, byśmy udali się na policję, i zapewniłem, że niezależnie od tego, jaki ma problem, na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie. Wówczas odpowiedziała mi, że policja to ostatnie miejsce, w które powinna się udać. Nalegałem, by wyznała mi, co się dzieje, ale odrzekła, że musi już iść, i kazała przyrzec, że przekażę panu tę kopertę, jeśli nie wróci po nią za kilka dni. Prosiła mnie również, żebym jej nie otwierał.

Izaak wyciągnął kopertę. Była otwarta.

– Skłamałem jej, jak zwykle – powiedział.

Przejrzałem kopertę. Zawierała plik ręcznie zapisanych kartek.

– Przeczytał je pan? – zapytałem.

Staruszek przytaknął powoli.

– I co w nich jest?

Wyprostował się. Drżały mu wargi. Sprawiał wrażenie, jakby od naszego ostatniego spotkania postarzał się o sto lat.

– To jest historia, której pan szukał, panie Danielu. Historia kobiety, której nigdy nie poznałem, choć płynęła w niej moja krew i nosiła moje nazwisko. Teraz to należy do pana.

Schowałem kopertę do kieszeni palta.

– Chciałbym jeszcze, jeśli można prosić, zostać tu sam, z nią, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Przed chwilą, kiedy czytałem te strony, wydawało mi się, że ją odnajduję. Choćbym starał się nie wiem jak, potrafię ją wspominać jedynie jako małą dziewczynkę. Wie pan, że była bardzo cichutkim dzieckiem. Wszystkiemu się przyglądała w zamyśleniu i nigdy się nie śmiała. Najbardziej lubiła bajki. Nieustannie prosiła mnie, żebym jej czytał. Śmiem twierdzić, że nie ma dziecka, które nauczyłoby się wcześniej od niej czytać. Mówiła, że chce zostać pisarką i redagować encyklopedie i traktaty historyczne i filozoficzne. Jej matka mówiła, że to wszystko przeze mnie, bo Nuria mnie uwielbia, a przekonana, że tata kocha jedynie książki, chce pisać książki, żeby tata ją też kochał.

– Moim zdaniem, to nie najlepszy pomysł, żeby zostawał pan tu sam na noc. Może jednak pójdziemy razem? Prześpi się pan u nas, dotrzyma towarzystwa mojemu ojcu.

Izaak ponownie pokręcił przecząco głową.

– Mam co robić, Danielu. Niech pan wraca do domu i siądzie do przeczytania tych stron. Należą do pana.

Spojrzał gdzieś przed siebie, ja skierowałem się ku drzwiom. Byłem już w progu, kiedy głos Izaaka, szept niemal, przywołał mnie.

– Danielu?

– Tak?

– Niech pan uważa na siebie.

Znalazłszy się na ulicy, uległem wrażeniu, że mrok pełnie chodnikiem, deptając mi po piętach. Przyspieszyłem kroku i nie

zwolniłem, dopóki nie dotarłem do mieszkania na Santa Ana. Gdy wszedłem do domu, zastałem ojca zaszytego w swoim fotelu z otwartą na kolanach książką. Był to album fotografii. Ujrawszy mnie, szybko wstał z wyrazem ulgi na twarzy, jakby mu kamień spadł z serca.

– Już się martwiłem – powiedział. – Jak pogrzeb?

Wzruszyłem ramionami, na co ojciec pokiwał głową, uznając temat za wyczerpany.

– Przyszykowałem ci coś niecoś na kolację. Mogę ci to odgrzać, jeśli masz ochotę...

– Nie, dziękuję, nie jestem głodny. Coś tam wrzuciłem na ząb.

Spojrzał mi w oczy i znów skinął głową. Odwrócił się i zaczął zbierać poustawiane na stole talerze. Właśnie wtedy, nie bardzo wiedząc dlaczego, podszedłem i objąłem go. Poczułem, że ojciec, zaskoczony, też mnie objął.

– Danielu, wszystko w porządku?

Uścisnąłem ojca z całych sił.

– Kocham cię – szepnąłem.

Zaczęły bić dzwony katedry, kiedy sięgnąłem po rękopis Nuri Monfort. Jej drobniutkie, równe pismo przypomniało mi porządek na jej biurku, tak jakby w słowach chciała znaleźć spokój i poczucie bezpieczeństwa, którymi życie nie chciało jej obdarzyć.

**Nuria Monfort: Zapiski zjaw
1933 – 1955**

Nic i nikt nie dostaje już drugiej szansy, chyba żeby poczuć wyrzuty sumienia. Juliana Caraxa poznałam jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. Pracowałam wtedy dla wydawcy Josepa Cabestany'ego. Pan Cabestany odkrył go w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym, podczas jednego ze swych częstych wyjazdów do Paryża, w celu „rozpoznania edytorskiego”. Julián zarabiał na życie, grając wieczorami na pianinie w domu schadzek, a nocami pisał. Właścicielka lokalu, niejaka Irène Marceau, знаła większość wydawców i dzięki jej wstawiennictwu, przysługom lub groźbom popełnienia drobnych niedyskrecji Julián Carax zdołał opublikować kilka powieści w różnych wydawnictwach, ale z opłakanym rezultatem. Cabestany nabył, za śmieszłą kwotę, prawa wyłącznego publikowania książek Caraxa w Hiszpanii i w Ameryce Południowej, obejmujące również autorski przekład na język hiszpański z oryginałów pisanych po francusku. Wierzył, że uda mu się sprzedać po trzy tysiące egzemplarzy każdego z tytułów, ale dwie pierwsze książki, które wydał w Hiszpanii, okazały się kompletną klapą: z trudem sprzedano po sto, mniej więcej, egzemplarzy każdej. Pomimo złych wyników co dwa lata otrzymywaliśmy od Juliana nowy manuskrypt, akceptowany bez zastrzeżeń przez Cabestany'ego, odwołującego się do niepisanej umowy z autorem, iż nie wszystko przynosi zyski i należy promować dobrą literaturę.

Zaintrygowana tym, zapytałam wreszcie wydawcę, dlaczego miast tracić pieniądze, nie zrezygnuje z wydawania powieści Juliana Caraxa. Cabestany bez słowa podszedł do regału, wziął egzemplarz jednej z powieści Juliana Caraxa i wręczając mi go, zaprosił do lektury. Tak też zrobiłam. Nie minęły dwa tygodnie, a ja przeczytałam już wszystkie. Tym razem zapytałam, jak to możliwe, że sprzedajemy tak nikłą liczbę egzemplarzy tych powieści.

– Nie wiem – odpowiedział pan Cabestany. – Ale będziemy nadal

próbować.

Odebrałam to jako gest szlachetny i wspaniałomyślny, choć niepasujący do dotychczasowej opinii sknery, jaką zdążyłam sobie o panu Cabestany wyrobić. Być może źle go oceniłam. Osoba Juliana Caraxa intrygowała mnie coraz bardziej. Wszystko, co z nim związane, otoczone było tajemnicą. Przynajmniej raz lub dwa razy w miesiącu ktoś dzwonił do wydawnictwa, pytając o adres Juliana Caraxa. Dość szybko stwierdziłam, że jest to wciąż ta sama osoba, przedstawiająca się różnymi nazwiskami. Ograniczałam się jedynie do przekazywania tej samej informacji, która widniała na okładce wszystkich jego książek, że Julián Carax mieszka w Paryżu. Z czasem ów mężczyzna przestał dzwonić. Ze swej strony, na wszelki jednak wypadek, usunęłam adres Caraxa z archiwum wydawnictwa. Byłam jedyną osobą, która do niego pisała, więc adres znałam na pamięć.

Parę miesięcy później natknęłam się przypadkowo na dokumenty przesyłane panu Cabestany'emu do zaksięgowania przez drukarnię. Rzuciwszy na nie okiem, spostrzegłam, że koszty publikowania książek Juliana Caraxa pokrywane były w całości przez niejakiego Miquela Molinera, osobę niezwiązaną w żadnym stopniu z wydawnictwem, o której nigdy dotąd nie słyszałam. Więcej, koszty druku i dystrybucji były znacznie niższe od kwot rachunku wystawianych panu Molinerowi. Cyfry nie kłamały: wydawnictwo zarabiało na drukowaniu książek, które od razu lądowały w magazynie. Nie miałam odwagi zakwestionować finansowych niestosowności Cabestany'ego. Bałam się o pracę. Ale zapisałam sobie adres, pałacyk na ulicy PuertaFerrisa, na który wysyłaliśmy faktury dla owego Miquela Molinera. Ale po ten adres sięgnęłam po kilku dopiero miesiącach, kiedy w końcu ruszyło mnie sumienie i znalazłam się w domu tego człowieka, gotowa wyznać, że Cabestany go oszukuje. Uśmiechnął się i odparł, że wie o tym.

– Każdy robi to, co potrafi najlepiej.

Zapytałam, czy to on tylokrotnie dzwonił, dopytując się o adres Caraxa. Zaprzeczył i przybierając nader poważny wyraz twarzy, ostrzegł mnie, żebym tego adresu nikomu nie przekazywała. Nikomu.

Miquel Moliner był tajemniczym człowiekiem. Mieszkał samotnie w mrocznym i obracającym się już w minę pałacu, stanowiącym część

spadku po ojcu, przemysłowcu, który wzbogacił się na produkcji broni i, jak rozpowiadano, wspieraniu różnych wojen. Miquel stronił od luksusu, żyjąc niemal jak mnich i wydając pieniądze, uznawane przez siebie za splamione krwią, na odbudowę muzeów, katedr, szkół, bibliotek, szpitali, i bacząc, by dzieła przyjaciela z lat młodości, Juliana Caraxa, ukazywały się w jego rodzinnym mieście.

– Pieniędzy mam w bród, za to brak mi takich przyjaciół jak Julián – mawiał i to starczało za całą odpowiedź.

Nie utrzymywał prawie kontaktów z rodzeństwem czy resztą rodziny, o której wyrażał się jak o całkiem sobie obcych ludziach. Nie ożenił się i rzadko opuszczał pałac, w którym zajmował jedynie pierwsze piętro. Tam miał swoje biuro, gdzie pracował gorączkowo, pisząc artykuły i felietony dla wielu madryckich i barcelońskich dzienników i pism, tłumacząc teksty techniczne z niemieckiego i francuskiego, redagując hasła do leksykonów i encyklopedii oraz teksty podręczników szkolnych... Miquel Moliner dotknięty był chorobą pracowitości z poczucia winy i choć szanował u innych próżniactwo, a nawet go im zazdrościł, uciekał odeń jak od zarazy. Daleki od chełpienia się wyznawaną przez siebie etyką pracy, wyśmiewał się ze swego uzależnienia od niej, uznając ją za pomniejszą formę tchórzostwa.

– Póki pracujesz, nie ma czasu spojrzeć życiu w oczy.

Ani się spostrześliśmy, jak zostaliśmy przyjaciółmi. Wiele nas łączyło, zbyt wiele, być może. Miquel opowiadał mi o książkach, o uwielbianym doktorze Freudzie, o muzyce, ale przede wszystkim o swym starym przyjacielu Julianie. Spotykaliśmy się niemal co tydzień. Miquel relacjonował mi różne historie z czasów pobytu Juliana w szkole San Gabriel. Przechowywał kolekcję starych zdjęć i młodzieńczych opowiadań przyjaciela. Uwielbiał Juliana i właśnie poprzez słowa i wspomnienia Miguela nauczyłam się odkrywać Juliana, wymyślać jego obraz pod jego nieobecność. Po roku naszej znajomości Miquel Moliner wyznał, że zakochał się we mnie. Nie chciałam go zranić, ale i nie chciałam oszukiwać. Miquela nie sposób było oszukać. Odparłam, że bardzo go lubię, że stał się moim najlepszym przyjacielem, ale nie jestem w nim zakochana. Miquel powiedział, że jest tego świadom.

– Jesteś zakochana w Julianie, ale jeszcze o tym nie wiesz.

W sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku Julián napisał mi, że prawie już skończył nową powieść *Złodziej katedr*. Cabestany miał we wrześniu przedłużyć kilka kontraktów z Gallimardem. Od paru tygodni leżał jednak sparalizowany atakiem podagry, postanowił więc, iż w nagrodę za moją dotychczasową pracę pojedę zamiast niego do Francji, by negocjować kontrakty, a przy okazji odwiedzę Juliana Caraxa i odbiorę nową książkę. Napisałam do Juliana list informujący go o planowanej na połowę września podróży, prosząc zarazem, aby mi polecił jakiś skromny, i na moją kieszeń, hotelik. Odpisał, że proponuje mi gościnę u siebie w domu, w niewielkim mieszkaniu w dzielnicy St. Germain, a zaoszczędzone pieniądze radzi zachować na inne wydatki. W przeddzień wyjazdu odwiedziłam Miquela, by dowiedzieć się, czy mam coś od niego przekazać Julianowi. Zastanawiał się dość długo, by wreszcie powiedzieć nie.

Po raz pierwszy zobaczyłam Juliana na stacji Austerlitz. Jesień spadła zdradziecko na Paryż, więc dworzec tonął cały we mgle. W odróżnieniu od pasażerów, którzy po opuszczeniu pociągu ruszyli ku wyjściu, ja nie ruszałam się z peronu. Dość szybko zostałam sama przy pustym pociągu i wówczas zobaczyłam stojącego przy wejściu na peron mężczyznę w czarnym płaszczu, spoglądającego na mnie poprzez dym z papierosa. Podczas podróży często zastanawiałam się, czy zdołam rozpoznać Juliana. Znane mi z kolekcji Miquela fotografie liczyły już sobie trzynaście, czternaście lat. Rozejrzałam się. Prócz mnie i tego człowieka na peronie nie było nikogo. Zauważyłam, że przypatruje mi się z niejaką ciekawością, być może, tak jak i ja, czekając na kogoś. To nie mógł być on. Z tego, co mi było wiadome, Julián miał wówczas trzydzieści dwa lata, a ten wyglądał na starszego. Miał siwe włosy, na twarzy zaś wyraz smutku lub zmęczenia. Był zbyt blady i zbyt chudy, a może zdawało mi się tak tylko przez mgłę i zmęczenie podróżą. Przywykłam wyobrażać sobie Juliana w młodym wieku. Ostrożnie zbliżyłam się do nieznanomego i spojrzałam mu w oczy.

– Julián?

Uśmiechnął się i przytaknął. Julián Carax miał najpiękniejszy

uśmiech na świecie. I tylko po uśmiechu można go było teraz poznać.

Mieszkał na poddaszu w dzielnicy St. Germain. Był to pokój z maleńką kuchnią, wychodzący na balkonik, z którego ujrzeć można było poprzez mgiełkę, zza dżungli dachów, wieże Notre Dame, i pozbawioną okien sypialnię z pojedynczym łóżkiem. Wspólna dla kilku mieszkań łazienka znajdowała się piętro niżej, na końcu korytarza. Mansarda ta była mniejsza niż biuro pana Cabestany'ego. Julián wysprzątał wszystko starannie i przyszykował, by ugościć mnie skromnie, ale godnie. Udałam, że bardzo mi się podoba to mieszkanko, w którym unosiły się jeszcze zapachy środków czyszczących i pasty do podłogi, użytych przez Juliana raczej szczerze niż mądrze. Widać było, że pościel na łóżku nie była jeszcze używana. Wydawało mi się, że wydrukowany na niej wzór przedstawia smoki i zamki. Pościel na dziecięce łóżko. Julián zaczął tłumaczyć się, że nabył ją po bardzo okazji cenie, ale że jest pierwszorzędnej jakości. Pościel bez wzoru była dwa razy droższa, a poza tym taka pościel jest nieciekawa i nudna.

W saloniku stare biurko stało na wprost majaczących daleko katedralnych wież. Na biurku spoczywała maszyna Underwood, którą Julián mógł kupić dzięki otrzymanej od Cabestany'ego zaliczce. Przy maszynie leżały dwa stosy kartek: czystych i zapisanych z obu stron. Julián dzielił swą facjatkę ze współlokatorem, ogromnym białym kocurem, którego nazwał Kurtz. Ten, siedząc u stóp swego pana, obserwował mnie nieufnie. Doliczyłam się dwóch krzeseł, wieszaka, i to chyba wszystko. Książki stanowiły resztę. Ściany książek od podłogi po sufit, w dwóch rzędach. Rozglądałam się wciąż po pomieszczeniu, gdy Julián westchnął:

– Dwie ulice stąd jest hotel. Schludny, zacny i sympatyczny. Pozwoliłem sobie zarezerwować tam pokój dla ciebie...

Wahałam się, ale nie chciałam go urazić.

– Ależ tu będzie mi w sam raz, pod warunkiem oczywiście, że moja obecność nie będzie stanowić najmniejszej zawady ani dla ciebie, ani dla Kurtza.

Kurtz i Julián spojrzeli na siebie. Julián zaprzeczył, kot powtórzył za nim gest. Dopiero teraz zauważyłam, jak bardzo są do siebie podobni. Julián nalegał, bym rozgościła się w jego sypialni. On i tak

śpi bardzo mało, argumentował, więc przeniesie się do salonu, na łóżko polowe, które pożyczył od swego sąsiada, monsieur Darcieu, staruszka iluzjonisty, który czytał paniąkom przyszłość z dłoni w zamian za buziaka. Tej nocy, wyczerpana podróżą, spałam jak zabita. Obudziłam się o świcie i stwierdziłam, że Julián wyszedł. Kurtz spał na maszynie do pisania swego pana. Chrapał jak brytan. Podeszłam do biurka i dostrzegłam maszynopis nowej powieści, która była celem mojej podróży.

Złodziej katedr

Na pierwszej stronie, tak jak we wszystkich poprzednich powieściach Juliana, widniała odręczna dedykacja:

Dla P.

Nie mogłam się opanować, żeby nie zacząć czytać. Już odwracałam kartkę, gdy spostrzegłam łypiącego na mnie kota. Tak jak podpatrzyłam u Juliana, pokręciłam przecząco głową. Kot też pokręcił głową, a ja odłożyłam kartki na swoje miejsce. Niebawem wrócił Julián ze świeżym pieczywem, z termosem kawy i twarogiem. Zjedliśmy śniadanie przy balustradzie. Julián cały czas mówił, ale unikał mego wzroku. W porannym świetle wydał mi się podstarzałym dzieckiem. Ogolił się i ubrał w jedyny porządny, jak sądziłam, garnitur z bawełny w kremowym kolorze, nieco już znoszony, ale elegancki. Słuchałam, jak opowiada o tajemnicach Notre Dame, o barce widmie, pływającej ponoć po Sekwanie nocą i przyjmującej na swój pokład dusze zrozpaczonych kochanków, którzy popełnili samobójstwo, rzucając się w lodowate wody rzeki, o wszystkich możliwych czarach i zaklęciach wymyślanych przezeń na oczekaniu, bylebym tylko nie zadała mu żadnego pytania. Przyglądałam mu się bez słowa, przytakując jedynie od czasu do czasu, usiłując odnaleźć w nim autora książek, które znałam niemal na pamięć, i chłopca, o którym tak często opowiadał mi Miquel Moliner.

– Ile dni będziesz w Paryżu? – zapytał.

Zakładałam, że negocjacje z Gallimardem zajmą mi dwa, góra trzy

dni. Pierwsze spotkanie miałam wyznaczone na popołudnie. Odpowiedziałam, że mam zamiar wziąć dwa dni urlopu, żeby przed powrotem do Barcelony trochę poznać Paryż.

– Dwa dni to stanowczo za mało na Paryż – stwierdził Julián . – To bez sensu.

– Ale to wszystko, czym dysponuję. Pan Cabestany jest wspaniałomyślnym szefem, ale wszystko ma swoje granice.

– Cabestany to pirat, ale nawet on wie, że nie da się zobaczyć Paryża w dwa dni, ani w dwa miesiące, ani w dwa lata nawet.

– Nie mogę być dwa lata w Paryżu.

Julián przyjrzał mi się w milczeniu i uśmiechnął się.

– A dlaczego nie? Ktoś na ciebie czeka?

Tak jak przewidziałam, rozmowy z Gallimardem i kurtuazyjne wizyty u kilku wydawców, z którymi Cabestany współpracował, zabrały mi trzy dni. Julián wyznaczył na mojego przewodnika i opiekuna Herve, trzynastolatka zaledwie, ale znającego miasto jak własną kieszeń. Herve odprowadzał mnie do samiotkich drzwi, dokładnie wskazywał, w jakich lokalach mogę coś przekąsić, które ulice mam omijać z daleka, a które widoki mam szczególnie zapamiętać. Godzinami czekał na mnie przed siedzibami wydawnictw, wciąż uśmiechnięty i konsekwentnie odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek napiwku. Mówił zabawną hiszpańszczyzną z włoskimi i portugalskimi wtrętami.

– *Tutto* dobrze, *signore* Carax już zapłacił za moje usługi i to *muito bene* zapłacił...

Z tego, co mogłam się dowiedzieć i wywnioskować, Herve był sierotą po jednej z dam lokalu Irène Marceau, na którego poddaszu mieszkał. Julián nauczył go czytać, pisać i grać na pianinie. W niedzielę brał go do teatru albo na koncert. Herve ubóstwiał Juliana i sprawiał wrażenie, iż gotów jest dla niego na wszystko, nawet na poprowadzenie mnie na koniec świata, gdyby zaszła taka potrzeba. Trzeciego dnia naszego wspólnego chodzenia po Paryżu zapytał, czy jestem narzeczoną *signore* Caraxa. Odparłam, że nie, że jestem tylko znajomą przybyłą w odwiedziny. Wyglądał na rozczarowanego.

Julián , miast spać, spędzał niemal całą noc przy biurku z Kurtzem na kolanach, wertując kartki maszynopisu albo w milczeniu

spoglądając na rysujące się w oddali wieże. Pewnej nocy, kiedy też nie mogłam zasnąć z powodu rozdrapującego dach deszczu, poszłam do saloniku. W milczeniu spojrzeliśmy na siebie, Julián wyciągnął ku mnie paczkę papierosów. Przez dłuższy czas słuchaliśmy deszczu. Gdy dudnienie osłabło trochę, zapytałam go, kto to jest P.

– Penélope – odpowiedział.

Poprosiłam go, by opowiedział mi o niej i o trzynastu latach życia na obczyźnie w Paryżu. Cichym głosem, w półmroku, opowiedział mi, że Penélope była jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochał.

Pewnej nocy tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku Irène Marceau napotkała błakającego się po ulicach Juliana Caraxa, wymiotującego krwią i niezdolnego przypomnieć sobie, jak się nazywa. W kieszeniach miał jedynie kilka monet i kilka złożonych stron rękopisu. Irène przeczytała je i uznała, że natrafiła na jakiegoś znanego, ale totalnie pijanego pisarza, i że być może jakiś szczodry wydawca wynagrodzi jej to, kiedy ten odzyska przytomność. Taka była przynajmniej jej wersja, choć Julián wiedział, że uratowała mu życie z litości. Spędził pół roku w pokoju na poddaszu burdelu Irène, wracając do zdrowia. Lekarze ostrzegli Irène, że nie będą ponosić żadnej odpowiedzialności, jeśli ów osobnik raz jeszcze się otruje. Zrzuł sobie żołądek i wątrobę i do końca dnia swoich odżywiać się miał jedynie mlekiem, twarogiem i świeżym pieczywem. Kiedy odzyskał mowę, Irène zapytała go, kim jest.

– Nikim – odrzekł Julián .

– Wobec tego nikt nie będzie żył na mój koszt. Co potrafisz?

Julián powiedział, że umie grać na pianinie.

– Pokaż, co potrafisz.

Julián siadł przy pianinie w salonie i wobec zaintrygowanej publiczności składającej się z piętnastu młodziutkich kurewek w kusej bieliźnie zagrał jeden z nokturnów Szopena. Wszystkie nagrodziły go oklaskami, prócz Irène, która powiedziała, że to muzyka dobra dla nieboszczyków, a one robią w interesie dla jak najbardziej żywych. Julián zagrał dla niej ragtime i parę utworów Offenbacha.

– To już lepiej.

Nowa praca zapewniała Julianowi pensję, dach nad głową i dwa

ciepłe posiłki dziennie.

W Paryżu przeżył dzięki miłosierdziu Irène Marceau, jedynej osoby, która zachęcała go, by nadal pisał. Irène lubiła powieści sentymentalne i biografie świętych i męczenników, którzy nader ją intrygowali. Julián, jej zdaniem, miał zatrute serce i dzięki temu był w stanie pisać te swoje straszne historie o potworach i ciemnościach. Pomimo tych zastrzeżeń Irène postarała się, by Julián znalazł wydawcę swych pierwszych powieści, to ona znalazła mu tę mansardę, gdzie mógł ukryć się przed światem, to ona ubierała go i wyprowadzała z domu, by łyknął trochę słońca i powietrza, kupowała mu książki i zmuszała, by towarzyszył jej w mszy niedzielnej, a później w spacerze po ogrodach Tuileries. Irène Marceau podtrzymywała go przy życiu, nie prosząc w zamian o nic prócz jego przyjaźni i przyrzeczenia, że nie zarzuci pisania. Z czasem pozwalała Julianowi zabierać do mansardy jedną ze swych pensjonariuszek, nawet jeśli miałyby to kończyć się jedynie na przytuleniu się i przespaniu tak całej nocy. Irène żartowała, że są one niemal równie samotne i jeśli czegoś oczekują, to odrobiny czułości.

– Mój sąsiad, monsieur Darcieu, uważa mnie za największego szczęściarza wśród mężczyzn całego świata.

Zapytałam go, dlaczego nie wrócił do Barcelony, by odnaleźć Penélope. Skrył się za długim milczeniem, a kiedy w ciemności wypatrzyłam wreszcie jego twarz, zobaczyłam, że jest cała we łzach. Nie uświadamiając sobie zanedo, co robię, klękłam przed nim i przytuliłam się. I tak wtulonych w siebie bez ruchu zastał nas świt. Nie wiem już, kto pierwszy kogo pocałował i czy w ogóle ma to jakieś znaczenie. Wiem, że napotkałam jego usta i pozwoliłam się pieścić, nie zdając sobie sprawy, że ja też płaczę i nie wiem dlaczego. Tego dnia o świcie, tak jak przez wszystkie kolejne poranki, jakie następowały przez dwa tygodnie, które spędziłam z Julianem, kochaliśmy się na podłodze, bez słowa, w całkowitym milczeniu. A później, gdy siedzieliśmy w kawiarni albo spacerowaliśmy po ulicach Paryża, patrzyłam mu w oczy i wiedziałam, bez potrzeby pytania go, że on wciąż kocha Penélope. Pamiętam, że w tamtych dniach nauczyłam się nienawidzić tę siedemnastoletnią smarkulę (bo dla mnie Penélope zawsze miała siedemnaście lat), której nigdy nie znałam i która

zaczęła mi się śnić. Wymyślałam tysiące powodów, by wysyłając kolejne telegramy do Cabestany'ego, usprawiedliwić potrzebę przedłużenia swego pobytu w Paryżu. Nie przejmowałam się już ewentualną utratą posady ani swą egzystencją szarej myszki, jaką prowadziłam w Barcelonie. Wielokrotnie zastanawiałam się, czy kiedy wyjeżdżałam do Paryża, moje życie było takie puste, że trafiłam w ramiona Juliana podobnie jak dziewczyny Irène Marceau zebrzące o czułość. Wiem tylko, że te dwa tygodnie spędzone z Julianem były jedynym momentem w moim życiu, kiedy poczułam wreszcie, kim jestem, i zrozumiałam z tą absurdalną oczywistością wobec rzeczy niewytłumaczalnych, że nigdy już nie pokocham innego mężczyzny tak, jak kochałam Juliana, choćbym nawet bardzo starała się przez resztę swoich dni to odmienić.

Pewnego dnia Julián zasnął zmęczony w moich ramionach. Poprzedniego wieczoru, gdy przechodziliśmy obok lombardu, zatrzymał się, by pokazać mi pióro wieczne od lat tu wystawione, a które zdaniem właściciela sklepu należało w swoim czasie do Victora Hugo. Julián nie mógł nawet marzyć o jego kupnie, ale codziennie tu zachodził, by mu się przyjrzeć. Ubrałam się, jak mogłam najciszej, i poszłam do lombardu. Pióro kosztowało fortunę, której nie miałam, ale właściciel powiedział mi, że zaakceptuje czek banku hiszpańskiego posiadającego swoją ekspozyturę w Paryżu. Matka na długo przed śmiercią przyrzekła mi, że będzie przez całe życie odkładać pieniądze na moją suknię ślubną. Za sprawą pióra Victora Hugo mój ślubny welon rozpląnął się i choć zdawałam sobie sprawę z tego, że to szaleństwo, nigdy nie zdarzyło mi się wydać pieniędzy z większą rozkoszą. Gdy opuściłam lombard z cudownym etui w ręku, spostrzegłam, że śledzi mnie jakaś kobieta. Była to elegancka dama, o srebrzystych włosach i najbardziej niebieskich oczach, jakie zdarzyło mi się widzieć. Podeszła do mnie i przedstawiła mi się. Była to Irène Marceau, opiekunka Juliana. Mój przewodnik Herve opowiedział jej o mnie. Chciała mnie tylko poznać i zapytać, czy to ja jestem tą kobietą, na którą Julián czekał przez te wszystkie lata. Nie musiałam odpowiadać. Irène pokiwała jedynie głową i pocałowała mnie w policzek. Gdy odchodziła w dół ulicy, a ja odprowadzałam ją wzrokiem, byłam już całkiem pewna, że Julián nigdy nie będzie do

mnie należeć i że straciłam go, zanim go poznałam. Wróciłam do pokoiku na poddaszu z piórem wiecznym schowanym w torebce. Julián już nie spał i czekał na mnie. Słowem się nie odezwawszy, rozebrał mnie. Kochaliśmy się po raz ostatni. Kiedy zapytał, dlaczego płaczę, odpowiedziałam, że ze szczęścia. Później, kiedy Julián zszedł po coś do jedzenia, spakowałam się i położyłam etui z piórem na maszynie do pisania. Schowałam maszynopis powieści do walizki i wyszłam, nie czekając na Juliana. Na schodach spotkałam monsieur Darcieu, staruszka iluzjonistę, który czytał panienkom przyszłość z dłoni w zamian za buziaka. Wziął w swoje ręce moją lewą dłoń i spojrzał na mnie ze smutkiem.

– *Vous avez poison au coeur, mademoiselle.*¹

Kiedy chciałam mu zapłacić według ustalonej stawki, delikatnie odmówił i pocałował mnie w rękę.

Ledwie zdążyłam na odchodzący o dwunastej pociąg do Barcelony, bo dotarłam na dworzec Austerlitz w ostatniej chwili. Rewizor, który sprzedawał mi bilet, zapytał, czy dobrze się czuję. Przytaknęłam i zamknęłam się w przedziale. Pociąg już odjeżdżał, kiedy spojrzałam przez okno i dostrzegłam sylwetkę Juliana na peronie, w tym samym miejscu, gdzie zobaczyłam go po raz pierwszy. Zamknęłam oczy i nie otworzyłam ich, dopóki pociąg nie zostawił za sobą dworca i tego zaczarowanego miasta, do którego już nigdy nie będę mogła wrócić. Przyjechałam do Barcelony o świcie następnego dnia. Tego dnia skończyłam dwadzieścia cztery lata, świadoma, że to, co w moim życiu najlepsze, było już za mną.

2

Po powrocie do Barcelony nie spieszyłam się zanadto z odwiedzaniem Miquela Molinera. Potrzebowałam czasu, by usunąć z myśli Juliana, a zdawałam sobie sprawę, że jeśli Miquel zapyta o niego, nie będę wiedziała, co mam odpowiedzieć. Kiedy wreszcie doszło do naszego spotkania, nie musiałam mu nic mówić. Miquel spojrzał mi w oczy i tylko pokiwał głową. Wydał mi się chudszy niż przed moim wyjazdem do Paryża, twarz powleczoną miał niemal chorobliwą bladością, którą przypisałam nadmiarowi prac, jakich się podjął. Przyznał mi się, że ma kłopoty finansowe. Prawie wszystkie, otrzymane w spadku pieniądze wydał na swoje filantropijne donacje, a teraz jego bracia, poprzez adwokatów, usiłowali wyeksmitować go z pałacyku, powołując się na jedną z klauzul testamentu starego Molinera, zastrzegającą, iż Miquel może korzystać z tego miejsca, dopokąd będzie utrzymywać je w godziwym stanie, wykazując się zarazem posiadaniem odpowiednich środków pozwalających na utrzymanie posiadłości. W przeciwnym razie pałac Puertaferriisa przejdzie pod dozór pozostałych braci.

– Jeszcze przed śmiercią ojciec przeczuwał, że wydam wszystkie jego pieniądze na to, czego on najbardziej w życiu nienawidził – do ostatniego grosza.

Honorarium, jakie otrzymywał za swoje felietony i przekłady, daleko było do kwot niezbędnych do utrzymania takiej siedziby.

– Problemem nie jest zarabianie pieniędzy samo w sobie – uskarżał się. – Problemem jest zarabiać je, robiąc coś, czemu warto poświęcić całe życie.

Zaczęłam podejrzewać, że ukradkiem pije. Czasem drżały mu ręce. Odwiedzałam go co niedziela i zmuszałam do wyjścia na dwór, by na chwilę przynajmniej mógł oderwać się od swego biurka i swoich encyklopedii. Wiedziałam, że cierpi, patrząc na mnie. Zachowywał się tak, jakby nie pamiętał, że prosił mnie o rękę, a ja odrzuciłam jego oświadczenia, ale czasem przyłapywałam go na tym, jak wzrokiem

człowieka przegranego przyglądał mi się z utęsknieniem i pożądaniem. Poddawałam go tej torturze z egoistycznych pobudek: tylko Miquel znał prawdę o Julianie i Penélope.

W ciągu tych miesięcy przeżytych z dala od Juliana Penélope Aldaya stała się dla mnie marą, która całkiem zawładnęła moimi snami i myślami. Ciągle miałam w pamięci ten wyraz rozczarowania na twarzy Irène Marceau, gdy stwierdziła, że nie jestem kobietą, na którą Julián ciągle czeka. Penélope Aldaya, nieobecna i działająca podstępnie, była dla mnie zbyt potężną przeciwniczką... Wyobrażałam sobie tę niewidzialną istotę jako twór doskonały, światło, w którego cieniu ja, niegodna, pospolita, namacalna, ginęłam. Nigdy przedtem nie byłam sobie w stanie wyobrazić, że mogę tak bardzo, i to tak bardzo wbrew własnej woli, nienawidzić kogoś, kogo nawet nie znałam i nigdy w życiu nie widziałam. Wydaje mi się, że wierzyłam, iż gdybym ją spotkała twarzą w twarz i stwierdziła, że jest kobietą z krwi i kości, jej magiczny urok prysłby, a Julián znowu byłby wolny. A ja wraz z nim. Chciałam wierzyć, że to tylko kwestia czasu i cierpliwości. Wcześniej czy później Miquel opowie mi prawdę... A prawda uczyni mnie wolną.

Pewnego dnia, podczas przechadzki po wewnętrznym dziedzińcu katedry, Miquel znowu wyraził zainteresowanie moją osobą. Przyjrzałam mu się i zobaczyłam samotnego i pozbawionego jakiegokolwiek nadziei mężczyznę. Wiedziałam, co robię, gdy zabrałam go do domu i pozwoliłam mu się uwieść. Wiedziałam, że go oszukuję i że on też o tym wie, ale niczego i nikogo nie miał już na świecie. I tak staliśmy się kochankami, z rozpacz. Widziałam w jego oczach to, co chciałabym zobaczyć w oczach Juliana. Wiedziałam, że oddając mu się, mściłam się za Juliana i za Penélope, i za to wszystko, czego mi odmówiono. Miquel, chory z pożądania i samotności, wiedział, że nasza miłość jest farsą, ale i tak nie mógł pozwolić mi odejść. Z każdym dniem pił coraz więcej i często nie był nawet w stanie kochać się ze mną. Wówczas żartował, że w rekordowym czasie przeobraziliśmy się w modelowe małżeństwo. Zadawaliśmy sobie nawzajem ból z pogardy i z tchórzostwa. Pewnej nocy, w niespełna rok od powrotu z Paryża, poprosiłam go, by opowiedział mi prawdę o Penélope. Był pijany i zareagował tak gwałtownie jak nigdy dotąd.

Nawymyślał mi, wściekły oskarżył, że nigdy go nie kochałam, że jestem ostatnią dziwką. Zaczął zrywać ze mnie ubranie, a kiedy rzucił się na mnie brutalnie, oddałam mu się bez oporu, płacząc w milczeniu. Potem wpadł w rozpacz i błagał o wybaczenie. Jak bardzo chciałabym kochać jego, a nie Juliana, i zostać przy nim! Ale nie mogłam. Objęliśmy się w ciemnościach. Poprosiłam go, by wybaczył mi wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządziłam. Wówczas powiedział, że jeśli naprawdę tego chcę, opowie mi prawdę o Penélope. Nawet w tym się myliłam.

Owej niedzieli tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, kiedy przybył na dworzec Francia, by przekazać Julianowi bilet i pożegnać się z nim, Miquel wiedział już, że Penélope nie przyjdzie. Wiedział, że dwa dni przedtem żona don Ricarda Aldayi wyznała mężowi po jego powrocie z Madrytu, iż nakryła Juliana i Penélope w pokoju niani. Jorge Aldaya, każąc Miquelowi przysiąc, że nigdy nikomu słowa o tym nie piśnie, ujawnił mu wypadki poprzedniego dnia. Opowiedział, jak don Ricardo, usłyszawszy, co się stało, wpadł w szal i wrzeszcząc, pobiegł do pokoju Penélope, która na krzyki ojca zamknęła się na klucz, płacząc z przerażenia. Don Ricardo wyłamał drzwi, kopiąc w nie z furją i wpadł na Penélope, która klęcząc i trzęsąc się z przerażenia, błagała o wybaczenie. Don Ricardo wymierzył jej wówczas policzek, po którym padła na podłogę. Nawet Jorge nie był w stanie powtórzyć Miquelowi słów, jakie padły z ust miotającego się z wściekłości don Ricarda. Pozostali członkowie rodziny i służba czekali na dole przerażeni, nie wiedząc, co czynić. Jorge schował się w swoim pokoju, nie zapalając światła, ale nawet tam docierały wrzaski don Ricarda. Jacinta dostała wymówienie jeszcze tego samego dnia. Don Ricardo nie chciał jej nawet na oczy widzieć. Rozkazał, by wyrzucono ją z domu, grożąc służbie, że czeka ich ten sam los, jeśli ktokolwiek spróbuje nawiązać z nią kontakt.

Kiedy don Ricardo zszedł do biblioteki, dochodziła już północ. Zamknął Penélope na klucz w pokoju Jacinty i surowo zabronił wszystkim, tak członkom rodziny, jak i całej służbie, odwiedzania dziewczyny. Jorge, ciągle ukrywając się w swoim pokoju, podsłuchiwał rozmowę, którą rodzice prowadzili piętro niżej. Lekarz zjawił się o świcie. Pani Aldaya poprowadziła go do alkowy, gdzie pod kluczem

trzymali Penélope, i wprowadziła go tam, stanęła przy drzwiach, czekając, aż skończy badanie. Opuszczając pokój, lekarz skinął jedynie głową i odebrał zapłatę. Jorge usłyszał, jak don Ricardo groził doktorowi, że jeśli odważy się komukolwiek pisać słówko, osobiście dołoży starań, by zniszczyć jego reputację i uniemożliwić mu prowadzenie praktyki lekarskiej. Nawet Jorge wiedział, co się kryło pod tymi słowami.

Jorge przyznał, że strasznie się martwi o Penélope i Juliana. Nigdy nie widział ojca w takim stanie. Nawet jeśli przewinienie kochanków było wyjątkowo ciężkie, to miara wściekłości ojca była całkiem niezrozumiała. Tu chodzi o coś więcej, powiedział, coś więcej. Don Ricardo wydał już odpowiednie polecenia, w myśl których Julián miał być relegowany ze szkoły San Gabriel, i skontaktował się z jego ojcem, kapelusznikiem, by natychmiast posłać chłopaka do wojska. Miquel, usłyszawszy tę relację, uznał, że nie może powiedzieć Julianowi prawdy. Gdyby ujawnił mu, że don Ricardo Aldaya trzyma Penélope w zamknięciu, a ona nosi już w sobie ich dziecko, Julián nigdy nie wsiadłby do pociągu. Miquel był przekonany, że jeśli przyjaciel zostanie w Barcelonie, będzie to jego koniec. Postanowił więc nie wyjawiać mu prawdy i pozwolić, aby wyjechał do Paryża w nieświadomości tego, co się wydarzyło, i w przekonaniu, że Penélope wcześniej czy później do niego dołączy. Żegnając Juliana owego dnia na dworcu Francia, chciał wierzyć, że nie wszystko jeszcze stracone.

Parę dni później, kiedy rozeszła się już wieść, że Julián zniknął, rozpętało się piekło. Don Ricardo Aldaya szalał. Postawił na nogi pół wydziału policji, by odnaleźli i schwytali uciekiniera – bez powodzenia. Oskarżył wobec tego kapelusznika o złamanie umowy i zagroził, że doprowadzi go do ruiny. Kapelusznik, który nic z tego wszystkiego nie rozumiał, oskarżył z kolei swoją żonę o to, że to ona uknuła z nikczemnym synem tę ucieczkę, i zapowiedział, że wyrzuci ją na bruk. Nikomu na myśl nie przyszło, że autorem pomysłu był Miquel Moliner. Nikomu prócz Jorge Aldayi, który dwa tygodnie później przyszedł do Miquela. Nie było już po nim widać przerażenia. To był już inny Jorge Aldaya, dorosły i odarty z niewinnej naiwności. Wreszcie przeniknął ponoć, co kryło się za furią don Ricarda. A powód swej wizyty przedstawił zwięźle i krótko: wiedział, że to właśnie

Miquel pomógł Julianowi w ucieczce. Oświadczył Miquelowi, że nie są już przyjaciółmi, że nie chce go więcej na oczy widzieć i że go zabije, jeśli ten komukolwiek piśnie choć słowo o tym, co usłyszał od niego przed dwoma tygodniami.

Parę tygodni później Miquel dostał z Paryża, podpisany przez fikcyjnego nadawcę, list od Juliana, w którym ten, podając swój adres, informował, że u niego wszystko w porządku, że tęskni za Miquelem, wreszcie pytał o matkę i Penélope. Dołączony był list do Penélope z prośbą, by Miquel wysłał go z Barcelony – pierwszy z tych wszystkich listów, których Penélope nigdy nie zdołała przeczytać... Miquel na wszelki wypadek odczekał parę miesięcy. Pisał co tydzień do Juliana, referując jedynie to, co uznawał za potrzebne, w rezultacie tyle co nic. Julián zaś opowiadał mu o Paryżu, o tym jak, wbrew oczekiwaniom, wszędzie natrafia na ogromne przeszkody, jak bardzo jest zrozpaczony. Miquel posyłał mu pieniądze, książki i wyrazy szczerzej przyjaźni. Julián z kolei do każdego swego listu dołączał list do Penélope. Miquel wysyłał je z różnych miejsc, wiedząc, że i tak na nic się to nie zda. Julián nieustannie pytał w swych listach o Penélope. Miquel nic nie mógł mu odpowiedzieć. Od Jacinty wiedział, że Penélope nie wyszła z domu w alei Tibidabo od czasu, gdy ojciec zamknął ją w pokoju na trzecim piętrze.

Pewnej nocy, nieopodal domu, Jorge Aldaya wyłonił się nagle z mroków i przeciął Miquelowi drogę. „Co? Przychodzisz mnie zabić?” – zapytał Miquel. Jorge oznajmił, że przychodzi wyświadczyć przysługę jemu i jego przyjacielowi Julianowi. Wręczył mu list, z propozycją, by Miquel dostarczył go Julianowi do miejsca ukrycia. „Dla dobra nas wszystkich” – stwierdził na koniec. W kopercie znajdowała się kartka napisana własnoręcznie przez Penélope Aldayę.

Drogi Julianie!

Piszę ten list, by poinformować Cię o swoim rychłym ślubie i prosić, byś więcej już do mnie nie pisał, zapomniał o mnie i zaczął życie od nowa. Nie mam do ciebie żalu, ale nie byłabym szczerą, gdybym nie wyznała, że nigdy Cię nie kochałam i nigdy nie będę mogła kochać. Życzę Ci wszystkiego najlepszego, gdziekolwiek jesteś.

Penélope

Miquel przeczytał list raz i drugi, i dziesiątki razy. Nie ulegało wątpliwości, że był to charakter pisma Penélope, niemniej nawet przez chwilę nie wierzył, by napisała ten list z własnej woli. „Gdziekolwiek jesteś...”. Przecież Penélope znakomicie wiedziała, gdzie jest i gdzie na nią czeka. A jeśli udaje, że nie zna miejsca jego pobytu, to znaczy, że chce go chronić, wywnioskował Miquel. Miquel zachodził zatem w głowę, co nią kierowało, gdy pisała list. Co gorszego od trzymania miesiącami w zamkniętym pokoju mogło ją czekać ze strony don Ricarda Aldayi? Penélope jak nikt inny powinna była wiedzieć, że tym listem zadaje Julianowi cios prosto w serce: opuszczonemu przez wszystkich dziewiętnastolatkowi, zagubionemu w dalekim i obcym mieście, którego przy życiu trzymały jedynie złudne nadzieje, że niebawem się spotkają. Przed czym chciała go ochronić, odsuwając od siebie w taki sposób? Miquel długo nad tym rozmyślał i postanowił nie przysyłać listu. Chciał jednak poznać okoliczności jego napisania. Bo jeśli list nie został zredagowany z nader istotnych powodów, nie jego ręką zostanie zadany przyjacielowi ów cios.

Parę dni później dowiedział się, że don Ricardo Aldaya, mając już dość widoku Jacinty Coronado wystającej niczym wartownik u bram jego domu i zebrzącej o jakąkolwiek wiadomość o Penélope, wykorzystał swoje wpływy i kontakty, by zamknąć niańkę w zakładzie dla obłąkanych w dzielnicy Horta. Kiedy Miquel Moliner chciał ją odwiedzić, nie uzyskał zgody. Jacinta Coronado miała spędzić trzy miesiące w całkowicie odizolowanej celi. Jak wyjaśnił mu jeden z lekarzy, bardzo młody i nieustannie się uśmiechający, trzy miesiące spędzone w ciszy i w ciemnościach zagwarantują powrót pacjentki do całkowitej równowagi. Idąc za głosem serca, Miquel postanowił odwiedzić pensjonat, w którym Jacinta mieszkała przez parę miesięcy po tym, jak została wyrzucona ze służby u Aldayów. Gdy przedstawił się, właścicielka przypomniała sobie, że Jacinta nie tylko zostawiła wiadomość na jego nazwisko, ale i zalegała z opłatą za ostatnie trzy tygodnie pobytu. Rachunek, wątpiąc zresztą w jego prawdziwość, Miquel wyrównał. Zapoznał się też z listem, w którym niania informowała, że podobno jedna z pokojówek, Laura, została

zwolniona, gdy wyszło na jaw, że w sekrecie wysłała list napisany przez Penélope do Juliana. Miquel pomyślał, że jedynym adresem, pod który Penélope, od czasu uwięzienia, mogła cokolwiek wysłać, był dom rodziców Juliana na San Antonio; ufała widać, że z kolei oni przekażą to swemu synowi w Paryżu.

Postanowił wobec tego odwiedzić Sophie Carax, by odzyskać ów list i wysłać Julianowi. Gdy przybył do mieszkania rodziny Fortuny, czekała go tam przykra i niewróżąca nic dobrego niespodzianka: Sophie Carax już tam nie mieszkała. Parę dni wcześniej opuściła swego męża, a przynajmniej tak rozpowiadano po sąsiedzku. Miquel spróbował wtedy porozmawiać z kapelusznikiem, który dniami całymi siedział zamknięty w sklepie, zżerany przez wściekłość i poniżenie. Przyznał, że przyszedł po list, który – adresowany do jego syna Juliana – powinien był nadejść parę dni temu.

– Ja nie mam żadnego syna – to było wszystko, co usłyszał.

Miquel Moliner odszedł stamtąd, nie wiedząc, że ów list trafił do rąk dozorczyń tej kamienicy i że wiele lat później ty, Danielu, miałeś go odnaleźć i przeczytać słowa, tym razem szczerze, napisane przez Penélope do Juliana, słowa, których on nigdy nie poznał.

Gdy Miquel wychodził ze sklepu firmy kapeluszniczej Fortuny, podeszła do niego kobieta z sąsiedztwa, która przedstawiła się jako Viçenteta i zapytała, czy nie szuka Sophie. Miquel przytaknął.

– Jestem przyjacielem Juliana.

Viçenteta poinformowała go, że Sophie mieszka tymczasowo w nędznym pensjonacie w uliczce tuż za budynkiem Poczty Głównej, czekając na statek płynący do Ameryki. Miquel udał się pod wskazany adres, pokonując kręte, wąziutkie i zapuszczone schody, gdzie nie dochodziło ani światło, ani powietrze. Pokonawszy cztery piętra zakurzonych i krzywych stopni, odnalazł Sophie Carax w pokoju szerniałym od cieni i wilgoci. Matka Juliana, wpatrzona w okno, siedziała na brzegu pryczy, na której wciąż spoczywały, niczym dwie trumny, walizki z bagażem jej dwudziestu dwu lat w Barcelonie.

Po przeczytaniu listu podpisanego przez Penélope, a przekazanego Miquelowi przez Jorge Aldayę, Sophie zaczęła płakać ze złości.

– Biedactwo wie o tym – szepnęła. – Dowiedziała się...

– Ale co wie? – zapytał Miquel.

– To moja wina – odparła Sophie. – Moja wina.

Miquel trzymał jej dłonie i nic nie mógł zrozumieć. Sophie nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Penélope i Julián są rodzeństwem – wykrztusiła wreszcie.

3

Sophie Carax, nim została niewolnicą Antonia Fortuny, żyła ze swego Talentu. Liczyła sobie zaledwie lat dziewiętnaście, gdy przybyła do Barcelony, by zrealizować obietnicę pracy, obietnicę, która nigdy nie miała zostać spełniona. Ojciec przed śmiercią przygotował jej grunt i referencje, by znalazła pracę u Benarensów, w zamożnej i osiadłej w Barcelonie rodzinie kupców alzackich.

– Gdy umrę – prosił – zgłoś się do nich; potraktują cię jak córkę.

Serdeczne przyjęcie, z jakim się spotkała, stanowiło zarazem pewien problem. Monsieur Benarens gotów był rzeczywiście otworzyć przed nią ramiona... Madame Benarens, nie omieszkawszy uzalić się nad nią i jej brakiem szczęścia, wręczyła jej sto peset i wyprosiła za drzwi.

– Ty masz przed sobą całe życie, a ja mam tylko tego nędznego i wyuzdanego męża.

Sophie znalazła pracę jako prywatna nauczycielka gry na fortepianie i solfeżu w szkole muzycznej przy ulicy Diputación. W tamtych latach przyjęte było, by córki z dobrych domów, odbierając staranne wykształcenie w sztuce dobrego wychowania, posiadały również dar salonowego muzykowania, samego w sobie znacznie bezpieczniejszego od prowadzenia konwersacji czy też sięgania po wątpliwej jakości lektury. I tak oto Sophie Carax zaczęła swe stałe wizyty w pałacowych domach, w których wykrochmalone i nieme służące prowadziły ją do saloników muzycznych, gdzie czekała na nią nieprzyjazna dzieciarnia przemysłowej arystokracji, by drwić z jej akcentu, wstydlivosti i kondycji osoby świadczącej usługi. Z czasem nauczyła się skupiać na niewielkiej grupce swych uczniów wyrastających ponad stado perfumowanych drapieźników, a o reszcie po prostu zapominać.

W tamtym okresie poznała młodego kapelusznika (bo tak, nie ukrywając dumy zawodowej, ów człowiek kazał o sobie mówić)

Antonia Fortuny, który sprawiał wrażenie, iż gotów jest do upadłego zabiegać o jej względy. Fortuny, którego Sophie darzyła sympatią, nawet sporą, ale tylko sympatią, w miarę szybko jej się oświadczył, i to nie ten jeden raz, bo oświadczyły te Sophie odrzucała co najmniej kilkanaście razy w miesiącu. Gdy po kolejnym spotkaniu zegnali się, Sophie miała nadzieję, że widzą się po raz ostatni, nie chciała go bowiem już więcej ranić. Kapelusznik, odporny na wszelkie odmowy, ponawiał atak, zapraszając na tańce, na spacer, na podwieczorek z czekoladą i biszkoptami na ulicy Canuda. Osamotnionej w Barcelonie Sophie trudno było opierać się entuzjazmowi, towarzystwu i oddaniu Fortuny'ego. Ale wystarczyło jej spojrzeć na niego, by upewnić się, że nigdy nie będzie w stanie go pokochać. A tak marzyła, że kiedyś spotka swą wielką miłość! Trudno jej było jednak odrzucić własny wizerunek odbity w zauroczonych oczach kapelusznika. Bo tylko w nich widziała taką Sophie, jaką pragnęła być.

Na razie jednak, ulegając czy to mrzonkom, czy też własnej słabości, prowadziła swoją grę z Fortunym, licząc na to, iż kiedyś kapelusznik pozna inną, bardziej zdecydowaną dziewczynę, z którą będzie mógł udać się w szczęśliwszą podróż. A tymczasem świadomość, że jest obiektem pożądania i westchnień, wystarczała jej, by przygłuszyć samotność i tęsknotę za wszystkim, co zostawiła, przybывая do Barcelony. Spotykała się z Antoniem w niedzielę, po mszy. Resztę tygodnia poświęcała swoim lekcjom muzyki. Jej ulubioną uczennicą była bardzo utalentowana dziewczyna, Ana Valls, córka świetnie prosperującego fabrykanta tekstylnego, który zgromadził fortunę, startując od zera, z wielkim trudem i za cenę ogromnych wyrzeczeń, przeważnie nie swoich. Ana nie ukrywała, że marzy o tym, by zostać wielką kompozytorką, i wykonywała dla Sophie własne utwory, imitujące, całkiem zgrabnie, motywy Griega i Schumanna. Pan Valls, choć żywił głębokie przekonanie, że artystyczne umiejętności kobiet kończą się na robótkach ręcznych, z życzliwością odnosił się do pomysłu, by jego córka z czasem stała się sprawną wykonawczynią utworów fortepianowych, snuł bowiem plany wydania jej za mąż za kogoś, kto prócz odpowiedniego spadku dziedziczyłby również właściwe nazwisko, a wiedział, że osoby o wyrafinowanym smaku cenią sobie ekstrawaganckie umiejętności

panien na wydaniu, dopełniające ich oczywiste posłuszeństwo i obfitą, w pełni młodych lat, płodność.

To właśnie w domu Any Sophie poznała jednego z największych dobroczyńców i finansową podporę pana Vallsa: don Ricarda Aldayę, dziedzica imperium Aldayów, już wtedy wielką nadzieję katalońskiej plutokracji końca wieku. Parę miesięcy wcześniej Ricardo Aldaya ożenił się z bogatą panną o oślepiającej urodzie i trudnym do wymówienia imieniu, co złe języki uznawały za atrybuty jak najbardziej rzeczywiste, mówiono bowiem, że świeżo poślubiony małżonek krzty urody w dziewczynie nie dostrzegał i nie trudził się nawet wymawianiem jej imienia. Było to małżeństwo pomiędzy rodami i bankami, żadna tam romantyczna dziecinada, powiadał pan Valls, który miał pełną jasność tego, że co innego łoże, co innego zboże.

Ledwie wzrok Sophie napotkał spojrzenie don Ricarda Aldayi, nauczycielka muzyki wiedziała już, że jest zgubiona na zawsze. Aldaya miał wilcze, zgłodniałe i przenikliwe oczy, które po znalezieniu drogi, świetnie wiedziały gdzie trzeba ofiarę śmiertelnie ugodzić. Aldaya złożył na jej dłoni długi pocałunek, muskając wargami kostki palców. O ile kapelusznik rozpływał się w uprzejmościach i entuzjastycznej gotowości, o tyle don Ricardo szastał, jak mógł, okrucieństwem i siłą. Jego drapieżny uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, że jest w stanie czytać w jej myślach i przewidywać jej najskrytsze pragnienia, i że jedynie może się z nich śmiać. Sophie poczuła dlań tę słabosilną pogardę, jaką wzbudza w nas to, czego najbardziej pragniemy, nie wiedząc o tym. Zaprzysięgła sobie, że już więcej się nie zobaczą, że gotowa jest nawet zrezygnować z udzielania lekcji swej najlepszej uczennicy, jeśli dzięki temu uda jej się uniknąć jakiegokolwiek kontaktu z jego osobą. Po raz pierwszy tak wielkim przerażeniem napawało ją czające się pod skórą zwierzę i świadomość, że poskromi je właśnie ten wytwornie ubrany mężczyzna. Wszystkie te myśli przelatowały jej przez głowę, kiedy zasłaniając się pierwszą lepszą wymówką, spieszyła z przeprosinami, że, niestety, ale musi natychmiast odejść, ku niekrytemu zaskoczeniu pana Vallsa, gromkiemu śmiechowi Aldayi i łzom w oczach małej Any, która znając się na ludziach lepiej niż na muzyce, właśnie poczuła, że traci swoją

nauczycielkę bezpowrotnie.

Tydzień później Sophie natknęła się na don Ricarda Aldayę, który czekał na nią, paląc papierosa i przeglądając gazetę, przy wejściu do szkoły muzycznej na ulicy Diputaci6n. Spojrzeli na siebie i bez słowa udali się do znajdującej się dwie przecznice dalej nowej, niezamieszkaney jeszcze, kamienicy. Don Ricardo poprowadził ją po schodach na piętro i otworzywszy drzwi, przepuścił do środka ogromnego mieszkania. Sophie znalazła się w labiryncie przedsionków i korytarzy, gołych ścian i wysokich sufitów. Nie było tu mebli, obrazów, nie było choćby jednej lampy, jakiegokolwiek przedmiotu, który nadawałby tej przestrzeni charakter mieszkania. Don Ricardo Aldaya zamknął za sobą drzwi i wtedy oboje spojrzeli na siebie.

– Od tygodnia nie mogę przestać myśleć o tobie. Powiedz, że przez ten tydzień ty nie myślałaś o mnie w ogóle, a pozwolę ci odejść i już mnie nigdy więcej nie zobaczysz – powiedział Ricardo.

Sophie zaprzeczyła ruchem głowy.

Historia ich tajemnych spotkań trwała dziewięćdziesiąt sześć dni. Spotykali się zawsze w tym samym pustym mieszkaniu na rogu ulicy Diputaci6n i Rambla de Cataluńa. We wtorki i czwartki o trzeciej po południu. Ich randki nie trwały dłużej niż godzinę. Czasem Sophie zostawała dłużej sama, by po odejściu Aldayi skulić się w kącie pokoju, płacząc i drżąc. A gdy nadchodziła niedziela, rozpaczliwie szukała w oczach kapelusznika pozostałości po kobiecie, która znikala, pragnąc uwielbienia i fałszu. Kapeluszник nie widział śladów na sk6rce, draśnięć i oparzeń. Kapeluszник nie widział rozpaczey w jej uśmiechu i jej łagodności. Kapeluszник nic nie widział. Może dlatego wreszcie przystala na jego ponawiane oświadczenia. Przeczutowala już wówczas, że nosi w sobie dziecko Aldayi, bała mu się jednak o tym powiedzieć, niemal tak bardzo, jak bała się, że go straci. Kolejny raz Aldaya zobaczył w niej to, czego nie była w stanie wyznać. Wręczył jej pięćset peset, podał adres na ulicy Plateria i wydał stanowcze polecenie, by pozbyła się dziecka. Kiedy Sophie odmówiła, don Ricardo Aldaya zaczął bić ją po twarzy, aż z uszu trysnęła krew, grożąc, że każe ją zabić, jeśli odważy się komukolwiek powiedzieć o ich spotkaniach albo twierdzić, że to jego dziecko. Kiedy wyznała

kapelusznikowi, że jacyś bandyci napadli na nią na placu del Pino, uwierzył jej. Kiedy wyznała, że pragnie zostać jego żoną, uwierzył jej. W dniu ślubu ktoś przez pomyłkę przysłał do kościoła ogromny wieniec pogrzebowy. Wszyscy wybuchnęli nerwowym śmiechem na widok konfuzji kwiaciarza. Wszyscy prócz Sophie, która doskonale wiedziała, że don Ricardo Aldaya, mimo jej ślubu, nieustannie o niej myśli.

Sophie Carax ani razu od tamtego czasu przez myśl nie przeszło, że po latach znów zobaczy Ricarda (dojrzałego mężczyznę stojącego na czele rodzinnego imperium, ojca dwojga dzieci), a tym bardziej że Aldaya powróci, by poznać syna, którego chciał się pozbyć za pięćset peset.

– Być może robię się już za stary – starczyło mu za całe wytłumaczenie – ale chcę poznać tego chłopca i stworzyć mu warunki, na jakie zasługuje mój, bądź co bądź, potomek. Dziwne, przez tyle lat w ogóle nie dopuszczałem myśli o nim, a teraz nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Ricardo Aldaya stwierdził w pewnym momencie, że trudno mu dojrzeć siebie samego w swym pierworodnym Jorge. Chłopiec był słabowity, zamknięty w sobie i nie miał nic z osobowości ojca. Odziedziczył wyłącznie nazwisko. Don Ricardo, obudziwszy się pewnego dnia w łóżku jednej z pokojówek, odniósł wrażenie, że jego ciało już się starzeje, a Bóg przestał obdarzać go swą łaską. Ogarnięty nagłym przerażeniem, pobiegł nago przejrzeć się w lustrze i nie mógł uwierzyć własnym oczom. To nie było jego odbicie.

I wówczas postanowił, że musi odnaleźć mężczyznę, którego mu skradziono. Wiedział o synu kapelusznika i wciąż pamiętał o Sophie w sobie właściwy sposób. Don Ricardo Aldaya nigdy niczego nie zapominał... Gdy nadeszła odpowiednia chwila, postanowił poznać chłopca. Po raz pierwszy od piętnastu lat spotykał kogoś, kto się go nie bał, kto śmiało stawiał mu czoło, a nawet kpił z niego. Ujrzał w nim stanowczość, milczącą ambicję, niedostrzeganą przez ignorantów, bo zzerającą człowieka od środka. Bóg przywrócił mu młodość. Sophie, cień tej kobiety, którą pamiętał, nie miała siły, by stanąć między nimi. Kapelusznik był tylko błaznem, chytrym i bojaźliwym prostakiem, którego współudział zależał wyłącznie od ceny. Aldaya postanowił wyrwać Juliana z tego świata przeciętności i biedy, by otworzyć mu bramy swego rajy finansowego. Będzie kształcił się w szkole San

Gabriel, będzie cieszył się wszystkimi przywilejami swej klasy i podąży drogami, które wybierze mu ojciec. Don Ricardo chciał dziedzica godnego siebie. Jorge będzie zawsze żyć, korzystając ze swych przywilejów, wychuchany, ale i przegrany. Penélope, śliczna Penélope, jest kobietą, tym samym więc skarbem, nie skarbnikiem. Julián , o duszy poety, a tym samym i mordercy, posiadał odpowiednie przymioty. Reszta była tylko kwestią czasu. Don Ricardo uważał, że potrzeba mu dziesięciu lat, by w tym chłopcu ukształtować siebie. Przez ten okres, który Julián spędził bardzo blisko rodziny Aldaya, niemal jako jej członek (nawet szczególnie, bo namaszczone), don Ricardowi nigdy do głowy nie przyszło, że syn nie chce od niego nic prócz Penélope. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że w skrytości ducha Julián nim gardzi, a cała farsa przezeń odgrywana jest jedynie pretekstem, żeby móc przebywać blisko Penélope. Mieć ją całą i tylko dla siebie. | Pod tym względem bardzo byli do siebie podobni.

Kiedy żona opowiedziała mu, że zaskoczyła Juliana i Penélope nagich i w niedwuznacznej sytuacji, świat cały mu się zawalił. Przerazenie i poczucie zdrady, niewyraźna złość wywołana tym, że ktoś dotknął go w najczulsze miejsce, wściekłość, że oto został wystrychnięty na dudka we własnej grze, ponizony i upodlony, właśnie przez tego, którego zaczął uwielbiać jak samego siebie – wszystko to opadło go tak niespodziewanie i z taką siłą, iż nikt z otoczenia nie był w stanie zrozumieć, skąd ten nagły atak furii. Kiedy wezwany lekarz stwierdził, że Penélope utraciła dziewictwo i przypuszczalnie jest w ciąży, dusza don Ricarda spopieliała w ogniu ślepej nienawiści. W dłoni Juliana widział własną dłoń, rękę, która wbiła sztylet w samo serce. Jeszcze o tym nie wiedział, ale dzień, w którym kazał zamknąć Penélope w sypialni na trzecim piętrze, był dniem, kiedy zaczął umierać. Wszystko, co od tego momentu zrobił, zmierzało do samozagłady.

Współ z tak przez siebie pogardzanym kapelusznikiem obmyślił, że Julián zniknie z Barcelony, wcielony do wojska, gdzie po jakimś czasie, oczywiście, odpowiednie czynniki stwierdzą, iż śmierć chłopca nastąpiła w wyniku tragicznego wypadku. Z jego rozkazu ani lekarze, ani służba, ani rodzina, nikt właściwie, prócz niego i żony, nie miał dostępu do pokoju cuchnącego śmiercią i chorobą, w którym więziona

była Penélope. Już w owych miesiącach najwięksi jego wspólnicy w tajemnicy wycofali swoje poparcie dla niego, by poprzez działania zakulisowe i manipulując fortuną, którą sam im powierzył, odebrać mu władzę. Już wtedy imperium Aldayów zaczynało chylić się ku upadkowi w wyniku sekretnych układów i korytarzowych uzgodnień w Madrycie i w bankach Genewy. Julián, tak jak don Ricardo mógł przewidzieć, uciekł. W głębi ducha Aldaya był z niego dumny, nawet jeśli życzył mu śmierci. Na jego miejscu przecież zrobiłby to samo. Ktoś zapłaciłby za niego.

Penélope urodziła martwe dziecko dwudziestego szóstego września tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Gdyby lekarz mógł ją zbadać, stwierdziłby, że płód już od kilku dni był zagrożony i że należało natychmiast interweniować, robiąc cesarskie cięcie. Gdyby został wezwany lekarz, być może udałoby mu się powstrzymać krwotok, zanim odebrał życie Penélope krzyczącej, drapiącej w zamknięte drzwi, za którymi jej ojciec płakał w milczeniu, a matka drżała, patrząc nań. Gdyby został wezwany lekarz, oskarżyłby don Ricarda Aldayę o morderstwo, bo nie było słowa odpowiedniego, by opisać widok tej ciemnej i zakrwawionej celi. Ale nie było nikogo kiedy w końcu otworzono drzwi i znaleziono leżącą w kałuży krwi martwą Penélope, obejmującą sine, błyszczące ciało noworodka, nikt nie był w stanie się odezwać. Obydwa ciała zostały pochowane w podziemnej krypcie, bez świadków, bez ceremonii. Wszystkie rzeczy z pokoju trafiły do pieca, samo pomieszczenie zaś zamurowano.

Miquel Moliner, dowiedziawszy się o wszystkim od Jorge Aldayi, pijanego z poczucia winy i wstydu, postanowił wysłać Julianowi ów podpisany przez Penélope list, w którym dziewczyna stwierdzała, że go nie kocha, i prosiła, by o niej zapomniał, zapowiadając rzekome małżeństwo. Wolał sprawić, by Julián uwierzył w to kłamstwo i określił na nowo swoje życie w cieniu zdrady, niż obwieścić mu prawdę. Dwa lata później, gdy zmarła pani Aldaya, nie brakowało osób obwiniających o tę śmierć złe duchy zamieszkujące posiadłość, ale jej syn Jorge dobrze wiedział, że matkę zabił trawiący ją ogień, krzyki Penélope i rozpaczliwe walenie do drzwi, wciąż rozlegające się w jej uszach. Już w tym okresie rodzinę zaczęły prześladować nieszczęścia, a bogactwo Aldayów topniało, marnotrawione na nierealne projekty,

niszczone pod naporem najzuchwalszej zachłanności, chęci odwetu i nieuchronnej historii. Sekretarze i skarbnicy wymyślili ucieczkę do Argentyny, początek nowego przedsięwzięcia, znacznie już skromniejszego. Najważniejsze było znaleźć się jak najdalej. Jak najdalej od widm krążących po korytarzach posiadłości Aldayów, krążących od zawsze.

Wyruszyli pewnego dnia o świcie tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku w całkowitej tajemnicy, podróżując pod fałszywymi nazwiskami na pokładzie statku, który miał ich zanieść do portu La Plata. Jorge i ojciec dzielili kajutę. Stary Aldaya, cuchnący śmiercią i chorobą, ledwie się trzymał na nogach. Lekarze, których nie dopuścił do Penélope, za bardzo się go bali, by powiedzieć mu prawdę, ale on wiedział, że razem z nimi zaokrętowała się śmierć i że to ciało, które Bóg zaczynał mu odbierać w dniu, kiedy postanowił odszukać swego syna Juliana, dogorywa. Przez całą długą żeglugę, gdy siedział na pokładzie, trzęsąc się pod kocem i spoglądając na bezkres oceanu, nie opuszczało go przeświadczenie, że nie dopłynie do stałego lądu. Czasem obserwował z rufy rekiny podążające za statkiem od chwili postoju w porcie na Teneryfie. Usłyszał, jak jeden z oficerów mówi, że ta towarzysząca im złowroga świta jest w rejsach transatlantyckich rzeczą jak najbardziej normalną. Bestie żywiły się padliną wyrzucaną ze statku. Jednak don Ricardo Aldaya nie wierzył w to. Był przekonany, że te czarcie pomioty płyną za nim. Na mnie czekacie, myślał, widząc w nich prawdziwe oblicze Boga. Wtedy właśnie kazał przysiąc tak pogardzanemu jeszcze niedawno synowi, do którego musiał się teraz zwrócić, że spełni jego ostatnią wolę.

– Odnajdziesz Juliana Caraxa i zabijesz go. Przysięgnij.

Na dwa dni przed dopłynięciem do Buenos Aires Jorge obudził się o świcie i zobaczył, że koba ojca jest pusta. Wszedł na pusty, okryty mgłą i saletrą pokład. Odnalazł leżący na rufie, jeszcze ciepły szlafrok ojca. Kilwater statku ginął w kłębach szkarłatnych oparów, a ocean krwawił w olśniewającym spokoju. Zauważył wówczas, że rekiny już nie płyną za statkiem, a w dali dostrzec można było oszalały taniec płetw w czarcim kręgu. Do końca rejsu nikt już nie widział rekinów, a kiedy Jorge Aldaya zszedł w porcie Buenos Aires na ląd i oficer straży granicznej zapytał go, czy podróżuje sam, bez namysłu przytaknął. Od

bardzo dawna już podróżował sam.

Dziesięć lat później Jorge Aldaya, czy raczej strzep człowieka, jaki z niego pozostał, wrócił do Barcelony. Nieszczęścia, jakie zaczęły nękać ród Aldayów w Starym Świecie, w Argentynie nasiliły się jeszcze bardziej. Jorge musiał sam stawić czoło życiu i testamentowi Ricarda Aldayi, pozbawiony doświadczenia i hardości ojca. Przybył do Buenos Aires z wyjałowionym sercem i z duszą zbolalą od skrupułów. Ameryka, powie później jakby na usprawiedliwienie lub może w formie epitafium, to fatamorgana, ziemia rabusiów i padlinożerców, on zaś wychowany został, by korzystać z przywilejów i nedorzecznych kaprysów starej Europy, tego trzymającego się siłą inercji trupa. W kilka zaledwie lat stracił wszystko, poczynając od reputacji, a skończywszy na złotym zegarku, ojcowskim prezencie z okazji Pierwszej Komunii. Dzięki jego sprzedaży mógł kupić bilet powrotny. Jorge Aldaya, który wrócił do Hiszpanii, był już tylko całkowicie przegrany człowiekiem, nędzarzem pełnym gorczy, który zachowywał jedynie pamięć o tym, że wszystko, co kochał, zostało mu odebrane, i odczuwał zapięklą nienawiść do tego, kogo uznawał za winnego swej ruiny: do Juliana Caraxa.

Wciąż doskwierało mu przyrzeczenie złożone ojcu. Przyjechawszy do Barcelony, natychmiast zaczął węszyć za Julianem, by dowiedzieć się, że Carax, tak jak i on, zniknął przypuszczalnie z Barcelony, która nie była już tą Barceloną, jaką opuścił dziesięć lat temu. To właśnie w tamtych dniach spotkał starego znajomego z lat chłopięcych, z tą bezinteresowną i rozmyślną przypadkowością, jaka cechuje zrzędzenia losu. Po błyskotliwej karierze w domach poprawczych i w państwowej służbie więziennej Francisco Javier Fumero wstąpił do wojska, dosłużywszy się tam stopnia porucznika. Nie brakowało takich, którzy przepowiadali mu dość szybkie zdobycie generalskich szlifów,

ale udział w jakimś, co prawda zatuszowanym, ale jednak, skandalu, spowodował usunięcie go z wojska. W niczym nie umniejszyło to zresztą jego stawy, wciąż przerastającej zarówno rangę, jak i kompetencje. Gadano o nim przeróżne rzeczy, ale strach przed nim był jeszcze większy. Francisco Javier Fumero, ów wstydlivy i nie całkiem normalny chłopak, który w swoim czasie zwykł zbierać opadłe liście na dziedzińcu szkoły San Gabriel, był teraz mordercą. Plotki głosiły, że zabijał znane osoby za pieniądze, że likwidował polityków różnego szczebla na zlecenie przeróżnych ciemnych sił i że był ucieleśnieniem śmierci.

Aldaya i Fumero natychmiast się rozpoznali pośród oparów unoszących się w kawiarni Novedades. Aldaya był chory, trawiony dziwną gorączką, której przyczyn upatrywał w ukąszeniach insektów z południowoamerykańskich tropikalnych lasów. „Tam nawet komary to skurwysyny”, skarżył się. Fumero słuchał go zafascynowany i jednocześnie pełen odrazy. Sam odczuwał bowiem swoiste zauroczenie światem komarów i owadów w ogóle. Podziwiał ich dyscyplinę, siłę i organizację. W owadzich społecznościach nie było miejsca na próżniactwo, brak szacunku, dewiację czy degenerację rasy. Szczególną sympatią darzył pająki i ich specyficzną umiejętność tkania pułapek, w których cierpliwie czekały na ofiary, wcześniej czy później wpadające w zasadzkę, z głupoty czy też z lenistwa. Jego zdaniem ludzka społeczność mogła od owadów dużo się jeszcze nauczyć. Aldaya był przykładem moralnej i fizycznej degrengolady. Zestarzał się bardzo, zaniedbał strasznie, braki w muskulaturze były szczególnie rażące. Fumero gardził ludźmi o brakach w muskulaturze. Rzygać mu się chciało na ich widok.

– Javier, czuję się potwornie – stwierdził błagalnie Aldaya. – Możesz mi pomóc przez kilka dni?

Zaintrygowany policjant postanowił ugościć Jorge Aldayę u siebie w domu. Fumero mieszkał w posepnym mieszkaniu w dzielnicy Raval, przy ulicy Cadena, w towarzystwie licznych owadów, zbieranych do aptekarskich flaszeczek, i z pół tuzina książek. Jak podziwiał insekty, tak gardził książkami ale posiadane przezeń egzemplarze nie były zwykłymi książkami: były to powieści Juliana Caraxa opublikowane przez wydawnictwo Cabestany.

Fumero zapłacił mieszkającym naprzeciwko dziwkom – matce i córce, które pozwalały się kłuć i przypalać papierosem, gdy zaczynało brakować klientów, szczególnie pod koniec miesiąca – by opiekowały się Aldaya pod jego nieobecność. Nie był zainteresowany jego śmiercią. Na razie.

Francisco Javier Fumero wstąpił do Brygady Kryminalnej, gdzie zawsze była praca dla personelu wykwalifikowanego i zdolnego sprostać najbardziej niewdzięcznym zadaniom, które należało realizować taktownie i dyskretnie, tak by zacni obywatele mogli nadal żyć złudzeniami. Coś w tym stylu powiedział mu porucznik Durdn, człek chętnie odwołujący się do kontemplacyjnej retoryki, pod którego rozkazami rozpoczął służbę.

– Być policjantem to misja, a nie praca – głosił Durdn. – Hiszpanii trzeba więcej jaj, a mniej gadania.

Tak się nieszczęśliwie zdarzyło, że porucznik Durdn zginął niebawem w karkołomnym wypadku, do jakiego doszło podczas organizowania zasadzki na terenie Barcelonety.

W chaosie potyczki z anarchistami Durdn wypadł z okna mansardowego na piątym piętrze, roztrzaskując się o bruk w czerwony goździk wnętrzości. Wszyscy byli zgodni, iż Hiszpania straciła wielkiego człowieka, bohatera obdarzonego wizją przyszłości, myśliciela nieobawiającego się czynu. Fumero zajął jego stanowisko z poczuciem dumy, świadom, że słusznie postąpił, popychając go, bo Durdn przecież był już za stary do roboty. Ludzie starzy – na równi z kalekami, Cyganami i pedałami – z muskulaturą czy jej brakiem, przyprawiali Fumera o wstręt. Bogu zdarzało się czasem popełniać błędy. Do obowiązków każdego wolnego od uszczerbku na ciele i duszy człowieka należało korygowanie owych drobnych niedociągnięć i utrzymywanie świata w godziwym stanie.

Tydzień po spotkaniu w kawiarni Novedades, w marcu tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku, Jorge Aldaya poczuł się już lepiej i zaczął się kajać wobec Fumero. Prosił, by ten wybaczył mu niecne traktowanie w latach szkolnych, i ze łzami w oczach opowiedział mu całą swą historię, dokładnie i niczego nie kryjąc. Fumero wysłuchał go w milczeniu, potakując raz po raz, chłonąc każde słowo. I zastanawiając się, czy ma zabić Aldayę na miejscu,

czy też lepiej będzie, jak jeszcze poczeka. Czy przypadkiem Aldaya nie jest na tyle słaby, że dotknięcie ostrza noża wydobędzie z jego cuchnącego i skisłego od niedołęstwa ciała zaledwie mdlawą agonię. Postanowił odroczyć wiwisekcję. Intrygowała go historia, szczególnie wszystko, co odnosiło się do Juliana Caraxa.

Wiedział, dzięki otrzymanym w wydawnictwie Cabestany informacjom, że Carax mieszka w Paryżu, ale Paryż to ogromne miasto, a w wydawnictwie nikt chyba nie znał dokładnego adresu. Nikt poza kobietą noszącą nazwisko Monfort, która nie chciała dzielić się swą wiedzą. Fumero śledził ją dwa czy trzy razy, gdy wyszła z wydawnictwa, ani razu przez nią niezauważony, mimo iż zdarzyło mu się w tramwaju stać pół metra od niej. Kobiety nigdy nie zwracały na niego uwagi, a jeśli nawet, to szybko uciekały spojrzeniem w inną stronę, udając, że go w ogóle nie widzą... Pewnej nocy doszedł za nią niemal do samego domu przy placu del Pino, po czym wrócił do siebie, by natychmiast onanizując się z furją, wyobrażać sobie, jak zanurza ostrze noża w ciało tej kobiety, dwa, trzy centymetry przy każdym ciosie, powoli i metodycznie, patrząc jej w oczy. Może wówczas raczyłaby dać mu adres Caraxa i potraktować go z szacunkiem należnym oficerowi policji.

Julián Carax był jedyną osobą, którą Fumero postanowił zabić, ale nie zdołał. Być może dlatego, że pierwszą, a z czasem wszystkiego można się nauczyć. Usłyszawszy znów to nazwisko, Fumero uśmiechnął się w sposób wywołujący zawsze popłoch jego sąsiadek dziwek, bez mrugnięcia okiem i powoli, bardzo powoli, oblizując sobie górną wargę. Wciąż pamiętał Caraxa całującego Penélope Aldayę w rezydencji przy alei Tibidabo. Jego Penélope. Jego miłość była miłością czystą, prawdziwą, myślał Fumero, z takich, jakie można zobaczyć w kinie. Fumero był miłośnikiem filmu i co najmniej dwa razy w tygodniu chodził do kina. Właśnie w jednej z sal kinowych zrozumiał, że Penélope była miłością jego życia. Cała reszta, szczególnie jego matka, to same kurwy. Słuchając ostatnich fragmentów opowieści Aldayi, postanowił, że w rezultacie nie zabije go. Ucieszył się, że los ich połączył. Miał wizję, tak jak w filmach, których oglądanie sprawiało mu tyle radości: Aldaya poda mu wszystkich pozostałych na tacy. Wcześniej czy później, wpadną w

końcu w jego sidła.

6

Zimą tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku braciom Moliner w końcu udało się pozbawić Miquela majątku i wyeksmitować go z pałacyku Puertaferri, który po dziś dzień stoi pusty, w stanie całkowitej ruiny. Marzyli o tym, by Miquel znalazł się na ulicy, pozbawiony nawet resztek tego, co mu jeszcze zostało, książek i tego uwłaczającego im, rozniecającego ich nienawiść, poczucia wolności i dystansu. Nic mi nie chciał powiedzieć i o nic nie chciał prosić, do tego stopnia, iż dowiedziałam się, że właściwie jest żebrakiem, dopiero wtedy, gdy udałam się do jego dawnego domu i tam natknęłam się na jego bandyckich braci przeprowadzających inwentaryzację majątku i odbierających mu tych kilka rzeczy, jakie posiadał. Miquel od jakiegoś już czasu mieszkał w pensjonacie przy ulicy Canuda, w miejscu podłym, zalatującym stęchlizną i przypominającym raczej i wyglądem, i zapachem kostnicę. Gdy zobaczyłam pokój, jaki zajmował, rodzaj trumny bez okien, z więzienną pryczą, zabrałam go do domu. Nie przestawał kasłać i wyglądał na bardzo osłabionego. Twierdził, że to tylko niewyleczony katar, starokawalerska przypadłość, która, znudzony się, niebawem mu przejdzie. Po upływie dwóch tygodni czuł się jeszcze gorzej.

Ubierał się zawsze na czarno, co sprawiło, że dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że plamy na rękawach są od krwi. Wezwałam lekarza, a ten zbadawszy go, przede wszystkim zapytał, dlaczego zwlekaliśmy tak długo. Miquel miał gruźlicę. Zrujnowany i chory, żył jedynie wspomnieniami i wyrzutami sumienia. Był człowiekiem niezwyklej dobroci i wrażliwości i był moim najlepszym przyjacielem. Pobraliśmy się pewnego lutowego poranka w urzędzie miejskim. Nasza podróż poślubna ograniczyła się do wjechania kolejką na Tibidabo, by z tarasów parku podziwiać rozpościerającą się w dole Barcelonę, miniaturę z mgieł. Nie poinformowaliśmy nikogo o naszym ślubie: ani Cabestany'ego, ani mojego ojca, ani rodziny

Miquela, i tak traktującej go jak zmarłego. Napisałam list do Juliana, ale nigdy go nie wysłałam. Nasze małżeństwo było tajemnicą. Kilka miesięcy po ślubie zapukał do drzwi osobnik podający się za Jorge Aldayę. Ruina człowieka; twarz mu spływała potem mimo przenikliwego zimna. Nie widzieli się ponad dziesięć lat, a Jorge Aldaya na dzień dobry uśmiechnął się gorzko i powiedział: „Jesteśmy wszyscy przekłeci, Miquel. Ty, Julián, Fumero i ja”. I wyjaśnił, iż sprowadza go tu chęć pojednania się ze starym przyjacielem Miquelem, w nadziei, iż ten okaże mu pomoc w nawiązaniu kontaktu z Julianem Caraxem, któremu pragnie przekazać bardzo ważną wiadomość od swego zmarłego ojca, don Ricarda Aldayi. Miquel odparł, że nie ma pojęcia, gdzie można znaleźć Caraxa.

– Od lat nie mamy ze sobą kontaktu – skłamał. – Słyszałem tylko, że ponoć mieszka we Włoszech.

Aldaya spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Sprawiasz mi zawód, Miquelu. Miałem nadzieję, że czas i nieszczęście uczyniły cię mądrzejszym.

– Są rozczarowania przynoszące zaszczyt tym, którzy są ich przyczyną.

Aldaya, skundlony kurdupel sprawiający wrażenie, że lada chwila zostanie po nim jedynie plama żółci, roześmiał się.

– Fumero przesyła wam najszczerze gratulacje z okazji ślubu – rzekł, kierując się w stronę drzwi.

Te słowa zmroziły mi serce. Miquel nie chciał nic mówić, ale tamtej nocy, gdy przytulałam się do niego, udając, tak jak i on, że zapadam się w niemożliwy sen, zrozumiałam, że Aldaya trafił w sedno. Byliśmy przekłeci.

Minęło kilka miesięcy bez żadnych wieści ani o Julianie, ani o Aldayi. Miquel nadal współpracował z barcelońskimi i madryckimi dziennikami. Pracował, stukając bez chwili przerwy w maszynę do pisania, i pichcił to, co nazywał lekkostrawną papką dla tramwajowych czytelników. Ja z kolei nadal byłam zatrudniona w wydawnictwie Cabestany, być może dlatego, że tylko w ten sposób czułam się bliżej Juliana. Przysłał mi krótki list z wiadomością, że pracuje nad nową powieścią, zatytułowaną *Cień wiatru*, i ma nadzieję skończyć ją w ciągu najbliższych miesięcy. Najmniejszym słowem nie

odniósł się do tego, co zdarzyło się w Paryżu. Ton listu był chłodniejszy niż zazwyczaj, czuć w nim było większy dystans. Próbowałam nawet znienawidzić Juliana, ale bez skutku. Zaczynałam wierzyć, że Julián to ciężka choroba, a nie mężczyzna.

Miquel nie miał złudzeń co do moich uczuć. Obdarzał mnie miłością i przywiązaniem, oczekując w zamian jedynie mojej obecności u swego boku i być może taktu i rozsądku. Z jego ust nie padła nigdy najmniejsza wymówka czy słowo żalu. Z czasem zaczęłam odczuwać dlań nieogarnioną czułość, coś zupełnie innego niż przyjaźń, która nas połączyła, czy współczucie, które nas zgubiło. Miquel otworzył konto, by wpłacać tam niemal wszystkie honoraria, jakie otrzymywał od gazet zamawiających u niego teksty. Nigdy nie odmawiał, niezależnie od tego, czy zamówienie dotyczyło recenzji, czy małej notki. Pisał pod trzema pseudonimami, czternaście lub szesnaście godzin na dobę. Na moje pytanie, dlaczego tyle pracuje, ograniczał się do uśmiechu albo odpowiadał, że gdyby nic nie robił, umarłby z nudów. Nigdy się nie oszukiwaliśmy, nawet bez słów. Miquel wiedział, że niebawem umrze, że choroba pazernie wydziera mu ostatnie miesiące życia.

– Musisz mi obiecać, że jeśli mi się coś stanie, podejmiesz te pieniądze i raz jeszcze wyjdiesz za mąż, będziesz miała dzieci i zapomnisz o nas wszystkich, a o mnie pierwszym.

– A za kogo niby miałabym wyjść za mąż, Miquelu? Nie wygaduj głupstw.

Czasami łapałam go na tym, jak przygląda mi się z boku, uśmiechając się łagodnie, jakby sama moja obecność była jego największym skarbem. Każdego popołudnia przychodził po mnie do wydawnictwa. Była to jedyna chwila jego odpoczynku w ciągu dnia. Przypatrywałam mu się, jak idzie przygarbiony, zanosząc się kaszlem, i udaje, że to nic takiego. Zabierał mnie gdzieś na podwieczorek albo przyglądaliśmy się oknom wystawowym na ulicy Fernando. Potem wracaliśmy do domu, gdzie siadał z powrotem do pisania swych artykułów. Pracował do północy. Błogosławił w milczeniu każdą spędzoną ze mną chwilę i co noc zasypiał ufnie wtulony we mnie, a ja powstrzymywałam łzy złości, że nie jestem zdolna pokochać tego mężczyzny tak, jak on mnie pokochał, że nie potrafiłam dać mu tego,

co niepotrzebnie złożyłam u stóp Julianowi. Niejednej nocy przysięgałam sobie, że wyrzucę Juliana z pamięci, że do końca życia będę się starać uszczęśliwić tego nieszczęśnika, zwracając mu mizerną część tego, co on zdołał dać mnie. Byłam kochanką Juliana przez dwa tygodnie, ale żoną Miquela będę do końca swego życia. Jeśli kiedyś te stronicie dotrą do twoich rąk i będziesz mnie osądzał, tak jak ja siebie osądziłam po ich napisaniu i przejrzeniu się w lustrze złorzeczeń i skrupułów, to zapamiętaj mnie właśnie taką, Danielu.

Manuskrypt ostatniej powieści Juliana nadszedł pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Z rozgoryczenia czy ze strachu, nie wiem, oddałam go wydawcy, nawet nie przeczytawszy. Ostatnie oszczędności Miquela gwarantowały jeszcze pokrycie kosztów wydania książki. Cabestany'emu, który zaczął mieć problemy ze zdrowiem, było wszystko jedno. W tym samym tygodniu lekarz opiekujący się Miquelem odwiedził mnie w wydawnictwie. Był bardzo przejęty. Oznajmił mi, że jeśli Miquel nie zwolni tempa pracy i nie odpocznie, to jego pomoc przy łagodzeniu skutków choroby, ograniczona, co prawda, bardzo szybko pójdzie na marne.

– Powinien przebywać w górach, a nie w Barcelonie, gdzie wdycha te opary chloru i pyłu węglowego. Ani on nie jest kotem obdarzonym dziewięcioma żywotami, ani ja niańką. Proszę mu przemówić do rozsądku. Mnie nie słucha.

Postanowiłam od razu pójść do domu i porozmawiać z Miquelem. Stanąwszy przy drzwiach, usłyszałam dochodzące z mieszkania głosy. Miquel z kimś dyskutował. Na początku myślałam, że przyszedł do niego ktoś z redakcji, ale zdało mi się, że nagle padło imię Juliana. Usłyszałam zbliżające się do drzwi kroki, odskoczyłam więc jak mogłam najszybciej i ukryłam się we wnęce korytarza. Stamtąd mogłam podejrzeć, kim był gość.

A był to mężczyzna ubrany na czarno, o wyraziście obojętnych rysach twarzy i ustach cienkich jak blizna po cięciu. Miał czarne, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu rybie oczy. Już miał zacząć schodzić, ale zatrzymał się i omiótł wzrokiem półmrok. Wstrzymując oddech, przywarłam do ściany. Mężczyzna stał tam jeszcze trochę, jakby miał mnie zaraz wywęszyć, oblizując się z psim ukontentowaniem. Dopiero wtedy, gdy całkiem ucichł odgłos jego

kroków, odważyłam się opuścić swoją kryjówkę i wejść do mieszkania. W powietrzu unosił się zapach kamfory. Miquel siedział przy oknie, jego ręce zwisały wzdłuż krzesła. Usta drżały. Zapytałam, kim był ten człowiek i czego chciał.

– To był Fumero. Przyniósł wieści o Julianie.

– A co on może wiedzieć o Julianie?

Miquel spojrzał na mnie, bardziej przygnębiony niż zwykle.

– Julián się żeni.

Zaniemówiłam. Opadłam na krzesło, a Miquel ujął moje dłonie. Mówił z trudem, jakby był skrajnie zmęczony. Czekaając, aż mi wróci mowa, Miquel zaczął referować to, co opowiedział mu Fumero, wzbogacając zrelacjonowane fakty o własne domysły. Fumero, wykorzystając swoje kontakty w paryskiej policji, odnalazł Juliana Caraxa i inwigilował go. Miquel przypuszczał, że trwało to już od paru miesięcy, choć nie wykluczał, że stać się to mogło nawet kilka lata temu. Martwił się nie tym, że Fumero odnalazł Caraxa, bo wiadomo, że była to tylko kwestia czasu, ale tym, że inspektor postanowił wyjawić to właśnie teraz, przy okazji dziwacznej informacji o zbliżającym się ślubie, który podobno miał się odbyć z początkiem lata tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. O pannie młodej wiadomo było tylko, jakie nosi imię i nazwisko, ale w tym akurat przypadku w zupełności to wystarczało: Irène Marceau, właścicielka lokalu, w którym Julián przez lata pracował jako pianista.

– Nie rozumiem – szepnęłam. – Julián żeni się ze swoją sponsorką?

– No właśnie. To nie ślub. To kontrakt.

Irène Marceau była starsza od Juliana o jakieś dwadzieścia pięć, może nawet trzydzieści lat. Miquel przypuszczał, że Irène zdecydowała się na zawarcie związku z Julianem, by przekazać mu majątek i zabezpieczyć go na przyszłość.

– Ale przecież już mu pomaga. Zawsze mu pomagała.

– Ale pewnie zdaje sobie sprawę, że nie będzie przy nim wiecznie – zasugerował Miquel.

Zbyt dotkliwie dla nas było echo tych słów. Uklęknęłam przy nim i objęłam go. Przygryzłam wargi, żeby nie widział, jak płaczę.

– Julián nie kocha tej kobiety, Nurio – powiedział, sądząc, że to

jest przyczyną mego przygnębienia.

– Julián nie kocha nikogo poza sobą samym i swymi przekłętymi książkami – wyszeptałam.

Podniosłam wzrok i napotkałam uśmiech Miquela, uśmiech starego i mądrego dziecka.

– A po co Fumero wyciąga teraz całą tę sprawę?

Niebawem się dowiedzieliśmy. Kilka dni później zjawił się u nas Jorge Aldaya, wyglądem przypominający wygłodniałego upiora, kipiący złością i pretensjami. Fumero zdradził mu, że Julián będzie się żenił z bogatą kobietą, a ślub odbędzie się z pompą godną pism kobiecych. Od tego momentu Aldayę zaczęły prześladować wizje sprawcy jego nieszczęścia opływającego w dostatki i cieszącego się fortuną, jaką on sam utracił. Fumero nie wspomniał mu, że Irène Marceau, kobieta o niekwestionowanej pozycji ekonomicznej, jest właścicielką burdelu, a nie księżniczką z wiedeńskiej bajki. Nie wspomniał mu, że panna młoda jest o trzydzieści lat starsza od Caraxa i że bardziej niż ślub jest to raczej akt miłosierdzia wobec mężczyzny bez żadnej przyszłości i pozbawionego środków do życia. Nie wspomniał, kiedy ta ceremonia ma się odbyć i gdzie. Ograniczył się do podtrzywywania w Aldayi fantasmagorii zzerających to strawione gorączką, szczeźnięte i cuchnące ciało.

– Fumero cię okłamał, Jorge – powiedział Miquel.

– A ty, królu kłamców, ośmielasz się oskarżać bliźniego! – bredził Aldaya.

Aldaya nie musiał ujawniać swoich myśli, bo można je było wyczytać z jego wychudzonego jak szkielet ciała, niczym słowa przeświecające spod kredowobiałej skóry. Miquel zrozumiał grę Fumero. To przecież on dwadzieścia lat temu nauczył go grać w szachy w szkole San Gabriel. Fumero stosował strategię modliszki i był cierpliwy jak nieśmiertelni. Miquel wysłał do Juliana list, żeby go przestrzec.

Gdy Fumero uznał, że nadszedł stosowny moment, zrobił Aldayi wodę z mózgu, nafaszerował nienawiścią i poinformował, że ślub Juliana odbędzie się za trzy dni. Nie omieszkał dodać, że jako oficer policji nie może się mieszać osobiście w takie sprawy. Niemniej Aldaya, jako osoba cywilna, może przecież pojechać do Paryża i

sprawić, by ślub ten nigdy się nie odbył. Jak? – dopytywał się, pewnie w gorączce, chory z nienawiści Aldaya. To proste, wyzywając Juliana na pojedynek w dniu ślubu. Fumero nawet zaopatrzył go w broń, z której Jorge miał w swoim przekonaniu śmiertelnie trafić w niegodziwe serce sprawcy katastrofy i upadku dynastii Aldayów. W późniejszym raporcie paryskiej policji stwierdzano, iż broń znaleziona przy nim była tak uszkodzona, iż nie byłaby w stanie uczynić nic ponad to, co uczyniła: wybuchnąć mu prosto w twarz. Dobrze o tym wiedział Fumero, wręczając mu ją w etui na peronie dworca Francja. Wiedział doskonale, że gorączka, głupota i ślepa nienawiść uniemożliwią Aldayi zabicie Juliana Caraxa w anachronicznym honorowym pojedynku o świcie, na cmentarzu Père – Lachaise. A gdyby przez przypadek stało mu sił i zdolności, by jednak swój zamiar zrealizować, jego własna broń miała mu w tym skutecznie przeszkodzić. To nie Carax miał zginąć w tym pojedynku, lecz Aldaya. W ten oto sposób jego absurdałna egzystencja, jego ciało i dryfująca dusza, którym Fumero pozwolił cierpliwie wegetować, spełniłyby swoją rolę.

Fumero wiedział również, że Julián nigdy się nie zgodzi na pojedynek z dawnym, a teraz umierającym i budzącym jedynie zgrozę i lament przyjacielem. Dokładnie więc poinstruował Aldayę, jak ma postępować. Miał wyznać Julianowi, że ów list, w którym lata temu Penélope informowała go o swoim ślubie i prosiła by o niej na zawsze zapomniał, był oszustwem. Miał wyznać, że to on, Jorge Aldaya, osobiście zmusił siostrę do napisania tych kłamstw, podczas gdy ona łkała i zapewniała o swojej wiecznej miłości do Juliana. Miał powiedzieć, że Penélope czekała na niego, duszę wyplakując, ze złamanym sercem, i od tamtej chwili umierała z samotności. To powinno wystarczyć. Powinno wystarczyć, żeby Carax nacisnął spust i strzelił Aldayi w twarz. Powinno wystarczyć, żeby zapomniał o jakichkolwiek ślubnych planach, a zaczął myśleć tylko o jak najszybszym powrocie do Barcelony w poszukiwaniu Penélope i zmarnowanego życia. A w Barcelonie, w tej wielkiej pajęczej sieci, czekał już nań Fumero.

Julián Carax przekroczył francuską granicę tuż przed wybuchem wojny domowej. Pierwsze i jedyne wydanie powieści *Cień wiatru* ukazało się parę tygodni wcześniej i podążyło śladem swych poprzedniczek ku szarej anonimowości i niedostrzegalności. Miquel w tym okresie pracował już z trudem i choć siadał przy maszynie na dwie, trzy godziny dziennie, osłabienie i gorączka nie pozwalały mu na napisanie choćby kilku słów. Z powodu opóźnień stracił kilka stałych zleceń. Niektóre gazety po otrzymaniu anonimowych gróźb bały się publikować jego artykuły. Został mu tylko codzienny i pisywany pod pseudonimem Adrian Maltes felieton w „Diario de Barcelona”. Czuć już było widmo wojny. Kraj cuchnął strachem. Miquel nie miał nic do roboty i był zbyt słaby nawet na utyskiwanie. Zwykł schodzić na nasz placyk lub nawet aż do alei katedralnej, zawsze biorąc ze sobą, niczym amulet, jedną z ksiązek Juliana. Na ostatnich badaniach nie ważył nawet sześćdziesięciu kilo. W radiu usłyszeliśmy o buncie wojsk stacjonujących w Maroku, a parę godzin później zjawił się u nas kolega Miquela z gazety, by powiedzieć, że Cansinos, szef redakcji, dwie godziny temu został zamordowany strzałem w potylicę przed kawiarnią Canaletas. Nikt nie miał odwagi zabrać ciała, które wciąż leżało przed kawiarnią, barwiąc chodnik pajęczyną krwi.

Szybko, hałaśliwie i krwawo, choć krótko, bo przez kilka dni tylko, dał o sobie znać terror. Oddziały generała Godeda przemaszerowały przez aleje Diagonal i Gracia ku centrum, gdzie rozpoczęły się walki. Była niedziela i wielu barcelończyków mimo wszystko wyszło na ulice w przeświadczeniu, że uda im się spędzić piknik przy drodze do Las Planas. Najczarniejsze dni wojny w Barcelonie miały dopiero nadejść za dwa lata. Po krótkiej strzelaninie oddziały generała Godeda poddały się. Cud albo brak łączności pomiędzy dowódcami. Wydawało się, że autonomiczny rząd Lluisa Companysa odzyskał pełną kontrolę w Katalonii, ale to, co się stało w pierwszych dniach puczu, miało w

rzeczywistości znacznie poważniejsze konsekwencje, co okazało się dopiero w nadchodzących tygodniach.

W Barcelonie władzę objęły anarchistyczne związki zawodowe. Po dniach zamieszek i walk ulicznych, gruchnęła wieść, że czterem zbuntowanym generałom tuż po poddaniu się została w zamku Montjuïc wymierzona sprawiedliwość. Kolega Miquela, brytyjski dziennikarz, który był przy tym obecny, powiedział, że pluton egzekucyjny liczył siedem osób, ale w ostatniej chwili do fety dołączyły dziesiątki ochotników z oddziałów milicji robotniczej. Generałów zmasakrowano taką ilością strzałów, że ich ciała zostały porozrywane na niemożliwe do zidentyfikowania kawałki, do trumien zostały złożone więc w stanie prawie płynnym. Niektórzy chcieli wierzyć, że to koniec konfliktu i że wojska faszystów nigdy nie dotrą do Barcelony, a rebelia wygaśnie po drodze. Lecz był to dopiero początek.

O tym, że Julián jest w Barcelonie, dowiedzieliśmy się w dniu kapitulacji Godeda, z listu Irène Marceau, w którym ta pisała, że Julián zabił Jorge Aldayę w pojedynku na cmentarzu Père – Lachaise. Aldaya jeszcze konał, gdy anonimowy telefon już dał znać policji o zdarzeniu. Julián musiał natychmiast uciekać z Paryża, ścigany za morderstwo. Nie mieliśmy wątpliwości, kim był informator policji. Czekaliśmy niecierpliwie na wieści od Juliana, żeby nie tylko uprzedzić go o grożącym niebezpieczeństwie, ale i ochronić przed jeszcze gorszą pułapką zastawioną nań przez Fumero: odkryciem prawdy. Trzy dni później nadal nie mieliśmy od Juliana znaku życia. Miquel nie chciał okazywać mi swego niepokoju, ale wiedziałam doskonale, o czym myśli. Julián wrócił do i po Penélope, i tylko ze względu na nią, nas w ogóle nie biorąc pod uwagę.

– Co się stanie, gdy się dowie prawdy? – pytałam.

– Ale my postaramy się, żeby do tego nie doszło – odpowiadał Miquel.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że bez trudu przyjdzie mu stwierdzić przede wszystkim, że rodzina Aldaya zniknęła bez śladu. A i liczba miejsc, z których mógł rozpocząć poszukiwania Penélope też była ograniczona. Przygotowaliśmy listę tych miejsc i zaczęliśmy wędrowkę. Dom z alei Tibidabo był już tylko opuszczoną posiadłością,

do której dostępu broniły łańcuchy z kłódkami i ściany bluszczu. Straganiarz sprzedający na rogu wiązanki róż i goździków powiedział nam, że ostatnio tylko jedna osoba kręciła się koło tej posiadłości i, o ile pamięta, był to starszy już, żeby nie rzec stary, i trochę kulejący mężczyzna.

– Kawał chama, nie ma co. Chciałem go namówić na kupno goździka do butonierki, a ten z buzią, żebym się odpieprzył. Bo teraz jest wojna i nie czas na jakieś pedalskie kwiatki.

Nikogo więcej przy tej posesji nie widział. Miquel kupił od niego zwiędłe róże i na wszelki wypadek zostawił mu numer telefonu do redakcji „Diario de Barcelona”, żeby ewentualnie dał znać, gdyby się pojawił ktoś odpowiadający opisowi Caraxa. A stamtąd udaliśmy się do szkoły San Gabriel, gdzie Miquel spotkał się z Fernandem Ramosem, dawnym szkolnym kolegą.

Fernando był teraz wykładowcą łaciny i greki i nosił habit. Przeraził się nie na żarty, ujrzawszy Miquela w tak fatalnym stanie zdrowia. Powiedział, że Julián go nie odwiedził, lecz obiecał skontaktować się z nami, gdyby do tego doszło, a nawet na jakiś czas go zatrzymać. Wyznał nam nie bez lęku, że przed nami był u niego Fumero. Inspektor Fumero, jak się kazał nazywać, ostrzegł go, że w czasach wojny lepiej mieć się na baczności.

– Wielu ludzi czeka niebawem śmierć, a kula nie wybiera i nie odróżnia munduru od habitu...

Fernando Ramos przyznał się nam, że nie było dlań jasne, do jakiej formacji czy grupy należy Fumero, i że nie on akurat będzie tym, który go o to zapyta. Nie potrafię Danielu opisać ci tych pierwszych dni wojny w Barcelonie. Powietrze wydawało się zatrute strachem i nienawiścią. Ludzie patrzyli na siebie spode łba, a ulice przesiąknięte były zapachem ciszy, od której uciskało w żołądku. Co dzień, co godzinę pojawiały się nowe pogłoski i plotki. Pamiętam noc, kiedy z Miquelem wracaliśmy do domu przez Ramble. Było pusto, nigdzie żywej duszy. Miquel spoglądał na fasady budynków i domów, widział twarze ukrywające się za zasłonami, patrzące na cienie na ulicy i mówił, że słyhać jak za ścianami ostrzą noże.

Następnego dnia, nie łudząc się zbyt, iż możemy tam spotkać Juliana, poszliśmy jednak do pracowni Fortuny'ego. Napotkany sąsiad

powiedział nam, że kapelusznik, przerażony ostatnimi zajściami, zamknął się w sklepie. Długo pukaliśmy i dzwoniliśmy, ale nam nie otworzył. Tego dnia, nieopodal, na rondzie San Antonio doszło do strzelaniny, po której nie obeschły jeszcze kałuże krwi; wciąż leżał tam martwy koń, rzucony na pastwę bezpańskich psów, które dobierały się do rozszarpanego kulami brzucha, w otoczeniu gapiącej się dzieciarni, co jakiś czas rzucającej w psy kamieniami. Ale udało nam się przynajmniej zobaczyć przez kratkę w drzwiach wystraszone oczy kapelusznika. Powiedzieliśmy, że szukamy jego syna Juliana. Fortuny odparł, że jego syn nie żyje i żebyśmy poszli precz albo wezwie policję. Odeszliśmy stamtąd zbici z tropu i przygnębieni.

Przez wiele dni zaglądaliśmy do kawiarni i przeróżnego rodzaju sklepów, by tam pytać o Juliana. Dowiadywaliśmy się w hotelach, w pensjonatach i w bankach, gdzie mógł ewentualnie wymieniać pieniądze... nikt nie pamiętał mężczyzny odpowiadającego rysopisowi Juliana. Zaczęliśmy już obawiać się, czy Julián nie wpadł w łapy Fumera, więc Miquel skorzystał z pomocy jednego z redakcyjnych kolegów, mającego kontakty w głównej komendzie miasta, który przyrzekł dyskretnie wybadać, czy Julián przypadkiem nie przebywa w więzieniu. Nic na to nie wskazywało. Minęły dwa tygodnie i wydawało się, że Julián zapadł się pod ziemię.

Miquel ledwie sypiał, czekając na wieści o przyjacielu. Pewnego wieczoru wrócił ze swej popołudniowej przechadzki z butelką porto, ot tak, po prostu. Dostał ją, tłumaczył, w prezencie od redakcji, bo jak poinformował go zastępca naczelnego, gazeta zmuszona jest zaprzestać drukowania jego felietonów.

– Nie chcę kłopotów, rozumiem ich...

– I co zrobisz?

– Na razie upiję się.

Miquel wypił tylko pół szklaneczki, ale ja, nie zdając sobie sprawy, opróżniłam prawie całą butelkę na pusty żołądek. Zbliżała się północ, gdy zmogła mnie senność i padłam na sofę. Śniło mi się, że Miquel całuje mnie w czoło i przykrywa kocem. Gdy się ocknęłam, poczułam świdrujący ból głowy – preludium okrutnego kaca. Wstałam, by przekląć Miquela i chwilę, w której wpadł na pomysł, żeby mnie upić, ale zorientowałam się, że jestem sama w mieszkaniu. Na biurku przy

maszynie do pisania zobaczyłam list, w którym Miquel prosił mnie, żebym się nie denerwowała i czekała w domu. Poszedł szukać Juliana i niebawem miał go sprowadzić. Na końcu napisał, że mnie kocha. List wypadł mi z rąk. I wówczas zauważyłam, że przed wyjściem pozabierał swoje rzeczy z biurka, jakby nie miał zamiaru więcej z niego korzystać, i zrozumiałam, że nigdy więcej go nie zobaczę.

8

Tego dnia po popołudniu, uliczny kwiaciarz zadzwonił do redakcji „Diario de Barcelona” i zostawił wiadomość dla Miquela, że widział opisanego przez nas mężczyznę blakającego się niczym zjawa wokół rezydencji. Mijała północ, gdy Miquel dotarł pod numer trzydziesty drugi w alei Tibidabo, bezludnej i przygnębiającej dolinie smaganej promieniami księżycy prześwitującymi wśród drzew. Choć Miquel nie widział Juliana od siedemnastu lat, rozpoznał lekki, niemal koci, krok sylwetki przemykającej w mrokach ogrodu obok fontanny. Julián, przeskoczywszy płot, krążył teraz wokół domu jak niespokojne zwierzę. Miquel mógł krzyknąć i zawołać go, ale wolał nie zwracać uwagi ewentualnych świadków. Odnosił wrażenie, że ukradkowe spojrzenia podpatrują ulicę z ciemnych okien sąsiednich domów. Obszedł mur okalający dom, docierając do części przylegającej do dawnych garaży i kortów tenisowych. Natrafił na wyszczerbienia i dziury, które Julianowi posłużyły za stopnie. Miquel po wspięciu się na mur poczuł, że nie tylko brakuje mu tchu i ledwo widzi na oczy, ale i kłuje go w piersi. Ręce mu drżały, gdy wyciągnął się na szczycie muru i szeptem zawołał Juliana. Krążący wokół fontanny cień zamarł w jeszcze jeden ogrodowy posąg. Miquel dostrzegł utkwione w siebie błyszczące oczy. Ciekaw był, czy Julián rozpozna go po siedemnastu latach i chorobie, po której nawet tchu złapać nie mógł. Postać powoli podeszła. W prawej dłoni trzymała coś długiego i błyszczącego. Kawalek rozbitej szyby.

– Julianie... – szepnął Miquel.

Postać natychmiast znieruchomiała. Miquel usłyszał, jak szkło upada na ziemię. Z ciemności wyłoniła się twarz Juliana. Dwutygodniowy zarost pokrywał wyostrome rysy twarzy.

– Miquel?

Miquel, nie mając już sił ani na zeskok na teren posesji, ani na zejście z powrotem wyciągnął jedynie rękę. Julián wspiął się na mur,

mocno ujął dłoń przyjaciela, a następnie przyłożył do jego policzka. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, usiłując domyślić się blizn, jakie życie wykarbowowało na każdym z nich.

– Musimy stąd iść, Julianie. Fumero poluje na ciebie. Aldaya był zasadzką.

– Wiem – wyszeptał Carax, całkowicie bezbarwnym i obojętnym głosem.

– Dom jest zamknięty. Od lat nikt tu nie mieszka – dodał Miquel.
– No dobrze, pomóż mi zejść i znikajmy stąd.

Carax wspiął się ponownie na mur. Gdy podniósł Miquela, poczuł, jak bardzo zmarniało ciało przyjaciela. W zbyt dużym na domiar złego ubraniu ledwie można było je wyczuć. Gdy znaleźli się znów po zewnętrznej stronie murów, Carax wziął Miquela pod pachy, prawie go niosąc, po czym zniknęli w ciemnościach ulicy Román Macaya.

– Co ci jest? – szepnął Carax.

– Nic takiego. Jakaś gorączka. Ale już wracam do zdrowia.

Miquel przesiąkł już zapachem choroby, więc Julián o nic więcej nie pytał. Zeszli ulicą Leona Trzynastego aż do alei San Gervasio, gdzie dostrzec mogli światła kawiarni. Zajęli miejsce jak najdalej od wejścia i okien. Paru stałych bywalców stało przy barze w identycznej pozie, paląc papierosy i słuchając radia. Kelner o woskowej cerze i wzroku utkwionym w podłozie przyjął zamówienie. Letnie brandy, kawa i co zostało do jedzenia.

Miquel nie tknął niczego. Carax, najwyraźniej głodny, zjadł za nich obu. Przyjaciele przyglądali się sobie w lepkim świetle kawiarni, oszołomieni magią czasu. Gdy poprzednio rozmawiali ze sobą, mieli o połowę mniej lat. Rozstali się jako chłopcy, a teraz życie jednemu przywracało uciekiniera, a drugiemu już umierającego przyjaciela. Obydwaj zadawali sobie pytanie, czy takie karty rozdało im życie, czy też to oni zagrali nimi w ten kiepski sposób.

– Nigdy ci Miquelu nie podziękowałem za to, co dla mnie przez te wszystkie lata zrobiłeś.

– Daj spokój. Zrobiłem, co do mnie należało i co chciałem zrobić. Nie ma za co dziękować.

– Jak się ma Nuria?

– Tak jak się miała, kiedy ją zostawiłeś.

Carax spuścił oczy.

– Pobraliśmy się kilka miesięcy temu. Nie wiem, czy ci o tym pisała.

Chłód ściał usta Juliana. Wolno pokręcił głową.

– Nie masz prawa mieć do niej pretensji, Julianie.

– Wiem. Nie mam prawa do niczego.

– Dlaczego się do nas nie odezwałeś, Julianie?

– Nie chciałem was w to mieszać.

– Ale to już i tak nie zależy od ciebie. Gdzieś ty się podziewał przez te wszystkie dni? Myśleliśmy, że się zapadłeś pod ziemię.

– Prawie. Byłem w domu. W domu ojca.

Miquel nie krył swego zaskoczenia. Julián zaczął opowiadać, jak po przyjeździe do Barcelony, nie wiedząc, co ze sobą począć, poszedł do domu, w którym się wychował, choć obawiał się, że nikogo już tam nie zastanie. Ale pracownia nadal działała, a za ladą beczynnie stał postarzały łysiejący mężczyzna, o przygasłym wzroku. Julián nie miał zamiaru wchodzić ani w jakikolwiek sposób informować go o swoim powrocie, ale Antonio Fortuny nagle podniósł wzrok ku stojącemu za wystawową witryną nieznanemu. Ich oczy spotkały się i Julián choć wolałby rzucić się do ucieczki, stał jak sparalizowany. Ujrzał łzy napływające do oczu kapelusznika, który poczłapał ku drzwiom i oniemiały wyszedł na ulicę. Bez słowa poprowadził Juliana do pracowni, opuścił kraty i dopiero oddzieliwszy się w ten sposób od świata zewnętrznego, drząc i płacząc, objął syna.

Nieco później kapelusznik wyjaśnił Julianowi, że policja dwa dni temu pytała o niego. Niejaki Fumero, człowiek okryty złą sławą, o którym mówiono, że jeszcze miesiąc temu był człowiekiem od mokrej roboty u generała Godeda, a teraz bratał się z anarchistami, powiedział mu, że Carax jest w drodze do Barcelony, że z zimną krwią zamordował w Paryżu Jorge Aldayę i że poza tym poszukiwany jest za popełnienie wielu innych przestępstw, których wyszczególnienia kapelusznik już nie słuchał. Fumero ufał, że gdyby doszło do ewentualnego choć mało prawdopodobnego powrotu syna marnotrawnego do rodzinnego domu, kapelusznik spełni obywatelski obowiązek i poinformuje o tym właściwe organy. Fortuny odparł, że oczywiście mogą na niego liczyć. Rozzłościło go, że taka zmija jak

Fumero zakłada za rzecz pewną jego podłe zachowanie, niemniej ledwie złowieszczy funkcjonariusz opuścił sklep, udał się do katedralnej kaplicy, gdzie w swoim czasie poznał Sophie, wymodlić u świętego, by ten skierował kroki jego syna z powrotem do domu, zanim zrobi się za późno. A gdy Julián się zjawił, kapelusznik ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

– Cokolwiek cię sprowadza do Barcelony, synu, pozwól, że ja to za ciebie załatwię, a ty zamknij się i nie wychodź z domu. Twój pokój pozostał bez zmian i możesz z niego korzystać, jak długo zechcesz.

Julián wyznał mu, że przyjechał szukać Penélope. Kapelusznik przyrzekł mu, że natrafi na jej ślad, a gdy już ją odnajdzie, pomoże im uciec w jakieś spokojne miejsce, daleko od Fumero, od przeszłości, od wszystkiego.

Przez wiele dni Julián nie wychylał nosa z mieszkania przy rondzie San Antonio, podczas gdy kapelusznik przemierzał miasto wszerz i wzdłuż, usiłując natrafić na ślad Penélope. Całymi dniami przesiadywał w swoim dawnym pokoju, w którym rzeczywiście, jak twierdził ojciec, nic nie zostało zmienione, choć teraz wszystko wydawało się mniejsze, jakby mieszkanie i przedmioty, a może i samo życie, skurczyły się z upływem czasu. Na swoim miejscu leżało wiele jego starych zeszytów, ołówków, naostrzonych, jak pamiętał, na parę dni przed wyjazdem do Paryża, książek wciąż czekających na przeczytanie, a w szafie chłopięcych czystych ubrań. Kapelusznik opowiedział mu, że Sophie opuściła go niebawem po ucieczce Juliana i choć przez wiele lat nie miał o niej żadnych wieści, w końcu napisała do niego z Caracas, gdzie od jakiegoś czasu żyła z innym mężczyzną. Teraz pisywali do siebie regularnie, „zawsze mówimy o tobie – według wyznania kapelusznika – bo tylko to nas łączy”. Po usłyszeniu tych słów, Julián odniósł wrażenie, że kapelusznik zakochał się w swojej żonie dopiero po tym, jak ją stracił.

– Naprawdę kocha się tylko raz w życiu, Julianie, nawet jeśli człowiek tego nie zauważa.

Kapelusznik, który zdawał ścigać się z czasem, by przekreślić życie pełne niepowodzeń, był absolutnie przekonany, że Penélope jest właśnie ową jedyną miłością w życiu jego syna, i wierzył, nie zdając sobie z tego sprawy, że jeśli pomoże mu ją odzyskać, przypuszczalnie

on również odzyska coś, co utracił, a od dawna fizycznie odczuwał jak wściekłe kąsanie klątwy.

Mimo wytrwałych poszukiwań, kapelusznik musiał wreszcie i ku swej ogromnej rozpaczy dojść do wniosku, że w całej Barcelonie nie ma najmniejszego śladu ani po Penélope, ani po jej rodzinie. Kapelusznik, człowiek skromnego pochodzenia, ciężko pracujący przez całe życie, zawsze przypisywał pieniądzom i kaście ludzi zamożnych atrybut nieśmiertelności. Piętnaście lat nędzy i nieszczęść wystarczyło, żeby zetrzeć z powierzchni ziemi pałace, fabryki i ślady całego rodu. Gdy padało nazwisko Aldaya, wielu kojarzyło dźwięk, ale prawie nikt nie pamiętał jego znaczenia. Kiedy Miquel Moliner i Nuria Monfort przyszli do pracowni, pytając o Juliana, kapelusznik był pewien, że to ludzie Fumero. Ale tym razem nikt już mu syna nie odbierze. Choćby i sam Bóg wszechmogący zstąpił z niebios, ten sam Bóg, który całe życie puszczał mimo uszu modły kapelusznika, on, Antonio, własnoręcznie i z przyjemnością wydrapie mu oczy, jeśliby Bóg ośmielił się oddalić Juliana jeszcze raz od jego nieszczęsnego życia.

Właśnie krążącego wokół rezydencji na alei Tibidabo kapelusznika widział uliczny kwiaciarz. To, co kwiaciarz odebrał jako chamstwo, było jedynie hartem ducha, wspomagającym jedynie tych, którzy, późno bo późno, ale jednak znajdują w końcu sens swego życia i podążają za nim z bezwzględnością, jaką daje strwoniony dotąd czas. Niestety, nawet teraz, Pan nie zechciał wysłuchać modłów kapelusznika wznoszonych z dna rozpaczy, Fortuny nie potrafił bowiem odnaleźć tego, czego szukał, czyli zbawienia dla swego syna, dla siebie samego, poprzez najlichszy choćby trop wiodący do dziewczyny, której nikt nie pamiętał i o której nikt nic nie wiedział. Ile zagubionych dusz potrzebujesz, Panie, żeby nasycić swój apetyt? – pytał kapelusznik. A Bóg, w swym nieskończonym milczeniu, patrzył nań bez mrugnięcia okiem.

– Nie mogę jej znaleźć... Przysięgam, że...

– Niech się ojciec nie zamartwia. To ja powinienem ją odszukać. Ojciec i tak już mi dużo pomógł.

Tej nocy Julián w końcu wyszedł z domu, zdecydowany odnaleźć ślad Penélope.

Miquel słuchał opowieści przyjaciela, targany niepewnością, czy to cud, czy przekleństwo. Nie wpadło mu do głowy, by zwrócić uwagę na kelnera, który po dojściu do telefonu, odwrócił się do nich plecami i całą rozmowę przeprowadził szeptem, a skończywszy ją, zaczął nerwowo zerkać na drzwi wejściowe, starannie wycierając szklanki, choć w lokalu, wszystko lepiło się od brudu; Julián opowiadał, co się wydarzyło od jego przyjazdu do Barcelony. Nie wpadło mu do głowy, że Fumero już był i w tej kawiarni, o rzut kamieniem od pałacyku Aldaya, i w dziesiątkach innych lokali, i że w przypadku pojawienia się w nich Caraxa, odpowiedni telefon był kwestią sekund. Gdy policyjny samochód zatrzymał się przed kawiarnią, a kelner wycofał do kuchni, Miquel poczuł zimny spokój i ulgę przeznaczenia. Carax dojrzał niebezpieczeństwo w jego spojrzeniu. Odwrócili się jednocześnie. Trzy widma szarych płaszczy trzepoczących za szybą. Trzy twarze plujące parą na szyby. Żadna z tych twarzy nie była twarzą Fumera. Ścierwojady zleciały się przed nim.

– Chodźmy stąd, Julianie...

– Nie mamy dokąd pójść – odparł Carax z tak nieprawdopodobnym opanowaniem, że przyjaciel zaczął przyglądać mu się uważnie.

Dostrzegł rewolwer w dłoni Juliana i lodowate zdecydowanie w spojrzeniu. Dzwonek u drzwi przerwał szept radia. Miquel wyrwał pistolet z rąk Juliana i spojrzał na przyjaciela stanowczo.

– Daj mi swoje dokumenty, Julianie.

Trzej policjanci niby to usiedli przy barze. Jeden z nich zerkał na Juliana i Miquela. Pozostali dwaj jakby czegoś szukali w wewnętrznych kieszeniach płaszczy.

– Dokumenty, Julianie. Już.

Carax pokręcił głową.

– Mam przed sobą miesiąc życia, dwa, przy sporej dawce szczęścia. Jeden z nas musi stąd wyjść, Julianie. Ty masz więcej do zrobienia. Nie wiem, czy odnajdziesz Penélope. Ale Nuria czeka na ciebie.

– Nuria to twoja żona.

– Pamiętaj o umowie, jaką zawarliśmy. Gdy umrę, wszystko co moje, będzie twoje...

– ...poza marzeniami.

Uśmiechnęli się do siebie po raz ostatni. Julián wyciągnął swój paszport. Miquel dołożył go do egzemplarza *Cienia wiatru*, jaki nosił w kieszeni płaszcza od dnia, gdy go otrzymał.

– Do zobaczenia – szepnął Julián .

– Nie ma pośpiechu. Ja poczekam.

W tym samym momencie, w którym policjanci zaczęli kierować się ku nim, Miquel wstał od stołu i ruszył im naprzeciw. Przede wszystkim zobaczyli bladego i drżącego zdechlaka uśmiechającego się do nich, choć krew spływała z kącików sinych, właściwie już martwych, ust. Miquel znajdował się zaledwie trzy metry od nich, gdy zauważyli rewolwer w jego prawej dłoni. Jeden z nich chciał krzyknąć, ale pierwszy strzał roztrzaskał mu żuchwę. Ciało padło bezwładnie pod nogi Miquela. Pozostali już wyciągnęli swoją broń. Drugi strzał przeszył brzuch starszego z wyglądu. Kula strzaskała mu kręgosłup, a na kontuar baru wypluł kłęb trzewi. Miquelowi nie starczyło już czasu na trzeci strzał. Ostatni z policjantów zdążył przyłożyć mu broń do żeber. Miquel poczuł lufę, tuż nad sercem i zobaczył stalowe, rozjarzone przerażeniem oczy.

– Stój skurwysynu albo cię rozwalę.

Miquel uśmiechnął się i powoli podniósł rewolwer ku twarzy policjanta. Ten nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat i drżały mu usta.

– Powiedz Fumero, od Caraxa, że pamiętam o jego marynarskim wdzianku.

Nie poczuł bólu ani ognia. Uderzenie, niczym cios głuchym młotkiem, który odebrał wszystkiemu dźwięki i barwy, rzuciło go na szybę. Gdy przelatował przez nią, czując, jak intensywne zimno przeszywa mu gardło, a światło oddala się jak pył unoszony przez wiatr, po raz ostatni spojrzął za siebie i zobaczył swego przyjaciela Juliana uciekającego ulicą. Miquel miał trzydzieści sześć lat, więcej, niż spodziewał się przeżyć. Zanim padł na chodnik pokryty zakrwawionym szkłem, już nie żył.

9

Podczas gdy Julián rozpływał się w mroku, pod lokal zajeżdżała furgonetka bez tablic rejestracyjnych wezwana przez człowieka, który zabił Miquela. Dotąd nie wiem, jak się nazywał, przypuszczam również, że i on nie wiedział, kogo zamordował. Jak wszystkie wojny, te maleńkie, osobiste, i te na wielką skalę, tak i ta wojna była teatrykiem marionetek. Dwóch mężczyzn rzuciło ciała martwych agentów do furgonetki i zasugerowało barmanowi, żeby zapomniał o tym, co tu się stało, w przeciwnym razie może mieć poważne problemy. Pamiętaj, Danielu, że wojna wyrabia szczególną zdolność do zapominania. Dwanaście godzin później ciało Miquela zostało porzucone na ulicy Raval, żeby nie wiązano jego zabójstwa ze śmiercią dwóch agentów. Gdy wreszcie ciało znalazło się w kostnicy, Miquel nie żył od dwóch dni. Wszystkie dokumenty zostawił w domu. Funkcjonariusze znaleźli mocno zniszczony paszport na nazwisko Juliana Caraxa i egzemplarz *Cienia wiatru*. Policja uznała, że zmarłym jest Carax. W paszporcie jako adres zamieszkania podane było mieszkanie Fortunych na rondzie San Antonio.

Fumero uzyskawszy potwierdzenie tej informacji, poszedł do kostnicy pożegnać się z Julianem. Spotkał tam kapelusznika, którego sprowadziła policja, by zidentyfikował zwłoki. Pan Fortuny nie widział Juliana od dwóch dni, więc obawiał się najgorszego. Rozpoznawszy zwłoki człowieka, który zaledwie przed tygodniem stanął w jego drzwiach, by wypytywać go o Juliana (i którego zresztą wziął za pachółka Fumero), zaczął wydawać z siebie jęki, po czym odwrócił się i wyszedł. Dla policji reakcja kapelusznika oznaczała rozpoznanie zwłok. Obecny przy tej scenie Fumero podszedł później do ciała i dokładnie mu się przyjrzał. Juliana Caraxa widział ostatni raz siedemnaście lat temu. Gdy rozpoznał Miquela Moliner, uśmiechnął się i podpisał dokumenty potwierdzające tożsamość zmarłego Juliana Caraxa, zarządzając jednocześnie jego natychmiastowe pochowanie w

zbiorowej mogile na cmentarzu Montjuïc .

Przez długi czas zastanawiałam się, dlaczego Fumero zachował się tak, a nie inaczej. W końcu okazało się, że postąpił zgodnie ze swą specyficzną logiką. Miquel ginąc jako Julián , niechcący dostarczył doskonałego alibi. Od tej chwili Julián Carax przestał istnieć, a tym samym przestał istnieć jakikolwiek formalny związek pomiędzy Fumero a człowiekiem, który miał być przez niego prędeż czy później odnaleziony i zamordowany. Trwała wojna i mało kto domagałby się wyjaśnienia śmierci kogoś, kto nawet nie miał imienia. Julián stracił tożsamość. Był cieniem. Dwa dni czekałam w domu na Miquela lub Juliana, bliska obłędu. Trzeciego dnia, w poniedziałek, przyszedłam do wydawnictwa. Pan Cabestany kilka tygodni wcześniej znalazł się w szpitalu. Do pracy nigdy już nie wrócił. Jego najstarszy syn Alvaro przejął firmę. Nikomu nic nie powiedziałam. Bo nie miałam komu powiedzieć.

Tego samego ranka odebrałam w wydawnictwie telefon od pracownika kostnicy, Manuela Gutierrezza Fonseki. Pan Gutiérrez Fonseca poinformował mnie, że gdy do kostnicy przetransportowano ciało niejakiego Juliana Caraxa, skojarzył dane z paszportu nieboszczyka z nazwiskiem autora książki, którą zmarły miał przy sobie, i podejrzewając jeśli nie zaniedbanie, to w każdym razie pewną nonszalancję policji wobec obowiązków wynikających z regulaminu, poczuł się w moralnym obowiązku zadzwonienia do wydawnictwa i opowiedzenia o tym, co zaszło. Gdy go usłyszałam, wydawało mi się, że umrę. Pomyślałam, że to pułapka zastawiona przez Fumero. Pan Gutiérrez Fonseca wyrażał się z dokładnością sumiennego urzędnika, choć w jego głosie brzmiało coś więcej, coś, czego nie potrafiłby wytłumaczyć nawet on sam. Odebrałam telefon w biurze pana Cabestany. Dzięki Bogu Alvaro wyszedł na obiad i zostałam sama, w przeciwnym razie trudno by mi było wytłumaczyć łzy i drżenie rąk. Gutiérrez Fonseca powiedział, że uznał za słuszne poinformować o zajściu.

Podziękowałam mu za telefon z fałszywą formalnością szyfrowanych rozmów. Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, zamknęłam drzwi biura i przygryzłam pięści, żeby nie krzyczeć. Umyłam twarz i natychmiast poszłam do domu, zostawiając dla Alvaro wiadomość, że

źle się poczułam i wrócić następnego dnia wcześniej rano, by sprawdzić korespondencję. Chciałam natychmiast zacząć biec, zamiast, jak inni, iść niespiesznie, z miną najzwyczajszego przechodnia, który na pewno nie ma żadnych sekretów. Gdy włożyłam klucz w zamek mojego mieszkania, zrozumiałam, że został wyłamany. Sparaliżowało mnie. Klamka poruszyła się od środka. Czy tak właśnie umrę, pomyślałam, na ciemnych schodach i nie wiedząc co się stało z Miquelem. Drzwi się otworzyły i napotkałam ciemne spojrzenie Caraxa. Niech mi Bóg wybaczy, ale w owej chwili poczułam, że wraca mi życie, i podziękowałam niebiosom za zwrócenie mi Juliana w miejsce Miquela.

Padliśmy sobie w ramiona, ale gdy poszukałam ust Juliana, cofnął się i spuścił wzrok. Zamknęłam drzwi, wzięłam Juliana za rękę i poprowadziłam do sypialni. Wyciągnęliśmy się na łóżku, obejmując w ciszy. Zachodziło słońce i cienie w mieszkaniu płonęły czerwienią. Z daleka dobiegały pojedyncze strzały, jak w każdą noc, od kiedy zaczęła się wojna. Julián płakał na mojej piersi i poczułam, że ogarnia mnie znużenie, które nie mieści się w słowach. Później, gdy zapadła noc, nasze wargi się spotkały i pod osłoną ciemności zdarliśmy z siebie w pośpiechu przesiąknięte strachem i śmiercią ubrania. Chciałam wspomnieć Miquela, ale palące dłonie na moim brzuchu odarły mnie z poczucia wstydu i z bólu. Chciałam się w nich zagubić i zostać już w nich na zawsze, i nic a nic mnie nie obchodziło, że o świcie, wyczerpani i być może chorzy z odrazy, nie będziemy w stanie spojrzeć sobie w oczy, dopóki nie odpowiemy sobie na pytanie, w kogo żeśmy się tak naprawdę przeobrazili.

O świcie zbudził mnie szum deszczu. Łóżko było puste, pokój tonął w szarej mgle.

Julián siedział przy biurku Miquela, gładząc klawisze jego maszyny do pisania. Podniósł wzrok i obdarzył mnie swoim letnim, dalekim uśmiechem, mówiącym, że ten mężczyzna nigdy nie będzie mój. Czułam jak narasta we mnie chęć, by rzucić mu w twarz całą prawdę i zranić go. To takie proste. Oświecić go wreszcie, że Penélope zmarła, a on żyje złudzeniami. Że tylko ja mu zostałam na tym świecie.

– Nigdy nie powinienem był wracać do Barcelony – szepnął, potrząsając głową.

Uklękłam przy nim.

– Tu nie ma tego, czego szukasz, Julianie. Odejdźmy stąd. Oboje. Daleko. Póki jeszcze jest czas.

Julián obdarzył mnie długim spojrzeniem, nie mrugnawszy nawet.

– Ty wiesz coś, o czym mi nie powiedziałaś, prawda? – zapytał.

Zaprzeczyłam, przełykając ślinę. Julián skinął głową.

– Dziś w nocy pójdę tam.

– Julianie, proszę...

– Muszę się upewnić.

– Więc pójdę z tobą.

– Nie.

– Ostatnim razem, gdy zostałam tutaj i czekałam, straciłam Miquela. Jeśli ty pójdziesz, ja też pójdę.

– To ciebie nie dotyczy, Nurio. To moja i wyłącznie moja sprawa.

Ciekawa byłam, czy rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo mnie bolą jego słowa, czy też zupełnie go to nie obchodzi.

– Tak ci się tylko wydaje.

Chciał pogłodzić mnie po policzku, ale odsunęłam jego rękę.

– Trzeba było mnie znienawidzić, Nurio. Przyniosłoby ci to

szczęście.

– Wiem.

Spędziliśmy dzień na mieście, jak najdalej od przygnębiającej mgły mieszkania, w którym wciąż unosił się zapach prześcieradeł i naszych ciał. Julián miał ochotę zobaczyć morze. Zaprowadziłam go na Barcelonetę i wyszliśmy na prawie bezludną plażę, fantasmagorię, koloru piasku, rozpływającą się w powietrzu. Usiedliśmy blisko brzegu, jak to robią dzieci i starcy. Julián uśmiechał się w milczeniu do własnych wspomnień.

Po południu wsiedliśmy do tramwaju koło akwarium i pojechaliśmy Via Layetana aż do Paseo de Gracia, potem przez plac Lesseps i aż do końca aleją Republica Argentina. Julián obserwował ulice w milczeniu, jakby obawiał się utracić miasto, w miarę jak przez nie przejeżdżał. W połowie drogi ujął moją dłoń i pocałował w milczeniu. Trzymał ją aż wysiedliśmy. Jakiś starzec jadący w towarzystwie dziewczynki ubranej na biało przyglądał się nam z uśmiechem i zapytał, czy jesteśmy narzeczonymi. Zapadła już głucha noc, gdy weszliśmy na ulicę Román Macaya i szliśmy w kierunku rezydencji Aldayów w alei Tibidabo. Padał delikatny deszcz, malując na srebrno kamienne ściany. Wspięliśmy się od tyłu na mur przy kortach tenisowych. Dom wznosił się w deszczu. Rozpoznałam go natychmiast. Widziałam ten dom w tysiącach wcieleń na stronach książek Juliana. W Czerwonym domu pałacyk jawił się jako ponure domiszcze większe wewnątrz niż na zewnątrz, zmieniając powoli formę, obrastając w korytarze, galerie, niemożliwe łuki, nieskończone schody, które prowadziły donikąd, domiszcze pełne ciemnych pokoi pojawiających się i znikających z dnia na dzień, razem z nieostrożnymi, którzy do nich weszli. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami zabezpieczonymi łańcuchem i kłódką wielkości pięści. Okna na parterze zabite były omszałymi już deskami. W powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi i zgniłych chwastów. Kamień, ciemny i mokry w deszczu lśnił jak szkielet ogromnego płaza.

Chciałam go zapytać, jak zamierza przejść przez dębowe drzwi, jakich nie powstydziliby się bazylika albo więzienie. Julián wyjął z kieszeni słoik i odkręcił pokrywkę. Ze środka powoli wydobyła się cuchnąca, niebieskawa, spirala dymu. Przytrzymał kłódkę i wlał do

zamka trochę kwasu. Metal zaskwierczał jak rozpalone żelazo i buchnął żółtawym dymem. Oczekaliśmy chwilę, Julián podniósł kamień i rozbił kłódkę kilkunastoma silnymi ciosami, po czym pchnął drzwi kopniakiem. Otworzyły się powoli, jak drzwi grobowca, ogarniając nas gęstym i wilgotnym oddechem. Za progiem panowała aksamitna ciemność. Julián wyjął zapalniczkę i po kilku krokach w głąb korytarza zapalił ją. Przymknęłam drzwi i poszłam za nim. Julián ruszył dalej, trzymając płomyk nad głową. Pod stopami rozpościerał się dywan kurzu, na którym były widoczne tylko nasze ślady. Nagie ściany płonęły bursztynowym blaskiem. Nie było mebli, luster ani lamp. Drzwi trzymały się na zawiasach, ale klamki z brązu powyrywano. Z rezydencji został goły szkielec. Zatrzymaliśmy się u stóp schodów. Spojrzenie Juliana zagubiło się w górze. Odwrócił się na chwilę ku mnie i chciałam się uśmiechnąć, ale w półmroku ledwo odgadywaliśmy swoje spojrzenia. Poszłam za nim schodami w górę, po stopniach, na których Julián po raz pierwszy zobaczył Penélope. Wiedziałam, dokąd zmierzamy i przeszył mnie chłód, który nie miał nic wspólnego z dojmującą wilgocią tego miejsca.

Weszliśmy na trzecie piętro, gdzie wąski korytarzyk prowadził do południowego skrzydła domu. W tej części sufit był już znacznie obniżony, a drzwi mniejsze. Na tym piętrze mieściły się pokoje dla służby. Ostatnie, domyśliłam się tego, zanim Julián cokolwiek powiedział, prowadziły do pokoju Jacinty Coronado. Julián zaczął podchodzić lękliwie i powoli. Tu po raz ostatni widział Penélope, tu kochał się z siedemnastoletnią dziewczyną, która kilka miesięcy później tu właśnie miała umrzeć z wykrwawienia. Chciałam go powstrzymać, ale już przekroczył próg i patrzył w głąb nieobecny wzrokiem. Zajrzałam mu przez ramię. Pokój był kwadratem pozbawionym jakichkolwiek ozdób. W kurzu zalegającym na podłodze można było jeszcze rozpoznać miejsce po dawnym łóżku. Na środku pokoju wiły się ślady czarnych plam. Julián, skonsternowany, przyglądał się tej pustce prawie minutę. Widziałam w jego spojrzeniu, że ledwie rozpoznaje pomieszczenie, że wszystko wydaje mu się makabryczną i okrutną sztuczką. Wzięłam go pod ramię i wyprowadziłam na schody.

– Tu nic nie ma, Julianie – szepnęłam. – Rodzina sprzedała

wszystko przed wyjazdem do Argentyny.

Słabo przytaknął. Zeszliśmy na parter. Julián skierował się do biblioteki. Półki były puste, kominek zawalony gruzem. Śmiertelnie blade ściany migotały w oddechu płomyka. Wierzycielom udało się zabrać nawet pamięć, która zapewne teraz zagubiona była w labiryncie jakiegoś lamusa.

– Wróciłem na próżno – szepnął Julián .

Tak jest lepiej, pomyślałam. Liczyłam sekundy dzielące nas od drzwi. Gdyby mi się udało odciągnąć go stamtąd i zostawić z poczuciem pustki, być może mielibyśmy szansę. Pozwoliłam Julianowi napatrzeć się na zgliszcza tego miejsca – aż do zapomnienia.

– Musiałeś wrócić i zobaczyć to jeszcze raz – powiedziałam. – Teraz już wiesz, że nic tu nie ma. To tylko stary i opuszczony budynek, Julianie. Chodźmy do domu.

Spojrzał na mnie pobladły i przytaknął. Wzięłam go za rękę i skierowałam do korytarza prowadzącego do wyjścia. Od szczelin jasności z zewnątrz dzieliło nas kilka metrów. Czułam już zapach krzaków i wilgoć w powietrzu. Ale poczułam również wyslizgującą się dłoń Juliana. Przystanąłam i odwróciłam głowę. Stał nieruchomo z wzrokiem wbitym w ciemność.

– Co się stało?

Nie odpowiedział. Jak zaczarowany patrzył na wąski korytarzyk prowadzący do kuchni. Podeszłam tam i spojrzałam w ciemność przeciętą błękitnym płomykiem zapalniczki. Drzwi na końcu korytarza były prawie całkiem zamurowane czerwonymi cegłami, byle jak ułożonymi i złączonymi zaprawą, która zastygła jak lawa. Nie zrozumiałam, co to mogło oznaczać, ale poczułam, jak ścina mi krew w żyłach. Julián powoli podchodził. Wszystkie drzwi na korytarzu – i w całym domu – były otwarte, pozbawione zamków i klamek. Z wyjątkiem tych. Zakrytych murem z czerwonych cegieł na końcu małego i ponurego korytarzyka. Julián położył ręce na ceglach.

– Julián , proszę cię, chodźmy już...

Cios jego pięści w ścianę wywołał puste echo z drugiej strony. Wydawało mi się, że drżą mu ręce, gdy stawiał zapalniczkę na podłodze i pokazywał mi, żebym się cofnęła.

– Julianie...

Pierwszy kopniak wzniecił deszcz czerwonego pyłu. Julián zaatakował ponownie. Zdawało mi się, że słyszę, jak chrupią mu kości. Nie przejął się tym. Uderzał w mur raz za razem z wściekłością więźnia wyrabującego drogę ku wolności. Zaczęły mu krwawić pięści, gdy pierwsza cegła puściła i wypadła z drugiej strony. Zranionymi palcami zaczął gwałtownie powiększać ten otwór w ciemności. Dyszał wyczerpany i opętany wściekłością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewała. Jedna za drugą cegły ustępowały i mur padł. Julián zatrzymał się, pokryty zimnym potem, z dłońmi obdartymi ze skóry. Wziął zapalniczkę i postawił na brzegu jednej z cegieł. Po drugiej stronie były drewniane drzwi rzeźbione w motywy aniołów. Julián pogładził płaskorzeźby, jakby odczytywał hieroglify. Drzwi ustąpiły pod naciskiem jego rąk.

Po drugiej stronie unosiła się gęsta galaretowata błękitna mgła. Dalej można się było domyślać schodów. Stopnie z czarnego kamienia schodziły w dół i ginęły w ciemności. Julián odwrócił się na chwilę i napotkałam jego spojrzenie. Ujrzałam w nim strach i rozpacz, jakby coś przeczuwał. Pokręciłam głową w milczeniu, błagając go, żeby nie szedł dalej. Odwrócił się i pogрузzył w mroku. Wychyliłam się i zobaczyłam, jak schodzi, ledwie trzymając się na nogach. Płomyk drżał; błąd przezroczysty podmuch.

– Julián?

Odpowiedziała mi cisza. Mogłam zobaczyć cień Juliana, nieruchomy na końcu schodów. Przekroczyłam próg z cegieł i zesłam po stopniach. Na dole znajdował się prostokątny pokój o marmurowych ścianach. Panowało tu przeszywające zimno. Ujrzałam dwa nagrobki pokryte pajęczynami, które rozplynęły się w płomieniu zapalniczki jak zgniły jedwab. Biały marmur był pocięty czarnymi łzami wilgoci, które wyglądały jak krew wypływająca ze znaków zostawionych przez rytownika. Kamienie leżały obok siebie jak przykute łańcuchem przekleństwa.

PENÉLOPE ALDAYA DAVID ALDAYA

1902 – 1919 1919

Wiele razy myślałam o tamtej chwili milczenia; próbowałam wyobrazić sobie, co Julián czuł, uzmysławiając sobie, że kobieta, na którą czekał siedemnaście lat, już nie żyje, że ich syn odszedł z nią, że życie, o którym marzył, jego jedyne pragnienie, nigdy nie istniało. Większość z nas ma szczęście lub nieszczęście obserwowania, jak życie kończy się po trochu, wcale nie zdając sobie z tego sprawy. Do Juliana ta pewność dotarła w kilka sekund. Przez chwilę wydawało mi się, że zacznę biec po schodach, że ucieknę z tego przeklętego miejsca i nigdy go więcej nie zobaczę. Może tak by było lepiej.

Pamiętam, że płomień zapalniczki powoli zgasł i w ciemności straciłam z oczu jego sylwetkę. Poszukałam go w cieniu. Znalazłam go milczącego i drżącego. Ledwie mógł ustać na nogach i powłókł się gdzieś do kąta. Objęłam go i pocałowałam w czoło. Nie drgnął. Dotknęłam jego twarzy, ale nie było na niej łez. Przyszło mi do głowy, że może w jakiś sposób domyślał się tego przez wszystkie lata, że może musiał to zobaczyć, aby stanąć twarzą w twarz wobec pewności i poczuć się wolny. Znaleźliśmy się u kresu drogi. Julián powinien zrozumieć, że nic go już nie trzyma w Barcelonie i że musimy wyjechać daleko. Chciałam wierzyć, że nasz los miał się odmienić i że Penélope nam wybaczyła.

Odnalazłam na podłodze zapalniczkę i zaświeciłam. Julián patrzył w pustkę, nie widząc błękitnego płomyka. Ujęłam jego twarz w dłonie i zmusiłam go, żeby na mnie spojrział. Zobaczyłam oczy bez życia, puste, wytrawione wściekłością i bólem klęski. Poczułam truciznę nienawiści rozlewającą się w jego żyłach i mogłam odczytać jego myśli. Nienawidził mnie za to, że go oszukałam. Nienawidził Miquela, który zechciał obdarować go życiem, krwawiącym jak otwarta rana. Ale przede wszystkim nienawidził człowieka, który był przyczyną całego tego nieszczęścia, owego piętna śmierci i nędzy: siebie samego. Nienawidził tych plugawych książek, którym poświęcił życie, a które

nikogo nie obchodziły. Całego swego istnienia, zatraconego w oszustwie i kłamstwie. Każdej skradzionej sekundy i każdego oddechu.

Patrzył na mnie niewidzącym, kamiennym wzrokiem, jak się patrzy na obcego lub obojętny przedmiot. Pokręciłam głową, szukając jego dłoni. Odsunął mnie szorstko i wstał. Próbowałam chwycić go za ramię, ale odepchnął mnie tak, że zatoczyłam się na ścianę. Zobaczyłam, jak bez słowa wchodzi po schodach – nieznany mi mężczyzna. Julián Carax umarł. Gdy wyszłam do ogrodu, nie było po nim śladu. Wspięłam się na mur i zeskoczyłam na drugą stronę. Puste ulice krwawiły deszczem. Zawołałam go głośno po imieniu, idąc środkiem pustej ulicy. Nikt mi nie odpowiedział. Gdy wróciłam do domu, była prawie czwarta nad ranem. W mieszkaniu unosił się dym i czuć było swąd spalenizny. Julián musiał tam być wcześniej. Pobiełam otworzyć okna. Na biurku leżało etui z piórem, które kupiłam mu lata temu w Paryżu, płacąc za nie fortunę, jako że być może należało kiedyś do Aleksandra Dumasa albo Victora Hugo. Dym wydobywał się z pieca. Otworzyłam drzwiczki i zobaczyłam, że Julián wrzucił do środka wszystkie egzemplarze powieści, których brakowało na półkach. Na skórzanych grzbietach z trudnością dawało się odczytać tytuły. Reszta zmieniła się w popiół.

Gdy kilka godzin później, koło południa, zjawiłam się w wydawnictwie, wezwał mnie Alvaro Cabestany. Stary Cabestany właściwie nie pojawiał się już w biurze i lekarze orzekli, że jego dni są policzone – to samo zresztą odnosiło się do mojej pracy w tym miejscu. Alvaro oznajmił mi, że tego dnia wcześniej rano zgłosił się mężczyzna przedstawiający się jako Laín Coubert i wyraził chęć wykupienia wszystkich posiadanych przez nas egzemplarzy powieści Juliana Caraxa. Młody Cabestany odparł, że magazyn w Pueblo Nuevo jest nimi wypełniony, ale ze względu na wielki popyt zażądał ceny wyższej niż oferowana przez Couberta. Coubert nie przystał na propozycję i odszedł niezadowolony. Teraz Cabestany chciał, żebym odnalazła rzeczzonego Laina Couberta i przyjęła jego ofertę. Wy tłumaczyłam temu głupkowi, że Lam Coubert nie istnieje, że to bohater jednej z powieści Caraxa. I że nie jest wcale zainteresowany kupowaniem powieści, tylko chciał wiedzieć, gdzie są magazynowane.

Stary Cabestany miał zwyczaj zostawiać jeden egzemplarz z każdego wydanego tytułu w bibliotece u siebie w biurze. Zakradłam się tam i zabrałam je.

Tego samego popołudnia odwiedziłam swego ojca na Cmentarzu Zapomnianych Książek i ukryłam powieści tam, gdzie nikt, a zwłaszcza Julián, nie mógł ich odnaleźć. Kiedy wyszłam, na dworze zapadł już zmierzch. Rambla – mi doszłam do Barcelonety i skręciłam na plażę, chcąc odnaleźć miejsce, z którego wraz z Julianem patrzyłam na morze. Słup ognia z magazynu w Puerto Nuevo był widoczny z daleka, na wodzie rozlewał się bursztynowy ślad, a spirale ognia i dymu wspinały się do nieba jak ogniste węże. Gdy w końcu tuż przed świtem udało się strażakom poskromić płomienie, z magazynu nie zostało nic – jedynie konstrukcja z cegieł i metalu, na której wsparty był dach. Natknęłam się na Lluisa Carbó, od dziesięciu lat pracującego tu jako nocny stróż. Przyglądał się dymiącym szczątkom, nie wierząc własnym oczom. Brwi i włosy miał osmalone, skóra błyszczała mu jak mokry brąz. Dowiedziałam się od niego, że płomienie wystrzeliły zaraz po północy i strawiły dziesiątki tysięcy książek, do świtu obróconych w rzekę popiołu. Lluis trzymał jeszcze w dłoniach kilka książek, które udało mu się uratować, zbiory wierszy Verdaguera i dwa tomy Historii rewolucji francuskiej. Tylko tyle ocalało. Jacyś ludzie ze związków zawodowych przybyli z pomocą strażakom. Jeden z nich powiedział mi, że wśród zgliszcz znaleziono ciało poparzonego mężczyzny. Uznano, że nie żyje, ale któryś z nich zauważył, że oddycha; przewieziono go do szpitala del Mar.

Rozpoznałam go po oczach. Płomienie wżarły się w jego skórę, ręce i włosy. Bicz ognia zdarły z niego ubranie i całe ciało było żywą, jęczącą się raną pośród bandażu. Leżał w jednoosobowej sali na końcu korytarza z widokiem na plażę, szpikowany morfiną i czekano, aż umrze. Chciałam wziąć go za rękę, ale jedna z pielęgniarek uprzedziła mnie, że pod bandażem prawie nie ma ciała. Ogień spalił mu powieki i jego spojrzenie wyrażało wieczną pustkę. Pielęgniarka, która zastała mnie płaczącą na podłodze, zapytała, czy wiem, kto to jest. Odpowiedziałam, że tak, że to mój mąż. Gdy pojawił się drapieżny ksiądz, żeby udzielić ostatniego namaszczenia, przegnałam go z krzykiem. Trzy dni później Julián wciąż żył. Lekarze orzekli, że to

cud, że chęć życia trzyma go na tym świecie z siłą, jakiej medycyna nawet nie próbuje sobie przypisać. Jakże się mylili. To nie była chęć życia. To była nienawiść. Tydzień później, skoro owo ciało wytrawione śmiercią nie chciało zgasnąć na zawsze, przydzielono mu oficjalnie nazwisko Miquela Molinera. Miał tak leżeć przez jedenaście miesięcy. Zawsze w milczeniu, z płonącym spojrzeniem, bez chwili wytchnienia.

Przychodziłam do szpitala codziennie. Niebawem pielęgniarki zaczęły do mnie mówić po imieniu i zapraszać do swojego pokoju. Wszystkie były kobietami samotnymi, silnymi, czekały, aż ich mężczyźni wrócą z frontu. Niektórzy wracali. Nauczyły mnie przemywać rany Juliana, zmieniać mu opatrunki, powlekać świeże prześcieradła i słać łóżko z leżącym na nim nieruchomym ciałem. Nauczyły mnie również żegnać się z nadzieją ujrzenia znów mężczyzny, któremu kiedyś te kości służyły. Po trzech miesiącach zdjęliśmy mu bandaż z twarzy. Julián był trupią czaszką. Nie miał ani ust, ani policzków. Była to twarz bez rysów, spalona kukła. Oczodoły zrobiły się ogromne i nadawały tej twarzy szczególny wyraz. Pielęgniarki nie przyznawały się do tego przede mną, ale czuły odrazę, prawie lęk. Zgodnie z zapewnieniem lekarzy w miarę gojenia na ciele chorego miała się wykształcić swego rodzaju sina powłoka przypominająca skórę gada. Nikt nie miał dość odwagi, żeby wspomnieć o stanie jego umysłu. Wszyscy zakładali, że Julián – Miquel – postradał zmysły w czasie pożaru, że wegetuje i żyje dzięki obsesyjnej opiece żony, okazującej hart ducha w sytuacji, w której wiele innych uciekłoby z przerażeniem. Ja patrzyłam w jego oczy i wiedziałam, że w środku nadal jest Julián, żywy, wypalający się powoli. Oczekujący.

Stracił wargi, ale lekarze byli zdania, że struny głosowe nie zostały uszkodzone, a oparzenia języka i krtani już dawno się zagoiły. Przypuszczali, że Julián nie wydaje głosu, gdyż zniszczony został jego umysł. Pewnego popołudnia, pół roku po pożarze, gdy byliśmy sami w pokoju, pochyliłam się i pocałowałam go w czoło.

– Kocham cię – powiedziałam.

Ze zwierzęcej szczęki, do jakiej sprowadzały się teraz jego usta, wydobył się szorstki, chrapliwy dźwięk. Oczy miał zaczerwienione od łez. Chciałam osuszyć mu je chusteczką, ale powtórzył ten sam

dźwięk.

To było: Zostaw mnie.

„Zostaw mnie”.

Wydawnictwo Cabestany zbankrutowało dwa miesiące po pożarze magazynu w Pueblo Nuevo. Stary Cabestany, który umarł w tym samym roku, przewidywał kiedyś, że syn doprowadzi firmę do ruiny w ciągu sześciu miesięcy. Niepoprawny optymista. Próbowałam znaleźć pracę w innym wydawnictwie, ale wojna obracała wszystko wniwecz. Uważano powszechnie, że szybko się skończy i będzie lepiej. Ale wojna miała trwać jeszcze dwa lata, a to, co nas oczekiwało, było chyba jeszcze gorsze. Po roku od pożaru lekarze orzekli, że zrobili to, co było do zrobienia. Wobec napiętej sytuacji potrzebna była sala szpitalna. Zasugerowano mi, żebym oddała Juliana do jakiegoś zakładu, na przykład Santa Lucia, ale odmówiłam. W październiku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku zabrałam go do domu. Od owego „zostaw mnie” nie powiedział ani jednego słowa.

Powtarzałam mu co dzień, że go kocham. Siedział w fotelu przy oknie przykryty kocem. Dawałam mu soki, grzanki z chleba i – jeśli udało mi się zdobyć – mleko. Codziennie czytałam mu przez parę godzin. Balzac, Zola, Dickens... Zaczynał nabierać ciała. Niedługo po powrocie do domu mógł już poruszać dłońmi i całymi rękoma. Kręcić głową. Czasami, gdy wracałam do mieszkania, znajdowałam na ziemi walające się koce i porzrzucone przedmioty. Pewnego dnia zobaczyłam, jak próbuje wlec się po podłodze. Półtora roku po pożarze, w burzową noc, obudziłam się o północy. Ktoś siedział na moim łóżku i gładził moje włosy. Uśmiechnęłam się, kryjąc łzy. Odnalazł jedno z moich luster, choć wydawało mi się, że wszystkie pochowałam. Łamiącym się głosem powiedział, że zamienił się w jednego ze swoich wymyślonych potworów, Laina Couberta. Chciałam go pocałować, udowodnić, że jego wygląd nie jest dla mnie odrażający, ale mi nie pozwolił. Wkrótce w ogóle nie pozwalał się dotykać. Z dnia na dzień odzyskiwał siły. Kręcił się po domu, podczas gdy ja wychodziłam w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Żyliśmy z oszczędności pozostawionych przez Miquela, ale niebawem musiałam zacząć sprzedawać biżuterię i stare graty. Gdy już nie było innego

wyjścia, wzięłam pióro Victora Hugo, kupione w Paryżu, i poszłam je sprzedać, za ile się da. Obok siedziby rządu wojskowego znalazłam sklep, który przyjmował tego typu rzeczy. Moje solenne zapewnienie, że to pióro należało do Victora Hugo, nie zrobiło na właścicielu specjalnego wrażenia, niemniej poznał się na mistrzowskiej robocie i zapłacił mi, ile mógł, zważywszy na panującą nędzę.

Gdy powiedziałam Julianowi, że je sprzedalam, bałam się, że wpadnie w gniew. Ograniczył się tylko do stwierdzenia, że dobrze zrobiłam, bo nigdy na nie nie zasługiwał. Pewnego dnia, kiedy jak zwykle wyszłam w poszukiwaniu pracy, po powrocie nie zastałam Juliana. Pojawił się dopiero nad ranem. Gdy zapytałam, gdzie się podziewał, opróżnił kieszenie płaszcz (który należał do Miquela) i wysypał na stół garść pieniędzy. Od tamtej pory zaczął wychodzić prawie co wieczór. W ciemnościach, osłonięty kapeluszem i szalikiem, w płaszczu i rękawiczkach, był jednym cieniem więcej. Nigdy mi nie mówił, dokąd idzie. Prawie zawsze przynosił pieniądze albo biżuterię. Spał w dzień, siedząc wyprostowany w fotelu, z otwartymi oczami. Kiedyś znalazłam w jego kieszeni nóż. O podwójnym ostrzu, automatyczny. Ostrze było pokryte ciemnymi plamami.

Wtedy zaczęłam słyszeć opowieści o człowieku, który rozbija w nocy wystawy księgarń i pali książki. Czasem dziwny wandal włamywał się do bibliotek lub prywatnych kolekcji. Zawsze zabierał dwie, trzy książki, które potem palił. W lutym trzydziestego ósmego roku zapytałam w antykwariacie, czy istnieje możliwość kupienia jakiejś powieści Juliana Caraxa. Powiedziano mi, że to niemożliwe: ktoś je niszczy. Mieli kilka, lecz sprzedali je bardzo dziwnemu indywiduum, ukrywającemu twarz i mówiącemu z trudem.

– Do niedawna było parę egzemplarzy w prywatnych zbiorach, tutaj i we Francji, ale kolekcjonerzy pozbywają się ich. Boją się – powiedział mi księgarz – i nie mam im tego za złe.

Czasami Julián znikał na całe dni. Niebawem jego nieobecność zaczęła przedłużać się do tygodni. Odchodził i wracał nocą. Zawsze przynosił pieniądze. Nigdy nic nie wyjaśniał, a jeśli już, to rzucał jakieś nieistotne szczegóły. Powiedział, że był we Francji. Paryżu, Lyonie, Nicei. Czasami przychodziły z Francji listy na nazwisko Laín Coubert. Od bukinistów, antykwariuszy. Któryś z nich trafił na

zaginiony egzemplarz dzieł Juliana Caraxa. Julián zniknął wtedy na kilka dni i wracał jak wilk, ziejąc spalenizną i wściekłością.

Podczas jednej z jego eskapad spotkałam kapelusznika Fortuny'ego: spacerował po dziedzińcu katedry i wyglądał jak nawiedzony. Pamiętał, jak dwa lata wcześniej złożyłam mu z Miquelem wizytę, pytając o jego syna Juliana. Zaprowadził mnie na bok i powiedział w zaufaniu, że wie, iż Julián żyje, choć widocznie z jakiegoś niepojętego powodu nie może się z nimi skontaktować. „To ma coś wspólnego z tym przeklętym Fumero”. Powiedziałam mu, że jestem tego samego zdania. Lata wojny okazały się dla Fumero czasem nader sprzyjającym. Jego sojusze zmieniały się z miesiąca na miesiąc, od anarchistów do komunistów, a od nich – do kogo się da. Jedni i drudzy przypisywali mu szpiegostwo, rozbój, bohaterstwo, zabójstwa, konspirację, intryganctwo, nazywali wyzwolicielem bądź demiurgiem. Nieważne. Grunt, że wszyscy się bali. Wszyscy chcieli go mieć po swojej stronie. Wydawało się, że Fumero zapomniał o Julianie, być może zbyt zajęty intrygami wojennej Barcelony. Przypuszczalnie, podobnie jak kapelusznik, przekonany był, że Julián uciekł i od dawna jest poza jego zasięgiem.

Pan Fortuny zapytał mnie, czy jestem starą znajomą jego syna, na co odpowiedziałam, że tak. Prosił mnie, żebym opowiedziała o Julianie, mężczyźnie, którym ten się stał, a którego on, wyznał ze smutkiem, wcale nie zna. „Życie nas rozdzieliło, rozumie pani”. Powiedział mi, że odwiedził wszystkie księgarnie Barcelony w poszukiwaniu powieści Juliana, ale nie znalazł ani jednej. Ktoś mu opowiedział, że jakiś wariat tropi je po całym mieście, żeby je palić. Fortuny był przekonany, że chodzi o Fumero. Nie zakwestionowałam tej opinii. Kłamałam, jak umiałam, z litości czy żalu, nie wiem. Twierdziłam, że, moim zdaniem, Julián wrócił do Paryża, ma się dobrze, że wiem, iż bardzo ceni kapelusznika Fortuny'ego i jak tylko okoliczności na to pozwolą, powróci. „To ta wojna – poskarżył się – gnoi wszystko”. Na odchodnym koniecznie chciał mi dać adres, swój i swej byłej żony Sophie, z którą nawiązał ponownie kontakt po wielu latach „nieporozumień”. Powiedział, że Sophie mieszka teraz w Caracas, z szanowanym lekarzem. Prowadzi własną szkołę muzyczną i

zawsze w listach pyta o Juliana.

– Wie pani, już tylko to nas łączy. Wspomnienia. W życiu popełnia się wiele błędów, panienko, a człowiek widzi to, gdy już jest stary. Proszę mi powiedzieć, czy jest pani wierząca?

Pożegnałam się, obiecując powiadomić jego i Sophie, jeśli będę mieć jakieś wieści o Julianie.

– Nic bardziej nie uszczęśliwiłoby jego matki niż wieści o nim. Wy, kobiety, idziecie za głosem serca i nie dajecie wiary głupstwu – podsumował smutno kapelusznik. – Dlatego żyjcie dłużej.

Mimo wszystkich złośliwych historii, jakie o nim słyszałam, nie mogłam stłumić w sobie współczucia wobec tego nieszczęsnego starego człowieka, któremu nie pozostawało nic innego, jak oczekiwać na powrót syna, i który wydawał się żyć nadzieją na odzyskanie straconego czasu mocą cudu sprawionego przez jednego ze świętych, nawiedzanych przezeń z wielką czcią w katedralnych kaplicach. Wyobraziłam go sobie jako potwora, złą, popędliwą istotę; tymczasem wydał mi się człowiekiem dobrym, zaślepionym być może, zagubionym jak wszyscy. Może dlatego, że przypominał mi mojego ojca, ukrywającego się przed wszystkimi i przed sobą samym w owym przytulisku książek i cieni, a może także, ponieważ łączyło nas – choć nie był tego świadom – pragnienie odzyskania Juliana, nabrałam do niego serca, stając się jego jedyną przyjaciółką. Nie mówiąc nic Julianowi, zaczęłam go często odwiedzać w mieszkaniu na rondzie San Antonio. Kapelusznik już nie pracował.

– Nie te ręce, oczy, nie ma klientów... – mawiał.

Czekał na mnie prawie w każdy czwartek i częstował kawą, ciastkami i słodyczami, samemu ledwie ich próbując. Godzinami opowiadał o dzieciństwie Juliana, o tym, jak pracowali razem nad kapeluszami, pokazywał zdjęcia. Prowadził mnie do pokoju Juliana, nietkniętego, niczym sala w muzeum, wyciągał stare zeszyty, jakieś śmiecie bez znaczenia, adorowane jak relikwie życia, które nigdy nie zaistniało, niepomny, że już je kiedyś widziałam, że słyszałam wszystkie te historie. W któryś czwartek minęłam się na schodach z lekarzem, wychodzącym właśnie od pana Fortuny. Kiedy zapytałam o zdrowie kapelusznika, spojrzał na mnie spod oka.

– Czy jest pani rodziną?

Powiedziałam, że należę do najbliższych. Wówczas lekarz wyznał, że Fortuny jest ciężko chory – zostało mu kilka miesięcy.

– Co mu jest?

– Mógłbym pani powiedzieć, że to serce, ale naprawdę zabija go samotność. Wspomnienia są gorsze niż kule.

Gdy weszłam, kapelusznik ucieszył się na mój widok i wyznał, że nie ma zaufania do tego lekarza. Wszystko to nędzne konowały, mówił. Przez całe życie był człowiekiem o silnych przekonaniach religijnych, a starość jeszcze je wyostrzyła. Wszędzie widział rękę diabła. To diabeł, jego zdaniem, mącił umysł i gubił ludzi.

– Niech pani spojrzy na wojnę i na mnie. Teraz jestem stary i słaby, ale za młodu byłem tchórzem i kanalią.

To diabeł zabrał mu rzekomo Juliana.

– Bóg nam daje życie, ale rządzi światem diabeł... – podsumował.

Popołudnia upływały nam między teologicznymi dywagacjami a kosztowaniem czerstwych ciasteczek.

Pewnego dnia powiedziałam Julianowi, że jeśli chce jeszcze zobaczyć ojca przy życiu, powinien się spieszyć. Okazało się, że po kryjomu go widuje. Siada czasem pod wieczór na drugim końcu placu, patrząc, jak kapelusznik się starzeje. Julián wołał, żeby stary zachował swojego syna w pamięci takim, jakiego go powołał do życia, nie zaś zatrzymywał obecny smutny obraz.

– Rezerwujesz go dla mnie – wypaliłam, natychmiast tego żałując.

Nic nie odpowiedział, ale przez chwilę wydawało się, że wraca mu jasność i zdaje sobie sprawę z piekła, które sobie sami wyznaczyliśmy. Prognozy lekarza szybko się sprawdziły. Pan Fortuny nie doczekał końca wojny. Znaleziono go siedzącego w fotelu, nad starymi zdjęciami Sophie i Juliana. Zaszczutego wspomnieniami.

Ostatnie dni wojny stanowiły przedsionek piekła. Miasto przeżywało walkę z daleka, jak pulsujący, głęboko wrzód. Nadeszły miesiące strzelaniny, walki, bombardowań i głodu. Duch skrytobójczych zabójstw, potyczek i konspiracji od lat zżerał duszę miasta, ale i tak wielu wołało wierzyć, że wojna jest daleko, że burza przejdzie bokiem. Oczekiwanie uczyniło to, co nieuniknione, jeszcze gorszym – o ile w ogóle było to możliwe. Gdy obudził się ból, nie było zmiłowania. Nic tak nie uczy zapomnienia jak wojna, Danielu.

Milczymy wszyscy i usiłujemy przekonać siebie, że to, co widzieliśmy, co robiliśmy, czego dowiedzieliśmy się o sobie i innych, to złudzenie, zły sen, który mija. Wojny są pozbawione pamięci i nikt nie ma dość odwagi, aby próbować je zrozumieć, póki nie umilkną wszystkie głosy zdolne opowiedzieć o tym, co zaszło, póki nie nadejdzie chwila, w której słowa zaczynają się zacierać, a wtedy powracają, z inną twarzą i innym imieniem, by pochłonąć to, co zostało.

W owym czasie Julián już prawie nie miał książek do spalenia. Była to rozrywka, która się stała czymś poważniejszym. O śmierci ojca nigdy nie mówił, choć uczyniła go ona inwalidą, w którym już nie gorzały, pożerające go na początku, złość i nienawiść. Żyliśmy w zamknięciu, docierały do nas tylko pogłoski. Dowiedzieliśmy się, że Fumero zdradził wszystkich, dzięki którym wypłynął w czasie wojny, i teraz jest na służbie u zwycięzców. Mówiono, że osobiście wymierza sprawiedliwość swoim głównym sprzymierzeńcom i protektorom – jednym strzałem w usta, roztrzaskując im głowę w piwnicach zamku Montjuïc . Machina zapomnienia rozpoczęła swoje zagłuszające działanie tego samego dnia, gdy zamilkła broń. W tamtych dniach przekonałam się, że nic nie wzbudza takich obaw jak ocalały bohater, przynaglany pragnieniem opowiedzenia wszystkiego, czego nie zdołają już nigdy opowiedzieć polegli u jego boku. Pierwsze tygodnie po upadku Barcelony były nie do opisanego. Przelano wtedy tyle samo krwi co podczas walk – albo więcej – tyle że niejawnie i po kryjomu. Gdy w końcu nastał pokój, czuć go było spokojem, jaki zalega w więzieniach i na cmentarzach, stęchłym całunem milczenia i wstydu, spowijającym duszę. Nie było niewinnych rąk ani jasnych spojrzeń. Wszyscy, którzy tam byliśmy, bez wyjątku, zabierzemy z sobą tajemnicę do grobu.

Pokój powracał, wśród podejrzeń i nienawiści, a Julián i ja żyliśmy w nędzy. Wydaliśmy wszystkie oszczędności i pozbyliśmy się łupów z nocnych wycieczek Laina Couberta, a w domu nie było już nic do sprzedania. Rozpaczliwie szukałam pracy tłumacza, maszynistki albo pomywaczki, ale najwyraźniej moja współpraca z Cabestany sprawiła, że stałam się persona non grata i obiektem niewypowiedzianych podejrzeń. Urzędnik w wytartym garniturze, z wypomadowanymi włosami i uczernionym wąsikiem, jeden z tych,

którzy setkami wydawali się wypęłać jak spod ziemi w tamtych miesiącach, napomknął, że nie było powodu, aby dziewczyna tak atrakcyjna jak ja miała się przyziemnych zajęć. Sąsiedzi, dający wiarę historii o opiece nad biednym mężem Miquelem, ciężko okaleczonym podczas wojny, przynosili nam jałmużnę w postaci mleka, sera lub chleba, czasem nawet solonych ryb czy wędlin przysyłanych przez rodziny ze wsi. Po kilku miesiącach biedowania, przekonana, że minie wiele czasu, zanim uda mi się znaleźć jakąś pracę, zdecydowałam się uknuć intrygę zapożyczoną z jednej z powieści Juliana.

Napisałam do jego matki do Caracas rzekomo w imieniu świeżo upieczonego adwokata, którego rady zmarły pan Fortuny zasięgał przed śmiercią, pragnąc uporządkować swoje sprawy. Poinformowałam ją, że skoro kapelusznik zmarł, nie pozostawiwszy testamentu, jego majątek, włącznie z mieszkaniem na rondzie San Antonio i znajdującą się tamże pracownią stanowiły teraz teoretycznie własność jej syna Juliana, przypuszczalnie przebywającego na emigracji we Francji. Jako że nie zostały spełnione warunki dziedziczenia, ona sama mieszkała zaś za granicą, adwokat, ochrzczony przeze mnie mianem Jose Marii Requejo, na pamiątkę pierwszego chłopaka, który pocałował mnie w usta, zwracał się do niej z prośbą o wszczęcie postępowania mającego na celu scedowanie tytułu własności na jej syna Juliana, z którym miał zamiar się skontaktować poprzez ambasadę hiszpańską w Paryżu. Zakładało to czasowe i przejściowe przejęcie wyżej wymienionej własności, jak również pewną gratyfikację finansową. Jednocześnie prosiłam ją o spowodowanie, by dozorca budynku przekazywał dokumenty i rachunki do kancelarii adwokata Requejo, któremu otworzyłam skrytkę pocztową i przydzieliłam fikcyjny adres opuszczonego starego garażu, dwie przecznice od zrujnowanego pałacyku Aldayów. Miałam nadzieję, że poruszona możliwością wsparcia Juliana i nawiązania z nim ponownie kontaktu, Sophie nie będzie się zastanawiać nad całym tym galimatiasem prawnym i zgodzi się nam pomagać, korzystając ze swej znakomitej sytuacji w dalekiej Wenezueli.

Kilka miesięcy później dozorca zaczął otrzymywać miesięczne przekazy pokrywające koszty utrzymania mieszkania przy rondzie San Antonio oraz wynagrodzenie przewidziane dla kancelarii adwokackiej

Jose Marii Requejo, które przekazywał czekiem na okaziciela na adres skrytki pocztowej 2321 w Barcelonie, zgodnie z dyspozycjami wydanymi listownie przez Sophie Carax. Zauważyłam, że dozorca zatrzymuje sobie comiesięczny procent, ale wolałam nic nie mówić. Dzięki temu był zadowolony i nie zadawał zbędnych pytań. Za resztę pieniędzy żyliśmy z Julianem. Tak mijały straszliwe lata, bez odrobiny nadziei. Pomału zaczęłam otrzymywać propozycje pracy jako tłumaczka. Już nikt nie pamiętał Cabestany'ego; zapanowała moda na wybaczenie i puszczanie w niepamięć starych zawiści i żalów. Żyłam w nieustannej obawie, że Fumero zacznie grzebać w przeszłości po to, by znów prześladować Juliana. Czasem przekonywałam samą siebie, że to wykluczone: na pewno uważa go za zmarłego lub o nim zapomniał. Fumero już nie był tym rzezimieszkiem co kiedyś. Teraz stał się osobą publiczną, robił karierę w obecnym reżimie i nie mógł sobie pozwolić na prześladowanie ducha Juliana Caraxa. Innym razem budziłam się o północy, z bijącym sercem i złana potem, przekonana, że policja łomocze do drzwi. Obawiałam się, że ktoś z sąsiadów nabierze podejrzeń w stosunku do tego chorego męża, który nigdy nie wychodzi z domu, a czasem szłocha głośno albo wali pięściami w ściany, i że nas zadenuncjuje. Bałam się, że Julián znowu ucieknie i zacznie polować na swoje książki, aby je palić, spalić tę resztkę, która pozostała z niego samego, i ostatecznie zatrzeć wszelkie ślady swego istnienia. Targana tyłoma lękami, zapomniałam, że się starzeję, że życie przepływa obok, że poświęciłam swoją młodość miłości do zniszczonego, pozbawionego duszy człowieka, zjawy nieledwie.

Ale lata mijały spokojnie. Czas, im bardziej jest pusty, tym szybciej płynie. Życie pozbawione znaczenia przemyka obok, jak pociąg niezatrzymujący się na stacji. Tymczasem rany wojenne zablizniały się. Znalazłam pracę w kilku wydawnictwach. Spędzałam większą część dnia poza domem. Miewałam kochanków bez imienia, z twarzami napiętowanymi rozpaczą, których spotykałam w kinie lub metrze i z którymi wymieniałam się samotnością. Potem przytłaczało mnie niewytłumaczalne poczucie winy i na widok Juliana miałam ochotę płakać, przysięgałam sobie, że nigdy więcej go nie zdradzę, jakbym była mu coś dłużna. Łapałam się na obserwowaniu w metrze czy autobusie młodszych ode mnie kobiet z dziećmi. Sprawiały

wrażenie szczęśliwych, a w każdym razie spokojnych, jakby te maleńkie istoty wypełniały sobą całą przestrzeń pozostającą bez odpowiedzi. Wspominałam wówczas dni, kiedy wyobrażałam sobie, że jestem jedną z tych kobiet, z dzieckiem w ramionach, dzieckiem Juliana. Później myślałam o wojnie i o tym, że ci, którzy brali w niej udział, też byli kiedyś dziećmi.

Gdy już nabrałam przekonania, że świat o nas zapomniał, pewien człowiek odwiedził mnie w domu. Był to młody chłopak, gołowąs, uczeń niemal, który rumienił się, gdy patrzył mi w twarz. Przyszedł zapytać o pana Miquela Molinera, rzekomo w ramach rutynowej aktualizacji danych z archiwum szkoły dziennikarskiej. Poinformował mnie, że być może pan Moliner będzie mógł pobierać miesięczną pensję, procedura wymaga jednak uzupełnienia danych. Oświadczyłam, że pan Moliner nie mieszka tutaj od początku wojny, że wyjechał za granicę. Stwierdził, że bardzo żałuje i odszedł, z oślizgłym uśmiechem i swoim trądzikiem młodego capa. Zrozumiałam, że Julián musi bezwarunkowo zniknąć z domu jeszcze tej samej nocy. W owym czasie z Juliana niewiele już pozostało. Zrobił się potulny jak dziecko i jego życie wydawało się skupiać na chwilach spędzanych ze mną wieczorami przy muzyce płynącej z radia, gdy pozwalałam, by ujmował mnie za rękę i głaskał ją w milczeniu.

Owej nocy, korzystając z kluczy od mieszkania przy rondzie San Antonio, przesłanych przez dozorcę na ręce nieistniejącego adwokata Requejo, zainstalowałam Juliana z powrotem w domu, w którym się wychował. Ulokowałam go w jego pokoju, obiecując wrócić nazajutrz i przypominając, że powinniśmy zachować ostrożność.

– Fumero znowu cię szuka – powiedziałam.

Przytaknął w roztargnieniu, jakby nie pamiętał już, kto to jest Fumero, albo niewiele go to obchodziło. Tak minęło kilka tygodni. Przychodziłam do mieszkania po północy. Pytałam go, co robił w ciągu dnia, a on patrzył na mnie, nie rozumiejąc. Spędzaliśmy noc razem, objęci, po czym odchodziłam o świcie, obiecując wrócić najszybciej, jak będę mogła. Odchodząc, zamykałam mieszkanie na klucz. Nie miał drugiego klucza. Wolałam widzieć Juliana uwięzionego niż martwego.

Nikt więcej nie zjawił się u mnie z pytaniem o męża, niemniej

rozpuściłam w okolicy plotki, że jest we Francji. Napisałam kilka listów do konsulatu hiszpańskiego w Paryżu z prośbą o pomoc w odnalezieniu obywatela hiszpańskiego o nazwisku Julián Carax, według wszelkiego prawdopodobieństwa przebywającego w mieście. Przypuszczałam, że prędzej czy później listy trafią w odpowiednie ręce. Przedsięwzięłam wszystkie możliwe środki ostrożności, ale wiedziałam, że to tylko kwestia czasu. Ludzie tacy jak Fumero nigdy nie przestają nienawidzić. Próżno się w tej nienawiści doszukiwać sensu albo powodów. Nienawidzą, tak jak oddychają.

Mieszkanie przy rondzie San Antonio stanowiło najwyższą kondygnację, właściwie strych. Odkryłam, że tuż obok schodów znajdują się drzwi na dach. Dachy budynków tworzyły sieć tarasów – na których mieszkańcy wieszali pranie – odgradzonych metrowymi murkami. Bez problemu znalazłam budynek po drugiej stronie, wychodzący na ulicę Joaquin Costa, z którego mogłam dostać się na dach, przeskoczyć murek i przejść na inny budynek przy rondzie San Antonio, tak, że nikt nie widział, bym wchodziła do tego domu lub go opuszczała. Kiedyś dostałam od dozorca list informujący mnie, jakoby sąsiedzi słyszeli jakieś hałasy dochodzące z mieszkania Fortunych. Odpisałam w imieniu adwokata Requejo, że czasami bywa tam ktoś z kancelarii w poszukiwaniu papierów lub dokumentów i nie ma powodów do niepokoju, nawet jeśli dzieje się to wieczorami. Napomknęłam też przy okazji, że pośród dżentelmenów, księgowych i adwokatów pikantny sekret zasługuje na większy szacunek niż Boże Ciało. Dozorca, poczuwając się do męskiej solidarności, odpowiedział, że nie widzi problemu i zajmie się całą sprawą.

W owych latach jedyną moją rozrywką było odgrywanie roli adwokata Requejo. Raz w miesiącu odwiedzałam ojca w Cmentarzu Zapomnianych Książek. Nigdy nie wyraził chęci poznania mojego niewidzialnego męża, a ja nigdy nie zaproponowałam, że go przedstawię. Krążyliśmy w rozmowach wokół tematu, nie dotykając go, jak wytrawni żeglarze, którzy bezbłędnie omijają majaczącą pod powierzchnią podwodną rafę, nawet na nią nie patrząc. Czasami przyglądał mi się w milczeniu i tylko pytał, czy czegoś nie potrzebuję, czy coś mógłby dla mnie zrobić. W sobotę o świcie nieraz chodziłam z Julianem nad morze. Przez tarasy na dachach wydostawaliśmy się z

drugiej strony na ulicę Joaquin Costa. Stamtąd, uliczkami Ravalu, docieraliśmy do portu. Ludzie nas omijali. Julián budził lęk nawet z daleka. Bywało, że zapuszczaliśmy się w głąb, aż do falochronu. Julián lubił siadywać na skałach, spoglądając w kierunku miasta. Spędzaliśmy w ten sposób całe godziny, prawie z sobą nie rozmawiając. Czasami szliśmy do kina i udawało nam się wejść na salę już po rozpoczęciu seansu. W ciemności nikt się Julianowi nie przyglądał. Żyliśmy pod osłoną nocy i milczenia. W miarę jak mijały miesiące, nauczyłam się mylić rutynę z normalnością, a z czasem zaczęłam wierzyć, że mój plan okazał się doskonały. Jak mogłam być tak głupia.

Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty, rok popiołów. Od zakończenia wojny minęło dopiero sześć lat i choć jej blizny dawały o sobie znać na każdym kroku, prawie nikt jej nie wspominał. Teraz mówiło się o innej wojnie, światowej, mającej przesyć świat na długo fetorem zgnilizny i podłości. Były to lata powszechnej nędzy i ubóstwa, w przedziwny sposób dające posmak pokoju, jaki spływa za sprawą niemych i kalekich – coś między współczuciem i odrazą. Po latach próżnego poszukiwania pracy jako tłumaczka znalazłam w końcu posadę korektorki w wydawnictwie założonym przez biznesmena nowych czasów, niejakiego Pedra Sanmartí. Człowiek ów zainwestował w firmę pieniądze swojego teścia, którego później oddał do domu starców nad jeziorem Bañolas i oczekiwał na przysłanie stamtąd pocztą aktu zgonu. Sanmartí, gustujący w panienkach o połowę młodszych od siebie, upajał się modnym podówczas określeniem: *selfmade man*. Tokował po angielsku z akcentem z okolic Vilanova i la Geltru, w przekonaniu, że to język przyszłości, i przybijał swoje wypowiedzi wyrazistym „okej”.

Wydawnictwo (któremu Sanmartí nadał nazwę Endymion, zatraćając – jego zdaniem – o katedralne dostojęństwo, ale odpowiednią dla firmy przynoszącą stosowne zyski) publikowało katechizmy i podręczniki *savoir – vivre*'u, tudzież budujące nowelki, których głównymi bohaterami były zakonnice, dzielni pracownicy Czerwonego Krzyża oraz szczęśliwi urzędnicy, odznaczający się wielką gorliwością apostołską. Wydawaliśmy również serię historyjek o żołnierzach amerykańskich zatytułowaną Oddział Odwaga, która cieszyła się ogromnym wzięciem wśród młodzieży złąknionej bohaterów wyglądających, jakby jedli mięso we wszystkie dni tygodnia. Zaprzyjaźniłam się z sekretarką Sanmartí, wojenną wdową Mercedes Piętro, z którą szybko poczułyśmy pokrewieństwo duchowe i mogłyśmy się porozumieć jednym spojrzeniem czy uśmiechem.

Łączyło nas bardzo wiele: los nami miotał, wiążąc nas z mężczyznami, którzy albo nie żyli, albo się ukrywali przed światem. Mercedes miała siedmioletniego syna, chorego na dystrofię mięśni, którym opiekowała się wedle swoich możliwości. Skończyła dopiero trzydzieści dwa lata, ale w jej zmarszczkach można było odczytać całą przeszłość. Przez te lata Mercedes była jedyną osobą, wobec której poczułam pokusę opowiedzenia wszystkiego, odsłonięcia swojego życia.

To od niej dowiedziałam się, że Sanmartí jest wielkim przyjacielem coraz bardziej zasłużonego inspektora Francisca Javiera Fumero. Obydwaj należeli do kamaryli postaci wyłaniających się z popiołów wojny, która niczym pajęczą siecią oplatała swymi wpływami całe miasto. Ot, nowe społeczeństwo. Pewnego dnia Fumero zjawił się w wydawnictwie. Wpadł po swego przyjaciela Sanmartí, gdyż byli umówieni na obiad. Pod byle pretekstem zaszyłam się w archiwum, dopóki nie wyszli. Gdy wróciłam do swego biurka, Mercedes wymieniła ze mną spojrzenie, które mówiło wszystko. Od tamtej pory zawsze, gdy Fumero przychodził do wydawnictwa, uprzedzała mnie, bym zdążyła się ukryć.

Nie było dnia, żeby Sanmartí nie próbował zaprosić mnie na kolację, do teatru lub kina. Odpowiadałam niezmiennie, że w domu czeka na mnie mąż, a i jego żona zapewne będzie się martwić, bo robi się późno. Pani Sanmartí, stanowiąca ekwiwalent mebla czy wymiennego sprzętu i zajmująca w sercu męża o wiele mniej miejsca niż obowiązkowe bugatti, utraciła już nieco walor przyprawy w smakowitym małżeńskim sosie, w chwili gdy fortuna teścia przeszła w ręce Pedra Sanmartí. Mercedes zdążyła mnie uprzedzić co do spodziewanych awansów szefa. Sanmartí, obdarzony bardzo ograniczoną zdolnością skupienia się na czymś w określonym miejscu i czasie, łaknął wciąż świeżych wrażeń, kierując swoje zapędy donżuana ku każdej nowej pracownicy, czyli w tym przypadku ku mnie. Chwytał się wszelkich środków, byle tylko zacząć ze mną gadkę.

– *Podobno twój mąż, ten jakiś Moliner, jest pisarzem... Może miałby ochotę napisać książkę o moim przyjacielem Fumero; już nawet mam tytuł: Fumero, bicz na przestępców albo prawo buszu. Co powiesz, Nurieto?*

– *Bardzo dziękuję, panie Sanmartí, ale Miquel jest pochłonięty swoją powieścią i nie wydaje mi się, żeby mógł w tej chwili...*

Sanmartí wybuchnął salwą śmiechu.

– *Powieść? Mój Boże, Nurieto... Powieść jest już martwa i pochowana. Tak mówił kolega, który właśnie wrócił z Nowego Jorku. Amerykanie wymyślają coś, co się nazywa telewizja, a jest jak kino, tyle że w domu. Już nie będą potrzebne książki ani msza, ani nic. Powiedz swojemu mężowi, żeby dal sobie spokój z powieściami. Gdyby jeszcze chociaż miał nazwisko, był piłkarzem albo toreadorem... Słuchaj, co ty na to, może weźmiemy bugatti i pojedziemy na paellę do Castelldefels, żeby to wszystko przedyskutować? Musisz się trochę postarać, dziewczyno... Wiesz, że chciałbym ci pomóc. I twojemu mężulkowi też. Dobrze wiesz, że w tym kraju kroku nie zrobisz, jeśli się tobą ktoś nie zaopiekuje.*

Zacząłam się ubierać jak wdowa w Boże Ciało albo jedna z tych, co to światło słoneczne biorą za grzech śmiertelny. W pracy byłam zawsze nieumalowana, z włosami upiętymi w kok. Mimo moich starań Sanmartí wciąż zasypywał mnie niedwuznacznymi propozycjami, okraszonymi owym oślizgłym, znieprawionym uśmiechem wzgardy, właściwym wszechwładnym impotentom, których nigdy nie brak w wyższych rejestrach pracowników w każdej firmie, jak nieświeżej kaszanki u rzeźnika. Parę razy umówiłam się na rozmowę w poszukiwaniu pracy, ale wcześniej czy później trafiałam na inną wersję Pedra Sanmartí. Pienili się jak grzyby na łąjnie, którym nawozili swoje firmy. Jeden z nich zadał sobie trud i zadzwonił do Sanmartí z nowiną, że Nuria Monfort za jego plecami poszukuje pracy. Sanmartí wezwał mnie do gabinetu, dotknięty moją niewdzięcznością. Położył mi dłoń na policzku w geście pieśczości. Palce cuchnęły mu tytoniem i potem. Cała zeszywniałam.

– *Laleczko, jeśli nie jesteś zadowolona, wystarczy, że mi powiesz. Co mogę zrobić, żeby poprawić ci warunki pracy? Wiesz, jak bardzo cię cenię, i boli mnie, kiedy dowiaduję się od osób trzecich, że chcesz nas opuścić. Może byśmy poszli gdzieś na kolację i się pogodzili?*

Zdjęłam jego dłoń ze swojej twarzy, nie mogąc ukryć obrzydzenia.

– *Rozczarowujesz mnie, Nurio. Muszę ci wyznać, że nie widzę w tobie zaangażowania ani wiary w przyszłość firmy.*

Mercedes już mnie uprzedziła, że prędzej czy później coś takiego nastąpi. Kilka dni potem Sanmartí, który znajomością gramatyki mógł konkurować z orangutanem, zaczął zwracać wszystkie poprawiane przeze mnie rękopisy, twierdząc, że roją się od błędów. Niemal dzień w dzień zostawałam w biurze do dziesiątej albo jedenastej wieczorem, przepisując w nieskończoność stronicę podkreślone przez Sanmartí.

– *Zbyt wiele czasowników w czasie przeszłym. Takie ble, ble, bez nerwu... Po średniku pisze się dużą literą, każdy to wie...*

Czasami Sanmartí również zostawał dłużej, zamknięty w gabinecie. Mercedes próbowała kręcić się koło niego, ale wysyłał ją do domu. Gdy zostawaliśmy w wydawnictwie sami, podchodził do mojego biurka.

– *Za dużo pracujesz, Nurieto. Praca to nie wszystko. Trzeba się trochę rozerwać. Jesteś jeszcze młoda. Choć młodość przemija i nie zawsze umiemy ją wykorzystać.*

Siadał na brzegu mojego biurka i przyglądał mi się badawczo. Czasami stawał za moimi plecami i czułam we włosach jego cuchnący oddech. Albo kładł mi ręce na ramionach.

– *Co jesteś taka spięta, dziewczyno. Rozluźnij się.*

Trzęsłam się, chciałam krzyknąć albo uciec i nie wracać więcej do tego biura, ale potrzebowałam pracy i tej nędznej pensji. Pewnego wieczoru Sanmartí zaczął swoje poklepywania, stając się nagle bardzo gwałtowny.

– *Kiedyś stracę przez ciebie głowę – jęknął.*

Jednym skokiem uwolniłam się z jego łap i pobiegłam do wyjścia, wlokąc za sobą torebkę i płaszcz. Za plecami słyszałam jego śmiech. Na schodach zderzyłam się w mroku z kimś, kto zdawał się prześlizgiwać korytarzem, nie dotykając podłogi.

– *Kogóż to widzę, pani Moliner...*

Inspektor Fumero posłał mi swój gadzi uśmiech.

– *Tylko niech mi pani nie mówi, że pracuje pani dla mojego dobrego przyjaciela Pedra Sanmartí. On, tak jak ja, jest w swoim fachu najlepszy w branży. A jak się miewa pani mąż?*

Pojełam, że moje dni są policzone. Następnego dnia w biurze rozniosła się plotka, że Nuria Monfort jest lesbą, gdyż nie reaguje na wdzięki i czosnkowy oddech don Pedra Sanmartí, a zadaje się z

Mercedes Piętro. Ten i ów spośród obiecujących młodych ludzi zatrudnionych w firmie zapewniał, że nieraz widział, jak ta „para dziwek” obcałowywała się w archiwum. Owego popołudnia przed wyjściem Mercedes spytała, czy może ze mną chwilkę porozmawiać. Nie śmiała spojrzeć mi w oczy. Poszliśmy do kawiarni na rogu, nie odzywając się do siebie. Przy stoliku Mercedes powiedziała mi, że Sanmartí wyraził wobec niej niezadowolenie z naszej zażyłości i oświadczył, że zna z raportów policji moją przeszłość walczącej komunistki.

– *Nurio, ja nie mogę stracić tej pracy. Muszę pielęgnować syna...*

Wybuchła płaczem, trawiona wstydem i upokorzeniem, postarzała, jakby w jednej chwili przybyło jej lat.

– *Nie przejmuj się, Mercedes. Rozumiem cię.*

– *Ten człowiek, Fumero, depcze ci po piętach, Nurio. Nie wiem, co ma przeciwko tobie, ale widać to po nim...*

– *Wiem.*

Kiedy przyszedłam do pracy w poniedziałek, okazało się, że moje biurko jest zajęte przez jakieś kościste i wybrylantynowane indywiduum. Osobnik ów przedstawił się jako Salvador Benades, nowy korektor.

– *A pani kim jest?*

Ani jedna osoba w biurze nie spojrzała na mnie ani nie odezwała się słowem, gdy zbierałam swoje rzeczy. Już na schodach dogoniła mnie Mercedes, wręczając mi kopertę zawierającą plik banknotów oraz monety.

– *Każdy prawie dał, co mógł. Weź, proszę. Nie dla siebie, dla nas.*

Tamtej nocy poszłam do mieszkania przy rondzie San Antonio. Julián czekał jak zwykle, siedząc w ciemności. Powiedział, że napisał dla mnie wiersz. Była to pierwsza rzecz, jaką napisał od dziewięciu lat. Chciałam przeczytać, ale w jego ramionach wreszcie coś we mnie pękło. Opowiedziałam mu wszystko, bo już nie miałam siły. Bo bałam się, że Fumero prędzej czy później go odnajdzie. Julián wysłuchał tego w milczeniu, obejmując mnie i gładząc moje włosy. Pierwszy raz od lat poczułam, że nareszcie mogę się na nim wesprzeć. Chciałam go pocałować, chora z samotności, ale Julián nie miał warg ani ciała, by

mi je ofiarować. Zasnęłam w jego ramionach, skulona na jego chłopięcym tapczaniku. Gdy się obudziłam, nie było go. O świcie usłyszałam jego kroki na dachu, lecz udałam, że jeszcze śpię. Parę godzin później, tego samego dnia, usłyszałam w radiu informację, ale nie bardzo rozumiałam, o co chodzi. Na ławce w alei Borne znaleziono ciało mężczyzny; zmarły siedział ze skrzyżowanymi na kolanach rękoma i spoglądał na bazylikę Santa María del Mar. Chmara gołębi, wydziobujących mu oczy, zwróciła uwagę jakiegoś przechodnia, który zawiadomił policję. Trup miał skrzyżowany kark. Pani Sanmartí zidentyfikowała zwłoki – było to ciało męża, Pedra Sanmartí Monegala. Teść zmarłego, otrzymawszy wiadomość w przytułku w Bañolas, wznosił do nieba dziękczynienie i powiedział, że teraz może umrzeć w spokoju.

Julián napisał kiedyś, że przypadkowe zdarzenia są bliźniami losu. Nic jednak nie dzieje się przypadkowo, Danielu. Jesteśmy marionetkami naszej nieświadomości. Przez lata chciałam wierzyć, że Julián nadal jest tym mężczyzną, w którym się zakochałam, albo jego prochami. Że wśród biedy i nadziei jakoś wyjdziemy na prostą. Że Laín Coubert umarł i wrócił na karty powieści. Ludzie są gotowi uwierzyć we wszystko, tylko nie w prawdę.

Zabójstwo Sanmartí otworzyło mi oczy. Zrozumiałam, że Lam Coubert jest żywy i przytupuje diabelskim kopytem. W pełni sił. Rozgościł się w strawionym przez płomień ciała człowieka, po którym nie pozostał nawet głos, i karmi się jego pamięcią. Odkryłam, że znalazł sposób wychodzenia z mieszkania przy rondzie San Antonio i wchodzenia tam przez okno otwarte na dymnik, bez konieczności forsowania drzwi, które zawsze za sobą zamykałam. Odkryłam, że Laín Coubert, przebrany za Juliana, przemierzał miasto, wstępując do pałacyku Aldayów. Odkryłam, że, wiedziony szaleństwem, wrócił do krypty i potłukł nagrobki, że wyciągnął trumnę Penélope i jej syna. „Cożeś zrobił, Julianie?”

W domu czekała policja, żeby mnie przesłuchać w związku ze śmiercią wydawcy Sanmartí. Zabrano mnie na komisariat; po pięciu godzinach oczekiwania w ciemnym pokoju zjawił się ubrany na czarno Fumero i poczęstował mnie papierosem.

– *Pani i ja moglibyśmy być dobrymi przyjaciółmi, pani Moliner. Moi ludzie mówią, że pani męża nie ma w domu.*

– *Mąż mnie zostawił. Nie wiem, gdzie jest.*

Wymierzony przez Fumero policzek zwałił mnie z krzesła. Skuliłam się w kącie, zdjeta strachem. Bałam się podnieść wzrok. Fumero przyklęknął przy mnie i chwycił mnie za włosy.

– *Słuchaj dobrze, głupia ruro: znajdę go i wtedy zabiję was oboje. Najpierw ciebie, żeby widział, jak wypruwam ci flaki. A jego zaraz*

potem, jak tylko mu powiem, że druga dziwka, którą wysłał do grobu, była jego siostrą.

– Najpierw on zabije ciebie, skurwysynu.

Fumero splunął mi w twarz i puścił mnie. Pomyślałam, że zacznie mnie bić, ale usłyszałam jego kroki oddalające się korytarzem. Roztrzęsiona wstałam i otarłam sobie krew z twarzy. Mogłam wyczuć na skórze zapach ręki tego człowieka, ale tym razem śmierdziała strachem.

Trzymali mnie jeszcze w tym pokoju, po ciemku i bez wody, przez sześć godzin. Gdy mnie wypuścili, była już noc. Lało jak z cebra i ulice dymiły oparami. Mieszkanie przedstawiało sobą straszny widok. Ludzie Fumero musieli już tam być. Wśród poprzewracanych mebli, półek, powyrywanych szuflad wałały się moje podarte ubrania i zniszczone książki Miquela. Łóżko pokryte było ekskrementami, na ścianie ktoś wysmarował nimi słowo „kurwa”.

Pobiegłam na rondo San Antonio, klucząc, by upewnić się, że żaden ze zbirów Fumero nie dotarł za mną do ulicy Joaquin Costa. Przedostałam się na drugą stronę po dachach mokrych od deszczu i zobaczyłam, że drzwi od mieszkania są zamknięte. Weszłam ostrożnie, ale echo moich kroków potwierdzało pustkę. Juliana nie było. Czekałam na niego aż do świtu, siedząc w ciemnej jadalni i słuchając burzy. Kiedy szarość poranka musnęła drzwi od balkonu, weszłam na dach i ogarnęłam spojrzeniem miasto, przygniecione ołowianym niebem. Wiedziałam, że Julián tu nie wróci. Straciłam go na zawsze.

Zobaczyłam go ponownie dwa miesiące później. Wieczorem weszłam do kina, sama, nie mając sił wrócić do pustego i zimnego mieszkania. W połowie filmu, który był stekiem głupot o miłostkach między rumuńską księżniczką, spragnioną przygody, i przystojnym amerykańskim reporterem o wyjątkowo trwałej fryzurze, ktoś usiadł koło mnie. Nie pierwszy raz. Kina tamtej epoki prześladowane były plagą widm, które zalatywały samotnością, moczem i wodą kolońską i wysuwały spocone drżące ręce jak blade płaty mięsa. Już chciałam wstać i zawołać biletera, gdy rozpoznałam profil Juliana. Chwycił mnie mocno za rękę i tak siedzieliśmy, patrząc na ekran i nic nie widząc.

– To ty zabiłeś Sanmartí? – spytałam cicho.

– Ktoś za nim tęskni?

Rozmawialiśmy szeptem, ścigani uważnymi spojrzeniami samotnych mężczyzn siedzących naokoło, dręczonych zazdrością w obliczu ewidentnego sukcesu mrocznego konkurenta. Zapytałam, gdzie się ukrywał, ale nie odpowiedział.

– Jest jeszcze jeden egzemplarz *Cienia wiatru* – szepnęła. – Tu, w Barcelonie.

– Mylisz się, Julianie. Wszystkie zniszczyłeś.

– Wszystkie poza jednym. Wygląda na to, że ktoś sprytniejszy ode mnie schował go w miejscu, w którym nigdy bym na niego nie trafił. Ty.

W takich okolicznościach usłyszałam o tobie po raz pierwszy. Pewien gadatliwy i pyszałkowaty księgarz nazwiskiem Gustavo Barceló rozpowiadał kolekcjonerom, że znalazł egzemplarz *Cienia wiatru*. W świecie antykwariuszy wszystko odbija się echem. Nie minęło kilka miesięcy, jak Barceló zaczął otrzymywać propozycje od zbieraczy z Berlina, Paryża i Rzymu, zainteresowanych książką. Tajemnicza ucieczka Juliana z Paryża po krwawym pojedynku i pogłoski o jego śmierci podczas hiszpańskiej wojny domowej nadały jego dziełom wartość rynkową, o jakiej nikt nie śnił. Czarna legenda o człowieku bez twarzy, który łupi księgarnie, biblioteki i prywatne kolekcje, po czym książki pali, tylko zwiększała zainteresowanie i sprawiała, że ceny rosły. „Nie możemy sobie darować przedstawienia”, mawiał Barceló.

Do Juliana, który wciąż gonił za cieniem własnych słów, plotka dotarła szybko. Dowiedział się, że Gustavo Barceló nie miał książki, ale prawdopodobnie egzemplarz był w posiadaniu chłopaka, który przez przypadek go znalazł i, zafascynowany treścią powieści i jej zagadkowym autorem, nie myślał się jej pozbywać, traktując ją jak największy skarb. Tym chłopakiem byłeś ty, Danielu.

– Na miłość boską, Julianie, nie zamierzasz chyba skrzywdzić dzieciaka... – szepnęłam niepewnie.

Julián powiedział mi wtedy, że wszystkie ukradzione i zniszczone przez niego książki należały do ludzi, którzy nie byli do nich przywiązani, którzy się ograniczali jedynie do handlowania nimi albo

trzymali je jako ciekawostkę dla kolekcjonerów oraz hodujących kurz i mole dyletantów. Ty, który odmawiałaś sprzedaży książki bez względu na cenę i próbowałaś wydobyć Caraxa z mroków przeszłości, wzbudzałaś w nim szczególną sympatię, a nawet szacunek. Nic nie dając ci poznać, Julián obserwował cię i badał twoje zachowanie.

– Być może, gdy się przekonasz, kim i czym jestem, postanowi spalić książkę.

Z Juliana było owo wyraźne i niezmałcone przekonanie właściwe wariatom, którzy się uwolnili od hipokryzji kurczowego trzymania się rzeczywistości, pozbawionej znamion sensu.

– Kim jest ten chłopak?

– Nazywa się Daniel. Jego ojciec ma księgarnię, do której często zaglądał Miquel, na ulicy Santa Ana. Chłopak mieszka z ojcem nad sklepem. Stracił matkę w dzieciństwie.

– Wydaje się, jakbyś mówił o sobie.

– Może. Ten chłopak przypomina mi samego siebie.

– Daj mu spokój, Julianie. To jeszcze dziecko. Jedyńą jego zbrodnią jest to, że cię podziwiał.

– To nie zbrodnia, to naiwność. Przejdzie mu. Może wtedy zwróci mi książkę. Gdy przestanie mnie podziwiał i zacznie rozumieć.

Na chwilę przed końcem filmu Julián wstał i oddalił się pod osłoną cienia. Miesiącami widywaliśmy się w ten sposób, po ciemku, w kinach i pustych uliczkach o północy. Zawsze mnie odnajdował. Czułam jego milczącą obecność, nie widząc go. Czasem wspominał cię, wówczas zaś słyszałam w jego głosie coś, jakby dziwną miękkość, która go krępowała, a która – jak mi się wydawało – wygasła w nim lata temu. Dowiedziałam się, że wrócił do pałacyku Aldayów i mieszka tam w charakterze trochę ducha, a trochę żebraka, stąpając po ruinach swego życia i pilnując prochów Penélope i ich syna. To było jedyne miejsce na świecie, które jeszcze uważał za swoje. Są więzienia gorsze od słów.

Chodziłam tam raz na miesiąc, żeby się upewnić, czy nic mu nie jest albo po prostu, czy żyje. Przeskakiwałam przez rozwalony płot na tyłach, niewidoczny od ulicy. Nieraz go tam spotykałam, czasem znikał. Zostawiałam mu jedzenie, pieniądze, książki... Czekałam na niego godzinami, aż do zmierzchu. Czasem odważałam się zapuścić w

głęb domu. Dzięki temu zorientowałam się, że zniszczył nagrobki w krypcie i wyciągnął trumny. Nie uważałam, że jest wariatem, ani też nie wzbudzała we mnie odrazy ta profanacja; widziałam w niej tragiczną logikę. Jeśli go zastawałam, rozmawialiśmy godzinami, siedząc przy ogniu. Julián wyznał mi, że próbował znowu pisać. Nie mógł. Mówił o swoich książkach tak, jakby je tylko przeczytał, jakby były dziełem innej osoby. Widać było bolesne ślady tych prób. Odkryłam, że wrzuca do ognia stronicę zapisane w okresie, kiedy się nie widywaliśmy. Pewnego razu pod jego nieobecność wyciągnęłam z popiołu plik kartek. Mówiły o tobie. Pamiętam słowa Juliana, że tworząc książkę, autor pisze list do siebie samego po to, by opowiedzieć sobie rzeczy, o których inaczej nigdy by się nie przekonał. Od dawna nękała Juliana myśl, czy nie postradał zmysłów. Czy szaleńiec wie, że jest szaleńcem? Czy też pomyleni są i ci inni, próbujący usilnie wmówić mu brak rozumu, żeby uchronić go przed złudzeniami? Julián przyglądał ci się, widział, jak dorastasza, i zastanawiał się, kim jesteś. Czy przypadkiem twoja obecność nie jest cudem, wybaczeniem, na które musi zapracować, pokazując ci, jak nie popełniać tych samych błędów. Nieraz zadawałam sobie pytanie, czy Julián nie wmówił sobie, zgodnie z ową pokrętną logiką własnego wszechświata, że przemieniłeś się w syna, którego stracił, stałeś się czystą niezapisaną kartą, a on może teraz zacząć spisywać na nowo ową historię, której nie mógł wymyślić, ale którą mógł wspominać.

Mijały lata życia w opustoszałej rezydencji, a Julián coraz bardziej angażował się w twoje życie i twoje sprawy. Opowiadał mi o twoich przyjaciółkach, jakiejś kobiecie imieniem Klara, w której się zakochałeś, twoim ojcu, człowieku, którego podziwiał i cenił, twoim przyjacielem Ferminie i o dziewczynie, w której chciał widzieć drugą Penélope – twojej Bei. Mówił o tobie jak o synu. Szukaliście się wzajemnie, Danielu. On chciał wierzyć, że twoja niewinność uratuje go przed nim samym. Przestał szukać i palić swoje książki w amoku zacierania śladów pozostawionych przez siebie w życiu. Uczył się na pamięć świata poprzez twoje oczy, odzyskiwał w tobie chłopca, którym był. Gdy pierwszy raz przyszedłeś do mnie, poczułam, że już cię znam. Udawałam podejrzliwość, żeby ukryć strach, jaki we mnie wzbudzałeś. Czułam lęk przed tobą, przed tym, czego mógłbyś się dowiedzieć. Nie

chciałam dawać wiary Julianowi, że rzeczywiście wszyscy jesteśmy połączeni dziwnym łańcuchem trafu i przeznaczenia. Bałam się rozpoznać w tobie Juliana, którego utraciłam. Wiedziałam, że ty i twoi przyjaciele grzebiecie w naszej przeszłości. Że wcześniej czy później odkryjesz prawdę – ale w odpowiedniej chwili, gdy będziesz mógł zrozumieć jej znaczenie. I wiedziałam też, że w końcu kiedyś ty i Julián spotkacie się. I to był błąd. Bo wiedział o tym ktoś jeszcze, kto przeczuwał, że z czasem zaprowadzisz go do Juliana: Fumero.

Zrozumiałam, co się dzieje, gdy już nie było odwrotu, ale wciąż miałam nadzieję, że zgubisz ślad, zapomnisz o nas, albo że życie, twoje, nie nasze, zawiedzie cię gdzieś daleko, w bezpieczne miejsce. Życie nauczyło mnie nie tracić nadziei, ale też się do niej zbytnio nie przywiązywać. Jest okrutna i próżna, wolna od skrupułów. Fumero od dawna depcze mi po piętach. Wie, że prędzej czy później wpadnę. Nie spieszy mu się, dlatego jego działanie wydaje się niezrozumiałe. Żyje zemstą. Na wszystkich i na sobie samym. Gdyby odebrać mu zemstę, wściekłość, rozplątałby się. Wie, że ty i twoi przyjaciele zaprowadzicie go do Juliana. Wie, że po prawie piętnastu latach nie mam już ani sił, ani sposobów ratunku. Widział, jak umieram przez całe lata, i teraz tylko czeka, żeby zadać mi decydujący cios. Nigdy nie miałam wątpliwości, że umrę z jego ręki. Teraz wiem, że ta chwila nadchodzi. Oddam te stronicie memu ojcu, z prośbą, żeby ci je przekazał, jeśli coś mi się stanie. Błagam Boga, którego nigdy nie spotkałam, żebyś ich nie przeczytał, czuję jednak, że moim przeznaczeniem, wbrew mej woli i płonnym nadziejom, jest wręczyć ci tę historię. Twoim – mimo twej młodości i niewinności – wyrwać ją z pęt.

Gdy będziesz czytać te słowa, ten karcer wspomnień, już nie będę mogła się z tobą pożegnać tak, jakbym chciała, nie będę mogła prosić cię, byś wybaczył nam, zwłaszcza Julianowi, i byś się nim opiekował, gdy mnie zabraknie. Wiem, że nie mogę cię prosić o nic poza tym, żebyś się ratował. Te wszystkie strony przekonały mnie być może, że – nieważne, co się stanie – zawsze będę miała w tobie przyjaciela, że jesteś moją jedyną i prawdziwą nadzieją. Z wszystkiego, co napisał Julián, najbliższa mi jest prawda, że póki nas ktoś pamięta, wciąż żyjemy. Tak jak tyle razy zdarzyło mi się wobec Juliana, na długo, zanim go spotkałam, czuję, że cię znam, i jeśli mogę komukolwiek

zaufać, to tobie. Wspomnij mnie, Danielu, choćby gdzieś w ciszy i potajemnie. Nie pozwól mi odejść.

Nuria Monfort

Cień wiatru
1955

Świtało, gdy skończyłem czytać manuskrypt Nurii Monfort. To była moja historia. Nasza historia. W zagubionych krokach Caraxa rozpoznawałem teraz nieodwracalnie swoje. Wstałem, gnany jakimś przemożnym pragnieniem, i zacząłem miotać się po pokoju niczym zwierzę w klatce. Wszystkie moje wahania, obawy, zastrzeżenia obracały się teraz w proch, traciły znaczenie. Zmęczenie, wyrzuty sumienia, strach odbierały mi resztki sił, czułem jednak, że nie wytrwam w tym miejscu, nie chcąc podjąć wątku własnego działania. Narzuciłem płaszcz, włożyłem rękopisy do wewnętrznej kieszeni i zbiegłem schodami w dół. Gdy wychodziłem z bramy, zaczynał padać śnieg i niebo rozpływało się w leniwych świetlnych łzach, które znikwały w oddechu. Ruszyłem w kierunku placu Cataluña; wokół nie było żywej duszy. Na środku placu widniała samotna sylwetka starego człowieka, a może anioła dezertera, zwieńczona siwą plerezą i spowita w obszerny, popielaty płaszcz. Ów król poranka wznosił oczy ku niebu i daremnie usiłował schwytać płatki śniegu dłonią w rękawiczce, śmiejąc się przy tym serdecznie. Gdy go mijalem, spojrzał na mnie i uśmiechnął się ze smutkiem, jakby potrafił wczytać się w moją duszę. Miał złociste oczy, jak zaczarowane monety migające na dnie jeziora.

– Powodzenia – zdawało mi się, że powiedział.

Próbowałem uchwycić się tych życzeń i przyspieszyłem kroku, modląc się w duchu, żeby nie było za późno i żeby Bea, Bea mojej historii, jeszcze na mnie czekała.

Gardło piekło mnie z zimna, gdy zdyszany dotarłem do domu, w którym mieszkali Aguilarowie. Śnieg zaczynał zamarzać. Na swoje szczęście w bramie zobaczyłem opartego o framugę don Saturna Molledę, dozorcę i (według relacji Bei) ukrytego poetę surrealistycznego. Don Saturno wyszedł kontemplować śnieżny spektakl ze szczotką w dłoni, owinięty w co najmniej trzy szaliki i obuty w szturmowe kamasze.

– Sypie się łupież Boga – stwierdził zachwycony, cytując jakieś swoje inedita na temat śniegu.

– Idę do państwa Aguilarów – oznajmiłem.

– Wiadomo, że kto rano wstaje, temu pan Bóg daje, ale pan, młodzieńcze, prosi go chyba o stałą pensję.

– To sprawa bardzo pilna. Czekają na mnie.

– *Ego te absolvo* – wyrecytował, błogosławiąc mnie znakiem krzyża.

Wpadłem na schody i popędziłem na górę. Po drodze obliczałem swoje szansę z pewną rezerwą. Jeśli dopisze mi szczęście, drzwi otworzy jedna ze służących, której opór zamierzałem bezpardonowo przełamać. W przypadku braku fartu będzie to ojciec Bei – zważywszy na wczesną porę. Wolałem trzymać się nadziei, że w zaciszu nie nosi przy sobie broni, w każdym razie nie przed śniadaniem. Nim zastukałem do drzwi, przez kilka chwil usiłowałem złapać oddech i zebrać myśli, żeby móc sklecić kilka słów. Ale nieważne. Zastukałem trzykrotnie. Piętnaście sekund później powtórzyłem operację, potem znowu, nie zważając na zimny pot występujący mi na czoło ani na łomotanie serca. Gdy drzwi się otworzyły, wciąż miałem jeszcze kołatkę w ręku.

– Czego chcesz?

Oczy mego starego przyjaciela Tomasa przewiercały mnie na wylot. Lodowate i pulsujące wściekłością.

– Chcę zobaczyć się z Beą. Możesz mi rozwalić głowę, jeśli chcesz, ale nie odejdę, póki z nią nie porozmawiam.

Tomás nie odrywał ode mnie nieruchomego spojrzenia. Zastanawiałem się, czy przetrąci mi kark od razu, bez ceregieli. Przełknąłem ślinę.

– Mojej siostry nie ma.

– Tomás ...

– Bea odeszła.

W jego głosie słyhać było żal i udrękę, nie do końca pokrywane wściekłością.

– Odeszła? Dokąd?

– Myślałem, że wiesz.

– Ja?

Nie zważając na zaciśnięte pięści i twarz Tomasa, niosące z sobą groźbę, wślizgnąłem się do środka.

– Bea? – krzyknąłem. – Bea, to ja, Daniel...

Zatrzymałem się w połowie korytarza. Mieszkanie zwracało echo mojego głosu z pogardą właściwą dla pustych pomieszczeń. Ani pan Aguilar, ani jego żona, ani służba nie pojawili się w odpowiedzi na moje krzyki.

– Nie ma nikogo. Mówiłem ci – odezwał się za mną Tomás . – A teraz wynoś się i nie wracaj. Mój ojciec przysiągł, że cię zabije, a ja nie będę mu w tym przeszkadzał.

– Na miłość boską, Tomás . Powiedz mi, gdzie jest twoja siostra.

Patrzył na mnie jak ktoś, kto nie jest pewien, czy powinien splunąć, czy pójść dalej.

– Bea odeszła z domu. Rodzice drugi dzień szukają jej wszędzie jak szaleni. Policja też.

– Ale...

– Wtedy wieczorem, kiedy wróciła ze spotkania z tobą, ojciec już na nią czekał. Uderzeniami w twarz rozkrwawił jej usta, ale nie martw się, nie wydała cię. Nie jesteś jej wart.

– Tomás ...

– Milcz. Następnego dnia rodzice zabrali ją do lekarza.

– Dlaczego? Jest chora?

– Chora na ciebie, durniu. Moja siostra jest w ciąży. Nie mów, że nie wiedziałeś.

Poczułem, że wargi mi drżą, a po całym ciele rozchodzi się przenikliwie zimno. Odjęło mi mowę, wzrok się zmącił. Chciałem się powlec do wyjścia, ale Tomás chwycił mnie za ramię i pchnął na ścianę.

– Co jej zrobiłeś?

– Tomás , ja...

Oczy miał wywrócone z wściekłości. Pierwszy cios pozbawił mnie tchu. Osunąłem się na podłogę, plecami wsparty o ścianę. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Straszliwy uchwyt przytrzymał mnie za gardło i uniósł znad podłogi, wbijając w ścianę.

– Co jej zrobiłeś, skurwysynu?

Próbowałem się uwolnić, ale Tomás powalił mnie jednym ciosem

w twarz. Zapadłem się w nieprzeniknioną ciemność, moją głowę ogarnął płomień bólu. Runąłem na posadzkę korytarza. Próbowałem się jakoś czołgać, ale Tomás złapał mnie za kołnierz płaszcza i wywlókł za próg. Po czym zrzucił ze schodów jak śmieć.

– Jeśli coś się stało Bei, przysięgam, że cię zabiję – powiedział, stojąc w drzwiach.

Dźwignąłem się na kolana, błagając w duchu, bym choć na sekundę mógł odzyskać głos. Drzwi się zatrzasnęły, zostawiając mnie w ciemnościach. Uświadomiłem sobie przeszywające pieczenie w lewym uchu; dotknąłem głowy, skręcając się z bólu. Poczułem ciepłą krew. Próbowałem się jakoś podnieść. Brzuch, na którym zatrzymał się pierwszy cios Tomasa, palił mnie w męce, która dopiero się zaczynała. Z trudem zsunąłem się po schodach. Don Saturno na mój widok potrzęsął głową.

– Ładne kwiatki, niech pan wejdzie na chwilę i się pozbiera...

Pokręciłem głową, trzymając się obiema rękami za brzuch. Lewa skroń pulsowała mi, jakby kości miały oderwać się od ciała.

– Jest pan cały zakrwawiony – powiedział niespokojnie don Saturno.

– Nie pierwszy raz.

– Niech się pan tak dalej bawi, a nie będzie miał pan więcej okazji. Proszę dalej, zadzwonię do lekarza, jeśli wolno.

Udało mi się dotrzeć do bramy i uwolnić od dobrej woli dozorczy. Śnieg sypał coraz gęściejszy, przykrywając chodniki welonem białego szronu. Lodowaty wiatr przenikał przez moje ubranie, był jak okład na krwawiącą ranę na mojej twarzy. Nie wiem, czy płakałem z bólu, z wściekłości czy ze strachu. Śnieg obojętnie unosił z sobą mój tchórzliwy szloch, kiedy wlokłem się, w oproszonym poranku, jeszcze jeden cień, znaczący za sobą bruzdy w łupieżu Boga.

2

Gdy zbliżałem się do skrzyżowania z ulicą Balmes, zauważyłem, że trzymając się chodnika, jedzie za mną samochód. Ból głowy zmienił się w zawroty, sprawiające, że chwiałem się i przytrzymywałem ścian. Samochód zatrzymał się; wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Przerażliwy gwizd w moich uszach zagłuszył hałas silnika czy też nawoływania tych dwóch, ubranych na czarno, którzy schwycili mnie pod ręce i pospiesznie zaciągnęli do samochodu. Opadłem na tylne siedzenie, targany straszliwymi mdłościami. Światło zapalało się i gasło jak fala oślepiającej jasności. Dotarło do mnie, że samochód rusza. Czyjeś ręce obmacały moją twarz, głowę i żebra. Ktoś zabrał mi rękopis Nurii Monfort, natrafiwszy na niego w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Chciałem się bronić, ale ręce miałem jak z waty. Drugi mężczyzna pochylił się nade mną. Pojąłem, że coś do mnie mówi, gdyż owionął mnie jego oddech. Wydawało mi się, że zobaczę rozpalającą się twarz Fumero i poczuję na gardle ostrze jego noża. Czyjeś spojrzenie spotkało się z moim i nim rozplynęły się we mnie pokłady świadomości, zdołałem jeszcze rozpoznać bezzębny wierny uśmiech Fermina Romero de Torres.

Obudziłem się mokry od potu na całym ciele. Czyjeś ręce podtrzymywały mnie mocno za ramiona, na łożu, które wydawało mi się otoczone gromnicami, jak w kaplicy cmentarnej. Z prawej strony zobaczyłem twarz Fermina. Uśmiechała się, ale nawet nie będąc w pełni władz, mogłem zauważyć w niej niepokój. Obok niego stał don Federico Flaviá, zegarmistrz.

– Zdaje się, że wraca do siebie, Ferminie – powiedział don Federico. – Może mu zrobię trochę rosółu, żeby odzyskał siły?

– Nie zaszkodzi mu. A przy okazji mógłby pan przygotować mi kanapeczkę z czego bądź, bo z tych nerwów naszedł mnie niemiłosierny głód.

Federico oddalił się z godnością, zostawiając nas samych.

– Gdzie jesteście, Ferminie?

– W bezpiecznym miejscu. Technicznie rzecz ujmując, znajdujemy się w mieszkanku należącym do znajomych don Federica, któremu zawdzięczamy co najmniej życie. Złe języki nazwałyby je garsonierą, ale dla nas to sanktuarium.

Spróbowałem usiąść. Ból ucha dawał o sobie znać piekącym pulsowaniem.

– Będę głuchy?

– Głuchy to może nie, ale o mało co nie został pan na pół mongołkiem. Jeszcze trochę, a ten furjat Aguilar zrobiłby panu z mózgu kaszkę.

– To nie stary Aguilar mnie pobił. To Tomás .

– Tomás? Pański przyjaciel wynalazca?

Przytaknąłem.

– Czymś się pan musiał zasłużyć.

– Bea uciekła z domu... – zacząłem.

Fermín zmarszczył brwi.

– Proszę dalej.

– Jest w ciąży.

Fermín zatrzymał na mnie nieruchomy wzrok. Pierwszy raz jego twarz przybrała wyraz surowy i nieprzenikniony.

– Niech pan tak na mnie nie patrzy, Ferminie, na miłość boską.

– A co mam zrobić? Rozdawać cygara?

Spróbowałem wstać, ale powstrzymały mnie ból i ręce Fermina.

– Muszę ją odnaleźć.

– Nie tak szybko, moja rybko. Pan nigdzie nie dojdzie. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest dziewczyna, a po nią pójdę.

– Nie wiem, gdzie jest. r

– Prosiłbym jednak o nieco więcej szczegółów.

Don Federico pojawił się w drzwiach, wnosząc parującą filizankę rosołu. Uśmiechnął się do mnie ciepło.

– Jak się czujesz, Danielu?

– O wiele lepiej, dziękuję, don Federico.

– Weź te tabletki i popij rosołem.

Wymienił szybkie spojrzenie z Ferminem, który skinął głową.

– Przeciwbólowe.

Połknąłem tabletki i popiłem trochę rosołu. Czuć go było jerezem. Don Federico, uosobienie dyskrecji, wyszedł z pokoju i zamknął drzwi. Wtedy zauważyłem, że Fermín trzyma na kolanach manuskrypt Nurii Monfort. Zegar podzwaniający na nocnym stoliku wskazywał pierwszą; domyśliłem się, że po południu.

– Wciąż jeszcze pada śnieg?

– Żeby to padał. Istny potop białego puchu.

– Przeczytał pan? – zapytałem.

Fermín przytaknął.

– Muszę odnaleźć Beę, zanim będzie za późno. Chyba wiem, gdzie jest.

Usiadłem na łóżku, odsuwając ręce Fermina. Rozejrzałem się dookoła. Ściany falowały jak wodorosty pod powierzchnią stawu. Sufit odpływał. Ledwie mogłem się utrzymać na siedząco. Fermín bez trudu położył mnie znowu na łóżku.

– Nigdzie pan nie idzie, Danielu.

– Co to były za tabletki?

– Zesłane przez Morfeusza. Będzie pan spał jak zabity.

– Nie, teraz nie mogę...

Zacząłem bełkotać, aż powieki mi opadły i świat zgasł. To był czarny i pusty sen, jak tunel. Sen winowajcy.

Za oknem czaił się już zmierzch, gdy rozproszyły się resztki tego przygniatającego letargu i otworzyłem oczy w ciemnym pokoju, oświetlonym blaskiem dwóch mrugających na nocnym stoliku świec. Fermín, rozwalony na fotelu w kącie, chrapał z siłą godną mężczyzny trzykrotnie większej postury. U jego stóp, porzucone w żalonym beładzie, leżały stronice manuskryptu Nurii Monfort. Ból głowy złagodniał do powolnego, ciepłego pulsowania w skroni. Ostrożnie wymknąłem się z sypialni i znalazłem się w niewielkim pokoiku z balkonem i drzwiami wychodzącymi chyba na klatkę schodową. Mój płaszcz i buty leżały na krześle. Przez okno wpadała purpurowa zorza, znaczona cętkami tęczy. Podeszedłem do balkonu i stwierdziłem, że dalej pada. Dachy połowy Barcelony powlekły się bielą i szkarłatem. W dali widniały wieże szkoły technicznej, wyłaniające się spośród

mgły, skąpanej ostatnim tchnieniem słońca. Szyba była oszroniona. Napisałem na niej palcem:

Idę po Beę. Proszę nie iść za mną. Wrócę niebawem.

Pewność dopadła mnie po przebudzeniu, jakby ktoś nieznajomy pod – szepnął mi prawdę we śnie. Wyszedłem na klatkę schodową i spuściłem się po schodach na ulicę. Ulica Urgel była rzeką błyszczącego piasku, z którego wyłaniały się latarnie i drzewa, jak maszty wśród gęstej mgły. Wiatr podmuchami wysypywał śnieg. Poszedłem do stacji metra Hospital Clinico i zanurzyłem się w tunel oparów i używanego ciepła. Hordy barcelończyków, mylących zwykle śnieg z cudem, dyskutowały o niezwykłości pogody. Popołudniówki podawały wiadomość na pierwszej stronie, wraz ze zdjęciem zaśnieżonej Rambli i fontanny Canaletas ociekającej stalaktytami. „ŚNIEŻYCA STULECIA”, krzyczały tytuły. Opadłem na ławkę na peronie i wciągnąłem w płuca zapach tuneli i sadzy, który niesie z sobą hałas niewidzialnych pociągów. Po drugiej stronie torów, na reklamie wychwalającej uroki wesołego miasteczka w Tibidabo, widać było błękitny tramwaj, rozjarzony jak na karnawał, za nim zaś rysowała się sylwetka pałacyku Aldayów. Zastanowiłem się, czy Bea, zagubiona w Barcelonie tych, którzy odpadli z gry, nie zauważyła przypadkiem tego właśnie plakatu i nie zrozumiała, że poza tym nie ma dokąd pójść.

3

Zaczynało już zmierzchać, gdy wynurzyłem się ze schodów metra. W opustoszałej alei Tibidabo rysowały się nieskończoną fugą rzędy cyprysów i pałaców, spowitych całunem grobowego światła. Na przystanku dostrzegłem błękitny tramwaj; dzwoneczek konduktora rozcinał wiatr. Przyspieszyłem i gdy tramwaj już prawie ruszał, wskoczyłem na stopnie. Konduktor, stary znajomy, wziął ode mnie monety, mrużąc coś pod nosem. Usiadłem w środku, osłonięty od śniegu i zimna. Mroczne rezydencje przesuwają się powoli za oknami pokrytymi szronem. Konduktor patrzył na mnie z ową mieszaniną obawy i zaczepności, którą osadził mu na twarzy chłód.

– Numer trzydzieści dwa, młody człowieku.

Odwróciłem się i ujrzałem widmową sylwetkę domu Aldayów nacierającą na nas jak dziób mrocznego okrętu, ledwie dostrzegalnego we mgle. Tramwaj zatrzymał się gwałtownie. Wysiadłem, uciekając przed wzrokiem konduktora.

– Powodzenia – wymamrotał.

Patrzyłem, jak tramwaj odjeżdża w górę ulicy, aż w końcu słychać już było tylko echo dzwoneczka. Ogarnął mnie głęboki cień. Ruszyłem wzdłuż ogrodzenia, szukając szczeliny w murze z tyłu budynku. Kiedy przeskakiwałem mur, zdawało mi się, że na przeciwległym chodniku słyszę zbliżające się po śniegu kroki. Znieruchomiałem na chwilę. Noc zapadała nieubłaganie. Odgłos kroków ucichł, zmieciony przez wiatr. Zanurzyłem się w ogród, po drugiej stronie. Wszystkie chaszczki obrosły w kryształowe pędy. Obalone posągi aniołów leżały pokryte całunami z lodu. Powierzchnia fontanny zmieniła się w czarne, połyskliwe lustro, z którego wystawały kamienne szpony pogrążonego anioła, jak szabla z obsydianu. Z palca wskazującego zwisały lodowe łyzy. Oskarżycielska dłoń anioła wskazywała wprost na wpółotwarte drzwi wejściowe.

Wszedłem po schodkach, w nadziei, że nie jest za późno. Nie

staralem się wytłumiać echa swoich kroków. Popchnąłem drzwi i zanurzyłem się w korytarz. Orszak świec kierował się do wnętrza domu. Świec zapalonych przez Beę, niemal dogorywających. Poszedłem za nimi i zatrzymałem się u stóp schodów. Orszak wspinał się na pierwsze piętro. Ruszyłem w górę za własnym cieniem załamującym się na ścianach. Znalazłszy się na korytarzu pierwszego piętra, stwierdziłem, że jeszcze dwie świece zachodzą w głąb korytarza. Trzecia migotała przed dawnym pokojem Penélope. Zbliżyłem się i delikatnie zapukałem w drzwi.

– Julián? – dobiegł mnie drżący głos.

Ująłem klamkę z zamiarem wejścia, nie wiedząc już, kto mnie oczekuje po drugiej stronie. Otworzyłem powoli.

Bea patrzyła na mnie z kąta, owinięta w koc. Podbiegłem do niej i objąłem ją w milczeniu. Poczulem, że jest skąpana łzami.

– Nie wiedziałam, dokąd pójść – wyszeptała. – Dzwoniłam do ciebie kilka razy do domu, ale nikt nie odbierał. Przestraszyłam się...

Otarła oczy dłońmi i wpatrzyła się we mnie z uwagą. Przytaknąłem i nie musiała już nic więcej mówić.

– Dlaczego powiedziałaś do mnie Julián?

Rzuciła spojrzenie w stronę niedomkniętych drzwi.

– On tu jest. W tym domu. Wchodzi i wychodzi. Kiedyś zobaczył, jak usiłowałam się tu dostać. Nic nie mówiłam, ale on i tak wiedział, kim jestem. Wiedział, co się wydarzyło. Przyprowadził mnie do tego pokoju, przyniósł koc, wodę, coś do jedzenia. Prosił, żebym czekała. Że wszystko będzie dobrze. Powiedział, że przyjdiesz po mnie. W nocy rozmawialiśmy przez kilka godzin. Opowiadał mi o Penélope, o Nurii... przede wszystkim o tobie, o nas. Mówił, że musi pokazać ci, jak o nim zapomnieć...

– Gdzie jest teraz?

– Na dole. W bibliotece. Powiedział, że czeka na kogoś i że mam się stąd nie ruszać.

– Na kogo?

– Nie wiem. Powiedział, że ten ktoś przyjdzie z tobą, że ty go za sobą sprowadzisz...

Gdy wyjrzałem na korytarz, u stóp schodów już było słycać kroki. Rozpoznałem blady cień, rozwleczone po ścianach jak pajęczyna,

czarny płaszcz, kapelusz, opadający niczym kaptur, i rewolwer, błyszczący w dłoni na kształt kosy. Fumero. Zawsze mi kogoś lub coś przypominał, ale aż do tej chwili nie wiedziałem, co to było.

4

Zdusiłem palcami płomień świec i dałem Bei znak, żeby milczała. Chwyła mnie za rękę i spojrzała z pytaniem w oczach. Pod naszymi stopami słyhać było powolne kroki Fu – mero. Zaprowadziłem Beę do pokoju i nakazałem, żeby tam została, schowana za drzwiami.

- Nie wychodź stąd, cokolwiek by się działo – szepnąłem.
- Nie zostawiaj mnie teraz, Danielu. Proszę.
- Muszę uprzedzić Caraxa.

Bea spojrzała na mnie błagalnie, ale wyszedłem szybko na korytarz, zanim bym się zawahał. Przemknąłem do głównych schodów. Nie było śladu cienia Fumero ani echa jego kroków. Widocznie zatrzymał się gdzieś w jakimś ciemnym miejscu, nieruchomo. Cierpliwie. Znów wycofałem się na korytarz i okrążyłem galerię pokoi, dochodząc do głównej fasady. Zasnute lodem okno przesączało przez cztery szyby wiązki niebieskawego światła, mętnego jak stojąca woda. Podeszedłem do okna i zobaczyłem czarny samochód zaparkowany przed główną bramą. Poznałem auto porucznika Pala – ciosa. Żar jarzącego się w ciemności papierosa zdradzał jego obecność za kierownicą. Powoli wróciłem do schodów i zacząłem zstępować, ostrożnie stawiając stopy. W połowie zatrzymałem się, badając mrok na parterze.

Fumero zostawił otwarte drzwi wejściowe. Wiatr zgasił świece i wdmuchiwał kłęby śniegu. Śnieżna kurzawa wirowała pod sklepieniem, w tunelu sypkiej jasności wyznaczającej ruiny pałacu. Zszedłem jeszcze cztery stopnie niżej, opierając się o ścianę. Błysnęły szyby szaf z biblioteki. Nadal nie wiedziałem, gdzie się podział Fumero. Zastanawiałem się, czy nie zszedł do piwnicy albo do krypty. Wpadający z zewnątrz śnieżny pył zacierał jego ślady. Dotarłem na dół schodów i rzuciłem okiem w stronę korytarza prowadzącego do wejścia. Lodowaty wiatr ciał mi twarz. Z ciemności wyłaniały się szpony anioła zatopionego w fontannie. Spojrzałem w drugą stronę.

Wejście do biblioteki znajdowało się z dziesięć metrów od wejścia na schody. Prowadzący do niej przedsionek osłonięty był mrokiem. Zrozumiałem, że Fumero mógł mnie obserwować niezauważony, z odległości kilku metrów od miejsca, w którym stałem. Próbowałem przeniknąć wzrokiem ciemność, nieprzeniknioną jak woda w studni. Wziętem głębszy oddech i powłócząc nogami, pokonałem na ślepo odległość dzielącą mnie od wejścia do biblioteki.

Wielka owalna sala spowita była mdłym światłem, naznaczonym plamkami cienia rzucanego przez padający za oknami gęsty śnieg. Omiotłem wzrokiem nagie ściany, szukając Fumero, zaczajonego być może przy drzwiach. Mniej więcej dwa metry na prawo ode mnie wystawał ze ściany jakiś przedmiot. Przez chwilę wydało mi się, że się przesuwają, ale był to tylko odbłask księżyca na ostrzu wbitego w ścianę noża albo scyzoryka o podwójnym ostrzu. Nóż przytrzymał prostokątną kartkę czy może kartonik. Z bliska rozpoznałem przyszytowany do ściany obrazek. Była to odbitka nadpalonej fotografii, którą ktoś podrzucił na ladę w księgarni. Na zdjęciu Julián i Penélope, zaledwie kilkunastoletni, uśmiechali się do życia, które nie wiedzieć kiedy, już im umknęło. Ostrze noża przenikało pierś Juliana. Zrozumiałem wówczas, że to nie Lam Coubert ani Julián Carax zostawił to zdjęcie jak zaproszenie. Był to Fumero. Zdjęcie stanowiło zatrutą przynętę. Uniosłem dłoń, żeby wyrwać nóż, ale wstrzymał mnie lodowaty dotyk rewolweru Fumero na karku.

– Wizerunek wart jest więcej od tysiąca słów, Danielu. Gdyby twój ojciec nie był marnym księgarzyna, już by cię tego nauczył.

Powoli odwróciłem się i znalazłem się twarzą wobec lufy. Śmierdziała świeżym prochem. Trupia twarz Fumero uśmiechała się, wykrzywiona strachem.

– Gdzie jest Carax? ! – Daleko stąd. Wiedział, że pan po niego przyjdzie. Wyjechał.

Fumero patrzył na mnie stężalym wzrokiem.

– Rozwałę ci facjatę, dziecińo.

– Nic to panu nie da. Caraxa tu nie ma.

– Otwórz usta – rozkazał Fumero.

– Otwórz usta, bo ci je otworzę jednym strzałem.

Rozchyliłem wargi. Fumero wepchnął mi rewolwer w usta.

Poczułem, że zbiera mi się na mdłości. Kciuk Fumero naciągnął iglicę.

– A teraz, nieszczęsny, zastanów się, czy masz jakiś powód, żeby dalej żyć. No więc?

Przytaknąłem powoli.

– To gdzie jest Carax?

Spróbowałem coś wybełkotać. Fumero wyjął powoli rewolwer.

– Gdzie?

– Na dole. W krypcie.

– Idź pierwszy. Chcę, żebyś tam był, gdy będę opowiadał temu skurwysynowi, jak jęczała Nuria Monfort, kiedy jej wsadziłem nóż w...

Ten ktoś pojawił się nie wiadomo skąd. Ponad ramieniem Fumero zobaczyłem, że ciemność zafalowała mglistą zasłoną i jakaś postać bez twarzy, o rozszarżonych oczach, skrada się ku nam w absolutnej ciszy, ledwie dotykając podłogi. Fumero dojrzał jej odbicie w moich wezbranych łzami źrenicach i zmienił się na twarzy.

Nim się odwrócił i wystrzelił w otaczający go płaszcz ciemności, dwie skórzane macki, o nieokreślonych konturach i kształcie, chwyciły go za gardło. Były to ręce Juliana Caraxa, wyłonione z ognia. Carax odrzucił mnie na bok i pchnął Fumero na ścianę. Inspektor ścisnął rewolwer i usiłował wycelować go pod brodę Caraxa. Zanim zdążył nacisnąć spust, Carax złapał go za przegub i zaczął walić jego ręką o ścianę. Fumero nie puścił jednak rewolweru. W ciemności rozległ się drugi strzał. Kula trafiła w ścianę i wyrwała dziurę w drewnianej listwie. Drzazgi i płonące iskry obsypały twarz inspektora. Śwąd osmalonego ciała wypełnił całą salę.

Fumero próbował uwolnić się od tych rąk, które trzymały go za szyję i przygwoździły do ściany rewolwer. Carax nie puszczał zdobyczy. Fumero ryknął z wściekłości i wykręcił głowę, wgryzając się w pięść Caraxa. Ogarnęła go zwierzęca furia. Usłyszałem chrzęst zębów rozdzierających martwą skórę i ujrzałem wargi Fumero we krwi. Carax, ignorując ból czy też niezdolny go poczuć, chwycił za nóż. Jednym szarpnięciem wyciągnął go ze ściany i na oczach przerażonego Fumero przybił jego prawy przegub do ściany brutalnym ciosem, zagłębiając ostrze w drewnianą framugę aż po rękojeść. Fumero wydał straszliwy ryk agonii. Jego pięść rozwarła się spazmatycznie i rewolwer upadł mu do stóp. Carax jednym

kopniakiem posłał go w ciemność.

Horror tej sceny przesunął się przed moimi oczami w zaledwie kilka sekund. Czułem się sparaliżowany, niezdolny cokolwiek uczynić bądź wyartykułować jakąkolwiek myśl. Carax zwrócił się do mnie i wbił we mnie wzrok. Patrząc na niego, zdołałem odtworzyć jego zatarte rysy, które tyle razy sobie wyobrażałem, na podstawie fotografii i opowiadań.

– Zabierz stąd Beatriz, Danielu. Ona wie, co macie zrobić. Nie zostawiaj jej. Niech nikt ci jej nie odbierze. Nikt ani nic. Dbaj o nią. Bardziej niż o własne życie.

Chciałem przytaknąć, ale mój wzrok pobiegł w kierunku Fumero, który szarpał się z nożem przeszywającym mu przegub. Wyrwał go wreszcie i upadł na kolana, podtrzymując krwawiącą rękę.

– Zjeżdżaj – warknął Carax.

Fumero patrzył na nas z podłogi, ślepy z nienawiści, trzymając zakrwawiony nóż w lewym ręku. Carax poszedł do niego. Usłyszałem zbliżające się szybkie kroki i zrozumiałem, że Palacios zaalarmowany strzałami przybywa swojemu szefowi z pomocą. Zanim Caraxowi udało się wyrwać nóż z ręki Fumero, Palacios wtargnął do biblioteki z przygotowaną do strzału bronią.

– Cofnąć się – rozkazał.

Obrzucił szybkim spojrzeniem Fumero, który usiłował się dźwignąć, po czym przyjrzał się nam, najpierw mnie, a potem Caraxowi. Wyczułem w tym spojrzeniu przerażenie i wątpliwości.

– Powiedziałem cofnąć się.

Carax zatrzymał się i cofnął. Palacios patrzył na nas zimno, zastanawiając się, jak rozwiązać sytuację. Jego oczy spoczęły na mnie.

– Ty, wynoś się. To ciebie nie dotyczy. Jazda.

Zawahałem się przez chwilę. Carax skinął głową.

– Stąd nikt nie wyjdzie – uciął Fumero. – Palacios, daj mi swój rewolwer.

Palacios milczał.

– Palacios – powtórzył Fumero, wyciągając zakrwawioną dłoń.

– Nie – mruknął Palacios przez zaciśnięte zęby.

W obłąkanym wzroku Fumero pojawiły się pasja i wzgarda. Inspektor chwycił broń Palaciososa i odepchnął go gwałtownie.

Wymieniłem spojrzenia z Palaciosem i już wiedziałem, co się stanie. Fumero powoli uniósł broń. Ręka mu drżała, rewolwer błyszczał, zalany krwią. Carax cofał się krok po kroku, szukając cienia, ale nie miał drogi odwrotu. Lufa rewolweru przesuwiała się za nim. Poczułem, jakby wszystkie mięśnie przypalił mi ogień wściekłości. Śmiertelny grymas na twarzy Fumero, oblizującego wargi z szaleństwa i furii, spał mnie jak uderzeniem z bicia. Palacios patrzył na mnie z wyrazem odmowy. Zignorowałem go. Carax już się poddał – stał nieruchomo na środku sali, czekając na kulę.

Fumero mnie nie widział. Dla niego istniał tylko Carax i zakrwawiona dłoń stopiona w jedno z rewolwerem. Dopadłem go jednym skokiem. Moje stopy oderwały się od ziemi, aby już nigdy więcej jej nie dotknąć. Świat zastygł w powietrzu. Odgłos strzału dobiegł mnie z daleka, jak echo oddalającej się burzy. Nie było bólu. Uderzenie przeszło moje żebra. Pierwszy wybuch był tępy, jakby żelazny łom uderzył mnie z niewypowiedzianą furią i odrzucił w pustkę na kilka metrów, powalając na ziemię. Nie poczułem upadku, choć miałem wrażenie, że ściany zbiegają się ku sobie, a sufit opada błyskawicznie, jak gdyby miał zamiar mnie zgnieść.

Czyjaś ręka trzymała mnie pod głową i zobaczyłem pochylającą się nade mną twarz Juliana Caraxa. W moim widzeniu Carax wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałem, jakby płomień nigdy nie pozbawił go oblicza. Zobaczyłem niezrozumiałą dla mnie zgrozę w jego wzroku. Widziałem, jak kładzie dłoń na mojej piersi, i zastanowiłem się, co to za parująca ciecz wypływa spomiędzy jego palców. Wówczas poczułem okropny ogień, jak oddech żagwi pożerający moje wnętrzności. Z moich ust chciał się wydobyć krzyk, ale rozplynął się, zdławiony ciepłą krwią. Rozpoznałem obok siebie twarz Palaciosą, złamaną żalem. Podniosłem wzrok i wtedy ją zobaczyłem. Bea szła powoli od drzwi biblioteki; na jej twarzy malowało się przerażenie, drżące dłonie przyłożyła do ust. Kręciła głową przecząco, w milczeniu. Chciałem ją ostrzec, ale gryzące zimno rozchodziło się po moich ramionach i nogach, cięciami noża otwierając sobie drogę do mojego ciała.

Fumero czekał ukryty za drzwiami. Bea nie zauważyła jego obecności. W chwili, kiedy Carax poderwał się jednym skokiem, a Bea

gwałtownie się obróciła, rewolwer inspektora sięgał jego czoła. Palacios rzucił się, żeby powstrzymać Fumero. Spóźnił się. Carax już się nad nim pochylał. Usłyszałem jego daleki krzyk, wzywający imienia Bei. Sala rozjarzyła się blaskiem wystrzału. Kula przeszła prawą rękę Caraxa. Chwilę później mężczyzna bez twarzy zwałił się na Fumero. Pochyliwszy się, zobaczyłem, jak Bea, cała i zdrowa, biegnie w moją stronę. Poszukałem Caraxa gasnącym wzrokiem, ale go nie znalazłem. Na jego miejscu pojawiła się inna postać. Był to Lam Coubert, dokładnie taki, jaki wzbudzał we mnie strach, gdy czytałem pewną książkę wiele lat temu. Tym razem szpony Couberta zanurzyły się w oczach Fumero i szarpnęły, jakby o coś zahaczyły. Zdażyłem zobaczyć nogi inspektora wleczone przez drzwi biblioteki, jego ciało skręcające się w konwulsjach, podczas gdy Coubert ciągnął je bezlitośnie w kierunku wyjścia, kolana, uderzające o marmurowe stopnie, i śnieg sypiący mu w twarz; zdażyłem zobaczyć, jak człowiek bez twarzy chwytą Fumero za kark i podnosząc do góry jak kukielkę, rzuca do zamarznętej sadzawki, jak dłoń anioła przeszywa pierś inspektora na wylot, a przekłeta dusza rozpierzcha się w postaci pary i czarnego tchu, lodowatymi łzami opadającego na lustro wody, podczas gdy powieki Fumero drżą, by wreszcie zamrzeć, a oczy powlekają się siateczką szronu.

Wówczas zapadłem się, niezdolny patrzeć ani sekundę dłużej. Ciemność barwiła się białym światłem, a twarz Bei oddalała się w tunelu mgły. Zamknąłem oczy i poczułem ręce Bei na swojej twarzy i oddech jej głosu błagającego Boga, żeby mnie nie zabierał, szepczącego, że mnie kocha i że nie pozwoli mi odejść, nie pozwoli mi odejść. Pamiętam tylko, że oderwałem się od tego przywidzenia z zimna i światła, że nappełnił mnie dziwny spokój, zabierając ból i ogień spopielający moje wnętrzości. Zobaczyłem siebie samego, spacerującego po ulicach tamtej zaczarowanej Barcelony, za rękę z Beą – starsi państwo. Zobaczyłem swego ojca i Nurię Monfort, składających białe róże na moim grobie. Zobaczyłem Fermina, szlochającego w ramionach Bernardy, i mego starego przyjaciela Tomasa, zamilkłego na zawsze. Zobaczyłem ich tak, jak się widzi nieznajomych, z pociągu, który odjeżdża zbyt szybko. I wtedy, nie wiedząc nawet, jak to się dzieje, przypomniałem sobie twarz matki,

której obraz zatraciłem przed tylu laty, jakby spomiędzy kartek książki wysunął się zagubiony wycinek. Jej światło było wszystkim, co towarzyszyło mi podczas odejścia.

Post mortem
27 listopada 1955 roku

Pokój tonął w bieli, wśród płócien i zasłonek utkanych z mgielki i słońca. Z mego okna widać było nieskończone, błękitne morze. Pewnego dnia ktoś będzie chciał mnie przekonać, że nie, że z kliniki Corachán nie widać morza, że jej pokoje nie tchną powiewną bielą, a morze w owych listopadowych dniach było zimną, nieprzyjazną plamą ołowiu, że przez cały tydzień padał śnieg, grzebiąc słońce i całą Barcelonę pod metrową warstwą, i nawet Fermín, wieczny optymista, myślał, że znowu umrę.

Umarłem już wcześniej, w karetce, w ramionach Bei i porucznika Palaciososa, który zapaprał sobie moją krew służbowy garnitur. Kula – mówili lekarze, sądząc, że ich nie słyszę – strzaskała mi dwa żebra, drasnęła serce, przecięła arterię i wyleciała bokiem, zabierając ze sobą wszystko, co napotkała na drodze. Moje serce przestało bić na sześćdziesiąt cztery sekundy. Podobno gdy powróciłem ze swojej wycieczki w nieskończoność, otworzyłem oczy i uśmiechnąłem się, zanim straciłem przytomność.

Dopiero osiem dni później odzyskałem świadomość. Gazety zdążyły już opublikować wiadomość o śmierci zasłużonego inspektora policji Francisca Javiera Fumero podczas zajścia z bandą uzbrojonych złoczyńców i władze zajęte były poszukiwaniem ulicy lub pasażu, któremu można by nadać jego imię. W starym pałacyku Aldayów odnaleziono tylko jego zwłoki. Ciało Penélope i jej syna nigdy nie odnaleziono.

Obudziłem się o świcie. Pamiętam światło koloru płynnego złota, rozlewające się po pościeli. Śnieg przestał padać i ktoś zamienił morze za moim oknem na biały plac, na którym było widać niewiele więcej poza kilkoma huśtawkami. Mój ojciec, zapadnięty w krzesło koło łóżka, podniósł wzrok i przyglądał mi się w milczeniu. Uśmiechnąłem się do niego, a on zaczął płakać. Fermín śpiący spokojnie na korytarzu i Bea trzymająca jego głowę na kolanach usłyszeli płacz ojca, lament przechodzący w krzyk, i weszli do pokoju. Pamiętam, że Termin był chudy i blady jak śledź. Podobno w

moich żyłach płynęła jego krew, gdyż całą swoją straciłem, a mój przyjaciel co dzień opychał się kanapkami z polędwicą w szpitalnym bufecie, hodując czerwone ciałka na wypadek gdybym jeszcze potrzebował krwi. Być może to tłumaczyło, dlaczego czułem w sobie więcej mądrości, a mniej Daniela. Pamiętam cały las kwiatów i że tego popołudnia, lub może dwie minuty później, nie umiem powiedzieć, przewinęli się przez pokój wszyscy, od Gustava Barceló i jego siostrzenicy Klary, po Bernardę i mego przyjaciela Tomasa, który nie śmiał spojrzeć mi w oczy, a gdy go uścisnąłem, poderwał się i wybiegł z płaczem na ulicę. Niejasno przypominam sobie don Federica, który zjawił się w towarzystwie Merceditas i profesora Anacleta. Nade wszystko pamiętam Beę, przyglądającą mi się w milczeniu, podczas gdy wszyscy wiwatowali i zanosili do nieba dziękczynne modły, a także mego ojca, przez siedem nocy śpiącego na tym krześle i modlącego się do Boga, w którego nie wierzył.

Gdy lekarze kazali całemu towarzystwu opuścić pokój, bym mógł oddać się wypoczynkowi, którego wcale nie pragnąłem, ojciec zbliżył się na chwilę i powiedział, że przyniósł moje pióro wieczne, należące niegdyś do Victora Hugo, oraz zeszyt, gdybym chciał pisać. Od drzwi Fermín zapewniał, że konsultował się z całym gremium lekarskim kliniki, które mu obiecało, że nie będę musiał służyć w wojsku. Bea ucałowała mnie w czoło i zabrała ojca, żeby trochę odetchnął powietrzem, gdyż nie opuścił mego pokoju przez ponad tydzień. Zostałem sam, pokonany zmęczeniem, i zapadłem w sen, spoglądając na etui mego pióra leżące na nocnym stoliku.

Obudziły mnie kroki na korytarzu i zdało mi się, że widzę sylwetkę ojca u stóp łóżka, a być może był to doktor Mendoza, niespuszczający ze mnie oka w przekonaniu, że moje życie graniczy z cudem. Gość obszedł łóżko i usiadł na krześle ojca. Miałem sucho w ustach i nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Julián Carax podniósł do moich ust szklankę wody, podtrzymując mi głowę, gdy piłem. W oczach miał pożegnanie i wystarczyło, że w nie spojrzałem, bym zrozumiał, że nigdy nie dowiedział się, kim naprawdę była Penélope. Nie pamiętam dokładnie jego słów ani dźwięku jego głosu. Wiem tylko, że wziął mnie za rękę, i czułem, że prosi, bym żył za niego i nigdy więcej go nie szukał. Pamiętam za to, co ja mu powiedziałem.

Poprosiłem, żeby wziął pióro, które od zawsze należało do niego, i znowu zaczął pisać.

Gdy się obudziłem ponownie, Bea przecierała mi twarz chustką zwilżoną wodą kolońską. Nic nie rozumiejąc, zapytałem, gdzie jest Carax. Spojrzała na mnie zaniepokojona i odrzekła, że Carax zniknął podczas burzy osiem dni temu, zostawiając ślad krwi na śniegu, i wszyscy mają go za umarłego. Powiedziałem, że nie, że był tutaj ze mną przed kilkoma sekundami. Bea uśmiechnęła się do mnie, nic nie mówiąc. Pielęgniarka badająca moje tętno pokręciła głową powoli, tłumacząc, że spałem sześć godzin, ona zaś siedziała przy biurku naprzeciwko moich drzwi i w tym czasie nikt nie wchodził do pokoju.

Tej nocy, gdy próbowałem zasnąć, obróciłem głowę na poduszce i stwierdziłem, że pudełko jest otwarte, a pióro zniknęło.

Wiosenne wody
1956

Bea i ja pobraliśmy się w kościele Santa Ana dwa miesiące później. Pan Aguilar, który od tamtej pory zwraca się do mnie monosylabami i będzie tak robił do końca świata, wobec niemożności otrzymania mojej głowy na tacy oddał mi rękę swej córki. Zniknięcie Bei osłabiło jego furię i teraz wydawał się żyć w stanie permanentnego przestrawu, pełen rezygnacji wobec tego, że niebawem jego wnuk nazwie mnie tatą i że los, posłużony się bezczelnym łobuzem, zreperowanym po rewolwerowej kuli, skradł mu dziewczynkę, którą on, mimo dwuogniskowych szkieł, wciąż widział taką, jaka była w dniu Pierwszej Komunii, ani dnia starszą. Na tydzień przed uroczystością ojciec Bei zjawił się w księgarni, aby uścisnąć mi dłoń i podarować złotą spinkę do krawata, należącą niegdyś do jego ojca.

– Bea to jedyna dobra rzecz, jaką zrobiłem w życiu – powiedział mi. – Dbaj o nią, proszę.

Mój ojciec odprowadził go do drzwi i patrzył za nim, jak oddalał się ulicą Santa Ana, z owym zrozumieniem i z melancholią, charakterystycznymi dla mężczyzn starzejących się w tym samym czasie.

– To nie jest zły człowiek, Danielu – powiedział. – Każdy kocha na swój sposób.

Doktor Mendoza, wątpiący w moją zdolność utrzymania się na nogach dłużej niż pół godziny, ostrzegł mnie, że zamieszanie związane ze ślubem i przygotowaniem nie jest najlepszym lekarstwem dla kogoś, kto o mało nie zostawił serca na sali operacyjnej.

– Proszę się nie obawiać – uspokoiłem go. – Nie dają mi nic robić.

Mówiłem prawdę. Fermín Romero de Torres zmienił się w absolutnego mistrza i dyrygenta ceremonii, bankietu i całej reszty. Proboszcz, dowiedziawszy się, że narzeczona ma przystąpić do ołtarza w stanie błogosławionym, kategorycznie odmówił udzielenia ślubu i zagroził przywołaniem cieniów inkwizycji, by nie dopuścić do uroczystości. Fermín wpadł w furię i wyciągnąwszy go z kościoła, krzyczał na wszystkie strony świata, że jegomość niegodny jest

sutanny, parafii, i jeśli choć okiem mrugnie, to on, Fermín, zrobi taki skandal w kurii, że za nikczemną niegodziwość ksiądz zostanie zesłany na Gibraltar, żeby tam nauczał małpy – albo skazany na coś gorszego. Kilku przechodniów zaczęło bić brawo, a sprzedawca kwiatów na placu podarował Ferminowi biały goździk, który ten włożył sobie w klapę i nosił tak długo, aż białe płatki przybrały kolor kołnierzyka koszuli. Podniesiony na duchu, lecz wciąż bez księdza, Fermín udał się do szkoły San Gabriel, prosić o przysługę ojca Fernanda Ramosa, który w życiu nie udzielił ślubu i którego specjalizacją była łacina, trygonometria i szwedzka gimnastyka, w tej właśnie kolejności.

– Eminencjo, narzeczony jest bardzo słaby i nie mogę sprawić mu jeszcze jednej przykrości. On widzi w was wcielenie wielkich ojców matki Kościoła, tam na wysokościach, razem ze świętym Tomaszem, świętym Augustynem i Panienką Fatimską. Chłopak jest taki jak ja, nadzwyczaj pobożny. Wręcz mistyk. Jeśli teraz mu powiem, że się ksiądz nie zgadza, może się zdarzyć, że będziemy musieli odprawić pogrzeb zamiast ślubu.

– Skoro pan tak stawia sprawę.

Jak mówiono mi później – ja bowiem tego nie pamiętam, zresztą śluby zawsze są lepiej pamiętane przez innych – przed uroczystością Bernarda i don Gustavo Barceló (zgodnie ze szczegółowymi instrukcjami Fermina) napoili biednego księdza słodkim winem, żeby był bardziej elastyczny. Podczas obrzędu ojciec Fernando, opromieniony błogim uśmiechem i przemawiając tonem życzliwej frywolności, skorzystał z protokolarnej swobody i zastąpił lekturę któregoś Listu do Koryntian miłosnym sonetem niejakiego Pabla Nerudy. I podczas gdy niektórzy goście pana Aguilara identyfikowali autora jako niepoprawnego komunistę i bolszewika, inni wertowali modlitewniki w poszukiwaniu owych wersetów rzadkiej pogańskiej piękności, zastanawiając się, czy oto nie doświadczają skutków przygotowywanego w Kościele Soboru.

Na dzień przed ślubem Fermín, architekt uroczystości i mistrz ceremonii, oświadczył mi, że zorganizował wieczór kawalerski, na który jesteśmy zaproszeni tylko on i ja.

– Nie wiem, Ferminie. Jeśli o mnie chodzi...

– Proszę mi zaufać.

Gdy nadszedł wieczór, potulnie udałem się za Ferminem do brudnej kanciapy położonej na ulicy Escudillers, gdzie wyziewy ludzkie zgodnie współgrały z wonią najobrzydliwszej śródziemnomorskiej smażeniny. Grupa pań, mających w ofercie spore obszary, przyjęła nas z uśmiechami, które byłyby rozkoszą wydziału ortodoncji.

– Przychodzimy do Rociíto – oznajmił Fermín chudzielcowi, którego bokobrody dziwnie przypominały kształt Półwyspu Apenińskiego.

– Fermín – szepnąłem przerażony – na miłość boską...

– Więcej ufności, proszę.

Rociíto pojawiła się w całej swej glorii, którą obliczyłem na jakieś dziewięćdziesiąt kilo, nie wliczając wyszywanego szala i kolorowej szyfonowej sukienki, i otaksowała mnie rzeczowo.

– Witaj, kochanie. No proszę, a myślałam, że jesteś starszy.

– Nie mamy tu denata – wyjaśnił Fermín.

Pojąłem wówczas cały zamysł i moje obawy się ulotniły. Fermín nigdy nie zapominał o danej obietnicy, zwłaszcza jeśli to ja ją złożyłem. Udaliśmy się we trójkę na poszukiwanie taksówki, która zawiozłaby nas do przytułku Santa Lucia. Fermín, który przez wzgląd na stan mego zdrowia oraz status narzeczonego odstąpił mi przednie siedzenie, dzielił tylne z Rociíto, szacując jej walory z widocznym upodobaniem.

– Jesteś niezrównana, Rociíto. Ten twój hoży tyłeczek to apokalipsa według Botticellego.

– Aj, señor Fermín, odkąd pan poderwał dziewczynę, całkiem pan o mnie zapomniał.

– Rociíto, jesteś kobietą, której niczego nie brakuje, ale ja zapadłem na monogamię.

– Niech będzie. Rociíto was z tego wyleczy penicyliną.

Na ulicę Moncada dotarliśmy po północy, eskortując niebiańskie ciało Rociíto. Przemyciliśmy ją do przytułku Santa Lucia tylnym wejściem, którym zwykle wnoszono zmarłych na uliczkę, wyglądem i fetorem przywodzącą na myśl wejście do piekieł. Gdy już znaleźliśmy się w mrokach Tenebrarium, Fermín przystąpił do wydawania Rociíto

ostatnich instrukcji, ja zaś poszedłem szukać dziadka, któremu obiecałem taniec z Erosem, zanim Tanatos mu wystawi końcowy rachunek.

– Pamiętaj Rociíto, że dziadek jest trochę głuchy, więc mów do niego głośno i wyraźnie, możesz troszkę poświntuszyć, jak to ty potrafisz, ale bez przesady, bo znowu nie o to chodzi, żeby wyprawić go do królestwa niebieskiego przed czasem, z powodu zawału.

– Nie obawiaj się, skarbie, nie masz do czynienia z amatorką.

Beneficjenta tych zamówionych amorów, mędrca – pustelnika, zabarykadowanego za murem samotności, znalazłem w kącie na pierwszym piętrze. Podniósł wzrok i spojrzał na mnie skonsternowany.

– Umarłem?

– Nie. Żyje pan. Czy mnie pan pamięta?

– Pamiętam jak moje pierwsze buty, młodzieńcze, ale widząc pana oblicze tak trupiej bladości, sądziłem, że to wizja z zaświatów. Proszę nie brać mi tego za złe. Tutaj się traci to, co wy, ludzie ze świata, nazywacie rozeznaniem. A więc nie jest pan jakimś zjawiskiem?

– Nie. Zjawisko czeka na pana na dole, jeśli pan łaskaw.

Zaprowadziłem staruszkę do ponurej celi, którą Fermín i Rociíto przystroili odświętnie świeczkami, nie zapominając o nutce perfum. Gdy spojrzenie dziadka spoczęło na obfitych kształtach naszej prowincjonalnej Wenus, twarz jego rozjaśniła się, jakby ujrzął wymarzony rajski ogród.

– Niech was Bóg pobłogosławi.

– A pan niech tylko popatrzy – powiedział Fermín, dając znak syrenie z ulicy Escudillers, by zaczęła odsłaniać arkana swej sztuki.

Widziałem, że obejmuje staruszkę z nieskończoną delikatnością i scałowuje łyzy spływające mu po policzkach. Fermín i ja wycofaliśmy się, by mogli zakosztować zasłużonej intymności. Podczas naszej nawigacji przez ową krainę beznadziei natknęliśmy się na siostrę Emilię, jedną z zakonnic administrujących przytułkiem. Obdarzyła nas kwaśnym spojrzeniem.

– Mówią mi pensjonariusze, że wprowadziliście tu kobietę i że chcieliby jeszcze jedną.

– Siostrę znamienita, za kogo nas siostra bierze? Nasza obecność

tutaj ma charakter ściśle ekumeniczny. Obecny tu kawaler, który jutro stanie się mężczyzną wobec naszej świętej matki Kościoła, oraz ja przybyliśmy w sprawie pensjonariuszki Jacinty Coronado.

Siostra Emilia podniosła jedną brew.

– Czy należą panowie do rodziny?

– Duchowo.

– Jacinta zmarła dwa tygodnie temu. Jakiś mężczyzna odwiedził ją poprzedniego wieczoru. Czy to krewny?

– Chodzi o ojca Fernanda?

– To nie był ksiądz. Przedstawił mi się jako Julián . Nie pamiętam nazwiska.

Fermín spojrział na mnie oniemiały.

– Julián jest moim przyjacielem – powiedziałem.

Siostra Emilia kiwnęła głową.

– Spędził z nią kilka godzin. Od lat nie słyszałam, żeby się śmiała. Gdy poszedł, powiedziała, że rozmawiali o czasach młodości. Że przyniósł wieści o jej córce Penélope. Nie wiedziałam, że Jacinta ma córkę. Pamiętam to, gdyż owego poranka Jacinta uśmiechnęła się do mnie, a kiedy zapytałam, dlaczego jest taka rada, odpowiedziała, że jedzie do domu, z Penélope. Umarła nad ranem, we śnie.

Rociíto zakończyła swój miłosny rytuał chwilę później, zostawiając staruszka bez sił i w objęciach Morfeusza. Przy wyjściu Fermín chciał zapłacić jej podwójną stawkę, ona jednak, królowa kurew, roniąc łzy współczucia wobec tych wszystkich opuszczonych, zapomnianych przez Boga i diabła, uparła się oddać swoje wynagrodzenie siostrze Emilii, żeby zafundowała wszystkim na podwieczorek churros z czekoladą, jej samej zawsze to bowiem pomagało na życiowe smutki.

– Taka już jestem sentymentalna. Pomyśl pan, Fermín, ten biedaczek... On tylko chciał, żebym go objęła i popieściła... Serce mi...

Daliśmy Rociíto dobry napiwek i wsadziliśmy ją do taksówki. Sami ruszyliśmy ulicą Princesa, pustą i spowitą w zasłony mgły.

– Trzeba by się zdrzemnąć przed tym, co nas czeka jutro – stwierdził Fermín.

– Nie wydaje mi się, żebym zdołał zasnąć.

Skręciliśmy w stronę Barcelonety i nie wiedząc nawet jak, znaleźliśmy się na falochronie, a miasto, błyszczące ciszą, zjawilo się

przed nami jako największe złudzenie świata, wynurzające się z odmętów wody. Usiedliśmy na nadbrzeżu, kontemplując widok. Jakieś dwadzieścia metrów od nas zaczynała się nieruchoma procesja samochodów, na których szyby opadała mgła i liście.

– To miasto ma czarodziejską moc, wie pan o tym, Danielu? Zanim się człowiek obejrzy, wejdzie mu pod skórę i skradnie duszę.

– Mówi pan jak Rociito.

– Proszę się nie śmiać, to ludzie tacy jak ona czynią ten pieski świat miejscem, które warto odwiedzić.

– Dziwki?

– Nie. Dziwkami stajemy się wszyscy, prędzej czy później. Mam na myśli ludzi o dobrym sercu. I proszę tak na mnie nie patrzeć. To śluby tak na mnie działają, że robię się miękki jak galareta.

Siedzieliśmy tak, objęci dziwnym spokojem, przyglądając się odbiciom w wodzie. W pewnej chwili świt rozsypał się po niebie bursztynowo i Barcelona zapłonęła światłem. Usłyszeliśmy odległe dzwony bazyliki Santa María del Mar, wynurzającej się z mgieł po drugiej stronie portu.

– Myśli pan, że Carax nadal tam jest, gdzieś w mieście?

– Proszę spytać o coś innego.

– Ma pan obrączki?

Fermín się uśmiechnął.

– Idziemy. Czekają na nas, Danielu. Czeka na nas życie.

Ubrana była w suknię koloru kości słoniowej, a w oczach miała zapowiedź świata. Ledwie sobie przypominam słowa księdza i tchnące nadzieją twarze gości, wypełniających kościół owego marcowego poranka. Został mi tylko dotyk jej ust i – gdy uniosłem powieki – złożona na mojej skórze tajna przysięga, którą będę pamiętał przez wszystkie dni mego życia.

Dramatis personae
1966

Julián Carax kończy *Cień wiatru* krótkim podsumowaniem, wiążących nitki losów swoich bohaterów po wielu latach. Od tamtej odległej nocy tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku przeczytałem mnóstwo książek, ale ostatnia powieść Caraxa wciąż należy do moich ulubionych. Dziś, z trzydziestką na karku, nie spodziewam się zmienić zdania.

Podczas gdy kreślę te zdania na ladzie w księgarni, mój syn Julián, który jutro kończy dziesięć lat, przygląda mi się z uśmiechem, zaintrygowany plikiem kartek, który wciąż rośnie, być może przekonany, że jego ojciec również zaraził się chorobą książek i słów. Julián ma oczy i inteligencję po matce; podoba mi się myśl, że po mnie odziedziczył naiwność. Mój ojciec, który ma już trudności z czytaniem tytułów na grzbietach książek, choć się do tego nie przyznaje, mieszka na górze. Nieraz zastanawiam się, czy jest człowiekiem szczęśliwym, spokojnym, czy dobrze mu w naszym towarzystwie, czy też żyje pogrążony we wspomnieniach i smutku, który zawsze go prześladował. Teraz Bea i ja prowadzimy księgarnię. Ja zajmuję się księgowością i rachunkami. Bea robi zakupy i obsługuje klientów, którzy wolą ją ode mnie. Nie mam im tego za złe.

Czas uczynił ją silną i mądrą. Prawie nigdy nie mówi o przeszłości, chociaż czasem zastaję ją utkwioną na mieliźnie milczenia, samą ze sobą. Julián przepada za matką. Kiedy widzę ich razem, wiem, że połączeni są niewidzialną więzią, którą ja ledwie mogę starać się zrozumieć. Wystarcza mi, że czuję się częścią jej wyspy i uważam się za szczęśliwca. Dochody z księgarni wystarczają na skromne utrzymanie, ale nie mogę sobie wyobrazić innego zajęcia. Sprzedaż spada z roku na rok. Ja jestem optymistą i twierdzę, że to, co rośnie, spada, a co spada, pewnego dnia musi wzrosnąć. Bea twierdzi, że sztuka czytania powoli zamiera, że jest to intymny rytuał, że książka jest lustrem i możemy w niej znaleźć tylko to, co już nosimy w sobie, że w czytaniu wkładamy umysł i duszę, te zaś należą do dóbr coraz rzadszych. Co miesiąc otrzymujemy oferty odkupienia księgarni i

przekształcenia jej w sklep z telewizorami, gorsetami czy butami. Ale nie damy się stąd wypędzić, chyba że nas wyniosą nogami do przodu.

Fermín i Bernarda pobrali się w 1958 roku i mają już czwórkę dzieciaków, samych chłopców, z nosa i uszu podobnych do ojca. Fermín i ja widujemy się rzadziej niż kiedyś, choć czasem o świcie powtarzamy spacer na nadbrzeże portu i naprawiamy świat. Fermín parę lat temu zostawił posadę w księgarni i po śmierci Izaaka Monforta przejął po nim pałeczkę na Cmentarzu Zapomnianych Książek. Izaak jest pochowany na Montjmc obok Nurii. Często ich odwiedzam. Rozmawiamy. Na grobie Nurii zawsze są świeże kwiaty.

Mój stary przyjaciel Tomás Aguilar wyjechał do Niemiec, gdzie pracuje jako inżynier w firmie produkującej urządzenia dla przemysłu; działania jego cudownych wynalazków nigdy nie udało mi się zrozumieć. Czasem pisze listy, zawsze adresowane do siostry, Bei. Ożenił się kilka lat temu i ma córkę, której nigdy żeśmy nie widzieli. Zawsze przysyła dla mnie pozdrowienia, ale wiem, że przed laty straciłem go bezpowrotnie. Powtarzam sobie, że życie zabiera nam przyjaciół z dzieciństwa, bo tak już jest, ale nie zawsze w to wierzę.

Nasza dzielnica niewiele się zmieniła, ale są dni, kiedy wydaje mi się, że światło przenika tu coraz śmieiej, że wraca do Barcelony, jakbyśmy kiedyś je wygnali, ale w końcu nam wybaczyło. Don Anacleto porzucił wykłady i teraz poświęca się wyłącznie poezji erotycznej i obszernym glosom do niej, publikowanym z tyłu okładki. Don Federico Flaviá i Merceditas zamieszkali razem po śmierci matki zegarmistrza. Stanowią wspaniałą parę, choć nie brak zawistnych, którzy twierdzą, że wilka zawsze ciągnie do lasu i że od czasu do czasu don Federico wyskakuje po południu na miasto w szatkach godnych egipskiej królowej.

Don Gustavo Barceló zamknął księgarnię i przekazał nam swoje zbiory. Powiedział, że ma tego serdecznie dość i pragnie nowych wyzwań. Pierwszym i ostatnim z nich było założenie nowego wydawnictwa, zajmującego się reedycją dzieł Juliana Caraxa. Pierwszy tom zawierający jego trzy najwcześniejsze opowiadania (odzyskane z odbitek zapodziaanych gdzieś w składzie mebli należących do rodziny Cabestany) rozszedł się w trzystu czterdziestu dwóch egzemplarzach, plasując się daleko w tyle za bestsellerem roku, ilustrowaną

hagiografią El Cordobesa, wydaną w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Don Gustavo podróżuje teraz po Europie w towarzystwie dystygowanych dam i przysyła pocztówki z katedrami.

Jego siostrzenica Klara wyszła za mąż za bogatego bankiera, ale małżeństwo przetrwało ledwie rok. Lista jej kochanków jest wciąż nader rozwlekła, choć z roku na rok coraz bardziej się kurczy, w miarę jak wędnie uroda Klary. Obecnie Klara mieszka sama w apartamencie na Plaza Real i coraz rzadziej go opuszcza. Przez pewien czas ją odwiedzałem, bardziej za namową Bei, która mi przypominała o jej samotności i nieszczęściu, niż z własnej woli. Z upływem lat obserwowałem, jak w Klarze narasta gorycz, ubierana w ironię i obojętność. Czasami myślę, że wciąż czeka, aż ów zauroczony piętnastoletni Daniel przybędzie adorować ją w cieniu. Obecność Bei, czy jakiegokolwiek innej kobiety, odbiera jej spokój. Ostatni raz, gdy ją widziałem, szukała rękoma zmarszczek na swej twarzy. Podobno czasem spotyka się jeszcze ze swoim dawnym nauczycielem muzyki, Adrianem Neri, którego symfonia jest nadal nieukończona i który raczej zrobił karierę jako żigolak wśród pań z kręgu teatru Liceo, gdzie jego alkwiane akrobacje przyniosły mu wdzięczny przydomek Czarodziejskiego Fletu.

Czas nie okazał się sprzymierzeńcem inspektora Fumero. Nawet ci, którzy go nienawidzili i się go bali, nie wydają się już o nim pamiętać. Kilka lat temu wpadłem na Paseo de Gracia na porucznika Palaciosą, który porzucił służbę i udziela teraz lekcji wychowania fizycznego w szkole w Bonanova. Opowiedział mi, że w piwnicach komendy głównej na Via Layetana zachowała się jeszcze tablica pamiątkowa ku czci inspektora Fumero, ale nowy automat z napojami całkowicie ją zasłania.

Jeśli chodzi o dawną rezydencję Aldayów, wbrew wszelkim przepowiedniom stoi tam, gdzie stała. W końcu biuro nieruchomości pana Aguilara zdołało ją sprzedać. Dom został całkowicie odnowiony, a posągi aniołów przerobione na tłuczeń, użyty do budowy parkingu na terenie dawnego ogrodu. Dziś mieści się tam agencja reklamowa, zajmująca się promocją i tworzeniem tej dziwnej poezji bawełnianych skarpetek, budyniów w proszku i samochodów sportowych dla

menedżerów najwyższej rangi. Muszę wyznać, że pewnego dnia, powołując się na niewiarygodne racje, zjawiłem się tam i poprosiłem o pokazanie domu. Stara biblioteka, w której o mało nie straciłem życia, jest teraz salą konferencyjną, udekorowaną plakatami reklamującymi cudowną moc dezodorantów i detergentów. Pokój, w którym spłodziliśmy Juliana, jest łazienką dyrektora generalnego.

Tamtego dnia, powróciwszy do księgarni po wizycie w dawnym pałacyku Aldayów, znalazłem przesyłkę ze stemplami z Paryża. Zawierała książkę zatytułowaną *Mglisty Anioł*, powieść niejakiego Borisa Laurenta. Przerzuciłem kartki, czując ten magiczny zapach obietnicy, jaki niosą z sobą nowe książki, i zatrzymałem wzrok na pierwszym zdaniu przypadkowego akapitu. Natychmiast rozpoznałem, kto je napisał, i nie zdziwiłem się, gdy powróciwszy na pierwszą stronę, znalazłem tam, napisaną niebieskim atramentem, piórem budzącym we mnie taki zachwyt w dzieciństwie, następującą dedykację:

*Mojemu przyjacielowi Danielowi, który zwrócił mi głos i pióro.
I Beatriz, która obu nam przywróciła życie.*

Młody mężczyzna, o włosach, w które wplątują się już srebrne nitki, spaceruje ulicami Barcelony zamkniętej pomiędzy niebem koloru popiołu i oparami słońca, rozlewającego się na Rambla de Santa Mónica jak girlanda płynnej miedzi.

Prowadzi za rękę chłopczyka około dziesięcioletniego, którego wzrok oczarowany jest tajemniczością obietnicy, jaką ojciec mu złożył o świcie, obietnicy Cmentarza Zapomnianych Książek.

– Julianie, o tym, co dziś zobaczysz, nie możesz opowiedzieć nikomu. Nikomu.

– Nawet mamie? – pyta chłopiec półgłosem.

Ojciec wzdycha, chowając się za smutnym uśmiechem, który nie opuszcza go przez całe życie.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada. – Przed nią nie mamy sekretów. Jej możesz powiedzieć wszystko.

Po chwili postaci z mgły, ojciec i syn, znikają w tłumie na Ramblach, ich kroki na zawsze giną w cieniu wiatru.

Spis fotografii

Ulica l'Arc del Teatre s. 23

Antykwariat z kotem s. 53

Jedna z ulic Barcelony s. 83

Secesyjna kamienica z werandami i balkonami s. 135

Kościół Santa María del Mar s. 171

Uliczka d'En Carabassa s. 203

Via Laietana s. 239

Zwieńczenie bazyliki de la Mercè 281

Dziedziniec pałacu Dalmasas s. 529

Sprzedawca piosenek s. 391

Rambla w deszczu s. 435

„W drodze na Cmentarz Zapomnianych Książek” s. 513

Na wyklejkach w wydaniu w oprawie twardej zamieszczono plan Barcelony z lat pięćdziesiątych.

Francesc Catala – Roca (1922 – 1998)

Jeden z najznamienitszych artystów fotografików XX wieku. Terminował u swego ojca, Père Català Pic, wybitnego przedstawiciela katalońskiej awangardy. Archiwum jego prac liczy 231 000 zdjęć, które publikowano w ponad 1000 książek, z czego 80 to samodzielne albumy. Dorobek tego wielkiego artysty związany jest przede wszystkim z rodzinną Katalonią, jej pejzażem, zwyczajami, życiem codziennym, jej miastami (a Barcelony w szczególności), z jej największymi artystami (Joanem Miró i Salvadorem Dali) i zabytkami – pierwszy jego autorski album poświęcony był kościołowi Sagrada Familia. Był pierwszym hiszpańskim artystą fotografikiem uhonorowanym (w roku 1983) nagrodą państwową w dziedzinie sztuk plastycznych. W latach dziewięćdziesiątych otrzymał m.in. nagrody rządu katalońskiego i miasta Barcelona za całokształt twórczości. Albumy Francesca Català – Roca są wciąż wznawiane, a wystawy jego prac, jak np. fotografie Madrytu i Barcelony lat pięćdziesiątych, eksponowane na całym świecie.

)

Fr.: Ma pani w sercu truciznę. ←